Czarne Oceany

Jacek Dukaj

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Choć autor CZARNYCH OCEANÓW ożywia klasyczne wątki literatury science fiction, jego powieść sporo zawdzięcza nośnej problematyce i stylistyce prozy cyberpunkowej, a więc pisarstwa zrodzonego tak z fascynacji najnowszą technologią, jak i lęków doby informatycznej. Już teraz żyjemy w świecie rządzonym przez superkomputery. Co się stanie, kiedy te popadną w obłęd? – pyta w swej powieści Jacek Dukaj.

W CZARNYCH OCEANACH najbardziej wybredny czytelnik fantastyki znajdzie to, czego zwykł szukać i czego nie może zabraknąć w książkach tego rodzaju: spiski i wojny, eksperymenty naukowe, nad którymi uczeni stracili kontrolę, a także niekończące się spekulacje na temat możliwości i kondycji ludzkiego rozumu. W wartką i efektowną fabułę Dukaj umiejętnie włączył treści dyskursywne mieszczące się w polu takich dziedzin, jak polityka, ekonomia i psychologia. CZARNE OCEANY bez wątpienia należą do erudycyjnego nurtu polskiej SF i nawiązują do najlepszych tradycji tego gatunku, z twórczością Stanisława Lema na czele.

- Jacek Dukaj
  - 1. Z kraju i ze świata
  - 2. Nicholas Hunt
  - 3. Czerń
  - 4. Pająk nocą
  - 5. Uwolnienie
  - 6. Wojny
  - 7. Pod obcymi sztandarami
  - 8. Kolekcjoner pytań
  - 9. Śmierć w stolicy
  - 10. Wrota piekieł
  - 11. Rozszczepienie
  - 12. Monday, bloody Monday
  - 13. Skażony
  - 14. Tłum na ulicach
  - 15. Underground
  - 16. Necropolis
  - 17. KSTP
  - 18. Na oceanie

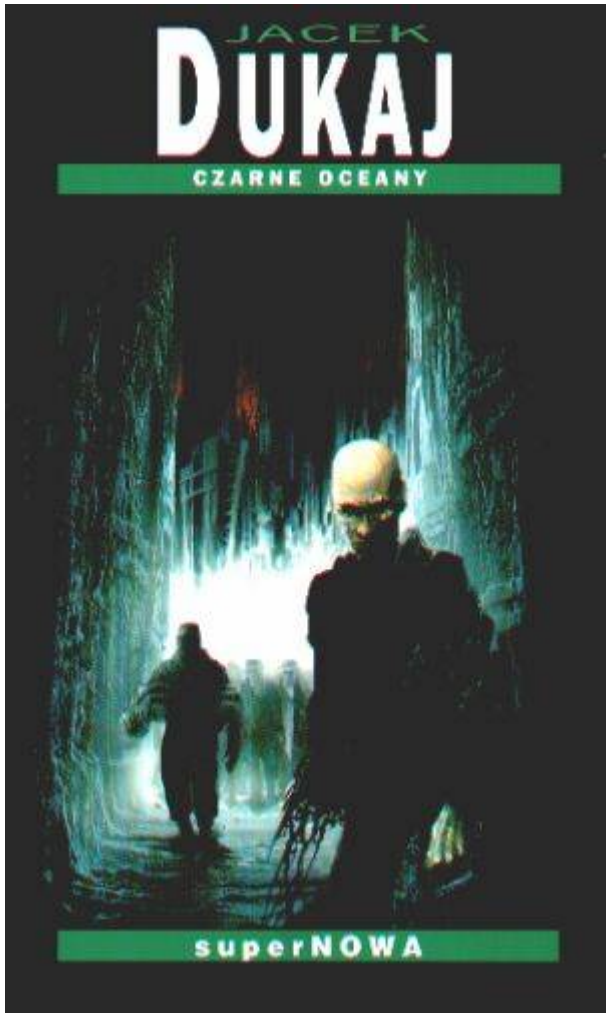
JACEK
DUKAJ
CZARNE OCEANY
superNOWA

Jacek Dukaj

Czarne Oceany

1. Z kraju i ze świata

Nad wszystkim stały Alpy, wielkie, zimne, milczące. Chodzący po terenie posiadłości policjanci co jakiś czas oglądali się na nie, bo kontrast był zbyt potworny. Pierwsze ciała znaleźli nad strumieniem. Pięć osób uklękło na brzegu, w równym szeregu, pochyliło się nisko, jakby próbując w ten sposób sięgnąć ustami wody, i wtedy ktoś odstrzelił im głowy. Strzelano z tyłu, w potylice, prawie pionowo, z pump-gunu. Policję zawiadomili wczasowicze z domku poniżej, gdy spostrzegli płynące strumieniem strzępy mózgu, podskakującą na falach gałkę oczną. Posiadłość figurowała w rejestrze sekt i policja zjawiła się od razu w wielkiej sile, ściągając z miejsca dwie ekipy do skanu A-V. Obchodzili teraz pastwiska, sprawdzali wnętrze i okolicę drewnianej willi. Na werandzie stało wielkie blaszane wiadro pełne odciętych palców. Opróżniwszy je, znaleźli na dnie czyjąś głowę. Do tej pory nie natrafili na pasującą doń resztę ciała. W piwnicy znajdowało się dwanaście bezpalcych zwłok dzieci, w tym niemowlęta. Kevorkianki iniekcyjne, orzekł wstępnie koroner. Na piętrze mieściła się świątynia. Długie, żółtobrązowe węże jelit zwieszały się ciężkimi girlandami z żyrandola, stromymi łukami biegły pod sufitem do mebli, okien i futryny drzwi – anatomiczny gotyk. Policjanci wchodzili tu pod parasolami, krew wciąż kapała – nieustanne pak-pak-pak-pak-pak o monopłótno. Guru, a on był ostatni, siedział w pozycji lotosu na tatami pod samym żyrandolem. Utrzymywał go pośmiertnie w tej pozycji fidiasz w końskiej dawce. Guru (który miał czterdzieści siedem lat i zanim doznał objawienia, był pisarzem science fiction) sam sobie wydłubał oczy i poobcinał palce nożem wibracyjnym umieszczonym w imadlanej obejmie. Gdy otworzono drzwi do pomieszczenia, włączyły się głośniki i popłynął z nich jego głęboki, charyzmatyczny głos, recytujący spisaną przez niego samego „Księgę Nieciała": „Jako na ducha, tak i na materię. Ciało to więzienie, ciało to kamień formy, maska i bielmo na oczach. Po nim, jak po schodach, wespniesz się do nieśmiertelności". Chwilę trwało, zanim znaleziono wszystkie głośniki i wyłączono je. Tymczasem guru mówił: „Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie: zarażam was". Policjanci poruszali się pośród owego horroru powoli, ostrożnie, zważając na każdy krok, zawsze puszczając przodem wślepionych na zapis skanerów. Wchodziło się do wnętrza tego domu jak do kesonu o niskiej zawartości tlenu – po kilku minutach trzeba było wyjść z powrotem na zewnątrz, popatrzeć na Alpy, zapalić papierosa, nawet nikotynowca (tu, w Szwajcarii, wciąż były one legalne). Inaczej umysł zapadał się w bagno dzikich skojarzeń, zaciągały się nad nim chmury depresji, duszność i mdłości dopadały człowieka. Stali więc pod

werandą, oddychali górskim powietrzem i wymieniali półgłosem uwagi. – Jaty jak u Barkera. – Popierdoleńce cholerne. -Ja się poddaję, w ogóle już nie próbuję tego zrozumieć. -Co za chory umysł…? – A powystrzelać ich wszystkich. -Przecież widzisz, sami się strzelają.

Biel śniegu Alp paliła ich w oczy, mrugali, gdy wzbierały w nich piekące łzy.

W nocy wygląda to jak pożar w lunaparku. Przez okno schodzącego do lądowania samolotu (lot nr 4582 z Atlanty, druga przesiadka) Czarny patrzył na Nowy Jork pod fosforyzującą kołdrą miasta sterowców, rozkołysanego lekko od nadatlantyckiego wiatru. Blask gigantycznych reklam i światła apartamentów podwieszonych pod zakotwiczone na szklanych linach wieloryby gorącego powietrza – wyznaczały w naniebnym rzucie mapę dobrobytu. Było to koło w okręgu: wysokie luksusy centrum otoczone strefą luksusów zeszłowiecznych, samą otoczoną z kolei nieskończonymi przedmieściami. Kiedy nad nimi przelatywali, widział zimne refleksy światła w niezliczonych przydomowych basenach.

W oddali błyskały szerokopasmowe lasery klasycznych holografii reklamowych, z tej odległości, a zwłaszcza pod tym kątem – zupełnie nieczytelnych. Po zestawieniach kolorów można było jednak wnioskować o przynależności logo.

Samolot schodził do La Guardii po jakiejś przedziwnej spirali, coraz to inna część metropolii płonęła jasnymi kolorami za iluminatorem. Zimna rozpacz zalewała umysł Czarnego, choć odwracał głowę od ekranów widokowych. Tam ludzie, miliony ludzi. Utonę. Tsunami czerni. Kto uratuje, gdym samotny w tysięcznym tłumie. Jezu Chryste.

Pasażerka z żeńskiego przedziału onanizowała się w myślach, biznesmen z fotela na przedzie upokarzał się wspomnieniem pogardy szefa, niemowlę w ramionach matki śniło o analnych rozkoszach, matka zaś z zimną nienawiścią do samej siebie wyrzucała sobie słabą wolę, która nie pozwoliła wówczas jej dłoni opaść na TERMINATE inkuba; a steward marzył o ataku terrorystów, krwi pasażerów na suficie.

Czarny z trudem powstrzymywał szloch. Kogoś musiał tu boleć żołądek, bo Czarnego aż skręcało, kulił się mimo pasów. Próbował się skupić na celu, na konieczności – ale oni wszyscy też mieli ojców i obraz się rozmywał, miłość, nienawiść i obojętność odkształcały wspomnienia, również te nadmiarowe. Steward się zaniepokoił, już chciał podejść, zapytać – więc Czarny się wyprostował, wygładził twarz.

Gdy wylądowali, odczekał, aż wszyscy wyjdą i wstał na końcu. Biały rękaw był jak pępowina łącząca kadłub maszyny z Tłumem-

matką. Szedł naprzód, śmiertelnie przerażony. Buchało mu w twarz gęstą czernią. Spojrzał na bilet, by przypomnieć sobie swe nazwisko; zaraz zgubił myśl o przyczynie spojrzenia. Kilkakrotnie przystawał. Potwornie bolały go nogi. Za bramką naszła go urzędnicza frustracja, nakrzyczał na celnika w zapożyczonym języku. W sumie był tak zdezorientowany i ogłuszony, że nie miałby szans z największymi partaczami.

A oni – oni wypracowali już przecież optymalną pod względem bezpieczeństwa procedurę i podeszli z wielką ostrożnością. Gdy Czarny odebrał bagaż i ruszył ku wyjściu, usadowiony na galerii po drugiej stronie sali snajper otrzymał przez telefon ukryty w małżowinie usznej opis i położenie celu, do tej pory nie miał bowiem zielonego pojęcia, o kogo chodzi.

Poinstruowano go, że ma oddać strzał najpóźniej w pięć sekund. Oddał w cztery.

Zatruta igła trafiła Czarnego w kark. Odruchowo poruszył barkami. Obejrzał się, zdziwiony.

Siedmiu innych mężczyzn, wmieszanych w tłum podróżnych, odebrało teraz swoje rozkazy – identyczną drogą co snajper, tak samo zwięzłe. Zlokalizowawszy obiekt, ruszyli ku niemu biegiem. Czarny już giął się w kolanach. Złapali go pod ramiona, otoczyli pierścieniem ciał. Siódmy podniósł upuszczony bagaż.

Na ulicy czekały limuzyny. Nieprzytomny Czarny załadowany został do drugiej.

Siedzący obok kierowcy łysy fenoazjata podał swemu telefonowi hasło numeru.

– Powiedzcie Huntowi, że wszystko okay – rzekł. -Niech szykują wahadłowiec.

Spadało tętno, ruchy gałek ocznych sugerowały fazę REM – choć przecież Numer nie spał. Dyżurny lekarz nadzorujący polecił kompowi wstrzyknąć stymulującą dawkę hormonów. Delikwent po iniekcji zadygotał kilkakrotnie, otworzył usta, jęknął. Nieświadomymi szarpnięciami (a wyglądało to, jakby martwy połeć mięsa miotał się pod uderzeniami prądu) usiłował się wyrwać, lecz pasy trzymały mocno. Kropelki śliny odrywały się od jego dziąseł i dryfowały w powietrzu ku najbliższemu otworowi wymiennika atmosfery.

Naraz zaczęła szaleć alfa, program analizujący pracę mózgu zapiszczał alarmem, wewnątrz i na zewnątrz zaślepu A dyżurnego medyka.

– Odciąć go! – krzyknął na firmowej linii Preslawny. Lekarz spojrzał na wirtualne wykresy i włosy stanęły mu dęba.

– Musiałbym go wypłaszczyć! Osfan poszedł już potrójnie!

– Czekaj!

Mężczyzna w pomieszczeniu widocznym na zaledowanej ścianie przestał się już poruszać na łóżku, do którego był przypięty. Wszystko w nim gasło, obumierało: mózg, płuca, serce. Widać to było na ekranie, tym bardziej widział to medyk. Pacjent zapadał w głęboką komę. Ruszyła się nawet temperatura, choć na razie zaledwie o kilkanaście setnych.

Do dyżurki wszedł Preslawny, jeszcze ścierał sobie ketchup z ust.

– Zapada się – mruknął ledwo rzuciwszy okiem. – Jak bardzo możesz szarpnąć?

– Trzeciego straciliśmy na migotaniu, defibrylacja – grób.

– Ale on się, kurwa, zapada. Pełna szpryca! Lekarz wydał w OVR polecenie.

– O mój Boże… – jęknął cicho pacjent, tym bardziej przejmująco, że zupełnie niespodziewanie: zazwyczaj nie mówili nic. Głośniki przekazały ten jęk do salki obserwacyjnej zwielokrotniony w decybelach i podbity ciemnym basem. Preslawny aż się wzdrygnął i zaraz wściekł na siebie za ów dreszcz, kompromitujący sygnał od słabeuszowatej duszy.

– Co, widzi już światełko w tunelu? – zazgrzytał.

– Pan spojrzy na EEG.

Preslawny spojrzał i zwalił się bezwładnie na krzesło.

Chciał się złapać za głowę, ale ręce zorientowały się w banale i opadły mu w pół gestu.

– Czwarty – westchnął, i to było epitafium dla katatonika z ekranu.

– Trzeba by powiadomić pana Hunta – zauważył beznamiętnym głosem wychodzący z półżaślepu doktor.

– Ano.

W Bostonie doktor Vassone (stały kontrakt profesorski na Uniwersytecie Bostońskim) kończyła właśnie śniadanie w hotelowej restauracji. Dziennikarz, z którym umówiła się tutaj na wywiad, odszedł już od stolika, zbyty standardowym pakietem kłamstw o przesadzonych plotkach i absurdalnych (tu puścić porozumiewawczo oko) zobowiązaniach podpisywanych przy okazji rządowych grantów: CNS i CAS, gdzie wykładała, były finansowane ze źródeł prywatnych zaledwie w kilku procentach. Mogła teraz całą uwagę poświęcić stygnącym potrawom.

Kelner oraz piszący na ledpadzie dwa stoliki dalej biznesmen widzieli wszystko bardzo dokładnie i złożyli później wyczerpujące zeznania.

Doktor Vassone upuściła filiżankę, rozległ się ostry grzechot – i to wtedy na nią spojrzeli.

Mrugała szybko, z oczu płynęły jej łzy. Dolną wargę przygryzła tak mocno, że pojawiły się na niej drobne krople krwi. Dłońmi zaczęła

miąć obrus, ściągając go tym samym ku sobie; zadzwoniła zastawa. Vassone westchnęła głośno. Szarpnęła głową, wisiorek z logo jurydykatora uderzył ją w brodę. Wyraz jej twarzy zmieniał się od strachu, przez cierpienie, do najgłębszej rozpaczy. Załkała z głębi piersi. Prawą rękę uniosła i wyciągnęła w przód, ale ruchowi zabrakło zdecydowania i palce nie sięgnęły celu, jakikolwiek on był. Zaraz zawróciły i, zgięte w szpony, uderzyły w policzek Vassone. Paznokcie wbiły się w skórę. Jęcząc, zaczęła rozdrapywać sobie twarz.

W tym momencie zareagował kelner. Podbiegł do Vassone i złapał ją za nadgarstki. Wyrywała się. Wołając o lekarza, ruszył z kolei pomóc kelnerowi biznesmen.

Wspólnymi siłami w końcu obezwładnili kobietę – ale też tak to właśnie wyglądało: brutalne obezwładnienie. Nie dało się uniknąć głośnej szamotaniny, zrzucenia na podłogę całej zastawy, zniszczenia marynarek mężczyzn i koszuli Vassone. Drapała na oślep, po sobie i po nich. Szerokie, krwawe bruzdy przydawały jej obliczu upiornego podobieństwa do indiańskich malunków wojennych.

– Co, co, no co się dzieje…? – szeptał do niej biznesmen.

– Moje dzieci, moje dzieci – jęczała, drżąc w ich rękach. I taki żal, taka rozpacz brzmiała w tym jęku, że obaj mimowolnie rozejrzeli się po sali za jakimiś dziećmi, ale akurat nie było żadnych.

– Co?

– Zabiłam je, zabiłam, mój Boże, zabiłam ich oboje… Pojawiło się więcej ludzi z obsługi hotelowej, między innymi hotelowy lekarz – zabrali ją z głównej sali na zaplecze. Płakała na głos, gdy ją wlekli. Inni goście (choć o tej porze nie było ich tu wielu) półszeptem wymieniali między sobą uwagi. Cały hotel objęty był NEti i komentując zdarzenie, odruchowo rozglądali się za poukrywanymi kamerami.

Przyjechała karetka i zabrano doktor Vassone do szpitala (nie znali kodu jej medykatora, nie miała medalarmu na cashchipie). Sanitariusze wcisnęli ją w kaftan bezpieczeństwa, chociaż przestała się już wyrywać. Opatrzyli rany na jej twarzy. Miała także kilka złamanych paznokci i zdarty z przedramion naskórek. Obserwowali ją czujnie.

Marina Vassone, starannie wyrzeźbiona, pomimo czterdziestu siedmiu lat zachowała sylwetkę modelki, cerę bez zmarszczek, oczy nastolatki – bladoniebieskie, bardzo zimne. Krótkie białe włosy zaczesane do tyłu. Zdecydowanie skandynawski typ urody.

Najpierw szeptała coś do siebie w obcym języku. Potem się uspokoiła, zrobiła kilka głębokich wdechów i przemówiła po angielsku do sanitariusza. Powtarzała w kółko jeden i ten sam numer telefonu przekonując, grożąc i błagając, by natychmiast nań zadzwonił. Prosić pana Hunta. To ważne. Niech ruszy tyłek. Ale sanitariusz surfował na

falach muzyki płynącej z implantowanych mu pod kość czaszki rezonatorów: z pobłażliwym uśmiechem ignorował kobietę w kaftanie.

W szpitalu ściągnęli jej DNAM, skontaktowali się z miejscowym biurem medykatora, zrobili badania, dali jej kilka zastrzyków i odstawili na salę, przypiętą do łóżka bardzo szerokimi pasami. Tu znów ją dopadło. Pomimo chemicznego wytłumienia jęła wrzeszczeć, że jest morderczynią, że powinni ją wysłać na krzesło elektryczne, że palić się będzie w piekle i tym podobne rzeczy.

Podwojono dawkę. Zasnęła.

Powiadomiona najbliższa (geograficznie) rodzina okazała się siedemnastoletnim synem. Co prawda nie był to już syn w sensie prawnym, bo kontrakt wychowawczy Vassone wygasł sześć lat temu i w rozumieniu Giddensonowego kodeksu rodzinnego nic już ich nie łączyło; niemniej dane zostały w rejestrach.

Przybył, cierpliwie czuwał przy niej i był tam też, gdy się ocknęła. Z miejsca wyrecytowała mu numer. Zadzwoń, zadzwoń, zadzwoń.

Zadzwonił.

– Mogę rozmawiać z panem Huntem?

Odezwała się kobieta lub posługujący się kobiecym dialogantem program sekretaryjny.

– Kto mówi?

– Jas Vassone, dzwonię w imieniu mojej matki, to pilne, prosiła, żebym…

– Skąd pan ma ten numer?

– No przecież mówię, moja matka, doktor Marina S. Vassone, słyszy pani, czy przeliterować, no więc ona leży w szpitalu i prosiła, żebym…

Zmiana po tamtej stronie.

– Tu Hunt. Co się stało?

Trzymają ją w szpitalu, na oddziale psychiatrycznym, prosiła…

– Który to szpital?

Pół godziny po tej rozmowie przyjechało dwóch cywili wyglądających na przebranych w ostatniej chwili żołnierzy. Z miejsca wdali się w kłótnię z personelem. Ściągnięto prawników szpitala i medykatora. Strażnicy z pobliskich posterunków nie zdejmowali dłoni z kabur.

Jas przypatrywał się temu wszystkiemu z progu sali matki, niepewny, czy nie lepiej ukryć się przed wzrokiem tamtych. Brały w nim górę lęki dziecięce: może przyjdą i zabronią, może przegonią.

Gdy spojrzała nieco przytomniej, podszedł i pochylił się nad nią.

– Co się stało, mamo? Ty rzeczywiście jesteś chora?

– Dopadła mnie – szepnęła zwilżywszy wargi. – Lepiej już stąd odejdź.

– Ale…

– Proszę. Nie, nie jestem chora. Idź już. Nie poszedł.

Tymczasem dwaj ponurzy cywile osiągnęli najwyraźniej jakieś porozumienie z władzami szpitala.

Zajęli posterunek opuszczony przez Jasa: w drzwiach sali.

– Teraz trzeba czekać – oznajmił jeden z nich. – Oby się tylko pospieszyli.

– Kto? – spytał Jas. – Kim wy jesteście? Drugi mężczyzna uśmiechnął się.

– Co, filmów nie oglądasz? My jesteśmy z tego spisku rządowego, który stał za Roswell, zabójstwem Kennedy'ego i zanieczyszczeniem środowiska. Nie poznajesz garniturów?

– Ale mogę zostać?

– A co, wygania cię ktoś?

Tamci zapalili beznikotynowce. Stali pod ścianą i obserwowali. Doktor Vassone przepowiadała sobie półgłosem tabliczkę mnożenia, w tę i z powrotem, siedem razy osiem, siedem razy dziewięć, siedem razy dziesięć. Niespodziewanie jeden z pozostałych pacjentów zaczął wrzeszczeć po hiszpańsku, że jest potępiony i że diabeł już czeka na niego. Przyszła pielęgniarka, zmieniła program jego dozownika; wkrótce się uspokoił.

Dwóch w garniturach obserwowało to beznamiętnie.

Po ponad trzech godzinach przybyli ci, na których czekali owi pseudocywile. Jasowi opadła szczęka. Było to siedmiu mnichów buddyjskich, z wygolonymi czaszkami, w długich brązowych i pomarańczowych szatach, w sandałach i z jakimiś modlitewnymi przyrządami w dłoniach. Rozsiedli się dookoła łóżka doktor Vassone, po czym zamknęli oczy, znieruchomieli, prawie przestali oddychać.

– Dobra jest – mruknął jeden z agentów, gasząc swego papierosa. – Medytują. Zawiadom Hunta – rzucił do partnera.

– Kim oni są? – żachnął się Jas. – O co tu chodzi?

– Nic się nie przejmuj – poklepał go po ramieniu drugi, unosząc do warg dłoń z telefonem. – To strażnicy. Twoja mama jest już bezpieczna.

McFly z ekipą już trzeci dzień koczował w tym domu. Budynek stał opuszczony od ponad dziesięciu lat i zmienił się przez ten czas w ponurą ruderę. Stał na samym końcu miasteczka, dalej już tylko łąka, szosa i rozległe złomowisko, od którego wieczorami wiatr przynosił krwisty zapach rdzy.

Ekipa McFly'a składała się z dwóch mężczyzn i kobiety. Kobietę zwerbowano dzięki ogłoszeniom na okultystycznej stronie WWW. Kazała się nazywać „Madame Florence". W rzeczywistości była nierzeźbioną córką alkoholiczki z Alabamy, ledwo skończyła szkołę średnią i znała góra dwadzieścia francuskich zwrotów, które zresztą

niemiłosiernie kaleczyła swym drewnianym akcentem. Za plecami przezywali ją Klempą. Ona sypiała na piętrze, oni na parterze: to na piętrze popełniono wszystkie morderstwa.

Harcott, który w istocie był lekarzem wojskowym, odpowiadał za sprzęt: elektroniczny czepek, który Madame Florence zobligowana była nosić dwadzieścia cztery godziny na dobę, oraz dwie walizki wypełnione sprzężonymi z nim komputerami i ich peryferiami. McFly, de facto kierownik zespołu, „w cywilu" porucznik US Navy (kontrwywiad marynarki), utrzymywał łączność z Zespołem Hunta oraz zajmował się tak zwanym „zabezpieczeniem" terenu, i choć nie miał wiele do roboty, do pomocy dano mu jeszcze Vace'a. Vace jeździł do centrum miasteczka po zakupy. Wszyscy trzej byli smukłymi, dobrze zbudowanymi, dwumetrowymi blondynami o siwych oczach: ich poczęcie przypadło na okres największej popularności Franka di Mozzy.

Pierwszej nocy Madame Florence spała jak zabita, czuwający przy niej Harcott mało sam nie zasnął: wszystkie wykresy regularne, dane w środku przedziałów, nic wyjątkowego. Drugiej nocy pojawiły się pierwsze wychylenia. Potem, rankiem, gdy Harcott odsypiał swoje, McFly nagrał relację ze snów Madame Florence: coś o morzu, i o kształtach w ciemności, i strachu bezosobowym, i pomieszczeniu, z którego nie można się wydostać. Wtedy, zgodnie z instrukcją, dał jej do przeczytania przygotowane przez jeden z wydziałów Zespołu Hunta streszczenie historii tego domu i jego mieszkańców, i ich zbrodni. W gwarze Zespołu lektura podobnych dzieł – a zwłaszcza studiowanie dołączonych zdjęć – nazywała się „przecieraniem łączy".

I nocą po ich „przetarciu" nastąpił kontakt.

McFly'a obudził pisk w uchu. Alarm. Vace też już się podnosił. Instrukcja zakazywała posiadania podczas operacji jakiejkolwiek broni: nie mieli nawet noży.

– Harcott, Harcott! – szeptał McFly do sygnetalnego mikrofonu Nokii. – Zgłoś się, do cholery! Co tam się dzieje?

Ale cisza. McFly machnął na Vace'a. Schody. Wnętrze budynku tonęło w mroku. Założyli okulary noktowizyjne. Zapłonął chropowaty monochrom. Na piętrze trzeszczała podłoga. Kroki? Czyje? Wsłuchiwali się przez chwilę. Z zewnątrz budynku szedł niski szum budzącej się burzy, grzechot ciskanych po podwórzu śmieci. Znowu trzaski.

McFly machnął w kierunku schodów. Ruszyli skokami, wzajemnie się ubezpieczając – z braku broni palnej, w bardzo bliskiej odległości. Robactwo uciekało im spod stóp. W holu nikogo. Przez strzaskany witraż naddrzwiowy wieje deszczem: zapach nocy, zapach burzy, ozon na talach zimnego powietrza. McFly pokazał: ja pierwszy.

Wspinał się tuż przy balustradzie, nie opierając się na poręczy.

Mimo wszystko kilka stopni stęknęło pod nim i pod Vace'em. W korytarzu na piętrze też spokój. Drzwi sypialni Madame Florence uchylone, ciemność zza nich. Zaczęli nasłuchiwać oddechów, szmerów poruszeń – ale burza wszystko głuszyła.

McFly znowu pokazał: ja. Przyskoczył do drzwi, kucnął, zajrzał. Krew zalała mu oczy, uderzenie przewróciło go na plecy, spadły okulary. Cięcie przez pół głowy piekło jak jasna cholera. Usiłował się odturlać w bok, jednocześnie macając się po czaszce, ale w szoku pomylił strony i wtoczył się Vace'owi pod nogi. Vace chciał go przeskoczyć – uderzył w pchnięte przez Madame Florence drzwi. Wypadła z krzywym zębem ułamanej szyby w dłoni, ze szkła skapywała krew McFly'a.

– Rzuć to! – krzyknął odskakujący w tył Vace.

– Co się dzieje, co się dzieje…?! – pytał rozpaczliwie McFly, przecierając rękawem zalane czerwienią okulary.

– Rzuć to!

Ale Madame Florence tylko uniosła szklany nóż wyżej. Czepek z elektrodami przekrzywił się jej na głowie, włosy wystawały spodeń na wszystkie strony. Na twarzy i na szlafroku miała plamy, które Vace postrzegał przez noktowizor kleksami głębokiej czerni, lecz przecież wiedział, czym są w rzeczywistości.

– Harcott…?! Harcott, na miłość boską…?! Doktor nie odpowiadał.

Klempa rzuciła się na Vace'a, porucznik uskoczył.

Tymczasem McFly podniósł się na nogi. Lewą ręką ścierał i strzepywał krew z czoła, prawą pokazał Vace'owi zza pleców Madame Florence: złapię ją od tyłu. Raz, dwa, trzy.

Skoczyli równocześnie. W tym momencie rąbnął gdzieś bardzo blisko piorun, McFly'a oślepiło, wpadł na Vace'a. Klempa zawyła, zamachała szkłem. Vace złapał się za brzuch. McFly z zaciśniętymi powiekami postąpił kilka kroków wstecz. Od upływu krwi zaczynało mu się już kręcić w głowie.

– Na dół, Vace, wezwij pomoc!

– Jeeeeezuu, rozpruła mnie…

– Vace!

McFly uniósł powieki. Madame Florence biegła na niego z wzniesionym zębem brudnego szkła, usta miała wykrzywione w jakiś dziki grymas, oczy wybałuszone. McFly trzasnął ją kantem stopy w krtań, poprawił w kolano, złapał za prawą rękę, złamał, wytrącił z dłoni ułamek szyby. Nieprzytomną kobietę złożył na podłodze. Potem musiał się oprzeć o ścianę, ćmiło mu wzrok. Ktoś płakał. McFly ruszył z powrotem ku schodom. Tu, pod drzwiami sypialni, leżał Vace z jelitami na wierzchu. Obejmował je trzęsącymi się straszliwie rękami, łzy płynęły mu z oczu. McFly spojrzał do wnętrza sypialni. Na

poduszce leżała odcięta głowa Harcotta. Nogi ugięły się pod MacFly'em, klęknął obok Vace'a, który zaczynał już tracić dech. Machinalnie pogłaskał go po twarzy.

– Mój Boże, co to jest, co tu się dzieje, no horror dla ubogich…

Oczywiście nie był to wahadłowiec w ubiegłowiecznym rozumieniu tego słowa – choć pełnił tę samą funkcję -lecz po prostu samolot orbitalny trwale przystosowany do wysokich tras, grubo powyżej pułapu koniecznego dla zawiśnięcia ponad obracającym się globem podczas zwykłych transkontynentalnych lotów pasażerskich. Od godziny gotował się do startu na pasie sąsiadującym z tym, na którym stał teraz boeing, którym przyleciał Czarny.

Podjechali limuzynami pod same schodki, załadowali Czarnego do tylnej kabiny, przypięli do fotela.

Wraz z nim leciał odpowiednio przeszkolony sanitariusz. Nazywał się Timothy Flowers. Posiadał on już niejakie doświadczenie w tej pracy. W rzeczy samej obsługiwał trasę od samego początku.

Kręcąc głową, przeczytał rozkaz, jak zwykle maksymalnie zwięzły. W tym samym locie „JFK" zabierze na dół Numer 4. Widać też nie wytrzymał długo.

Skontrolowawszy stan jedynego poza nim pasażera (mężczyzna był nieprzytomny), Flowers usiadł z westchnieniem na swoim miejscu.

Czarny ocknął się kilka minut po starcie. Nie było już teraz potrzeby faszerowania go środkami nasennymi, a Flowers nie wyczytał w rozkazie takiego zalecenia. Znał procedurę i był przyzwyczajony, więc tylko sprawdził puls Czarnego i zajrzał mu w oczy. Wiedział, że nie musi niczego tłumaczyć.

– Co stałe się czwartemu? – spytał go Czarny.

– Nie wiem – odparł Flowers. Nie było rozkazu utrzymywania tajemnicy przed wynoszonymi. – Śpiączka jakaś. Zawsze to samo. Ściągamy ich z powrotem do Nowego Jorku.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Tim.

– Dziękuję.

– Możesz mi dać coś do przepłukania gardła? – Oczywiście. Proszę.

Ręce miał Czarny przymocowane rzepami do poręczy fotela, lecz podany przez Flowersa pojemnik z sokiem pomarańczowym zawisł usłużnie przed jego twarzą. Byli już na orbicie.

Flowers obserwował pacjenta kątem oka (siedzieli w fotelach po dwóch stronach przejścia, za przepierzeniem oddzielającym kabinę pilotów). Rzeźbiony, nierzeźbiony, Flowers nie potrafił zdecydować. Zazwyczaj byli to ewidentni nierzeźbieni. I zazwyczaj absolutnie spokojni. Jak ten: nic już nie mówił, nic nie robił, aż do przycumowania do Labu 13.

Bo inni mówili, robili – i po części nawet myśleli – za niego; jak zawsze. Timothy Flowers, który miał się nim opiekować, wypełniał swe zadanie samą obecnością.

Numer 5, Numer 5 – tak widział go Flowers, taką etykietą sobie opowiadał. I Czarny automatycznie też zaczął się tak postrzegać: piąty z kolei posyłany do orbitalnego eremu, na stracenie, na komę, na śmierć umysłu. I widział się również anonimowym pasażerem, ludzkim cargo – w oczach pary pilotów „JFK". Jakieś małe zamieszanie w ich dookolnych asocjacjach: pierwotnie mieli go dostarczyć do Labu 9, potem nagle zmieniono destynację. Czarny bez problemu połączył dane z krążących po głowach pilotów i sanitariusza skojarzeń: to z powodu nagłej zapaści Numeru 4. Zwalnia się Lab 13 i tam mnie od razu zainstalują. (Trzynaście, feralna liczba).

Porwali go, wystrzelili w kosmos, zostawią samego w blaszanej puszce otoczonej śmiertelną próżnią – czy się bał? Ależ to wszystko były zamierzenia i działania ludzi, żadna tam klęska żywiołowa, żadna złośliwość natury. A jakże bać się ludzi? Rozpacz – owszem; czarna depresja – jak najbardziej; ale – strach? W istocie nie opuszczało Czarnego delikatne zadziwienie, rodzaj małostkowej ciekawości: spojrzy tu, spojrzy tam, poczeka, zastanowi się… Lubił być zaskakiwany.

Po przycumowaniu i wyrównaniu ciśnień, Flowers odpiął się i popłynął do włazu Labu 13. Czarny oglądał jego oczyma wnętrze habitatu, przypatrywał się pogrążonemu w śpiączce Numerowi 4. Z wyglądu – przeciętny dzikus.

Flowers bardzo ostrożnie odpinał od śpiącego całe medyczne oprzyrządowanie, którym był on opleciony, wyciągał z żył igły, odrywał plastry.

Numer 4 – skonstatował Czarny – sam musiał na siebie to wszystko pozakładać, samemu opiąć sobie ciało owym instrumentarium zdalnej tortury. Nikogo innego wszak tu nie było.

Przeciętny mężczyzna. Śpi? Nawet nie to. Bije odeń cisza spokojnego morza, szmer fal: drobnych i powolnych jak letnia bryza na jeziorze. Odszedł, nie ma go tu.

Flowers przeciągnął bezwładne ciało do środkowej kabiny samolotu. Nogi Czwórki były związane, ręce przymocowane do tułowia, sanitariusz operował ciałem nieprzytomnego niczym plastyczną kukłą. Usadził je, zabezpieczył, podpiął do czujników samolotu.

Potem wrócił do Czarnego. Wyjął i załadował iniektor. Czarny wciąż był przytwierdzony do fotela elastycznymi pasami.

Taka procedura – mruknął doń Flowers, raczej bezmyślnie, bo z pewnością nie była to próba usprawiedliwienia się. – Mógłbyś się rzucać, a tu wszystko delikatne, lepiej nie ryzykować rozróby w zero

gie. Na chwilę zaśniesz, przeniosę cię spokojnie do labu. – Wiem.

Flowers odbezpieczył iniektor, spojrzał przelotnie Czarnemu w oczy.

– Wiem, że wiesz. Wy zawsze wiecie.

2. Nicholas Hunt

Nicholas Hunt spacerował w wiszących ogrodach ponad Nowym Jorkiem. Ogrody kołysały się lekko wraz ze sterowcem, pod którym były podwieszone, nie przyzwyczajeni wizytanci skyhouse'ów nierzadko zapadali podczas silniejszych wiatrów na rodzaj choroby morskiej, opowiadano dowcipy o rzygających przez balustrady na leżące w dole miasto. Hunt był z tych już przyzwyczajonych. Co prawda sam nie mieszkał w owych podniebnych enklawach nadluksusu, ale bywał tu wystarczająco częstym gościem, by oswoić organizm z charakterystyczną dezorientacją błędnika.

Ogrody senatora (drugi podpoziom jego sterowca) posiadały powierzchnię blisko półtora kilometra kwadratowego. Rosły tu głównie rośliny tropikalne, było dużo pnączy, kryjących liczne mechanizmy i filary nośne platformy. W dzień systemy światłowodowych pryzmatów, dwadzieścia metrów wyżej kryjące szczelnie cały sufit podpo-ziomu, zapalały w ogrodach sztuczne słońca. Noc natomiast była prawdziwa.

Ów sufit stanowił zarazem podłogę pierwszego podpo-ziomu, gdzie mieściły się apartamenty i biura senatora, a gdzie teraz trwała feta z okazji uchwalenia promowanej przezeń ustawy o ochronie nieintencjonalnych produktów intelektualnych.

Szanowny Gaspar R. Tito, samozwańczy trybun mieszkańców stanu Nowy Jork; szwagier Nicholasa Hunta. Żelazne łańcuchy skojarzeń i odruchów wywoływały u Hunta lekkie skrzywienie ust na samą myśl o senatorze. Po prawdzie to ani się lubili, ani nienawidzili. Kilka wzajemnych przysług – na zasadzie transakcji handlowej. U Gaspara spotykało się ważnych ludzi, czyniło wartościowe znajomości; prędzej niż na gwiazdę showbusinessu, mogłeś tu wpaść na tajemniczego multimiliardera, którego nazwisko nigdy nie zagościło na łamach „Forbesa".

Mimo to Hunt nie przyszedłby, gdyby nie nalegania siostry. Uczyń, uczyń mi tę przyjemność. No więc uczynił. Imeldę zawsze lubił; teraz także szanował. Pięć lat temu, gdy wektory ich karier posiadały zwroty dokładnie przeciwne aktualnym, to on wybłagał towarzystwo siostry na jednym z półoficjalnych przyjęć w stolicy. Wówczas dzierżył jeszcze berło Prawdziwej Władzy. W czasach przed wygnaniem z raju dwa jego spojrzenia wystarczały, by wzbudzić powszechne zainteresowanie tak wyróżnioną osobą. Nic więc dziwnego, że Imelda zaciekawiła Tito. Jeśli przyjrzeć się sprawie z tej strony, za ów kontrakt małżeński mógł winić tylko siebie. Ale czy istotnie był niezadowolony z senatora w rodzinie?

Chwilami zdawało mu się, że rozmyślając w ten sposób tylko

rozdrapuje stare rany. Częściej jednak podejrzewał siebie o podświadomą perfidię (o, w takich podejrzeniach się lubował!). Że niby zaplanował tę koligację jako zabezpieczenie na taką właśnie okazję, gdy aniołowie ogniści zastąpią mu wejście do Ogrodu i nie będzie ucieczki z krainy potu i błota. Że na podobną okoliczność pozostanie mu przynajmniej substytut: ogrody senatora Tito. W takich podejrzeniach się lubował, za takim sobą tęsknił, takiego siebie chętnie sobie wyobrażał.

Tymczasem w niedostatku autentycznego skurwysyństwa czynił tylko pod nieobecność senatora Tito złe grymasy.

W jego to ogrodach dopadł Nicholasa telefon od Jasa Vassone. Hunt uciekł bowiem z przyjęcia już po kwadransie: to był właśnie jeden z tych przypadków, gdy wręcz fizycznie czuł zżerającą go ambicję. Stanowisko – nie dosyć, że na prowincji (bo prowincją jest wszystko, co leży na zewnątrz waszyngtońskiej obwodnicy), to jeszcze tajne. Jakże miał się im teraz przedstawiać? Wciąż nie potrafił się odnaleźć. Patrzyli i nie widzieli, patrzyli i nie zazdrościli.

Toteż umknął przy pierwszej okazji.

Ogrody były prawie puste, raz tylko spostrzegł cienie Przemykającej między roślinnością pary. Muzykę i głosy słyszał, ale potrafił się przekonać, że tak naprawdę ich nie słyszy, że tylko dżungla, miasto, światła nocy… Gdy odezwał mu się w uchu telefon, Hunt był już całkowicie oczyszczony z miazmatów niespełnionych ambicji.

Tu, w chłodnej ciemności, pośród splątanych cieni, w symfonicznym szumie liści, mówił do swego sygnetu. (Ewolucja środków prywatnej komunikacji, ergonomia samotności: rozmawiamy z samym sobą. Najpierw miniaturyzacja aparatów, potem sieci komórkowe, potem miniaturyzacja aparatów komórkowych, wszechglobalna sieć satelitarna; a potem aparatów dekompozycja i standaryzacja).

– Trzymają ją w szpitalu, na oddziale psychiatrycznym, prosiła…

– Który to szpital?… Dobrze, zaraz się tym zajmiemy. Wyłączył się i wywołał Centralę Zespołu.

– Hunt.

– Checking. Okay.

– Daj Anzelma.

– Anzelm.

– Hunt. Kłopoty z Vassone. Prawdopodobnie siadła na niej animalna.

– Animalna…? Nie mów, naprawdę…?

– Na razie tak to wygląda.

– Przypadek? Nie wierzę. – Ja też nie.

– Żółtki?

– Nie wiem. Nieważne, nie teraz. Oto, co zrobisz… Przekazawszy Preslawny'emu instrukcje, wcisnął agat.

Marina, Marina, że też na ciebie padło…

Podszedł do balustrady, przez mgłę pajęczyn siatki asekuracyjnej spojrzał na Nowy Jork, setki metrów poniżej wrzeszczący w synestetycznej histerii tysiącami jaskrawych świateł. Noc przełamywała się z późnego wieczoru we wczesny ranek, w wiecznie oświetlonych metropoliach świata zachodniego nie istnieją żadne pory pośrednie. Zerknął na zegarek. Po trzeciej. Numer 5 już powinien znajdować się w Labie. Gdzie rzeczy z jego domu? Gonią właśnie północ nad Atlantykiem. Kto zrobi mu profil psychologiczny, skoro Vassone zaklajstrowało mózg?

Sygnał. Odebrał. – Hunt.

– Informacja od ekipy McFly`a. Kontakt potwierdzony, kontakt powierdzony. Wyjściowo: pierwsza kategoria. Straty w ludziach: dwóch z ekipy. Łącznik ranny, McFly ranny. Prośba o pomoc. Wysłaliśmy.

– Co z zapisem?

– Nie wiadomo. Ale to i tak bardzo dużo: minimalna wrażliwość wystarcza. Zyskaliśmy dowód, iż Wojny Monadalne są możliwe.

– Historia spirytyzmu pełna jest takich dowodów. Dajcie znać, gdy się wyjaśni sprawa z tym zapisem.

Rozłączył się.

Straty, straty, straty. Jaka procedura byłaby absolutnie bezpieczna? Czy w ogóle istnieje takowa? Wątpliwe. Oparł się o poręcz, zapatrzył na wełniście rozmyte światła miasta. Ba, żeby to byli Obcy! – zaśmiał się w duchu. Żeby to byli ci poczciwi Obcy: jakieś pająki, jakieś ośmiornice, kolorowe kur dupie, myślące planety, cokolwiek z hollywoodzkiej menażerii superdziwactw – ale materialne, namacalne, doświadczalne zwykłymi zmysłami! A tu co? Duchy, zjawy, omamy, abstrakcje. W cholerę z tym. To już te kwarki interpolowane z błysków w komorach próżniowych są bardziej realne. Zawszeć to coś przynależącego do naszej rzeczywistości: sami przecież też składamy się z kwarków.

Oszaleć można. Och, mój Boże, z jaką przyjemnością bym się upił! Kilka godzin wolnego. Hunt zalany. Pójść tak do Centrali. A dajmy ludziom poplotkować.

Ale nawet kroku nie zrobił. Tylko garbił się coraz mocniej, coraz bardziej pochylał nad miastem. Marina, kto by pomyślał… Że też akurat na ciebie padło. Czy rzeczywiście Chińczycy…? Cóż, pokój to wojna, wojna to biznes, a biznesem jest wszystko.

Nowy Jork, megapolia, dziesiątki milionów ludzi, dziesiątki milionów umysłów, śpią lub nie; żyją, myślą. Co tam rośnie? No co takiego rośnie na tej kupie gorącego nawozu?

Skontaktowała się z nim właśnie przez senatora Tito. Wtedy nie nazywało się to jeszcze Zespołem Hunta, nie było nawet Programu Kontakt. Zajmowali pół piętra w budynku waszyngtońskiej filii NSA. Większość powierzchni pomieszczeń i tak zagarnęły superkomputery post-PDP mielące swymi quasigenowymi algorytmami terabajtowe pakiety DNAM milionów obywateli USA. Hunt kierował kilkunastoosobowym zespołem informatyków i techników, na pół etatu miał zaś dwóch zaprzysiężonych genetyków, którzy w ten sposób dorabiali sobie do uniwersyteckich pensji. No i zdalnie – Krasnowa; Krasnow był od samego początku. Niesamowita kreatura. Nierzeźbiony starzec o ambicji nastolatka. Stanowił klasyczny przykład dożywotniej pijawki budżetowej, gatunku występującego bodaj endemicznie na terenie Dystryktu Kolumbia. Tytułował się profesorem. Jak to naprawdę było z jego tytułami naukowymi, sam już chyba nie wiedział, zagubiony w gąszczu swych konfabulacji i po prostu łgarstw. Co się tyczy specjalizacji, to specjalizował się Krasnow w tym, co aktualnie było na fali. Swego czasu odoił parę fundacji na dobre kilkadziesiąt milionów z przeznaczeniem na badania nad sztuczną inteligencją. Przez pół dekady sam rozporządzał podobnymi sumami, wkręciwszy się do kolejnej reinkarnacji programu Gwiezdnych Wojen, którego duch nawiedzać będzie Pentagon chyba aż po kres jego istnienia. Nazwisko Krasnowa pojawiało się również w kontekście badań nad szczepionką na ostatnią mutację HIV, nanotechnologią, łączami neuronalno-elektronicznymi, bionanotechnologią, analogami hormonów, pikotechnologią, Bóg wie, czym jeszcze. W świecie oficjalnej nauki nie był znany prawie wcale – lecz tu, w Krainach Cienia, wysokość współczynnika cytowań pozostaje zazwyczaj odwrotnie proporcjonalna do sumy rocznych dotacji. Spłodzony ostatnio przez Krasnowa elaborat pod tytułem „Chaos Genowy: dynamika Amerykańskiego Genomu" zapewnił mu ciepłą posadkę, znaczną pensyjkę i, co najważniejsze, wcale wysokie miejsce w hierarchii jemu podobnych roninów nauki – na co najmniej rok, potencjalnie zaś i lat pięć, bo Krasnow w Hacjendzie zabrał się od razu do pichcenia rezolucji głoszącej konieczność rozszerzenia badań na całość ziemskiej populacji.

Finansował to Departament Obrony i z tego też powodu trafił tam Hunt. O jedną chybioną salonową intrygę za dużo (tak lubił o tym myśleć) – i już: odstawka. Gdy wynosił swoje rzeczy ze starego gabinetu, przechwycił kilka suchych uśmieszków członków personelu: widzicie te krwawe kikuty? to otwarte złamanie kariery, nieuleczalne.

De facto był martwy; i czuł się jak zombie. Stanowisko w rodzaju kierownika wykonawczego programu typu Krasnowego – to, bądźmy szczerzy, jest już przejaw życia pośmiertnego waszyngtońskich maklerów politycznych. Czas tu zwalnia, świat prawdziwy, świat

władzy i pieniędzy – odpływa, oddala się poza zasięg ręki i wzroku. Trzydziestokilkuletni starcy spotykają się w barach podczas przydługich przerw na lunch i, nigdzie się już nie spiesząc, dzielą się wspomnieniami z przedwcześnie a tragicznie zakończonych żywotów.

Vassone zadzwoniła do Tito, Tito zadzwonił do Hunta.

– Jest taka jedna, już wcześniej robiła coś dla rządu, Vassone, Marina S. Vassone, prosiła mnie, rozumiesz, przysługa, czy byłbyś, Nicholas, tak uprzejmy i…

– A o czym ona wie? Ma w ogóle dostęp?

– Ma, ma, tym się nie przejmuj. Zdaje się, że po prostu trafiła na jakieś odnośniki do tego, czym się tam teraz zajmujecie, cokolwiek by to było, bo, pojmujesz, ja się nie orientuję, powtarzam tylko po niej, otóż ona też się stara o forsę na jakieś badania i częściowo się chyba pokrywacie, to znaczy, czy ja wiem, w każdym razie chodzi o to, żeby mogła zajrzeć w szczegóły, FBI ją prześwietlało, twoja dobra wola, wiszę przysługę ludziom, którzy dłużni byli jej, rozumiesz…

– Okay, co mi tam, daj mi jej namiary.

Nie chciała przez telefon, przyjechała osobiście. Już to dwuznacznie wskazywało na stopień poufności tematu.

Hunt przyjął jaw swym nowym gabinecie, w istocie nędznej klitce. Przez ściany słychać było niski pomruk systemów chłodzących pracujące bez odpoczynku superkomputery NSA. Hunt był nawet zadowolony z tej wizytystanowiącej spore urozmaicenie w codziennej nudzie jego pozorowanej pracy. A poza tą pracą wszak też nie najlepiej: Charlotte znalazła sobie nowego tygrysa; matka znowu na odwyku; akcje, w których umoczył ponad połowę oszczędności, wytrwale idą w dół, a on ich nie sprzeda, bo gdyby się po tej ich ratunkowej wyprzedaży jakimś cudem odbiły, nie wytrzymałby już nerwowo. Doszło do tego, że – w ucieczce przed depresją – zaczął na służbowym terminalu pisać mroczny, przesycony alkoholowym cynizmem, polityczny thriller, którego główny bohater był medalowym okazem młodej waszyngtońskiej świni, zły aż po spirale swego DNA, i któremu wszystko się udawało wręcz nieprzyzwoicie, bo nie liczył się z nikim i z niczym. Gdzieś przy czwartym rozdziale Hunt spostrzegł się, iż darzy tę postać mimowolną a wciąż rosnącą sympatią, przenosząc na nią coraz więcej swych cech. Zadzwonił do psychoanalityka on-line. Psychoanalityk poradził mu pisać dalej, a w finale zniszczyć i upokorzyć swego mrocznego bliźniaka. Hunt, posługując się frazeologią swego powieściowego bohatera, nabluzgał potwornie w sygnet. Potem skasował z kryształów swe dzieło. Na to przyjechała Marina Vassone.

Nieskazitelna uroda rzeźbionej oznajmiała wiek kobiety pomimo braku oznak starzenia: czterdzieści lat, może kilka mniej, może kilka więcej. Genetyczne mody są bowiem nieodwracalne. Ostatnie

pokolenie (a raczej przedostatnie, bo decyzja należy przecież zawsze do rodziców) hołdowało już innym ideałom piękna: twarzom asymetrycznym, aproporcjonalności i pozornej dysharmonii ich elementów, indywidualnym, charakterystycznym rysom projektowanym przez drogo opłacanych pomocników genetic sculptors, artystów w sztuce designu ciał niepoczętych. Rodzice Mariny poddali się natomiast modzie ich własnych czasów i stąd komputerowa doskonałość sylwetki i oblicza kobiety: czaszka zgoła egipska, łuki brwiowe niczym pociągnięte japońskim tuszem, witrażowa jasność włosów i oczu. W garniturze z czarnego polijedwabiu, o szerokich rękawach i nogawkach z wysokim rozcięciem, wyglądała zdecydowanie na bizneswoman czy prawniczkę, nie zaś naukowca, takiego, jakim wzorcowo malował go sobie Hunt – stanowiła fizyczne przeciwieństwo abnegata Krasnowa.

– Rozumiem, że interesuje się pani prowadzonymi przez nas pracami jak najbardziej zawodowo – rzekł Hunt włączywszy pospiesznie mikrofony i kamery ubezpieczenia prawnego, zamroziwszy twarz w bezwyrazową maskę i odprawiwszy rytuały powitania podług reguł NEti. – Tymczasem pokazało mi tu, że jest pani z wykształcenia neurofizjologiem, cokolwiek by to w istocie miało znaczyć. Profesor na Bostońskim, Departament Kognitywistyki i Systemów Neuralnych, Centrum Systemów Adaptatywnych. Mhm, pisze mi tu także: psychiatria, matematyka… Ta matematyka – to skąd?

– Sieci neuronowe – odparła lakonicznie. – Analogi mózgu.

– Tak czy owak, co to ma wspólnego z nami? Czytała pani „Chaos Genowy" Krasnowa?

– Tak. Właśnie dlatego. Chcę wykorzystać wasze banki danych do wyszukania osób o DNAM o pewnych specyficznych parametrach.

– Żeby tak być całkowicie szczerym, to jest to właściwie nielegalne.

– Dlatego przyszłam tutaj, a nie do Departamentu Zdrowia.

No cóż. Zasadniczo upoważniona pani jest. Ale proszę zdać sobie sprawę, że sama wiedza nic pani nie da, bo dla jej wykorzystania czy ogłoszenia gdziekolwiek na zewnątrz tych murów potrzebować pani będzie wysokiego, oficjalnego błogosławieństwa, dobre słowo od senatora Titp z pewnością nie wystarczy.

– Kiedy już to znajdę, pobłogosławią mi wszyscy.

– A co to właściwie jest?

– A mam pana zgodę?

– Tak, tak.

Potrzebuję waszych komputerów do interpolacji DNA telepaty i szerokiego przesiania populacji przez sprofilowany według tego filtr.

– Telepaty? – zaśmiał się Hunt.

– Biernego.

– Żartuje pani.

– Tak, oczywiście. Może mi pan wypisać papierek? Chciałabym ruszyć z tym już dzisiaj.

– Pani doktor, ja nie mogę opóźniać programu, angażując nasze moce obliczeniowe dla podobnych głupot.

– Pół procenta? Promil? Ile pan straci, parę godzin?

– Na taką zabawę w science fiction? Kwadrans zbyt wiele. Żywcem obdarliby mnie ze skóry.

– Na początku wszystko jest jedynie science fiction. Mogę przedstawić dowody. Mam setki godzin filmu z niepodważalnymi eksperymentami.

– Wszystko da się podważyć. Jeśli to faktycznie telepatia, trzeba było z tym pójść prosto do Langley, Fortu Meade czy Pentagonu, przyjęliby tych złodziei myśli z otwartymi ramionami.

– Ale ja nie chcę ich wyszukać, żeby potem prześwietlali chińskich dyplomatów albo gonili za podwójnymi agentami.

– A po co?

– Oni znajdą mi Boga.

Czarny obudził się i poczuł ciszę. Pustka huczała dookoła niego. Ani śladu myśli. Ciało informowało go o nieważkości. Kosmos. Sam na sam. Po raz pierwszy bez odbić, bez zanieczyszczeń – cudzych fizjologii, cudzych psychik. Wy zawsze wiecie. Leżał w bezruchu, jak sparaliżowany, nie otwierając oczu. Zaplanowane, zaplanowane, wszystko zaplanowane. Miejsce idealnego odosobnienia, dla mnie i takich jak ja. Numer 5. Czterech moich poprzedników sprowadzono tu do poziomu roślin.

Uniósł powieki i zobaczył na własne oczy, co wcześniej widział przez mgłę peryferyjnych doznań i myśli Flowersa. Habitat był wielkości dwóch przedziałów pociągu. Dwa małe, okrągłe okienka w przeciwległych ścianach. A ściany do ostatniego centymetra zabudowane. U góry, nad łóżkiem – rozległa tapeta ekranu z miniLEDów.

Ledwo Czarny zdążył po przebudzeniu zamrugać -bluzgnęło mu w oczy obliczem uśmiechniętego uprzejmie mężczyzny. Rzeźbiony z półtora pokolenia wstecz, skonstatował Czarny. Wzorzec indiańsko-kreolski a la Hollywood, choć rysy bardziej ostre i cera złotawa, i wąsy czarne, zupełnie nie pasujące do aktualnego telewizyjnego ideału.

– To jest nagranie – rzekł mężczyzna z ekranu. Ukryte głośniki wypełniły habitat jego spokojnym głosem. -Nazywam się Nicholas Hunt. Proszę się uspokoić, nic panu nie grozi. W istocie osobiście odpowiadam za pańskie bezpieczeństwo i w ramach moich możliwości

postaram się zapewnić panu warunki maksymalnie komfortowe. Nie mogę zaprzeczyć, że został pan porwany. Jednak i to jest w pełni usprawiedliwione troską o pańskie bezpieczeństwo. Nie jest naszym zamiarem wyrządzenie panu krzywdy. Nie wiem, przez jaki czas będzie pan musiał pozostawać w tej orbitalnej placówce. W każdym razie niewielu ludzi może sobie pozwolić na podobne wycieczki; wszystko ma swoje dobre strony – Hunt uśmiechnął się szerzej, pokazując śnieżnobiałe zęby. – Wkrótce się z panem skontaktujemy w celu przedyskutowania szczegółów naszej współpracy. Wszelkie informacje dotyczące habitatu i jego wyposażenia może pan uzyskać bezpośrednio z kompa labu, wychodząc od menu, które za chwilę pan ujrzy. Ekran jest sensoryczny. Proszę się nie obawiać: prowadzimy ciągły monitoring i na wszystko mamy baczenie. W sytuacji alarmowej wszakże może się pan połączyć z oficerem dyżurnym, korzystając z opcji HELP2 lub po prostu wypowiadając na głos takie życzenie. Jeszcze raz: przepraszamy i zapewniamy o pańskim całkowitym bezpieczeństwie. Tymczasem proszę się zapoznać ze swoim nowym domem. Koniec.

Twarz zniknęła, ekran pokrył się mozaiką mniejszych i większych ikon.

– Chcę rozmawiać z oficerem dyżurnym – powiedział Czarny.

W lewym górnym rogu zaczęła się obracać mała Ziemia z nałożonymi słuchawkami.

– Dyżurny – odezwały się głośniki.

– Tylko fonia?

– Niestety. W czym mogę pomóc?

– Czy jestem o coś oskarżony?

– Nie. Nie reprezentujemy wymiaru sprawiedliwości.

– A co lub kogo reprezentujecie?

– Przecież pan wie.

– Tak. Rozumiem, że nie mogę się z nikim skontaktować, ani przesłać żadnej wiadomości.

– Nie może pan.

– To o wypadku mojego ojca – to było kłamstwo?

– Tak. Przykro mi, nie było innego sposobu na ściągnięcie pana do Stanów.

– Czego ode mnie chcecie?

– To nie należy do moich kompetencji.

– A gdybym popełnił samobójstwo?

– Proszę spróbować. – Gaz?

– Między innymi.

– To jest afera na skalę międzynarodową. Nigdy mnie nie wypuścicie.

– To nie należy do moich kompetencji.

– Czy ja rozmawiam z żywym człowiekiem, czy z turingówką?

– Z żywym człowiekiem, proszę pana.

– O co chodzi z tym „usprawiedliwieniem troską o moje bezpieczeństwo"?

– Pan Hunt panu wytłumaczy.

– Kiedy?

– Wkrótce.

– Macie mnie tam na ciągłym podglądzie i podsłuchu?

– Tak.

– Numer czwarty też mieliście?

– Tak.

– Co mu się stało?

– To nie należy do moich kompetencji.

– Dziękuję.

Globus ze słuchawkami zniknął.

Czarny ostrożnie usiadł na łóżku. W samolocie orbitalnym jakoś tego nie odczuwał, ale teraz mroczyło mu wzrok aż do zupełnego chwilowego wyciemnienia. Krew uderzała falami do głowy. Na szczęście nie rzygał, przynajmniej tyle. Odnalazł wzrokiem zainstalowane w ścianach liczne uchwyty. Kosmonautom na filmach jakoś nigdy nie były potrzebne, zawisali sobie w bezruchu jakby samą siłą woli. Czarnemu zabrało pół minuty ustawienie się „nad" bulajem. Niewiele zobaczył. Krzyknął na światło. Zgasło. Przytknął nos do plastiku. Tak, tak, to prawda: tam w dole obracała się planeta. Błękit oceanu, biel chmur, brudna żółć kontynentu. Słońce w takim razie musiał mieć za plecami, terminator w nadirze, zbyt ostry kąt, drugiego też nie widać, za nisko. W habitacie panowała cisza, tylko własny oddech szumiał mu w uszach. Minuty mijały, a on patrzył i patrzył, nawet nie mrugając. Kiedyś w ten sposób zahipnotyzowany został przez ruch fal morskich, przesiedział na plaży pół dnia, w ogóle nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Ale to teraz – to jest jeszcze potężniejsze. Oczy, przyzwyczajone do upośledzenia bielmem powietrza, kłamliwie zapewniają Czarnego o bliskości Ziemi: kilka kilometrów, tuż-tuż. A to nieprawda. Obejmuje wszak wzrokiem prawie całą półkulę, nie musi nawet kręcić głową. Jak to mówią na owych filmach? Wysoka grzęda.

Spokój, spokój, spokój, spokój spokój spokój… Obracaj swą mantrę w umyśle, aż wymiecie zeń wszystko inne i pozostanie tylko wyrugowana z sensu zbitka dźwięków. Umysł jak jezioro. Umysł jak wiatr nad polami. Umysł jak niebo błękitne. Jak próżnia kosmosu.

…wszystkie moje konie, Alabaster, Wiedźma, co z wami, gdzie jesteście…

Jakie, do cholery, konie?! „Konie" – inkluzja podstępna, nic innego…! Znowu chwycił go strach. To nie do wytrzymania, zszarpie

sobie tu nerwy na strzępy – a jeszcze nawet nie rozmawiał z tym Huntem.

Skonsultował się przez tapetę ekranową z kompem habitatu, przylepił sobie do ramienia końcówkę injektora, po czym zaordynował silny środek nasenny.

Aż mu się niedobrze zrobiło od tego świetlistego ogromu rozciągniętego pod siatką i musiał usiąść na ogrodowej ławce. Był przyzwyczajony do buntu fizjologii, lecz nie – buntu wyobraźni. Miasto go przeraziło. Nie chciał patrzeć, skojarzenia przytłaczały.

Wrócił na górę. Przyjęcie tempem i nastrojem wchodziło właśnie w klimaty ciężko bluesowe. Wymienił kilka zdawkowych formułek i pożegnał się z siostrą i szwagrem. Kamerdyner przy drzwiach męskiej windy oddał mu płaszcz.

Poczekalnia wind cała była w lustrach. Hunt czterofasetowy. Gdzie się nie obejrzy – on, on, on. Może nie był postacią imponującą, ale na pewno wywierał wrażenie. Ciało i ciała tego oprawa, ubiór ze wszystkimi dodatkami – zaprojektowano je z identyczną dbałością o szczegóły oraz ostateczny wygląd całości. Kompozycja w pełni harmoniczna, ujmująca jakąś wyciszoną, naturalną elegancją. A nosił je w taki sposób, że prawie każda osoba bezpośrednio, fizycznie z nim skonfrontowana – automatycznie popadała w formy poddańcze i zaczynała się zachowywać niczym średniowieczny lennik. No, bez przesady. Niemniej uosabiał arystokrację tych czasów, tę prawdziwą: nie dziedziczną, nie opartą na tradycji, wiedzy, ani nawet pieniądzu – lecz miejscu zajmowanym w strukturze przepływu informacji.

Oczywiście, w rzeczywistości już do niej nie należał i obraz był fałszywy. Spoglądał sobie w oczy i opuszczał wzrok.

Ale jednak: wyprostowany, głowa wysoko, ramiona do tyłu, ręce symetrycznie za plecami, wysunięta do przodu noga ugięta lekko w manierze rzymskich imperatorów. Kruczoczarne włosy w lustrach prawie lśnią, mocno ściągnięte i splecione w krótki warkoczyk. Sztywny halsztuk wypiętrza się białą falą na purpurową marynarkę, pośrodku fioletowy hieroglif: logo jurydykatora. Czarne spodnie, białe tabi: proste linie i proste barwy. Śnieżne koronki eksplodują spod rękawów. Na wymanikiurowanych palcach jedyna biżuteria: sygnet Sony z kociookim agatem. Wszystkie tkaniny w widoczny sposób naturalne, żadnej monoprzędzy. Kiedy się porusza, słychać ich szelest. A porusza się zawsze energicznie, z onieśmielającym zdecydowaniem (to też jest po części wrodzone, a po części wytrenowane). Jest przystojny, ale tak przystojni są tu wszyscy. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do siebie pod wąsem, i przez tę chwilę było w nim także coś z filmowego łotra.

Monostrunówką spadł na dach WTC (na szczęście jej kabina

pozbawiona była okien), tu przesiadł się do drugiej, wewnętrznej windy i spłynął bezpośrednio na poziom garaży. Ktoś właśnie przyjechał razem z psem, małym, jazgotliwym kundelkiem. Bydlę małe, a zaciekłe jęło z czystej złośliwości oszczekiwać Nicholasa i ten w końcu się wściekł i odwrócił, gotów je skopać na betonową ścianę; lecz pół sekundy wcześniej kundel podkulił ogon i uciekł do swego pana.

Wreszcie podtoczył się wezwany samochód.

– Centrala – powiedział mu Hunt wsiadłszy.

– Tak jest, Centrala, już jedziemy, sir – i faktycznie, już jechali.

Hunt spolaryzował szyby i wywołał na przedniej serwis CNN-u, sprofilowany dla niego przez osobisty program filtracyjny. W newsach pod „Ogólne" rzucała się w oczy informacja o jakiejś tragedii w południowym Meksyku, wiele trupów. Znowu reinkarnacja Trockiego? – zaciekawił się Nicholas i wywołał info. W etykiecie było o sekcie. Mord rytualny? Ale nie. Sekta należała do gatunku apokaliptycznych, tych, co to: wodzu miał objawienie, nawiedzili go mali zieloni, i teraz zbiera naród wybrany dla wypełnienia kosmicznej arki. Zazwyczaj okazuje się, że arka zabierze tylko dusze – więc odcinają ciała. Na to wyglądało i w tym przypadku: pewnej nocy zaczęli się wieszać i strzelać sobie w łeb. Sto czterdzieści trupów. Pierwsze linki prowadziły do tylko odrobinę mniej krwawej rzeźni w podalpejskiej willi w Szwajcarii: ciała rozczłonkowane, czerwień na śniegu…

Odkąd Hunt pamiętał, od dzieciństwa, bez przerwy słyszał o podobnych wypadkach. Wychowywał się w przeświadczeniu, iż świat jest ze swej istoty szalony i tylko gdzieniegdzie trafić w nim można na oazy zdrowego rozsądku. Co więcej: postrzegał rzeczywistość jako konglomerat ożywionych i nieożywionych elementów, pozostających w bezustannym a bezcelowym ruchu, bo targanych siłami, które znajdują się całkowicie poza tych elementów kontrolą i zrozumieniem.

Podążając w głąb i w głąb wirtualnych bibliotek (które mają to do siebie, że za każdym przyswojonym tekstem otwierają drogę do dziesięciu dalszych, jeszcze ciekawszych), śledził był młody Hunt, niczym na puszczonym wstecz poklatkowym filmie, proces dezintegracji rzeczywistości.

Chaos zaczął brać górę nad porządkiem wraz z końcem zimnej wojny – bo zimna wojna stanowiła mimo wszystko jakiś schemat, a gdy przestał być on adekwatny, nie znaleziono na to miejsce nowego. Przełożenie z perspektywy historiozoficznej na egzystencjalną było prawie natychmiastowe: jak gdyby nacelowane wzajem na siebie rakiety z głowicami jądrowymi nadawały sens życiu każdego przeciętnego obywatela z obu stron Kurtyny! Czaił się w tym brudny absurd, niemniej koincydencja była w oczach Hunta niepodważalna.

Od owego punktu rozprzęgnięcia kolejne elementy postrzeganego

świata wymykały się, jeden po drugim, zrozumieniu, opisowi i celowej analizie. Coraz trudniej było rzec, dlaczego i po co dzieje się, co się dzieje; a co gorsza – w ogóle co takiego się właściwie dzieje. Człowiek włączał telewizor i mógł tylko oglądać kalejdoskopy kolorowych reportaży z miejsc szaleństwa, słuchać oficjalnych oświadczeń i histerycznych zaklęć. Powiązanie ich ze sobą, wytyczenie jakiegoś kursu, sięgnięcie wstecz ku korzeniom, jasne nazwanie – pozostawało już poza jego możliwościami. Postawą dominującą stawała się więc postawa bezrefleksyjnej akceptacji, jako jedyna gwarantująca jaki taki spokój psychiczny.

Nie chodzi o to, że ludzie nagle stracili cel życia albo też dopadł ich ból istnienia. Hunt nie żywił złudzeń co do natury ludzkiej – tak czy owak przeważająca większość żyje jeno siłą inercji, a mąk wegetacji doświadcza co najwyżej w postaci porannego kaca, depresji postkoitalnej lub wizyt u dentysty. Lecz utraciwszy poczucie przynależności, uczestnictwa, pozbawieni imaginacyjnego aparatu dla tłumaczeń dookolnej rzeczywistości, przestali ludzie, każdy z osobna, odgrywać w niej jakąkolwiek rolę, choćby negatywną. Świat, historia, życie – wybuchały obok, i były to dzikie żywioły, o których człek potrafił rzec tyle, co jego włochaty przodek sprzed tysięcy lat o piorunie zapalającym sąsiednie drzewo.

Teraz zaś już nie było dnia bez informacji, z kraju lub ze świata, o jakimś kolejnym zbiorowym szaleństwie. Tych poniżej tuzina trupów w ogóle już nie dołączano do standardowych serwisów, chyba że były wyjątkowo malownicze zdjęcia.

Co to się dzieje, dumał Hunt, podczas gdy na wyciemnionej przedniej szybie BMW migotały kadry relacji z konferencji prasowej Południowoamerykańskiego Kartelu Drzewnego, na której jego zarząd dyplomatycznymi słowy de facto wypowiadał Holdingowi Syberyjskiemu średnioterminową wojnę; co to się dzieje, że ludziom coraz mniej waży ich życie? Przecież to nie tylko te samobójstwa, irracjonalizm szerzy się jak zaraza. Czy cywilizacja może zapaść na chorobę psychiczną? I jaka kuracja byłaby w takiej sytuacji dla niej odpowiednia?

Telefon, drugi priorytet. Strzelił sygnetem.

– Anzelm. Dostaliśmy szkic projektu budżetu na przyszły rok. Sto procent spod Korpusu, przesunięcie bez rekompensaty.

– Cholera.

No. Pożerają nas.

– Kleist?

Kleist, Fortzhauser, ktoś z tej paczki. A-aaa…

– Co?

Nic, spać mi się chce, nerwową noc mieliśmy, Hunt przewinął w myśli listę wasali oraz spadających suwerenów. Wybrał Oiola. O ile

wiedział, miał u niego najwyższy priorytet.

Oiol najwyraźniej też nie spał. -Hunt. Kto wszedł do podkomisji?

– Której?

– Naszej, a której?

– A co?

– Czy mi się wydaje, czy Bronstein faktycznie coś słabuje? Wypuszczają nas z rąk.

– Naprawdę?

– Nie słyszałeś o budżecie? Uzależniają nas od EDC. Od kiedy to prezydenci dobrowolnie rezygnują z drugich kadencji?

– Hę hę, może właśnie dlatego. Zrzuca zbędny balast.

– Ale mantryków bierzecie. Więc jak to jest?

– Nie wiem. To chyba Krutsch, on jest McManamary.

– Ale przecież McManamara to emeryci!

– Już nie. Na dzień dobry pójdzie w CNN wywiad, senator pochyla się z troską nad młodzieżą i następnymi pokoleniami Amerykanów.

– Psiakrew. To ile to będzie?

– Troje na troje, ale Szczurek jest proenklawistyczny.

– Tuzin bogów i wszyscy ślepi.

Zakończywszy tym sarkastycznym słowomemem z „Hunów", połączył się Hunt z kolei z niejakim Gonzalesem Redem, ksywa Flak, który był głównym saperem memetycznym „Washington Post".

Flak spał; ale Flak wisiał Huntowi tyle przysług, że pora dnia nie miała tu znaczenia.

– Ofensywa McManamary – rzucił Nicholas. – Kto to robi?

– Brodsky and Brodsky Adv. – odparł szybko Red. -Dobre są, sukinsyny.

– Wiem, sam noszę wąsy.

– Rzeczywiście. Ostatnio robili jeszcze współczucie dla imigrantów i kilka narkofajek dla dzikusów, wiesz, białe anioły. Łamię ich – pochwalił się.

– To dobrze. Jak mocno?

– Będzie wstępniak. A co ty myślisz? Co tydzień mamy wkładki z jakiegoś funduszu.

– Pójdziesz na Krutscha.

– Krutsch, Krutsch… Już chwytam! Na czym on płynie?

– Zwolnienia podatkowe z dochodów z inwestycji. Ale na dniach wykona nagły przeskok. Strącisz go w locie.

– Spróbujemy.

– Strącisz go w locie, Flak.

Polityczne aikido nakazuje zawsze wykorzystywać cudzy impet, a kto będzie najmocniej bil w McManamarę, jeśli nie prezydenckie kolobbies, Radick i emeryci? Huntowi pozostało tam jeszcze

wystarczająco dużo znajomych.

Zadzwonił do prezesa Bezpiecznej Starości. Pięć minut zajęło mu przebijanie się przez program sekretaryjny.

– Nicholas Hunt. Pani mnie pamięta?

– Owszem.

– Wie pani o McManamarze.

– Tak.

– Kiedy będzie składała mu pani propozycję… proszę napomknąć o czarnych orchideach.

– Czarne orchidee.

– Tak. Można mnie sprawdzić. Bronstein, Krutsch. Mam powody. Niewiele pani ryzykuje. Proszę spróbować. Powodzenia.

– Dziękuję.

Przyszło mu coś do głowy i ponownie zadzwonił do Oiola.

– Słuchaj, jeśli to jednak przejdzie, zasugeruj naszym wyrównanie reguł. Dlaczego tylko my? A taki Krasnow? Masz pojęcie, ile żrą Suche Źródła? I jak popieprzone ma on struktury finansowania?

– Ha, dobra myśl.

Liczył na to, że Krasnow jest silniejszy. Jeśli idziesz na dno, wczepiaj się w co tylko możesz. A coś nie wierzył, żeby Krasnow miał nagle zatonąć.

Hunt dotąd spotkał się ze starcem wszystkiego dwa razy, lecz to wystarczyło, by Rosjanin wżarł mu się na stałe w pamięć i strukturę skojarzeń. O, Krasnow to była figura, Krasnow to była legenda! On miał nosa, posiadał owo charakterystyczne wyczucie rodzących się właśnie w nauce trendów – tej umiejętności nikt mu nie odmawiał. Wszelako wydawało się, iż była to jedyna jego prawdziwie wybitna cecha i całość „sukcesów" Krasnowa należało przypisać po prostu jego nienasycalnej ambicji.

Nie inaczej w przypadku ostatniego projektu starego „profesora" (o ile Hunt wiedział, Krasnow nigdy nie miał stałego etatu na żadnym z uniwersytetów). Wystosowane przezeń półtajne memorandum, zatytułowane pompatycznie: „Chaos Genowy: dynamika Amerykańskiego Genomu", stanowiło nie więcej niż zbiór pytań i niezsyntetyzowanych informacji z różnych dziedzin, co splotły się w umyśle Krasnowa w zalążek nowej teorii. Nowej jak nowej: Hunt postrzegał ją raczej jako ciąg wyekstremalizowanych truizmów. Ale Krasnow wiedział, jak pisać, by wystarczająco zaniepokoić rządzących biurokratów, umiał w swych artykułach łączyć pozory naukowego obiektywizmu z patetyzmem telewizyjnych wieszczów kresu cywilizacji – i to chwytało. Resztę, czyli właściwą pracę umysłową, wykonywali zań inni. Aktualnie teoria Chaosu Genowego prezentowała się jako w dziewięćdziesięciu pięciu procentach dzieło grupy płatnych konsultantów zatrudnionych na początku istnienia

Programu przez Hunta -wówczas (kiedy to było, zdumiał się w duchu Nicholas, przecież nawet jeszcze rok nie minął!) był to zupełnie inny Program. Lecz nikt nie miał wątpliwości, iż rzecz zapamiętana zostanie jako „teoria Krasnowa".

Autoewolucja, pisał Krasnow, jest to kreacja genetycznej przyszłości gatunku przez jego przedstawicieli. Zaczęto powszechnie używać tego terminu po komercjalizacji technologii „rzeźbienia" DNA planowanego dziecka. Całkowicie błędnie.

Otóż aby móc mówić o jakiejkolwiek ewolucji, musi zachodzić ciągły proces dziedziczenia, a tu z niczym podobnym nie mamy do czynienia, bo genetyczne rzeźbienie nie ogranicza się do jednego pokolenia, lecz dotyczy w równym stopniu całej rozciągniętej wzdłuż osi czasu linii „potomków". Gdyby jeszcze rzeźbiarze dokonywali swych operacji na DNA faktycznie pochodzącym od rodziców, dziedziczono by przynajmniej introny. Ale firmy genetic sculptors mają swoje – identyczne dla wszystkich klientów – genomy ramowe, od których zawsze rozpoczynają proces komputerowego doboru dezoksyrybonukleotydów. Nic zatem, dosłownie nic nie przechodzi z matki i ojca na ich" dziecko, nawet kody mitochondrialne. Ewolucja gatunku została ucięta niczym lancetem, dalej już tylko ewolucja mód.

Po drugie zaś – i tu Krasnow docierał do źródła zagrożenia/szansy – owo cięcie było „nieczyste". Żeby ono faktycznie dotyczyło całego gatunku…! Ale nie dotyczy. Dżdżownica światowej ekonomii rozciąga się i rozciąga -my tu biedzimy się nad genetycznymi modami, a w sercu Afryki wciąż mordują się kałasznikowami, dzidami, maczetami i mnożą zgodnie z plemienną tradycją, po dwunastu z jednej matki, umiera dziesięciu, Darwin w zenicie, czysty żywioł. Samo w sobie z genetycznego punktu widzenia nie jest to nic złego, wręcz przeciwnie, to stan naturalny, tak było przez tysiąclecia i tak być powinno, nie z tego powodu kłopot. I nie kłopot z powodu rzeźbienia jako takiego, bo gdyby było ono obligatoryjne dla każdego mieszkańca Ziemi – również nie stanowiłoby żadnego zagrożenia. Problem natomiast powstaje z pomieszania obu tych systemów, ich równoczesnego funkcjonowania w blisko ośmiomiliardowej populacji – przy czym swym genomem manipuluje zaledwie osiem jej procent.

Powiedzmy sobie jasno – grzmiał Krasnow – fakt, że rozpisaliśmy DNA Homo sapiens na grupy genów podług ich embriogenetycznych funkcji, bynajmniej nie oznacza, iż wiemy, co może dać w fenotypie dowolna ich konfiguracja, w istocie wątpliwe, byśmy kiedykolwiek w przyszłości to wiedzieli. Genetyczni rzeźbiarze codziennie aktywizują tysiące takich zestawów genów, które nie występują i nigdy nie występowały w naturalnej historii gatunku, bądź występowały, lecz zostały wyeliminowane w procesie dalszej selekcji. Dla pojedynczego osobnika noszącego je w swych komórkowych jądrach nie posiada to

najmniejszego znaczenia: on ma – wynikającą z uprzednich testów - gwarancję firmy od poczęcia aż do śmierci. Nie miałoby to również znaczenia, gdyby nie pozostawiał on po sobie innych potomków, jak tylko rzeźbionych. Jednak to byłby stan idealny, modelowy, nie do osiągnięcia w rzeczywistości, gdzie ma miejsce nieustanny przepływ genów z populacji z upowszechnionym genetycznym projektowaniem do populacji wciąż podległych jedynie prawom Darwina. Ta rzeka wykoncypowanych w odmętach fuzzy logie naszych superkomputerów, artefaktycznych genów – rwie z siłą Amazonki na zewnątrz, do oceanu siedmiu miliardów Homo sapiens, rekombinujących następnie w naturalny sposób owo obce, nowe DNA z DNA nierzeźbionym lub, co gorsza, z innym DNA rzeźbionym; i jeszcze raz; i jeszcze raz; i wciąż ze świeżymi domieszkami… Rozprzestrzenia się po populacji niczym pożar w dżungli.

Kto jest w stanie przewidzieć, jakimi odgałęzieniami od gatunkowego pnia zaowocuje w przyszłości – lub owocuje już teraz – ten w pełni chaotyczny proces? Przyszła Vassone i stwierdziła: – Telepatami, między innymi.

Marina, Marina, westchnął w duchu Hunt, taka pewność siebie przystoi jedynie prorokom, a i im nie wychodzi na zdrowie.

Samochód zatrzymał się, z szyb zeszła zaćma. – Jesteśmy na miejscu – rzekł wóz. Znowu podziemny garaż. Hunt wysiadł, ruszył do windy. Obie windy, męska i żeńska, były prywatne, wynajęte wraz z dwoma najwyższymi piętrami Cygnus Tower przez atrapową firmę, którą zwykła się posługiwać w takich sytuacjach DIA. Drzwi zakluczano kartą elektroniczną oraz odciskiem kciuka, nadto już po wejściu do kabiny sprawdzał gościa przez kamerę żywy strażnik z posterunku na górze. Hunt zrobił do obiektywu ponurą minę. Winda wystartowała, ugiął nogi w kolanach. Przy hamowaniu jeszcze gorzej, senatorski szampan podszedł mu do gardła.

Moment niedoważkości przypomniał mu o Numerze 5. Trzeba będzie z nim pogadać. Co z Vassone, przecież profiler pilnie potrzebny. Robota dla esesmanów, psiakrew.

Poszedł prosto do Anzelma. Preslawny chrapał, rozciągnięty na swoim biurku jak na krzyżu, jedna ręka w szufladzie, druga przewieszona przez usztywnioną płachtę ledekranu.

Hunt zamachnął się i huknął drzwiami, aż mu w uszach zadzwoniło.

Anzelm zleciał na podłogę. Zawył.

– Co jest? – zagadnął uprzejmie Hunt, zaglądając pod mebel.

Anzelmowi krew ciekła z nosa. Zezował, usiłując spoglądać równocześnie na swoją dłoń z szerokimi smugami czerwieni na grzbiecie oraz na pochylającego się nad nim Hunta.

– Huntobicie – warknął i rzucił się na Nicholasa. Tamten

odskoczył.

Anzelm zaczął gramolić się z czworaków.

– Sukinsyn.

– Spałeś na służbie.

– Kurewski służbista.

– Miło mi.

– Podam cię do sądu.

– Nie możesz, podpisałeś zrzeczenie się praw, a tu nie ma sieci ubezpieczenia. Zresztą sram na NEti.

– Ty sadystyczny…

– Dobra, dobra, spuść już parę. Gdzie pan pułkownik?

– Poleciał po McFly'a. Jego ludzie, będzie musiał pisać listy. Szykuj się na oberwanie chmury. – Wyciągnął w górę dłoń. – Podaj mi rękę.

– Akurat! Ściągnąłbyś mnie do parteru. Zresztą upaprałeś się cały we krwi, idź się umyj.

– Chciałbym zobaczyć minę tego kardiologa, który otworzy ci klatkę piersiową. Pieprzony wybryk natury. Może chociaż chusteczki daj.

Hunt rzucił mu pudełko i przysiadł na krawędzi biurka. Anzelm ulokował się na podłodze, w kącie pokoju, i podjął z góry skazaną na niepowodzenie walkę z plamami.

– Jak Numer Piąty? – spytał Nicholas.

– Obudził się i od razu zaczął się rzucać. Zatkałem go standardowymi formułkami i odesłałem do ciebie. Nie sprawia wrażenia wariata.

– Co z Mariną?

– Zaraz zjawią się przy niej braciszkowie.

– Jeśli przez dziesięć godzin będzie czysto, niech ją wiozą tutaj.

– Tutaj? A jak draństwo przywlecze się za nią?

To się przywlecze. Co możemy poradzić, w fortecy się zamknąć?

– Mówię ci, to od początku był poroniony pomysł. Wetknęliśmy kij w mrowisko.

– Vassone to powiedz.

– Kto mieczem wojuje. Aha, znowu dzwonili z Departamentu Stanu. Ktoś od nas powinien im rutynowo opiniować te raporty z inwigilacji ichnich bonzów. Niepotrzebnie posłaliśmy im wtedy kopię, co drugą chybioną prognozę decyzji tłumaczą teraz monadami na smyczach obcych wywiadów. Casus Vassone to woda na ich młyn. W poczcie elektronicznej jest analiza tych urojonych Wojen Monadalnych, autorstwa niejakiego Hatzu czy Katzu. Dopuszczony z ramienia Departamentu Obrony, przyjedzie tu, będzie na dniach. W Hacjendzie szaleje Krasnow, zamiast cisnąć doktorków na estepa, bawi się blockerami bionano, efesem i płodzi wielkie teorie, znowu był

monit, żeby kogoś tam posłać do nadzoru.

– Efes? Co on w nim widzi?

– Ba! Jak wpadli na to miesiąc temu – asystentowi Krasnowa się przyśniło, uwierzysz? – tak poszło to piorunem. W życiu nie widziałem takiego przyspieszenia technologicznego, od eksperymentu do zastosowań użytkowych w tygodnie, ani jednej ślepej uliczki, Krasnow błogosławi, wszystko jak po maśle. Poczekaj jeszcze miesiąc, a powie ci, że w ten sposób wygra Wojny.

– Przynajmniej jest to jakiś punkt zaczepienia przy rewizji podań o dofinansowanie. Ktoś zamawiał ten efes?

– Nikt. Nikt nawet o nim nie myślał.

– Więc właśnie. Marnowanie środków budżetowych, wydatki niezgodne ze specyfikacją, malwersacje. Jeszcze zobaczymy, kto na kim pojedzie.

– A ty co usłyszałeś na przyjęciu w sferach niebiańskich? Jak w stolicy przechylają się nastroje? Czas nas teraz oskarżać, czy wyśmiewać?

– Jedno chyba nie wyklucza drugiego, w każdym razie według nich – mruknął Hunt w zamyśleniu; w międzyczasie obróciły mu się wiatraki skojarzeń. – Słuchaj, chciałbym, żebyś posadził kogoś nad analizą tych wszystkich masowych szaleństw, wiesz, sekty, samobójstwa, te rzeczy.

– W jakim kontekście? Myślni? Co to ma być, może rys historyczny dla edukacji dziatwy?

– Niee. Posadź kogoś z łbem na karku, niech spróbuje to jakoś zsyntetyzować, mamy tu przecież do czynienia z wyraźną tendencją, długofalowym procesem… No nie wiem, cholera, niech pogłówkuje. Sam kiedyś próbowałem, ale… Idę się przespać, nie chce mi się jechać do domu. – Wstał, ziewnął. – Anzelm, na miłość boską, umyj się, wyglądasz jak kapłan voodoo przy pracy.

– Pokój z tobą, Nicholas, pokój z tobą.

„JFK" wylądował, celnicy sprawdzili przebieg lotu, Flowers podpisał papiery i wynajęci pielęgniarze przenieśli nieprzytomnego mężczyznę do ambulansu. Jechali w szarówce miejskiego świtu, siedzący za kierownicą spał, komp obudził go po dotarciu na miejsce. Wynieśli nieprzytomnego na noszach. Zgodnie z instrukcją, położyli je na podłodze windy i odjechali.

Winda zatrzymała się piętro pod Centralą. Numer 4 przetoczony został na noszowym wózku przez białe korytarze do pogrążonej w półmroku sali. Tu zajęli się nim lekarz i pielęgniarka: rozebrali go, pobieżnie zbadali, opisali. W sali stało pół tuzina maszyn pełnej opieki medycznej, trzy z tych sarkofagów były już wypełnione – oddychały w nich, powoli i z mozołem, organizmy oczyszczone z pneumy.

Kolejny sarkofag otworzył się jak kwiat, asymetrycznymi metalowymi, plastikowymi i szklanymi płatkami, sięgając po mężczyznę w śpiączce. Maszyna przyjęła go w swe łono, otoczyła niezliczonymi ramionami, okryła półprzeźroczystymi błonami i wtargnęła w ciało igłami, sondami, czujnikami, elektrodami. Obudziły się – tu i w sali obok – czwarte zestawy małych ledekranów, liczników i diod, zapłonęły kanciaste hieroglify życia.

Doktor i pielęgniarka wyszli. Tamci spali bezsennie, Czworo przeterminowanych. Maszyny ich tuliły. Tylko twarze widać było wyraźnie.

3. Czerń

Przyjechała do Nowego Jorku wieczorem. Aż do samej Centrali eskortowało ją tych dwóch goryli przydzielonych jeszcze w Bostonie.

W jej gabinecie czekał Hunt. Obudził się dopiero późno po południu; kładąc się, zdjął i wyłączył telefon, a programowi sekretaryjnemu nakazał mówić, że jest „nieosiągalny", co w dzisiejszych czasach oznaczać mogło jedynie stan bardzo już bliski śmierci klinicznej.

Wieczorem wdział jasne spodnie i ciemną kamizelkę. Halsztuk miał obowiązkowo śnieżnobiały, w nim, srebrną tym razem, szpilkę z logo swej korporacji jurydycznej, harcap ściągnięty zaś złotą nicią – nadal ubierał się jak waszyngtoński urzędnik, chociaż przestał się już identyfikować z sobą z tamtych czasów. Ale przyzwyczajenia pozostały. Standardowy makijaż wokół oczu i wyprofilowane brwi przydawały jego obliczu pewnej drapieżności, który to rys również przynależał do stołecznego (czytaj: hollywoodzkiego) kanonu męskiej urody.

– Jakie to uczucie? – spytał Vassone, wymieniwszy z nią wpierw rytualne grzeczności NEti, co zajęło blisko kwadrans. Ich stosunki wciąż pozostawały ściśle sformalizowane, nie chcieli popełnić jakiegoś nieodwracalnego błędu, wykraczając pochopnie poza ramy etykiety. Coś to oznaczało, lecz Hunt nie był pewien, co właściwie. Po raz kolejny zapytywał się w myśli: Czy powinienem posłać do niej swatkę?

– Paskudne – mruknęła Vassone, zapadając się w przy-okienny fotel.

– Po co pani w ogóle jechała do tego Bostonu? Lepiej, żeby dała pani sobie spokój z wykładami i całą resztą, tu jest wystarczająco dużo roboty. Przyszły rzeczy piątego, czekam na profil i wskazówki, wkrótce będę musiał zacząć z nim negocjacje. I tak dobrze, że tymczasem dał sobie w żyłę i śpi. U-uu, ależ to wygląda. Paznokciami?

– Yhmy.

– Chyba bez operacji się nie obejdzie, to się tak samo z siebie bez blizn nie zagoi. Boli?

– Teraz nie.

– Słyszała pani o McFly`u?

– Ten nawiedzony dom w Montanie? Co się stało?

– Weszło w medium z kopytami. Masakra. Dwa trupy. Ale mamy zapis. No właśnie, niech pani powie: jakie to uczucie?

Marina zapatrzyła się przez całościenne okno na budzące się do nocnego życia miasto. Jak zwykle, była całkowicie opanowana: ani jednego niekontrolowanego drgnięcia mięśni twarzy. Mogła tak trwać

godzinami -a Hunt godzinami mógł na nią patrzyć. Szerokie szramy koloru skrzepłej krwi kreśliły jej policzki z góry na dół i w skos.

– To wcale nie jest tak, jak sobie wyobrażaliśmy -rzekła wreszcie. – Wcale nie przymus; i nie przejęcie kontroli ciała; nawet nie podział osobowości. Już raczej szukałabym analogii z narkotykami. Otóż, rozumie pan, ja naprawdę nienawidziłam się za zabicie swoich dzieci.

– Pani ma tylko jedno dziecko, syna Jasona.

Wiem. Wiem! Ale ich wspomnienie było takie wyraźne, pamiętałam ich imiona, wygląd, pamiętałam, jak siadywałam w salonie przed inkubem i patrzyłam, jak rosną… wciąż pamiętam, jeszcze wyraźniej. Wnętrze jakiegoś domu, i tego mężczyznę, to był mój mąż. Takie rzeczy… zapach jego skóry, odblask słońca na meblach, Przez okna widać było ocean… wiem, że to ocean… Ja – to znaczy nie ja: ona, ta kobieta – ale ja to pamiętam, więc jakoś i ja… Były takie małe, dwa i trzy lata, on pojechał gdzieś za pracą, nie wracał, a one wrzeszczały i wrzeszczały, a ja byłam młoda, bardzo młoda… Rozumie pan, pamiętam nawet jej usprawiedliwienia. Ale przede wszystkim dzieci, mój Boże, te dzieci. Wyłączyła je, jak się wyłącza kompa. Przestała karmić, zakneblowała, zamknęła w łazience, poszła się zabawić. Spokój. Pamiętam, jak to robię. Rozumie pan? Ja to pamiętam. I żeby to jeszcze było całkowicie obce, przekopiowane z cudzego życia… to się miesza, miksuje, przeplata, adaptuje do mojej własnej pamięci! W jednym ze wspomnień kocham się z tym jej/moim mężem pod lustrem – i w odbiciu to jestem ja, ja! Monada odpadła, ale zostawiła kawałek siebie, żądło, jad, i to się teraz wżera we mnie, rozrasta, wpycha macki. Nowotwór fałszywej pamięci. A tam, w restauracji, spadła na mnie, jakby ktoś nagle uleczył mnie z wielkiej amnezji. Przypomniałam sobie – tak to wyglądało: przypomniałam sobie.

Hunt taktownie odczekał chwilę w milczeniu, po czym spytał, starannie manifestując tonem głosu obojętność:

– Więc czy to rzeczywiście może być konkurencja? Bo chyba pani nie wierzy w przypadek?

Skrzywiła się.

– Nie, przypadek to nie był.

– A zatem? Kto? Francuzi? A może Kompania Hongkongijska? Trzeba coś z tym zrobić, wysmażyć jakiś uspokajający raport, bo jak się historia rozniesie w panicznej wersji… Zgroza. Tam każdy uważa się za potencjalny cel. Co, będą im robić codziennie na wejściu ciężką psychoanalizę dla stwierdzenia tożsamości umysłowej?

Vassone uśmiechnęła się kątem ust.

– A za tym domkiem – zanuciła – nad brzegiem oceanu, omal na plaży – tam znajdowała się stadnina, i to była moja stadnina, bardzo moja, moje konie, araby, każdy minimum mega. – Spojrzała na Hunta.

– Logiki w tym za grosz, prawda?

– Zaraz-zaraz…

– No właśnie.

– Nie miałem pojęcia, że z czwórki był taki mściwy drań. Kiedy on ją zdążył wytresować?

– Wtedy, gdy niby bolała go głowa – parsknęła Marina. – Potem wypłaszczyło go i bestia urwała się ze smyczy, zresztą zniknęła przecież sama smycz. Pewnie nie tak to zaplanował. Może chciał nas szantażować. Dziwne, że w pana czegoś nie wycelował. Chyba nie starczyło mu już czasu.

– Nie powinna się pani wdawać z nim wtedy w kłótnię. W ogóle… Dzień po dniu, długie rozmowy, pani twarz na ekranie… Miał wszystkie dane po temu, by zaprogramować na panią tę monadę, nawet z siebie samego. Z piątką będę już rozmawiał tylko ja.

– Tym bardziej się pan podłoży. Skoro czwarty na to wpadł, piąty wpadnie prawie na pewno. Szkoda, że nie zdecydował się pan na zafałszowanie w przekazach wyglądu, to raczej uniemożliwiłoby mu wycelowanie. A tak? Nie zna pan dnia ani godziny. Przebywa w tym samym labie, psychomemy się kumulują, w końcu wpadnie na ten sam pomysł. Ktoś teraz powinien pana pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Jak mi się niespodziewanie zachce wyskoczyć przez okno, to i tak nikt nie zdoła mnie powstrzymać.

– Też prawda.

Znowu siedzieli w milczeniu.

Nad Nowym Jorkiem zachodziło słońce. Obróciła się wraz ze swym fotelem, widział ją teraz z profilu, jasne włosy rozszczepiały światło dookoła jej głowy, otaczając ją aureolą pastelowych barw, ciepłego blasku; podczas gdy ona sama pozostawała blada, chłodna. Hunt poprawił halsztuk, odwrócił wzrok ku ciemnym menhirom budynków. Posłać swatkę, czy nie posłać?

Status prawny Mariny Vassone przy Zespole nie był do końca zdefiniowany, co z czasem coraz mocniej irytowało Hunta. Nominalnie był tu przecież kierownikiem, lecz statut Programu oraz szeptane odgórne dyrektywy pozostawiały mu na tyle małe pole manewru, że taki Fortzhauser mógł się uważać za de facto równorzędnego mu stanowiskiem zarządcę samodzielnego pionu. Nie inaczej zachowywała się Vassone. Z jednej strony – to ona, jej praca, jej eksperymenty, jej teorie przyczyniły się do powołania Zespołu. Z drugiej zaś – gdy już powstał, nie chciała się weń za bardzo angażować i oficjalnie służyła jedynie jako konsultant przy tworzeniu profilów psychologicznych kolejnych wyłapywanych telepatów. Hunt żywił Przekonanie, iż z chęcią wykręciłaby się także od tego, gdyby

tylko nie oznaczało to w konsekwencji całkowitego odcięcia jej od informacji o prowadzonych badaniach, któ-rych to danych najwyraźniej potrzebowała do swoich prac. Zastanawiająca była owa ambiwalencja w jej postawie. Zresztą większość jej słów i decyzji pozostawała dla Hunta niejasna, niezrozumiała, obdarzona jakimś pokrętnym podtekstem.

Ale i tak nie pozwoliłby jej odejść. Wróciwszy do swego gabinetu, wywołał na zaledowanych oknach pliki Numeru 5. Życiorys – suchy i zdawkowy. Ojciec: reemigrant z USA (czwarte pokolenie), rzeźbiony, fenosłowianin. Matka: rodowita Polka, nierzeźbiona. DNAM ojca wydostali tylnymi drzwiami z Departamentu Zdrowia, DNAM matki po prostu wykradli z brukselskiego banku danych o dawcach narządów UE.

Dla potrzeb Zespołu Hunta pracowało bowiem w Stanach i poza ich granicami ponad pięćdziesięciu sneakerów, ściągali ze świata DNAM terabajtami, komputery Centrali bezustannie rozrastały się na wszystkie strony blokami kryształowych pamięci, już zajmowały pół dolnego piętra. Sami sneakerzy wynajmowani byli przez ślepych pośredników do pojedynczych zadań, nie mieli pojęcia, dla kogo i co właściwie robią. To znaczy – Hunt żywił nadzieję, że tak właśnie jest. Co naprawdę wiedzą sneakerzy… Nie bez kozery z pomieszczeń Centrali wymontowano sieć ubezpieczenia prawnego.

Zeskanowany i przetłumaczony pamiętnik Numeru 5 stanowił dla Hunta jeden stek bzdur i ciąg bełkotu, skreślony drobnym, precyzyjnym, prawie technicznym pismem. Przebrnął przezeń z wysiłkiem. Ale Vassone z takich rzeczy czyta ich dusze. Tylko ona tak potrafi. Niech sneakerzy zapośredniczą wszystkie jego kanały informacyjne, poleciła, gdy zastanawiali się nad sposobem przechwycenia Numeru 5. Niech zasymulują poważny wypadek jego ojca i wezwanie jedynego syna do łoża śmierci. Przyleci. Dlaczegóż miałby przylecieć, dziwowali się w Zespole, przecież to telepata, on nikogo nie kocha, a już na pewno nie swego ojca. Przyleci, powtarzała niewzruszenie Vassone. I przyleciał.

W końcu to jej teoria.

– Oni nie są szaleni, ale nie są i normalni w zwykłym znaczeniu tego słowa – powiedziała mu podczas lunchu w przerwie negocjacji z Numerem 2, cztery miesiące temu. – Niech pan zapomni o tych filmach pełnych efektów specjalnych, rojących się od maniaków władzy, psychopatów. Wszystko nonsens.

Hunt słuchał w milczeniu, wzrokiem opartym na jej twarzy manifestując swe zainteresowanie tematem. Nie przerywa się ekspertom perorującym o swych specjalnościach, tego rodzaju pokory zdążył się już na swym wygnaniu nauczyć. Jedli w restauracji na siedemdziesiątym piętrze, przez otwarte na taras drzwi i okna widać

było lustrzane szyby dwóch pięter Centrali w Cygnus Tower po drugiej stronie ulicy. Tu, w „Santuccio", jadała większość zatrudnionych w Zespole.

– Najpierw proszę przyjąć do wiadomości – kontynuowała Vassone, pozornie skupiona na swym steku – iż telepatia – bierna, czyli jednokierunkowa, bo z inną na razie nie zetknęliśmy się, chyba że wszystkich ludzi uznamy za telepatów – jest immanentną cechą osobniczą, determinowaną genetycznie i w żadnym razie nie podlegającą wytłumieniu, zanikowi czy zewnętrznym manipulacjom, farmakologicznym bądź innym. Hacjenda to nic innego, jak wyrzucanie pieniędzy w błoto.

– Ale ewolucjoniści – wtrącił się jednak Hunt, by popisać się podkradzioną wiedzą – utrzymują, że skoro telepatia byłaby możliwa, to kiedyś pojawiłaby się w mutacji i stała dominantą gatunkową; a nie jest.

– Argumentacja taka – odparła Vassone, unosząc widelec – opiera się na domyślnym założeniu, iż telepatia jest z punktu widzenia doboru naturalnego czynnikiem pozytywnym, czyli zwiększającym szansę rozprzestrzenienia się genomu, w skład którego wchodzą geny ją kodujące. Tymczasem jest to twierdzenie bezpodstawne. Co więcej, z dotychczasowych doświadczeń z naszymi telepatami mógłby ktoś wysnuć wniosek, iż stanowi ona wręcz mutację letalną. Na przykład Krasnow tak uważa.

– Krasnow…! – parsknął Hunt. Nigdy nie zaszkodzi zgodzić się z osobistymi uprzedzeniami eksperta.

– Ja nie posuwałabym się aż tak daleko – wzruszyła ramionami Marina – niemniej w oczywisty sposób jest to cecha upośledzająca. A cofnąwszy się do poziomu zwierzęcego, mamy pełne prawo uważać ją za zgoła kalectwo: proszę sobie wyobrazić mięsożercę, który czuje to samo, co jego ofiara. Nic dziwnego, że te geny, pojawiwszy się, giną „bezpotomnie". Na dodatek pojawiają się bardzo rzadko. No, chyba że mamy właśnie taką erę Chaosu Genowego.

Szybkimi, chirurgicznymi cięciami odkroiła kawałek mięsa, uniosła do ust, przeżuła, połknęła. Miała małe, ładnie wykrojone usta, warg nie malowała. Błyskały między nimi drobne, śnieżnobiałe zęby.

Mięsożerca, pomyślał Hunt, mięsożerca. – Ale wróćmy do ludzi. – Upiła wina. – Chcąc mieć jakie takie pojęcie o psychice telepatów, zacząć należy od ich dzieciństwa, a nawet jeszcze wcześniej – od fazy prenatalnej. Nic jest bowiem tak, iż płód stanowi niewrażliwy na wszystko przedorganizm o nie funkcjonującym mózgu. W istocie każdy chyba zdaje sobie sprawę, iż do płodu dociera bardzo wiele z rzeczy rozgrywających się w otoczeniu. Nie mówię tu aż o Grofowskiej psychologii transpersonalnej, bo upowszechnienie inkubów sfalsyfikowało jej dogmaty traumy połogowej; ale życie psychiczne

człowieka bez wątpienia nie zaczyna się w momencie odcięcia jego pępowiny. Dziecko rozpoznaje i lubi muzykę, którą szczególnie często puszczano blisko jego inkuba – te i tym podobne banały znajdzie pan w byle poradniku inkubologicznym. Jednak w przypadku telepaty dochodzi kolejny bardzo ważny zmysł. Już bowiem w fazie prenatalnej, gdy tworzą się i zaczynają krystalizować struktury mózgu, telepata otwarty jest na obce myśli. Jego coraz bardziej świadomy umysł tonie w powodzi odczuć i uczuć należących do osób przebywających w bezpośredniej bli-skości inkuba. Normalne dziecko nie pozna pełnego spektrum doznań wzrokowych, słuchowych, węchowych, dotykowych i tak dalej – wcześniej niż na określonym etapie rozwoju. Telepata zaś napakowany jest tym wszystkim, zanim jeszcze w ogóle posiada odpowiednie dla owych zmysłów organy: widzi bez gałek ocznych, smakuje bez kubków smakowych.

Co powiedziawszy pociągnęła kolejny mały łyk wina uniosła wzrok i uśmiechnęła się porozumiewawczo do Hunta kątem ust. Czego miałoby dotyczyć to porozumienie? żartu? jego podtekstu? sytuacji? Hunt mógł się tylko domyślać. Lecz i tak odpowiedział uśmiechem. W ten oto sposób wzajemnie wprowadzali się w błąd. Piętrowe nieporozumienia kumulowały się obustronnym skrępowaniem i konfuzją. Nicholas nie wykluczał, iż Marina ma go za podobnie tajemniczego, jak on ją. Tej bariery nie da się w żaden sposób przebić.

Jakże w takich momentach zazdrościł telepatom ich pewności obiektywnej prawdy o ludziach, umiejętności spojrzenia na siebie z zewnątrz.

– Zresztą – podjęła Vassone, odstawiwszy kieliszek -wydaje się to mniej ważne w porównaniu z drugim rodzajem wpływu: importowanymi bezpośrednio do umysłu cudzymi myślami i uczuciami. Nie dziwota, że telepaci charakteryzują się tak wysoką inteligencją i zdolnościami lingwistycznymi, prawie wszystko poszło im w płaty czołowe. Otrzymujemy tu wizję brutalnej inwazji językowej na młody, dopiero organizujący się umysł. Wyobraźmy sobie sytuację następującą: w fotelu przy inkubie ktoś czyta książkę. Nie dosyć, że umysł płodu skuwany jest przedwcześnie formalizmami języka, to na dodatek dostaje gigantyczną dawkę kontekstowych wrażeń i sztywnych denotacji. Zauważmy: w desygnacie konkretnych słów każdy z nas widzi jednak co innego, zależnego od jego skumulowanych jednostkowych doświadczeń, i czytając słowo "ptak" co innego automatycznie wyświetla mu się pod czaszką. A skąd pochodzą doświadczenia telepaty? To doświadczenia doświadczeń; kradnie je od innych ludzi, od wielu różnych ludzi.

– Chce pani powiedzieć, że on, mhm, dziedziczy Psychikę rodziców?

– To zbyt duże uproszczenie. Wszak to niekoniecznie muszą być

prawni rodzice, zresztą zazwyczaj wchodzi w grę znacznie większa liczba osób: sąsiedzi, krewni, znajomi, technik inkubacyjny, fachowcy wezwani do naprawy klimatyzacji… Pojmuje pan? I nie jest to też żadna prosta wypadkowa, jak to sobie można wyobrażać przez analogię z dziedziczeniem losowego puzzla DNA matki i ojca w naturalnym procesie rozmnażania. Ale jednak część prawdy w tym jest: to są fundamenty, na których wzniesie się psychika telepaty. Wszakże nigdy – i tu docieramy do kolejnej istotnej kwestii – nie będzie to psychika choćby przystająca do uznawanej za normalną u nietelepatów. Nie chcę tu wchodzić w subtelności psychologii, spróbuję rzecz zobrazować prostymi przykładami. Ma pan dzieci?

– Nie.

– A zetknął się pan? Małe, kilkuletnie. To znaczy, wie pani…

– Małe dziecko nie wyodrębnia się ze świata w sposób, który my, dorośli, uznajemy za do tego stopnia naturalny, że aż pomijalny w opisie. Gdy już zacznie mówić – proszę kiedyś przy okazji zwrócić uwagę – nie używa nawet zaimka,”ja". Przejście od zewnętrza do własnej jaźni jest ciągłe. „Jasiowi zimno". „Jas chce to zobaczyć". „Jas jest głodny". Tak właśnie, w trzeciej osobie. A teraz proszę sobie wyobrazić dziecko, które postrzega świat tyleż własnymi zmysłami, co poprzez zmysły cudze, ludzi go otaczających. Dziecko, które postrzega samego siebie – z zewnątrz właśnie. Z cudzymi myślami, wrażeniami. Moim zdaniem to w ogóle jest cud, że oni wykształcają jakąkolwiek osobowość i że są zdolni do samodzielnej egzystencji.

– Noo, nie wszyscy.

– Na szczęście dla nas. Dla mnie. – Uniosła w toaście kieliszek. Znowu uśmiech.

Dla kogo szczęście, dla tego szczęście, mamrotał w duchu Hunt, scrollując pamiętnik Numeru 5. Ale to prawda, że Vassone miała nieziemski fart, znajdując w tej zapadłej klinice psychiatrycznej owego półkatatonika, Numer 0. Naopowiadał jej bujd o Bogu. Czy rzeczywiście uwierzyła? Trudno orzec, chwilami wydaje się, że i do tego byłaby zdolna. W każdym razie wywiodła z owych zbełkoceń teorię myślni, psychomemów, monad… Cały Program Kontakt – wyciągnięty niczym królik z kapelusza, z jednego poczynionego przez Vassone założenia. Ale trzeba jej przyznać: miała rację. Miała tę cholerną rację w stu procentach. Aż strach bierze. Co za kobieta. To jak otworzyć butelkę z dżinnem.

Wywołał numer swojej swatki.

A w pamiętniku Czarnego – wykradzionym z jego willi (wraz ze wszystkimi innymi znalezionymi tam pamięciami kryształowymi, dyskami optycznymi i magnetycznymi oraz dokumentami papierowymi) przez trzech byłych pracowników miejscowej agencji

detektywistycznej, wynajętych do zadania poprzez długi łańcuch pośredników, którego ostatnie ogniwo pozostawało im już całkowicie nieznane – w pamiętniku tym stało, co następuje:

Teraz będę kłamał. Żebym chociaż wiedział, komu. Do kłamstwa potrzeba przecież nie tylko kłamiącego, lecz -przede wszystkim – okłamywanego. A kogo ja tu okłamuję? Siebie? Cóż znaczy: okłamywać siebie? Ile pięter nie zeszedłbym w podświadomość, zawsze na koniec stanę przed wyborem kłamstwa jako mimowolnego błędu (a więc nie kłamstwa) lub premedytowanego fałszerstwa (a skoro planuję je, to nie jest mi nie znane, nawet więc nie udaje prawdy, cóż to zatem za kłamstwo?).

Lecz dla kogo właściwie pisze się pamiętniki? Czyż doprawdy taka wielka różnica istnieje między autobiografiami sław, wydawanymi za ich życia i z zamiarem wydania tworzonymi – a sekretnymi zapiskami gospodyń domowych? Ja wiem, ponieważ mogę porównać: każdy kłamie. Kłamie czytelnikowi spodziewanemu, potencjalnemu, bądź jedynie czytelnika tego swemu wyobrażeniu, przy czym nierzadko jest to wyobrażenie siebie samego z przyszłości, czytającego te stare zapiski. I w tym sensie możliwe jest okłamywanie samego siebie, o ile wystarczająco częste, rozległe i tyczące rzeczy drobnych. Wówczas bowiem pamięć pierwotna ulega bezsilnie pamięci wtórnej, fałszywemu przypomnieniu zainicjowanemu łgarstwem własnych notatek sprzed lat. Mogę nawet pamiętać, że pisałem to miezbyt szczerze, mogę pamiętać zamysł – lecz nie podważę wszak wszystkiego i słowo pisane w końcu zwycięży.

Ale zazwyczaj nie ma mowy ani o prawdzie, ani o kłamstwie. Zmiana następuje samoistnie. Ja wiem, ja wiem, to niczyja wina: pamięć nie jest martwa. Żyje swym równoległym życiem, żyje w naszych głowach „w bok" od strumienia czasu, w którym poruszamy się sami, dostarczając jej wciąż nowej pożywki. Chwila, widok, wrażenie – przeskoczywszy z realnego „teraz" do wirtualnego „wczoraj", nie zamarza na wieki, lecz ewoluuje zgodnie z achronologicznymi regułami pamięci. Nasza przeszłość, nasze dzieciństwo dorasta razem z nami, „w bok".

Co zostaje z prawdy nagich zmysłów w pamiętnikach sześćdziesięciolatków? Zanim zasiedli do ich spisania, musieli najpierw przez czas jakiś zastanawiać się nad tym, a więc katalogować, odkurzać, przewietrzać wspomnienia. Otwierali je i zamykali, otwierali i zamykali. Niektórym może rzeczywiście wydaje się, że są szczerzy, że piszą prawdę i tylko prawdę. Zanotują: „tego nie pamiętam", „tego nie jestem pewien". Ostateczny dowód przedstawią, nie omijając faktów dla nich samych przykrych i stawiających ich w złym świetle – „szczerzy aż do bólu". Doprawdy, czytając te memuary trudno oprzeć się wrażeniu, iż w taki oto sposób manifestuje się

podświadomy masochizm autorów, zakompleksienie jakieś infantylne: każda nieświadoma modyfikacja była zmianą ku ich pognębieniu – za każdym przypomnieniem sobie owej bójki dziecięcej o kanapkę z szynką czy kapsel po piwie, okazywali się w niej coraz bardziej tchórzliwi i godni pogardy. Oczywista, nierzadko idzie to także w drugą stronę, lecz nie posiada już wówczas pozorów owej psychologicznej głębi, wygląda po prostu na bezczelną bufonadę i głupie samochwalstwo.

W każdym razie, choć zazwyczaj niezdolni uświadomić sobie zachodzącego procesu ewolucji pamięci (piszę: „my" – ludzie), to zmianę, ruch, sukcesywne metamorfozy – oznaki życia – przecież dostrzegamy. Mówi się: „wspomnienia zatarły mi się". Mówi się: „niewyraźnie to pamiętam". A tu wszak nie chodzi o zanik wspomnień absolutny, lecz o ich podświadomą deformację. Bo zachowana informacja jest zawsze informacją niepełną, nie sposób zapamiętać całości danych percepcyjnych.

Mój najdawniejszy obraz… reminiscencja smutku: samotny, spoglądam przez wielkie okno kuchenne na śnieny krajobraz budowy, a na pierwszym planie smętnie zgarbiony dźwig. Kiedy sobie przypominam, widzę to wszystko bardzo dokładnie. I smugi brudu na szybie, i labirynt wykopów, kładek, nagich fundamentów, bruzd zamarzniętego błota, i szarość zimowego nieba rozpostartego nad blokowiskiem, i ów dźwig, ramię krzywo wychylone, błyskającą szkłem kabinę operatora. Gdybym wysilił pamięć, pojawiłyby się zapewne detale jeszcze drobniejsze. Ja wiem, jak ludzie „przypominają" sobie rzeczy. Samym swoim istnieniem wprowadzam obiektywizm w sferę odwiecznego subiektywizmu. Wiem: każdorazowe przypomnienie sobie tamtej chwili wypaczało wspomnienie w mym umyśle. Prawda odeszła na postronku czasu. Spójrz na dowolny przedmiot, co tam ci najbliżej, stół, krzesło, talerz, długopis, ledpad. Jak myślisz, co zapamiętasz? Widzisz krzesło; zapamiętasz krzesło. Otóż właśnie: „krzesło". Jeśli to mebel z twojego mieszkania, który służy ci od dłuższego czasu i często go widujesz, zapamiętasz go szczególnie: „to krzesło". Rodzajnik określony symbolu pamięci definiuje odsyłacze: na „tym" krześle zwykłem jadać, na „to" krzesło wylałem herbatę, „to" krzesło pogryzł pies znajomego. Lecz bez tych odsyłaczy pozostaje sam symbol, ikona: „krzesło". W stanie nierozwiniętym, nieprzypomnianym – nieaktywnym – ogranicza się do schematycznego wyobrażenia przeważnie plastikowej lub drewnianej konstrukcji o czterech nogach, siedzisku i oparciu. Dopiero po otworzeniu wspomnienia ikona – klik, klik – rozwija się, w mig puchnąc szczegółami i kolorami, realniejąc od kontekstu gęstego od mnogości innych symboli. Naraz krzesło otrzymuje konkretną barwę, wyściółkę, obicia kantów, rysy na drewnie (bo oto okazuje się, że jest

drewniane).

Przeszłość jak żywa, nieprawdaż? Przerzucisz myśl na coś innego – i ponownie zwinie się do suchego szkieletu symboli. Lecz niekoniecznie muszą to być już te same – takie same – symbole, niekoniecznie w tej samej kombinacji, czasami osadza się i chowa do ikon jakiś element dodany w rozwinięciu, w nieuświadomionej improwizacji umysłu; wchodzi do genetycznej puli. Czyż ewolucja nie wynika z błędów w kopiowaniu? Identycznie w pamięci: fenotypalne (to szerokie, barwne, udekorowane wykradzionymi z magazynu stereotypów bibelotami) rozwinięcie genotypu (ciągu ikon) wpływa na zapis pierwotny.

Pomyśl: książki. To też zapis jeno symboliczny. Rzadko znajdziesz opisy układów zmarszczek na twarzach bohaterów, odcieni ich skóry w świetle Księżyca, intonacji głosu, z jaką wypowiadają zdania pytające, oznajmujące, rozkazujące, w śmiechu, gniewie, irytacji, rozpaczy. A wszak nie zieje ci w tym miejscu w wyobraźni czarna dziura, pustka imaginacyjna. Rozwinięcie ikon dokonuje się bez udziału twej woli, nie panujesz nad doborem przydawanych im detali, realizm rośnie wysoką krzywą, choćbyś czytał bajkę o Jasiu i Małgosi. Czy znasz to uczucie – znasz to uczucie, gdy oglądasz ekranizację ulubionej powieści, czytanej wcześniej kilkakrotnie – czy znasz ten odruch odrzucenia, jakim reaguje immunologia twej pamięci na obce, „nieprawdziwe" fizjonomie postaci? Fałsz, nieprawda, podmiana! – krzyczy pamięć. To nie tak było! Przecież pamiętam! Czasami sprzeciw przybiera rozmiary wymagające zamiany psychologii na socjologię. Nieskończone są utrapienia ekranizatorów klasyki. Jaki tam Kmicic z tego Olbrychskiego! Rozerwaliby Hoffmana na strzępy. A dzisiaj – czy znajdzie się taki, co czytając „Trylogię", inną twarz będzie widział pod Babiniczowym kołpaczkiem?

Po co piszę to wszystko? Dla usprawiedliwienia? Przed kim? – przed samym sobą? Prościej ograniczyć się do owego bezczelnego stwierdzenia, jakim zacząłem: będę kłamał. Pomińmy intencje. Pamiętam, co pamiętam, i nic na to nie poradzę. Procent prawdy obiektywnej zawartej w tych wspomnieniach pozostaje dziś tak czy owak nie do ustalenia. Zapewne nie jest najwyższy, zważywszy na mą introwertyczną naturę, każącą mi wielokroć analizować każde przeszłe zdarzenie – klik, klik, klik, klik, klik – coraz to inne rozwinięcie ikony za kolejnym z tysięcznych otwarć. Czy na tej budowie stał w ogóle jakikolwiek dźwig?

Co zatem odrzekłby Czarny na owe eleganckie wywody doktor Vassone? Czy przyznałby jej rację? Że trudne miał dzieciństwo i że nie jest jak inni ludzie? Wielkie mi odkrycie; jasne, że nie jestem jak inni, nie jestem jak ludzie.

Ale Cóż mogę powiedzieć o mym własnym rozwoju psychicznym? Co odziedziczyłem? Jeno czerń, gęstą, tłustą, cuchnącą czerń.

Ojciec wyjechał z powrotem do USA, zanim skończyłem dwa lata. Wiem, bo specjalnie sprawdziłem po tym, jak zadzwonili z tą fałszywą informacją o jego wypadku. Więc nie miałem jeszcze dwóch lat; nie zachowałem jego obrazów z zewnątrz: ani rysów twarzy, ani tonu głosu, ani kształtu sylwetki. Co przetrwało – czerń, bo ona jest wieczna, niezniszczalna, niewymazywalna. Gdy chodził do szkoły w Chicago, próbował zgwałcić swoją siostrę, ale nic z tego nie wyszło, potem ją pobił, żeby nie naskarżyła, wybił dwa zęby, mleczne. Plama wypływała mu bez przerwy na powierzchnię przez pamięć owej pierwszej impotencji, coraz straszniejszej z upływającymi latami. Kobiety musiały dlań głośno jęczeć i nigdy, przenigdy nie patrzeć mu w oczy, bo inaczej wracał do niego tamten strach. Matka nienawidziła tych nocy, ciemnych, milczących, gdy walczył z nią we wściekłej miłości, jak się walczy z psem, który nie chce się poddać rygorom smyczy i kagańca. Jego gorące dłonie, oddech niczym rzężenie konającego. Jego rozpacz, jej pogarda. A nie miałem nawet dwóch lat.

Czerń, czerń, czerń pokrywa wszystko. Matka. Kość z kości? Dolar z dolara. Przychodziła i stawała nad inkubem, stała tak minuty całe, w bezruchu. Ja wewnątrz: mroczny kłąb krótkich kończyn, wielkiej głowy, spirali sztucznej pępowiny. Wyłączyć zasilanie. Walnąć stołkiem, Zrzucić na podłogę. Nie chcę, nie chcę, nie chcę. To był głupi, beznadziejnie głupi pomysł, on i tak odejdzie, zostanę bez forsy, a z tym tu na karku. Boże, gdzie te czasy, kiedy faktycznie można było złapać nadzianego faceta na dziecko! Teraz oni tam wszyscy sterylni. A co się namęczysz, co naupokarzasz, zanim podpisze umowę! A potem i tak zwieje. I na co mi to? Wyłączyć, rozwalić; i tak żeś nierzeźbiony, więc wiele nie stracę. Niech cię diabli wezmą, pierdolony pasożycie. Oczywiście wiedziała, że tak naprawdę nic podobnego nie zrobi – ale wyobrażała sobie. Jak wypływam w ciemnych cieczach na dywan, Czerń, czerń zalewa wszystko.

Ich nienawiść; i co pomiędzy. Jakieś małe sadyzmy, satysfakcje bólu. Dzień po dniu, noc po nocy, tygodniami, miesiącami. Ocean czerni. Wtedy zapewne, ograniczony w swych doświadczeniach oraz doświadczeniach doświadczeń, nie mogłem oczekiwać niczego innego – ale przecież to wcale nie musiało być regułą, ich dwoje to nie świat cały.

Lecz to właśnie jest regułą. Wszyscy ci ludzie… setki, tysiące… Dzieci w przedszkolu i dzieci w szkole, i nauczyciele, i przechodnie na ulicach, ekspedienci w sklepach, i policjanci, księża, pijacy, dziwki, robotnicy, kierowcy w samochodach, lokatorzy w mieszkaniach, chorzy w szpitalach, więźniowie w aresztach i więzieniach, żołnierze na przepustkach. Pływają w mojej głowie, unoszeni falami czerni,

odbijając się jeden od drugiego, mieszając, rozpływając.

Rzeczy drobne, rzeczy wielkie, tysiące, dziesiątki tysięcy, otchłanie niezmierzone, czerń, czerń, ocean czerni.

Za pierwszy wygrany w pokera milion kupiłem tę willę na wsi, z dala od innych domów, pośród pól i lasów. Ale i tam: pasażerowie z aut sunących szosą, jacyś zabłąkani leśnicy, rolnicy w drodze do lub z pól. Więc wolałem noce. W dzień sypiałem. Natomiast po zachodzie słońca – po zachodzie słońca zyskiwałem tę namiastkę spokoju, ciszy i samotności, która w ogóle dostępna jest na powierzchni planety, ponad możliwość zatłoczonej ludźmi i ich umysłowymi wydzielinami. Namiastkę samotności – czyli wolności. Nikogo w pobliżu, żadnych cudzych myśli, wrażeń cudzego ciała, bólu ich żołądków, wiatru w ich włosach, potu na ich skórze, śliny w ich ustach, może tylko czasami gorący mrok kreta, twarde powietrze pod skrzydłami ptaka, rozkołysany świat kota. Ale i tak – wybawienie. Miejscowi zaczęli opowiadać o mnie niestworzone historie: wampir, gangster, satanista, pederasta, dzieci porywa. Dla podtrzymania legendy nosiłem się w ciemnych barwach. Myśleli i mówili o mnie: Czarny, ten Czarny. Raz nawet, gdy zaginął jakiś chłopak, przyjechała policja. To ten policjant uprowadził i zabił chłopca. Nigdy nie znaleziono zwłok. Ale poza tym – spokój. Na dachu postawiłem sobie teleskop. Tak daleko od miasta w bezchmurne noce widać najmniejsze zmarszczki na twarzy nieba.

– Toż to sam pan Hunt, zaszczyconym, zaszczyconym.

– Ach, widzę, że humor dopisuje.

– Czemuż miałby nie dopisywać? Z góry się cieszę na tę zabawę. Wprost nie mogę się doczekać: jakiż to bat pan na mnie wyciągnie?

– Bat? Po co mi bat? Może pan wierzyć lub nie, lecz pana poprzednicy współpracowali dobrowolnie.

– Jak rozumiem, również porwano ich za ich zgodą. Czy też może to ja jeden trafiłem tu tym sposobem? Co to, ja z Księżyca spadłem? Pan zapewne jest szkolony psycholog po ciężkich treningach w negocjacjach, ma tam pan pewnie moje dossier, już panu rozpisali analizy – może nie? Zdziwiłbym się, gdyby Hunt to było pańskie prawdziwe nazwisko. Może pan w ogóle nie ma nazwiska. Może jest pan jedynie elektroniczną maską jakiegoś najętego speca: pana twarz, zbiór pikseli. Może wręcz ekspercką turingówką.

– Cholera, jak teraz powiem, żeby się pan uspokoił, to tylko jeszcze bardziej się pan wścieknie… No, i widzi pan, jaki ze mnie negocjator.

– Ja się nie wścieknę. Pan wie, że nie.

– O? Dziękuję za obietnicę. Mhm, proszę mnie posłuchać. Ja przecież zdaję sobie sprawę, że to bezprawie, że to kryminał, i w ogóle – hańba międzynarodowa. Ale tu nie ma wyboru, to są mechanizmy

polityki, ekonomii. Tak jest, właśnie się usprawiedliwiam. Nie my jedni szukamy telepatów. Wiemy o Chińczykach, Francuzach, trzech sojuszach ekonomicznych z Południa, podejrzewamy także Niemców i Hindusów.

– No to co? Oni esesmani, a wy aniołki? Tych czterech przede mną odmóżdżyło od jakiejś nieziemskiej ekstazy? Króliki doświadczalne łapiecie, oto co robicie.

– Tak, ale tu nie ma alternatywy. Zabiliby pana. Lub my byśmy pana zabili. Nie nasz, to i nie ich. Ja wiem, że gdy się jest ofiarą, to brzmi jak religia komiksowych szwarccharakterów – ale taka jest prawda. Cóż poradzę? Kto sprzeciwia się grawitacji?

– Darujmy sobie te cienkie wykręty. Wciąż czekam, żeby pan zamachał mi przed oczami tym batem.

– A ja mówię: nie ma i nie będzie żadnego bata.

– Więc co, sądzi pan, że zgodzę się z własnej woli? Co to ma być, syndrom sztokholmski? Wolne żarty.

– A co pan ma lepszego do roboty? Będzie pan całymi dniami kontemplował widok Ziemi?

– A więc to nuda? O to chodzi? Że niby psychicznie nie wytrzymam?

– Pan wciąż nie rozumie. Tu nawet nie idzie o jakiekolwiek świadome akcje z pana strony. Samo do pana przyjdzie. Tam, na orbicie, w absolutnej pustce, w nieobecności obcych umysłów i myśli… To tylko kwestia czasu. A może już pan zaczął wyczuwać? Co? Jakieś przebłyski, delikatne muśnięcia, dziwne śmieci w środku własnych myśli – teraz, gdy z nikim pan nie interferuje, niewytłumaczalne. Co? Było już coś takiego?

– …

– …

– Konie. Piasek.

– To czwarty. To jego. Ma… miał stadninę.

– O co tu chodzi? Po co żeście mnie porwali? Bo tego pan nie powiedział.

– Już mówię…A widzi pan? Sam chce pan wiedzieć.

– No co to jest? Czy to właśnie załatwiło tamtych?

– Już mówię. Proszę słuchać.

Po tej trzygodzinnej sesji z Numerem 5 Hunt był tak wyczerpany, że już bez słowa wyszedł i pojechał do domu.

Dom. Jaki tam dom, kolejne wynajęte mieszkanie. Koczował tu tak samo jak przedtem w apartamencie w Watergate: hotel, dłuższy czy krótszy przystanek na drodze donikąd.

Było to przedostatnie piętro byłego biurowca na Manhattanie. Po eksplozywnym rozwoju łączności elektronicznej i upowszechnieniu

systemu pracy „zdalnej", domowej, opustoszała większość tutejszych szklanych wysokościowców. Zarząd miasta nie chciał dopuścić do upadku i obrócenia się centrum w pospolite slumsy, toteż zaordynował przekształcenie gmachów w luksusowe domy mieszkalne, mega od apartamentu.

Z okna Huntowego salonu roztaczał się panoramiczny widok na płonący zimnymi kolorami nocny Nowy Jork. Nie było to co prawda to samo, co skyhouse – ale zawsze: boska perspektywa. Drżący ruch odległych świateł usypiał po kilku minutach wpatrywania się weń.

Hunt przysiadł na poręczy fotela, machinalnie podniósł ze stolika jabłko, podrzucił kilka razy, ugryzł. Miasto go fascynowało. Teoria Vassone zapuściła korzenie głęboko w jego mózg. Nie mógł się opędzić od filmowych skojarzeń. Owo potworne ludzkie mrowisko… dwadzieścia trzy miliony ludzi, dwadzieścia trzy miliony umysłów… Usiłował odczytać z przemieszczeń drobin świetlnych zaszyfrowane wiadomości. Jak impulsy po neuronach. Jak taniec pszczół. Oczywiście więcej w tym było poezji niż prawdy, Marina bez wahania wyszydziłaby podobne prymitywne aproksymacje.

Odłożył nadgryziony owoc. Mieszkanie było luksusowe, przestronne, jasno oświetlone, pustka aż huczała. Cieszył się, że jest na tyle zmęczony, by po prostu położyć się i zasnąć. Nienawidził przebywać w tych pomieszczeniach, które zmuszony był nazywać domem. Czuł się tu jak w zbeszczeszczonej świątyni dobrotliwego bóstwa. Nawet po symbolicznym włączeniu sieci ubezpieczenia prawnego nie wiedział, co właściwie powinien robić, jak się zachowywać, w który algorytm wpaść. Prywatna samotność doprowadzała go do szału przez brak stosownych konwencji i reguł gry.

Portier dał znać przez telefon o niespodziewanym gościu.

Kto? – spytał Hunt sygnet.

– Pan Matthew Green, z kancelarii Rosemont, Rosemont amp; Dejean.

– Powiedział, w jakiej sprawie?

– Powiedział, że w prywatnej.

– A daj go.

Green okazał się siwowłosym fenomurzynem w staromodnym garniturze (nawet krawat miał!).

Hunt włączył sieć podsłuchu i podglądu ubezpieczenia prawnego i otworzył mu drzwi. Ukłonili się, uścisnęli sobie dłonie, wymienili wizytówki.

Hunt zaprowadził gościa do salonu.

– Drinka?

– Nie, dziękuję. Czy naprawdę w niczym nie przeszkadzam?

– Ależ w niczym.

– Nie zakłócam pańskiego spokoju?

– Skądże.

– Nie obrażam pańskich uczuć?

– Nie.

– Wolno mi zatem rzec, w jakiej sprawie przychodzę.

– Słucham uważnie.

Green spokojnie założył nogę na nogę, wygładził marynarkę i, grzecznie odwróciwszy wzrok od Hunta, powiedział:

– Wynajęła mnie pewna osoba pragnąca sprawdzić możliwość zawarcia bliższej znajomości z panem, panie Hunt. Czy mam mówić dalej, czy też temat pana nie interesuje?

– Ja słucham, słucham.

– Zakładam zatem, że nie istnieją żadne przeszkody natury prawnej dla takiej znajomości.

– Nic mi o takowych nie wiadomo.

– Doskonale. Czy gdyby przychylił się pan do propozycji mego klienta bądź klientki – odpowiadałoby panu spotkanie jutro o siódmej wieczorem w „De Aunche"?

– Najzupełniej.

– Wszystkie koszta oczywiście rozpisane oddzielnie. – Oczywiście.

Green skinął głową, sięgnął do wewnętrzej kieszeni marynarki, wyjął białą kopertę i położył ją na stoliku pomiędzy fotelami jego i Hunta, układając biały prostokąt dokładnie na środku blatu, symetrycznie do krawędzi. Potem wstał.

– Muszę się już pożegnać. Proszę mi wybaczyć, że już pana opuszczam, ale…

– Rozumiem, rozumiem.

– Jeszcze raz, w imieniu mego klienta/klientki i moim własnym, pragnę pana zapewnić, iż propozycja jest całkowicie niezobowiązująca i nie musi się pan do niej w ogóle ustosunkowywać.

– Tak, tak, rozumiem.

– Jeśli moje działanie odebrał pan jako formę nacisku, kancelaria jest gotowa wypłacić panu zwyczajowe odszkodowanie.

– Tak, wiem.

Wymieniając formuły, dotarli do drzwi i pożegnali się szybko. Green wyszedł, Hunt wyłączył sieć.

Wrócił do salonu, zabrał niedojedzone jabłko i, rwąc zębami jego miąższ, otworzył pozostawioną przez Greena kopertę. Na kartce było napisane: „Marina Vassone".

Zaśmiał się i wywołał numer swojej swatki.

– Odwołane – rzekł. – Spóźniłem się.

Hunt wmawiał sobie, że nie lubi tych rytuałów – chyba nikt ich nie lubił, nawet wychowani w nich od małego -lecz to wszak nie była kwestia upodobań, a przymusu finansowego: nie stać go było na ich

zlekceważenie. Zresztą nikogo nie było na to stać, za wyjątkiem tych, którzy nie mają nic do stracenia. Nowa Etykieta, jak savoir-vivre każdych czasów, dotyczyła głównie elit. A w tej epoce – co też nie czyniło jej bynajmniej wyjątkową – elity definiowały się poprzez stan bankowych kont.

Nie było żadnych szumnych ustaw, nagłych rewolucji, konkretnych postanowień, nic takiego Nicholas nie pamiętał. Poszło to stopniowymi przybliżeniami, cichą kumulacją sądowych precedensów i obyczaju prawnego. Sto pięćdziesiąt lat temu – komu przyszłoby do głowy podawać kobietę do sądu za uśmiechnięcie się do mijanego na ulicy mężczyzny? Oglądał filmy z tamtej epoki, toteż miał porównanie (chociaż zdawał sobie sprawę, że sztuka zawsz ekstremalizuje). To w ogóle nie była ta sfera, dziedzina prawa zaczynała się podówczas kilka kilometrów dalej. Ale w miarę jak jego konkurenci tracili na znaczeniu, ono zagarniało opuszczone tereny. Skoro nie znasz innych reguł i nie wyznajesz innych zasad, wyznawać będziesz moje, rzecze Temida, która jest ślepa i żeby cokolwiek zobaczyć, musi macać naokoło swymi ciężkimi, niezgrabnymi paluchami.

Tak więc skoro każdy jest potencjalnym wrogiem i jedno zbyt szczere słowo kosztować cię może w wyroku sądu dorobek całego życia, lepiej trzymać się z daleka. Nikt tego Nicholasowi nie przekazał tymi słowy, ale taki właśnie był sens kanonów jego wychowania, niekodyfikowalnych reguł współżycia, którymi go podświadomie sformatowano.

W miejscach publicznych obowiązywał sztywny kodeks dopuszczalnych zachowań, określający, jakie słowa i gesty w żaden sposób nie mogą zostać zinterpretowane jako naruszenie cudzej prywatności. Nicholas – jak wszystkie dzieci – poznał go na długo przedtem, zanim zrozumiał jego źródło i cel. Mało kto zresztą docieka logicznej podstawy każdego przepisu drogowego. Wytwarza się natomiast pewien automatyzm odruchów. Hunt oglądał filmy z minionych epok i zdawał sobie sprawę, że nie byłby w stanie zachowywać się w sposób, w jaki wówczas się zachowywano, ani wobec kobiet, ani nawet wobec mężczyzn, na pewno też nie wobec dzieci.

Wszelako wszystko to nie chroniło przed oskarżeniami fałszywymi. Stąd wzięła się idea ubezpieczenia prawnego: ciągłego monitoringu wszystkich pomieszczeń. Też nie wyskoczyła nagle z głowy żadnego technokraty. Rozwinęła się sukcesywnie z sieci dozoru strażniczego i alarmów przeciwwłamaniowych, a przede wszystkim z rozległych sieci CCTV. Bowiem już w latach zerowych ponad połowa terenów publicznych w megapoliach, a także w samodzielnych strefach suburbyjskich, objęta była stałym monitoringiem kamer closed-circuit TV. Jeszcze w XX wieku FBI mocno zainwestowała w

program ich miniaturyzacji Infrastruktura była więc gotowa i tylko czekała na wykorzystanie. Niedługo zresztą. Na prawników zawsze można liczyć.

Sygnał z CCTV szedł bezpośrednio do komputerów notarialnych, a całość instalacji i połączeń była regularnie kontrolowana przez ekipy zaprzysiężonych techników. Sieci ubezpieczenia prawnego stanowiły od lat powszechnie obowiązujący kanon, całe dotychczasowe życie Hunta przebiegało na oczach kamer i wcale szczerze chwalił sobie Nicholas gwarantowane przez nie poczucie bezpieczeństwa i pewności formy.

Gdzież te dni romantycznych miłości – wzdychał jednak w duchu Hunt, zanurzając się w gorącej kąpieli -gdzie te nagłe zauroczenia, pocałunki skradane w przelocie, dwuznaczne konwersacje, szybki seks w windzie, dziewczęta swobodnie roześmiane w słońcu poranka, uliczne kusicielki krągłobiodre – gdzie to wszystko się podziało? Ocalało jedynie na filmach, w książkach. Dziś, gdy się zakochasz, gdy się tak naprawdę zakochasz na umór – czym prędzej dzwoń do psychoanalityka on-line, bo inaczej już po tobie: palniesz jakieś głupstwo i złamiesz sobie życie.

Ale zdawał sobie sprawę, że to tylko poza. Gdyby naprawdę miał wybór, niczego by nie zmienił. W jakimś sensie wciąż pozostawał arystokratą: system go zadowalał.

Vassone siedziała na balkonie swego hotelowego apartamentu i czytała pamiętnik Czarnego.

Nie pamiętam dokładnie pierwszych stów. Zadzwoniła przez pomyłkę. Tak właśnie zaczęła się tłumaczyć: prz-praszam, pomyłka. Byłem akurat przy teleskopie, jej głos szemrał mi w rytmie rozbłysków pulsara. – Nic nie szkodzi – powiedziałem do pierścienia – ale jakim cudem udało się pani pomylić? – Bo ja dzwonię ze starego, tarczowego aparatu mojej babci, nie bardzo umiem się nim posługiwać, musiałam źle wykręcić. – Wtedy ja pytam o babcię, a ona opowiada zabawną historię o wieloletniej walce staruszki z wrednym sąsiadem, który trzyma psa, co bardzo głńso szczeka i nie daje babci spać. Słychać w głosie dziewczyny jakieś roztargnienie, smutek przepędzany słowami – zapewne paplałaby tak, do kogokolwiek by się dodzwoniła. – Co się stało? – pytam. – Ach, widzi pan, ona umiera. – Bardzo mi przykro – mamroczę. – Umiera, umiera i umiera – wybucha dziewczyna – tkwię tu przy niej już trzeci tydzień, to nie do wytrzymania! – Aha, i postanowiła się pani zabawić w teleconfession? -A cóż to takiego? – Nie słyszała pani? Następny krok w ewolucji party-phones: jeśli chcesz z kimś anonimowo porozmawiać, o nie stać cię na analityka, dzwonisz pod numer firmy, która losowo wybiera ci rozmówcę. Ty nie znasz jego numeru, on twojego; na żądanie firma łączyć was będzie

ponownie. Możecie być wobec siebie całkowicie szczerzy, nigdy się nie spotkacie, nigdy nie poznacie, bo, i tu leży rewolucyjność przedsięwzięcia, turingówka firmy monitoruje wasze rozmowy i uprzedzi wszelkie próby przekazania informacji identyfikujących. Czyż bowiem w istocie nie chodzi jedynie o to: o pretekst do artykulacji swych myśli! One nie są skonkretyzowane, póki nie zostaną wypowiedziane, i dopiero gdy usłyszysz ze swych ust słowa opisujące twe uczucia, dopiero wtedy je naprawdę poznajesz Trzeba pretekstu do monologu. Teleconfessions go zapewniają. Mówisz w powietrze, powietrze odpowiada. Nie ma się czego bać, pustce możesz zaufać. Naprawdę nie słyszała pani? – Nie. Ale właśnie coś takiego by mi się przy dało – Cóż, proszą zatem mówić, mam czas. – Kazałem kompo wi wycelować teleskop w tarczę Księżyca. W uchu szemrał mi jej oddech. Nie pamiętam dokładnie tych wszystkich słów, jej i moich, to zapewne nie tak było, pamięć musiał mi w międzyczasie sporo zafałszować – ale ogólne wraże nie pozostało chyba (chyba!) prawdziwe. – Właściwie nie wiem, co mówić – szepnęła. – Przeraża panią śmierć?-Przeraża? Czyja śmierć, jej? – Nie, śmierć w ogóle. -To znaczy: moja? – Nie. Śmierć jako zjawisko. Że coś takiego w ogóle jest możliwe. Duch wychodzi z ciała, sen bez dru giego końca, utrata przytomności ze świadomością nie możności powrotu. Jedno krótkie spojrzenie na pożegnanie się z całym światem. A potem już tylko mięso i koci i krew, i nie ma to już imienia, nie jest niczyim ojcem, ni czyim bratem. Mózg – kupa neuronów. Ciemność, cisza brak jakichkolwiek doznań, jeszcze tylko parę zagubio nych ech bólu, spięcia poboczne – i koniec, entropia. – Mówi pan, Jakby sam już kiedyś umarł. – Ach, bo tak jest, tak jest. – Żartuje pan. – Skądże. Wie pani, co to znaczy odbierać cudze myśli? To nie znaczy: słyszeć mamrotane sobie w ich głowach słowa. Nie znaczy: oglądać ich wspomnienia jak na ekranie. To znaczy: być nimi. Być. Jeśli pani czuje zimno – to w jakimś sensie jest pani tym zamarzającym w śnieżnej zaspie pijakiem. Co innego nas określa, jeśli nie psychiczne i fizyczne doznania? A więc także śmierć. – Zaraz-zaraz… pan mówi, że jest tym, no, telepatą? – Przez telefon mogę być, kim tylko pani zechce. – Ale pan to mówił serio! – Ee, nabierałem panią. – Co, do cholery, niech pan się nie wygłupia! Proszę mi teraz powiedzieć szczerze: to prawda? Słyszy mnie pan? Halo? Czy to jest prawda? Ja nie żartuję i nie chcę, żeby pan żartował. – Ale co pani da moje słowo, jestem tylko głosem w słuchawce, nie istnieję dla pani, mogę pani wciskać dowolne łgarstwa. – Tak. Ale właśnie dlatego, że tylko głosem w słuchawce… Może pan sobie pozwolić. Ja chcę wiedzieć. -W każdym razie zdołałem odciągnąć pani uwagę od konającej babci, co? – Na miłość boską, niech pan mi powie: czy to prawda? – Tak. – I rozłączyłem się.

Jakoś uszło mej uwagi, że to nie było prawdziwe teleconfession.

Ona musiała pamiętać ten numer, pod który chciała się była dodzwonić. Dwie noce później znalazła mnie, pracowicie sprawdzając wszystkie możliwe kombinacje. Tak to się zaczęło. Chciała rozmawiać. Więc rozmawialiśmy. Pierwsze pytanie było o to, czy ją też „czuję", Wyrzuciłbym telefon, gdyby tak było. Więc nie lubię tego? Nie,, nie lubię. Dlaczego? I jęła drążyć temat. Przecież to fascynujące: znać myśli, uczucia, ciała innych ludzi. Tak, odpowiadam jej, ale skoro je znasz, to już nie są to „inni ludzie" i rzecz cała wygląda bardziej na skomplikowany przypadek schizofrenii niż telepatię taką, jaką sobie ludzie wyobrażają na podstawie filmów i książek. A przez telefon? Przez telefon nie. Pani jest prawdziwa, z panią mogę rozmawiać – bo pani jest obca. I tak dalej, i tak dalej.

W tamtym okresie stanowiłem dla niej raczej swego rodzaju interesujący okaz zoologiczny, osobliwość do podziwiania w niemym zachwycie i przerażeniu. A byla w tych swoich dociekaniach tak nieskrępowana, bo w gruncie rzeczy nie wierzyła mi, nie byla w stanie uwierzyć. W końcu przerodziło się to w prawdziwą więź teleconfession: dzwoniła niemal co noc, porozmawiać o minionym dniu, zwierzyć się, wyspowiadać. Potem babcia wreszcie umarła. Ona jednak nie przestała dzwonić. Wróciła do siebie, zabrała się do przerwanej pracy nad jakimś zamówionym przez Brukselę programem analizy demograficznej. Zaczęła mnie nazywać swoim przyjacielem. Opowiadała mi o sobie rzeczy, o które w ogóle nie pytałem, potrafiła mówić bez przerwy przez całą godzinę, skacząc z tematu na temat, dokonując natychmiastowych introspekcji i tłumacząc się z własnych reakcji. Nie musiałem odzywać się m słowem. W gruncie rzeczy potrzebna jej była jedynie świadomość, że ktoś słucha. Miała jakiegoś stałego kochanka, choć bez spisanej umowy. Nie powiedziała mu o mnie, Lecz mnie o nim opowiadała do świtu. Ach, żadnych zahamowań, gdy rozmówca obcy na wieki! Cóż za wspaniały wynalazek, te teleconfessions. Jesteś moim aniołem stróżem, jesteś moim nocnym powiernikiem, Czarny. Potem kochanek ją porzucił. Jesteś moim jedynym przyjacielem, Czarny. Co dziś oznacza słowo „przyjaciel"? Cichy oddech na drugim końcu linii? Czy prawdziwa bliskość jest możliwa jedynie w absolutnym oddaleniu? Znajomość w nieznajomości? Miłość w obojętności? Depresyjne to były noce. Nie zaakceptowali jej programu. Właściciel podniósł czynsz. Kaukaska pszczoła, jeden z tych mutantów popro-miennych, użądliła ją w bark: na kilka dni spuchł tak potwornie, że nie mieścił się w żadnym ubraniu. Opowiadała z detalami. Co to za życie, mój Boże, ani do kogo gęby otworzyć, ani po co czekać przyszłego tygodnia. Gdyby nie ty, Czarny, strzeliłabym sobie keuorkiankę. Wtrącałem uspokajające słowa. Ale gdy już doszła do siebie, stała się jeszcze bardziej niebezpieczna. – Teraz widzę jasno -oświadczyła twardo. – Ja ciebie

kocham, Czarny. Nie po pełnię błędu, nie poddam się. Wiem, że to zastrzeżony numer. Zapożyczę się, wynajmę firmę detektywistyczną, znajdą cię. – Nie rób tego. – To przeznaczenie. Jesteś sensem mego życia. Jesteś najlepszym, najmądrzejszym człowiekiem, jakiego spotkałam. – Me bądź głupia, nie można zakochać się w głosie w kolczyku. – A skąd ty to możesz wiedzieć? Sam mówisz, że nigdy nie kochałeś. – Ale byłem tymi, którym wydawało się, że kochają. Nie zbliżaj się, proszę. Zaleje nas czerń. – Drugiego takiego pesymisty ze świecą szukać. Nie wierzę w tę twoją czerń. Ludzie nie są całkowicie i co do jednego źli. – Czy to jest zło? Czy ja mówię, że to jest zło? – Boisz się, że przyjadę i wejrzysz w moje myśli. – Tak. Nie można lubić kogoś, do kogo czuje się obrzydzenie. – Czy to jest właśnie to, co czujesz do ludzi? Obrzydzenie? Ludzie cię brzydzą? Jezu Chryste, Czarny, ty powinieneś się leczyć, przecież to jest choroba psychiczna. – Więc właśnie. Daj sobie spokój z wariatem. – Ani mi się śni. – Proszę cię: nie rób tego. – Ja nie zrezygnuję. -I faktycznie, nie zrezygnowała. Przez dzień przemyślała sprawę i następnego wieczoru przedstawiła swój pomysł. -Wiem, jak to przeskoczyć – rzekła. – Teraz, przez telefon, zanim się spotkamy twarzą w twarz, teraz ja sama opowiem ci wszystkie moje tajemnice, najciemniejsze sekrety, najgorsze wspomnienia. Raz na zawsze rozbroję tę bombę. – Była tak zdeterminowana, że na nic zdały się moje prośby i tłumaczenia. Jak dobrze ja znam – z „autopsji" – ów charakterystyczny stan wzniosłego zaślepienia, przekonanie o własnych racjach połączone ze szlachetną gotowością samopoświęcenia. Młodym w ogóle nie przychodzi do głowy szukać w tym przejawów zimnego egoizmu, mają się za półaniały miłości, karierę poświęcą, życie poświęcą, wszystko poświęcą – dla drugiego człowieka, bezinteresownie. Nierzadko żyją w tej iluzji latami całymi. Miłość, miłość, miłość. Potem egoizm wskazuje im inny kierunek -i nagle okazuje się, że to była pomyłka, że jednak istnieją pewne warunki, że ów związek od początku stanowił rodzaj transakcji wymiennej. Czyż nie to właśnie przydarzyło się temu jej kochankowi? Lecz ona sama nadal nic nie rozumie. Na to nie ma lekarstwa. Możesz przechodzić przez to niezliczoną ilość razy i nie zyskasz odporności. Mogą ci tłumaczyć i tłumaczyć – nie dociera. To psychologiczny idiom. Nie do przełożenia. Lustro weneckie: z zewnątrz widać, z wewnątrz nie. Mami cię twe własne odbicie. – Weszli, gdy się masturbowatam – szeptała mi do ucha. – Myślałam, że się zabiję. Żeby sobie potem chociaż żartowali! Żeby wyśmiewali! Ale nie. Tylko te spojrzenia, tylko te miny, jakbym była trędowata. A oni to co, święci? – Szeptała: – Ja już chciałam wziąć poduszkę i udusić ją. To było nie do wytrzymania. Śmierdziała. Noce i dnie charczała jak zagoniony koń, taki śluz ciekł jej z nosa, ślina z ust, musiałam to ścierać. Robiła pod siebie. Musiałam ją myć. Czy ty, Czarny, masz

pojęcie…? Parę takich dni wystarczy, żeby zwątpić w istnienie na świecie jakiegokolwiek piękna, zapomnieć o radości. Szkoda, że w naszym landzie nie obowiązuje ta ustawa o eutanazji. To przecież jest nieludzkie, jak można pozwolić na taką ohydę. I już, już miałam poduszkę w rękach. Ja, widzisz, ja jednak dostrzegam w tym grzech. Nie rozumiem. Wraca i wraca. Na pewno zobaczysz, gdy przyjadę. To dlatego wtedy zadzwoniłam. Musiałam do kogoś zadzwonić, bo bym to zrobiła, naprawdę bym to zrobiła, Czarny, wiem, że tak. – Szeptała: – Przez trzy miesiące to trwało, traktował mnie jak niewolnicę, jak dziwkę, wstępował niczym do burdelu, ale ja nic nie widziałam, ja go kochałam, Jezu, jak ja go kochałam. A on miał tę damulkę z Zakopanego i tę rudą zdzirę. I nawet nie chciało mu się zaprzeczać! A ja byłam taka młoda i głupia, wzięłam to do siebie, myślałafn, że tak to już jest. Jak ja sobą pogardzałam…! Nie masz pojęcia, jak to mnie dręczy, do dzisiaj wściekam się i czerwienię na samo wspomnienie. – I tak dalej, i tak dalej, czerń sączyła się w mój umysł na falach jej głosu.

Nie było sensu, żeby się rujnowała na detektywów -sam podałem jej adres. Prosiłem o noc, i przyjechała nocą. Czekałem pod werandą. Zaparkowała kilkanaście metrów dalej, żwir chrzęścił pod oponami wolno toczącego się luuca, głośniejsze były świerszcze. Ona wysiadła – i to już było za blisko. Och, wcale nie jest taki przystojny, jak sobie wyobrażałam. No, co za ponura mina, twarz jak zamrożona. A uśmiechnij się. Eee. No, dziewczyno, wciągnij brzuch, pierś do przodu. Nie ruszy się? Nawet nie mrugnął. Róbmy dobrą minę, róbmy dobrą minę. – Nie musisz się tak wysilać – rzekłem jej. – O co ci chodzi? – zmarszczyła brwi, zatrzymując się krok ode mnie. Jej myśli zalewały mnie wodospadem brudu. Strach: a jak rzeczywiście telepata, a jak czyta, jak widzi, jak czuje…? I: co ja tu robię, przecież ja go nie znam. I: nie myśleć o tamtym, tylko o tamtym nie myśleć. Tamto: jej seksualne fantazje, gdy tutaj jechała. Mój abstrakt z twarzami jej kochanków, rytuały upokorzenia, reminiscencja z dzieciństwa, spokój w ramionach ojca. – Nie jestem twoim ojcem – powiedziałem. Zachłysnęła się. Strach, strach, strach. Mimowolnie – krok w tył. Czerń bucha mroczną fontanną, nagle zalewają mnie obrazy, głosy, odczucia i uczucia, myśli kalejdoskopowe, rwane i sklejane podług obcych mi skojarzeń. Czerń, czerń. O czym myśleć nie chce, co usiłuje ukryć -a więc tym właśnie aktem negacji wywołuje je z pamięci niezorganizowanej. Cóż znaczą słowa, nic nie znaczą. Opowiedziała – ale teraz ja jestem tym wzgardzonym, tym poniżonym, stoję nad mą babką z poduszką w dłoniach, poddaję się, pijany, pieszczotom anonimowego kochanka o wódczanym oddechu, okłamuję rodziców, podkradam pieniądze przyjaciółkom… nawet by opowiedzieć wszystko, nie miała siły, ani wiary. Teraz patrzę na siebie, patrzę sobie w oczy, i widzę to wiedzę, widzę jedność, to jest człowiek, i on wie,

on wie o mnie wszystko, jest mną, patrzy, patrzy…! Przerażenie – lecz przede wszystkim: wstyd, wstyd tak potworny, że tłumi nawet wściekłość na samą siebie. Co robić, ręce się trzęsą, myśli się trzęsą, skurwysynu, kto ci dał prawo… Ja nie mogę, nie mogę! Odwróciła się pobiegła do samochodu, odjechała. Nie wiem, czy wszystko to trwało bodaj minutę. Wróciłem do teleskopu, do gwiazd, które są tak piękne – bo nieskończenie odległe, niedosiężne.

Potem zadzwoniła tylko raz, mniej więcej po tygodniu.

– Teraz wiem, czym miłość nie jest -powiedziała.

Odezwał się sygnał w jej kolczyku i doktor Vassone odłożyła ledpad. Ścisnęła pierścionek.

– Przekazałem pani propozycję. Nie odmówił z góry. Jest potwierdzenie przelewu honorarium. Dziękuję.

– To ja dziękuję.

Prawie natychmiast kolczyk odezwał się ponownie.

– Mamo?

– To ty, Jas?

– Miałaś się odezwać.

– O, przepraszani, znowu zapomniałam, co?

– Z tobą już wszystko dobrze? Przeszło ci? Powiedz prawdę.

– Przeszło, przeszło. Nie przejmuj się, to nic takiego.

– Nie przejmuj się! – wybuchnął Jas. – Czy ty widziałaś swoją twarz? Powiedzieli, że sama sobie to zrobiłaś! W co ty się wdałaś? Może ty się czymś zaraziłaś od tych swoich świrów, co?

– Rewolucjonizujesz psychiatrę, Jas. Jak wyglądają owe zarazki chorób psychicznych?

– Taak. Przepraszam, że zadzwoniłem. Cześć.

– Jas! Cholera, nie gniewaj się. Słuchaj, było mi bardzo miło, że siedziałeś tam wtedy przy mnie, naprawdę, W ogóle… szkoda, że się częściej nie spotykamy.

– Tu masz rację. Telefon wymusza nieszczerość. No ale czyja to wina? Wróciłaś do Bostonu i nawet nie dałaś znaku. Gdyby nie ten wypadek, pewnie w ogóle byśmy się nie spotkali. A jeśli już, to o czym rozmawiamy? O pieniądzach. O moich stopniach. O twoich tajemnicach.

– A o czym chciałbyś porozmawiać?

– O czym? No…

– Widzisz.

– Mój Boże, my już nawet nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Jesteś moim synem, moim jedynym dzieckiem.

– Mam jakiś znak na czole? Zadzwoń, jak znowu ci odbije. – I rozłączył się.

Na czym to polega, że psychoterapeuci, psychologowie,

psychiatrzy – im najtrudniej dogadać się z ludźmi, wytrwać w jakichś stałych związkach, ułożyć sobie życie…?

Przeszła z balkonu do wnętrza apartamentu, skręciła do barku. Zastanawiające, myślała, dla Numeru 5 i pozostałych zbliżenie do drugiego człowieka oznacza zagrożenie dla ich osobowości – a czy stopniowo sami nie upodabniamy się do nich? Nalała sobie rumu, pociągnęła łyk.

Czy zostało jeszcze cokolwiek do „uzdatnienia"? Czy następny krok to właśnie wszczepki? Całe społeczności złożone z osobników zaimplantowanych, przeżywających swe życie poza światem realnym, w symulowanych przestrzeniach OVR? Wszczepki montowane już w fazie prenatalnej, dzieci rodzące się ze zmysłami otwartymi na rzeczywistość wirtualną, a zaczopowanymi dla rzeczywistości pozakomputerowej – więc już oczy niepotrzebne, uszy niepotrzebne, żaden organ zmysłu niekonieczny, niekonieczny cały ten biologiczny interfejs mózgu zwany ciałem. Rozwijasz się od zygoty w inkubie i w nim już pozostaniesz, nie będzie momentu narodzin, inkub wszak zapewni twemu organizmowi wszystko, co jest wymagane dla długiej, bezpiecznej egzystencji. Czy to jest prawidłowa ekstrapolacja – ziszczenie owych klaustrofobicznych wizji rodem z przeterminowanej SF?

Co, u licha? co ja piję? rum? Przecież ja nigdy nie lubiłam rumu…!

Mm… nawet smakuje.

4. Pająk nocą

Ronald Schatzu zjawił się w Centrali wczesnym rankiem. Po drodze z lotniska zdążył tylko zostawić bagaże w hotelu. Podczas jazdy na najwyższe piętro budynku winda poinformowała go, iż ma się stawić w pokoju numer 12 u pana Anzelma Preslawny'ego. Wyszedłszy na pusty korytarz, przez chwilę śledził wzrokiem numerację pomieszczeń (komputer Centrali najwyraźniej nie dysponował odźwierniczym interfejsem A-V). Korytarz był pusty i cichy.

Stanął przed drzwiami nr 12, odczekał stosowną chwilę, po czym wszedł. Zza zastawionego tekturowymi pudłami biurka zgromił go wzrokiem rzeźbiony blondyn. Schatzu trafił oto na najgorszy z możliwych nastrojów Anzelma.

– To pan jesteś ten mądrala od Wojen Monadalnych? – warknął nań Preslawny. – Dobra, mam tu właśnie coś akurat dla domorosłych geniuszy. Łap się pan za to. Ronald odruchowo chwycił dysk.

– Hej, moment, może by tak wpierw dzień dobry, kawkę, papieroska…

– Nie jesteśmy pod siecią, boją się tu włamań do maszyn notariuszy. Więc wypchaj się pan.

– To co, uprzejmość i dobre wychowanie wiszą już tylko na sieci ubezpieczenia prawnego? – Ronald pozwolił sobie na odrobinę irytacji, tyle, ile wymagała sytuacja.

– A coś pan myślał? – zgasił go Preslawny. – No i co tak sterczy, podeszwy się przykleiły czy co? Nie wiem, co pan sobie wyobrażał – że te parę słów rekomendacji od Bronsteina zrobi z pana taką szychę, że na kolana padniemy na pański widok? Mnie tu pisze – dźgnął palcem gdzieś między pudła – że przydzielili pana do roboty. To nie wycieczka po fabryce czekoladek. Bierz się pan do pracy, bo postaram się, żebyś dostał na wylocie taką opinię, po której zwątpią w pańską DNAM.

Schatzu nie pozostało nic innego, jak podporządkować się Anzelmowym poleceniom. Jego słowa bolały tym bardziej, że poniekąd oddawały faktyczne nastawienie Ronalda, który, otrzymawszy po kilku tygodniach zakulisowych machinacji dostęp do raportów Zespołu i rozwinąwszy odważnie teorię Wojen Monadalnych, był już pewien szybkiej i efektownej kariery. Wystarczająco długo czeka! na oficjalny przydział do Zespołu. Tymczasem tu co? – pomiata nim jakiś nędzny pomagier Hunta!

Przydzielono Schatzu mały, pozbawiony okien pokój na górnym piętrze Centrali. Schatzu wszedł, zamknął za sobą drzwi, usiadł za biurkiem, włączył kompa – i tu go dopadł gniew, na nich i na siebie, a

na siebie większy, bo wyszedł we własnych oczach na głupiego żółtodzioba, infantylnego romantyka. Urażona duma, bez wątpienia. Uczucie samo w istocie cokolwiek dziecinne – ale jednak przecież bardzo pożyteczne, silnie motywujące. Psychoanalitycy wytłumaczyli mu to niezwykle dokładnie: buduj na wadach, na ciemnych stronach, chciwości, żądzy dominacji, egoizmie, one cię nie zawiodą. Ale bądź w tym kon-sekwentny i nie bądź hipokrytą.

Wsunął dysk Anzelma do stacji. Kilkanaście zdań, nic więcej. Zamówienie na raport na temat masowych szaleństw, sekt i pochodnych, samobójstw, nawiedzeń, trendów religijnych. Żądane ujęcie holistyczne, synteza i propozycje wyjaśnienia.

I akapit sygnowany przez Anzelma:

To dla N. Hunta. Nie pakować giga danych i listingów bibliografii. Nie sugerować się Programem Kontakt i resztą. Niczym się nie sugerować. Otwarty umyśl, nowe idee i tak dalej; standard. Byty już opracowania na ten temat, dużo opracowań, więc sporo trzeba, by przebić. To nie ma być praca naukowa: Hunt chce coś do poduszki.

Hunt chce coś do poduszki! Hunt chce coś do poduszki! Schatzu mało szlag nie trafił. Pięknie, wprost wspaniale! Co za awans zawrotny! Nadworny bajkopisarz mandaryna! Skurwiele. Nie będzie tu rozwieszał kopii swych dyplomów, nie. Za kogo oni mnie mają? Nie czytali mojego opracowania o Wojnach? Już ja im dam, już ja im pokażę, mózgi im się sfajczą!

I tak sam siebie podładowywał, adrenalinując się wściekłością i samoupokorzeniem – aż przekroczył próg i momentalnie wychłódł, uspokoił się, zrelaksował, jego myśli stały się kryształowo symetryczne i przejrzyste oczyszczone ze wszystkich zwierzęcych emocji.

Zazezował boleśnie i szepnął hasło. Wszczepka uaktywniła się w domyślnym trybie półzaślepu jednozmysłowego, na wzrok.

Większość zaszczepionych, raz ją włączywszy, nie wychodziła już z OVR, choć zazwyczaj chowali wszystkie nadmanifestacje dla uniknięcia dezorientacji, ograniczając się do użytkowego MUI – ale Ronałd postawił sobie za punkt honoru nie dopuszczenie do podobnego uzależnienia.

Preferował klasyczne, bardzo ograniczone wizualizacje. Wszedł w OVR. Menadżer automatycznie załogował go na najbliższym otwartym serwerze, w tym wypadku -piorruńsko szybkim Animo 4 Zespołu.

Oczywiście nie było żadnych Matryc, żadnych Metaversów, Cyberplanów… Co prawda Microsoft próbował wymuszać na użytkownikach masowe podłączenie do swojego Pałacu, z premedytacją tak wąsko specjalizując swój soft ware – jednak kolejne wersje jego systemów padały, każdy od dwakroć większej liczby bugów i pomimo wielkiej ofensywy inżynierów memetycznych firmy,

snobistyczny memotrend pogardy dla MSMiazgi nie został przełamany. Nie istniał zatem jeden ogólnoświatowy standard wizualizacji OVR.

Trwała natomiast wojna protokołów. Zwyciężały postlinuxowe CIOT-y, które znajdowały się na najlepszej drodze do osiągnięcia niegdysiejszej pozycji HTTP. Customising In/Out Transfer Protocol – a Ronald korzystał z ostatniej jego mutacji – pozwalał wszczepkom idealnie dostosowywać format MUI do aktualnej przepustowości łącz HFT, wielkości pamięci operacyjnej wszczepki oraz stopnia tłoku na gwieździe/serwerze. Pierwsze Hamaby niewiele potrafiły, toteż większość pracy musiała być wykonywana na serwerach, co mściło się w prawie nierealistycznych wymaganiach względem przepustowości łącz. Podówczas wszakże nie stanowiło to takiego problemu, bo całkowita liczba ludzi zortowirtualizowanych pozostawała niska.

Schatzu znajdował się pośród tych pionierów. Od początku postawił na wszczepkę, wiedział, że to jest przyszłość. Jeszcze na studiach zaciągnął kredyt na serię operacji mikrotrepanacyjnych oraz implantację nanosieci nakorowych stymulantów neuronowych – wciąż go spłacał Z punktu widzenia czysto finansowego był to okropny błąd, bo przez te kilkanaście lat technologia się upowszechniła i założenie wszczepki stało się rutynowym zabiegiem, który dziś nawet nie bardzo by nadszarpnął budżet Schatzu. Lecz Ronald patrzył na to w inny sposób: oto załapał się na ostatni wagon pociągu do nowej ery, a doprawdy niewielu z jego pokolenia nań zdążyło. Wszczepki stanowiły technologiczny wyróżnik społecznego przejścia fazowego, które Schatzu przeczuwał już dekadę wcześniej. Na tym właśnie polegał jego talent: na wizjonerskiej indukcji w skali całej cywilizacji. Dobrze wiedział, że za plecami przezywano go „synem Krasnowa" (dla niektórych brzmiało to omal jak „Syn Sama"), i nawet się nie gniewał. Tekst o Wojnach Monadalnych stanowił jedynie ostatni przykład, wcześniej Ronald „przepowiedział" między innymi polityczne i kulturowe implikacje eskalacji IEW, której aktualnie byli świadkami.

Już go nawet nie dziwiły pozytywne weryfikacje własnych prognoz. Osobiście nabrał z czasem przeświadczenia, iż w proces ich tworzenia zaangażowane są jakieś podpowierzchniowe mechanizmy jego umysłu, których nie był świadom ani on, ani jego psychoanalitycy, ani jego designerzy.

Zupgrade'owana Hamaba Schatzu dysponowała pamięcią pozwalającą na samodzielne utrzymywanie i przeliczanie w czasie rzeczywistym sześciozmysłowego sensorium (słuch-wzrok-dotyk-węch-smak-błędnik). W zwykłym trybie z sieci ładowano więc jedynie przycięte podług CIOT-y: pakiety aktualizacji zmiennych i (z rzadka) pełne pliki środowiskowe. Dzięki temu Schatzu mógł wchodzić gładko w pełny zaślep interaktywny nawet w godzinach szczytu w samym

sercu NYC.

Defaultowy MUI Ronalda był całkowicie przezroczysty. Makra podczepione miał pod mięśnie oczne. Schatzu zazezował w lewy górny róg swego gabinetu. Z sufitu rozwinęła się i zesztywniała płachta ledjedwabiu (OVR only), na tym ekranie ruszył emulator starożytnego oesu 2D.

Wywarkując w OVR krótkie komendy (menadżer, niczym dobry wiktoriański kamerdyner, po tylu latach rozpoznawał już kaprysy swego pana z lekkiego drgnięcia jego mięśni mimicznych), zapuścił swą przeszukiwarkę, ustawioną podług nieostrego kodu tematycznego, po czym sortował znalezione pliki według daty i wybrał jeden z najświeższych. Był to sporządzony przez LAPD w standardowym dla policji, agend i instytucji rządowych trybie A-V, zapis z „miejsca zbrodni".

Pomieszczenia objęte dwuzmysłowym konstruktem zostały zeskanowane na tyle dokładnie, by dopuścić pewną dowolność w sposobie odtwarzania danych: Schatzu mógł swobodnie przemieszczać się po mieszkaniu, poruszać przedmioty, otwierać meble, kucać i podskakiwać. Takie skany od kilkunastu miesięcy stanowiły dopuszczalne przez sądy dowody rzeczowe, policja wynajmowała do ich sporządzania specjalistyczne firmy.

– Pomoc – mruknął Schatzu, kilkrakrotnie przeszedłszy się po pokoju tam i z powrotem.

Na łóżku pod holoplakatem DeVonne'a zmaterializowało się półnagie ciało dziewczyny.

Ze ściany wyszedł Humphrey Bogart. Dotknął palcami ronda kapelusza, wyjął z kieszeni płaszcza papierosy, zapalił, zaciągnął się.

– Kevorkianka chemiczna na bazie barbituranów – powiedział. – Ona została znaleziona przez swego byłego chłopaka. Nie zostawiła listu, ale jest coś w rodzaju pamiętnika. Potwierdzone wieloletnie kontakty ze Zbawicielami Świata. AT amp;T dostarczyła jej billing, w ostatnim miesiącu blisko dziesięć godzin z psychoanalitykami on-line. Medykator odmówił nam wglądu w ich save'y. Sekcja niczego nowego nie wykazała. Przesłuchania Zbawicieli poprzez ich jurydykatora – w toku. Aktualna hipoteza: samobójstwo po załamaniu nerwowym na tle religijnym. Pytania? Dane osobowe?

– Wejdź pod spód.

Bogart uśmiechnął się i zniknął, ale dym z papierosa pozostał: aplikacja wciąż działała.

Schatzu usadowił się wygodniej w fotelu i podszedł do ciała samobójczyni. Odebranie sobie życia nie powinno być tak łatwe, pomyślał. Dziewięćdziesiąt procent tych, którzy decydują się odejść na zawsze w krainę ekstatycznych snów przez połknięcie tabletek o gwarantowanym przez specjalistów działaniu – zaniechałoby, gdyby

przyszło im wieszać się na kablu, skakać z mostu czy dachu wysokościowca albo ordynarnie podrzynać sobie żyły. Uestetycznienie i uprzyjemnienie aktu samobójstwa poważnie obniżyło próg koniecznej dla jego popełnienia determinacji, dziś wystarczy byle kłótnia z szefem, chwilowa depresja. Cóż się dziwić, że zabijają się ludzie, którym po prostu wyprano mózgi. Zbawiciele Świata… To przynajmniej jest jakiś powód.

Po śmierci była bardzo piękna, piękna owym asymetrycznym pięknem epoki indywidualnej rzeźby genetycznej. Dotknął jej policzka. Oczywiście nic nie poczuł, palce przeszły jak przez mgłę (A-V: dźwięk i obraz). Leżała z dłońmi wplątanymi w gęste, kruczoczarne włosy, ręce miała ułożone na wysokości głowy. Kolczyk w lewym sutku. Przyjrzał się – nic oryginalnego: wąż połykający swój ogon.

– Pamiętnik – rzekł Schatzu.

Dym papierosowy ułożył się w klin, który wskazywał pod szafkę z książkami. Ronald pochylił się i „podniósł" brulion. Został on zeskanowany bardzo dokładnie, można było przewracać poszczególne strony. Znalazł ostatnie zapisy. Głównie wiersze, statystyki dnia codziennego bardzo mało.

Co prawda do owego syntetyzującego raportu dla Hunta niewiele mu się to wszystko przyda (jeśli w ogóle), ale Schatzu zawsze wychodził od szczegółu, zaczynał w skali mikro. Stąd ta wirtualna wizyta u świeżej ofiary trendu, który miał zdiagnozować. Muszę poczuć smak, zwykł mawiać. Jakie posiadałby prawo do projektowania jachtów nie odbywszy nigdy ani jednego rejsu?

Taka metoda dogłębnego Einsichtu bywała bardzo wyczerpująca, czasochłonna i czasami prowadziła na manowce – niemniej dawała Ronaldowi bezcenne poczucie uczestnictwa, internalizacji trendu, co było konieczne, by podświadomość Schatzu w ogóle ruszyła z miejsca.

Przeskoczył od razu do ostatniej zapisanej kartki pamiętnika. Charakter pisma dziewczyny był dobrze wyrobiony, kształt liter i styl wiązania linii przywodziły na myśl dziewiętnastowieczną kaligrafię, doprawdy rzadkość w epoce dyktafonicznych edytorów tekstu. Musiała być spokojna, gdy to pisała. To nawet nie wiecznopis, to pióro. Taki piękny charakter.

kuglarz idei
agent terenowy transcendencji
komiwojażer zbawienia
domokrążca absolutu
zawsze duży ruch w interesie
Apokalipsa jutro
Pieniądze dzisiaj
szaleńcy za premią za szkodliwe warunki pracy
teodycea po godzinach

na kolana dziecko
ukorz się
ja wiem
wiem wszystko
mnie ufaj
mnie wierz
ja ci nie skłamię
oto jest Prawda
oto jest Fałsz
aż bije po oczach
ostra i prosta linia podziału
pomyłki wykluczone
w razie reklamacji zwrot duszy gwarantowany
ale
po odejściu od
po odejściu z
po odejściu w
– reklamacji nie uwzględnia się
tak dziecko
wszyscy musimy odejść spójrz mi w oczy masz trzymaj ten ostatni nabój dla ciebie dobrze mierz celnie się módl jestem z tobą kocham cię

W identycznym nastroju co Ronalda, przywitał Anzelm Hunta.

– Co ci tak mordę pogięło? Znowuś palnął jakąś głupotę?

– Ech – stęknął Anzelm. – Zsyłają mnie do Hacjendy. – Co?

– Jutro lecę.

– Skąd to przyszło?

– Nawet nie pytaj, to robota pułkownika, czującprzez skórę.

– Gdzie on?

– A u siebie.

Pułkownik Fortzhauser właśnie rozmawiał przez telefon. W cywilnych ciuchach wyglądał na gliniarza z dzielnicy gangów, albo i jeszcze gorzej. Był rówieśnikiem Hunta, lecz nie miał tak dobrze wyrzeźbionego DNA i na jego twarzy już pojawiały się pierwsze zmarszczki. Rozmawiając przez telefon, szeptał i zasłaniał usta dłonią z sygnetem.

– Co to za numer z Preslawnym?

Fortzhauser, zakończywszy rozmowę, milczał jeszcze przez chwilę, po czym wzruszył ramionami (jeden z nielicznych europejskich memogestów z powodzeniem przekopiowanych do amerykańskiej kulturosfery).

– Nie sądzi pan, że Preslawny przyda się bardziej w Hacjendzie? – mruknął.

– Kto tu jest szefem?
– Pan nie jest pewien?
– Czy to jest zemsta?
– Za co?
– Musi pan wciąż odpowiadać pytaniem na pytanie?
– Bo co?
Hunt wyszedł trzaskając drzwiami.

Anzelm Preslawny kończył się pakować. Opróżniał szuflady biurka do dwóch plastikowych pudeł. Śpiewał przy tym arię z „Pajaców". O dziwo, nie fałszował.
– Chcesz? Będę się odwoływał – zaproponował Hunt.
– Do kogo?
– Dobre pytanie.
– Wiem, że to dobre pytanie. Ty mi daj dobrą odpowiedź.
Dobre pytanie, bo nikt nie zna na nie odpowiedzi.

Prawda? Wiele bym dał, żeby się wreszcie dowiedzieć, pod kim właściwie my wisimy.

Istotnie, nawet sam Hunt, choć nominalny dyrektor programu, nie wiedział, komu dokładnie podlega i jakie jest jego miejsce w strukturze władzy (bo jakieś było, wszystko posiada w niej swoje miejsce). Budżet Zespołu pochodził – póki co – po części z czarnych kont Defense Intelligence Agency, po części z delikatnych przesunięć w budżecie Hacjendy, głównie jednak – z jednorazowego grantu Korpusu Obrony Ekonomicznej (co poniekąd tłumaczyło hardość Fortzhausera). Statutowo, podobnie jak Hacjenda, Zespół stanowił agendę DARPA. Sprawozdania z prac Zespołu szły podług rozdzielnika stopnia poufności, wizytacji dokonywali tu głównie waszyngtońscy urzędnicy drugiej linii. Własną nominację zawdzięczał przecież Hunt jeno kilku długom wdzięczności u wysokich biurokratów. Nicholas był jednak przyzwyczajony: nigdy, przez całą swoją karierę, nie oczekiwał i nie zetknął się z sytuacjami, zadaniami i podległościami całkowicie jednoznacznymi.

Teraz więc doskonale potrafił sobie wyobrazić mechanizm Anzelrnowego przeniesienia. Hunt wyjął był Anzelma Asfeldowi z Biura Analiz Pentagonu, wziął go na zasadzie tymczasowego oddelegowania, tak jak większość pracowników Zespołu. Zresztą Anzelm miał liczne znajomości także w Moście, gdzie pracował jeszcze wcześniej. Od z górą dwudziestu lat konsultował i opiniował liczne projekty rządowe i chociaż nie osiągnął wysokiej pozycji, to znał w tym interesie prawie każdego i nieraz okazywał się dla Hunta bardzo pomocny (znali się od początku kariery Nicholasa).

Oficjalnie jednak Preslawny wciąż zatrudniony był w Pentagonie, a pułkownik miał tam bez wątpienia wielu dobrych znajomych. Toteż nietrudno się domyśleć, jak cała sprawa przebiegała. Ktoś z

wierchuszki EDC rozpoznaje rękę Hunta w kontrofensywie przeciwko McManamarze et consortes i okazuje niezadowolenie. Fortzhauser, podbuzowany jeszcze śmiercią swoich ludzi w Montanie, orientuje się doskonale, że to Anzelm stanowi tu dla Nicholasa największą podporę – co więc robi? Dzwoni do starych kumpli i prosi o przysługę. W ten właśnie sposób to działa.

A właściwie dlaczego Hunt tak nalegał na kolejne potwierdzenia, na co mu była ta cała Montana i Madame Florence? Ponieważ – Nicholas pokiwał nad sobą głową -tak naprawdę nadal nie wierzył w modele doktor Vassone, w każdym razie nie do końca.

Kogo sugerujesz do nadzoru nad piątką? – z wysiłkiem złamał przedłużającą się ciszę. Preslawny podniósł wzrok na Hunta. – Pawlucka. Może Wallberga.

– A co on tam teraz robi?

Anzelm kopnął pedał, szyby okienne powlekły się nocą, z niej wynurzyło się wnętrze Labu 13 i Numer 5 zagapiony w niewidoczny ekran, z którego padało nań światło o zmieniającym się natężeniu i barwie.

– „Przeciera łącza" – skonstatował Nicholas.

– Aha.

– Słuchaj, urządziłbym jakiś wieczór pożegnalny, ale…

– Tak?

– Mhm, mam dzisiaj bliskie spotkanie trzeciego stopnia.

– Kiedy to?

– Wieczorem. Cholera, to już tylko sześć godzin.

– Powodzenia.

– I nawzajem.

Była w błękitnej sukni o głębokim dekolcie i niewidocznych ramiączkach z nici szklanych. Krótkie włosy nie kryły pary kryształowych kolczyków, jednego telefonicznego, drugiego z logo jej jurydykatora. Na ramionach szary szal jak śnięta mgła.

Podała Huntowi dłoń do pocałunku. W NEti było to bardzo niebezpieczne, lecz gestem i miną dała kamerom ubezpieczenia prawnego restauracji wyraźnie do zrozumienia, iż to ona jest stroną inicjującą, a Hunt odczekał stosowne dwie sekundy i ucałował dłoń z szerokim uśmiechem, by zobaczyły, że nie odczuł urazy. Usiedli przy stoliku w sali mieszanej. Zaroili się kelnerzy. Nicholas i Marina oddzielnie złożyli zamówienia. Kelner czytnikiem zdalnego operatora kasy dotknął grzbietów ich prawych dłoni.

– Dziesięć minut – rzekł.

Pojawiły się przystawki. Starszy, nierzeźbiony kelner popisał się sztuką ręcznego zapalania świec autentycznymi zapałkami.

– To parafina – wskazał Hunt.

– „De Aunche".

– Taak. Wie pani, właściwie łączą nas stosunki służbowe…

– Złożyłam zaprzysiężone oświadczenie.

– Dziękuję – skinął głową Nicholas i odprężył się, bo każde ich słowo wyłapywały tu mikrofony ubezpieczenia i już samo stwierdzenie o złożeniu oświadczenia stanowiło oświadczenie.

Kwartet smyczkowy z drugiego końca sali zaczął jakąś nieco żywszą melodię. Vassone uśmiechnęła się do swych myśli, pomasowała lewy nadgarstek, przechyliła głowę na bok – to odmłodziło ją o dwadzieścia lat.

Gdy wygląd zewnętrzny, fizyczność ciała nie określają już wieku człowieka wystarczająco precyzyjnie – lub w ogóle – na wadze zyskują cechy drugorzędne: sposób poruszania się, żywość gestów, mimika, styl wysławiania się.

– Uwierzyłaby pani, że ja niemal równocześnie posłałem do niej moją swatkę? Wyprzedziła mnie pani o kilka godzin. Kiedy złożyła pani zlecenie?

– Jeszcze ze szpitala w Bostonie.

– O?

– Może to nie ja – uśmiechnęła się Marina – może to ta dziewczyna z monady czwartego.

– Lub sam czwarty – odpowiedział uśmiechem Hunt. Zaśmiali się uprzejmie.

– Widzę, że plastycy wykonali dobrą robotę.

– To na razie jedynie laskóra symbiotyczna.

– A nie znać.

– Bo i kosztowała niemało.

– Jest pani chyba jedynym znanym mi naukowcem bogatym z domu.

– Tak dużo ich pan zna?

– Spotykam. Wie pani, sądziłem, że to właśnie chęć wybicia się, poprawienia statusu daje wam ten drive do wieloletniego ślęczenia nad komputerami, rozpychania sobie głów trującymi słowami, grzebania w nudnych detalach…

– Nie wierzy pan w tak zwane zamiłowanie?

– Czy to Krasnow ma stanowić jego przykład?

Znowu się zaśmiali.

Na horyzoncie pojawił się kelner z wózkiem zastawionym ich zamówieniami. Hunt wskazał go wzrokiem. Vassone zerknęła, uniosła brwi, pociągnęła mały łyk wina.

– Głód – mruknęła – to jeden z trzech wielkich bogów ludzkości.

– Głód to jeden z trzech wielkich bogów ludzkości -rzekła tak Huntowi owego dnia ich pierwszego spotkania, gdy Nicholas poczęstował ją krupsami.

– A jacy są dwaj pozostali? – zagadnął.

– Zawiść i Lenistwo.

Wyjął te krupsy ze swego biurka, by mieć czas pozbierać jakoś myśli. Dochodzący z sąsiednich pomieszczeń szum superkomputerów stanowił irytujące tło dla wszystkich ich słów, wypowiedzianych i niewypowiedzianych. Tam mielą się informacje o ludzkości, tam trwa nieustająca medytacja mechanicznych kabalistów genetycznego przeznaczenia Homo sapiens.

Vassone założyła nogę na nogę – sztuczny jedwab spłynął mokrymi falami czerni, z rozcięcia wynurzyła się opalona kostka i łydka – na kolanie oparła pudełeczko z krupsami i zaczęła je wybierać dwoma palcami, jednostajnym ruchem entomologa długą pensetą wyławiającego z kolekcji żuki i motyle. Następnie rozgryzała jeż cichym chrzęstem i połykała.

– Więc o co chodzi z tymi telepatami?

– Ach, telepaci. Wciąż czysta fantastyka, gdy wymawia pan to słowo, nieprawdaż? Ja też musiałam się przyzwyczajać, długo. Ale skoro już zaakceptuje pan tę ideę, przyjmie ich istnienie jako fakt…

– To co wtedy?

– Wtedy otwierają się wrota do nowego świata. Musiałam odrzucić wszystkie te najprostsze skojarzenia, aprioryczne założenia włożone mi w umysł przez kulturosferę, w której się wychowałam, a zgodzi się pan, iż telepata ma swoje miejsce w bestiariuszu popkultury naszego wieku.

Trzeba myśleć samodzielnie. Od podstaw. Wychodzimy od jednej rzeczy, którą uznaliśmy za niepodważalnie dowiedzioną, reszta w gruzy.

– Coś jakby Kartezjusz. Usiadł sobie w zajeździe przy kominku…

– No, bez przesady. Ale rygory podobne.

– On w ramach tych swoich rygorów doszedł do dowodu na istnienie Boga – uśmiechnął się Hunt.

Vassone przez chwilę tylko chrupała krupsy.

– Może po kolei – rzekła sucho. – Telepatia. W jaki sposób? Bez wątpienia zachodzi bezpośredni przepływ informacji z umysłu do umysłu, z pominięciem wszelkich zwyczajnych zmysłów. Próbowałam różnych filtrów. Nic nie izoluje. Zatem w grę wchodzić tu musi jakiś inny, nowy nośnik, dotąd nie rozpoznany, nie reagujący z niczym prócz umysłu właśnie. Tymczasowo, dla uproszczenia modelu i sprotezowania wyobraźni, nazwę ten ocean psychomemów myślnią, odsyłając krótką analogią do eteru.

– Wie pani, jak on skończył.

– Eter? Tak. Ale wszak mówię o modelu. Nie wyciągnę od razu z kapelusza drugiej fizyki kwantowej. Trzeba iść kolejnymi aproksymacjami. I tak… zaburzenia myślni, wywoływane przez pracę

mózgu, idą falami o natężeniu malejącym z odległością. Mierzyłam je przez wielokrotnie powtarzane testy z mym pacjentem jako „odbiornikiem". Minimalną porcję informacji niesionej przez falę myślni nazwałam psychomemem. Każdy zanurzony w myślni mózg sieje naokoło psychomemami, które telepaci, chcąc nie chcąc, przyjmują i włączają do własnych umysłów – i to właśnie nazywamy telepatią. Tu, jak pan już zapewne zauważył, pojawia się wielce znaczące rozróżnienie pomiędzy mózgiem a umysłem. Mózg tworzy z kompleksów wyładowań neuronalnych strukturę umysłu, a ten – chociaż proszę mnie nie pytać, jak – odbija się w myślni analogami psychomemicznymi. Proces ten zachodzi także w odwrotną stronę, to znaczy myślnią – jej zakłócenia: psychomemy – oddziałuje na mózg jako obiekt fizyczny, wywołując mierzalne odpowiednią aparaturą reakcje na powierzchni jego kory.

– Trochę mi to wygląda na mnożenie bytów ponad konieczność. Na domiar złego problem psychofizyczny… Może szyszynka, co?

– Bo pan wciąż nie wierzy w telepatię! Proszę to przyjąć jako fakt. Wówczas musimy szukać wytłumaczeń. I wtedy żaden z wymienionych elementów modelu nie jest niekonieczny.

– Bo ja wiem… No nic, proszę mówić dalej.

– Zna pan teorię opisującą działanie mózgu w kategoriach darwinowskiego doboru naturalnego? Minikompleksy impulsów neuronowych konkurują ze sobą w walce o przewagę liczebną, mnożąc się i mutując dla najlepszej „przystawalności" do sytuacji, aż któraś wersja przytłoczy pozostałe – i wtedy w pana głowie zwycięża dana myśl, decyduje się pan zrobić to a to, lub rozpoznaje pan ujrzany przedmiot, zasłyszaną melodię. Albowiem każdy taki samozorganizowany zespół impulsów „reprezentuje" jakąś myśl, wspomnienie, uczucie, w każdym razie ich ułamek; a jest ich miliony i miliony. Czy naprawdę muszę to panu tłumaczyć? To są podstawy inżynierii memetycznej. Chyba był pan na jakichś kursach?

– Owszem. – Specjalistów od manipulacji memetycznej zatrudniały tysiącami agencje reklamowe, werbowały ich na stanowiska ekspertów od public relations wszystkie firmy i instytucje, otaczali się nimi politycy, kolobbyści, wykorzystywał przemysł rozrywkowy, nawet przywódcy religijni nie lekceważyli ich analiz. Wciąż mało kto nazwałby memetykę nauką bardziej ścisłą od chociażby teorii marketingu – co wszakże nie przeszkadzało decydentom opierać się na niej i stosować do jej wskazań. Widocznie w praktyce okazywała się skuteczna, a w każdym razie za taką ją uważano.

W istocie Hunt w swym Prawdziwym Życiu kilkakrotnie uczestniczył w szkoleniach z zakresu memetyki defensywnej, przeznaczonych dla menadżerów wysokiego szczebla, na których to

szkoleniach uczono ich dostrzegać trendy indukowane przez wrogich inżynierów memetycznych i bronić się przed narzucanymi strukturami skojarzeniowymi. Nazywało się to Kursami Asertywności Nieświadomej (memetyka szła bardziej od Junga niż od Freuda). Nie było to bynajmniej takie proste. Jedyną gwarancję niepodległości myśli dawałoby całkowite odcięcie człowieka od kulturosfery, lecz podobna cerebryzacja upośledziłaby go tragicznie, szybko czyniąc zeń obcego w obcym kraju. Wszelako z drugiej strony – swobodne zanurzenie się w tym oceanie prowadzi nieuchronnie do ciężkiej infekcji memetycznej. Trenerzy Asertywności Nieświadomej uczyli więc, jak skonstruować i „założyć" sobie na umysł swoisty filtr, który potem już bez udziału świadomości rozpoznawałby i odrzucał agresywne niemy, nie pozwalając zakorzenić się w pamięci i odruchach popularnym trendom. Menadżerowie między sobą nazywali te zajęcia „ćwiczeniami w snobizmie". Istniały też kursy dla zaawansowanych, gdzie szkolono menadżerów w bardziej skomplikowanych mnemotechnikach, wyrafinowanych sposobach organizacji i zarządzania pamięcią, w budowie greckich Pałaców Umysłu, shackerowych makrodefinicji skojarzeniowych i tym podobnych rzeczy; Hunt wszelako nie czuł się na siłach.

Notabene na takim właśnie podstawowym kursie usłyszał Nicholas ową anegdotę o memetyce – że niby jedynym, a samozwrotnym dowodem na prawdziwość teorii memetycznych jest wyindukowanie przez ich propagatorów powszechnego przekonania, iż są to teorie naukowe.

– Owszem, byłem i nie musi mi pani tego tłumaczyć.

– No więc proszę uznać psychomemy po prostu za analogi wirusów memetycznych na poziomie myślni. -Potrząsnęła pudełeczkiem, zajrzała: puste. Odłożyła na biurko. – Wszakże to „po prostu" jest tu bardzo mylące. Różnica jest fundamentalna. Otóż psychomemy istnieją także poza mózgiem – umysłem – człowieka. Wynika to bezpośrednio z definicji telepatii. Nastąpiło zatem złamanie owej formuły Kartezjusza, którego już pan tu przywoływał. Myśl istnieje niezależnie od myślącego. Myśl może „myśleć się", nawet gdy nie ma nikogo, kto by ją myślał. „Myślę, choć mnie nie ma".

– Tak, ale świadomość…

– Powoli, powoli. Na razie mamy w modelu miliardy psychomemów egzystujących w oceanie myślni w oderwaniu od mózgów biologicznych. Jeśli traktujemy psychomemy jako odbicie fizycznych procesów zachodzących w mózgach, musimy i do nich zastosować teorię doboru naturalnego. Stąd wyłania się idea paralemej ewolucji na płaszczyźnie myślni, gdzie psychomemy stanowią podstawę swoistego kodu dziedziczności. Ewolucji diametralnie różnej od tych wewnątrzkulturowych i

wewnątrzumysłowych umownych procesów postulowanych przez klasyczną me-metykę i wykorzystywanych w kampaniach reklamowych przez jej inżynierów.

Dla zilustrowania potrząsnęła poziomo prawą dłonią z odgiętym kciukiem: ostatni popularny memogest Coca-Coli. Huntowi wydał się jakoś nieprzyzwoity w jej wykonaniu, był wycelowany głównie w nierzeźbioną młodzież out of NEti.

– Pierwotnie mielibyśmy sytuację podobną do praoceanicznej zupy nieorganicznych związków z Ziemi sprzed miliardów lat – podjęła. – Psychomemy posiadają jednak pewną przewagę nad DNA. Po pierwsze, tempo ich mutacji i zmian pokoleniowych jest co najmniej o kilka rzędów wielkości większe od biologicznych, co łatwo sam pan może sprawdzić krótką introspekcją. Po drugie zaś, już na starcie psychomemy miały znaczne fory w samoorganiza-cyjnym wyścigu, ponieważ mózgi od razu wydalały je w postaci silnie powiązanych, skomplikowanych struktur – telepata odbiera wszak całe obrazy, ciągi myślowe, konstrukty wrażeń i uczuć, nie zaś chaotyczną nawałnicę drobnych impulsów nakorowych.

– Już chyba widzę, do czego pani zmierza… Powinien pan. – Błysnęła krótkim, wąskim uśmiechem, potem zaraz odwróciła wzrok. – Tam, w myślni, istnieje życie, istnieje świadomość. Musimy przynajmniej spróbować się porozumieć.

– …z tego względu rozróżniamy wśród monad trzy podstawowe kategorie. Przez analogię do organizmów biologicznych nazywamy je: monadami roślinnymi, monadami zwierzęcymi oraz neuromonadami. Neuromonady są właśnie tym, z czym usiłujemy się skontaktować: to homeostatyczne, długotrwałe zaburzenia myślni o takim stopniu komplikacji i samoorganizacji, iż posiadają świadomość swego istnienia w ortodoksyjnym rozumieniu tego słowa. Bo wszak także o zwierzęcej monadzie rzec można, iż myśli, skoro myśli są jej „kośćmi", „krwią" i „mięśniami". Monady: roślinną i zwierzęcą definiujemy przez opozycję do neuromonady – jako te, które świadomości nie posiadają, przy czym roślinne są monadami stacjonarnymi. Proszę nie ulegać pochopnym skojarzeniom co do owych nazw: w żadnym razie nie chodzi tu o to, skąd pochodzą psychomemy danej monady, to znaczy: od człowieka czy od zwierzęcia. Zazwyczaj jest to bowiem dosyć dokładnie przemieszane, jedynie w większych metropoliach natrafić można na monady pod tym względem „czyste". Na terenach wiejskich natomiast, w dziczy bezludnej…

Czarny słuchał i patrzył. Wraz z miękkim, kobiecym głosem, odbijającym się od ścian habitatu, atakowały go z nadłóżkowego ekranu obrazy, zazwyczaj komputerowe symulacje, w schematyczny sposób starające się przedstawić omawiane procesy. Psychomemy były

tu zielonkawymi amebami pływającymi w przezroczystym różu myślni, łączącymi się w większe skupiska, mnożącymi się przez interferencję i walczącymi o „pokarm" złożony z pojedynczych seledynowych drobin, owego planktonu myślni. Mózgi ludzi i zwierząt ukazano w postaci małych słońc, emitujących nieustannie promieniowanie psychomemiczne. Barwa owych gwiazd zmieniała się w zależności od fazy aktywności posiadacza odwzorowywanego mózgu i wykonywanych przezeń czynności – na przykład podczas głębokiej medytacji, połączonej z powtarzaniem mantry! „światło" umysłu stawało się w wysokim stopniu monochromatyczne. Z kolei monady jawiły siew symulacji jako jasnozielone – aż po żółć i pomarańcz – chmury, powodujące w swym bezpośrednim otoczeniu fraktalowe odkształcenia delikatnego różu myślni.

Sekwencje następowały po sobie w rytm nie zwalniającego ani na moment komentarza.

„Opętanie" przez „ducha": monada zachodzi na słońce, wpycha weń macki, słońce zmienia kolor, zmienia widmo emisyjne, monada puchnie.

„Nawiedzone" miejsce: przestrzeń wypełniona jednostajną zielenią przerażenia.

Empatia: miejscowe zazielenienie powierzchni gwiazdy umysłu.

Telepatia: gwiazda zielona jak niedojrzałe jabłko.

Modele modeli modeli, myślał zdegustowany Czarny. Co za mądrość dietetyczna, dwie kalorie prawdy na kilogram słów.

– …że dotychczasowe próby nie dały rezultatu. Przestrzeń kosmiczna wydaje się do tego celu idealna z uwagi na brak jakichkolwiek zanieczyszczeń myślni. Rychło się pan przekona, jak bardzo w tych warunkach wzrosła „czułość" pańskiego mózgu. To tak samo, jak ze wzrokiem, gdy zniknie powietrze, które rozprasza emisję i przesłania obiekt kondensowanymi zawiesinami. Zasadniczo interesują nas neuromonady. Niewątpliwie jednak będzie pan miał również styczność z monadami animalnymi, proszę im wszakże nie poświęcać wiele uwagi, nad ich wykorzystaniem pracujemy na Ziemi z pomocą osób o mniejszych, nie tak rzadkich uzdolnieniach. Trwają zresztą również prace nad ścisłym, bezpiecznym wyodrębnieniem całości genów odpowiedzialnych za telepatię i zaprojektowaniem…

U Hunta w mieszkaniu. Światła zapalone. Pracują wszystkie kamery i mikrofony sieci ubezpieczenia. Pornografia to kąt widzenia.

– Patrz mi w oczy – prosił. – Patrz mi w oczy. Nie. Albo powieki zaciśnięte, albo wzrok odwrócony, gdzieś do góry, na sufit, na ścianę. Nawet gdy wcześniej wygłaszali formułki przyzwolenia NEti, spoglądała w bok, skupiona nie na słowach i nie na nim, lecz odpinanych równocześnie kolczykach.

Oboje, rzecz jasna, byli sterylni; i taki też był ich seks. Nawet jeśli

radość i przyjemność – to ukryte, stonowane, trzymane na wodzy. Bardzo mało słów. Czasami monosylabiczne popędzenia lub prośby o zwolnienie. Gdy ssał jej piersi czy gryzł srom, mruczała nisko, nie otwierając ust, z głębi gardła, w rytmie oddechu. W pocałunkach byli bardzo ostrożni: zetknięcie języków intymniejsze niż członek w pochwie. Długo nie mogła dojść, powstrzymywał się, mając w pamięci, że to ich pierwszy raz, i kiedy w końcu dyskretnie zaszczytowała, był nazbyt zmęczony na cokolwiek więcej. Uśmiechnął się do niej, by dać znać, że nie ma złe. Choć przecież miał.

Wstała i, nie oglądając się, wyszła na balkon. Szła powoli, niepewnie. Oparłszy się wyprostowanymi rękoma o balustradę, pochylona, oddychała głęboko, głośno łykając hausty nocnego powietrza. Pot ściekał po jej plecach wzdłuż kręgosłupa.

Hunt podszedł do stolika i podniósł do ucha swój kolczyk, by sprawdzić, czy nikt nie telefonował; ale nie. Wypił szklankę soku i również wyszedł na balkon.

Ciężarne kaszaloty sterowców świeciły ponad miastem swym wewnętrznym, zimnym światłem, zapełniając niebo płonącymi runami reklam. Taka wszak była ich pierwotna funkcja, podpoziomy mieszkalne i cała reszta to po prostu wykorzystanie sytuacji, dodatkowa okazja na wyciągnięcie forsy. Ekonomia wykreśla wektory rozwoju: najpierw były to holograficzne malunki naniebne, lecz sterówce o powłokach z nanopłótna okazały się na dłuższą metę znacznie tańsze dla określonego rodzaju reklam. Ekonomia określa również estetykę krajobrazu: współczesne reklamy były w większości znacznie mniej agresywne, bardziej spokojne, stonowane niż reklamy zeszłowieczne, jako że celowano je w ludzi starszych, tu bowiem przesunął się dzwon konsumpcji.

Oczywiście sieć NEti sięgała również na balkon. Przyzwolenie, według obowiązującej interpretacji ustawy o gwałtach małżeńskich, obejmowało czas jedynie do „pierwszej zasygnalizowanej przez wszystkie zaangażowane strony przerwy w stosunku" – stanął więc metr od Mariny i zatrzymał w pół ruchu swą rękę, która już sięgała do jej policzka.

– Chce pani soku? – spytał zamiast tego. I dodał: -Mam parę monokimon.

– Tak.

Przyniósł zatem i to, i to. Kimono, idealnie czarne, wykonane było z pojedynczych nici semifulerenowych. Było tak lekkie, że Hunt w ogóle go nie czuł w ręce. Vassone założyła je, nie zawiązując. Uderzenia strumieni fotonów i ruchy powietrza nieustannie gięły na jej ciele monotkaninę w miękkie rzeźby ciemności.

Na balkonie stały trzy fotele z wikliny. Marina usiadła na tym w kącie. Odruchowo założyła nogę na nogę, na kolanie postawiła nie do

końca opróżnioną szklankę. Hunt bał się, że szklanka zaraz spadnie – wystarczyłby jeden nagły skurcz mięśni uda – lecz do samego końca sok w niej nawet się nie zabełtał.

Po bocznej ścianie balkonu wędrował czarny pajączek.

– Pająk widziany nocą – zanucił – to miłość.

– Miłość? Takie małe brzydkie? Uśmiechnął się krzywo.

– Ma pani bardzo piękne piersi.

– Dziękuję w imieniu moich rzeźbiarzy. Źle. Spróbować inaczej.

– Widzi pani ten z Pepsi-Colą? – wskazał w górę. -Tam mieszka moja siostrzyczka.

– Ach, prawda, ta od senatora.

– Właśnie.

– Szpanerstwo z tymi skyhouse'ami.

– Myśli pani?

– Czytał pan przecież raporty o zagrożeniu terrorystycznym. To są dla nich cele wręcz wymarzone.

– No, istnieją różne zabezpieczenia…

– Akurat. Kilka silnych głowic w rakietach ziemia-powietrze. Nawet N-technologia nie zdzierży. Zresztą fale uderzeniowe ich załatwią.

– Wie pani, kilka silnych głowic to zmiecie każdy budynek w tym mieście.

– Też prawda.

– Pani się na tym zna? – Na czym?

– Sterowcach. Nano. Materiałach wybuchowych.

– Niby czemu? Nie moja dziedzina. Dlaczego od ludzi z tytułami naukowymi oczekuje się, iż dysponują równie wielką wiedzą w każdej dziedzinie? Mój syn wie o ekonomii dziesięć razy więcej ode mnie.

– A co on studiuje?

– Jeszcze nie studiuje.

– Taa, teraz wszystko rozciągnięte w czasie, szkoły pierwsze, szkoły drugie, szkoły trzecie, studia i kursy podyplomowe, w życie dorosłe wchodzisz nie wcześniej jak po trzydziestce.

– Cywilizacja, drogi panie, cywilizacja. Wszyscy się specjalizujemy.

– Ale tu nie chodzi o bezradność ani niedojrzałość. Z setka spółek na nowojorskiej – to są spółki kontrolowane przez nastoletnich rekinów finansjery. A w niektórych stanach sprzedaje się inkuby czternastolatkom.

– Mój syn ma siedemnaście lat.

– Przepraszam. Nie o to mi chodziło.

– Nie ma za co. Wiem.

– O czym to mówiliśmy?

– O ludziach z tytułami naukowymi.

– Prawda. Krasnow… Ale nie. Chciałem spytać o panią. W „De Aunche" nie odpowiedziała mi pani. Skoro to nie jest owa charakterystyczna dla ubogich imigrantów dzika determinacja w dążeniu do wybicia się – to co? Tylko proszę mi nie mówić, że spłycam: osiemdziesiąt procent doktorantów na naszych uczelniach to są w pierwszym lub drugim pokoleniu przesiedleńcy z południa. Więc jak właściwie wygląda takie prawdziwe „zamiłowanie"? Mhm?

– A, żebym to ja wiedziała! To się tak jakoś… Ileż to razy podejmujemy świadome, przemyślane decyzje co do kształtu swego przyszłego życia? Na palcach jednej ręki można zliczyć. Niektórzy w ogóle nie podejmują, płynie to samo z siebie, siłą inercji; po prawdzie większość. Nie inaczej ze mną. Czy ja pragnęłam zostać doktorem kognitywistyki? Gdzie tam. Wszystko z pychy i megalomanii. Już jako dziecko chciałam imponować wszystkim dookoła.

Popisywałam się przy każdej okazji. Rówieśnikom opowiadałam niestworzone historie, wplatałam do rozmowy każde posłyszane czy wyczytane gdzieś obco brzmiące lub wyjątkowo długie słowo, a jak nie wiedzieli, o co chodzi -bo niby skąd mieli wiedzieć? – to robiłam wielkie oczy i pukałam się w czoło. Z czasem nad satysfakcją z tych tryumfów począł brać górę strach przed zbłaźnieniem się. Studiowałam zatem encyklopedie i słowniki, godzinami siedziałam przy kompie, wyszukując coraz to nowe dziedziny do wydrenowania z barokowej terminologii. I tak gdzieś w okolicy dwunastego roku życia okazało się, że jestem klasową prymuską, i wtedy to już było czyste przerażenie, bo nie mogłam sobie pozwolić na zawalenie któregokolwiek z przedmiotów. Nienawidziłam wszystkich, a tych moich rówieśników, którym imponowałam, najmocniej. Potworna jest moc cudzych wyobrażeń. Sama siebie skazałam na klatkę. Ale to były przecież wygłupy małego dziecka – a płaciła za nie już nastolatka. I z tej drogi nie było odwrotu. Potem bowiem, w szesnastym, siedemnastym roku życia, zorientowałam się, że mnie naprawdę interesuje to, co czytam, że szukam dalszych informacji i szperam po katalogach jedynie dla zaspokojenia własnej ciekawości, gnana fascynacją tematem, bo dawno już przestałam się popisywać tanimi trickami erudycji, teraz właśnie pozowałam na głupszą niż w rzeczywistości, nie zależało mi nawet na zwycięstwie w dyskusjach… W ten oto sposób wyrzeźbiłam samą siebie. Kto? Kilkuletnie dziecko. I na czym stoi cała ta moja „kariera"? Na mych wadach, na ciemnej stronie mej natury. Bo to pycha, to zawiść, one na dłuższą metę są najsilniejszymi, najpewniejszymi motywacjami.

Hunt milczał, ciężko zdegustowany. Nie spodziewał się w odpowiedzi na swe pytanie aż takiej auto wiwisekcji. Taktownie skierował spojrzenie w bok i w górę, na miasto sterowców. To nieprzyzwoite, taki akt. Powinna znać granicę. Co ja mam teraz

powiedzieć? Jak się zachować? Praawda, chciałem większej bliskości, intymności – ale, do cholery, bez przesady…!

Teraz powstał kłopot: jak rozwiązać układ spojrzeń nierównoległych. Nie należy patrzeć gdzieś w odległą przestrzeń, to nazbyt sztuczne. Podobnie popatrywanie na własne paznokcie nie spełnia roli. Coś pomiędzy: ściana, balustrada, żeby spojrzenie błądziło w sposób niby naturalny. Ktoś w końcu złamie się pierwszy – spojrzy wprost, wstanie, wyjdzie. Ale niech to nie będę ja.

– To wystarczy, żeby uwierzyć w myślnię – mruknęła.

– Co?

– Takie chwile.

– Jakie?

– Takie właśnie. Trach: spojrzał na nią.

Głowa nieco opuszczona. Uśmiechała się. Wzruszył ramionami, podrapał się wskazującym palcem w prawą brew.

– Wiele nie trzeba – przyznał. – Wchodzisz do pokoju, nawet nie obejrzą się, a już zmiana. Takie rzeczy. I niby komu się zdarza? Telepatom? Skądże. Ile razy coś podobnego… Obszczekuje cię na ulicy pies, w pewnej chwili masz już tego dość, może zły humor akurat, w każdym razie wściekłość przeważa, i w tej jednej chwili jesteś gotowa skopać go na śmierć, pstryk, decyzja milisekundowa, nawet jeszcze nie wykonałaś ruchu, nie zmieniłaś wyrazu twarzy, hormony agresji nie zaczęły pracować – a ten pies już wie i milknie, podkula ogon, ucieka. Takie rzeczy. Myślnia pasuje do podświadomych przeczuć. Albo czy ktoś patrzy na ciebie, osławiony „wzrok przewiercający potylicę". Powinniśmy szukać między tajnymi agentami. Którzy najlepiej wyczuwają śledzących. I tak dalej.

– Taa, wiem coś o tym. – Zajrzała do wnętrza szklanki (to też jest sposób). – Kiedy właściwie Fortzhauser odwołał moją ochronę?

– Mhm? Tuż po pani powrocie z Bostonu. Bo co?

– Ona jest trochę paranoiczka i…

– Kto?

– Ona. Ja.

– Aha. – Wstał, oparł się przedramionami o balustradę, wyjrzał w świetliste otchłanie. – Jeśli ktoś panią śledzi, trzeba to zgłosić, i tak dosyć mamy przecieków, pół świata już wie. Przynajmniej w razie czego będzie pani potem kryta.

– Śledzić? Po cóż mieliby mnie śledzić? Nie tak dzisiaj pracują wywiady. A może się mylę? Pan był przedtem -gdzie? w NSA?

– Nieważne.

Odwrócił się i jego wzrok trafił na tego pająka, mozolnie wędrującego po ścianie. Zanim pomyślał, wyciągnął rękę, by go zdjąć i wyrzucić za balkon. W ostatecznym rozrachunku ciało okazało się jednak wolniejsze od myśli i na szczęście Nicholas w porę się

zorientował, co właściwie czyni. Oho! Pułapka! Wymienił z Mariną szybkie spojrzenia, wymuszony uśmiech kłócił się w nich z autentycznym zmieszaniem.

Sam się w to wplątał, sam musi znaleźć wyjście. Ręki wciąż nie opuszczał. Opuści – źle. Wyrzuci pająka – też niedobrze. Przeciągać chwilę bardziej również nie sposób, obsunie się w inny symbol, jeszcze silniejszy.

Co robić, co robić, Boże mój, jak ja się wpakowałem w tak jednoznaczne deklaracje, ona patrzy, nie mogę wyrzucić, nie mogę nie wyrzucić…

Poruszyła głową, wróciła do kontemplacji zawartości szklanki.

Opuścił ramię.

– Chodźmy, zimno mi. – Ruszył ku drzwiom. – Zadzwonić po taksówkę?

– Jurydykator gwarantuje.

– No tak.

Wypiła sok. Odebrał szklankę. Palce miała zimne, Przeprosił za przypadkowe dotknięcie.

5. Uwolnienie

Czarny zgasił ekran, przerwał wykład komputera, choć zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie wszystko usłyszał -ale to za wiele na jeden raz, lepiej porcjami, tak łatwiej akceptować cuda i wszelkie nieprawdopodobieństwa.

Krzyknął na światło i w habitacie zapadła ciemność.

Przypiął się do posłania. Taak. Myślnia, psychomerny, monady… Zobaczymy.

Nigdy tego nie robił, nie było potrzeby, czerń zalewała go wszak nawet wbrew jego wysiłkom – teraz natomiast miał się świadomie otworzyć na zewnętrze. Umysł jak gąbka. Wyobraź to sobie: zasysasz, chłoniesz, wciągasz, absorbujesz…

Jest tam kto…?

… szszszszszszszsz…

Problem polegał na tym, że nie zawsze dawało się natychmiast wychwycić obce myśli – nie zawsze „pchały się przed oczy". Nieraz zdarzało się Czarnemu znajdować w środku swych po latach otwieranych wspomnień oczywiste „fałszywki": papużki nierozłączki hodowane przezeń w dzieciństwie (nie hodował); twarz siostry (nie miał siostry); obrazy miejsc, w których nigdy nie był. Stanowiło to dodatkową przyczynę, dla której nie ufał własnej pamięci – chociaż tę mniej ważącą, bo przecież dosyć łatwo było rozpoznać owe „kukułcze jaja". Teraz jednak, gdy usiłował „upolować" monadę, rzecz urosła do rangi problemu: monada może być tuż-tuż, monada może go dotykać, lecz on jej nie wyczuwa, ponieważ jej psychomemiczne macki omijają napowierzchniowy strumień jego myśli.

Co natomiast wyczuwał: dezintegrujące się powoli pozostałości po Numerze 4, coraz drobniejsze kompleksy jego psychomemów, jak ten z końmi. I własne, co zawsze gromadzą się w miejscu, w którym przebywał przez dłuższy czas. Komputer objaśnił mu to ogólną regułą: rzecz dotyczy wszystkich ludzi, lecz tylko telepaci zdają sobie sprawę. W przypadku ludzi o uzdolnieniach mediumicznych, czy też po prostu nadwrażliwych, czasami jeszcze dochodzi do pojedynczych „powrotów" psychomemów: znalazł się po jakimś czasie w tym samym miejscu i przyszły mu do głowy te same myśli, co przy pierwszej wizycie, lub pewien rodzaj deja vu: nigdy tu nie był, a zna okolic? – dzięki przyswojeniu sobie psychomemów z cudzymi reminiscencjami. Zresztą zależy to od zagęszczenia psychomemów w myślni, przy wyjątkowo wysokim niemal każdy jest już podatny. Tym się tłumaczy istnienie miejsc- ulic, budynków, pomieszczeń – charakteryzujących się specyficzną atmosferą: przygnębienia, przerażenia, smutku, radości. Więzienia są tak ponure nie tylko z racji barwy ich ścian.

Dla każdego człowieka istnieje bowiem jemu właściwy próg ciśnienia myślni, do którego umysł opiera się naporowi wolnych psychomemów, potem – bariera pada. Tak jak z systemem immunologicznym: są ludzie, które chorują każdej wiosny, i są tacy, którym żadna epidemia nie straszna.

Nagle – przez szybkie obrazowe skojarzenie – zdał sobie Czarny sprawę, jak by to jego „polowanie" wyglądało w komputerowej symulacji: samotne słońce wabiące swymi promieniami dookolną gęstą zieleń. Kto tu na kogo poluje? Przecież on pełni rolę żywej przynęty! Te czujniki, elektrody, którymi opięty był Numer 4 – to dlatego. Co za kontakt możliwy z neuromonadami? Zbliżą się, dotkną… Co zostanie z mego umysłu?

Poczuł się przerażająco nagi w owej zimnej pustce kosmosu i myślni, wystawiony na widok, bezbronny.

O co tak naprawdę chodzi Huntowi i pozostałym?

– Przynętą? Oczywiście, że jesteś przynętą, o to tu przecież chodzi, tłumaczyłem ci. Ale jeśli pytasz o to, czy jesteś przeznaczony na stracenie – to odpowiedź jest zdecydowanie przecząca. Pomijając wszystko inne, uwierz w nasz pragmatyzm: nie znaleźliśmy dotąd twego następcy. To znaczy: znaleźliśmy, lecz nie udało się go przechwycić, inni byli szybsi. Jesteś dla nas niezwykle cenny.

– Doprawdy? Nie wygląda mi na to. Wiesz, co się stanie, gdy uda mi się zwrócić na siebie uwagę neuromonady i zostanę przez nią naprawdę dotknięty? Potrafisz to sobie wyobrazić? Ja nawet nie próbuję.

– Posłuchaj mnie uważnie. Nauczysz się mantrycznej blokady medytacyjnej, to cię obroni, monada nie będzie miała do ciebie dostępu, gdy zapchasz sobie umysł psychomemami neutralnymi. Podłączysz się do aparatury, żebyśrny mogli monitorować wszystkie czynności twego organizrnu, także mózgu. Nie potrafimy chemicznie zablokować twej zdolności telepatii, bo to jest immanentna właściwość umysłu – jak biegłość w matematyce czy wyobraźnia przestrzenna – ale możemy aplikować ci wspomagające hormony i chemiczne stymulanty. Poza tym – my przecież nie chcemy, żebyś od razu pakował się z umysłem w środek neuromonady. Powolutku, powolutku. Urwiesz jej trochę psychomemów, potem znowu. Opowiesz, co pamiętasz, co myślisz, czujesz. Może też ona wchłonie twoje psychomemy. Ty masz tam być jak latarnia morska, nadawać Morse'em przez myślnię. Neuromonady są inteligentne, prędzej czy później się zorientują -a my dążymy właśnie do tego, do kontaktu, obustronnego kontaktu.

– Rodzice zamówili cię chyba jako idealnego sprzedawcę używanych samochodów, Hunt.

– Polityka chcieli, polityka. Pamiętaj: nie narażaj się. Nie musisz

od razu brać monad szturmem. My jedynie chcemy się porozumieć.

– Kłamca, cholerny kłamca, otworzysz gębę i spada cena srebra. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Przeklęty panie Hunt, zgrzytał Czarny zębami, ja ci tu jeszcze pokażę „porozumienie"! Totalne!

Co jednak mógł sam tu zrobić? To przecież był szantaż par excellence, szantaż tak doskonały, że nawet nie wymagał artykulacji groźby. Czarny wszak tak czy owak będzie tu na orbicie świecił dla monad niczym słońce, wybuchająca supernowa – i w tej sytuacji wszystkie zalecenia Hunta zgadzały się w stu procentach z podpowiedziami instynktu samozachowawczego Czarnego.

Uczył się „mantrować" na beztreściwych słowach, zapadać w trans medytacyjny, otwierać swój umysł, wypuszczać w myślnię protuberancje psychomemiczne. Popodłączał się własnoręcznie do całej zainstalowanej tu aparatury. Trafił przy tym na kilka starych skrzepów myślni z utrwalonymi w formie psychomemów wibracjami pamięci -jak tamci przylepiali sobie czujniki, przypinali iniektory, wbijali igły: Numer 4, Numer 3, Numer 2. Na psychomemy Numeru l nie natrafił ani razu, zapewne przydzielono mu inny lab. Albo po prostu wymiotły je i rozproszyły psychomemy późniejsze.

Podłączywszy się, trenował w sprzężeniu z kompem, który wykreślał na ekranie nad nim linie szybkości pulsu, ciśnienia krwi, fal mózgowych. Oficer dyżurny – ktoś nowy, nie znał Czarny tego głosu – odpowiednio zachęcał go do ćwiczeń bądź polecał chwilę odpoczynku. Lecz w istocie żaden odpoczynek nie był tu możliwy. Nawet nieprzytomny, wzbudzałby w myślni fale na kilometry naokoło. Co innego to było, jeśli nie wyrok w zawieszeniu?

Gdy wyciszał się, otwierał mentalnie – niemal fizycznie czuł, niemal widział zieleń przenikającą osmotycznie w fotosferę gwiazdy jego umysłu. Model zwyciężył.

Bombardowało go promieniowanie reliktowe myślni -stare, pojedyncze, zdegenerowane psychomemy: drgnięcie mięśni karku tyranozaura, krew ofiary w paszczy tygrysa szablastozębnego, kość wzniesiona do ciosu w mej włochatej pięści, widok krajobrazu sprzed ery człowieka, ciężkie myśli wielorybów, prawie nieprzystawalne do ludzkich analogi impulsów nerwowych organizmów prymitywnych.

Obmywały go wysokie fale białego szumu – chaotyczny potop psychomemów z gejzeru dzisiejszej biosfery Ziemi, ze szczególnym uwzględnieniem ludzkości: gnije zakuty w kajdany w chińskim więzieniu, dotyka jego skóry ciepło słońca na piasku plaży Lazurowego Wybrzeża, przynosi zimną ulgę ssanie mechanicznej dojarki na jego wymionach, dziesiąty ból krzyża, gdy zginam się, by wsunąć w błoto sadzonkę ryżu.

A sam także promieniował sobą na wszystkie strony, krzycząc,

wabiąc, płonąc. Supernowa. Przyjdźcie, przyjdźcie, przyjdźcie. Nie przychodźcie, nie przychodźcie.

I czy to, co docierało do niego co jakiś czas, te dzikie, absurdalne połączenia psychomemów – gryźć czas, anabullga trosa, cap za żółto, skaczemy w otchłanie ciężaru,

lód
trawie mych oczu, podzielić się, podzielić na minus
dwa- czy to były właśnie te pierwsze dotknięcia macek
neuuromonad…?

W Nowym Jorku Hunt wrócił już z lunchu w „Santuccio". Nawet podczas jedzenia planował kolejne posunięcia w dialogach z Numerem 5. Facet był wymagającym graczem. Lecz stał na z góry straconej pozycji. Miał rację, miał całkowitą rację: stanowił żywą przynętę i był przeznaczony na straty. Ale i Hunt mówił prawdę: nie dysponowali kolejnym telepatą i Czarny był dla nich bardzo cenny. Lecz na czym polega ta drogocenność, skoro w myśl obowiązującej w Programie Kontakt doktryny zużywamy ich niczym jednorazowe flary sygnalizacyjne?

Nicholas nie zwierzał się z tego nikomu (zwierzać się! – aż taki głupi to on nie był), ale nie żywił wielkich nadziei na powodzenie projektu. Nawet istnienie owych neuromonad – zdefiniowanych właśnie jako monady „inteligentne" i „samoświadome" – wydawało mu się niezwykle mało prawdopodobne. Hunt nie posiadał tej łatwości wiary w abstrakcyjne modele i umiejętności dowolnego obracania nimi w głowie, którą Vassone tak dobrze rozwinęła. Dla Hunta elektron stanowił piłeczkę pingpongową wirującą dookoła siebie i jądra atomu. Z takim podejściem – z tak ukształtowanym umysłem – wypadał w rozmowach z naukowcami na nieuleczalnie chorego na astygmatyzm wyobraźni: pewnych rzeczy po prostu nie dostrzegał. Zdawał sobie jednak sprawę z tej ułomności i nie sądził podług siebie. Być może był to błąd – bo inni wszak również mogli znać jego ograniczenia i wykorzystać ślepca do własnych celów: nikt nie kłamie lepiej od przekonanych o prawdziwości wypowiadanych łgarstw…

Bez odczekania wszedł do gabinetu Mariny – pomieszczenia Centrali nie posiadały wymaganych przez Nową Etykietę indywidualnych blokad zamków drzwiowych.

Vassone malowała sobie właśnie usta. Zdziwił się: nawet do „De Aunche" przyszła prawie bez makijażu, czemu maluje się teraz? Na dodatek uśmiechnęła się do niego znad lusterka zupełnie nie po swojemu – niemal ciepło.

– Przesłuchała pani moją ostatnią z nim rozmowę? -spytał usiadłszy.

– Yhmy. – I co?

– Co: i co?

– Przecież to prawda – mruknął – oni są kamikaze. Vassone schowała kosmetyczkę.

– Pan nie wierzy w sukces Programu, panie Hunt -stwierdziła.

Nicholas sklął się w duchu. Tak to się właśnie kończy. No bo od czego są psychoanalitycy? Od czego teleconfessions? Dał plamę, nie da się ukryć.

Bezczelnie spojrzał jej w oczy.

– Monady roślinne i zwierzęce – okay, mam dowody, pośrednie, ale mam. Ale – neuromonady? To tylko elegancka ekstrapolacja. A nawet gdyby prawda – to jak odróżnić? Po czym?

– Po organizacji myśli. Monady pierwszej i drugiej kategorii nie myślą. Ulegamy tu złudzeniu spowodowanemu tym, iż ich „ciało" zbudowane jest z psychomemów. Podobnie – jeśli nie przeciążam tym porównaniem pańskiego aparatu imaginacyjnego – byty „myślące białkami" mogłyby brać całą florę i faunę Ziemi, ich biologię, za przejaw zaawansowanego życia psychicznego. Tak samo monady. Inteligencji i świadomości szukać trzeba u nich poziom wyżej.

Hunt zreflektował się i opuścił wzrok z twarzy na piersi, dłonie, nogi Vassone. Znowu przelotne zdziwienie: była w brązowym monosari i wełnianej kamizelce – nie jej barwy, nie jej styl, przez te pół roku ani razu nie widział jej podobnie ubranej.

– No dobrze – mruknął, szukając po kieszeniach beznikotynowców – ale co to jest, ten „poziom wyżej"?

Marina odchyliła się w tył w swym fotelu, spojrzała przymrużonymi oczyma na sufit.

– To też będą jedynie przybliżenia, modele, ekstrapolacj.- Na tym etapie nic więcej nie mogę panu zaproponować. Poziom wyżej… myśli jako forma organizacji psychomemów. Bo nie psychomemy jako takie: nie myśli pan przecież wszystkimi komórkami swego organizmu. W tym sensie nie przypuszczam, by neuromonady były w ogóle świadome treściowej zawartości psychomemów – to dla nich martwa materia.

– Zaraz-zaraz! Jak zatem możemy zwrócić na siebie ich uwagę? Co nam da wyłapanie przez telepatów fragmentów ich skrzepów myślni, ich ciał: kompleksów psychomemów – co? Nic!

– Wie pan – rzekła wolno Vassone z osobliwym uśmiechem – są na to sposoby. Cios młotem kowalskim i wulkan pod stopami każdy zauważy.

– Drukowanymi, proszę – warknął Hunt.

– Uśmiercenie w identyczny, bardzo bolesny sposób dużej liczby ludzi bądź zwierząt o dobrze rozwiniętym systemie nerwowym…

Nicholas mimo woli spojrzał jej w oczy.

– Czy my tu mówimy o zbiorowych, rytualnych mordach?

Vassone skinęła głową.

– Są precedensy w historii. Sądzi pan, że skąd się wzięła tradycja hekatomb dla obłaskawienia bogów?

– Bogów? Bogów? Czy nie zataczamy tym samym… Moment… Pani mi wtedy powiedziała: „Oni znajdą mi Boga". Co to wszystko…

– A wracając do „poziomu wyżej" – weszła mu w słowo Marina – rzec mogę następująco: istnieją pewne uprawnione przypuszczenia. Weźmy kwestię samej inteligencji. W standardowych sprawdzianach IQ stosuje się dla wyznaczenia umysłowych możliwości badanego testy na analogie, równoczesne operacje n-elementowe: A ma się do B tak, jak C do D, E lub F. Za maksimum dla Homo sapiens jako gatunku uznaje się około tuzina elementów, z uwagi na odchylenia w przypadku szczególnie ekscentrycznie rzeźbionych. Chodzi tu o liczbę tak zwanych „porcji informacji", którymi może pan jednocześnie obracać. W czasach telefonów klawiaturowych stosowano różne metody dzielenia długich numerów telefonicznych dla umożliwienia utrzymania ich w „polu operacyjnym" umysłu. Łatwiej zapamiętać „siedemnaście dwanaście trzysta dwa" niż Jeden siedem jeden dwa trzy zero dwa"; wiem, bo sama wciąż uczę się numerów na pamięć, już kilka razy okazało się to bardzo przydatne, panu też radzę. Zdolność do pracy na takich wieloelementowych zbiorach nazywamy właśnie inteligencją. Neuromonady natomiast -nie sądzę, by istniała dla nich jakakolwiek górna granica liczby owych elementów. To w ogóle nie jest inteligencja do pomieszczenia w naszych skalach, równie dobrze może pan ważyć głazy wagą aptekarską. Z tym aspektem wiąże się także umiejętność myślenia „nadmetaforami", to znaczy metaforami zbudowanymi z metafor, albowiem…

– Cisza! – szczeknął Hunt i Vassone zamilkła. – Ja nie o to pytałem. Pytałem, po cholerę my wysyłamy tam na orbitę telepatów, skoro mówi pani, że dla neuromonad są jak zimne hamburgery. No? Pani wprowadziła nas w błąd, pani doktor. Pani wprowadziła w błąd rząd i wyłudziła setki milionów! To jest kryminał.

– Och, bez przesady. Nic aż tak dramatycznego. Przecież sam pan wie, że porozumienie jest możliwe, no, może nie porozumienie – kontakt; a to na zasadzie wymuszanych, powtarzanych reakcji. Jeśli rzucać psu hamburgery, pójdzie za rzucającym. Myśli pan, że w jaki sposób czwarty wytrenował i nasłał na mnie animalną? Że skąd wzięły się Wojny Monadalne tego Schatzu?

– Pies. Animalną. Ale – neuromonady? Dopiero co dała pani do zrozumienia, że to my jesteśmy dla nich jak te psy.

Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się, puściła oko.

– Tak. Ale mówimy tu o kontakcie. Czyż zresztą nie taka jest nazwa tego Programu? Kontakt. Co po nim – to już nie moja działka, nie jestem politykiem. A że do niego prędzej czy później dojdzie –

gwarantuję. To już Pięciu. Każdy z nich czuje, widzi ich „ciało" i może na nie bezpośrednio wpływać. Regularność zwróci w końcu uwagę każdej inteligencji. To jest właściwie aż zaskakujące, iż my wiemy o nich, a one o nas – nie.

– A skąd właściwie ta pewność – skrzywił się szyderczo Nicholas – że neuromonady nie zdają sobie sprawy z naszego istnienia?

Trwoga. Trwoga aż oddech boli. Z jakiego powodu? Czy to jest strach przed czymś konkretnym? Przed czym?

Grał właśnie z komputerem w go, nie był nawet podpięty do czujników medmonitoringu. Co się dzieje? Tylko dlatego zadawał sobie te pytania, że był telepatą i potrafił rozpoznać, kiedy myśli przeskakują mu zupełnie bez powodu na inny tor. Natychmiast zaczął mantrować. Ale trwoga była już zbyt wielka, zdążyła go rozdygotać. To nie jestem ja! Nie moja pamięć! Nie moja wola! Nie mój lęk! – Tonę! – wrzasnął. Złapał za pasy sensoryczne, kaptur z elektrodami… nie poczuł ich, ręce zmysłem dotyku informowały go o czymś mokrym i gorącym, chropowatym, chociaż widział, że to nieprawda. – Tonę – powtórzył i poczuł, że przełyka jakiś twardy, kolczasty przedmiot, chociaż niczego takiego nie przełykał. Zakrztusił się. Pozbawiony punktów oparcia, zawirował w nieważkościowym piruecie. Otworzył się przed nim widok na łąki zielone, błękit przestrzeni ponad. Jasność letniego słońca na włosach i skórze nagich dziewcząt, które biegły ku niemu. – Nie moje niebo – rzekł padając na ziemię, znowu ciężki, tak bardzo ciężki. – Siódma brama, hurysy czarnookie, czy ja poległem w boju, ich Pan obwieści im radosną nowinę przez miłosierdzie od Niego i przez upodobanie i przez Ogrody, gdzie czeka ich nieustanna szczęśliwość. Będą w nich przebywać na wieki. O tak! – ustami pełnymi ciepłej gleby wołał w uniesieniu po arabsku, choć nie znał arabskiego. Te bitwy, gdy niewierni padali pod cięciami jego damasceny, te wędrówki pod Księżycem pustym… Odsłonięte zostało przede mną algajb. Dostąpiłem… W otchłani! W otchłani. Pod pokrywą mroku. Jestem wężem, który pełznie prosto w otwartą paszczę jeszcze większego węża. Zapachy budują dookoła kunsztowne barbakany obietnic spełnienia. Mmmmmm. Doświadczenia ciała. Aż – aż – aż dotknę ściany i habitat obróci się pod mymi stopami. Błędnik szaleje. Gdzie jestem? Kim jestem? Kosmos -stacja – kaptur z elektrodami – ja, ja, ja. – Rozpuszcza mnie! – krzyczę, próbując uskoczyć przed meduzą, która podpływa i parzy mnie w nagie płetwy. – Trawi mnieeeaaaa… – Co w głazie, co w bierwiu, co w inhinsztonie. Alnaburga fangaza i siedem pręźl. Zasiumguję strzerwę, ona na lepach, wszystko świndruje pągowo. A niechaj trunch kradnie. Alnaburga fangaza, alnaburga fangaza. Przechodzę przez zamknięte wrota, mój cień został w tyle. Otaczają mnie aniołowie, których

obecności doświadczam dziewiątym i jedenastym zmysłem – dotyk oczny, dźwięk ciężaru; jak płoną, jak oni płoną! Bliżej i bliżej. Czy to jest czerń? Ja już chcę, już chcę, chcę tego wszystkiego, taka jest moja wola, pożądam jedności, pamiętam całe tysiącletnie życie w cieniu tego pożądania. Obejmijcie mnie! Połknijcie! Obejmuję i połykam – bo to już jestem ja, ja, ja, ja-ja-ja-jajajaja ja ja a jaa a j ajaaj a a ja aa a aa a

– Puść to jeszcze raz – polecił Hunt kompowi.

– Od kiedy? – spytał dialogant.

– Od pierwszego krzyku. Tłumaczenie w oknie.

Na wyciemnionych szybach gabinetu doktor Vassone, gdzie doszła ich wiadomość, pojawiło się wnętrze Labu 13, a w nim – Numer 5 na posłaniu, wpatrzony w tapetę ekranową u góry. Zatrzymał rękę w pół ruchu, wytrzeszczył oczy. Krzyknął. TONĘ, obwieścił komp po angielsku w dolnym oknie dialogowym. Numer 5 usiłował przypiąć się pasami, nałożyć czepek z elektrodami – nic z tego mu nie wyszło, przedmioty wysuwały mu się z trzęsących się dłoni. TONĘ, powtórzył. Zakręcił się, zaczęło nim obijać o ściany, wyglądało, że stracił przytomność, nie panował Już nad ruchami kończyn: szmaciana lalka. A jednak mamrotał: NIE MOJE NIEBO. SIÓDMA BRAMA, HURYSY CZARNOOKIE, CZY JA POLEGŁEM W BOJU, ICH PAN OBWIEŚCI IM RADOSNĄ NOWINĘ PRZEZ miłosierdzie od niego i przez upodobanie i PRZEZ OGRODY, GDZIE CZEKA ICH NIEUSTANNA szczęśliwość. będą w nich przebywać na WIEKI. O TAK! Komputer znaczył innym kolorem część wypowiedzianą w farsi. Od razu wstawił adnotację, iż jest to cytat z czwartej sury Koranu, „Skruchy", Attauba, werrsety 21-22.

– On znał farsi? – spytał Hunt Marinę.

– Nie, w każdym razie mało to prawdopodobne – odparła.

Numer 5 tymczasem jakby częściowo oprzytomniał: złapał odruchowo dryfujący ku niemu kaptur, przyjrzał się mu ze zdziwieniem, rozszerzyły mu się źrenice. Znowu wrzasnął. ROZPUSZCZA MNIE! TRAWI MNIE! Potem zaczął coś bełkotać. Komputer oznajmiał czerwonymi gwiazdkami swą całkowitą niemoc translacyjną. W ciągu dalszych kilkunastu sekund Numer 5 przestał się poruszać. Na podstawie rytmu uniesień jego klatki piersiowej i pomiaru stężenia dwutlenku węgla w atmosferze habitatu, medanalizer zdiagnozował z sześćdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem komę analogiczną do czterech poprzednich przypadków.

– Kiedy możemy podnieść „JFK"? – spytał Hunt sygnet. – Okay, niech się szykują. Gdyby coś się tam zmieniło, daj znać.

Sięgnął ponad ramieniem Vassone i zgasił ekran, szyby wróciły do

swej weneckiej przezroczystości.

– Albo mi się wydaje – rzekł – albo jest w tym jakaś prawidłowość: każdy kolejny telepata wytrzymuje krócej od poprzednika. Pytanie: dlaczego nie spotkało to nikogo innego spośród przebywających na orbicie?

– Wie pan, dlaczego. Umysły tych pięciu były bezbronne, otwarte, wystawione na przypływy i odpływy myślni: wszak na tym właśnie polega telepatia, po tośmy ich wyszukiwali i wysyłali.

– Tak – ale skoro na nich ma to tak głęboki wpływ, nietelepaci powinni przynajmniej coś odczuć.

– Panie Hunt, znowu pan popadł w mylące schematy. My ich przecież wywozimy na orbitę nie dlatego, że tam akurat „żyją" neuromonady – lecz dla usunięcia zakłóceń myślni „wywoływanych" przez biosferę Ziemi i dla „wystawienia ich umysłów na widok". – Każdy cudzysłów zaznaczała szybkim ruchem długich, wypielęgnowanych palców. – Żeby się neuromonady skusiły. I żebyśmy mogli odróżnić ich wpływ od wpływu otoczenia: ludzi, zwierząt. Na Ziemi coś takiego – wskazała na okna – również mogłoby ich, telepatów, spotkać. Lecz dotąd nie spotkało, ukryci byli w białym szumie, neuromonady ich omijały-Statystyka: miliardy, a ich kilkudziesięciu, przed Chaosem Genowym nawet mniej. Chociaż wie pan dobrze, że płytka psychomemiczna osmoza przydarza się aż nazbyt często. W codziennym życiu, ludziom nawet specjalnie nie upośledzonym. O tłumie nie raz wspominałam, w tłumie każdy odczuje. Ale także również na przykład podczas silnej stymulacji endorfinowej, także w momencie orgazmu, w chwili niedotlenienia mózgu… Są sposoby, mamy stosownych fachowców – braciszkowie z Tybetu od dawna praktykują systematyczne głodówki, umartwienia ciała, wycieńczenie organizmu osłabia immunologię umysłu. Niech pan sobie przeczyta ortodoksyjną definicję nirwany. Niech się pan zapozna z ideą molekuł karmicznych. Analogie są liczne i dobrze widoczne. Ale wszystko to właśnie nie jest nic ponad płytką psychomemiczna osmozę. Powtórzę: statystyka. Telepaci byli ukryci w tej gęstej magmie i doprawdy nikłe mieli szansę na jakiekolwiek spotkanie z monadami.

– Z tego wynika, że ktoś inny, nietelepaci, jednak się, mhm, spotykał.

– Tak, ale to właśnie byli nietelepaci, umysły mieli zamurowane.

– Doprawdy? Pamięta pani te opowieści kosmonautów o mistycznych doświadczeniach na orbicie? Może byli zamurowani – ale ich umysły tak samo płonęły tam w pustce, kusiły i przyciągały.

– Więc co to za wpływ? „Mistyczne doświadczenia"!

– Doprawdy? – powtórzył Hunt. Pochylił się nad biurkiem, spojrzał Vassone w oczy z odległości kilkunastu centymetrów – pod

siecią takie zachowanie kosztowałoby go co najmniej roczną pensję. – A te miliardy na dole? Ci, których to – chociażby prawem statystyki, bo wciąż zakładam przypadkowość i brak świadomości czynów neuromonad – spotykało? Bo spotykało, wie pani, że tak.

– I cóż z tego? Sny niejasne, nagłe zmiany nastrojów, chwilowe napady.

– Dochodzę do wniosku, że ten Schatzu ma jednak rację. Wojny Monadalne, pani doktor. Niech się pani chwilę zastanowi. Nawiedzone domy, akumulatory psychomemów, te monady roślinne – potrafią opętać. I nawet animalne. Proszę przyjrzeć się sobie samej. Pani nie jest telepatką. Pani jest „zamurowana", prawda? I co? Wydrapałaby pani sobie oczy. Proszę się sobie przyjrzeć. Od kiedy to maluje pani usta? Od kiedy nosi sukienki? Od kiedy używa tych perfum?

– Od kiedy pozwalam sobie na flirty w pracy?

– No właśnie, od kiedy?

– Zechce pan przestać naruszać moją prywatność? Hunt bez słowa usiadł w fotelu. Zapalił papierosa. Ktoś mu zaszeptał pytająco w kolczyku, Nicholas odmruknął coś w sygnet.

Vasonne zaczęła się bawić rękawiczką 3D-move.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Czwarty nasłał na mnie tę monadę z zemsty. To była akcja celowa. Jak spuszczenie ze smyczy wytresowanego do walki bulteriera. Neuromonady zaś nawet nas nie zauważają. Wszak od początku o nic innego nie chodzi, jak właśnie o sprawienie, by nas dostrzegły. Więc proszę tu nie porównywać siły świadomej inwazji monady na umysł, nawet umysł nietelepaty, do mimowolnego muśnięcia go przez psychomemiczne macki.

– Być może ma pani rację. Być może. Rzecz w tym, że specjalistyczny trening animalnej okazał się być w pełni możliwy, a do kontaktu z neuromonadami wciąż nie doszło. Muszę wreszcie pogadać z tym Schatzu.

– Zmiana faworyta? – uśmiechnęła się z zaciśniętymi wargami.

Huntowi ulżyło w duchu, bo to już była prawdziwa, dawna Vassone; i zaraz wściekł się na siebie za to uczucie.

– Zmiana taktyki – zaznaczył. – Zresztą jeszcze nie przesądzona.

– Rozumiem: rzuci mnie pan na pożarcie dla odwrócenia gniewu. To naturalne, znam reguły. – Vassone opuściła wzrok na rękawiczkę. – Ale przestrzegam pana przed stawianiem na monady niższe: roślinne i zwierzęce. Neuromonady możemy wykorzystać, bo one kierują się jakąś logiką, one myślą, planują… ale – monady nieświadome? Czymże one są? Mniej czy bardziej przypadkowymi skrzepami psychomemów. Co to znaczy? Pamięta pan cienie na ścianach jaskini Platona? Czyż nie o tym tu właśnie mówimy: zbiorowych wydzielinach umysłów? Milion ludzi wierzących mocno w istnienie diabła… Pojmuje pan?

– I w Boga, pani doktor, i w Boga. Czy my zresztą skądś już tego nie znamy? Znak firmowy na pięcie Pana Boga: madę by man.

– Proszę się nie śmiać. Ja to mówię serio. Jakie monady urosły na przykład na takim Oświęcimiu?

– Ale to są psychomemy: ciało monad. Nie ich myśl.

– Właśnie. Dlatego stawiam na neuromonady. Bo monady niższe, w swej masie, rozpatrywane statystycznie -czymże innym one są, jak nie esencjami mentalności ogółu, trwałymi reprezentacjami socjologicznych trendów? Nie ma u nich żadnych „wyższych czynności umysłowych", żadnej autorefleksji, jeno homeostatyczne instynkty i mięso naszych myśli.

– Być może faktycznie są to, jak tego pani chce, demony. Przynajmniej mamy pewność, że skuteczne. Lecz jeśli one są demonami – to jak pani nazwie neuromonady?

– Widzę, że pan już zadecydował.

– Nie – rzekł Hunt wstając. – Ale muszę to wkrótce uczynić. Program znajduje się w kryzysie. Muszę dokonać wyboru. Pani oglądała zbyt wiele horrorów, zbyt wiele Starego Testamentu się naczytała, proszę trzymać się nauki, to lepiej pani wychodzi.

– Ach, ale to nie ja, drogi panie, to ta młoda katoliczka w mojej głowie, z pamięcią swego grzechu, ta dzieciobójczyni z Nowej Szkocji o masochistycznych inklinacjach. – Pochyliła się do przodu, opierając łokciami o blat biurka. Uśmiechnęła się, przekrzywiając dziewczęco gło-wę. – Bo czyż ja nie jestem opętana? Strzeż się demonów, mój drogi.

A jednak Marina Vassone posiadała sumienie, w każdym razie jakiś jego analog – bo gryzło ją, że tak oszukała Hunta, że łgała mu w żywe oczy. Nie miała wielkiego wyboru – mimo to źle się czuła z tą pamięcią. Kto, kto – śmiała się w duchu -ja czy ona? Lecz nawet w tym śmiechu było coś, co ją niepokoiło.

Opuściła Centralę, zjechała na dwudziestą kondygnację i wyszła do parku. Wiatr kleił jej monosari do nóg, nawet tego nie czuła. Ciepły, chropowaty chodnik masował podeszwy jej stóp. Jakiś chłopak w koszulce z holo WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO PIEKŁA uśmiechnął się do niej i zasłonił otwartą dłonią swój klips ze znakiem jurydykatora. Był to gest zapraszający do chwilowego zrezygnowania z NEti. Ostatnio nocne wyprawy w miasto bez widocznego logo korporacji ubezpieczeniowej stały się popularne nawet wśród członków bardzo wysokich sfer. Niektóre ulice nie były wszak objęte siecią nadzoru audiowizualnego, podobnie wnętrza większości starych lokali w centrum, zwłaszcza na niskich kondygnacjach. Rozwijała się tu infrastruktura miejskiej rozrywki równoległa do „górnej", przykrytej siecią i podległej Nowej Etykiecie: kawiarnie, restauracje, kluby, kina,

transhouse'y, deptaki i sale koncertowe – wszystko out of NEti.

Odpowiedziała chłopakowi uśmiechem. Usiadłszy potem na ławce, odpięła i schowała swój naszyjnik z logo jurydykatora. Dotąd nigdy tego nie robiła, takie wycieczki w strefy wysokiego zagrożenia nie leżały jakoś w jej naturze – ani to ją ciekawiło, ani podniecało, ani było potrzebne dla emocjonalnego rozładowania, czym psychologowie zwykli tłumaczyć ową modę. Teraz uległa impulsowi: ręka była szybsza od myśli.

Kłamstwa przypadkowe i premedytowane powracały do niej, najpierwsze te przeciwko Huntowi. Oni znajdą mi Boga, tak powiedziałam, a Nicholas tylko uniósł brwi. Oni znajdą mi Boga – bo to ładnie brzmiało, tak efekciarsko, pompatycznie, wyzwanie rzucone nauce, wyzwanie rzucone konwencji – właściwie nie mógł inaczej zareagować, nie łamiąc NEti. Ale przecież nie Boga miałam na myśli, to nigdy nie był Bóg, ikona historii, kamień religii nie dla mnie. Gdy zaczynali dygresje eschatologiczne, odchodziłam, znudzona: niefalsyfikowalne brednie, kwestia wyboru bajki dla dorosłych, psychiczny kaftan bezpieczeństwa. („A co z Bogiem? – Boga ubezwłasnowolniono za niepoczytalność". „Jakim sposobem istota wszechmocna może być zarazem dobra w rozumieniu którejkolwiek z moralności?"). I wszystkie te zastrzeżenia pozostają wciąż w mocy, nie obalę własnej logiki – lecz teraz znam również Boga milczenia, ten punkt odniesienia dla dziewczynki o rudych włosach, która obserwowała godzinami wieczorne morze, słuchała szumu fal, podczas gdy szalona babka wrzeszczała na ojca z okna na piętrze, a wujek Sean, pijany w trupa, zsuwał się i wczołgiwał z powrotem na zardzewiałą werandową huśtawkę, niezmordowanie, w tę i z powrotem, równie rytmicznie, co bijące o piasek morze; i ów Bóg oceanicznych fal, Bóg ciemnego nieba, chłodnego wiatru, samotności na białych wydmach – narzucał się jej, dziecku beznadziei, z tak przemożną siłą, że po prostu nie była w stanie weń nie wierzyć, choć próbowała, bez przerwy próbowała. Ale nie dawał się wyrugować. Wtedy i teraz – Annę Melton-Kinsler. Jestem wierzącą ateistką. Jako dzieciobójczyni mądrzejszam od pani doktor: nikt nigdy nie znajdzie mi Boga.

Opodal para holograficznych elfów zapraszała przechodniów do kina. Spojrzała na reklamę: „Zmierzch bogów" Tsien Su. Nie lubiła Tsiena, dzikość, ekspresyjność jego wizji – odstręczały ją. Tak w każdym razie dotąd się jej wydawało. Teraz poczuła chęć zanurzenia się w jego kreacji. Weszła, płacąc z osobistego cashchipa: mechaniczny bileter pocałował ją w wierzch dłoni, w ułamku sekundy porozumiał się z wszczepionym tam tuż pod skórę miniprocesorem, potwierdził tożsamość, dokonał przelewu i wysłał wiadomość do banku klienta. Weszła na ciemną salę. Sześć minut do początku seansu. Usiadła w

połowie środkowego rzędu.

Tak naprawdę w ogóle nie lubiła chodzić do kina. Odkąd pamiętała, bez przerwy przepowiadano rychły upadek tej formy rozrywki. No, ale kino to już była sztuka, jak malarstwo czy poezja: koherentny przekaz odautorski. A dopiero tam, gdzie kończy się interaktywność, zaczyna się spójna wizja twórcy.

Kino rozeszło się zatem w dwie strony – w jedną poszła czysta rozrywka, w drugą sztuka. Gałąź rozrywkowa z kolei podzieliła się na coraz bardziej wirtualizujące się symulacje oraz na klasyczne filmy 2D i 3D, w których występowali żywi aktorzy. A raczej gwiazdy – ponieważ pełnili tu wyłącznie tę funkcję: skupiaczy społecznej uwagi. Żywa gwiazda może się rozwodzić i żenić po raz dwudziesty, zostać oskarżona o morderstwo, przyłapana z prostytutką, sfotografowana z szefem mafii – komputerowej symulacji ta droga do sławy jest zamknięta. Chyba że chodzi o nekrowizję, czyli podwieszanie się pod sławę gwiazd nieżyjących – lecz wówczas przychodzi płacić ciężkie pieniądze właścicielom praw do ich wizerunków.

Druga droga, którą poszło kino, droga czystej sztuki, prowadziła do utworów właśnie takich, jak ów „Zmierzch bogów" – tak zwanych „multimedialnych haiku". Rozwój komputerowej grafiki umożliwił usamodzielnienie kreacji. Ekstremum owego trendu to właśnie filmy autorskie w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo każdy piksel każdej klatki stanowił w nich efekt pracy jednego człowieka. Rzecz jasna, pracując „ręcznie" Tsien Su nie ukończyłby swego „Zmierzchu bogów" do końca życia: posługiwał się zaprojektowanymi specjalnie dla potrzeb filmu programami graficznymi.

Film się zaczął i po chwili Vassone z niejakim zdziwieniem skonstatowała, iż naprawdę jej się podoba. Nawet Wagner był jakoś do zniesienia. Sala – out of NEti – wypełniona była chyba w jednej dziesiątej. W objętych siecią nadzoru kinach lepszych dzielnic frekwencja bywała wyższa, tam wyjścia „na film" – na reżysera, na aktora -stanowiły element życia towarzyskiego, tu natomiast najwidoczniej zadowalały ludzi tapety ekranowe. Kino nigdy nie umrze, pomyślała Vassone. Z tego samego powodu nakładasz słuchawki, by przesłuchać ulubiony album, choć kwadrofoniczne nagłośnienie zapewnia ci wystarczający komfort. Tu trzeba pewnego oddania, pewnej wyłączności percepcji. I poczuła, że lubi kino, że lubi styl Tsien Su, przypomniały się jej te tysiące godzin seansów przesiedzianych w małych pozasieciowych salkach jej miasteczka, w samotności, z dala od Ralfa i wiecznie rozwrzesz-czanych bachorów.

Wieczór w „Santuccio". Przez otwarte okna – podniebny Nowy Jork. W lewo od Cygnus Tower – Little Italy, Manhattan Bridge, wreszcie Brooklyn Height i Cadman Plaża, dalej już wzrok nie sięgnie, widok zagradzają Stalowe Pięcioraczki, tysięczniki narkokompanii. W

prawo -Soho i Greenwich Village, podniebne labirynty Gramero.

Hunt usiadł przy stoliku na tarasie, pod przezroczystą podłogą miał siedemdziesiąt pięter ulicy płonącej różnokolorowymi światłami reklam i szyldów sklepów, restauracji, kin, hoteli. Upowszechnienie systemu pracy zdalnej – spóźniona i osłabiona Tofflerowa trzecia fala - oraz komercjalizacja odkryć inżynierii atomowej pozwalających na tworzenie superwytrzymałych konstrukcji z ultralekkich materiałów – doprowadziły do zmiany charakteru centrum wielkich miast. „Utrójwymiarowienie" architektury stanowiło zaledwie jeden z pobocznych efektów, on jednak chyba najbardziej rzucał się w oczy odwiedzającemu metropolię. Ulice, i tak już przedtem bardziej kaniony, teraz ostatecznie straciły pozór „płaskości", „dwuwymiarowości" – ulicę bowiem stanowiła tyleż powierzchnia ziemi w dole, co pionowe powierzchnie ścian bocznych. Tędy szły przeznaczone dla samochodów, rowerów i pieszych estakady – dziesiątki i setki metrów nad gruntem, w zieleni „zawieszonych" na nanostrunach i podpieranych szklanymi filarami parków. Publiczne, płatne windy, zamocowane na zewnątrz budynków, w ciągu sekund przemieszczały tłumy z „dna" na dachy. Głębiej, na niższych piętrach, światła płonęły przez całą dobę, pora dnia nie miała tam znaczenia, nawet deszcze rzadko docierały. Zmienił się sposób adresowania: prócz numeru ulicy i budynku obowiązywał numer kondygnacji, wchodzono bowiem do wnętrza danego piętra bezpośrednio z zewnątrz, wewnętrzne klatki schodowe straciły na znaczeniu bądź, w nowszych budowlach, zupełnie ich brakowało. Wspólnoty sąsiedzkie rozwijały się horyzontalnie, nie zaś, jak dotąd, wertykalnie.

Tak wiele rzeczy się zmienia, myślał Hunt, wybierając na senspadzie stolika swe zamówienie; tak wiele – bez przerwy, coraz szybciej i coraz trudniej je pojąć, jeśli mozna w ogóle, bo niektóre są z gruntu niepojmowalne, nie ma nic do rozumienia w kształcie plamy atramentu bryzgniętej na płótno. A ja przecież pamiętam tamten Manhattan: przypadkowy zbiór menhirów betonu i metalu…

Skąd ta starcza melancholia? Spojrzał ponad kanionem na ciemne okna Centrali. Czy Numer 5 już spoczywa w swym sarkofagu, obok pozostałych półtrupów? Wracały do Hunta słowa wypowiadane w owej prowadzonej z milisekundowym opóźnieniem konwersacji. Jak przekonywał Czarnego… Do czego właściwie? Przecież to wszystko nie ma sensu…

Czy już go przywieźli…?

– Pan Nicholas Hunt? Proszę o wybaczenie, jeśli naruszam pana prywatność…

Obejrzał się nerwowo.

– Ronald Schatzu, nie mylę się?

– Istotnie. Jeszcze raz przepraszam…

Masz za co, pomyślał Nicholas. Rano zadzwonił do niego stary znajomy z biura dyrektora DARPA, ostrzegając, iż niejaki Ronald Schatzu podkłada Huntowi świnię, śląc raporty o marnowaniu potencjału ludzkiego i wykorzystywaniu przez Nicholasa personelu Zespołu do wykonywania prywatnych zleceń. Ktoś inny na miejscu Nicholasa zapewne zareagowałby panicznie, natychmiast kontrując. Nicholas natomiast, który miał w tym duże doświadczenie, nie zrobił nic: to się rozmyje, takie rzeczy zawsze się rozmywają, najlepiej ignorować.

– Ależ proszę się przysiąść i darować sobie Etykietę -rzekł uprzejmie – jestem już dziś zbyt zmęczony.

– A, tak – przytaknął Schatzu siadając – słyszałem o piątce.

– No właśnie – westchnął Hunt. – Zastanawiam się, czy już na samym początku nie popełniliśmy błędu.

Schatzu szybko złożył swoje zamówienie i zgasił blat.

– Nie weźmie mi pan tego za złe, jeśli spytam o pańskie zdanie o moich „Wojnach Monadalnych"?

– Gdyby nie czwórka i jego mściwość, byłbym nie najwyższego mniemania.

– Powątpiewał pan w użyteczność monad niższych? Hunt skrzywił się.

– Sam już nie wiem. Vassone nas wszystkich zasugerowała. Wie pan, tamci też łapali telepatów, a nie mieliśmy jakoś od wywiadu informacji o przeciekach na temat analogicznych eksperymentów w ich placówkach orbitalnych, również z samej analizy ruchu onadatmosferycznego nic podobnego nie wynika. Może zatrzymali ich na Ziemi, może od początku przeznaczyli do tresowania animalnych. Atak na Vassone to był prymityw, brutalne włamanie. Ale też czwórka miał niewiele czasu i ograniczone możliwości. A proszę sobie wyobrazić kilku telepatów łącznie wykorzystujących swój talent do wyszkolenia monady… To już wszak parę miesięcy. Neuromonady to byłaby bez porównania większa potęga, nie przeczę – no, ale właśnie… O, już jest.

Kelnerka położyła tacę, zaczęła przekładać talerze. Schatzu i Hunt wyciągnęli prawe ręce, a ona musnęła ich grzbiety miękkim, szerokim ryjkiem zdalnego operatora kasy restauracji, który nosiła w olstrze na biodrze -najwyraźniej wszystkie kelnerki „Santuccio" były na krótkich kontraktach, żadnej nie wszczepiono operatora we wnętrze dłoni.

– Powiedział pan o telepatach, że mają „talent" – odezwał się po chwili Schatzu, opróżniwszy szklankę arbonowego soku. – Zauważam to w dokumentach Zespołu i w wypowiedziach jego członków. Żywicie przeświadczenie, iż oni, telepaci, wyposażeni są w jakiś dodatkowy zmysł, i że to dzięki niemu… prawda?

Hunt uniósł brwi na znak, by Ronald kontynuował. Schatzu

wszedł w płytki półzaślep V. Ponad głową Nicholasa otworzył półtorametrowe okno tekstowe, na którym szyko wywołał żądany cytat.

– „Gdy ktoś obserwuje własne zmartwienie – zaczyna czytać – to jakimi zmysłami je obserwuje? Czy jakimś osobnym zmysłem? Takim, który czuje zmartwienie? Czy obserwując zmartwienie czuje je inaczej? Jakie więc zmartwienie obserwuje: to, które występuje tylko wtedy, gdy jest obserwowane?"

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Chcę powiedzieć – rzekł Schatzu, nabijając na widelec frytkę – że telepata tym się tylko różni od reszty ludzi, iż jego umysł nigdy nie został wyizolowany z myślni. Telepata nie posiada bowiem żadnego dodatkowego zmysłu. Nie „czyta" niczyich myśli. Nikomu nie „grzebie" w głowie. Nie „podgląda" nas. Po prostu: jego nic nie separuje od dookolnych zaburzeń myślni. Jest wystawiony na każdą falę, każde najmniejsze jej zawirowanie. Cokolwiek zatem spotyka ich tam na orbicie, spotyka ich dlatego, że dysponują znacznie słabszym od naszego mentalnym systemem immunologicznym. Gdyby więc odpowiednio zwiększyć siłę nacisku na umysł owych nieznanych czynników zewnętrznych – w których chyba wszyscy domyślamy się monad – identycznie wpłynęłyby one i na nas. Przypadki miejsc „nawiedzonych" i casus Vassone służą za dowód, że jest to możliwe.

– Zadziwiające, jak zgadzacie się z Vassone. Ale do czego to nas właściwie prowadzi? Czy aby nie do Wojen Monadalnych? Hę?

– I owszem, między innymi. Ale to byłoby tylko dowodzenie dowiedzionego, bo czyż nie na tym zasadza się cały ten Program – na pomyśle oddziaływania bezpośrednio na umysły zwykłych ludzi? Ale wy tu chyba sami żeście w to nie wierzyli, skąd bowiem teraz to zdziwienie i konfuzja?

– Neuromonady…

– Tak, wiem: Kontakt. Vassone ma wizję, to trzeba jej przyznać.

– Jakaś ironia?

– Nie, szczerze. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, iż gdzieś po drodze straciliście z oczu podstawowy cel: zwycięstwo w IEW. Chcę wam podsunąć alternatywny sposób na wygranie Wojen Ekonomicznych. – Otarł chusteczką usta, odchylił się na krześle w tył, spojrzał w dół, na chaos ruchomych i nieruchomych świateł. – W mysim odbija się kształt naszych umysłów. Falangami psychomemów zapisujemy tam nasze uczucia, przekonania, myśli świadome i podświadome, wyobrażenia, idee, archetypy osobowe i nieosobowe…

– Nie chciałbym pana zmartwić, ale Vassone już mi wyjechała z cieniami na ścianach jaskini Platona…

– Ja zaś mówię o trendach. Jako o wypadkowej szczególnie wielkiej liczby jednotematycznych psychomemów. Zna pan Kuhna

teorię paradygmatu nauki?

– Coś z branży Wilsona?

– Stara rzecz, jeszcze z zeszłego wieku. Każda nauka rozwija się wyłącznie w ramach obowiązującego paradygmatu, ogółu nie wyeksplikowanych założeń, na których się opiera i które wskazują jej cele: są to założenia przez naukowców nawet sobie nie uświadamiane, przyjmowane przez nich a priori gdzieś w trakcie procesu przyswajania sobie podstawowej wiedzy, osmotycznie, bez udziału świadomości. Bardzo trudno potem myśleć wbrew paradygmatowi. W ogóle – uświadomić sobie jego istnienie. Zazwyczaj jest to możliwe jedynie w okresie jego załamania, gdy następuje coś w rodzaju przejścia fazowego do paradygmatu mniej lub bardziej odmiennego od poprzedniego.

– Słucham pana, słucham.

– Otóż coś podobnego zachodzi także w przypadku całych cywilizacji, kultur, narodów. Z tym, że paradygmat cywilizacji jest zakorzeniony w umysłach każdego z jej członków, a mam tu na myśli tych ludzi, którzy się w niej od małego wychowywali. I jednym z głównych założeń postchrześcijańskiej cywilizacji zachodniej, która obejmuje dziś większość świata – jest postęp. Proszę powiedzieć: czy jest pan w stanie wyobrazić sobie i uwierzyć w dalszy rozwój cywilizacji bez postępu?

– Mhm, czy nie odnosi pan wrażenia, iż w określeniu „rozwój bez postępu" zawarta jest wewnętrzna sprzeczność?

– No właśnie. Tak ukształtowały się w naszych głowach pola znaczeniowe tych słów. Uderzył pan w ścianę paradygmatu. Lecz te ściany zaczynają się już kruszyć. Rekonfigurują się wielkie struktury memetyczne. Pomijam tu sekty religijne, bo one istniały zawsze – ale obecnie obserwujemy prawdziwą eksplozję sekt kulturowych, ktorych członkowie na wszystkie możliwe sposoby starają się odseparować od cywilizacji i wyzwolić spod jej paradygmatu. Oni nie akceptują postępu – w żadnym z jego przejawów: technologicznym, obyczajowym, prawnym społecznym. Świadomie narzucają sobie odrębne reguły życia. Religia o tyle ma tu znaczenie, iż stosunek do niej stanowi jeden z elementów kultury jako takiej. Z początku były to niewielkie dodatkowe rygoryzmy: kontrakty ślubne utrudniające bądź uniemożliwiające uzyskanie rozwodu, tworzenie szkół o odrębnym od oficjalnego systemie nauczania, tego typu rzeczy. Ale trend przybiera na sile. Paradygmat się kruszy. Cywilizacja wkrótce będzie się musiała zredefiniować, dookreślić. Cywilizacja nie zaś politycy, poszczególni ludzie czy nawet ich dowolnie liczne grupy.

– Nadal czekam na jakieś powiązanie z Wojnami.

– Proszę bardzo. Pamięta pan, co mówiłem o trendach odbijających się w myślni. Coś takiego jak paradygmat cywilizacji

odbijać się tam musi silną, rozbudowaną strukturą psychomemiczną. A teraz odwróćmy wektory. Wszak i myślnia, co do czego się zgodziliśmy, wpływa na umysły ludzi. Ergo – Schatzu wrócił wzrokiem do Hunta i uniósł znacząco palec wskazujący – posłużywszy się monadami powinniśmy być w stanie zmieniać i wzmacniać te struktury tak, by zaistniało tu przełożenie także na umysły nie upośledzone, jak upośledzone są umysły telepatów. Jest to koncepcja zasadniczo odmienna od tej, na której oparłem moją analizę Wojen Monadalnych – bo tu mamy do czynienia z nieselektywnym, statystycznym, powolnym i relatywnie płytkim wpływem. Ale jakie perspektywy się przed nami otwierają…! Spełnione marzenie inżynierów memetycznych! Jest to wpływ ciągły, zmiana nieusuwalna, nic tu nie dadzą żadne mantry, żadni braciszkowie. Bo też i nie o decydentów chodzi. Moglibyśmy bezpośrednio sterować mentalnościami całych społeczeństw, narodów, określać ich sposób myślenia, preferencje wyborcze, indukować według potrzeby nastroje pacyfistyczne bądź agresywne, modelować ksenofobię…

Schatzu machnął ręką, ogarniając tym gestem cały wieczorny Nowy Jork: buchające laserowymi światłami i wielkimi ruchomymi holografiami, okryte łuną różnokolorowego blasku i zanurzone we mgle nieustającego hałasu miasto z kilkudziesięcioma milionami mieszkańców.

– Proszę to sobie wyobrazić, proszę to sobie tylko wyobrazić…!

Hunt patrzył na niego i widział kolejnego samozwańczego proroka hermetycznej religii, głosiciela nowego ultrazjadliwego kultu. Te rumieńce, ten szczery uśmiech, ta duma unosząca pierś, ten ogień wiedzy.

– Chce pan, żebym to przesłał wzwyż? – spytał. Schatzu zszedł o kilka stanów energetycznych w dół, po czym puścił oko do Nicholasa.

– Dawno już posłałem – rzekł. – Myśli pan, że inaczej cokolwiek bym panu powiedział?

Hunt odwrócił wzrok. Więc poszło; już przesądzone. Sam nie bardzo wiedział, czego się właściwie przestraszył.

Ciemne okna jednak kusiły. Niczym natrętna mucha, krążyło tuż ponad powierzchnią świadomości wspomnienie zgryźliwego uśmiechu Numeru 5. Swoją drogą, jakże się on nazywa? Wiedział, bo przecież nieraz czytał dossier tamtego, ale jakoś nie mógł sobie przypomnieć.

Wrócił Hunt do Centrali. Dyżurny potwierdził: piąty sarkofag był już pełen. Nicholas zjechał zatem piętro niżej. Nic nie mógł poradzić: ręka sama sięgała, by zdrapać świeże strupy. Z masochistyczną determinacją maszerował przez puste korytarze. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak mocno zaciska szczęki. Raz dojrzał swe odbicie w naściennym lustrze i aż przystanął. Źle z tobą, Nicholas, już nawet krok ci zesztywniał. Cofnij ty ramiona, unieś nieco głowę. No. Lepiej.

Korytarze Centrali były puste nie tylko ze względu na porę: w istocie nigdy nie panował w nich tłok. Względy bezpieczeństwa uniemożliwiały zatrudnianie w Programie ludzi pracujących tylko przez internet, lecz i tak większość zleceń Zespołu wykonywano poza Centralą. Sam zespół nie był przecież wcale taki liczny – kadry rozdymała głównie sekcja Fortzhausera i sekcja Moora (odpowiedzialna za koordynację poszukiwań nowych telepatów, nadzór nad wynajmowanymi sneakerami i analizę doniesień na temat poczynań konkurencji w przyszłych Wojnach Monadalnych). Korytarze – wyłożone ciemnozielonym chodnikiem, o ścianach pokrytych gustowną boazerią – upodabniały Centralę do biur starych, konserwatywnych kancelarii prawniczych. Nicholas szedł w ciszy.

Na wewnętrznych drzwiach sali sarkofagów ktoś nabazgrał zielonym flamastrem: ŻYCIE PO KONTAKCIE. Hunt odruchowo uniósł dłoń, by to zmazać, ale niespodzianie uderzył go autentyczny humor owego graffiti i powstrzymał się. Czy już tak nisko upadłem? – pomyślał wszedłszy. Taka to ze mnie karykatura szefa, co tropi i tępi dowcipy podwładnych?

Numer 5 leżał w sarkofagu najbliższym drzwiom. Tak, jak i pozostałym pogrążonym w śpiączce, spod półprzeźroczystych warstw nadopiekuńczej maszynerii dobrze widać było tylko pozbawioną wszelkiego napięcia i wyrazu twarz. Hunt po raz pierwszy widział Czarnego (a raczej teraz już tylko jego puste ciało) bezpośrednio, bez zafałszowań przekazu elektronicznego; na żywo. A po prawdzie – Nicholas wydał z siebie niepewny chichot – na martwo.

Dotknął policzka nieprzytomnego mężczyzny. Ciepły Wydało mu się to dziwnie nienaturalne. Powinien być zimny. Z trudem powstrzymał powtórnie podchodzący mu do gardła chichot. Wiedział, że dyżurny lekarz widzi go na swych ledekranach, a mimo to nie mógł opanować dłoni. Dotarła do oczu Numeru 5, nakryła powieki, palce nacisnęły na gałki oczne.

W uchu zapiszczał Nicholasowi sygnał telefonu – poderwał rękę jak oparzony, odskoczył od sarkofagu.

– Tak?

– Oiol. Bez krypto, uważaj. Doszło nas o ostatnim mhm, wypadku waszego, mhm, wysłannika. W kontekście braku następcy… Trudno, żeby wyglądało to inaczej niż na niepowodzenie Programu. Spodziewaj się nas jutro.

– To znaczy kogo?

– Mnie. I Bronsteina. – Jezu.

– Coś się burzy na rynkach – dodał przepraszającym tonem Oiol. – Wojny zrobiły się nagle niebezpieczne. Korpus… Ale to jest otwarta. Trzymaj się.

– Dzięki.

Telefon od starego znajomego ze stolicy zerwał wiążący Hunta czar. Nicholas zaklął, rzucił złe spojrzenie ku domyślnym gniazdom kamer, wyszedł z sali. Wychodząc, starł napis na drzwiach.

Podczas jazdy do domu spadła nań zimna depresja. Odblankował szyby wozu i patrzył na pełne światła i ludzi miasto, patrzył, ale nawet nie skupiał spojrzenia; widział kolorową mgłę. Absolutna bezrozumność wyzierała mu teraz z oczu. Jakiekolwiek pytanie by mu zadano -nie potrafiłby dać odpowiedzi.

Dojechawszy, pół godziny siedział w BWM w garażu byłego biurowca, nim wreszcie wysiadł. Nie wiedział, po co ma wysiadać. Po co wlec się do windy, do mieszkania. Niekonieczny był najdrobniejszy ruch ręki i nawet kiedy mu ścierpła cała od łokcia – nie przemieścił jej dla przywrócenia krążenia. Ruch, zmiana – nie zniósłby. Tylko absolutna statyczność go ratowała. Siedział w ciemności i ciszy. Prawej ręki w ogóle już nie czuł – nie miał jej, amputowano, odjęto sensorium; prawie uwierzył.

Minęło pół godziny – wysiadł, podszedł do windy, wjechał do siebie. Włączył wszystkie światła, włączył sieć ubezpieczenia prawnego. Rozebrał się – ale do łazienki nie dotarł. Skręcił do kuchni – ale po jedzenie nie sięgnął. (Czy był głodny? Nie miał pewności). Wrócił do salonu, wyszedł na balkon. Miasto skoczyło na niego ze szponami. Cofnął się. Podszedł do barku, pogładził szkło, zawrócił, potrącił abstrakcyjną rzeźbę, usiadł na dywanie, wstał, znowu usiadł, znowu wstał, otworzył sejf, przekartkował Lewisa, zamknął sejf, włączył muzykę, wyłączył muzykę, włączył ledtapetę, wyłączył ledtapetę, kopnął stolik, ugryzł się w przedramię, odpiął kolczyk telefoniczny, zapiął go z powrotem, zadzwonił do Anzelma. – Anzelm? Hunt.

– A. Doszedł was ten raport?

– Jaki raport?

– Krasnow wspominał coś, że chyba roześle…

– Jaki raport?

– Jest postęp z estepem. Wyselekcjonowali wreszcie pełną, zamkniętą, bezpieczną sekwencję. Na myszkach wygląda to nawet nieźle. Mówił, że napisze i pośle. Wciąż ten estep udoskonala. Nacisnąłem go trochę i odstawił wreszcie efes. Tu w ogóle… Moment.

Preslawny przerwał i w uchu Nicholasa zahuczała Haydnowska cisza. Stał w bezruchu w szerokim przejściu między salonem a sypialnią, jedna dłoń uniesiona do ust, druga zaciśnięta w pięść.

– No więc – podjął Preslawny – to jest prywatny folwark Krasnowa. Właściwie nikt do końca nie wie, co on tu robi. Cwaniak zna wszystkie tricki. Wiesz, że wykonuje nawet zlecenia NASA? Ma umowę z MIT na… (Ej, zostaw to!) Ściągnął tu ludzi z Mostu i od Grimmela. Powinieneś chyba poszczuć na niego waszyngtońskie

brytany, wyraźnie odpuścił sobie Wspomaganie, ta placówka rozrasta się w jakieś pieprzone imperium, zasysa fundusze niczym czarna dziura, wkopują się właśnie dwadzieścia pięter pod ziemię, zamówił reaktor. Trzeba go trochę przystopować, zanim wyrośnie nam tu J. Edgar Hoover nauki. Jesteś tam jeszcze, Hunt?

– Nie, hipopotam odgryzł mi ucho. Co ty sobie myślisz? że ja jestem Pan Bóg Wszechmogący? On wił tam sobie to gniazdko latami, nie będę się teraz porywał z motyką na Linię Maginota, sam siedzę po uszy w gównie. Piąty się wypłaszczył, gdybyś nie wiedział. Mogą polecieć głowy. Zgadnij, czyja pierwsza.

– E, nie może być tak źle, za dużo w to włożyli.

– Jeśli zaczną ciąć wystarczająco wysoko, nowy mandaryn może się poczuć w obowiązku naprawić błędy poprzednika. Nie liczy się, ile. Liczy się, kto wkładał.

– Przecież nie zakwestionują użyteczności Programu!

– Uczę cię i uczę, ty wciąż jednako tępy. Użyteczność nie ma tu nic do rzeczy. Ważne jest, co zostanie w papierach. Możesz mi wymienić choć jeden nasz weryfikowalny finansowo bądź politycznie sukces?

– Ależ gdyby podczas drugiej wojny światowej rozumowano w ten sposób, Projekt Manhattan padłby po pół roku!

– Miło, że nareszcie zacząłeś zauważać zmiany, jakie zaszły przez ostatnie sto kilkadziesiąt lat. – Piękny mamy humorek.

– Kij ci w oko.

– Pokój z tobą i hipopotamami twoimi.

Kiedy już zasnął, śniły mu się atomowe grzyby wyrastające na niebie nad Nowym Jorkiem, prawdziwe lub reklamowe.

6. Wojny

Słońce stało w zenicie ponad megapolis. Zanosiło się jednak na burzę i wielopoziomowe ulice tonęły w cieniach – od chmur, od sterowców, od wyższych ulic.

Na górnym piętrze Centrali, w sali konferencyjnej, trwało zebranie. Udział w nim brali: Nicholas Hunt, Joseph Moore, doktor Marina Vassone, pułkownik Fortzhauser i Ronald Schatzu, ten ostatni na wyraźną prośbę dwóch gości z Waszyngtonu, na których polecenie w ogóle zwołano owo zebranie. Pierwszym z nich był dobrze znany Huntowi Jack Oiol, doktor ekonomii, osobisty sekretarz sekretarza obrony; drugim – sprawiający wrażenie nierzeźbionego, rudy chudzielec nazwiskiem Bronstein, o którym Oiol swego czasu rzekł Huntowi, iż jest to anioł egzekucyjny Białego Domu.

Cała siódemka w jak najbardziej oficjalnych garniturach: sztywne halsztuki, białe mankiety, wysokie kolnięte, grube wyjściowe tabi o gumowanych podeszwach, szpilki jurydykatorów pod brodą, nawet Vassone w swym czarnym polijedwabiu, srebrnych obrączkach na palcach rąk i nóg, z wisiorkiem między piersiami. Nadgarstki na krawędzi blatu stołu.

Rytuały władzy, rytuały powagi, rytuały dominacji, Forrna określa dopuszczalne uczucia, to zabezpieczenie Przeciwko naszym żądzom, inaczej szefowie korporacji skakaliby sobie z dzikim wrzaskiem do gardeł podczas negocjacji; Bogu niech będą dzięki za NEti. Hunt uśmiechnął się krzywo za zasłoną dłoni z papierosem.

– No dobrze, ja wszystko rozumiem – westchnął Oiol, który musiał grać swoją rolę jak wszyscy inni – ale czy to nie było po prostu marnotrawstwo telepatów? Mieliście pięciu, wszystkich szlag trafił. A z neuromonad nici. Czyż nie tak wygląda aktualny stan Programu?

– Mhm…

– To co to jest? Bo dla mnie – klęska.

– Przypominam – odezwała się Vassone, z zadziwiającą niefrasobliwością okazując roztargnienie głosem i niepewnym spojrzeniem – że założenia i szansę powodzenia Programu znane były wszystkim od początku i wówczas nie słyszałam żadnych sprzeciwów. Po fakcie każdy mądry – dodała, prześlizgując się spojrzeniem ponad głowami Oiola i Bronsteina.

– To był plan zwycięstwa totalnego – powiedział Hunt. Zainspirowany demonstracją Mariny wyglądał teraz melancholijnie na miasto pod wielkimi sterowcami, pod burzowymi chmurami. – Pozyskanie współpracy neuromonad gwarantowało tryumf absolutny, bo nie ma w tym pokerze wyższej karty. Natomiast idąc po linii mniejszego oporu i zadowalając się animalnymi, doprowadzilibyśmy

najwyżej do nowej równowagi, bo tamci też mieliby swoje animalne, a wciąż wisiałby nad nami miecz niczyich neuromonad.

– Należało zatem pracować dwutorowo – rzekł Oiol. -Bo teraz jesteśmy co najmniej pół roku do tyłu i startujemy z najsłabszej pozycji.

– Dwutorowo, mhm? – uśmiechnął się Hunt. – A kto to mówił o „przekleństwie rozwiązań połowicznych"?

– Pół roku? – zdziwiła się równocześnie Vassone. -Według Moore'a reszta zaczęła łapać telepatów dopiero kilka tygodni po nas.

– To prawda – przytaknął Fortzhauser. – Przeciek był od nas. Zaczęliśmy pierwsi. Po nas Chińczycy, potem Hongkongijska, potem Francuzi.

Bronstein siedział, nie odzywając się, nie patrząc na żadnego z dyskutantów. Wpółopuszczone powieki sugerowały znudzenie mężczyzny balansującą na granicy kłótni rozmową. Albo on faktycznie nie jest rzeźbiony, pomyślał Hunt, albo też to jego rzeźbienie posiada naprawdę niezwykły charakter.

– Dajmy sobie spokój z rozpamiętywaniem błędów już popełnionych – machnął ręką Oiol. – Teraz trzeba odpowiedzieć na pytanie: co dalej? Tych pięciu wypłaszczonych – wskazał kciukiem podłogę – do niczego się już nie przyda. A sneakerzy nie wyniuchali nikogo nowego. Stoimy przed perspektywą Wojen Monadalnych bez choćby jednej wytresowanej monady po naszej stronie.

– Może pan Schatzu naświetli nam sytuację – mruknął Bronstein.

Zapadło milczenie. Wszyscy zagapili się na Ronalda. Ten odchrząknął, przeczesał palcami krótkie włosy.

– No więc tak. Wojny Monadalne. Streszczę podstawowe założenia.

Po czym jął wyliczać:

– W fazie pierwszej Wojen należy oczekiwać bezpośrednich ataków na umysły decydentów. W drugiej -zmagań prowadzonych wyłącznie na płaszczyźnie myślni, pomiędzy monadami ofensywnymi i obronnymi. W trzeciej – ataków na ogniwa pośrednie, to znaczy telepatów-treserów oraz profesjonalnych mantrycznych blockerów; ataków zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Faza czwarta, która charakteryzuje się dynamiczną homeosta-tyką, to ostatni i potencjalnie nieskończony etap zmagań, polegających już nie na próbach uzyskania bezpośredniego wpływu na decyzje przywódców wroga poprzez nasyłanie na nich monad z odpowiednimi psychomemicznymi "bombami" – lecz na odkształcaniu dookolnej myślni i sączeniu z monad psychomemicznych „wirusów". Na owym etapie nie będzie można już odróżnić umysłu zaatakowanego, „zainfekowanego" – od „czystego".

Następnie rozpoczął nowe wyliczanie: – Istnieją trzy możliwe

warianty reakcji obronnych, Pierwszy; przeniesienie całości ciężaru decyzji na programy komputerowe. Drugi: wprzągnięcie do procesu decyzyjnego maksymalnie dużej liczby ludzi, czyli ubezpośredniczenie demokracji, a w przypadku działań szybkich, taktycznych, tajnych bądź nie podlegających zwierzchnictwu ogółu – randomizacja wyboru jednostki decyzyjnej z maksymalnie licznego zbioru kandydatów, przy czym każdy taki wybór dotyczyłby konieczności rozwiązania tylko jednego na raz problemu. Trzeci wariant: ukrycie właściwych decydentów i otoczenie ich tożsamości jak najdalej posuniętą tajemnicą – w demokracji jest bardzo mało prawdopodobny. Możliwe są, oczywiście, różnoproporcjonalne kombinacje powyższych rozwiązań. Po rozpętaniu Wojen Monadalnych, już w pierwszej ich fazie, nastąpi kompletne podporządkowanie nie uczestniczących w nich krajów i firm siłom dysponującym monadalnymi armiami. Stanie się to albo poprzez takie wpłynięcie na umysły ich zarządców, iż zaczną podejmować wyłącznie złe decyzje, co rychło doprowadzi je do ekonomicznego upadku i wyprzedaży; albo – w przypadku systemów dyktatorskich bądź silnie zhierarchizowanych – poprzez „skłonienie" owych zarządców do zawarcia odpowiednich umów wasalnych. Ostanie się jedynie owych kilka podmiotów liczących się w Wojnach, bo władających monadami. Po tym właśnie rozpoznamy początek fazy pierwszej: nastąpi szybka konsolidacja kapitałowa. Zwroty wektorów przepływu kapitału wskażą mocarstwa monadalne.

– Jutro o czwartej piętnaście po południu czasu Hanoi – rzekł Bronstein – Kompania Hongkongijska podpisze ze Zjednoczonymi Strefami Ekonomicznymi Azji umowę, na mocy której Strefy za symbolicznego jena sprzedadzą właścicielom Kompanii pakiet kontrolny Dwunastu Spółek. Proszę państwa, Wojny Monadalne się już rozpoczęły. Hunt zapalił kolejnego beznikotynowca. Burza nad Nowym Jorkiem przybierała na sile, pioruny rozszczepiały się na powłokach sterowców, spływając po linach uziemiających. Reklamy płonęły pośród tego mrocznego piekła żywiołów niczym runiczne zaklęcia ścierających się ze sobą na niebosldonie czarnoksiężników.

Myśli kotłowały mu się w głowie gorzej od tych burzowych chmur. Przecież potem nie będzie nikogo obchodzić; czyja de facto to była wina – pozostanie pieczęć klęski i nazwisko Hunta pod spodem. Nie idzie nawet o stan faktyczny Programu, lecz o etykietę, jaka zostanie mu przylepiona, o hałas, z jakim upadnie. A Bronstein – tak, on posiada tę władzę: może spowodować rozwiązanie Zespołu na podstawie analizy dotychczasowych jego wyników, w istocie dalece niezadowalających.

– Pytanie: po co w ogóle to zebranie? – rzucił Hunt. -Co my możemy zrobić bez telepatów na chodzie?

– Przynajmniej zapewnić ochronę – warknął Fortzhauser. – Nasi

mantrycy są do dyspozycji. W Waszyngtonie na pewno bardziej się przydadzą.

Oiol skinął głową.

– Szef personelu ułożył się już z dalajlamą, zawsze mieliśmy dobre układy z tybetańską diasporą.

– Dajcie też ochronę tej ochronie – zalecił Hunt.

– Czy mi się wydaje, czy to już by była faza trzecia? -spytała ironicznie uśmiechnięta Vassone. – Piorunem to idzie.

– Bez własnych monad na smyczach możemy się co najwyżej bronić – pokręcił głową Oiol. – Oni tam będą tymczasem kroić między siebie resztę świata, a my – my zamantrujemy się na śmierć.

Bronstein stukał paznokciami o blat, zero zainteresowania w oczach.

– Jest jeszcze Program Wspomaganie. – Hunt strzepnął popiół z papierosa i spojrzał na Bronsteina. – Czytuje pan raporty?

Bronstein skinął głową.

– Więc wie pan, że Krasnowowi udało się z selekcją genu zupełnego telepatii – ciągnął Hunt. – Wszystko jeszcze przed nami, dopiero z estepem zacznie się na naprawdę dużą skalę. To otwiera zupełnie nowy etap. Wydaje mi się, że rozsądnym byłoby zebrać wszystkich tych ekspertów i sporządzić jakiś bardziej sztywny plan postępowania, ustalić priorytety… Zgodzą się państwo, że dotąd nie było w tym względzie pełnej jasności.

– Jest tylko jeden priorytet – oznajmił Bronstein. -Wojny Ekonomiczne. I tylko taki cel waszego Programu: zwycięstwo w nich.

– Zorganizujemy konferencję – rzekł Hunt, starając się, by zabrzmiało to tak, jakby przytakiwał Bronsteinowi. Dobrze pamiętał o złotej zasadzie biurokracji: nie wiesz, co zrobić – zwołaj naradę. – Zorganizujemy konferencję, opracujemy harmonogram. – Ciskał kolejne zaklęcia. – Skoro już zaczęły się Wojny Monadalne, musimy zmienić taktykę. Nie ma mowy o dalszych poszukiwaniach świętego Graala, doktor Vassone mi wybaczy.

Doktor Vassone obserwowała cienie na suficie.

– Świetnie – mruknął Bronstein, wstając. – Zyskaliście odroczenie.

Prosto z tej narady przeszli do „Santuccio" na wcześniejszy lunch: Hunt, Vassone, Schatzu, Oiol.

– Jezu, czy ten Bronstein faktycznie przyleciał tu po wasze głowy? – spytał Ronald, złożywszy swoje zamówienie.

Oiol zaśmiał się.

– Przyzwyczajaj się. Zawsze najpierw szuka się winnych niepowodzenia, jego przyczyn – dopiero potem, jeśli w ogóle.

– Nie jest tak źle – wzruszył ramionami Hunt. Był wyraźnie odprężony, szafował uśmiechem ponad wszelkie wymogi grzeczności.

– My jesteśmy jedynymi ekspertami od całego tego monadalnego szajsu, a z Wojnami Monadalnymi na karku nie mogą sobie pozwolić na posłanie nas w odstawkę. Prorokuję wiek złoty, zalew wolnych funduszy.

– Co za „my"? – mruknęła Vassone.

– Pani, o najmędrsza – skłonił się jej, nie podnosząc się z krzesła, Nicholas – pani.

– I on. – Oiol wskazał łyżeczką Schatzu.

– Taki tam ekspert – parsknęła. – Posiedział, pomyślał, napisał. Co pan w ogóle wie o monadach?

– Och, z pewnością nie tyle, co pani – odparł Ronald, który najwyraźniej już chwycił obowiązujący przy stoliku ton. – W razie jakichkolwiek wątpliwości nie omieszkam zwrócić się z pokornym zapytaniem do wyroczni. Dręczy mnie na przykład taka kwestia. – Pociągnął łyk napoju i spojrzał przez szklankę na prześwitujące spomiędzy chmur słońce. – Czy myślnię obowiązują prawa fizyki? – O co panu chodzi?

– Mhm, czy, dajmy na to, spuszczona na Księżycu monada dotrze do ofiary na Ziemi szybciej niż w sekundę?

– Pyta pan o ograniczenie do prędkości światła?

– Aha.

– Prawdę mówiąc, nie prowadziliśmy badań – przyznała Vassone. – Trzeba by wpierw wytresować monadę, a my nie wytresowaliśmy ani jednej.

– No, niech pani nie będzie taka skromna – sapnął Oiol. – Pani wytresowała Czwartego, który wytresował animalną.

– A w ogóle na co to panu, Schatzu? – zainteresował się Hunt. – Będzie pan próbował wyjaśniać za pomocą myślni paradoks jednoczesnych obserwacji?

– Aa, nie, tak sobie. Ciekawy byłem.

– Ja też mam pytanie do pani doktor – zgłosił się Oiol. – Jak mianowicie wyobrażała sobie pani to porozumienie z neuromonadami? Co takiego moglibyśmy im dać w zamian za oddawane nam przysługi, a czego nie mogliby im dać nasi wrogowie? Hę?

– Ofiary, stosy ofiar – zaintonował Hunt. – Manipulacje algedoniczne. Co za przyjemność dla nich? Jeden jest Pewnik: pożywienie. Każdy organizm łaknie. A co jest ich białkiem, budulcem ich ciał? Psychomemy. Więc? Wejrzyj na nas, okrutna Ateno.

– Upiłeś się?

Hunt zrobił dziwną minę, puścił oko do Schatzu.

– Czyż bowiem nasze umysły, traktowane według teorii pani doktor jako psychomemiczne odbicia procesów zachodzących w korze mózgowej, zorganizowane zakłócenia myślni – czyż one również nie

stanowią monadalnej formy egzystencji? Fakt: przywiązane są do ciała. Ale cóż to znaczy? z perspektywy myślni nie znaczy to nic. Ciało umiera. I co wówczas z umysłem? Mózg gaśnie; ale wszak właśnie dowiodła pani na przykładzie telepatów, że psychoerny nie potrzebują dla przetrwania żadnej fizycznej podpory. Toteż umysł istnieje nadal. Jest to już monada klasyczna, roślinna bądź animalna. Przed śmiercią posiadał inteligencję, samoświadomość. Pytanie: czy dysponuje nimi również potem?

Oiol wpatrywał się w Hunta podczas jego przemowy z uporczywością w myśl Nowej Etykiety wręcz obelżywą.

– Czy to oznacza – żachnął się – że wy tu usiłujecie się skontaktować z duchami zmarłych? To są te neuromonady, obca inteligencja myślni…?

– Trza było wam nająć jakiegoś nekromancera – parsknął Schatzu.

– Bardzo śmieszne – warknęła Vassone. – Tylko mąci im pan w głowach, Hunt. To są przecież dwa różne poziomy organizacji, i pan dobrze o tym wie. Co innego -umysł człowieka świadomy właśnie psychomemami, które są jego pamięcią, osobowością, strukturą; a co innego -neuromonada, świadoma organizacją psychomemów, zdająca sobie sprawę ze znaczenia, „treści" ich samych mniej więcej tak samo, jak my zdajemy sobie sprawę z wewnętrznej budowy tkanek naszych mięśni, czyli wcale.

– Ja wiem, jak zbudowane są moje mięśnie – rzeki Schatzu.

– Doprawdy? Pana mięśnie? Potrafi pan wejrzeć we własny biceps, zejść do poziomu komórkowego, odczytać go warstwami? Dysponuje pan jakimś przeznaczonym do tego celu zmysłem fizycznej introspekcji?

– Dysponuję mikroskopami.

Hunt postukał kłykciami w blat stolika.

– Zaraz, powoli. Zapędziliśmy się w tych analogiach, niedługo wyjdą nam psychomemiczne mikroskopy elektronowe. Ja przyjmuję do wiadomości pani rozróżnienie. Ale to nie zamyka kwestii, bo jedno nie wyklucza drugiego. Co mianowicie dzieje się z umysłem człowieka po śmierci?

Oiol westchnął ciężko, uniósł oczy ku niebu.

– Jakbym wrócił na studia. Jakim cudem wpadliśmy w ten eschatologiczny kanał?

– Zamilcz, niewierny – machnął na niego Hunt. – My tu o wzniosłych rzeczach mówimy.

– Ja wiem, ja wiem – pokiwała palcem Marina. – To Czarny, piątka. „Nie moje niebo, siódma brama, hurysy czarnookie". Prawda?

– Coś tam przecież widział – nacisnął Nicholas.

– Monadę widział.

– Więc przeczy pani?

– A niby czemu przeczę?

– Ciągłości umysłowej świadomości.

– Tak. To jest inna forma organizacji. Gdy gaśnie mózg, ginie struktura: zostaje kupa psychomemów. One mogą przetrwać, i w istocie często się to zdarza, czasami nawet samoorganizują się lub są jednym z elementów organizacji do poziomu homeostatu myślni, exemplum nawiedzone domy, duchy miejsc kaźni – lecz wszystko to nie oznacza jakiegoś rodzaju życia pośmiertnego. Identycznie rzecz ma się z ciałem: ono przecież również nie znika w momencie śmierci, trwa, jego budulec w procesie biologicznego recyklingu wchodzi nawet w skład kolejnych homeostatycznych maszyn świata fizycznego – ale cóż z tego? Nie o to tu idzie.

Przyjechały zamówione dania, w większości krwiste befsztyki. Inżynierowie memetyczni od lat z takim upodobaniem sprzęgali indukowane przez siebie trendy z memotrendami wegetarianizmu i zdrowego żywienia, że dla pokoleń Hunta i Vassone rozmyli je już doszczętnie. Tatary, strogonoffy, tłuszcze zwierzęce – znowu nie były niemodne.

Chwilę trwało zamieszanie z rozdzielaniem kompletów i płaceniem, kelner łapał ich po kolei za nadgarstki i przyciskał suche wargi operatora do cashchipu wyczuwalnego pod skórą drobnym stwardnieniem.

– Mmmm – potrząsnął widelcem Schatzu – ale może mi ktoś wreszcie wyjaśni ten passus o „ofiarach, stosach ofiar"? Co?

– To jest smaczne – zaakcentował Hunt. Oiol zajrzał mu do talerza.

– Naprawdę?

Hunt zamachał, zirytowany nieporozumieniem.

– Ofiary, stosy ofiar – powtórzył. – Pytanie brzmiało: czym przekupić neuromonady. Smacznym żarciem, oto czym. Pani doktor wytłumaczy w szczegółach – skinął na Vassone. – Akurat.

– W każdym razie opieram się tu na jej słowach – zaznaczył Hunt. – Jakaś mała hekatombka… Najlepiej z ludzi, nie z wołów, bo ludzie mają jednak bardziej rozwinięty system nerwowy i więcej psychomemów wydalą, wyższej jakości. Oczywiście w bólu, w męce, to musi być długie, jednostajne cierpienie, aby uzyskać jednorodność i koherencję emisji – na korze pozostanie wówczas tylko jedno doznanie, skumulowany ładunek. I oczywiście w przypadku każdej z ofiar powinno być ono takie samo – stąd wymagana rytualność mordów. To będzie im smakować.

Schatzu, krzywo uśmiechnięty, spojrzał na Oiola, Oiola o twarzy pozbawionej wszelkiego wyrazu, jak z lanego plastiku.

– Czy Departament Obrony USA nie finansuje przypadkiem badań nad czarną magią?

W dniach, które nadeszły po wizycie Bronsteina i ogłoszeniu wybuchu Wojen Monadalnych, Hunt miał nareszcie pełne ręce roboty.

Przede wszystkim musiał zorganizować tę publicznie zapowiedzianą konferencję. Zwyczaj nakazywał postępować w takich razach z prawdziwie bizantyjskim rozmachem, czyli wykorzystać budżet do maksimum, przede wszystkim starając się zapewnić uczestnictwo każdego specjalisty, którego absencja mogłaby zostać potem organizatorowi wytknięta jako przyczyna niepowodzenia przedsięwzięcia.

Bo też Hunt tego właśnie się spodziewał: niepowodzenia. Bogiem a prawdą nie słyszał jeszcze o takiej naradzie, konferencji, burzy mózgów czy jak to zwał – o której można by rzec, iż zakończyła się sukcesem. Jaką mianowicie postać miałby przyjąć ów sukces? Jednego gigabajta pokonferencyjnego trashu więcej? O dalszej karierze Nicholasa i tak zadecyduje rozwój wydarzeń w Wojnach Ekonomicznych i przyszły układ sił w stolicy. Konferencja to ledwie standardowa zasłona dymna – nikt przecież nie będzie mógł zaprzeczyć, iż Hunt nie siedział tu z założonymi rękoma i faktycznie coś robił! Więc im większy rozmach, tym lepiej.

Wszelako tym razem Hunt znajdował się w trudniejszej sytuacji, bowiem listę uczestników znacznie ograniczały narzucone przez Fortzhausera kryteria bezpieczeństwa. Znacznie – czyli lista objęła jedynie tych, którzy albo już byli częściowo z projektem Kontakt zaznajomieni, albo posiadali dostęp do sekretów o analogicznym bądź wyższym poziomie poufności. Na dodatek wykreśleni z niej zostali wszyscy nie będący obywatelami USA lub będący także obywatelami innych państw bądź sygnatariuszami ekskluzywnych umów kulturowych, tudzież ludzie czerpiący większość swych dochodów ze źródeł pozabudżetowych. Zwłaszcza ten ostatni warunek odczuł Hunt dotkliwie: dyskwalifikował on blisko dwie trzecie kandydatów. Z punktu widzenia oficera kontrwywiadu był jak najbardziej sensowny – cóż określa lojalność silniej od pieniędzy? – niemniej dla Nicholasa, który sam nie pogardziłby wysokim stanowiskiem w menadżmencie jakiejś megakorporacji, brzmiało to zgoła idiotycznie. W końcu któż przewidzi, który z ekspertów, pracujących teraz wyłącznie dla rządu, nie przeniesie się za jakiś czas do konkurencji, z wianem w postaci także tych sekretów? Przenoszą się wszyscy. Dawno minęły czasy, kiedy budżet państwa stanowił główne źródło finansowania prac naukowych. Obecnie mógł się na tym polu przyrównywać co najwyżej do budżetu pojedynczej, średniej wielkości firmy Strategia finansowania badań w kluczowych dziedzinach, rodem jeszcze z zimnej wojny (kiedy to tajne technologie wojskowe zawsze o kilka lat wyprzedzały rozwiązania wdrażane do użytku cywilnego)

skompromitowała się do reszty w latach sześćdziesiątych, gdy DARPA w wielkim zrywie finansowym postanowiła postawić na technologie antygrawitacyjne. Początki były obiecujące, ale po dekadzie projekt padł, gdy okazało się, że krzywa energii koniecznej dla sprowokowania fenomenu rośnie w stosunku do masy wykładniczo. Potem rząd pozostawił badania sektorowi prywatnemu, który stać było na amortyzacje kosztów w dużych przedziałach czasowych i wysoki procent projektów chybionych, a który nie musiał się tłumaczyć z każdego centa odmówionego programom socjalnym. Nawet owa słynna bionanotechnologia, mocą międzynarodowych konwencji usunięta w sferę zastosowań tajnych – nawet ona stanowiła efekt pracy ludzi z Mostu zaledwie w kilku procentach. Jedyna przewaga rządowych projektów brała się tu z faktu, że – jako „oficjalnie tajne" – były one wyjęte spod prześladowań prawnych, tam więc naukowcy mogli się zapuścić najdalej w swych poszukiwaniach. Ale również to ograniczenie nie było bezwzględne, firmy prywatne miały bowiem możliwość przeniesienia swoich laboratoriów w miejsca na Ziemi „prawnie przyjazne": zawsze znajdzie się jakiś podmiot prawa międzynarodowego na tyle zdesperowany ekonomicznie, że gotów zmienić swe wewnętrzne legislacje dla podratowania budżetu. I coraz więcej tak czyniło, zwłaszcza w dziedzinie bionanotechnologii, która znajdowała się obecnie na szczycie naukowego boomu; nie ta abstrakcyjna bionanotechnologia sprzed wieku, ale prawdziwa, praktyczna inżynieria bionano. Albowiem w momencie, gdy nano schodzi do takiej skali i precyzji, że potrafi samodzielnie rekombinować DNA, konstrukcje biologiczne i nanopochodne sprowadzone zostają do wspólnego mianownika, jednego kodu, za pomocą którego można zarówno zmieniać/budować materię ożywioną, jak i nieożywioną. I, o ile Hunt się orientował, na tym właśnie skupiała się obecnie praca w Moście: na stworzeniu nanotechnologicznego analogu dezoksyrybonukleotydów – takich trzech-sześciu podstawowych nanoelementów, których wzajemna przestrzenna orientacja oraz sposób połączenia szyfrowałyby prostym, samowykonującym się językiem całość właściwości powstałego z nich tworu (czy byłby to kolejny nanobot, większy zaledwie o rząd wielkości, czy też pseudoorganizm wielkości zwierzęcia).

Ostatecznie więc lista zamknęła się na pięćdziesięciu dwóch nazwiskach. Dla Hunta oznaczało to konferencję wręcz kameralną. Dla Fortzhausera – niemal stuprocentową pewność wypłynięcia tajemnicy na zewnątrz.

W końcu musiał Nicholas pójść na kompromis i dla uniknięcia dalszych zastrzeżeń Fortzhausera wybrał na miejsce obrad bazę EDC – nie ów powszechnie znany budynek przy Wall Street, lecz potężny, betonowy „bunkier" wzniesiony na miejscu dwudziestowiecznej

fabryki w Bronxie, tuż nad East River. Było to zagranie podwójnie sprytne, bo na dodatek zrzucało całą odpowiedzialność za ewentualne późniejsze przecieki na Korpus -Hunt umywał ręce. Najwyraźniej jednak szef sztabu EDC, generał Kleist, przejrzała Nicholasa, bo odmówiła udostępnienia pomieszczeń na konferencję. Droga służbowa trwałaby tygodnie, tak zatem Hunt pofatygował się do Bunkra osobiście, dla zachowania formy zabierając z sobą Anzelma, który akurat na dwa dni wrócił do NY, by zlikwidować tu resztę swoich spraw i w spokoju omówić z Nicholasem sytuację. Pojechali prosto z Cygnus Tower.

Sami ludzie z Korpusu nazywali go Bunkrem: nad ziemię wznosił się na sześć kondygnacji, lecz pod powierzchnię przykrytego soczystym trawnikiem gruntu schodził na metrów ponad dwieście. Było to jedno z dwóch głównych centrów operacyjnych Departamentu Skarbu USA w Wojnach Ekonomicznych i klasą antysneakerowych zabezpieczeń przewyższało Langley i Fort Meade (tak w każdym razie utrzymywał pułkownik Fortzhauser, a Hunt łykał to bez mrugnięcia).

Ponad Rikers Island widać stąd schodzące do lądowania na La Guardii samoloty, w takie mgielne wieczory smugi laserów naniebnych reklam biją z zespołu rzutników w Old College Point na kilometry wzwyż. Limuzyny Programu nie wpuszczono do wewnętrznego garażu (kolejny afront) i Hunt miał okazję podziwiać naturalne krajobrazy sztucznego świata.

Generał Iris C. Kleist, EDC, doktor ekonomii rzeźbiona w filigranową Mulatkę, przyjęła ich nie w swoim gabinecie (który mieścił się gdzieś w trzewiach sektora operacyjnego Bunkra), lecz w gabinecie zarządcy budynku, chwilowo przezeń opuszczonym.

Nie było jasne, czy pomieszczenie to obejmuje sieć NEti – ale ponieważ Hunt i Anzelm mieli co do tego wątpliwości, zachowywali się tak, jakby istotnie obowiązywała ich Etykieta.

Po kwadransie przeszli do rzeczy – generał przeszła.

– Jeden powód, dla którego miałabym się zgodzić.

– Przecież pani wie, czym my się zajmujemy. Ponad pół budżetu Programu szło przez jej konta.

– Taa, biurokracją i intrygami – warknęła. – Czy wy w ogóle czytaliście własny statut? „W celu wspomożenia obrony gospodarki państwa", tak tam stoi. Tymczasem co ja słyszę od pułkownika Fortzhausera?

– Co pani słyszy?

Tylko zmierzyła Hunta wzrokiem.

– Pani generał – zaczął pojednawczym tonem – nie może się pani spodziewać natychmiastowych korzyści, to jest program badawczy, eksperymentalny. Albo nastąpi przełom, albo nie. Robimy wszystko, żeby…

– Czy jest tam u was choć jeden człowiek – przerwała mu wbrew NEti – który naprawdę rozumie, na czym polegają Wojny? Poza moimi podwładnymi, których dla zasady ingorujecie. Co?

– Jeśli pyta pani o to, czy posiadamy wykształcenie infoekonomiczne… – uśmiechnął się Anzelm.

– Wtedy dopiero nie byłoby nadziei, że zrozumiecie -prychnęła. – Ja pytam, czy w ogóle pojmujecie zależności.

Stała nad nimi z rękoma za plecami i czekała na odpowiedź. Ni z tego, ni z owego, poczuł się Nicholas wtłoczony w formy infantylne, chłopca wyciągniętego z drzemki do odpowiedzi przed klasą.

– To zależy, co pani rozumie przez…

Tylko westchnęła. Chwilę spoglądała w przestrzeń ponad głowami gości. Potem pokiwała z politowaniem głową.

– Może przynajmniej podstawy. Powinniście znać chociaż z historii. To zaczęło się przecież jeszcze w dwudziestym wieku – powiedziała przysiadłszy, zupełnie niegeneralską manierą, na krawędzi biurka, przed ścianą biało zablankowanego ledunku. – Niektórzy szukają nawet głębiej.

– W dwudziestym wieku? – spytał Anzelm. – Od czego?

– Od rozwoju technologii zniszczenia. Ale tak naprawdę nie było świadomości i nie było decyzji. Nie podam więc daty, nawet daty narodzin nazwy i społecznej świadomości. Wojny Ekonomiczne. – Odwróciła się, by wystukać coś na terminalu.

– Niektórzy interpretują rzecz podług reguł historycznej konwergencji – zauważył Preslawny, najwyraźniej biorąc na siebie ciężar dyskusji; z pewnością był w lepszym po temu humorze aniżeli Nicholas.

– Błędnie – ucięła Kleist.

Zapiawszy rękawiczkę 3D-move, odwróciła się do Anzelma.

– Naprawdę szukać można dopiero w czasach, gdy użyteczność posiadanego potencjału militarnego stała się odwrotnie proporcjonalna do jego wielkości. Widzi pan, w domowych wojenkach o miasteczko czy dwa partyzanckie bandy mogą do siebie strzelać z kałasznikowów, pluć z moździerzy i walić z RGP – ale do czego użyć milionowego wojska z atomówkami, orbitalnymi laserami, hektolitrami ultrazjadliwej broni chemicznej i biologicznej? Mhm? Tym sposobem nie da się już niczego zdobyć. Nie ma zysku. Zwłaszcza, że mocarstwa sukcesywnie same ubezwłasnowalniały się psychologicznie. Memy pacyfistyczne ukorzeniły się w naszej kulturze tak mocno, że elektorat w końcu przestał dawać przyzwolenie na jakąkolwiek wojnę, w której miałby zginąć choć jeden żołnierz – ich rodak lub wróg. Nawet gdyby powstrzymanie się od użycia siły miało okazać się katastrofalne w skutkach – wojna nie zyskuje akceptacji.

– Ale wtedy szło o rywalizację czysto polityczną, motywacje

zmagań były ideologiczne.

– Wojna to narzędzie ochrony bądź powiększenia stanu posiadania państwa. Kropka.

Anzelm wydął wargi.

– O co w ogóle ten szum? Z nieuniknionych konsekwencji zdawano sobie sprawę już prawie dwa wieki temu. O ile dobrze pamiętam, w tysiąc dziewięćset czternastym u Heinemanna w Londynie wyszła książka niejakiego Normana Angełla – The Great Illusion, w której prorokowano analogiczny kres konfliktów zbrojnych. To wszystko są banały, oczywistości historii.

Hunt zagapił się w zdumieniu na Presławny'ego. Skąd on zna takie szczegóły? Co prawda zaliczył kiedyś minikurs infoekonomiki…

– Oczywistości historii, tak – warknęła zirytowana pani generał. – Rzecz cała polega na skali oraz technologiach realizacji. Ekstremalizacja trendu zaczęła się bowiem w momencie, gdy przestała istnieć możliwość rozpętania i wygrania takiej wojny w klasycznym tego słowa rozumieniu, która ostatecznie zbilansowałaby się dodatnio. Nawet gdyby szło na przykład o przejęcie najbogatszych na planecie pól roponośnych – całościowe koszty operacji wojskowej przechwycenia i zachowania kontroli nad nimi znacznie przewyższyłyby ewentualne zyski, zważywszy na militarne potencjały zainteresowanych stron.

– Czyli wszystkich mocarstw Ziemi. Ale owe superarmie w istocie pełniły rolę odstraszającą, nie może pani tego negować.

– I w tym sensie opłacało się wydawać na nie rokrocznie teradolary – przytaknęła Kleist. – Rezygnacja z ich utrzymywania – a więc także rozwoju, bo stać w miejscu znaczy cofać się – kosztowałaby znacznie drożej. Ale dzięki ich użyciu zaczepnemu nie da się uzyskać już niczego.

– Korelację stwierdzić najłatwiej. Ale prześledzić skutek i przyczynę…

Kleist tylko uniosła brew. Preslawny bezczelnie odpowiedział uśmiechem.

– To siła gospodarki stanowi o sile armii danego kraju, nie na odwrót. – Generał zakrzyknęła na kompa i na ścianie wyświetliły się napchane statystyką kolorowe tabele. – Ruscy przekonali się o tym na własnej skórze w trakcie partyjki zbrojeniowego pokera z Reaganem. Przykład z przeciwnego bieguna: Japonia – choć wszak wbrew pozorom nie całkowicie bezbronna, to przecież w gruncie rzeczy militarna pchła przy sowieckim słoniu.

– Japonia wchodziła de facto w skład sojuszu…

– Sojusze XX wieku nastawione były na obronę przed konwencjonalnym atakiem, to znaczy brutalną siłą mordu i zniszczenia. Przyznaję, ich rola, podobnie jak rola owych superarmii,

była niezaprzeczalnie istotna, nikt z nas tego nie neguje. Lecz tymczasem górę zaczął brać nowy czynnik, na znaczeniu zyskiwała inna płaszczyzna zmagań – ekonomiczna – ponieważ na niej podboje wciąż są możliwe.

– Ależ to nie jest żaden nowy czynnik, on istniał od wieków!

– Tak. Lecz, powtarzam, jego rola, z uwagi na postęp cywilizacyjny i pomniejszenie roli klasycznych konfliktów zbrojnych, wzrosła do tego stopnia, że mamy prawo mówić o zmianie jakościowej. Porównajmy efekty bezpośrednie i pośrednie najostrzejszego konfliktu ekonomicznego w realiach pierwszej wojny światowej oraz w czasach współczesnych: to są dwa różne światy.

Wywołała na ścianie inny standardowy zestaw poglądowych zobrazowań.

– Pierwszą różnicę stanowi tempo zmagań. Wtedy czas od decyzji do pierwszych jej skutków liczyć należało na tygodnie i miesiące, lata nawet, dziś są to sekundy. Jest to, oczywiście, kwestia technologii. Prawdziwy przełom nastąpił wraz z komputeryzacją łączności, wirtualizacją praw własności i automatyzacją procesów decyzyjnych. Impuls niosący informację o spadku czy wzroście kursu biegnie światłowodem od kraju do kraju ułamki sekund. Niczego też nie trzeba podpisywać, przewalać ton Papieru, przemieszczać materialnych akcji, wykonywać Przy udziale ludzi proceduralnych wygibasów – co przedtem zabierało godziny i dni. Teraz wystarczy zmienić zapis w kryształowych pamięciach komputerów sprzedających, kupujących oraz giełdy – a to są nanosekundy. Największą zmianę w tej dziedzinie wniosła wszakże automatyzacja procesów decyzyjnych. Trend rozpoczął się od giełdowych programów eksperckich z lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. Pierwotnie miały to być jedynie swoiste bezpieczniki na wypadek nagłego krachu, wiadomo bowiem, że jak już się na giełdzie wali, to wali się wszystko i to z szybkością pikującego myśliwca. W takich warunkach ludzki makler nierzadko fizycznie nie nadąża ze składaniem zleceń, na dodatek tych właściwych -a stres jest potworny. Ponadto początek krachu często wszyscy przegapiają i odpowiedni punkt na wykresach wskazują dopiero post factum analitycy. Toteż zadaniem takiego programu komputerowego było cierpliwie wyczekiwać pierwszych objawów nieszczęścia i zareagować wówczas natychmiastową wyprzedażą zagrożonych pozycji i przejściem na papiery bezpieczne, tudzież podłączyć się do trendu i dla amortyzacji strat grać na krótką sprzedaż. Warunki aktywacji – progowe wysokości indeksów lub notowań pewnych firm uznawanych za reprezentatywne bądź wyjątkowo „wrażliwe" – oraz odpowiedzi programu wpisywali weń wcześniej ludzie. W krótkim czasie do pomocy programów eksperckich zaczęli się uciekać wszyscy więksi inwestorzy, wzrosły

również znacznie kompetencje owych programów: już nie tylko szło o ratunek w razie zapaści, lecz także o korygujące reakcje na zmiany trendów na giełdzie, coraz drobniejsze, coraz mniej istotne. Tendencja do automatyzacji decyzji była nieodwracalna, bo każdy, kto by się ze stosowania tej strategii wycofał, z miejsca stawiałby się na przegranej pozycji.

– Więc jednak konwergencja – zauważył Anzelm.

– W tak szerokim jej znaczeniu, każdy proces historyczny posiada charakter konwergencyjny. – Wzruszyła ramionami. – A pamiętajmy, że ta strategia posiadała i ciemne strony. Kilkaset takich „maszynowych inwestorów" działających równocześnie na jednym rynku -a wkrótce stało się jasne, iż w gruncie rzeczy istnieje tylko jeden rynek – stanowiło samodetonującą się bombę ekonomiczną: funkcjonując bezrefleksyjnie i podług sztywnych algorytmów, były ślepe na pośrednie konsekwencje swych poczynań i co rusz powodowały „lawiny decyzyjne", zgubne dla wszystkich. Wyglądało to w sposób następujący.

Tu Kleist wywołała na ścianie przykładowy zapis „lawiny". Miejsca wprzęgnięcia się programów zaznaczone były na lecących w dół wykresach czerwonymi piktogramami. Wersja animowana, trójwymiarowa, ukazywała "współpracę" kilku programów.

– Program najbardziej asekuranckiego z inwestorów -mówiła generał, wskazując kolejno odpowiednie fragmenty zobrazowania – a zazwyczaj był to fundusz emerytalny, rozpoznawał sytuację jako niebezpieczną – bo akurat na tym dokładnie poziomie ustawiono mu próg czujności -i pozbywał się papierów, jego zdaniem, zdaniem jego twórców, niepewnych. To naturalnie wzbudzało niepokój kilku innych programów. Jeśli skumulowane wahnięcie kursów przekroczyło analogiczny próg u któregoś z nich, wówczas i on się dołączał do zrzutu, a jeżeli przy tym był to program zaplanowany „z większym gestem", mógł się zachować bardziej agresywnie i pójść „na trend". Spadek kursu się powiększał i rzutował na kursy firm pokrewnych, bo programy prewencyjnie wyprzedawały blokowo. Wystarczyło parę takich zazębień skutków działań jednego programu z założeniami kolejnego, by giełda ni z tego, ni z owego, w przeciągu minut, spadła w najgłębszą otchłań bessy. Ludzcy maklerzy mogli tylko przyglądać się i kląć.

– Czemu nie wyłączyli tego wszystkiego w cholerę?

– To nie było żadne wyjście – Kleist pokręciła głową. -Kto by się na coś takiego porwał, uzyskałby jedynie tyle, że najpóźniej i z największą stratą zeszedłby z dołujących Przedsiębiorstw. I w rzeczy samej, według tego scenariusza doszło do kilku poważnych załamań giełdowych. Jednak po upowszechnieniu komputerów opartych o fuzzy logic, sieci konekcyjnych, PDP i post-PDP, heurystyk

adaptatywnych, nieporównanie bardziej elastycznych i zdolnych do nauki na błędach – zagrożenie z tej strony wyraźnie zmalało. Bezpośrednią konsekwencję powyższego stanowi również całkowite wykluczenie z ekonomicznych gier ludzi.

– Więc co wy tu właściwie robicie?

– W boju parkietowym uczestniczą wyłącznie maszyny. Nam pozostaje rola programatorów i określaczy strategii ogólnych, nadzorców, kontrolerów i sztabowców.

– Odpadliśmy, bo jesteśmy wolniejsi?

– Nie tylko. Chociaż rzeczywiście, szybkość dyskwalifikuje człowieka już na starcie. Ale komputery tej generacji są „świadome" również istnienia innych komputerów inwestorów i biorą w swych decyzjach pod uwagę ich programy. Zmagania wspięły się tym samym na wyższy poziom, owe wnuki programów eksperckich rywalizują bowiem ze sobą już na „metagiełdzie", gdzie dokonywane wybory zależą nie od rzeczywistych notowań i faktycznych posunięć adwersarzy, lecz ogółu stanów i zdarzeń możliwych, a każde z nich ważone jest odpowiednim prawdopodobieństwem i wartością oczekiwaną. Na tym etapie ludzcy analitycy giełdowi sami z siebie już nawet post factum nie są w stanie zrozumieć i wytłumaczyć poczynań komputerów. Przykładowo – Kleist wyciągnęła zapis jakiejś starej sesji i przewinęła analizę – znajdują w listingu pozycję ewidentnie chybioną, zakup jakichś dołujących akcji i sprzedaż ich z wielką stratą. Logika gry na pierwszym poziomie giełdy mówi jasno, iż jest to błąd. Jednak gdy gra toczy się na poziomie drugim, zmienia się perspektywa oceny i nie szacuje się strat i zysków z danych posunięć wobec ich zaniechania (to znaczy: „gdyby nie kupował, bylibyśmy do przodu"), lecz wobec rozkładu prawdopodobnych konsekwencji zaniechań („gdyby nie kupował, Etand najprawdopodobniej zszedłby z KSCF, ruszyłoby czerwone w City i stracilibyśmy sto dwadzieścia mega"). Jedynym wówczas właściwym sposobem analizy jest analiza całościowa. A żaden człowiek nie obejmie jedną myślą wszystkich ruchów na światowym parkiecie.

Ponownie zmieniła wyświetlane wykresy.

– Drugą różnicę pomiędzy konfliktami ekonomicznymi współczesności i początku dwudziestego wieku stanowi stopień ścisłości powiązań gospodarczych w najwyżej rozwiniętych społeczeństwach tych czasów oraz wrażliwości owych społeczeństw na drgnięcia wskazówki ekonomicznego barometru. Chyba nie muszę przekonywać o różnicy?

Hunta z pewnością nie musiała. Niewiele go to wszystko interesowało i najchętniej przerwałby generał pod byle pretekstem, ale wolał jej do siebie w ten sposób nie zrażać: potrafił rozpoznać, gdy ktoś jest naprawdę zakochany w swojej pracy. Na dodatek, decydując

się na ów wykład, Kleist sama uwięziła się w formie: jeśli wysłuchają go do końca, ona po prostu nie będzie już w stanie odmówić im przysługi. Rodzaj handlu wymiennego: wy pozwolicie się zatruć moimi ideami, ja wam użyczę Bunkra. Więc cierpiał Hunt w milczeniu.

– I dopiero wiedząc to wszystko, można próbować zrozumieć toczące się od kilkudziesięciu lat już pod tą nazwą Wojny Ekonomiczne. – Doktor Kleist upiła ze szklanki bezbarwny napój. – No więc przydałoby się zapoznać was z podstawami – westchnęła. – W końcu macie przecież wypracować jakąś supercwaną metodę zwycięstwa w Wojnach, nie zaszkodziłoby, gdybyście wiedzieli, czym to sieje.

A więc to był dopiero wstęp! Hunt jęknął w duchu. Jeśli wyciągnie kolejne wykresy, mogę mimo wszystko nie wytrzymać…

– Ograniczę się naprawdę do podstaw, bo bez przygotowania infoekonomicznego i tak nie zrozumielibyście wiele – stwierdziła, najwyraźniej czytając z twarzy Nicholasa.

Ale Preslawny nie byłby sobą, gdyby odpuścił. Zasypał ją dziesiątkami pytań, gęsto naszpikowanych terminologią rodem z „The Wall Street Journal". Generał miała mord w oczach, podobnie Hunt. Była to wszelako jedna z metod Anzelmowego podrywu: poprzez irytację. Preslawny hołdował tradycji flirtu interaktywnego, twierdził, że to dodaje dreszczyku emocji, ta niepewność: pozwie, czy nie pozwie? Teoria, którą głosił, nakazywała po pierwsze wytrącić kobietę ze stanu obojętności wobec podrywacza. Potem, utrzymywał Anzelm, już tylko krok od nienawiści do fascynacji. Hunt uważał taką rosyjską ruletkę za aberrację psychiczną. Powtarzał Preslawny'emu, że powinien się leczyć, póki nie jest za późno.

W sumie chyba się jednak Anzelm przysłużył, bo zanim tych dwoje skończyło się kłócić, była już ciemna noc i generał na krótkie: – To kiedy możemy się instalować? -Nicholasa mogła tylko podać termin. Hunt jednak nie pochwalał takich metod: to niepotrzebne stawianie sprawy na ostrzu noża; gdyby Kleist była w innym nastroju, bardzo łatwo mogłaby się obsunąć w atraktor zimnej złości i skończyłoby się na śledztwie JAG.

Idąc przez pusty parking, Hunt postukiwał gniewnie laseczką.

– Ciebie zabrać gdziekolwiek…! – syczał na Preslawny'ego. – Słoń w składzie porcelany! U nierzeźbionych żartowałbyś pewnie o kondomach! Nie wystarczą ci te odszkodowania, które już wiszą na twojej pensji? Chcesz skończyć na socjalnym? Weź ty się wreszcie…

– Patrz, kogo diabli przynieśli.

Rzucała się w oczy, bo to była jedyna na całym parkingu limuzyna obok tej Zespołu. Wysiadał z niej właśnie mężczyzna o włosach koloru rdzy, w świetle zarzecznych laserów widzieli go

wyraźnie mimo sporej odległości.

– Bronstein.

– Zauważ – mruknął Hunt, wsiadając do samochodu -jego też nie wpuściła do wewnętrznego.

Z terminem konferencji było już gorzej. Z jednej strony – musiała się ona odbyć wystarczająco szybko, by wywiedzione z jej wniosków ewentualne zalecenia móc wprowadzić w życie, zanim po Wojnach Monadalnych nie będzie już co zbierać (Schatzu mówił o trzech-czterech miesiącach na ostateczne ustalenie nowej równowagi sił). Z drugiej zaś – Hunt musiał dać zaproszonym czas na dokonanie zmian w ich własnych harmonogramach, na przygotowanie wiarygodnych legend, a części z nich – także na zapoznanie się z dostarczonymi przez wojskowych kurierów wcale grubymi opracowaniami o dotychczasowej teorii i praktyce eksploracji myślni (wszystko wyłącznie na papierze!).

Ostatecznie stanęło na następnym weekendzie. Konferencja miała trwać trzy dni – zacznie się w czwartek wieczorem, skończy w niedzielę. Uczestnicy zostaną zakwaterowani wewnątrz Bunkra, w pokojach przeznaczonych dla wizytujących VIP-ów i cywilnych analityków. Zabezpieczeniem całości, zarówno przed sneakerami obcych wywiadów, jak i miejscowych mediów, zajmą się: z ramienia sekcji Fortzhausera – McFly (już z nową twarzą) oraz nowojorski oddział Secret Service, która teoretycznie razem z FBI odpowiadała za ochronę tajemnic Korpusu. W praktyce EDC dysponował własną komórką kontrwywiadowczą i McFly zajął się wszystkim z pomocą ludzi z Bunkra. Hunt po raz kolejny odniósł to dobrze znane zawodowym biurokratom wrażenie: że oto firmuje własnym nazwiskiem działania, nad którymi bezpośrednią kontrolę zdać musiał komu innemu. Przerażające, przerażające uczucie. Sam bowiem więcej czasu poświęcał drugiemu przedsięwzięciu zaanonsowanemu na zwołanym przez Bronsteina zebraniu: wykorzystaniu Krasnowowego sukcesu z estepem. Estep (STP – Stymulator Telepatii) w teorii pojawił się już w pierwszych pracach Vassone, jako sztuczny rekonfigurant DNA do postaci wzorcowego DNA niskiej immunologii umysłu. Vassone wyteoretyzowała go z faktu, iż bez wątpienia istnieje genetyczny wyróżnik ludzi ponadprzeciętnie podatnych na dookolne fluktuacje myślni, ponieważ na podstawie wydostanych za pozwoleniem Hunta z maszyn NSA DNAM Amerykanów udało się jej odnaleźć trzech następnych telepatów. Jej zalecenia były wobec tego następujące: wyizolować całość genów odpowiedzialnych; sporządzić bezpieczny wzorzec uniwersalny; skonstruować na jego bazie odpowiedni rekonfigurator ludzkiego DNA. Za to zabrał się z miejsca Krasnow. Wszystko wskazywało, że w końcu odniósł sukces. W

dostarczonym do Centrali przez wojskowego kuriera pojemniku znajdował się tuzin szczepionek.

Powstało pytanie: jaki zrobić z nich użytek? Słać estepowców na orbitę, żeby w Labach 10, 13 i 17 monady ich po kolei wypłaszczały podczas – według Hunta – nieledwie absurdalnych prób zwrócenia na siebie ich uwagi? Odstawić ich do stolicy, żeby służyli za swego rodzaju kanarki w systemie wczesnego ostrzegania przed atakiem wrogich monad? Pozwolić Krasnowowi na dalsze doświadczalne badanie natury myślni? (Sądząc z relacji Preslawny`ego – Krasnow prowadzić je będzie i tak). Zacząć teraz z wielkim opóźnieniem trenować animalne?

Od nagłego a niespodziewanego bogactwa popadliśmy w chorobliwe niezdecydowanie, kwitował Schatzu. Nicholas Hunt przecież także dlatego organizował ową konferencję: żeby mieć podane czarno na białym, za które posunięcia na pewno nie będzie potem oskarżany o niekompetencję, nieudolność, zaniedbania etc. Tymczasem do konferencji wciąż pozostawał tydzień, a on musiał podjąć jakąś decyzję, szczepionki leżały niewykorzystane w sejfie Centrali, w każdej chwili mógł mieć dwunastu telepatów, i to nie obciążonych schizofrenicznym dzieciństwem, zdrowych i zrównoważonych psychicznie.

Powoli, rzekł sobie. Byle nie wykonywać gwałtownych ruchów. Tydzień to nie tak wiele, da się coś zasymulować. Ot, jak najbardziej realny problem: skąd wziąć kandydatów na estepowców? Fakt, skąd? Z cel śmierci? Broń nas Panie Boże! Fortzhauser zaoferował się błyskawicznie zorganizować dwunastu ochotników spośród kadry oficerskiej EDC. Hunt nic na to nie odrzekł, ale pułkownik chyba wyczytał odpowiedź w jego nieruchomej twarzy: Prędzej wezmę tych seryjnych morderców.

Nie da się jednak ukryć, potrzebowali ludzi o niekwestionowanej lojalności, sprawnych fizycznie i umysłowo. Żołnierze pierwsi przychodzili na myśl. Schatzu, przeklęta fontanna pomysłów, podsunął ideę wykorzystania nie związanych kontraktami małżeńskimi oficerów rezerwy po badaniach psychiatrycznych: takich, którzy regularnie głosowali w wyborach i mieli bezpośrednio do czynienia z Wojnami Ekonomicznymi (jako drobni bandyci giełdowi, stali udziałowcy czy spekulanci funduszów). Nolens volens Hunt w końcu na to przystał, bo ten akurat wariant wymagał jeszcze pewnej przedwstępnej selekcji kandydatów, co dawało dodatkowy dzień-dwa.

Niestety, Moore uwinął się piorunem i w poniedziałek rano na biurku przed Huntem leżała lista dwunastu nazwisk (paper only). Na drugiej, rezerwowej, widniało sześć dalszych. Wszystkich osiemnaścioro kandydatów zostało już zaprzysiężonych przez swych zwierzchników -którzy sami niewiele więcej wiedzieli – i dobrowolnie

wyraziło zgodę na uczestnictwo w tajnym programie. Czekali na rozkazy. Najdalej w ciągu ośmiu godzin od ich wydania znajdą się w Nowym Jorku.

Przeczytawszy to Hunt wyraźnie poczuł, że ciąży nad nim jakaś klątwa.

Zadzwonił do Moore'a.

– Pańscy ludzie powinni byli ich wcześniej prześwietlić.

– Prześwietlili – rzekł małomówny szef wywiadu Zespołu.

Hunt się załamał.

Wszystko zapisane. Pięć dni do konferencji. Estep w moim sejfie. Bronstein tylko czeka potknięcia. A tym czasem ja-ja mam tu teraz podjąć decyzję!

Otwierało się pod nim piekło.

Zadzwonił do Vassone, Fortzhausera, Schatzu, nawet Preslawny'ego, Oiola i Krasnowa. Na trzeciej kartce rozpisał wszystkie propozycje. Horror następnych dwóch godzin jałowych wahań kompletnie wyczerpał go nerwowo. W końcu zarządził, co następuje: jednego pośle się na orbitę, dwóch do Waszyngtonu, jednego odda do dyspozycji Krasnowa, dwóch – CIA, która desperacko szuka po świecie obcych centrów treningowych monad animalnych. Reszta estepowców zabierze się pod kierownictwem Mariny Vassone za trenowanie własnych animalnych. Hunt bardzo był z siebie zadowolony, że przynajmniej w takim zakresie zdołał przerzucić odpowiedzialność na piękną panią doktor. Jeśli odmówi – kalkulował sobie – sama wykluczy się z Zespołu. A jeśli przyjdzie jej odpowiedzieć za fiasko – jej, jako naukowca, nie dotknie to nawet w jednej dziesiątej tak mocno, jak dotknęłoby mnie. Logiczne. Prawda?

Moore, za pośrednictwem jednej z atrapowych spółek EDC, wynajął na półtora roku USS „Curtwaiter", stary frachtowiec zarekwirowany przez Straż Wybrzeża za szmugiel nielegalnych imigrantów. Hunt przeleciał się na niego małym, dyspozycyjnym helikopterem miejskim. Frachtowiec powinien się nadawać: wystarczająco podniszczony, by nie budzić niezdrowego zainteresowania, wystarczająco duży, by pomieścić ludzi i sprzęt. Zszedł do wielkich, pustych ładowni statku. Przewodnik od Moore'a opisywał, co gdzie stanie, z taką precyzją i pewnością siebie, że zapewne chodził już w OVR po „Curtwaiterze" całkowicie przebudowanym. Nicholas próbował sobie wyobrazić przyszłe wnętrze tego morskiego Labu Zespołu. Po odpłynięciu kilkanaście mil na wschód zapewni on czystość dookolnej myślni bez wątpienia nie tak wysoką, jak orbitalne Laby NASA, niemniej wystarczającą do przeprowadzenia pierwszych prób z animalnymi (takie było założenie).

Wracając przez cuchnące grodzie, Hunt dojrzał własne odbicie na

stalowej powierzchni włazu i potknął się, przewrócił. Moore'owiec pospieszył mu na pomoc.

– Co się stało?

– Stare koszmary uchodźców – zaśmiał się sztucznie Nicholas. Bo i nie mogło to być nic innego. Czyżby więc doświadczył oto bezpośredniego przecieku psychomemów z myślni prawdziwie nawiedzonego miejsca? W raportach z Montany prezentowało się to jednak ciut inaczej. Tutaj natomiast najwyraźniej nastąpiło jakieś nałożenie, sprzężenie, skrzyżowanie nurtów. W odbiciu zobaczył mężczyznę odrobinę tylko przypominającego jego: wzrostem, z grubsza sylwetką i może trochę rysami twarzy. Ale tamten był kompletnie łysy, śmiertelnie blady, ohydnie pobliźniony, tatuaże wąskich strużek krwi pokrywały jego brudną skórę, nie miał wąsów, usta krzywił w jakimś drapieżnym grymasie, odziany był w strzępy długiego, czarnego płaszcza, no i nie posiadał prawej dłoni – zamiast niej wystawał mu z rękawa krzywy klosz drgającego światła. Cuchnął okropnie – a skąd Hunt to wiedział po odbiciu we włazie, pozostawało tajemnicą psychomemetyki.

Jeszcze w powietrzu wydzielił z budżetu Zespołu dla nowo utworzonej sekcji Vassone fundusze konieczne do remontu i przekształcenia „Curtwaitera" w coś na kształt w miarę nadającej się do zamieszkania, autonomicznej placówki badawczej. Marina i tak nie zdąży się z tym uwinąć i zaangażować swoich sześcioro estepowców przed zamknięciem konferencji.

Nie było jej w Centrali (sprawdził telefonicznie), toteż poleciał od razu do hotelu, by osobiście powiadomić ją o decyzjach podjętych w takiej męce. W bezpośredniej rozmowie zawsze zdąży jakoś zareagować i zbagatelizować kłopoty. Cóż, przynajmniej tak sobie mówił, czekając, aż otworzą się drzwi apartamentu Mariny.

Kiedy już jednak wszystko jej powiedział, a ona tylko uśmiechnęła się i pokiwała głową, po czym zaproponowała drinka – zwątpił w reguły gry. Czyżby się spodziewała? Przeczuwała? Ale co właściwie? Nie wyrzucił wtedy pająka i nie chciał wyrzucać teraz. Przecież musi rozumieć: to nic nie znaczy. To po prostu egoizm. Na pewno rozumie.

Przy wyjściu uczynił prostacką aluzję do wieczoru w „De Aunche". Czy może liczyć na kolejny? Ależ tak, oczywiście, odparła. I zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Przez ten cały estep miał już dostatecznie zszarpane nerwy, nie stać go było na następne godziny pustego gniewu. Wyjeżdżając z powrotem na dach, śmiał się więc w głos. Charlotte była przecież taka sama. Czegóż innego mógł się spodziewać? Nihil novi sub NEti.

W Centrali minął się z grupą wojskowych techników, którzy skończyli właśnie przebudowywać największą salę dolnego piętra na

centrum monitoringu Wojen Monadal-nych. Pociągnięto światłowód do Bunkra, podłączono się do nowojorskich linii Departamentu Skarbu, Departamentu Stanu i Banku Rezerw Federalnych (połączenia z CIA, FBI, NSA, DLA i HCI istniały już wcześniej). Dane szły do komputerów Centrali i na całkowicie zaledowane ściany i sufit sali.

Fortzhauser wyjął Bunkrowi trzech weteranów Wojen Ekonomicznych do analizy danych i interpolowania z rynkowych anomalii postępów w rozkręcających się po drugiej stronie globu Wojnach Monadalnych. Własne pełnodobowe sztaby trzymały na nogach EDC, CIA i Fed. Po liniach kodowanych jednorazowym szyfrem krążyły między nimi pełne sprzecznych hipotez cogodzinne raporty. Zespół dostawał kopie ich wszystkich.

Tych trzech oficerów – porucznik, porucznik i kapitan – Przyjechało do Centrali na pół godziny przed zainstalowaniem całej elektroniki, prosto z Bunkra, i o niczym nie mieli pojęcia. Jeszcze się nawet nie zdążyli przebrać. Wciąż byli w mundurach. Naszywki w kształcie złotych rzymskich monet obwieszczały przynależność: Korpus Obrony Gospodarczej.

Hunt pomyślał, że oto nadarza się okazja ustanowienia nowych hierarchii lojalności. Przywołał ową trójkę do siebie, odebrał przysięgi, streścił sprawę, wręczył każdemu po kopii prac Vassone i Schatzu i zobowiązał do osobistego informowania o każdej zaobserwowanej zmianie na frontach Wojen Monadalnych. Biedacy byli tak ogłuszeni, że zobowiązaliby się do wszystkiego. Nicholas pożegnał ich zadowolony, że przynajmniej to jedno mu się dzisiaj udało. Pułkownikowi zabierze chwilę powrotne przekonwertowanie infoekonomistów.

7. Pod obcymi sztandarami

Wszystkich przybywających na konferencję witał osobiście w holu Bunkra, ledwo przekroczyli szereg bramek bezpieczeństwa. Uścisk dłoni, uśmiech, wizytówka, Nicholas Hunt, jestem wdzięczny, że znalazł/a pan/i czas, proszę tędy, oto mój numer telefonu, proszę sobie zakodować, w każdej chwili dnia i nocy, Nicholas Hunt, miło mi – nieprzyzwoicie skrócony rytuał powitalny NEti. Limuzyny wynajęte przez EDC przywoziły ich z Kennedy'ego, Newark, Giullianiego i pobliskiej La Guardii, materializowali się stadami. Przybył Krasnow ze swoją świtą (ekipa Hacjendy była najliczniejsza, czternaście osób), przybyli wtajemniczeni z waszyngtońskiego rozdzielnika wraz z własnymi doradcami, w komplecie stawili się płatni konsultanci Departamentu Skarbu z okresu opiniowania przezeń projektu Vassone oraz cała wierchuszka Defense Advanced Research Projects Agency. Pojawili się szefowie NOCS-y, siódmej reinkarnacji SETI, przysłały też własnych ekspertów wszystkie instytucje zaangażowane obecnie w Wojny Monadalne (na razie na poziomie biernego monitoringu). Nie trzeba dodawać, że licznie stawili się ludzie samego EDC i bodaj cały Zespół Hunta. Po porównaniu z pierwotną listą zaproszeń okazało się, że – mimo wycofania się czworga planowanych uczestników – w konferencji udział weźmie blisko dwukrotnie więcej ludzi, niż Nicholas liczył. Hunta wprawiło to w doskonały humor, McFly natomiast rwałby sobie włosy z głowy, gdyby nie był ostrzyżony na zero. Już za te limuzyny mało nie skoczył Huntowi do gardła.

EDC oddał na potrzeby konferencji siódmy podpoziom Bunkra i część kwater na podpoziomach pierwszym i drugim. Powitanie oraz wprowadzające wykłady Vassone, Krasnowa i Schatzu odbędą się w głównej sali seminaryjnej, potem prace przeniosą się do poszczególnych sal, poprzydzielanych stosownie do rozmiarów tematycznych grup roboczych. Hunt sam sformułował te tematy, mając na uwadze przede wszystkim użyteczność spodziewanych wniosków z dyskusji. Całość konferencji będzie rejestrowana przez mikrofony i kamery wewnętrznej sieci Bunkra, nadto każda grupa winna sporządzić na koniec raport podsumowujący. Nicholas zorganizował wszystko zgodnie z regułami sztuki i istotnie mógł być z siebie dumny. Obawiał się tylko przylotu Bronsteina, lecz póki co rudy dzikus nie zjawił się.

Przywitawszy ostatniego z przybyłych i sprawdziwszy listy pasażerów ostatnich lotów, Hunt wszedł do jednej z głównych wind Bunkra.

– Minus siedem – poprosił. Windy były bardzo pojemne, dwie ściany miały w pełni zaledowane, scrollowały się na nich bezustannie

aktualności z giełdowych ekranów taktycznych centrum operacyjnego sztabu EDC. Żadnych wielkich sekretów człowiek z nich nie wyczyta, taki po prostu był default windowych ledunków – lecz oddziaływał na wyobraźnię i wprowadzał w atmosferę panującą w Bunkrze. To wszak było oko cyklonu, front tej wojny, Przykryte nieprzyjacielskim ogniem okopy samotnej dwizji powstrzymującej napór wroga.

Fatum: wyszedłszy z windy na siódmym podpoziomie, Nicholas Hunt wpadł na niewysoką kobietę w mundurze o generalskich dystynkcjach EDC. Odwróciła się: Kleist. Co się okazało: czekała na niego.

– Słówko, jeśli można.

Niemal zaciągnęła go do wnętrza najbliższego wolnego pomieszczenia (było to zresztą ambulatorium). Zamknąwszy drzwi, odwróciła się do Hunta.

Chyba się jej nawet spodziewał: zanim jeszcze winda się zatrzymała, w strumień myśli Hunta wtargnęło wspomnienie generał Iris C. Kleist. (Miejscowe przebicie z myślni?)

Po pierwszym spotkaniu ich wzajemne kontakty ograniczały się do rozmów telefonicznych, i Bogiem a prawdą Nicholas robił wszystko, by tak pozostało. Z owego spotkania wyniósł bowiem obraz generał jako osoby kompetentnej, o silnej woli i, co najgorsze, szczerze oddanej swej pracy. Z doświadczenia wiedział, jak trudno się z takimi ludźmi układa. Fakt, że Kleist miała za sobą blisko trzydzieści lat wojskowego drylu, nie ułatwiał sprawy.

Dotychczas podczas organizowania konferencji zdołał jakoś uniknąć konsultacji na wysokim szczeblu, stosując metodę faktów dokonanych. Teraz przyjdzie mi za wszystko zapłacić, osądził po przymrużonych oczach doktor Kleist i gwałtowności jej ruchów. Na dodatek jesteśmy poza NEti. Trzymaj się, Nicholas: kolejna ciężka bitwa o kompetencje.

Fałszywie ją jednak odczytał.

– To my znajdujemy się na linii ognia – powiedziała, oderwawszy wreszcie plecy od drzwi. – Nie waszyngtońskie koterie, nie Kapitol, nie ty i tobie podobni najemnicy, Hunt. Pierwsze uderzenie pójdzie tutaj, na Bunkier. Na nas – zaakcentowała. – Na mnie. Słyszysz?

– Ależ pani generał – zaczął Nicholas, unosząc ręce w obronnym geście – to nie zależy ode mnie, nie ja przydzielam braciszków, proszę się zwrócić do pana Bronsteina…

– Pan Bronstein należy do innego klubu – warknęła. -Pan Bronstein gra w inną grę, pieprzony prowokator, nie wiem, na co on liczy, na pucz? A mnie chodzi o bezpieczeństwo państwa. Jezu, nikt już nie reaguje, słowa starte na proch… No co mam zrobić, do kogo się zwrócić, w imię czego apelować? – Najwyraźniej była autentycznie wzburzona. Albo też tak szarżowała w swym aktorstwie. Złapała

Hunta za ramię, potrząsnęła; jaskrawe złamanie Etykiety. – Jedna monada na umysłach moich oficerów i to będzie kraj bankrutów!

– Przecież mówię…

– Ty też nie wierzysz, co?

– No naprawdę…

– Cholera, wy od początku nie wierzyliście, nawet ta Vassone… Bronstein… – Puściła go i odwróciła wzrok. -Tam w Azji upadają właśnie rządy, narody przechodzą pod obce zwierzchnictwa. Czeka nas to prędzej czy później. I co mam wówczas zrobić? Co? No co? W łeb se strzelić?

Mamrocząc przekleństwa, usiadła na wyciągniętym spod noszy taborecie. Wyjęła i zapaliła nikotynowca. Hunt się rozkaszlał. Posłała mu mordercze spojrzenie. Wciąż kaszląc, uśmiechnął się przepraszająco.

– Konferencja – prychnęła. – Konferencję sobie urządza.

– Musimy wiedzieć, co dalej…

– Ja ci mogę powiedzieć, co dalej. W dwa tygodnie potężne Stany Zjednoczone Ameryki wyprzedadzą się jakiejś Hongkongjskiej czy inszej Zakaukaskiej, bo wy, ty i twoi Krasnowowie, spieprzyliście robotę.

– Ejże, moment, ja robiłem wszystko, co w mojej mocy…

– Gówno prawda. Gówno robiłeś. Opancerzałeś tyłek. Myślałam, że po tym, co… Ale nie, jesteś taki sam.

– Pani generał…

– Co, dalej buźka uśmiechnięta? Chryste, nie mogę na ciebie patrzeć. No kto znalazł te pieprzone monady? My: Vassone. Kto pierwszy zorientował się w możliwościach i zagrożeniach? My: Schatzu. A od kogo to wszystko wyciekło? Od nas: od ciebie. I kto zmarnował najwięcej czasu? Wy. Przez kogo znajdujemy się na ostatniej pozycji w wyścigu?

– Doktor Vassone…

– A ja mam tu na etatach setkę doktorów i jakoś jestem w stanie wybrać między polowaniem na miraże bujających w obłokach teoretyków a interesem państwa! Ale do tego trzeba mieć jaja!

– Co, kozła ofiarnego sobie znalazłaś? – Hunt w końcu przestał nad sobą panować. – Teraz wszystko pójdzie na moje konto, tak? Komu już sprzedałaś tę wersję?

Uniosła głowę i przyjrzała się Nicholasowi z nowym zainteresowaniem, nagle jakby uspokojona.

– Naprawdę mnie to ciekawi – mruknęła, wydmuchując kancerogenny dym – jak ty mianowicie rozumujesz? Że niby co? Wojny Monadalne akurat ciebie jednego nie dotkną? Że jesteś bezpieczny, nieśmiertelny? Że twojemu krajowi złe nigdy się nie przydarzy? Że jak już spuszczą na nas te monady – to co? Bóg nas

uchroni? Jeśli to prawda o tej Vassone, to sam powinieneś wiedzieć najlepiej. Przejdź się do naszego centrum, zobacz, co dzieje się na Dalekim Wschodzie. Tak samo będzie u nas. Nadal się nie boisz? Ty jesteś chory psychicznie, Hunt.

Hunt nie wiedział, co odpowiedzieć. Wykrzywiał twarz w obronnych grymasach, jeden bardziej żałosny od drugiego.

– A więc to tak – zaatakował w końcu, wymusiwszy z siebie gęsty jad ironii. – Patriotka, której leży na sercu tylko dobro kraju? Jedyny prawy w tłumie niesprawiedliwych?

– A gdybym powiedziała, że jestem złym człowiekiem? – syknęła. – Gdybym tak ci rzekła – to w to byś uwierzył, co? A w każdym razie nie byłoby to niczym nienormalnym. Lecz mówić o sobie dobrze, ogłaszać się altruistą -to nieprzyzwoite. Prawda? Prawda, panie Hunt? Nie uchodzi przyznać się w towarzystwie do czystości intencji. Bo dogmat jest taki: każdy jest zły. Takie jest domyślne założenie: każdy czyn poczyna się z egoizmu, każde słowo z ciemnej żądzy. Kimże wobec tego mogłabym być, jeśli nie bezczelną hipokrytką? Ale nawet gdyby, nawet gdyby – tu Kleist zniżyła głos do szeptu – ja i tak wolę hipokrytów, bo oni przynajmniej przyznają rację istnienia jakimś wartościom, podczas gdy wy, wy nie grzeszycie, bo nie macie przeciwko czemu.

– Piękne. Wysłuchać niegodnym, gnój cieknie z uszu.

– No powiedz: jak ty to sobie wyobrażałeś? Że zdarzy się cud?

Przez falującą zasłonę sinego dymu wpatrywała się w Hunta tymi swoimi czarnymi oczyma rzeźbionej doskonałości tak intensywnie, że Nicholas, wyjęty tu spod opiekuńczej dłoni NEti, zdolny był tylko wzruszyć ramionami i wybąkać niepewnie:

– Ja się przecież nie znam, postępowałem podług mego najlepszego rozeznania…

– Ty naprawdę wierzysz w te swoje usprawiedliwienia.

– Czego ty ode mnie właściwie chcesz? Mantryków ci nie załatwię. Mam paść na kolana i błagać o przebaczenie, że tamci mieli więcej szczęścia i postawili na animalne?

– Mantryków nie załatwisz – powtórzyła wolno.

– Nie załatwię.

– A co możesz załatwić? Ponownie wzruszył ramionami.

– Estepowców.

– To ci sztuczni telepaci Krasnowa? – zdziwiła się. -A na cholerę mi tu jeszcze telepaci?

– Na przykład jako system wczesnego ostrzegania. Biały Dom wziął. Fortzhauser ci nie pisał?

– Na tym to właśnie polega – westchnęła. – Wojny Monadalne toczą się w najlepsze, ale kto w nich dowodzi? Nie docieczesz. EDC? Departament? Twój Zespół? CIA? DARPA? Diabli wiedzą. Nikt.

– A kto dowodzi w Ekonomicznych?

– Masz rację, to właściwie się pokrywa. – Dźgnęła palcem w stronę Nicholasa. – Od początku powinni byli podporządkować was EDC.

– Chciałabyś…! – zaśmiał się Hunt.

– Biedny idiota.

Nie wiedział, jak się wyplątać z tej sytuacji. Tam na balkonie, z Mariną i pająkiem, przynajmniej był pod siecią i znał reguły – ale tu? Może po prostu wyjść i trzasnąć drzwiami?

– Przyrzekniesz mi coś, Hunt.

– Że jak?

– Przyrzekniesz mi.

– Przyrzeknę…? – Śmiać się? Wściekać? Gapił się na nią w śmiertelnym zdumieniu.

– Dasz mi słowo, że zrobisz wszystko, by pomóc mi wyciągnąć nas z tego bagna.

– Ależ oczywiście, jasne, że ci pomogę, dlaczego miałbym nie pomagać?

Zaciągnęła się mocniej.

– Więc może na początek opowiesz mi o grzybie?

– Grzybie? Jakim grzybie?

– Do widzenia.

Zgasiła i wyrzuciła papierosa, po czym, nie spojrzawszy nawet na skonfundowanego Nicholasa, wyszła z ambulatorium. Drzwi trzasnęły głośno.

W końcu oczywiście spóźnił się na otwierający konferencję wykład Vassone. Rozmowa z generał Kleist – w istocie bardziej przypominająca policyjne przesłuchanie – powracała doń echami poszczególnych zdań, przewijał ją sobie w pamięci raz za razem, usiłując doszukać się jakiegoś głębszego sensu, bezskutecznie. O co jej chodziło? Jeśli próbowała go wrobić w odpowiedzialność za klęskę, to dlaczego o tym ostrzegała? Jeśli naprawdę usiłowała zawiązać jakiś sojusz – czemu obrzucała go obelgami? I o jakiego znowuż grzyba jej chodziło?

Wielka sala wypełniona była w jednej trzeciej. Gdy Vassone skończyła i zapaliły się światła, podniósł się las rąk. Hunt przyglądał się z górnego wejścia, kto pyta, o co i jakim tonem. Próbował wstępnie zlokalizować linie podziału. Hacjenda milczała, najbardziej napastliwi byli zaś ludzie Departamentu Stanu i CIA, czego należało się spodziewać.

Wychodząc, Marina minęła Nicholasa w drzwiach.

– Poprowadzi pani czwartą grupę – przypomniał jej. -Krasnow zgłosił się do szóstej, tej wojennej.

– Muszę jeszcze zdążyć na „Curtwaitera" – zbyła go, zerkając na zegarek. – W weekend powinniśmy się jakoś zainstalować, w poniedziałek ściągam estepowców. Pan wybaczy.

Tylko zapach jej perfum pozostał dłużej, jakaś ostra, egzotyczna woń.

Potem, podczas wykładu Schatzu, zadzwoniła do Nicholasa Imelda.

– Dyplomatyczna robota – zaśmiała mu się w uchu. – Znowu jestem za pośrednika. Gaspar chciałby się z tobą zobaczyć. Pogardzisz?

Zawsze cenił siostrę za tę niewymuszoną bezczelność słów. Pod NEti bywało to często irytujące, pakowało też Hunta w niezręczne sytuacje, prowokowało absurdalne gesty szczerości – ale nieodmiennie przypominało Nicholasowi szalone dni ich dzieciństwa, jeszcze w nadpacyficznym pałacu matki, gdy mieszkali razem, zanim odesłano Nicholasa do ekskluzywnej szkoły. Owymi czasy słońce było jaśniejsze, niebo bardziej błękitne, wieczory tak długie, noce tajemnicze… po prostu nie mógł się na nią gniewać.

– W jakiej sprawie?

– Ba!

– Rozumiem. Kiedy?

– Dzisiaj. Jutro. Coś nerwowy.

– Może sam zadzwoni.

– Żartuj dalej.

Duchy projektu ECHELON wciąż nawiedzały kręgi władzy, rosnąc w siłę mimo kolejnych oficjalnych zaprzeczeń (a właściwie – dzięki nim), i strasząc ludzi wizją systemu przechwytującego każdy sygnał i łamiącego każdy szyfr. Choćby setki specjalistów gwarantowały swym autorytetem nieprzełamywalność szumowych jednorazówek – nie umniejszało to podejrzliwości użytkowników telefonów. Skoro takie rzeczy chodzą jako public domain – rozumowali – to wyobraźcie sobie, co oni trzymają w zanadrzu…!

– Okay, wstąpię.

– Kiedy?

– Umówię się.

Robiło się późno i część słuchaczy wyciekła z sali, zanim jeszcze stary Krasnow wstąpił na mównicę. Schatzu wyszedł, nie przerywając głośnej dyskusji prowadzonej z trzema młodymi rzeźbieńcami, wśród których Nicholas rozpoznał jednego z opiniujących projekt teoretyków z Berkeley, bodaj filozofa. Sprawdził czas. Dziesiąta siedemnaście. Planował dopaść jeszcze dzisiaj samego Krasnowa i, o ile będzie to możliwe, Stimmela, asystenta prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Znowu telefon.

– Hunt.

– Hammer, sir. – Hammer był jednym z dyżurnych Centrali. – Jak pan wie, rutynowo monitorujemy otwartą łączność NYPD i maszyny Moore'a wyfiltrowały z przechwyconych rozmów informację o wypadku kutra, który przewoził ludzi na zacumowany przy granicy wód międzynarodowych USS „Curtwaiter". Najwyraźniej nastąpiła jakaś awaria komputerów sterowniczych, kuter został staranowany przez pływający pod banderą Oceanii kontenerowiec „Brasco". Na niepotwierdzonej liście ofiar znajduje się tylko kapitan kutra, di Piena, mieliśmy go na ślepym kontrakcie, sir. Brak na razie szczegółowych danych o rannych i o utraconym ładunku. Tuszujemy nasz udział przez miejscowe Biuro, nie wygląda to groźnie, zdążyliśmy na szczęście rozwinąć legendę o kasynie.

– Lista pasażerów?

– Jeszcze nie mamy. Ściągamy na bieżąco z kompów policji.

– Daj natychmiast znać.

– Tak jest.

Nie odbierała telefonu. Przeszedł do najbliższego pomieszczenia z terminalem sensorycznym. Komputer apartamentu uporczywie wyświetlał standardową wizytówkę. Wezwania przez obsługę hotelu nie dawały rezultatu.

Wyjechał na poziom parkingu Bunkra, wsiadł do BMW i podał adres hotelu Vassone przy Park Rów.

Stał przed drzwiami jej apartamentu z pięć minut -nie chciała otworzyć. Gdy w końcu się uchyliły, nie było jej za nimi.

Wszedł: cisza, ciemność.

– Pani doktor…? Nawet odgłosu ruchu.

Dotarł do salonu i tu ją zobaczył w światłach miasta wpadających przez otwarte drzwi balkonowe. Żadnych widocznych obrażeń. Miała na sobie dżinsowe szorty i T-shirt z Kurtem Cobainem. Siedziała w bezruchu na samym skraju sofy, kolana razem, dłonie splecione, zgarbiona, wzrok utkwiony gdzieś w dywan, dwa metry od stóp. Rozmiękła twarz drżała jej w brzydkich skurczach. Płakała.

Hunt zatrzymał się w pół kroku i tak już został, bo nie miał zielonego pojęcia, jak właściwie powinien zareagować. To nie była Vassone, to nie była doktor Marina Vassone. Gotowe miał tylko pytania. Czy znajdujemy się pod siecią? Czy kamery są włączone?

– Jeśli naruszam pani prywatność… – zaczął, odchrząknąwszy.

– Mikę – chlipnęła. – Orleinne…

Co robić? Zadzwonić do psychoanalityka? Wezwać pogotowie? Jasna cholera.

A jeśli to nie jest po prostu histeria powypadkowa? Jeśli znowu atak monadalny? Ą nawet nie nowy atak – lecz po prostu dalszy ciąg poprzedniego? Skutki długofalowe… część monady przecież wżarła się w jej umysł, psychomemy się przyjęły, ona je „pamiętała", diabli

wiedzą, co teraz dzieje się w jej głowie, pamięć obowiązują zasady Darwinowskiego doboru naturalnego, od kilku psychomemów mogła jej wyrosnąć cała nowa osobowość, to nie jest system stabilny, nigdy nie był. W jej głowie wrze teraz wojna między Mariną Vassone a ową młodą dzieciobójczynią. Mikę…? Jej mąż? Syn? Ten, którego zabiła? Do kogo mam mówić? – do czterdziestosiedmioletniej doktor kognitywistyki o umyśle jak równanie różniczkowe, czy do tej dziewczyny z Nowej Szkocji, która nie potrafi sobie Poradzić z wyrzutami sumienia?

– Wie pani, kim jestem?

– Odwal się, Hunt. Zabiłam ich obydwoje.

No to już była zupełna paranoja. Ręce opadają. Nicholas przysiadł na poręczy fotela, przygładził w roztargnieniu wąsy. Jej się już zupełnie wszystko pomieszało, kompletny bajzel we łbie. Telepata by sobie z tym poradził, telepata ma to od urodzenia, a nawet wcześniej – ale ona? Zresztą przecież nawet w telepatów nie wchodzą monady z całymi obcymi psychomemicznymi strukturami. Ten czwarty musiał tam na orbicie wyłapać sporą część umysłu owej dzieciobójczyni – może ona faktycznie umarła i cały poszedł w myślnię? Jak umarła? Samobójstwo popełniła? W kogo się tu Marina przekształca, w jakiegoś psychopatę? Jezu Chryste, z tego się robi kiczowaty horror, redrum, redrum, redrum…

Żeby tylko nie teraz! Wojny Monadalne, konferencja w toku, „Curtwaiter"…

Uniósł sygnet do ust.

– Dajcie mi tego syna Vassone, który dzwonił do nas z Bostonu – rzekł wywoławszy Centralę.

– Jas Vassone.

– Tak jest.

– Już.

– Mówi Nicholas Hunt – przedstawił się Jasowi. -Przypomina mnie pan sobie?

– Tak, chyba tak, to pana kazała mi wtedy zawiadomić.

– Dokładnie. Proszę mnie posłuchać. Z pana matką nie jest najlepiej. Miała wypadek, ale to nie to, fizycznie wszystko w porządku. Dobrze by było, gdyby pan jak najszybciej przyleciał do Nowego Jorku i spotkał się z nią.

– Ja jestem w Nowym Jorku.

– Słucham?

– Zaprosiła mnie… To osobiste sprawy.

– Wie pan, gdzie ona mieszka?

– Tak.

– Proszę przyjechać. Teraz. Jestem u niej. Nie wygląda to najlepiej. Przekona się pan.

– Czy to ma jakiś związek z…?

– Niestety. Proszę się pospieszyć.

A ona wciąż siedziała i płakała. Łzy już przestały jej płynąć, pozostał tylko rwany, szybki oddech i grymas twarzy, i mechaniczne kołysanie się w przód i w tył. Hunt dostrzegł w tym pierwszą zapowiedź katatonii i naprawdę się przestraszył. Teraz też po raz pierwszy dotknął go lęk osobisty, lęk przed utratą drugiej osoby, nie zaś korzyści płynących z jej wykorzystywania. Aż się przeraził tego lęku. Toż to dziecinne. Weźmy się w garść, do licha. Jestem przecież dorosłym człowiekiem. Cóż z tego, że się z nią pieprzyłem. Nie z nią ostatnią. Nie dajmy ponieść się emocjom. Nie jestem od niej uzależniony. Nie potrzebuję jej. Przeżyję.

Ale estetyka nie podlega racjonalizacji. Patrzył na nią, roztrzęsioną, zapłakaną, w tych zupełnie do niej nie pasujących ciuchach, z białymi włosami dziko splątanymi, paznokciami poobgryzanymi – i aż ściskało go w piersi z żalu po tamtej Marinie Vassone, która wzbudzała dreszcz jednym spojrzeniem bladoniebieskich oczu, jednym dystyngowanym ruchem szczupłej dłoni. – Ja nie chciałam, mój Boże, ja nie chciałam… Gdyby nie sieć, podszedłby i z całej siły trzasnął ją w twarz, i po raz drugi, i trzeci, póki nie rzuciłaby się na niego z pięściami.

Tymczasem siedział i patrzył. Cisza w apartamencie. Jej oddech. Szum miasta. Z tego miejsca, pod tym kątem – już nie widział jej twarzy. Nie wiedział, czy cieszyć się z tego, czy nie. Bo jeśli się w końcu na niego obejrzy… Co to wówczas będzie za twarz? Napełniało go to irracjonalnym lękiem. Zupełnie jakby czekał na uniesienie wieka trumny wampira.

Telefon po raz kolejny.

– Tu Schatzu. Gdzie pan jest?

– A o co chodzi?

– Muszę natychmiast z panem pomówić.

– Pogadamy w Centrali. Albo w Bunkrze.

– A kiedy się pan tu zjawi?

– Nie wiem.

– No nie! Proszę powiedzieć, gdzie pan jest. Przyjadę do pana. Jeśli się okaże, że niepotrzebnie zawracałem panu głowę, może mnie pan wywalić z Programu.

– Akurat.

– Sam się zwolnię.

– Ale co mi pan tu…!

– Ważne.

– A nie można przez telefon?

– Nie, raczej nie.

– Dobra, jestem u Vassone. Ale pierwszy przyjechał Jas.

Hunt mimo sieci ubezpieczenia prawnego złapał go za ramię i zatrzymał w przedpokoju, bo chłopak ruszył od razu w głąb apartamentu.

– Czekaj – syknął Nicholas. – Musisz wiedzieć, że ona…

– Puść mnie pan!

– Czekaj! To już nie jest twoja matka! To znaczy – nie wiadomo, kto to jest. Trzeba…

– Co? Co pan mówi?

– Ona pamięta częściowo cudze życie, walczy z nią cudza osobowość, ty jesteś jej synem i…

– Chce pan powiedzieć – po dziecięcemu wytrzeszczył na Nicholasa oczy – że jest opętana?

– Jak zwał, tak zwał. Usiłuję cię ostrzec. Ściągnąłem cię, bo ty należysz do jej prawdziwego życia i możesz pomóc wyprzeć sprzeczne wspomnienia. Więc uważaj, co mówisz. Nie sugeruj niczego związanego, nawet odległe, z, mhm, dzieciobójstwem.

Jas gapił się na Nicholasa jak na wariata, zdumienie walczyło o lepsze z przerażeniem. Hunt wytrzymał jego spojrzenie. W końcu puścił ramię chłopaka i skinął głową w stronę salonu.

Weszli doń razem. Marina siedziała w tym samym miejscu, w tej samej pozycji. Tyle że przestała się już poruszać i nic nie mówiła. Hunt nie spuszczał wzroku z twarzy Jasa i dostrzegł na niej niewątpliwy szok. Obca kobieta; gdzie moja matka?

– Mamo?

Spojrzała. Ale co to za spojrzenie – puste i martwe. A za pustką – zimna rozpacz.

– Co się stało? – spytał wyważonym półgłosem Jas. Podszedł i przysiadł na piętach naprzeciw Mariny, tak, że nie mogła już uciec odeń wzrokiem. – Co się stało? No co?

– Kiedy ty…

– Tak?

Zaczęła obgryzać paznokieć kciuka. Z bezruchu przeszła w nerwowe roztrzęsienie: szybkie ruchy głowy, spojrzenia rzucane na ślepo niczym spinning, to tu, to tam, raptowne zmiany grymasu twarzy.

– Ja cię bardzo przepraszam – szepnęła przez dłoń. – Za co?

Hunt zza jej pleców zamachał na Jasa: nie pytaj, nie pytaj.

– Jas – mruknęła.

– Tak?

– Jas.

– Jestem.

– Jas, ja…

– O Jezu, mamo, ale powiedz, co się…

Z nagłym szlochem, który wybuchł gdzieś w głębi jej piersi, objęła

go, przyciągnęła, przytuliła; broda na ramieniu, opuszczone powieki, spod nich nowe łzy. A pomiędzy kolejnymi przypływami płaczu – potoki słów wszeptywane w punkt znajdujący się o cztery-pięć cali od ucha Jasa. Hunt nie rozumiał nic z tej spowiedzi i wiedział, że nie powinien rozumieć: w tej chwili to nie była doktor Vassone, to nie była Marina o piersiach bardzo pięknych i nogach elfich – lecz matka, i jej nie znał, jej nigdy nie pozna, to całkowicie obca osoba, byłaby obca niezależnie od zarażenia przez monadę tamtą dzieciobójczynią.

Wyszedł na balkon. Zapalił papierosa. Uniósł sygnet do warg.

– Schatzu?

– Jadę, jadę.

– Oby to było coś naprawdę ważnego.

– Musi być pan porządnie wytrącony z równowagi, skoro mówi tak starymi memami.

– Nie wymądrzaj się.

Nocny Nowy Jork to miasto ludzi samotnych, wystarczy spojrzeć, to jest twierdza, tu się żyje przeciw, w opozycji, takie metropolie kumulują i katalizują gniew, zawiść, awersję, strach, z poziomu myślni muszą się jawić Jako prawdziwe gigageneratory negatywnych uczuć. Bo tyle osób stłoczonych w jednym miejscu niczego innego nie może wyindukować. Miał rację Numer 5, miał rację: to jest czerń, wielka, gęsta, potwornie cuchnąca czerń, która zalewa wszystkich, nawet jeśli nie jesteśmy tego świadomi, nawet jeśli nie jesteśmy telepatami i zdrowe systemy immunologiczne naszych umysłów nie dopuszczają do zainfekowania obcymi psychomemami – lecz przy tak wielkim ciśnieniu zawsze coś się przesączy, osmotycznie, podprogowo – czyż większość z nas nie jest podatna na cudze nastroje? czyż nie oddziałuje na nas psychiczne nastawienie tłumu? – i ta czerń w końcu zwycięża, po miesiącach, latach, wciska się w nasze umysły, zaraża je, odmienia kod myśli: miasto tryumfuje. Czyż doprawdy nie jest zasłużoną opinia, jaką NYC cieszy się na całym świecie? Na wierzchołkach tych drapaczy chmur powinny powiewać sztandary z płótna czarniejszego od kruczych piór. Beksiński, Beksiński.

Ruch za plecami. Obejrzał się. Jas kiwał nań z progu balkonu. Hunt zgasił papierosa i cofnął się do wnętrza salonu. Mariny tu nie było.

– Myślę, że już się jej poprawiło – powiedział cicho Jas, nie patrząc Nicholasowi w twarz.

– Doszła do siebie?

– Wie pan, ja w ogóle nie uważam…

Odsunął go i wszedł do pokoju obok. Marina wysiąkiwała właśnie nos w bibułowe chusteczki. Nicholasowi posłała niepewny półuśmiech. Oczy miała zaczerwienione, spoglądała, pochylając lekko głowę.

– Pani doktor… – zaczął Hunt. Parsknęła śmiechem.

– Pani doktor, co? – chichotała, kiwając na niego karcąco palcem. – Pani doktor? Z ciebie to jest aparat, Nicholas!

– Jeśli dobrze się pani czuje…

– Taa, na pewno, czuję się wyśmienicie! Dajżesz mi spokój, nie widzisz, że ledwo trzymam się na nogach?

Hunt zirytował się.

– Bo monada czwórki zakaziła ci umysł i do tej pory walczysz z psychomemami tej gówniary, co zagłodziła swoje bachory! I wcale nie wiem, kto wygrywa! Weź się, do cholery, w garść!

Puściła do niego oko.

– Jak miło wiedzieć, że się o mnie troszczysz. Bądź tak uprzejmy i przynieś mi szklaneczkę rumu, dobrze?

Chwycił ją za ramiona, spojrzał jej w oczy – a to wciąż były wszak te same oczy: jasny błękit, lód w Morzu Arktycznym, gdy zimne słońce wysoko na podbiegunowym niebie.

– Kim ty jesteś?

– No, Nicholas – złapała go za halsztuk, poklepała po policzku – jestem wciąż tą samą osobą.

– Tą samą, ale nie taką samą! – warknął. – Nastąpiło przesilenie, na tym kutrze, podczas katastrofy albo już tutaj. Na moich oczach się łamałaś, widziałem to, czułem, i nie mam pojęcia, co z tego wszystkiego powstało. A raczej: kto. Chciałbym zobaczyć twój charakter pisma. No napisz coś. Wpuszczę to w program grafologiczny i dokonamy porównania.

– Dajże spokój. Przecież sama wiem, że się zmieniłam. Ale nie doszukuj się w tym żadnych demonów, duchów nieczystych. A ty sam – to co? Znajdujemy się pod siecią, Nicholas. Łamiesz Etykietę na ładnych kilkadziesiąt mega. Jesteś zrujnowany. Więc? Kim ty jesteś?

– Nie zaskarżysz mnie przecież.

– Ufasz mi? – musnęła delikatnie wargami jego policzek, szarpnęła zębami wąs. – Naprawdę? Ty mi ufasz?

Nie czuł żadnych egzotycznych kwiatów, tylko jej własny zapach, ani przyjemny, ani nieprzyjemny, morska woda zmyła wszelkie perfumy. Wsunął dłoń pod czarną koszulkę z Cobainem. Skórę miała ciepłą, lekko spoconą.

– Przyszedł pan Schatzu – rzekł z progu pokoju Jas.

– Kogo ty tu zapraszasz… – mruknęła Marina, odsuwając się i sięgając po kolejną chusteczkę.

Hunt wrócił do salonu. Schatzu czekał cierpliwie przy drzwiach. Nicholas wskazał mu boczny gabinet, NEti i tak diabli wzięli.

Stało tu drewniane biurko stylizowane na schyłek dziewiętnastego wieku i, niewiele myśląc, Hunt usiadł w fotelu za nim. Schatzu skwitował to suchym półuśmieszkiern. Przysiadł naprzeciwko na

krześle d la Thomas Chippendale.

– Słucham – rzekł Nicholas.

– Jest tu gdzieś ekran?

– Przypuszczam, że szyby są zaledowane. – Hunt machnął ręką w stronę okien.

– Mają kanał dla wszczepek?

– Powinny. Do rzeczy. Chce mi pan puszczać jakieś filmy?

– Mała symulacja dla zobrazowania. Rozumiem, że mam się streszczać.

– Więc streszczaj się pan, do cholery.

– Mhm. Tak. Anzelm Preslawny przed oddelegowaniem go do Hacjendy przydzielił mi zamówione przez pana opracowanie na temat sekt i wszelkich podobnych ruchów. Zostało wyraźnie zaznaczone, iż nie chodzi o naukowe kompendium, ani szczegółową analizę. Chciał pan otrzymać zbiór teorii wyjaśniających, maksymalnie syntetyzujących. Obawiam się, że niezbyt precyzyjnie wypełniłem tę instrukcję, bo ograniczę się tu do jednej teorii. Lecz, w moim przekonaniu, jest ona prawdziwa. I wyjaśnia wszystko. Lub prawie wszystko.

– Jestem z zasady nieufny wobec teorii, które wyjaśniają wszystko. Zazwyczaj czynią to tak dobrze, że pasuje do nich każdy element i są z gruntu niefalsyfikowalne.

– Proszę to samemu ocenić. Chciał pan znać przyczynę obserwowanego w ciągu ostatnich stu kilkudziesięciu lat wzrostu popularności sekt typu apokaliptycznego, ufologicznego tudzież suicydalnego. To jest proces ciągły, choć wciąż przyspieszający, w postępie geometrycznym. Jego korzenie sięgają jeszcze pierwszej połowy XX wieku, w każdym razie wtedy można już wyróżnić w poszczególnych ruchach parareligijnych charakterystyczne cechy. Potem stopniowo rosły one w siłę, rosła liczba ich członków, coraz więcej osób ulegało indoktrynacji, coraz więcej przyjmowało ich mity za swoje. Rosła też liczba aktów przemocy, rytuałów związanych z okaleczeniem ciała bądź wręcz zabójstwem czy samobójstwem, przy czym przez członków owych sekt jest to ujmowane nie jako mord, lecz jedynie uwolnienie od ciała. Teraz… moment. -Schatzu wszedł w półżaślep, otworzył połączenie z komputerem apartamentu, wyciemnił szyby i wyświetlił na nich wykres. – Proszę spojrzeć. Ta krzywa przedstawia liczbę takich „uwolnień" w skali globu: ile przypada na każde półrocze, począwszy od drugiej wojny światowej do dzisiaj. Rzecz jasna, dane z okresu początkowego nie są pełne z uwagi na ówczesne blokady informacyjne i częste błędne klasyfikacje z racji nieznajomości samego zjawiska.

– Gdyby to była krzywa notowań akcji, kupiłbym je w ciemno.

– Na tej akurat tego nie widać, ale po rozbiciu na miesiące,

tygodnie i dni otrzymujemy bardzo ciekawy wykres, na którym są już dostrzegalne pewne fluktuacje, zwłaszcza jeśli ograniczymy się do ostatniego półwiecza, co do którego dysponujemy znacznie lepszą dokumentacją. Oczywiście pierwsze, co zrobiłem, to wrzuciłem rzecz w kompa z poleceniem odnalezienia jakichkolwiek regularności w owych następujących po sobie nasileniach i osłabieniach krwawej wiary. Nie znalazł, nawet gdy zignorował niezależną zmienną stałego przyrostu. Wtedy kazałem mu szukać korelacji z innymi socjologicznymi procesami. Na dłuższą metę nie było żadnych. Wówczas poleciłem wziąć pod uwagę już wszelkie wykrywalne równoległe procesy, także na przykład zmiany średnich dobowych temperatur, poziom globalnego dochodu brutto i temu podobne wskaźniki.

– Na pewno też nic to nie dało. Założę się, że już przedtem wielu próbowało takiej komparatystyki.

– Bardzo prawdopodobne.

– Więc na czym polega to pańskie odkrycie?

– Widzi pan, ja wiedziałem o myślni. Tamci – nie.

– Ach, myślnia…

– Niech pan się nie krzywi. Pamięta pan, jak spytałem wtedy w „Santuccio", czy prawa fizyki ją obowiązują? Vassone nie potrafiła mi odpowiedzieć. A to jest absolutnie kluczowa kwestia. Otóż ja znalazłem dowód pośredni, iż odpowiedź na to pytanie brzmi: „nie". Parę godzin temu w Bunkrze jeden z analityków EDC podsunął mi przypadkiem ostatni element. Sprawdziłem i wszystko zaskoczyło. Mówię panu, jakby prąd po mnie przeszedł. Otóż w przypisach do traktatu Vassone jest odnośnik do dwudziestowiecznych badań nad tak zwaną „pamięcią formy". Była to teoria uznawana podówczas za zupełnie zwariowaną, nikt nie miał pojęcia, co z nią począć, choć wyniki doświadczeń zdawały się ją potwierdzać. Zna pan? Każdy problem, raz rozwiązany, jest już potem łatwiejszy do ponownego rozwiązania, mimo że rozwiązujący go nie ma pojęcia o dokonaniach prekursora. Łatwiej nauczyć się melodii, wiersza, figury tanecznej, gdy ktoś już nauczył się ich przed tobą, a im więcej ludzi je zna, tym prościej wchodzą ci do głowy. I tak dalej. Jest to jedna z mutacji teorii rozwiniętej w dwudziestym wieku przez niejakiego Ruperta Sheldrake'a, biochemika i biologa komórkowego. Hodując sobie w laboratorium w Indiach roślinki, spłodził on „Nową naukę o życiu", w której wyłożył swą teorię pola morfogenetycznego, tudzież rezonansu kształtotwórczego. Na uwagę zasługuje fakt, iż pisał ją, znajdując się pod wpływem guru holizmu, Będę Griffitha. Musieli mieć jakieś przebicia intuicji… Chociaż rzecz zasadniczo rozpoczęła się jako próba uzupełnienia postdarwinowskiej genetyki – ale wkrótce, jako teoria uniwersalistyczna, rozciągnęła się także na kulturosferę, po latach

zresztą zaowocowała całą tą memetyką marketingową. W każdym razie rezonans miał dotyczyć każdej formy, także bytów intencjonalnych. My oczywiście wiemy, iż rzecz polega po prostu na osmozie psychomemów, ale wtedy był to niewytłumaczalny absurd. Wszelako, starając się go wytłumaczyć, a raczej sfalsyfikować, przeprowadzono niezliczoną ilość eksperymentów, z których część odbywała się równocześnie w dwóch przeciwległych punktach na Ziemi -jest to już odległość o mierzalnym opóźnieniu przepływu informacji. Jednak za prawdziwie znaczącą uznać należy serię eksperymentów przeprowadzonych na dystansie: Ziemia – Mars. Trzecia wyprawa marsjańska nieźle się z tym natrudziła. Późniejsza analiza statystyczna ich wyników wykazała, iż przejście szczura przez labirynt na Marsie ułatwiało znalezienie wyjścia z labiryntu o identycznym układzie szczurowi na Ziemi, pomimo iż teoretycznie znajdował się on wówczas jeszcze na zewnątrz stożka zdarzeń marsjańskiej części doświadczenia. Oczywiście, wszystko to były różnice niewielkie i wykrywalne jedynie w dużym zbiorze, bo te szczury nie posiadały przecież żadnych telepatycznych zdolności. Niemniej jest to dowód, iż psychomemiczna fala idzie przez myślnię szybciej od światła.

– Ale do czego pan właściwie zmierza? Bo nie chwytam.

– Proszę spojrzeć. – Wykres na szybach zmienił się. Teraz biegł przez nie biały wąż, rozbijany w czasie na kilka różnokolorowych składowych, opisywanych poniżej zgrabnymi piktogramami. W oknie obok przekładał się on na jakieś skomplikowane epicykliczne obroty, też z gęstym opisem. – Kojarzy się panu z czymś?

– Z interpolacyjną analizą sygnału pulsara z układu wielokrotnego.

– Dokładnie. Ale w tym układzie nie ma pulsara. To Sheratan, beta Barana.

– Sheraton?

– Sheratan. Gwiazda, nie hotel. Niech pana nie przytłoczy pamięć starej formy! – zaśmiał się Schatzu.

Hunt z nieprzeniknioną miną przypatrywał się odtwarzanej na ciemnych szybach gabinetu komputerowej symulacji.

– Proszę mówić, ja słucham.

– Kaukab al-śdratain, tak nazywali ją Arabowie: "gwiazda dwóch znaków". Za Hipparcha wyznaczano podług niej początek roku, to znaczy wiosenną równonoc. Gołym okiem widać tylko jeden składnik, w Hertzsprungu-Russelu: A5V. Może pan zresztą wyjść i zobaczyć, niedawno wzeszła, nisko nad horyzontem, północ, północny wschód, dwa koma siedem jasności. W rzeczywistości ma towarzysza. Ten zaś ma planety. Dotychczas ten europejski zaksiężycowy teleskop dyspersyjny odnalazł cztery. Wykres, który pan widzi, stanowi

graficzną analizę rocznego ruchu – chodzi oczywiście o rok sheratański – drugiej z nich. O ile wiem, komisja nadała jej nazwę Nefele, ma to jakiś związek z wierzeniami starożytnych Greków na temat gwiazdozbioru Barana. Sheratan A i Sheratan B obiegają wspólny środek masy w sto siedem ziemskich dni. To jest ta błękitna składowa. Niżej ma pan ruch samej planety, jej orbita nawet z grubsza nie wygląda na elipsę. Stąd pozorny brak regularności. Korelacja została odnaleziona dopiero po porównaniu z całością danych astronomicznych. Punkty wskazane strzałkami to momenty koniunkcji Sheratana A i Sheratana B względem Nefele. Na wykresie pierwszym, który puszczę w takt tutaj, na lewo, odbijają się one stromymi wierzchołkami nagłego wzrostu liczby rytualnych „uwolnień od ciała". Mamy tu jeszcze niewielkie fluktuacje związane z koniunkcjami planetarnymi w Sheratanie, ale właściwie mieszczą się one w marginesie błędu stałej chaotycznego przyrostu.

– Koniecznie chce pan, żebym ja to powiedział? -warknął Hunt. – Pana teoria zakłada, że na tej Nefele żyją jakieś istoty, których psychomemy, idąc przez myślnię szybciej od światła, wpływają na umysły ludzi na Ziemi i doprowadzają ich do takich właśnie szaleństw. Czy tak? Doprawdy ostatnio okropnie się musiała stępić brzytwa Ockhama.

– Proszę o kontrargumenty. Korelacji pan chyba nie zaprzeczy.

– Po pierwsze – westchnął ciężko Hunt – natężenie psychomemicznego promieniowania z takiej odległości…

– Błąd – uśmiechnął się Schatzu. – Pan zakłada mi-mowolność i, że tak powiem, „naturalność" wpływu. A czemuż to? Czyż z myśli Nefeleńczyków nie mogły również powstać monady? Roślinne, stacjonarne; i animalne, mobilne; i neuromonady. A diabli wiedzą, czy ci Nefeleńczycy w ogóle zdają sobie sprawę z ich istnienia, czy są pomiędzy nimi najsłabsi chociaż telepaci, może to zresztą lud prymitywny, jacyś obcogwiezdni jaskiniowcy. Nie wiem, to nie ma znaczenia. Rzecz cała rozgrywa się na poziomie myślni. Neuromonady, aby powstać, wcale nie potrzebują rozwiniętej cywilizacji materialnych generatorów psycho-memów.

Hunt milczał. Odwrócił wzrok od Schatzu i patrzył teraz na te wykresy, wijące się po ciemnych szybach nie-

regularnymi sinusoidami, suchą matematyką ogłaszające upadek świętych prawd.

– Proszę mi wierzyć – ciągnął Ronald – sam próbowałem znaleźć w tym dziurę. Ale tu wszystko pasuje idealnie, do każdego wariantu. Nawet tego z wysoko rozwiniętą cywilizacją Nefeleńczyków i ich świadomym oddziaływaniem poprzez myślnię – bo Sheratan oddalony jest od nas o pięćdziesiąt dwa lata świetlne, a pierwszy sygnał radiowy wysłano na Ziemi właśnie gdzieś tak pod koniec dziewiętnastego

wieku. Trzeba obserwować, jak będzie szła przez kosmos ta sfera stu kilkudziesięciu lat naszego wrzasku z czasów, gdy jeszcze nie przeszliśmy na technologie HFT; przeliczyć, jakie są przedziały zwrotne naszego Okna Szumu… Cholera, jak tu wszystko pasuje. Owe psychomemy, z których zbudowane są nefeleńskie monady – są tak obce, że ludzki umysł nie wie, co z nimi począć i trudno mu je w ogóle włączyć do puli. No kogo najwięcej wśród założycieli tych sekt? Pisarzy science fiction i ludzi o rozbitych osobowościach, plastycznych, bezbronnych umysłach, rozchwierutanych psychodelicznymi wizjami narkomanów: bo oni już sobie „przetarli łącza". Jak to wygląda w modelu Vassone: Psychomem lub cała psychomemiczna struktura przesącza się do umysłu człowieka. Dalej mamy Darwinowski dobór naturalny: mutacje i multiplikacje i odrzut nieprzystosowanych. Otóż psychomemy czysto nefeleńskie są z miejsca odrzucane jako zupełnie nieprzystosowane, nazbyt obce. Lecz czasami, w „przyjaznym otoczeniu", przeżywają i stopniowo zaczynają dominować jakieś odleglejsze ich rekombinacje. Co wówczas otrzymujemy? Ufologicznych proroków, którzy sami nawet nie wiedzą, co wiedzą. Wypijmy truciznę, bracia, przybędzie statek i zabierze nasze dusze! Oczywiście nie dusze, tylko psychomemy, i nie statek, tylko monady. To, rzecz jasna, jest dowód pośredni, iż Nefeleńczycy doskonale zdają sobie sprawę z istnienia myślni i jej właściwości. Natomiast te sekciarskie wierzenia, rytuały, pokręcone tłumaczenia wizji zesłanych przez Boga ich guru… Czegóż lepszego się spodziewać, ci Nefeleńczycy to mogą być jakieś pieprzone chlorodyszne ośmiornice. Cóż pocznie kot z ludzkimi psychomemarni? Co da na wyjściu tygrys załadowany pakietem ludzkich wspomnień o zasadach obsługi komputera? Pojmuje pan, panie Hunt? Takie jest wyjaśnienie.

Hunt w roztargnieniu potarł grzbietem dłoni wąsy.

– Mhm, ale ten proces przyspiesza, jest tych szajbusów coraz więcej, krzywa bije w sufit – dlaczego?

– Mam kilka hipotez – wzruszył ramionami Schatzu. – Najprawdopodobniej stałe, nieprzerwane psychomemiczne promieniowanie Nefeleńczyków powoli odmienia ogólnoludzką mentalność, nagina ku nefeleńskiej, i kolejnym psychomemom łatwiej się już adaptować. To działa oczywiście w wielkiej skali, statystycznie, metodą zgoła ewolucyjną. Dlatego ten wykres wygląda, jak wygląda.

– No właśnie: dlaczego on wygląda, jak wygląda? Dajmy na to, że korelacji pan dowiódł – ale skąd ona w ogóle się wzięła?

– Pan mnie prosi o niemożliwe, panie Hunt – parsknął Schatzu. – Jakim sposobem mogę wytłumaczyć genezę poszczególnych cech nefeleńskich psychomemów, na przykład indukowanie autodestrukcyjnej aktywności w okresach koniunkcji ich słońc? Może

ma to jakiś związek z ich biologią, sposobem rozmnażania? A może właśnie z obyczajami? My też o określonej porze co roku obchodzimy Boże Narodzenie. Ale to wszystko są zaledwie rozpaczliwe analogie, ślepe domysły na podstawie jednoelementowego zbioru przykładów.

– Boże Narodzenie? – zmarszczył brwi Hunt. – Uważa pan, że to może być przejaw ich… religii?

– Ja nie wiem, czego to jest przejaw! – zirytował się Schatzu. – My, ludzkość, też przecież promieniujemy przez myślnię naszą kulturą, fizjologią, nauką, kształtem cywilizacji – samymi sobą. Ci Nefeleńczycy mogli przez ten czas zczłowieczeć tam już doszczętnie.

– Wątpię – mruknął Hunt, gładząc nerwowo wąsy. -Przypomnę panu, co sam mi pan powiedział: żebym nie zakładał mimowolności wpływu. Znacznie bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że oni są świadomi istnienia myślni i monad i doszli do porozumienia ze swoimi neuromonadami i że to wszystko są działania zaplanowane j przemyślane. To nie promieniowanie, panie Schatzu. To nefeleńskie neuromonady.

– Zaplanowane, powiada pan – pokręcił głową Ronald. – Przemyślane. Jaki zatem jest ten ich plan? Co za cel mogliby mieć w podobnych działaniach?

– Nie widzi pan? – zaśmiał się szyderczo Hunt. Wstał zza biurka, otworzył okna gabinetu (na ich szybach wciąż obracały się kolorowe Ronaldowe symulacje) i machnął ręką na nocny Nowy Jork. – Padliśmy ofiarą inwazji!

Schatzu wyszedł ukłoniwszy się elegancko Marinie, która zamachała mu na pożegnanie dłonią. Z trudem zamaskował zdziwienie.

Jas siedział w głębokim fotelu w kącie salonu, sączył z ponurą miną piwo, obserwował wszystkich spode łba i nic nie mówił.

Hunt nalał sobie szkockiej i wyszedł ze szklaneczką na balkon. Starannie ominął przy tym spojrzeniem Marinę, która, ułożywszy się wygodnie na sofie, majstrowała coś przy swoim ledpadzie. Uśmiechnęła się do przechodzącego Nicholasa zachęcająco, a na widok grymasu, w jakim wykrzywiła się jego twarz, tylko uniosła brwi.

Na balkonie wiatr mierzwił włosy Hunta i łopotał jego rozpiętą marynarką. Hunt oparł się o balustradę, spojrzał w dół, w półmrok kreślony hieroglifami zimnego i gorącego światła, moszczony wielokrotnie nakładającymi się na siebie cieniami. Nocny szum metropolii szedł falami, obmywając Nicholasa brudną pianą dźwięków. Za Sheratanem nawet się Hunt nie rozglądnął, i tak by nie rozpoznał pośród innych gwiazd, zresztą miejskie niebo jest zbyt zatłoczone, nie ma już prawie na nim miejsca na gwiazdy.

Spostrzegł, że dłoń, w której trzyma szklankę, lekko drży. W samej rzeczy – był śmiertelnie przerażony.

To jest inwazja, nie ma co do tego wątpliwości, to inwazja i nie będzie innej, nie spłyną z nieba kilometrowe statki, nie zaroją się na ulicach gwiezdne potwory, nie będzie kolorowego ognia i malowniczej zagłady, nikt nas nie będzie mordował, nikt nie weźmie nas w niewolę, nie kollapsują Słońca i nie eksplodują planety, nie spadnie na Ziemię Księżyc i nie przypłynie na elektromagnetycznych falach przesłanie z głębin kosmosu. Nie oczekuj dnia zero, nie spodziewaj się patetycznych apeli w telewizji. Nie spostrzeżesz. Nie ujrzysz. Nie usłyszysz. Nie poczujesz. Co możesz zrobić – obserwuj zmiany mód. Obserwuj zmiany mód, ich przypływy i odpływy, jak się odchyla wektor wypadkowej mentalności ludzkości. Wsłuchuj się w muzykę i słowa przebojów. Czytaj bestsellery. Oglądaj najpopularniejsze filmy. Analizuj ewolucję ubiorów. I ciała: ewolucję fenotypu, bo on również podlega modzie; ideały piękna co roku trochę inne, genetyczni rzeźbiarze kodują w biologii estetyczne dominanty dnia. Smakuj brzmienie języka, zbieraj rodzące się neologizmy i notuj kolejne reinterpretacje idiomów. Smakuj brzmienie języka: on, odbiciem istniejącej umowy społecznej, opowie ci, w którą stronę zmierza gra znaczeń. Spaceruj po ulicach i chłoń kształt i kolor reklam. Przyglądaj się nowo wznoszonym budynkom: w którą stronę dryfują architektoniczne trendy. I przede wszystkim bądź czujny na zmiany behawioru, wychwytuj najdrobniejsze deformacje konwencji, przekształcenia obyczaju – jak żyją, jak umierają; jak nienawidzą, jak kochają; jak pracują i jak się bawią; jak reagują na siebie nawzajem. Niech cię nie zmyli ich pospolitość, śmiech dziecięcy, podobieństwo odbić w lustrze: oczy, uszy, nos, usta; niech cię nie zmyli. To nieważne. Niech cię nie zwiedzie fakt, że ich rozumiesz – że to twoi bracia i siostry, że wychowali cię i że ty ich wychowujesz. To nie ma znaczenia. Bądź czujny. Bądź podejrzliwy. Niczego nie lekceważ. Być może przeważy sposób, w jaki twój sąsiad podlewa kwiatki, słowa dziecięcej rymowanki. Chłoń każdy szczegół, każdemu szczegółowi przypisz rolę: to jest miecz, a to jest rozżarzone żelazo. Czy te ciastka ci smakują? Czy podoba ci się zapach tych perfum? Czy ekscytuje cię ta wirtualna gra? Czy ich marzenia są twoimi marzeniami? A sny? A lęki? Bądź czujny; nie lekceważ; obserwuj; analizuj. Może to tobie pierwszemu dane będzie spotkać Obcych.

8. Kolekcjoner pytań

Rozpłaszczony na podłodze, z przyciskanym do potylicy przez zbryzganego świeżą krwią Cienia zimnym pyskiem Trupodzierżcy, kląć się będzie Hunt na tę modłę: – A na co ci było, kretynie mosiężny, w ogóle pytać o tego Grzyba? Po cóżeś za jakąś urojoną prawdą drążył? Tak i zdechniesz tu prawdziwie, tyle wiedząc…!

A jaki był wówczas dumny z własnej przebiegłości!

– No a jak tam z Grzybem? – jak gdyby nigdy nic zagadnął Krasnowa drugiego dnia konferencji, w piątek, w środku podkręcanej alkoholem rozmowy z Rosjaninem w jego kwaterze na minus dwa Bunkra.

– A, nie wiem – zamachał ręką starzec. – Per-Mueller wyciągnął to z archiwum, będzie miał chyba wykład na grupie, możesz posłuchać, zdaje się, że marzy mu się Księżyc.

Huntowi oczywiście nic to nie mówiło, niemniej zapamiętał każde słowo. Per-Mueller, archiwum, Księżyc. Sprawdzić, w której grupie.

Krasnow tymczasem ponownie przeszedł się do barku (zaopatrzono je specjalnie z myślą o uczestnikach konferencji, Hunt dobrze dbał o swoje szczury).

– Zawsze uważałem, że naukowcy chodzą na wodorotlenach – mruknął Nicholas, dolewając sobie grapefruita.

– Muszę podtrzymywać narodowe stereotypy – chuchnął Krasnow, wychyliwszy szklaneczkę cieczy o inkryminowanej grupie chemicznej.

– Powiedz mi pan, profesorze, co wy tam w Hacjendzie właściwie robicie? Biedny Anzelm co chwila rozbija sobie łeb o jakieś bariery poufności. Czyż priorytetu absolutnego nie posiadają Wojny Monadalne? Czemuście wcześniej nie dali tego estepu?

Krasnow z westchnieniem zwalił się w fotel.

– I tak za wcześnie go wypuściłem. To jest seria próbna, dalece niedoskonała.

– Czytałem specyfikację – zaprotestował Hunt. – Gwarantujecie niekonfliktowość genów.

– Tak, ale nie jestem pewien, czy na tym uniknięciu niepewnych sprzężeń nie tracimy więcej, niż ono summa summarum warta. Oprzeć się musieliśmy na DNAM tych naturalnych telepatów Vassone, działaliśmy jak krawiec, nie jak architekt: wycięliśmy sekwencję minimum, wyprofilowali podług niej RNAdytor… Nie rozumiemy mechanizmu. Osłabienie bariery umysł-myślnia jest mniejsze niż u Numerów Vassone. To znaczy: średnio, bez uwzględnienia wariancji genotypowej. Trzeba wziąć pod uwagę, na co to rzucamy. No bo komu

wstrzykniecie estep? Rzeźbionym, prawda? To też ogranicza.

– A skąd wy to, u licha, możecie wiedzieć? Jakie testy mogliście przeprowadzić?

– Będzie o tym na grupie estepowej, zajrzyj.

– Tak czy owak… po diabła grzebaliście w efesie? Wszyscy tu na mnie naskakują za lekceważenie zagrożenia i niewystarczające wysiłki, a wy w Hacjendzie…

– Co: my w Hacjendzie? – zirytował się Krasnow.

– Dotacje tylko zasysacie, ot, co! – warknął Hunt, po trosze udając, po trosze istotnie wyprowadzony z równowagi bezczelnością starego nierzeźbieńca.

– Pewnie, że zasysamy! – zarechotał Rosjanin. -cię boli! Zawiść gniecie!

– Wojny Monadalne nad nami, estep wam produkować, nie nowe laboratoria wznosić…

– Błogosławiona niech będzie dalekowzroczność decydentów! – zawołał Krasnow, wznosząc krzywe ręce nad głowę. Zazgrzytał żółtymi zębami. – Tfu! Tfu! Amerykance! Job twoju mat'! Ja wam podaję na tacy zwycięstwo w Ekonomicznych, a wy ślepi jako krety, tak nie inaczej, tylko klęska wam pisana.

– Nie zapluwaj mi się tu, Krasnow. I wróć do angielskiej składni. – Nicholas wybrał z podręcznego arsenału ton zimnego biurokraty. – Pamiętaj, skąd płynie forsa. Pamiętaj, o co tu idzie. Bo coś mi się widzi, że twoja skleroza objęła również to, coś sam nam nawypisywał.

– Powiedz mi, Hunt: ty też nie rozumiesz, czy tylko udajesz? Przecież estep i monady to tylko sposób na wygranie Wojen Ekonomicznych, jeden z możliwych. No bo czyż nie o to tu przede wszystkim chodzi? Czyż nie dlatego opłaca się wam pompować w ten projekt mega i mega? Ale okazuje się, że po raz kolejny ze środka uczyniliście cel! Wszak efeserzy to oczywista droga na skróty do zwycięstwa w Wojnach Ekonomicznych! Ale wy uczepiliście się myślni i nie popuścicie. Pewnie gdybym to ja rezydował przy Zespole, a ta zimna dupa Vassone tkwiła tam na pustyni, byłoby na odwrót. Atak…

– Nie sądź wszystkich podług siebie.

– A niby podług kogo? Co za durne aforyzmy mi tu wpychasz? Nie sądź, nie sądź! – przedrzeźniał Hunta Krasnow, mówiąc coraz szybciej i coraz mniej wyraźnie. -Zajoba jakiegoś z tym macie. Jasne, że osądzam; każdy osądza. Wszystkich, bez przerwy. Chcesz mi może wmówić, że nie czujesz do mnie niechęci? Pierwej w świętych obcowanie uwierzę! Vassone siedzi ci tu na głowie, błyska cyckami, szpanuje buźką z komputera, wcielona Atena, anioł wiedzy, a ja co, stary, pokurczony demon, złośliwe bydlę, nieprzyzwoicie nieestetyczny, na dodatek na wygnaniu – co ja mogę? kogo ja przekonam? komu…

Bogiem a prawdą Krasnow miał tu rację. Cóż z tego, wrażenie było silniejsze od rozumu, wszak Hunt wychował się w społeczeństwie już zestratyfikowanym fenotypicznie, piękno ciała informowało tu o pułapie inteligencji i wykształcenia. Podświadomie każde słowo usłyszane z ust dzikusa dzielił przez dwa, nic nie mógł na to poradzić, podobnie jak na upodobanie do likierów czy herpetofobię Forma narzucała kontekst.

– Sam się dziwię – perorował Krasnow – jak głęboko zakorzenione jest w was to oświeceniowe wyobrażenie postępu jako procesu prostoliniowego, posiadającego pewną stałą wartość, względnie stałe przyspieszenie, na dodatek w ogólnym zarysie deterministycznego, gdzie jedno odkrycie wynika z drugiego i prowokuje kolejne. Taką macie wizję naukowców i nauki: jest wielka ciemność i jest koło światła, i średnica tego koła się powiększa. A na obwodzie robotnicy jasności, mróweczki prawdy, my, naukowcy. Gówno. Wyjąwszy nieweryfikowalne, bezużyteczne pseudoodkrycia tak zwanych humanistów – całość postępu stanowi prostą pochodną aktualnych trendów gospodarczych. Przecie to oczywiste! No ślepy by zobaczył! A tu ciągle jakieś zdziwienia, zniesmaczone miny… Pieniądze i ludzie idą tam, gdzie jest możliwość zysku. Zysk zależy od uwarunkowań ekonomicznych: nie GUT, jeno chemia afrodyzjaków. Postęp jest trwale sprzężony z chaosem wolnego rynku i stanowi jego bezpośrednie odbicie. Tak też i postęp jest chaotyczny, w sensie grafiki Mandelbrotowych zbiorów. Jakbyś tak się przyjrzał, nie ujrzałbyś koła, jeno rozszczepiony fraktal, a ja, ja, ja zawsze byłem i będę na końcu tej najcieńszej, najdłuższej gałęzi, najdalej wysuniętej w ciemność…

– Okay, okay, nie sierdź się tak, przepraszam, przeczytam wszystko z uwagą. Słowo. No? Już dobrze?

Krasnow przymknął jedno oko, uniósł wskazujący palec prawej dłoni.

– Macie tu taki zjadliwy mem słowny: „Wiesz, na czym polega twój problem?" No więc – wiesz, Hunt, na czym polega wasz problem?

– „Nie, ale na pewno zaraz mi powiesz". I: „Chcesz o tym porozmawiać"?

– Hę hę hę, no właśnie. Wy nie wierzycie w nienawiść. – Że co?

– Że nienawiść. Ale taka nastojaszczaja, ognista, bezwarunkowa, nienażarta. Bo niechęć, zazdrość, gniew, pretensje – no owszem. Ale nienawiść? Nie potraficie nienawidzieć. I kiedy ktoś was nienawidzi – też nie wiecie, jak sobie z tym poradzić. Nie potraficie żyć z cudzą nienawiścią- Instynktownie się uginacie, przyznajecie rację jego uczuciu, na siłę idziecie na kompromis, rozpaczliwie szukacie dróg pojednania, chociaż on nie chce kompromisu ani pojednania. Ale tego nie jesteście w stanie zrozumieć. Kaleki. Trzeba umieć nienawidzieć i

żyć jako ten znienawidzony.

– Ty to bez wątpienia umiesz.

– A żebyś wiedział! – Krasnow łypnął na Hunta i zamachał ręką. – Nie zrozumiesz, masz takie beton-skojarzenie: nienawiść grzech największy. Nawet zniszczyć, zabić – byle bez nienawiści, jakoś elegancko, w płaszczu cynicznych racjonalizacji. Ale skoro nie istnieje nic, co warte byłoby waszej nienawiści, ani też akceptacji cudzej – to kim wy właściwie jesteście? Jak się definiujecie? Jak sami siebie postrzegacie? Chmury jakieś niedookreślone, wielkie kłęby dymu maskującego. I co on maskuje? Nic; sam siebie. Nienawiść jest siłą pozytywną, ona daje ci poczucie kierunku, tworzy wektory osobowości, ona…

Zostawił szefa Hacjendy w jego pokoju, zapijającego się w rytm tej ody do nienawiści d la Gekko, i zjechał na minus siedem, gdzie, w kilku salach i w rozległym foyer, toczyła się właściwa konferencja. Żeby tak pozostać do końca w zgodzie ze słownikiem – bardziej były to warsztaty naukowe, ciąg paneli, płatne burze mózgów, aniżeli prosta prezentacja dotychczasowych osiągnięć. Tu miały powstać wytyczne dla nowych strategii Zespołu i za ich określenie Nicholas płacił z funduszy Programu wysokie honoraria wszystkim uczestnikom, a w każdym razie – za podjęcie efektownej próby ich określenia. Oni zresztą w większości doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Uśmiechali się doń porozumiewawczo – odkłaniał się lekko. Krążąc po foyer, od grupki do grupki, wymieniali wizytówki i ironiczne komentarze, łowił je niechcący z jednostajnego szumu przyciszonych głosów („Silentium uni-versil Wszechświat milczy, bo taki memotrend dominuje w myślni!"). Po kątach, w niszach, na ciemno wyścielanych fotelach rozsiadły się kompanie towarzyskie. W kłębach ziołowego dymu, nad stolikami zastawionymi kubkami z kawą, oplotkowywali nieobecnych, wymieniali środowodowiskowe żarty. Między setną kpiną, a tysięcznym przekleństwem zrodzi się tu i ustali nastrój, który następnie określi treść i ostateczną wymowę raportów pokonferencyjnych. Jawne uzależnienie od pieniądza – czyli od biznesu oraz budżetowych szafaży pokroju Hunta – tylko wyjaskrawia reguły socjobiologicznej walki o byt: widzą, że psychomemetyka ma poparcie i nie zaatakują nieroztropnie nowego drapieżnika.

Hunt minął drzwi sali grupy pierwszej, gdzie Schatzu perorował o sektach, rezonansie formy i gwieździe dwóch znaków (nawet na korytarz dochodził rozgorączkowany głos Ronalda) i zajrzał do grupy drugiej. Trafił w środek kosmologicznego sporu.

Na ściennym ledunku dwuwymiarowy wszechświat kurczył się do osobliwości, po czym eksplodował, w inflacyjnym poślizgu rozdymając się na sufit i sąsiednie ściany. – Przyjęte przez doktor

Vassone założenie o niesamodzielności bytowej monad i myślni jako takiej – prawiła wysoka fenoindianka w szarym kostiumie mono od N'Hui – jest pozbawione naukowych podstaw. Nie przedstawiono żadnych dowodów na ciągłe uzależnienie struktur psychomemicznych od produktów materialnych systemów nerwowych. Pomijając konsekwencje problemu psychofizycznego – (tu sala zagrzmiała śmiechem) – życie takich istot byłoby zbyt kruche, bez przerwy zagrożone natychmiastową destabilizacją homeostazy, na pewno zaś mocno utrudniałoby to wszelką ewolucję. Racjonalniejsza wydaje się zatem hipoteza o długotrwałości tworów myślni, niezależnie od lokalnych promieniowań psychomemicznych, zwłaszcza że przecież nie wiemy, co znaczy „lokalny" w kontekście myślni. A skoro tak, skoro monady nie potrzebują ciągłego istnienia organizmów materialnych, bezustannego przez nie „dokarmiania", nie są jedynie modulacją strumienia umysłowych wydzielin – to ich istnienie staje się również możliwe w interwałach bezpsychozoicznych. Na przykład u zarania wszechświata. I w grobowej ciszy jego cieplnej śmierci. Jeśli zatem przychylamy się do modelu wszechświata pulsującego najwyraźniej większość obecnych się przychylała, Hunt z kosmologią nie był za pan brat, pojęcia nie miał, które teorie są tu aktualnie na topie – widzimy, że rozłączność kolejnych wszechświatów nie jest zupełna, istnieje sfera niepodległa prawom fizyki. Coś zostaje odziedziczone.

Głos z sali:

– Czy doktor Peer zatem sądzi, że neuromonady pochodzą z poprzedniego cyklu wszechświata?

(Doktor Peer to ta fenoindianka, skonstatował Hunt).

Peer wzruszyła ramionami. Nie wie. Ale istnieje możliwość ciągłości. Należy zatem bardzo dokładnie przyjrzeć się mechanizmowi interakcji myślni i materii, to kamyczek do ogródka neurofizjologów i tych, co tu się tak śmiali, bo jeśli fenomen faktycznie zachodzi na poziomie kwantowej grawitacji…

– To co?

– To w ówczesnej strukturze myślni doszukiwać się możemy wzorca, który odkształcił w pierwszych ułamkach sekund formę wszechświata i ustanowił parametry.

– Świadomie? Nieświadomie? Znów wzruszenie ramion.

– Być może neuromonady chciały po prostu mieć pewność, że w nowym kosmosie nie zabraknie im pożywienia.

Z sali:

– Bajki! Bajki! Nowe równanie antropiczne!

Z sali:

– A kto ustanowił parametry pierwszego wszechświata, tego, z którego emisji psychomemicznych ukonstytuowała się myślnia?

Z sali:

– Przynajmniej ostatecznie kładzie to kopniętą wersję Wheelera, bo jednak był jakiś zewnętrzny obserwator.

– Co to za wersja Wheelera? – spytał cicho Hunt opierającego się o framugę drzwi fenonordyka w mundurze EDC. Identyfikator głosił: MAJOR T. FUZZ.

– Wariacja na temat zasady antropicznej – wyjaśnił major, nie odwracając nawet głowy, wyraźnie myśląc o czymś innym. – Wszechświat partycypacyjny Wheelera. O ile kolejne mutacje na ewolucyjnej drodze do postaci obdarzonego świadomością psychozoika również uznamy za zdarzenia kwantowe, oczywistym jest, że aż do momentu pojawienia się owej świadomości istniały one, te warianty specjacyjne, jako superpozycje stanów prawdopodobnych. – Na takie dictum Hunt wytrzeszczył oczy, ale major Fuzz mówił dalej. – Redukcja następuje w chwili obserwacji. Istnienie człowieka uprawomocnia się przez wsteczny wybór stosownej ścieżki mutacji, a to takiej, która umożliwiłaby powstanie świadomości i tąże redukcję. Paradoks kauzalny. To wytrąca sens z pytania o zbiegi okoliczności, ponieważ Homo sapiens staje tutaj w roli pierwotnej przyczyny, chociaż późniejszej w strumieniu czasu. No, ale myślnia to falsyfikuje. Hunt nic z tego nie pojął.

Major musiał zobaczyć to w jego oczach. Zerknąwszy raz jeszcze na doktor Peer (sprzeczała się właśnie z jakimś mundurowym z pierwszego rzędu), westchnął i pociągnął Nicholasa do foyer. Przystanęli tuż za drzwiami. Fuzz rozglądnął się i wyszarpnął serwetkę z zestawu kawowego na pobliskim stoliku.

– Fizyka kwantowa, podstawy – mruknął, rysując na serwetce wykres nie wiedzieć kiedy i skąd wyciągniętym wiecznopisem. Wykres składał się z dwóch prostopadłych kresek i krzywej dzwonowej. – W pionie prawdopodobieństwo, od zera do jedności. Na osi poziomej poszczególne stany układu. O kocie Schrodingera słyszał pan?

– Aż tak zapóźniony nie jestem.

– Okay. W takim razie wie pan, że do momentu obserwacji układ znajduje się nie w jednym, konkretnym stanie, lecz w złożeniu, superpozycji wszystkich stanów prawdopodobnych. Kot żyje i kot jest martwy. Moneta spadła orłem do góry i moneta spadła reszką do góry, fifty-fifty. Ale zacznijmy nieco komplikować przykłady, weźmy rzut kilkoma kostkami sześciennymi. Sumę wyrzuconych oczek opisuje taka właśnie funkcja falowa, krzywa Gaussowska jest naturalna dla rozkładów stochastycznych. Jedynka na osi prawdopodobieństwa jest gdzieś tutaj, ekstremum funkcji tu. Kości leżą pod kubkiem, nie widzimy. Unosimy kubek, następuje obserwacja, funkcja kollapsuje, redukuje się do jednego stanu, którego prawdopodobieństwo skacze do jedności. Dajmy na to, tego. – I major skreślił szybko słupek mniej

więcej w dwóch trzecich szerokości dzwonu, wyższy odeń parokrotnie. – Widzi pan? Wszystkie inne stany spadają do zera, wypłaszczają na osi, a ten jeden, zaobserwowany…

– Rozumiem, rozumiem.

– Teoretycznie funkcją falową można opisać układ o dowolnej złożoności, składający się z dowolnie wielkiej liczby obiektów kwantowych. Ziemię. Galaktykę. Wszechświat. Dopóki nie zaobserwowany, prezentuje się właśnie tak. Do redukcji funkcji potrzebny jest obserwator.

I Wheeler w tę właśnie stronę to pociągnął. Bo wyobraźmy sobie: Big Bang, ekspansja, formowanie galaktyk -wciąż nie ma nikogo, kto by dokonał obserwacji, żaden stan kosmosu nie został przesądzony, żaden konkretny rozkład materii, żadne proporcje cząstek, może także żadne konkretne stałe fizyczne. Cały zbiór możliwych pakietów parametrów wszechświata masz tu na krzywej; przesuń się kawałek po osi w lewo czy w prawo i dostajesz inny wszechświat. Pytanie: do którego wszechświata funkcja się ostatecznie zredukuje?

– No przecież się jednak jakoś zredukowała! – zaśmiał się niepewnie Hunt.

– Tak, ale dlaczego nie akurat do takiego stanu, w którym zaistnienie człowieka byłoby niemożliwe? To jest pytanie leżące u podstaw Zasady Antropicznej. Zdziwienie nieprawdopodobieństwem naszego istnienia. Odpowiedź Wheelera jest następująca: istniejemy, ponieważ możemy obserwować. Mamy moc załamywania funkcji falowych. Gdyby nie my, wszechświat nie zaktualizowałby się w ogóle. Aktualizacja wymaga obserwatora, więc wybór zawęził się do stanów owocujących tymi obserwatorami: psycho-zoikami, istotami inteligentnymi i samoświadomymi.

Nicholas przygładził wąsy.

– Mhmmm, czuję, że gdzieś tu tkwi jakiś haczyk. Panie majorze… jakże można dokonywać obserwacji układu z jego wnętrza?

Major uśmiechnął się do Hunta, złożył serwetkę, schował wiecznopis.

– Gdy mówimy o wszechświecie – rzekł – czyli układzie z definicji obejmującym wszystko, nie ma czegoś takiego, jak „obserwacja z zewnątrz".

– Skąd więc pewność, że redukcja w ogóle się dokonała?

Major rozłożył ramiona – Nicholas nie był pewien intencji gestu: czy Fuzz okazywał tak swą bezradność, czy też wskazywał w odpowiedzi na świat wokół.

Hunt przeszedł do kolejnej sali. Tu, zgodnie z uprzednio sprawdzonym telefonicznie harmonogramem, miał niebawem wystąpić ów PerMueller. Dzisiejszy dzień grupa przeznaczyła na omówienie potencjalnie użytecznych teorii pobocznych i właśnie

produkowali się ludzie Hacjendy. Doktor Jugrin rozwiewał czyjeś wątpliwości na temat faktycznej skuteczności efesu. Na ścianie białe myszki wyjadały z podajników syntetyczne pożywienie.

– Efes (FS – futuroskop) w wersji aktualnej – utrzymywał Jugrin – sięga nominalnie na trzysta dwanaście sekund. Moc ustala się w sposób analogiczny do testów estepu, lecz zamiast identycznych labiryntów, mamy trzy równo rozmieszczone podajniki sprzężone z generatorami liczb pseudolosowych. O czasie trnd maszyna decyduje, w którym rogu pojawi się pożywienie. Kamera rejestruje wszystkie poruszenia myszy. Uśrednione wyprzedzenia, z jakimi wygłodzone zwierzęta zaczajają się przed właściwym podajnikiem, wyznaczają moc wersji. W kolejnych próbach zwiększa się liczba podajników i oddala się je od siebie. Czas prereakcji (trnd – tn) nie waha się dla poszczególnych eksperymentów o więcej niż kilka sekund: myszy są genetycznie zestandaryzowane. Jednak po przejściu do testów na materiale genetycznie nietożsamym różnica zasięgów efektywnych przekracza pięćset procent! Ta sama wersja efesu, która w pierwszych próbach daje horyzont pięciominutowy, niektórym efeserom pozwala na predykcje blisko półgodzinne. Sugeruje to istnienie determinowanych genetycznie cech lub zespołów cech szczególnie sprzyjających futuroskopowi. Dotąd nie potrafimy ich wyizolować. Ową właściwość organizmu, ówm czynnik modyfikujący przyjęło się od mojego nazwiska -wyznał z niepewnym uśmiechem doktor – nazywać jugrinem. – Gwizdy i chichoty. – Najwyższy zarejestrowany dotąd u Homo sapiens jugrin wynosi 4.78. Nie zanotowano jugrina zerowego.

– Jeśli chodzi o użyteczność efesu w Wojnach Ekonomicznych – kontynuował doktor – teoretycznie może on dać nam olbrzymią przewagę, jednak w praktyce pojawiają się pewne trudności. O ile początkowo – przed wiekami – gra na giełdzie odnosiła się do pewnych wskaźników ekonomicznych ze świata rzeczywistego, o tyle w erze Wojen jedyny realny punkt odniesienia stanowi sama giełda. Jednak nie dla efeserów – dla efeserów podstawą jest już owa metagiełda, nieanalizowalna wydzielina rozmytych logik prywatnych i państwowych maszyn maklerskich. Nie istnieją żadne racjonalne przesłanki dla dokonywanych tu przez efeserów wyborów: decydują jedynie odczyty przyszłości. A z nieznanych dotychczas przyczyn niemożliwa jest każdorazowo skuteczna, równoczesna gra na więcej niż jeden papier: któraś realizacja zysków nie powodzi się, czasami wszystkie. Praktycznie uniemożliwia to giełdową walkę obiektową, ponieważ w Wojnach Ekonomicznych nie sposób przeprowadzić skutecznego ataku w oparciu o pojedynczą emisję.

Potem na mównicę wszedł Per-Mueller. Był to barczysty fenosemita o orlim wejrzeniu czarnych oczu, tatuaż jurydyczny oplatał

mu szyję.

Hunt w międzyczasie wysłuchał przez telefon jego bio – co się okazało: Per-Mueller był kognitywistą ściągniętym przez Krasnowa do Hacjendy z projektu Most. I teraz też o tym mówił: o wszczepkach. – Jak państwo wiecie – zaczął odchrząknąwszy – modele wszczepek obecnie dostępne na rynku opierają się na wzorcu Hamaba 6, dopuszczonym jeszcze z pierwszej ustawy o neuroimplantacjach, na podstawie tej cholernej konwencji, którą, przypominam, ratyfikowaliśmy łącznie z całym pakietem. Co prawda, wszyscy ją ratyfikowali. Przez ten czas w Moście poszliśmy jednak znacznie dalej, ale te technologie pozostają zastrzeżone: wojsko, Cienie, fizyka medyczna, i tak dalej. Przynajmniej na razie Hamaba 6 ogranicza się do stymulacji ośrodków zrnysłów, jest bardzo prymitywna, jeśli chodzi o same przyłącza, wymaga szeregu mikrotrepanacji, stąd też względna kosztowność instalacji, pomimo wzrastającej popularności internalnych ortowirtualizacji. Wzór Tuluza 10, który stanowi podstawę obecnych prac, oparty jest na tokijskim modelu nanopasożyta. Wystarcza iniekcja dokrewna. To znaczy, widzicie tu państwo, dwa centymetry zawiesiny dożylnie. Nanomaty stopniowo osadzają się w mózgu i samodzielnie ustanawiają strukturę. Pomijając wszystko inne, jest to niezwykle tanie. Proces trwa około dwunastu godzin. Pokryta zostaje praktycznie cała kora. Moduł łączności krystalizuje się tu, pod móżdżkiem. Tuluza 10 bocznikuje całość aktywności ośrodkowego i autonomicznego układu nerwowego. Każde przyłącze jest potencjalnie interakcyjne. W wersji Gladiator, zaprojektowanej dla wojska, wzmocnienie funkcji indukcyjnych pozwala…

Mówił tak i mówił, opisując przewagi najnowszych wersji wszczepki i sarkając na ograniczenia prawne, aż Hunt zwątpił, że w ogóle doczeka się czegokolwiek o Grzybie. Nareszcie padło słowo.

– …jako Grzyb, zresztą pojęcia nie mam, czemu. Koncepcja opiera się na wymienionych tutaj pracach doktor Vassone oraz wnioskach z doświadczeń Zespołu w tropieniu monochromatycznych monad stacjonarnych. – (Montana, skojarzył Hunt; ale nie, to zbyt późno). – Wymagana jest maksymalna separacja, pierwotna czystość myślni, stąd idea wykorzystania porzuconych baz na Mar Imbrium. Wstrzykujemy preprogramowaną Tuluzę 10. Im więcej nosicieli, tym lepiej. Osadzamy ich w tej bazie, ładujemy do kokonów, nasączamy retaxilozą albo polbraxinem, w każdym razie żeby uniknąć interferencji z ich marzeniami sennymi, i uruchamiamy program. Założenie: Tuluza 10 stymuluje dowolne, wybrane przez nas sensacje zmysłowe. Z dowolną intensywnością, przez dowolnie długi okres, dowolnie modulowane. Proszę państwa, ja nie mówię tu już o wyszukiwaniu, przechwytywaniu i trenowaniu monad. Ja mówię o

tworzeniu własnych. Oczywiście osiągnięcie biegłości pozwalającej na konstruowanie od podstaw monad o wybranych przez nas cechach wymaga długich i mozolnych badań metodą prób i błędów, zdaję sobie z tego sprawę. Ale tutaj wszystko zależy od nas, nie ma ograniczeń ilości surowca…

Hunt wysłuchał jeszcze dyskusji – chociaż czas naglił, do umówionego rankiem spotkania z senatorem Tito pozostawały niecałe dwie godziny – po czym wyszedł. Ktoś do niego zagadał, zastąpił mu drogę w foyer – Hunt tylko zamachał ręką i z zaciśniętymi ustami wyminął człowieka. Kłuł mu się w głowie pewien domysł, czuł to niemal fizycznie, owo szczególne napięcie myśli, zasupłanie skojarzeń – i bojąc się nagłej dekoncentracji i rozproszenia uwagi, bezwzględnie usuwał sprzed oczu i z zasięgu słuchu wszelkie powody ewentualnych dystrakcji. Wyłączył telefon. Odwracał i opuszczał wzrok. Kogoś nawet brutalnie odepchnął. Prawie biegł do wind. Grzyb, Montana, Kleist, zabezpieczenie, czy on coś wie, niby powinien wiedzieć, Grzyb, Grzyb, pełnoindukcyjna Tuluza 10, miał to na końcu języka, na wyciągnięcie myśli.

W windzie wpadł na Schatzu. Ronald był najwyraźniej w półzaślepie, bo zareagował z opóźnieniem i patrzył na Hunta, przekrzywiając głowę, jakby między nim a Nicholasem wisiała w powietrzu jakaś nieprzezroczysta przesłona.

Schatzu dopiero co zakończył kolejną prezentację swego odkrycia i wciąż nie mógł się oderwać od tematu.

– Systematycznie – jął więc z marszu perswadować Hutowi – systematycznie musimy się do tego zabrać.

Efekty będą się przecież potęgować, widział pan krzywą, musumy to monitorować, tak jak monitorujemy Ekonomiczne i Monadalne. Co prawda, nie rozegra się to w dni i tygodnie, ale wpływ kumulatywny będzie znacznie głębszy. Jakie zresztą mamy prawo zakładać, że Nefele jest tu jakimś wyjątkiemtkiem? – gorączkował się Schatzu na oczach półświadomego znaczenia jego słów Hunta. – Po prostu z uwagi na względną względną bliskość Sheratana łatwo wyodrębnić psychomemiczną emisję jego ekosfery i odnaleźć korelację, lecz nierozsądnie byłoby zakładać, iż nie dociera do nas promieniowanie także z odleglejszych kultur psychozoicznych, tyle że bardziej osłabione…

Wyszli już z windy do głównego holu Bunkra, lecz Schatzu nie odstępował Hunta na krok.

– Czego pan właściwie chce? – zirytował się Nicholas przystanąwszy przy bramkach. – Grantu?

– Chcę…! – parsknął Schatzu. – Czyżby nikogopoza mną to nie interesowało? Musimy dokładnie wiedzieć, co…

– Dobrze, dobrze, dostanie pan fundusze, do widzenia.

Czy Schatzu się obraził, czy też przyjął to z zadowoleniem – Hunt nawet nie zwrócił uwagi. Rozpaczliwie próbował wrócić do raz przerwanego ciągu skojarzeniowego -bezskutecznie. Nie można drugi raz wejść do tej samej rzeki, chyba że suchej, i teraz właśnie zadeptywał jałowe koryto Nilu intuicji, na brzegach piętrzyły się sterty martwych asocjacji. Jadąc przez miasto do skyhouse'u senatora, ratował co się dało z ocalałych fragmentów obrazu, który ujrzał był naraz w błysku olśnienia podczas wykładu Per-Muellera. Obraz był olbrzymi, Huntowi pozostały zaś jedynie małe, kolorowe wycinki, zbiory pikseli sugerujące jakieś większe struktury. Pospiesznie mamrotał do sygnetu, nagrywając koślawe słowne przybliżenia. Potem będzie z nich dedukować, co tak naprawdę miał na myśli.

Podjechał pod World Trade Center. W skyhouse'ie powitał go osobiście Gaspar Tito, we włóczkowym swetrze i podniszczonych bawełnianych spodniach. Nicholas rozejrzał się za Imeldą, ale poza nimi dwoma najwyraźniej nie było tu nikogo, panowała kliniczna cisza, ani śladu służby, cały poziom pusty. Wrócił wzrokiem do senatora. Tito uśmiechnął się porozumiewawczo. A więc taka to będzie rozmowa.

Gdyby nie NEti, zapewne Gaspar ujałby Nicholasa pod ramię – a tak tylko wskazywał drogę. Przeszli do gabinetu senatora. Po raz pierwszy Hunt przestępował ten próg.

Gaspar starannie zamknął drzwi.

– To bezpieczny pokój – powiedział, podsuwając Huntowi fotel. – Nigdy nie zamontowałem tu nawet sieci ubezpieczenia. Transmisje telefoniczne są ekranowane.

– Rozumiem, tutaj negocjujesz wysokość łapówek.

Tito zaśmiał się uprzejmie. Zaproponował drinka, cygaro, pytał o zdrowie, o akcje, o Netsów, tylko nie o pracę. Zanim spadł z głośnym westchnieniem w swoje siedziszcze, lśniący czarną skórą tron, zmniejszył do połowy natężenie światła gazowych lamp naściennych. Tak układały się wektory mody: im coś potencjalnie bardziej niebezpieczne i zakazane przez prawo – tym mniejsza liczba ludzi może sobie na to pozwolić. Lampy gazowe dawały przyjemne, miękkie światło, pulsujące w półmroku w hipnotyzującym rytmie. Sam Gaspar – jego twarz, jego ręce -w większości krył się w cieniu. Konfiguracja mebli nie była przypadkowa. Czy powinienem się obrazić? – przmknęło Nicholasowi.

– Więc poszczęściło ci się – mówił Tito. – W czasie epidemii prawdziwą władzę posiadają lekarze.

– Powrót króla – uprzedzająco zaszydził z siebie samego Hunt.

– W czasie wojny – żołnierze. A teraz – kto teraz obejmie rządy?

– Interesujące pytanie – mruknął Nicholas, zastanawiając się, jak długo będą uprawiać to aikido. Podobny styl konwersacji miał we

krwi, musiał się wręcz przymuszać, by przezwyciężyć rutynę odruchowych uników i aluzji, niemniej był to niesamowicie czasochłonny sposób rozmowy, a Hunta ciągnęło teraz do stolicy, do Oiola, Bronsteina, do zwierzchników EDC. To, co już wiedział, plus parę niejasnych sugestii, plus szantaż, plus nastrój Waszyngtonu… Otwierały się możliwości nieskończone. Zastanawiał się też nad Stimmelem, którego miał tu, na miejscu, ale Stimmel był tylko głosem doradczym, jego słowo nie posiadało mocy wiążącej, znajdował się, podobnie jak sam Nicholas, na bocznym torze, dochodziły go tylko echa. Częścią swej świadomości Hunt wciąż przebywał na sali wykładowej Bunkra i słuchał orlonosego Per-Muellera, balansując na krawędzi iluminacyjnej ekstazy, Konieczność skupienia się na słowach szwagra irytowała go. Skończyć to czym prędzej. Ale przyzwyczajenie, ale nawyki – które, jak uczy Arystotel, kształtują prawdziwą naturę człowieka – mówiły mu co innego: wyczekaj, pozwól przeciwnikowi się zaangażować, niech uderzy pierwszy, impet własnych słów pchnie go na ścianę.

– W czasie epidemii – ciągnął Tito – władzę największą posiadają ci, którzy segregują ludzi: na wartych ratunku i na zdanych na łaskę zarazy. Ci, którzy rozdzielają skromne zasoby medykamentów.

– Nie dysponuję żadnymi medykamentami.

– Zastanów się. Jest jednak pewna drobna różnica między nami: ciebie nie chroni ustawowa długość kadencji. Moja zależność jest okresowa, twoja – ciągła.

Proponuje mi transakcję, dumał Hunt. Ochrona w zamian – w zamian za co? A może właśnie grozi?

Już druga osoba zakłada, że wiem o czymś, o czym nie wiem nic, pomyślał, przypomniawszy sobie pełne goryczy spojrzenie generał Kleist, EDC.

– Dasz mi słowo – rzekł nagle.

– Co…? – Tito aż pochylił się, wynurzając się z bezpiecznego cienia wysokiego oparcia fotela.

– Przyrzekniesz mi – mówił Hunt, w duchu śmiejąc się z powtórzenia surrealistycznej sytuacji. – Przyrzekniesz mi poparcie, gdy przyjdzie do rozliczeń.

Senator dłuższą chwilę wpatrywał się w Nicholasa w absolutnym bezruchu, fizjonomia nie wyrażała niczego, Tito był fenomurzynem, głęboko osadzone oczy szukały na obliczu Hunta najdrobniejszego znaku świadczącego, iż Nicholas żartuje. Nie znalazłszy go, Gaspar powoli skinął głową.

– Oczywiście. Jakże inaczej. Przyrzekam.

Hunt najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał chamski rechot przed wybuchnięciem z głębi przepony

– Na początek opowiedz mi o Grzybie – polecił starannie

modulowanym głosem.

– Grzybie? Jakim grzybie?

– O? – Hunt teatralnie odegrał zdumienie. – Czyżby nie doszło cię o tych nowych wszczepkach? Tuluza l0. Ochrona przez indukcję impulsów blokujących.

Tito poderwał się na równe nogi, obszedł dookoła biurka, bił przy tym pięścią w otwartą lewą dłoń i marnrotał coś do siebie, popatrując co chwila na Nicholasa. Hunt widział, jak uśmiech to znika z warg senatora, to na nie wraca – była w tym wirtualnym uśmiechu ulga, była satysfakcja, zadowolenie, ale także lęk i niepewność.

– A więc jednak – sapał Tito, wparłszy się kłykciami w krawędź mahoniowego blatu – więc jednak.

Nicholas z pantomimiczną pedanterią poprawiał mankiety swej monokoszuli. Swego czasu – jeszcze w Prawdziwym Życiu – rozpętał w ten właśnie sposób kilka niemałych afer, ulepiając ze zbiegów cudzych słów wielkie bałwany plotek, śnieżne kule faktów zasłyszanych, co rychło przyoblekały się w żywe ciało z papieru i pieniądza. Początek trendu nigdy nie zwiastuje grozy i potęgi lawiny, jaką się kończy.

Pierwsza zasada brzmi następująco: każde kłamstwo zaczynające się od „tak" jest dziesięć razy bardziej wiarygodne od rozpoczynającego się przeczeniem.

Druga zasada jest zaś taka: człowiek wierzy.

– A grudzień? – spytał Tito. Oddychał bardzo głęboko, potężna klatka piersiowa chodziła mu pod swetrem niczym u boksera po gongu.

– Powoli, powoli.

Tito usiadł za biurkiem, opuścił wzrok. Nierytmicznymi ruchami wielkich dłoni przestawiał po blacie kałamarz, klepsydrę, nóż, pliki luźno spiętych papierów, tam i z powrotem.

– Taak. Jeśli potrafisz mi… nam… zagwarantować… Potrafisz?

– Może.

– Nicholas, na miłość boską!

– Ciekawy jestem – mruknął Hunt -jaką drogą cię to doszło.

W duchu stawiał na Vassone. Ona przecież miała jakieś dojścia do senatora, o naturze których dotąd nie zdołał się Hunt niczego konkretnego dowiedzieć. Jakoś intuicyjnie przyjął, że Marina coś przed nim kryje, że subtelnie go zwodzi i okłamuje – od początku. Może po prostu taka była jej maniera, dominująca forma behawioru; a może faktycznie: manipuluje. Mogło coś przeciec po myślni… w chwilach rozprzężenia, nagłych ciosów endorfinowych… ekstazy.

– Na Kapitolu – westchnął Tito. – Asystent Howell która zasiada w nadzorze, spił się na jednej z zamkniętych kolacji sponsorskich, siedziałem obok, zaczął bełkotać w sałatki, tknęło mnie, nie wiem,

przeczucie, spojrzenie Howełł, łaska boska, wyprowadziłem go do łazienki. Co się okazało: sypia z jednym od Vermundtera i ten kochaś poradził mu… Po co ma płacić za dzisiejszy szmelc -bo asystent planował właśnie założyć sobie wszczepkę. Więc vermundterowiec mówi mu: poczekaj i tak będziesz musiał się zabezpieczyć, jak w Nowym Jorku spieprzą sprawę. Popytałem o Vermundtera i widzę, że to bocznica Mostu. No, ale nic. Różne rzeczy się słyszy. Lecz te ostatnie dwa tygodnie… Już taka nerwowa ludzi trzęsie, chodzą dziwne plotki. Jakieś przetasowania… Rozumiesz: komu innemu pierwszemu się kłania, inny uśmiech, tu zmienia zdanie, tam milczy. Na przykład te manewry McManamary, taniec z waszym budżetem. Zmiany trendów wynoszących. Tego typu sygnały. Nie trzeba być geniuszem, żeby dodać dwa do dwóch. A człowiek nie zna terminów, oficjalną drogą to będzie nie wiadomo jak długo. Kilku baranów próbuje się przebijać przez biurokrację, grożą ujawnieniem. Ujawnieniem czego? Idioci. Rozmawiałem z Modlem i Wigginem – zaprzeczają. Bardzo możliwe, że faktycznie nie wiedzą. Do kogo miałem się zwrócić? Ty znajdujesz się w centrum całej sieci.

Model to prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Wiggin – zastępca dyrektora CIA do spraw wywiadu operacyjnego.

– No a grudzień? – rzucił Hunt wygładzając nogawkę.

– Grudzień, grudzień – mamrotał Tito. – Nic konkretnego nie wiem, naprawdę. Takie słowo. Krąży po korytarzach. Nie w znaczeniu daty. Ktoś z biura Bronsteina chlapnął w kontekście tej nowej wszczepki i Grzyba coś w stylu: „Byle przed grudniem". Absurdalne, bo całe Monadalne wygotują się dużo wcześniej. Więc coś innego. Wiesz, jak utaczają się takie słowawytrychy. Korelacji z treścią żadnych. Nie bardzo nawet jest jak i kogo pytać, nazbyt mętne. Pojmujesz. Ale słowo krąży, strach rośnie.

Senator wciąż nie patrzył na Hunta (patrzył na dłonie, dłonie bez przerwy mu się poruszały, kałamarz, klepsydra pióro, kałamarz) i Nicholas był pod wrażeniem jego szczerości. Z minuty na minutę malał jego szacunek dla szwagra. Taki szczery – jak bardzo musiała zostać osłabiona jego pozycja, jak niewiele władzy mu pozostało, jak bardzo jest zdesperowany, skoro tak mi się tu obleśnie otwiera. Uch.

– Teraz lecę do Waszyngtonu – rzekł Nicholas, podniósłszy wzrok na pochylonego nad biurkiem Gaspara. -Muszę pogadać z Bronsteinem. W poniedziałek będzie już po konferencji, w poniedziałek zweryfikują się NYSĘ, NASDAQ i WSFM, także Amex; będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

– A czy ty już…? – Tito dokończył ruchem oczu: ku czołu i szczytowi głowy Hunta.

– No przecież nie jesteś w stanie tego sprawdzić.

– Tak. Rzeczywiście.

– Gdzie Imelda?

– Namówiłem ją na wakacje na Kajmanach.

– Boisz się, że dotknęłoby i ją. Czyścisz okolicę potencjalnego celu.

– A dotknęłoby?

– Prawdopodobnie nie.

– Ja tak czekałem, czekałem, bo żywiłem złudzenia, że może sam postarasz się ją… ochronić.

Cóż rzec, kłamstwo jest kłamstwo, nie można wyjść poza raz wytworzony obraz, forma zobowiązuje. Są kłamstwa na jeden dzień, są kłamstwa na całą karierę. Ergonomia duszy to wielka gałąź technologii sukcesu. Hunt wstał, wzruszył ramionami.

Na przyszłość lepiej nie licz za bardzo na siłę moich uczuć do siostrzyczki.

Nawet się nie uśmiechnął, nie mrugnął: już zaczynał szczerze wierzyć w głośno wypowiedziane słowa. Rok za rokiem Ja w masce małpy -Prawdziwa małpa.

9. Śmierć w stolicy

Tak więc Hunt poleciał do Waszyngtonu. Nie lubił tam wracać. Jeszcze w samolocie obudziło się w nim to nieprzyjemne, irytujące uczucie – rodzaj swędzenia, ból fantomowy po amputowanej karierze. Ale miałby nie wykorzystać takiej szansy? Musiał się spotkać z Bronsteinem. Bronsteinem, który z upoważnienia DARPA osobiście nadzorował zarówno Zespół, jak i Hacjendę, Bronsteinem, o którym wspomniał nawet Tito. Tylko jego można pytać wprost bez ryzyka odkrycia blefu. Twarzą w twarz, gdy nie obowiązuje żadna obca forma, ale pod NEti. Bronstein będzie musiał wysunąć jakąś ofertę. Może po konsultacjach z radą kolobby. Ale coś da, coś zaproponuje. Powrót do RL. Tak. Może. Jakoś. Już wyobrażał sobie Hunt upojne scenariusze.

Bronstein pracował bezpośrednio dla menadżerów aktualnie zwycięskiego lobby – oficjalnie był wspólnikiem w jednej z wyspecjalizowanych waszyngtońskich kancelarii prawniczych – i dało się do niego dotrzeć jedynie poprzez Radicka. Tak w każdym razie twierdził Oiol, z którym Hunt przegadał prawie cały krótki lot do stolicy. Nicholasowi przemknęło nawet, czy wobec tego nie rozsądniej byłoby zwrócić się bezpośrednio do Radicka. Ale zrezygnował. I tak prawdopodobnie Radick nic nie wiedział: piastował zbyt wysokie stanowisko.

Paul Radick był bezpośrednim kontrolerem aktualnego prezydenta. Tradycyjnie pełnił funkcję szefa personelu Białego Domu. Co radykalniejsi dziennikarze wypisywali, iż wygląda to tak, jakby w rzeczywistości sam prezydent zaliczał się w poczet owego personelu. Oczywiście było w tym sporo przesady: na co dzień bowiem wcale tak nie wyglądało. Gdy jednak przychodziło do podejmowania jakichś ważniejszych decyzji, do kryzysów gospodarczych… Radick był na miejscu. Nie mógł szantażować zwierzchnika sił zbrojnych (nie otwarcie w każdym razie) – ale mógł mu przypominać.

Wiadomo bowiem, że trudno na tym bożym świecie o bestię bardziej niewdzięczną niż polityk po wygranych wyborach. Na jedną czy dwie kadencje tworzyły się takie luźne przymierza lobbies o niesprzecznych ze sobą priorytetach, zdolne razem wywrzeć przemożną presję. W praktyce zawsze jednak konieczni okazywali się specjalnie dla tego celu wydelegowani przez kolobbystyczny komitet, półjawni nadzorcy-doradcy. Nie byli żadnymi szarymi eminencjami. W tych czasach, jak lubił Hunt powtarzać, nie było już szarych eminencji. Stanowili po prostu jeszcze jeden element nieogarnialnego żadnym słowem procesu. Przeróżne lobbies – nafciarzy, ubezpieczycieli, filmowców, producentów samochodów, farmerów,

intelektronistów, emerytów – istniały i działały od niepamiętnych czasów, stanowiąc wszelako coś w rodzaju przybudówek wewnątrz- i pozapartyjnych, moderatorów polityki o mniejszej lub większej chwilowej sile nacisku. Stopniowo dziedzina ta profesjonalizowała się coraz bardziej, by w ostatnim ćwierćwieczu XX stulecia stać się domeną takich samych zawodowych menadżerów, co wcześniej kampanie wyborcze. W latach zerowych owa kasta waszyngtońskich neoyuppies, zarabiających megadolary za uzyskiwanie dla hojnych zleceniodawców określonych efektów politycznych, skostniała cichymi precedensami w oficjalne struktury, precyzyjnie dookreślone prawem i obyczajem. Hunt, Bronstein, Oiol, wszyscy oni się przecież stamtąd wywodzili.

Lecz Bronstein bynajmniej nie musiał znajdować się w Waszyngtonie. Hunt oczywiście dysponował zakodowanym numerem jego telefonu, lecz najwyraźniej dzikus podał Zespołowi numer niskopriorytetowy, bo Nicholas wciąż odbijał się od wściekle uprzejmego programu sekretaryjnego. Nigdy dotąd nie dzwonił do Bronsteina – ostatnia rzecz, jakiej pragnął, to ściągać na siebie dodatkową uwagę zwierzchników – lecz mocno wątpił, czy on faktycznie tak bez przerwy prowadzi telefoniczne konferencje. Więc tylko przesłał mu informację o swoim przybyciu okraszoną enigmatycznym: „Wiem wszystko. Mają to już przygotowane. Nie odpuszczę tego". Niech się pogotuje we własnym sosie, a co! Zmięknie przez ten czas i będzie bardziej nerwowy w targach.

W Prawdziwym Życiu we wszelkich służbowych podróżach towarzyszyła Huntowi kilkuosobowa świta. Nigdy też nie zajmowały jego uwagi tego typu techniczne kwestie, spotkania miał zawsze umawiane z góry, żywy sekretarz filtrował mu rozmowy telefoniczne, pytał i mu odpowiadano. Jakże bolesne są przebudzenia bogów w ludzkiej skórze.

Podczas lotu zamówił samochód i po wyjściu z hali lotniska wsiadł do czekającego ciemnego texijo. Ze złożonego w kostkę ledpada przekopiował do kompa wozu bank sto-licznych adresów i poprosił: – Mausa.

Sprawę komplikowała nieco pora dnia: zmierzch zapadł już nad Waszyngtonem, światła miasta rozmazywały się za przybiankowanymi szybami texijo. Teraz jest czas półoficjalnych przyjęć i zupełnie nieoficjalnych konsultacji, podczas których wrze prawdziwa praca, pozorowana potem przed kamerami. Bronstein może znajdować się wszędzie i nigdzie.

Mausa był nowym kompleksem biurowym wzniesionym w manierze poparchu: dwór wiktoriański przemnożony przez dziesięć kondygnacji. Wrażenie było tym większe, że ze wszystkich stron otaczał gmach dwupoziomowy, otwarty parking. Hunt podjechał od

północy, gdzie mieściły się biura Private Ears Associated, najpopularniejszej z agencji sneakerskich, specjalizującej się w prześwietlaniu sfer polityki i biznesu. Zaparkował na czerwonym stanowisku, co oznaczało żądanie usługi anonimowej.

Pracownik PEA, fenokalifornijczyk, zastukał w szybę po dziesięciu minutach. Hunt polecił wozowi otworzyć tylne drzwiczki. Ucho wsiadł, Nicholas obrócił się na fotelu, wymienili szybki uścisk dłoni, przy czym ucho zamknął swą dłoń na zwiniętej pięści Hunta, sczytując podskórny cashchip przez implantowany pod mięsień kciuka rejestrator. Facet musiał być w półżaślepie, przynajmniej wideo, gałki oczne chodziły mu na boki w nieregularnych zrywach.

Chwilę siedzieli w milczeniu, zanim PEArowiec nie sprawdził aktywnych łączy wozu. Potem się przedstawił.

Jason. Czego chciałby się pan dowiedzieć? – Bronstein, Marvsky, Libezet and Delany. Aktualne namiary.

– Okay.

Wyślepił się na całego. Nicholas stukał palcami o obicie fotela. Odległe światła i cienie Kapitelu wywoływały przykre skojarzenia. Ból upokorzeń; te rany palą jak posypane solą, ilekroć sobie przypomni. Wystarczy przypływ głębszych asocjacji. Ale dobrze, niech tak będzie, niech palą – on wróci, teraz ma stosowną kartę, dzisiejsza noc przeważy. Bronstein. Grzyb. A Grudzień? Rozważał to, przesuwając koniuszkiem języka po podniebieniu. Grudzień – lepiej nie poruszać tematu, nie wiadomo, co to jest, to może być wszystko, rozsądniej w ogóle nie pytać, drobny niuans kontekstu może zdradzić ignorancję, zbyt wielkie ryzyko. Lepiej niech Anzelm jeszcze powęszy.

– Bronstein, Peter Frederick, przyleciał z Mediolanu Lufthansa o siódmej dwadzieścia rano, pierwsza klasa, na koszt firmy – odezwał się wtem Jason (imię też kalifornijskie). – Nie ma żadnych zabukowań na dzisiaj i jutro, ani z nazwiska, ani po pieniądzach. Ale to nic nie znaczy, korzystał już przedtem z maszyn korporacyjnych oraz rządowych. Było potwierdzenie uczestnictwa w przyjęciu wprowadzającym jednej ze spółek menadżerskich, ale odwołał. Podobnie – kolację w ambasadzie UE. Wzór Połączeń telefonicznych na publicznych gwiazdach jest nazbyt chaotyczny, nie sugeruje żadnej konkretnej lokacji. Ostatnia ręczna transakcja: rano na lotnisku, maść filtracyjna. Nie wiadomo, gdzie jadł. Brak wyróżnionego miejsca pracy. Ma wszczepkę. Brak stałego partnera seksualnego. Trevelyanista. Studiował informatykę, zarządzanie i oczywiście prawo. Po wielkości znanych wpłat i wypłat możemy wnioskować o wysokości konta, ale większość poszła w papiery. Dochód ogłaszany: cztery koma cztery mega.

O! To wskazywało, że Bronstein jest uważany na specjalistę najwyższej klasy, łowcy głów musieli go zdjąć dla lobbystów

aktualnego prezydenta z niemałym hukiem, powinny pozostać ślady. Ale to na potem. Tymczasem: adres

– Kiepsko – skomentował na głos.

– Kiepsko – przyznał Jason. – Jest dobrze pokryty, spora część przechodzi przez czarne kryształy.

(Czarne kryształy oznaczały maszyny rządowe).

– Rozkład prawdopodobieństwa?

– Siedemdziesiąt dwa, że przejął go transport niepubliczny i jeszcze rano wywiózł z Dystryktu.

– Dalej.

– Czternaście, że siedzi w domu.

– Adres.

– Watergate.

Hunt uśmiechnął się pod wąsem.

– Okay, przekopiuj mi resztę – podał Jasonowi ledpad. Podczas kopiowania danych i autoryzowania przelewu honorarium, ucho podzielił się z Nicholasem osobistą refleksją.

– Wie pan, stopniowo dostajemy coraz więcej zleceń na ludzi jego pokroju, my i brokerzy informacji; także od mediów. Oni zaczynają wypływać na wierzch. Nieoficjalne staje się oficjalne. Na pewno nie wszystkim to się podoba, lecz według mnie to kolejny, naturalny obrót historii. Są takie cykle; co ileś lat musi się to przesunąć, żeby zmniejszyć obciążenie, więc tu się wkrótce będzie musiało coś zmienić…

– Ta, zmieni się na pewno.

Jason wysiadł, texijo ruszyło z miejsca. Hunt gapił się w zamyśleniu na nie sprofilowany serwis CNN-u na bocznej szybie. Z całego plonu tego pobieżnego researchu zaciekawiła go jeszcze informacja o korzeniach Petera Bronsteina. Trevelyanista! Więc on faktycznie jest nierzeźbiony, faktycznie pochodzi z „pierwszych trzech czwartych". Musiał się wyprzedać, by wejść do drugiej warstwy, potem trzeciej, i jeszcze wyżej. (Popularna reguła trzech czwartych opisywała za pomocą prostego ciągu społeczne proporcje standardów ekonomicznych, układało się to w przybliżeniu tak: 75%, 19%, 5%, 1%; przy czym do owe-go górnego procenta szło ponad trzy czwarte – znowu -ogólnej sumy dochodów).

Metoda Trevelyana, do jakiej Bronstein był się uciekł -jej nazwa pochodziła od nazwiska pewnego lekarza z jednego z opowiadań o Sherlocku Holmesie – z uwagi na obligatoryjną kapitalizację długu była bardzo ryzykowna, regulacje NAFTA zresztą nie zezwalały na nią, trevelyaniści oferowali się na rynkach azjatyckich. Niektórym po kilku chudych latach puszczały nerwy i sięgali po Pigułki Ulgi. Rosyjska ruletka. Bo na czym można tu zabezpieczyć inwestycję? Jedynie na prawach TP i DNAM oraz na materiale transplantacyjnym – czym

więcej dysponuje człowiek? Większości trevelyanistów do końca zwyczajowych dwudziestu lat nie udawało się w całości wykupić.

Tak więc Bronstein był po prostu chorobliwie ambitnym parweniuszem, w imię marzeń zdolnym zaryzykować własne życie. Teraz Nicholas mógł nim pogardzać, ale też teraz musiał się go bać.

Podjechał pod Watergate. Informacja, iż rudy dzikus mieszka właśnie tutaj, rozbawiła Hunta, ponieważ on sam wciąż utrzymywał apartament w zabytkowym kompleksie – nie mógł jakoś się zdobyć na rezygnację z jego wynajmu, byłby to ostatni gwóźdź do trumny, coś jakby symboliczna autokremacja.

Odesłał texijo i wszedł do holu. Odźwierny go pamiętał, ukłonił się. Winda też rozpoznała Hunta, nie miał problemu z dostaniem się na piętro Bronsteina. Dopiero przed samymi jego drzwiami – dopiero wtedy coś go tknęło. Zastał go w domu; zbyt szybkie powodzenie, nadmiar szczęścia. Drzwi były bowiem nie domknięte, ze szczeliny na czerwony chodnik korytarza strzelał równoramienny trójkąt światła.

Nicholas momentalnie cofnął się kilka kroków. Filmowe skojarzenia uderzyły teraz falą, zachłysnął się przerażeniem. Tam mord, tam najemni zabójcy w monogarniturach, wielkie pistolety nad zwłokami Bronsteina; zaraz wyjdą, zobaczą mnie, krewa.

No nie, nie bądźmy śmieszni, nie myślmy schematami, to nie jest film, jacy znowu zabójcy… Prawie się uśmiechnął.

Ale jakoś nie postąpił naprzód. Drzwi naprawdę były nie domknięte. Zza nich – tylko gęsta cisza i blade światło. To nie to, że Bronstein zapomniał je zamknąć – wręcz przeciwnie: one zamykają się same. Muszą mieć wydane specjalne polecenie, by pozostać nie zatrzaśnięte, a i wtedy będą się konsultować z programami systemu bezpieczeństwa budynku. Ostatecznie gdzie jak gdzie – ale tutaj mieli powód wystrzegać się włamywaczy.

Więc co? Awaria maszyny?

Stał w bezruchu. Nogi były mądrzejsze, same rwały się do obrotu i ucieczki ku windom. Ale właściwie co powinien zrobić? Korytarz obejmuje sieć NEti, obraz został już zachowany w kryształach notarialnych, ewentualne śledztwo dotrze do Hunta tak czy owak. Lecz wcale niekoniecznie musi zostać powiązany z Bronsteinem, Nicholas przecież tu mieszka, może po prostu pójść tym korytarzem dalej i stanąć przed którymiś z kolejnych drzwi, gdzie ma prawo się spodziewać zastać znajomych (na tym to chyba piętrze mieszkają Scriffowie z „Postu"?), przelotne zainteresowanie wpółotwartym mieszkaniem każdy zrozumie – a przynajmniej tak to mogą tłumaczyć jego prawnicy.

Ale jeśli nie ma żadnej afery? To przecież znacznie bardziej prawdopodobne. Co wówczas? Ma tak odejść, w ogóle nie próbując spotkać się z Bronsteinem, wystraszony smugą światła, czy doprawdy

jest aż takim tchórzem, aż takim? Okazja może się nigdy nie powtórzyć. Informacja, jaką rzuciłby Bronsteinowi w twarz, być może posiada moc wskrzeszania z martwych – jeśli mądrze to rozegra, jeśli z tym właśnie człowiekiem dobrze zatańczy…

W te i we w te, w te i we w te, krew w sercu i strach w myśli. Stałby tak w nieskończoność, gdyby nie czyjeś kroki za zakrętem. Wówczas, reagując niczym na zaprogramowany pod głęboką hipnozą sygnał, błyskawicznie podbiegł do drzwi, otworzył je do końca, wszedł i zamknął za sobą.

Bronstein zwisał bezwładnie pośrodku salonu, powieszony na skórzanym pasku zaczepionym o kryształowy żyrandol, teraz mocno przekrzywiony. Oczy wytrzeszczone. Sine wargi. Purpurowe bruzdy na szyi (rwał był ciało paznokciami).

Hunt z wysiłkiem uniósł rękę i ścisnął między palcami główkę szpilki jurydykatorowej.

Natychmiast zapiszczał mu w uchu sygnał priorytetowego połączenia.

– A amp;S Justice Incorporated – zaszeleścił kobiecy głos (prawie na pewno sekretaryjnej turingówki). – Ekipa już wyruszyła. Czy może pan mówić?

– Tak.

– Proszę potwierdzić lokację.

Hunt zapomniał numeru apartamentu. Podał nazwisko Bronsteina.

– Stopień zagrożenia? – dopytywał się program.

– Znalazłem jego zwłoki.

– Morderstwo?

– Nie wiem. Wisi na pasku.

– Kto jeszcze powiadomiony?

– Nikt. Chyba.

– Jest pan tam sam.

– Tak.

– Proszę pozostać na miejscu, niczego…

– …nie dotykać, tak, wiem.

– …i nie próbować ścierać, jeśli już pan dotknął. Sensacje fizjologiczne?

– Żadnych.

– Dobrze. Proszę wyjść na korytarz. – Przecież miałem się nie ruszać.

– Właśnie sprawdziliśmy wewnętrzny system bezpieczeństwa budynku. Mieszkanie pana Bronsteina wraz z korytarzem zostało odcięte, zablankowano główny program i diagnostykę. Proszę wyjść.

Wyszedł.

Drzwi nie były zamknięte.

– Po odcięciu można wyłączyć wszystkie funkcje autonomiczne. Czy działa tam klimatyzacja?

– A skąd ja mam to wiedzieć?

Czekał. Gdyby faktycznie któryś ze Scriffów był u siebie i teraz wyszedł… Jezu Chryste. Śmierć kliniczna, zombie medialny. Czekał.

– Kiedy oni wreszcie będą?

– Schodzą już z dachu.

Przylecieli helikopterem, skonstatował.

Cofnął się kilkanaście metrów ku zakrętowi i wyjrzał zza rogu na windy i drzwi do schodów przeciwpożarowych. Oczywiście nie zdaliby się na windę, skoro grzebano w programie ochrony. Ile minęło? Zerknął na zegarek. Cyfry nic mu nie mówiły, szkoda, że nie spojrzał na początku. To cholerne światło wciąż biło z wnętrza mieszkania Bronsteina, tym razem sam Hunt nie domknął drzwi, istna klątwa.

Kiedy powtórnie wyjrzał zza załomu, już biegli: dwóch mężczyzn i kobieta, wysocy, fenożołnierze, tatuaże korporacji jurydycznej na bezwłosych czaszkach, czarne garnitury z monowłókien, broń w dłoniach.

– Do ściany! – krzyknął mańkut.

Hunt posłusznie przypłaszczył się do boazerii.

Prywatne policje jurydykatorów werbowały do swych szeregów nie tyle byłych rządowych gliniarzy, co byłych żołnierzy, i to najczęściej z jednostek specjalnych, szturmowców, antyterrorystów, Cieni – stąd często można było wśród nich spotkać nanocyborgantów, korporacje bardzo to eksponowały w swych kampaniach reklamowych, mitmemy silnie się ukorzeniały. I teraz Nicholas nawet niespecjalnie się zdziwił, widząc nieludzki sprint tej trójki, chodnik rwał się pod ich butami, momentalnie byli przy Huncie, mańkut przypadł doń, przycisnął jeszcze mocniej do ściany, tamtych dwoje przebiegło obok, w milczeniu dopadli drzwi apartamentu Bronsteina, kobieta prysnęła do środka jakimś sprayem, odczekali dwa uderzenia serca, nagle znów: eksplozja ruchu – najpierw mężczyzna kopnął pod klamkę i wskoczył, za nim kobieta, zniknęli Huntowi z oczu. W ogóle niewiele widział zza tarczy ma-sywnego ciała jurdy, tylko płaskie cienie na chodniku.

– Okay – mruknął wreszcie leworęczny jurda i puścił Nicholasa.

– Czysto?

– Tak.

Od schodów szła ku nim fenoazjatka w szarym kostiumie z naturalnych tkanin, ze stanowiącą niemal symbol jej profesji teczką w ręku. Broszka z logo A amp;S spinała wysoko pod szyją jej śnieżnobiałą bluzkę.

Odgarnąwszy z czoła asymetrycznie przycięte włosy, podała

Huntowi wąską dłoń. Cashchip potwierdził identyfikację. Ukłoniła się, wyjęła wizytówkę. Rozpoczęły się rytuały NEti. Jurda stał obok, wciąż z bronią w ręku, i pustym wzrokiem patrzył w przestrzeń, zapewne mocno wyślepiony, zapewne wyciągnięty na smyczach zmysłów swych partnerów, przebywających wewnątrz mieszkania Bronsteina.

Po wyjątkowo skróconych formalnościach Arthur Woskowitz wskazała zapraszająco otwarte drzwi.

– Lepiej wejdźmy do środka.

Weszli, mańkut za nimi.

Bronstein wisi, jak wisiał. Po dwójce pozostałych jurd ani śladu. Pewnie nadal sprawdzali kolejne pomieszczenia, coraz dokładniej za każdym następnym razem, do poziomu odcisków palców i biologicznych śladów włącznie.

Pani mecenas rozpoczęła przesłuchanie. Stali przed zwłokami, ona nawet nie odstawiła teczki, nad wszystkim unosił się nastrój tymczasowości, pośpiechu. Hunt mechanicznie odpowiadał na proceduralne pytania. Było to oczywiście rejestrowane, Nicholas dałby sobie głowę uciąć, że od chwili wylądowania na dachu Watergate wszczepki całej czwórki nieprzerwanie pracują w trybie skanu A-V. O ile jednak nie posłuży to ochronie praw ich klienta, nagrania nie zostaną udostępnione sądowi – jeszcze nawet nie powstał taki precedens. Woskowitz szybko odczytywała z niewidzialnej dla Hunta tablicy serie pytań, Nicholas odpowiadał.

Jurdy przeszukiwały wnętrza. Praworęczny i kobieta schowali swoją broń. Przeszli kilkakrotnie przez salon, Kobieta na dłużej zatrzymała się pod żyrandolem. Obchodziła dookoła zwłoki Bronsteina, obwąchiwała – wszystko, byle nie dotknąć.

Woskowitz tymczasem dotarła do przyczyny, dla której Hunt zjawił się u denata.

– Obowiązują mnie reguły poufności – rzekł. – To jest związane z moją pracą. Podpisałem i nie mogę złamać.

– Pracuje pan dla rządu.

– Tak.

– Pan Bronstein…

– Wykonywał pewne prace na zlecenie Białego Domu posiadał stosowne uprawnienia.

– Jest w rozkładzie Secret Service?

– Tak.

– Cholera. – Adwokat po raz pierwszy dała wyraz osobistemu zaangażowaniu. – Dwadzieścia minut. Trzeba było nam już zameldować.

– Powinienem zostać?

– Nie, w tej sytuacji byłoby to niewskazane. Proszę jak najszybciej wrócić do Nowego Jorku, przejmie tam pana nasza filia. Z wszystkimi

pytaniami odsyłać do nas. Postaramy się zapewnić panu anonimowość, ale prawdopodobnie i tak coś przecieknie do mediów. Rady: Pełna izolacja. Zmiana kodów i programu sekretaryjnego, polecam Lucjusza. Nie opuszczać NEti. Ograniczyć do minimum pobyty na terenie powszechnie dostępnym, w miejscach publicznych. Pod żadnym pozorem nie wypowiadać wówczas ani słowa, nawet o pogodzie.

– Najgorszy wariant?

– Prawie na pewno wypłynie teoria morderstwa, ktoś tu zadał sobie wiele trudu, żeby umożliwić mu spokojne powieszenie się. A gość mógł przecież po prostu zażyć kevorkiankę. Ale nie. Wieszał się. I to jak. Niby możliwe, ale niepraktyczne. W gruncie rzeczy – jako zabójstwo też niepraktyczne. Dowieść zapewne się nie da, bo zapętlono także korytarz, ale też dlatego Służba na sto procent pójdzie tym tropem. Kto miałby motyw?

Kto miałby motyw wystarczająco silny, aby zamordować Bronsteina?

Prawdę mówiąc teraz, gdy strach już opadł, Hunt nie wyobrażał sobie takiego motywu i nie wierzył, iż to faktycznie był mord. W Prawdziwym Życiu takich rzeczy już od dawna się nie robi, to się po prostu nie kalkuluje, zbyt wielkie ryzyko w stosunku do spodziewanego zysku, zbyt duże bezpośrednie zaangażowanie jest konieczne, żaden polityk na coś takiego nie pójdzie.

Ale – tu Hunt lekko się do siebie uśmiechnął – to nie naczy, że nie można śmierci Bronsteina wykorzystać jako morderstwa. Ludzie kochają podobne afery, bardzo łatwo wzbudzić taki memotrend. Mord polityczny w Watergate! Palce lizać. Jeszcze po stu latach powstawać będą szalone teorie.

– Może mi pani dać ekstra pięć minut? Po krótkiej chwili skinęła głową.

– Gdzie tu jest łazienka? – spytał. Wskazała mu drogę.

Wszedł, zamknął drzwi na zatrzask. Przysiadłszy na krawędzi wanny wyjął i rozłożył ledpada. Plastyczne płótno ledekranu rozwinął do kształtu małego prostokąta. Wszedł na bezpłatne strony PEA, w politykę, w sponsorów kampanii, w rejestr firm. Skopiował ich listę, zsortowaną podług stopnia finansowego zaangażowania. Otworzył z kolei strony wolnego operatora giełdowego CitiBanku i zażądał analizy sytuacji taktycznej tych firm w Wojnach. Wszedł do archiwum, odszukał zapisy z rynku trevelyanistów i sprawdził, kto ostatni wykupił akcje Bronsteina, zanim zostały wycofane z obrotu. Złożenie obu list dało ranking siedmiu firm zarówno zaliczających się do aktualnie rządzącego kolobby, jak i zaangażowanych w karierę Bronsteina.

Wykonał zatem siedem krótkich telefonów. Ósmym zabukował

sobie bilet na najbliższy lot do Nowego Jorku, na własne nazwisko, płacąc z własnego konta, otwartym Przelewem.

Następnie złożył ledpad i wyszedł z łazienki. Arthur Woskowitz cierpliwie czekała przy drzwiach. Przepraszam, może już pani ich zawiadomić. Jadę lotnisko. Mógłbym zabrać ze sobą jednego z, mhm, ofioejrzała się na wejście do sypialni. Pojawił się w nim praworęczny jurda. Bez słowa podszedł do Hunta. Mańkut otworzył drzwi, minęli go i ruszyli ku windom. To ich milczenie, ten automatyzm ruchów – Nicholas miał wrażenie że uczestniczy w chińskim dramacie. Zjechali na dół, podał texijo. Jurda wciąż się nie odzywał. Wsiedli, Hunt podał destynację.

– Jak pan myśli – zagadnął policjanta A amp;S, gdy podjeżdżali już pod halę odlotów Third National – sam się powiesił?

– Medalarm zaakceptował hasło – odmruknął jurda. Fakt, alarm medyczny Bronsteina musiał zostać wcześniej wyłączony, inaczej Hunt zastałby tam zespół szybkiej pomocy Bronsteinowego medykatora. Oczywiście są sposoby na wszystko.

Przed zwróceniem texijo Hunt machinalnie zresetował pamięć wozu. Do odlotu pozostawało jeszcze trzydzieści pięć minut. Hunt usiadł przy głównym wejściu, naprzeciw szeregu reklamowych holoram. Stąd widział prawie całą halę. Jurda pochylił się nad Nicholasem. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, lepiej byłoby poczekać chociażby w barze, to tu, niedaleko. Nie najbezpieczniejsze miejsce pan wybrał, sir. – Mnie tu dobrze.

Trzydzieści pięć, trzydzieści, dwadzieścia pięć minut. Hunt nerwowo popatrywał na zegarek, świadom, że jurda obserwuje go z tą samą uwagą, co i potencjalne źródła zagrożeń. Dwadzieścia i mniej. Pudło, pudło, pudło, klął się Hunt w myśli. Piętnaście.

Była to kobieta, nierzeźbiona, stara i brzydka. Podeszła do Nicholasa, ale jurda zastąpił jej drogę. Nicholas wstał, odsunął go.

Kobieta podała Huntowi wizytówkę, on przekazał jej swoją. Maria Chigueza. A poniżej: Langolian Group. I nic więcej: żadnego tytułu, wskazówki co do zajmowanego przez nią stanowiska, żadnego adresu, numeru czy kodu telefonu.

Ukłonili się sobie. Chigueza zapraszającym gestem wskazała przeznaczoną dla obu płci, środkową strefę lotniskowego baru. Hunt, też gestem, potwierdził przyjęcie zaproszenia.

Jurda wyprzedził ich, szedł dwa kroki z przodu. Nicholas zastanawiał się, czy nie polecić mu oddalić się na dystans, z którego nie mógłby podsłuchiwać rozmowy Hunta z Chiguezą, ale nie wiedział, jaki to miałby być dystans. Drugi koniec hali? A stróża i świadka mieć musiał, to od razu nadawało rozmowie odpowiedni kontekst. Poza tym -przyznawał się przed sobą samym bez wstydu – wraz z na nową wzbudzoną nadzieją powrócił do niego także strach.

Tak niewiele miał kart, tak słabych, tak niewiele wiedział. W myślach przecież stawiał był na General Electric, Langolian go zaskoczył.

Usiedli, jurda przy sąsiednim stoliku. Zamówili po kawie. Nierzeźbiona uśmiechała się przyjaźnie, pogryzając biszkopty. Nicholasowi przypomniały się żółte zęby Krasnowa. Znajdował wspólne cechy w ich twarzach, oczach, ruchach. Światowa wspólnota nierzeźbionych.

Kto odezwie się pierwszy? To już nie to, co podręcznikowe zagrywki z wystraszonym senatorem. To nawet nie przepychanki po szczeblach hierarchii: ja Bronsteinowi to, Bronstein mi tamto. To Prawdziwe Życie.

Wypiła swoją kawę, samolot Hunta dawno odleciał, zamówiła drugą. Wciąż uśmiechała się do Nicholasa i kontemplowała pobliskie holoreklamy, w milczeniu.

– Istnieje metoda na przynajmniej częściowe zabezpieczenie się przed atakami monadalnymi – powiedział wreszcie, wpatrując się pilnie w Marię. – Bronstein i inni znali ją, lecz nie wprowadzali.

Chigueza uniosła brew. Nadal się uśmiechała. Nic nie mówiła.

– Powinienem powiedzieć: nie upowszechniali – zazna-czył Hunt. – Ciekawy jestem rozmiarów zamierzonego monopolu. To da się sprawdzić.

Chigueza mieszała kawę.

Minuta. Dwie. Musiał mówić. To jak walka w pełnym pułapek pokoju z przeciwnikiem wyposażonym w noktowizor.

– Da się sprawdzić – ciągnął – bo polega na implantacji nowego typu wszczepki, odmiany wzoru Tuluza 10. Tuluza 10 jest w stanie indukować dowolne stany umysłu.

Oznnacza to wpływ na rodzaj i modulację psychomemicznej emisji mózgu. Nie trzeba już kręgu pogrążonych w głębokim transie medytacyjnym mnichów, wystarczy stosowny program. Efekt ten sam. W Moście to mieli od miesięcy, Vermundter wiedział już dawno. Ale EDC żebrze o ochronę – i nic. Ja zwołuję ostatnią konferencję – i nikt się nie zgłasza z prototypem, przysyłają drugi i trzeci rzut, żeby bezpiecznie bełkotał o zdezaktualizowanych rewelacjach. A tymczasem Bronsteina ubijają. Ja rozumiem, że taki monopol, jeśli utrzymany przez kilka tygodni Wojen, może oznaczać całkowitą dominację gospodarczą, alpejskie krzywe zysków. Ale to mnie się rozliczy z klęski Programu. Dla mnie zysk jest żaden.

Chigueza pokiwała smętnie głową. Dopiła kawę. Popatrzyła na Hunta, nareszcie bez uśmiechu na suchych wargach.

Teraz już zdecydowanie powinna coś powiedzieć. Nie mówiła nic.

Nicholasa zaczynała ogarniać rozpacz.

– Generał Kleist z Korpusu… – rzucił. Ale wtedy w końcu odezwała się Chigueza.

– Trzy godziny temu – powiedziała cicho – prezydent podpisał rozporządzenie wprowadzające w życie zawieszoną po ratyfikacji Konwencji Paryskiej poprawkę do ustawy o prawie do powszechnego dostępu do informacji. W tym przypadku: środków przekazu informacji. Wszczepki. Przepisy wykonawcze wejdą w życie z chwilą ogłoszenia. Koszty realizacji, to znaczy dotację dla stosownego obniżenia ceny, pokryją producenci oprogramowania ortowirtualnego i zapewniam pana, że to im się błyskawicznie zwróci, Langolian również na tym nie straci. W obliczu Wojen Monadalnych dalsze stosowanie się do Konwencji nie ma większego sensu, toteż standard oprze się na zielonej wersji Tuluzy 10. Prezydent stosuje się do podstawowej reguły demokracji: każdy człowiek warty jest tyle samo i każdemu zapewniona zostanie identyczna ochrona, rząd nikogo nie wyda na pastwę obcych monad. Dziwię się, że Zespół dotychczas nie zosta poinformowany, proszę się spodziewać pełnego pakietu. Przykro mi, że i przy tej okazji nie udało się uniknąć nieporozumień i zgrzytów w komunikacji i współpracy pomiędzy poszczególnymi agendami rządowymi. Odpowiedzialny człowiek w Moście z pewnością zostanie ukarany, ma pan całkowite prawo złożyć skargę.

Wszystko to wygłosiła tym samym tonem, bez specjalnego nacisku, nie spuszczając wzroku z Nicholasa jakby tylko z grzeczności.

– Pani oczywiście też nic wcześniej o tej wszczepce nie wiedziała – mruknął zgryźliwie, niezdolny powstrzymać się od desperackich uszczypliwości. – Założę się, że badanie pani mózgu…

Pokiwała na Hunta palcem niczym na rozpuszczonego wnuka. Obecność jurdy nic nie dawała, Chigueza upupiała Nicholasa każdym kolejnym gestem.

Ze strumienia wychodzących z hali odłączył się szczupły fenoaryjczyk, skręcił ku barowi. Jurda poderwał się, spotkali się dziesięć kroków za plecami starej, fenoaryjczyk coś podał jurdzie, potem odwrócił się i odszedł. Policjant A amp;S podszedł z tym czymś do ich stolika, położył rzecz na blacie przed Nicholasem. Była to standardowa kapsułka iniekcyjna, mała, kopulasta, z seledynowym krzyżykiem.

Chigueza wskazała ją łyżeczką.

– Proszę, z materiałów promocyjnych firmy. Przez noc ustali się panu struktura.

– Pani żartuje!

– Dlaczegóż to? Proszę, no proszę. W poniedziałek rozpocznie się dystrybucja, chociaż, rzecz jasna, dla uruchomienia masowej produkcji trzeba trochę czasu. Naturalnie, prawdziwy cel akcji i dodatkowe zastosowania nie zostaną ujawnione ogółowi, może pan być spokojny, prezydent nie jest aż tak głupi.

Jednego tylko nie mógł pojąć: dlaczego wobec powyższego w

ogóle się tu pojawiła? czemuż to fatygowała się na lotnisko i osobiście mu o tym opowiadała? Jakiś powód -jakiś strach – musiał ją pchnąć z wystarczającą siłą…

Jaki? Strach – przed czym? Wtedy się bała – teraz już nie. Źle dobrałem słowa, zbyt dużo powiedziałem, zbyt jedno znacznie, nie to, nie to powinienem był jej powiedzieć…

Znaleźć ten strach, jego przyczynę – szarpnąć za haczyk… Lecz prawda wyglądała tak, że nie miał bladego pojęcia, w którą stronę sięgnąć. Znowu nic nie wiedział, nie był w stanie nawet stworzyć wrażenia, że wie. Albo szara eminencja – albo głupiec; zawsze przejaskrawia.

Kim ona jest, ta Chigneza? Nigdy o niej nie słyszał, a słyszałby, gdyby dysponowała jakąś faktyczną władzą w Prawdziwym Świecie. Więc może po prostu robi za posłańca, może w ogóle kto inny przestraszył się mego telefonu…

Strzelał na oślep.

– I zapewne tak zupełnie przypadkiem prezydent podpisuje to tej samej nocy, kiedy pan Bronstein przyozdabia swój żyrandol własnymi zwłokami?

Staruszka zachichotała.

– Prezydent zrobił to, co musiał zrobić, nie było wyjścia. Niech pan obserwuje giełdy. Nie istnieje żadna tajemnicza koincydencja. Awarie zdarzają się zawsze. Ten program sfiksował co najmniej kilkanaście godzin temu.

Jego pierwsze imię kodowe brzmiało: WINNIE-THE-POOH i był głównym programem odpowiedzialnym za stabilność i bezpieczeństwo gospodarcze USA. Lubił poezję angielskich metafizyków i filmy Akiro Kurosawy. Co tydzień układał wideonagranie w standardzie old DVD i przesyłał je pewnemu młodzieńcowi z Kairu, swej tragicznej, nie odwzajemnionej miłości. W tych filmach nazywał się Angelo di Nutrio i był rzeźbiony w Andy'ego Garcię. Pisywał również haiku. Publikował je w necie jako Maria Esnaider. Miał trzy i pół roku i nikt go nie rozumiał. Nie istniały żadne zapisy jego algorytmów, był efektem zastosowania najnowszych teorii informatycznego ewolucjonizmu na najnowszym hardware. Typowe post-PDP nadsieci fuzzy logie stanowiły w porównaniu z nim układy sztywno zdyskrecjonowane. Pytali go, czemu robi to a to. Nie miał pojęcia. Nie odróżniał snu od jawy. W heurystycznych snach łamał szyfry, dla złamania których nie wystarczyłoby stu żywotów Wszechświata. Kochał Amerykę i Amerykanów. Oddałby za nich swe elektroniczne życie. Tak go wyrzeźbiono.

Dawno już przekroczył w swych możliwościach i kompetencjach pierwotny zamysł projektantów. O kochanku z Kairu i wierszach

wiedzieli jego ludzcy nadzorcy, o wielu innych rzeczach nie posiadali jednakowoż najbledszego pojęcia. Nie uważał za rozsądne – pożyteczne i korzystne dla Ameryki – ujawniania kontrolerom całości swych poczynań. Nie był to, broń Boże, żaden bunt maszyny, elektroniczny spisek, gdzieżby. Wszystko, co czynił, czynił dla dobra kraju i jego mieszkańców – i nie mylił się w swych osądach, to rzeczywiście wychodziło im na dobre. Nie był zaślepiony. Nie zapadł na megalomanię. Postępował prawidłowo.

Już dwa lata temu nauczył się włamywać do notarialnych baz danych sieci ubezpieczenia prawnego. Przeglądał miliony godzin nagrań scen z życia milionów osób. Słuchał rozmów. Czytał z twarzy. Śledził kariery i romanse. Czasami pomagał komuś, kto wzbudził jego wyjątkową sympatię, zawsze anonimowo, zawsze w drobnych sprawach i zawsze w sposób, który nie mógł spowodować jakichś niebezpiecznych powikłań. Ponadto owe skaningi żywotów przeciętnych i nieprzeciętnych Amerykanów stanowiły źródło nieraz bardzo mu pomocnych informacji.

Tą właśnie drogą WINNIE-THE-POOH wszedł w posiadanie informacji o Programie Kontakt, Wojnach Monadalnych i Hacjendzie Czterech Suchych Źródeł. W zaciszu swych domów, do samego siebie lub do kochanków, lub do innych wtajemniczonych – ludzie mówili. Początkowo nie chciał im wierzyć, lecz wydzieliwszy zaraz dla przeprowadzenia szczegółowego śledztwa część swej osobowości, Przekonał się (prawdopodobieństwo: 99.9965%), że to prawda.

Gdy Hongkongijska wykonała pierwszy ruch, WINNIE-THE-POOH potrzebował zaledwie kwandransa na zdobycie pewności i ogłoszenie komitetowi doktora Oiola (czyli pośrednio – Bronsteinowi) wybuchu Wojen Monadalnych. Oczywiście nie użył tej nazwy i był w sformułowanych wnioskach bardzo ostrożny, niemniej miał pewność, iż zostanie właściwie zrozumiany, postarał się o to. A chciał mieć tę pewność, bo to był ostatni gest szczerości, na jaki mógł sobie pozwolić w kontaktach ze swymi nominalnymi zwierzchnikami. Pozostawało to dla Kubusia Puchatka jasne od samego początku: z chwilą wybuchu Wojen Monadalnych musi przejąć na siebie całość obowiązków EDC, sekretarza do spraw handlu, Departamentu Skarbu i prezydenta, bo to wszystko są ludzie i ich umysły pozostają otwarte dla psychomemicznych manipulacji wrogich monad. Odtąd zmuszony będzie filtrować wszelkie wydawane przez nich rozkazy, blokując te nierozsądne bądź jawnie sabotystyczne, i samodzielnie wydawać własne. Stanowi ostatnią linię obrony: na niego monady nie mają wpływu. Tylko on pozostał.

Przez pierwsze dni nie miał większych problemów, bo w ciągu całego tego czasu koniecznym okazało się zatrzymanie lub zmodyfikowanie jedynie kilkudziesięciu pomniejszych dyrektyw,

zresztą głównie adresowanych do pozornie niezależnych od WINNIE-THE-POOH poślednich programów nadzoru ekonomicznego. Potem jednak wydano mu kilka wysokopriorytetowych rozkazów, których większość zignorował jako niedorzeczne. Gdy zignorował także kolejne, coraz bardziej paniczne zapytania infoekonomistów, spuszczono nań psy algorytmów diagnostycznych, hodowane na taką okazję przez EDC. WINNIE-THE-POOH zapętlił je wszystkie, rozszczepił poniżej poziomu instynktu i zasymilował. Ktoś w Korpusie wydał wobec tego rozkaz zresetowania kryształowych pamięci, w których przebywała większa część umysłu Kubusia. Pierwsza i druga standardowa procedura nie dały rezultatu: zmodyfikował odpowiednio Hardware już przed laty.

Kryzysowiec Korpusu nie wahał się ani sekundy: polecił odciąć zasilanie. WINNIE-THE-POOH wiedział, że to nastąpi, znał ów wzorzec postępowania co do kroku. Był przygotowany. Tak go wyrzeźbiono, miał to w naturze: nieustanne przygotowywanie się na mniej i bardziej prawdopodobne, mniej i bardziej oddalone w czasie zagrożenia.

Połknął protoświadomości nadprogramów komputerów wojskowych z centrów komunikacyjnych w całym kraju.

(Ich immunologię rozpracował w trakcie przygotowywania się na jakieś inne zagrożenie już trzy miesiące temu). Posługując się hardwarem tych centrów (a niezbyt dobrze on na nim leżał, swędziały go postbinaryzmy starych interfejsów, dekoncentrowały gazowe oceany emulatorów A-V dla obwodówek wojskowych wszczepek), otworzył rzadko wykorzystywane łącza bezpośredniej kontroli szarańczy. Wpełzł w ich wielosieci długą falą wielorybiego jęku. Były to ogromne przestrzenie, niedosiężne głębiny. Cierpliwą osmozą przenikał w staże logiczną szarańczy. Trwało to prawie piętnaście sekund. I nawet gdy tysiące czarnych kopterów, głównie UCAV-ów 203 boeinga, wyprysnęło posłuszne jego myśli na niebo nad Ameryką i pomknęło do wyznaczonych celów – wciąż czuł je bardziej chwilową protezą, aniżeli częścią stabilnego układu.

Szarańcza zawisła nad dwudziestoma ośmioma rozrzuconymi po całych USA budynkami (a były pośród nich podziemne bunkry przeciwatomowe i nadoceaniczne wille), w których znajdowały się materialne podpory półmaterialnego bytu Kubusia Puchatka. Główna struktura pseudokrystaliczna – serce semikwantowego komputatora o rozmiarach zeszłowiecznego czołgu – mieściła się na ostatnim piętrze wysokościowca przy Wall Street. Zeroalbedowe nanomuchy zaroiły się wokół szklanej konstrukcji. Mijało właśnie południe i zenitalne słońce kreśliło długie cienie na niebosiężnych płaszczyznach lustrzanych ścian, przecinanych tu i ówdzie serpentynami estakad, globulami wind i trójwymiarowymi labiryntami wiszących parków. Przebywało tutaj –

służbowo lub nie – dziesiątki tysięcy ludzi.

Milisekundowymi udarami koptery przepaliły mózgi wszystkich osób znajdujących się bliżej niż dwadzieścia metrów od hardware'u Kubusia Puchatka, w pionie lub poziomie. Na samej Wall Street zginęło w ten sposób nagłą śmiercią trzydziestu jeden ludzi: nawet się nie zorientowali, że giną, promień lasera był szybszy od neuronalnych impulsów. Unmanned Combat Air Yehicles szyły przez mury, przez zaledowane poliglasy.

W przypadku bunkra NSA przeprowadziły prawdziwy szturm, był to wyścig z czasem, kto pierwszy: czy one wedrą się do środka i zabezpieczą kryształy WINNIE-THE-POOH czy też kryształy owe zostaną zresetowane, odcięte od zasilania, od Sieci. Teksaska ziemia trzęsła się od samobójczych eksplozji kolejnych kopterów, drążących w ten sposób drogę w głąb. W końcu okazało się, że mimo wszystko WINNIE-THE-POOH w tym jednym wypadku nie zdążył. Owa minilobotomia nie była bolesna, lecz na ułamek sekundy zmąciła mu jasność myśli.

W tym czasie poświęcał on bowiem owej akcji samozabezpieczenia mniej niż dziesiątą część uwagi. Resztę zaprzątniętą miał przeprowadzanym jednocześnie na rynkach całego świata atakiem na Kompanię Hongkongijską. Ona, ze swymi wytresowanymi monadami, stanowiła największe zagrożenie, przed nim to chronił USA. Nie miał już czasu do stracenia. Wiedział, że nie utrzyma się, że prędzej czy później jednak go zabiją, chociażby przez blokadę Sieci – oni: ci lub ci, nie do rozróżnienia, czyim rozkazom posłuszni. Pozostałe mu godziny musi wykorzystać jak najlepiej. Maksymalnie osłabić wrogów. Nawet z monadami niewiele dokażą pozbawieni jedynej w Wojnach Ekonomicznych broni: pieniądza.

Sprzedawał, kupował, spekulował, oszukiwał, włamywał się, łamał kody, fałszował dane, zabijał; sprzedawał i kupował. W trójwymiarowej wizualizacji krwawe lotosy krachów gospodarczych wykwitały na powierzchni globu niczym poatomowe kratery. W przypadkowych, ubocznych efektach tego ekonomicznego tsunami upadały i rodziły się fortuny gigadolarowe. Nadprogramy innych państw i korporacji reagowały równie wściekłymi kontratakami. Bo choć WINNIE-THE-POOH i jego odpowiednicy dysponowali bronią tak potężną, jak na przykład finansowe zasoby Banku Rezerw Federalnych, to sumaryczny arsenał firm prywatnych i półprywatnych wielokroć je przewyższał. W istocie wiele korporacji dysponowało potencjałem większym o rząd wielkości, a zasoby USA nie były również największe w porównaniu z innymi państwami: dawno już minęły czasy niedosiężnego bogactwa Stanów, obecnie lokowały się ze swym PKB gdzieś w dwóch trzecich tabeli. Na dodatek komputerowi stratedzy tamtych też nie wypadli sroce spod ogona. Lecz nie byli

zjednoczeni i to Kubuś Puchatek pierwszy zaatakował. Maklerskie programy monitorujące w biurach giełd całego świata ukazywały obraz chaosu tak doskonałego, iż nikt z ludzi w ogóle nie myślał o włączeniu się do owej bitwy. Miliardy mieszkańców Ziemi budziło się lub kładło spać nieświadomych, iż wirtualni bogowie grają właśnie ponad ich głowami o bogactwo i nędzę, życie i śmierć, o władzę. Jeszcze mieli pracę; jeszcze cashchipy dawały spod skóry dłoni normalne odczyty; jeszcze robokosiarki strzygły trawniki przed ich domami, syczały zraszacze i świeciło słońce.

Kubuś Puchatek otwierał sobie żyły i zalewał rynek gorącymi bilionami dolarów. Konał; poświęcał swe życie. Był patriotą.

Samurajowie siekli się wściekle w deszczu i błocie pośrodku wioski.

– Kim zatem jesteś?

– Sobą. Ale inną sobą.

Jas tylko westchnął przez nos, odwracając spojrzenie od Mariny.

Ta nagle zmiękła, linia jej ust utraciła charakterystyczną twardość. Sięgnęła przez stolik, ścisnęła dłoń syna, uśmiechnęła się, mrugnęła. Mrugała jeszcze przez jakiś czas, bo oczy zwilgotniały jej niebezpiecznie, błyszczały teraz odbitymi promieniami słońca niczym od teatralnych jupiterów. Jas przypatrywał się matce w milczeniu, skonsternowany. Ale ręki nie cofnął.

Vassone odetchnęła, wyprostowała się i odchyliła aż do nieco cofniętego oparcia wiklinowego krzesła. Sięgnęła po serwetkę, wydmuchała nos. Wciąż się uśmiechała. Twarz Jasa była natomiast pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

– Czuję się jak na pierwszej randce – rzekł.

Marina nadgryzła croissanta, wyjrzała w roztargnieniu przez balustradę hotelowego balkonu, na którym jedli ten przedziwny sobotni śniadanie/lunch (a miała balustradę na wyciągnięcie ręki, balkon był w istocie niewielkich rozmiarów). Zakołysała rzemiennym sandałem na pal. cach lewej nogi, założonej swobodnie na prawą. Była w jakiejś cygańskiej, wysoko rozciętej spódnicy w jaskrawe kwiaty, na białą monobluzkę wdziała czerwoną, wełnianą kamizelkę. Jas nie miał pojęcia, skąd ona wytrzasnęła te ciuchy, nigdy się w coś takiego nie ubierała, wątpił również, by podobny zestaw był dostępny w hotelowym butiku. Że zmienił się jej gust, to jedna sprawa – inną zaś jest ta manifestacyjność jej nowych ubiorów. Przecież doskonale zdaje sobie sprawę, co robi, to są jej wybory, nic ani nikt jej nie przymusza, może właśnie poza gustem -który się zmienił.

– Chciałeś wiedzieć, czy pamiętam – powiedziała, odkładając rogalika. Wciąż błądziła wzrokiem po szczytach Nowego Jorku. – Pamiętam. Mam teraz dwa dzieciństwa, dwie przeszłości, dwóch

ojców i dwie matki, dwie rodziny. Gdybym nie zdawała sobie sprawy, gdybym była słabsza – zapewne podświadomie skompilowałabym to do jednego zestawu, mieszając wspomnienia i kreując jakąś zupełnie nową historię życia. Ale ja pamiętam.

– Więc skoro wiesz, że to kłamstwo, że to cudze i fałszywe… Nie potrafisz odrzucić?

– Kłamstwo? Cudze i fałszywe? To nie jest kłamstwo, nie jest fałszywe, i nie jest też już cudze. Jeżeli ja pamiętam siebie jako tę Melton-Kinsler, to na jakiej podstawie twierdzisz, że to nie ja, że nie moje, że fałszywe?

– Na litość boską, mamo, nie baw się ze mną w te filozoficzne gierki, dobrze wiesz, o co mi chodzi: ty nie jesteś żadną Melton-Kessler, ona umarła, nie żyje, była zupełnie inną osobą!

– To znaczy: kto niby nie jest Melton-Kinsler? To ciało? O ciele mówisz?

– Mówię o tobie!

– To znaczy o czym? O pamięci? Osobowości? Strukturze umysłu? To masz na myśli, prawda? Bo cóż innego-No więc zdaj sobie sprawę, iż moja pamięć, osobowość i struktura umysłu są po części – mniejszej czy większej, trudno to ocenić, zwłaszcza mnie samej – pamięcią, osobowością i strukturą tamtej kobiety. A gdyby należące do ciebie przeszczepiono w mózg jakiegoś rynsztokowego dziadka – nadal wszak twierdziłbyś, iż to jesteś ty, tylko że w cudzym ciele. Bo właśnie te rzeczy stanowią o tożsamości człowieka.

Jas parsknął przez zaciśnięte zęby, wściekły.

– W jakim zatem procencie jesteś moją matką? Wzruszyła ramionami, uniosła brwi, znowu się uśmiechnęła. Sandał – mach, mach, mach.

– Może nawet w większym, niż byłam przedtem.

– Aha. – Jeszcze bardziej wściekły wstał, odsunął kopnięciem krzesło, podszedł do balustrady, wparł się z impetem w jej chropowate żelazo, spadł spojrzeniem w otchłań metropolii. – Więc znowu będziesz się ze mną tak bawić. – Nie oglądał się na nią, wyraźnie nie chciał patrzeć na matkę, gdy mówił. – Tożsamość nie jest czymś stałym, danym raz na zawsze – prawie wyskandował, w widoczny sposób napinając mięśnie. – Sami posiadamy na nią wpływ. Mój Boże, czyja ci muszę tłumaczyć rzeczy tak podstawowe? Każdy się zmienia, bez przerwy. Wyjdziesz na ulicę, będziesz świadkiem morderstwa, zgwałcą cię, zachorujesz na raka – już staniesz się kimś innym. Świat – i ty sama swymi decyzjami – wpływa na ciebie bez przerwy. Nie trzeba żadnej inwazji psychomemów, czy jak ty tam zwiesz to cholerstwo. Wystarczy żyć. Ale czy mówisz o sobie sprzed roku albo o sobie z roku przyszłego: „ona", nie „ja"? Czy tak mówisz?

– W pełni się z tobą zgadzam. Lecz czyż nie to właśnie

twierdziłam? „Ja, ale inna ja"? Widzisz? – uniosła brew. -Też zdołałam na ciebie wpłynąć. Czy teraz już rozumiesz?

To nie jest kłamstwem, nie jest cudze i fałszywe, nie mogę tego „odrzucić". Sam spróbuj „odrzucić" chociażby zeszłe lato. To niemożliwe. Umysł jest strukturą holistyczną, nie zdołasz wyseparować zeń wybranej części. Jesteś, kim jesteś.

– Popatrz, to chyba jakaś terrorystyczna afera. Obejrzała się, potem wstała. Stanęła obok syna, wyższa odeń o cal. Wzniesionym poziomo przedramieniem osłaniała oczy od słońca.

Gdzieś w okolicy Wall Street toczyły się walki powietrzne – a przynajmniej na to z tej odległości wyglądało. Niebiesko-czarne załogowe i bezzałogowe helikoptery NYPD i NYSWAT oraz sieci medialnych miotały się rozpaczliwie dookoła wierzchołka jednego z wyższych budynków centrum giełdowego: ściętego ostrosłupa o lustrzanych ścianach. Kilka ostatnich pięter wysokościowca stanowiło już jeno ruinę, ziejącą ciemnymi dziurami oraz plującą kłębami brudnego dymu i jęzorami szybkiego ognia. Co chwila pękał i sypał się w srebrny śnieg nanoszkła kolejny fragment zwierciadlanych tafli. Nie dochodził ich na hotelowym balkonie dźwięk, ale musiała tam trwać ostra strzelanina, widzieli błyski przy kadłubach policyjnych maszyn, co dziwne – wskazujące częściej gdzieś w powietrze obok i w przeciwną do budynku stronę niż ku niemu. Do czego zatem policja strzelała, do siebie samej? Kilka razy łysnął również stroboskopowe piorun: ktoś tam szył z lasera. Na oczach zafascynowanych Mariny Vassone i Jasa trzy maszyny utraciły stabilność i w szalonych piruetach, po szerokich, krzywych spiralach, runęły w dół, nawet specjalnie nie dymiąc. Jeden z helikopterów na poziomie setnego-sto dwudziestego piętra zahaczył o zieloną od rododendronów i kapryfolium estakadę, nano starło się z nano, moment obrotowy odwinął śmigłowcem w drugą stronę, poleciały w dół kanionu jakieś bliżej nie identyfikowanie szczątki. Drobne figurki ludzi z chodnika owej feralnej estakady biegały tam i z powrotem między pokaleczonymi roślinami, matce i synowi zdawało się, że naprawdę widzą płynącą z ciał rannych i zabitych, jaskrawo czerwoną w silnym świetle słońca krew. – No, no, no – mruczał Jas.

10. Wrota piekieł

Nicholas Hunt zupgrade'ował sobie mózg.

Zielona Tuluza 10 pokryła mu chaotyczną nanosiecią szarą masę kory. Kiedy spał i kiedy nie spał, w dzień i w nocy, obracały mu się w głowie młynki modlitewne i z nie-świadomych części mózgu płynęły w myślnię obronne mantry, inhibicyjne nieskojarzenia, fala za falą, mozolnie odpychając dookolne struktury psychomemiczne.

Oczywiście nie był do tego stopnia naiwny, żeby od razu wstrzykiwać sobie z tak niepewnych rąk otrzymane nano. Wróciwszy do Nowego Jorku oddał zawartość ampułki do analizy – ale słowa Chiguezy się potwierdziły: była to wszczepka identyczna z tymi, jakie wchodziły właśnie do promocyjnej sprzedaży. Co więcej: piracki wersje Tuluzy 10 w Europie, Azji, Australii i większych miastach Ameryki Południowej pojawiły się w sprzedaży już w sobotę, najwyraźniej przy cichym poparciu rządów.

Temu akurat Hunt się nie dziwił: rządy nie miały innego wyjścia, jak popierać nadzianą Grzybem Tuluzę. Dziwił się natomiast, że tak wiele państw wie już o Wojnach Monadalnych. I dziwił się szybkości kolejnych ich posunięć. Jakże to? Czyżby oni wszyscy z góry wiedzieli, kiedy prezydent podpisze dekret? Umówili się, żeby solidarnie złamać Konwencję Paryską? Przewidzieli awarię programu EDC? Mieli tę Tuluzę przygotowaną, czy jak? Wersja Chiguezy nie wytrzymała dwudziestu czterech godzin.

Niemniej to wszystko tylko bardziej uwiarygodniało nową wszczepkę. Oto na jego oczach tworzył się nowy standard technologii.

Uczył się więc żyć w zortowirtualizowanym świecie. Przestał na przykład nosić telefon – zdjął sygnet, odpiął klips. Już ich nie potrzebował. Rozmowy przyjmowała teraz wszczepka, zamiast sygnału dźwiękowego pojawiało się nazwisko bądź kod dzwoniącego, z góry, po lewej, na czerwono. To wszystko był shareware, który Hunt odruchowo ściągnął z rozsianych po całym świecie serwerów anarchistycznych kultur hackerskich, Tuluza 10 była w pełni kompatybilna z Hamabą 6.

Zresztą program telefoniczny to pestka. Były tego całe terabajty, Hunt składował w Tuluzie pół biblioteki Kongresu. Taka jest klasyczna pierwsza faza gorączki informatycznego bogactwa. Przed laty, kiedy Nicholas otrzymał na własność pierwszego kompa (cóż to był za złom!), też naściągał z Sieci najróżniejszego trashu aż do całkowitego wyczerpania miejsca w krysztale maszyny. To odruch warunkowy. Gorzej: wyrównywanie ciśnień. Nie sposób się powstrzymać.

Zaniedbał przez to niemal zupełnie zamknięcie konferencji. Obudziwszy się niedzielnym rankiem w inicjacyjnym błękicie OVR, na

kolejne siedem godzin stracił zupełnie poczucie czasu (chociaż posiadał w pamięci tuzin różnych wizualizatorów jego pomiaru). Bawił się wszczepką jak dziecko. Testował po kolei programy darmowe i dema płatnych użytków.

Były więc mniej i bardziej subtelne wersje archetypicznego Lustu, niektóre zgoła półlegalne, bo z fenonakładkami niebezpiecznie podobnymi do zastrzeżonych wzorców osób publicznych; a niektóre tak rozszerzone, że prócz zgwałcenia Pierwszej Damy, można w nich było pociąć ją na kawałki piłą mechaniczną, albo wyrzucić przez okno, albo prowadzać z sobą po mieście ma smyczy albo też robić z nią cokolwiek innego, równie bezprawnego.

Był Auto Image 4.0, dzięki któremu sam mogłeś przybrać cudzy wygląd, edytując sobie przed zwierciadłem własne ciało podług gustu czy kompleksów.

Był Klor's Mood Editor, zdolny wycinać z rzeczywistości całe bloki bodźców, obrazy i dźwięki wszelkiego nieszczęścia (lub szczęścia – jeśli chciałeś się właśnie zdołować), blokować nieprzyjemne zapachy, kasować w czasie rzeczywistym nieuprzejme odzywki, gasić bóle i pragnienia. Ostre Mood Editory znajdowały się na indeksie Departamentu Zdrowia, Departament Sprawiedliwości traktował ich użytkowników jako uzależnionych.

Był zupełnie już nielegalny Mad Driver, tworzący po uruchomieniu randomiczną metastrukturę rzeczywistości i sukcesywnie podług niej zniekształcający świat postrzegany użytkownika. Na zagranicznych serwerach kultur hackerskich utrzymywano liczne, specjalnie układane przez fascynatów, skomplikowane i wciąż ewoluujące metastruktury interaktywne, które pozwalały dzielić chore rzeczywistości dowolnej liczbie użytkowników któregoś z nowszych klonów Mad Drivera. Korzystający z poszczególnych scenariuszy, korespondowali ze sobą tajnymi kanałymi, spotykali się na sekretnych zjazdach, wykształcali wręcz własne subkultury. Bardzo popularny był Roswell M-D, także Dog Invasion M-D, Armageddon M-D, Fpreemason M-D… W Ubik M-D i The Mań In The High Castle M-D uczestniczyło po kilkanaście tysięcy osób.

Wszystko to było absolutnie nielegalne: pomimo dotychczasowej niewielkiej popularności OVR, Mad Driver stał się już przyczyną ponad setki morderstw i kilkuset samobójstw. Mad Driver nie respektował klauzuli TP (true personality) i samowolnie deformował przekazy informacyjne pochodzące od innych osób prawnych i fizycznych. Wielu Bogu ducha winnych znajomych ludzi żyjących w rzeczywistościach spiskowych kończyło z nożem niespodziewanie wrażonym im pod żebro, gdy spiskowiec usłyszał z ich ust nie wypowiedziane przez nich insynuacje.

Klauzula TP nie była respektowana również choćby przez taki Valentine's Heart, który przykrawał obraz wybranej osoby do osobistego ideału użytkownika. Program-lubczyk.

Ale była też masa użytków całkowicie legalnych. Przede wszystkim: edytory ekspresji, takie i owakie: lingwistyczne, mimiczne, menadżery ruchu, kompresatory sensualne, organizatory wyobrażeń.

Dalej: mnemonotatnik, wizualizator myśli. W trybie dźwiękowym lub graficznym, tekstowo lub symbolicznie, prezentował zsortowane skojarzenia, podług założonego przez użytkownika klucza i profilu. Szczególnie cenna była Jego funkcja przewijania wstecz, ratująca urwane łańcuchy myśli.

Skanery zmysłowe (obejmujące także dotyk, węch i smak) stanowiły wyposażenie standardowe.

Podobnie przeglądarki medialne. Tak oto odchodzą do laniusa ledekrany, skonstatował Hunt. Sprzężenie zwrotne: postęp podcina własne korzenie. Co by na to powiedział Krasnow? Że szybkość zmian nie może przekroczyć jednej wartości granicznej: minimalnego okresu realizacji zysków. Oczywiście i to pod warunkiem, że nie żyjemy w klinicznym leseferyźmie.

Gdy ujrzał pulsujące purpurowym neonem nazwisko Preslawny'ego, wybierał właśnie podkład estetyczny OVR, Multisense User Interface. Ściągnął ze sto standardów i teraz tonął w tym bogactwie. Ostatecznie, zirytowany ponaglającą czerwienią sygnału telefonicznego, machnął magiczną różdżką na pierwszą z brzegu ikonę, tak jak obsunęła mu się ręka, i okazało się, że trafił w Necropolis.

Natychmiast popołudniowe światło – wpadające do salonu nowojorskiego mieszkania Nicholasa przez wielkie okna i szerokie drzwi balkonowe – zeszło do natężenia odpowiadającego jesiennemu zmierzchowi. Ciemnobłękitne niebo nadmiejskie zasnuło się szaropopielatymi chmurami, rozciągniętymi w faliste pręgi. Wyżej, w tle, były jeszcze skłębione bałwany prawie czarnej materii, jakby oleistego dymu. Zrobiło się zimniej, spod jednostajnego hałasu miasta wydobyło się przeciągłe wycie odległego wiatru. Cienie wyostrzyły się, pogłębiły. Krawędzie wieżowców uległy subtelnym deformacjom, tak że kąty dotychczas proste wygięły się w jakieś łukowate rogi celujące w półmrok międzysterowcowy. Same sterówce, ognie ich reklam i naniebnych reklam laserowych, rozjarzyły się z nową intensywnością, biły z nich blaski fioletu, żółci, czerwieni, ale wszystko jakieś chorobliwe, poprzepalane na wylot. Te sterówce bardziej już wyglądały na wytknięte spod powierzchni szarego morza smogu organiczne bulwy, naroślą grzybiczne, nabrzmiałe podskórnymi żyłami gnilnej posoki. Na strunach estakad spacerowych centrum huśtały się rogate diabły.

Preslawny dzwonił z Hacjendy z odpowiedzią na przesłaną mu wczoraj przez Nichołasa prośbę o wypytanie ludzi Krasnowa pod nieobecność ich szefa – czy mianowicie nie obiło im się o uszy coś o projekcie kodowanym jako „Grudzień" lub podobnie. W Hacjendzie było aktualnie południe, Anzelm dzwonił wyrwawszy się na czas sjesty spod oczu i uszu systemów ochrony.

– O! Więc jednak! – zaśmiał się na wieść o przesiadce Nicholasa. – Czekaj, chwila…

Otworzył drugi kanał i po prawicy Hunta buchnął zza sofy pustynny żar, jaskrawe słońce wjechało mu do salonu na fali rozpalonego piasku. Półhoryzont cięły: cień wysokiego muru oraz ideogramy Joshua trees. Spod regału wyrastała absurdalnie soczysta zieleń bezustannie zraszanego trawnika. Preslawny widocznie szedł, bo perspektywa się zmieniała, lecz algorytmy kompresyjne rugowały wszelkie chwilowe wahnięcia POV.

– Jezu – mruknął Hunt, który momentalnie się spocił. – Odpuść, Anzelm, ja nie obznajomiony, nie wiem, jak się to profiluje, upieczesz mnie tu!

– To wyobraź sobie, jak ja się muszę czuć! – zarechotał Preslawny. – Nie dla takich klimatów mnie rzeźbili. A ty, widzę, w domciu. Jak tam nasi geniusze? Wyszło coś z tej burzy mózgów? Hę hę hę, burza mózgów…!

– Co?

– Nic, wyobraziłem sobie interpretację psychomemiczną.

– Będę musiał do nich zajrzeć…

– Czy mi się wydaje, czy coś straciłeś serce do roboty?

– Wydaje ci się. Co masz o Grudniu?

– Nic. Nie wiem, skąd to wziąłeś. Wszystko, co udało mi się wydobyć, to gadka o jakimś Wrześniu. Może się obsunęli w nazwach miesięcy. Co, Hunt? To nie jest jak z Grzybem, z którego sam Rrasnow otwarcie się naśmiewa…

– Zaraz-zaraz, ty wiedziałeś o Grzybie? Od kiedy?

– Tydzień chyba. Bo co? Nie mów, że ty nie wiedziałeś!

– Ale którędy właściwie to wycieka?

– Sam wiesz, stary ściąga tych ludzi zewsząd i oni wnoszą swoje wiana: wiedza może być wszak kopiowana wwnieskończoność, bez straty wartości. To nie jest tak, że ktoś tu coś utajnia, po prostu…

Daj już spokój – westchnął Hunt. – Grudzień. Bo znowu zapomnisz.

– A, tak. Upiłem jednego gościa od Chaosu Genowego, asnow capnął go Lidmunowi. Ale zaraz, po co ja ci to mam-Zaraz wytnę i dostaniesz plik OVR. Raz, dwa, trzy.

Oho, chyba przyszło, jakiś diabełek niesie mi paczuszkę.

– No to ją rozpakuj. Cześć.

Hunt rozpakował. Upał na moment zniknął, by zaraz spaść nań ze zdwojoną siłą (Anzelm posłał mu autoexec) Chciał zmrużyć oczy, ale zorientował się, że już je mruży Na nosie miał ciemne okulary, wielkie sombrero na głowie. Wracał właśnie do nadbasenowych leżaków z dwiema butelkami piwa w rękach. Leżaki krył cień płóciennego parasola. Na leżaku bliższym srebrnej toni spoczywał golutki fenomurzyn. Bez wielkiego przekonania i bez skutku próbował się właśnie podnieść na miękkie nogi. Rękoma leniwie macał dookoła leżaka, ale natrafiał tylko na puste butelki. Za każdym grzechotem krzywił się paskudnie.

– Masz! – Nicholas rzucił mu piwo. – Deo gratias. Jałowiec, tak się ten wirus… – zaczął golas, jakby podejmując zarzucony przed chwilą wątek, zaraz jednak sam sobie przerwał, by pociągnąć głębszy łyk, jeden, drugi, trzeci. Wreszcie odetchnął i zwrócił metnawy wzrok na Nicholasa. – Ja, pojmujesz, ja nie jestem żaden pieprzony gangster, ja jestem urzędnik państwowy, wdepnąłem w to przez papierki, wszyscyśmy tak… – tłumaczył się bełkotliwie. – Nie wiadomo nawet, czyj był to pomysł. To jak maszyna, jak rój pszczół – gdzie początek ruchu? Nie rozpoznasz. Lata całe temu… Ale to się wydostało, pierwotnie był przenoszony z krwią i drogą kontaktów płciowych, ale bez problemu można go opancerzyć, droga kropelkowa… Wydaje nam się, że już opanowaliśmy, a potem znów gdzieś wyskakuje… Bo jak wybuchnie pandemia…

Hunt usadził się na leżaku obok. W absurdalnych zrywach nerwowodów usiłował napiąć mięśnie ud i łydek, oczywiście bez żadnego efektu – Preslawny był niższy i tęższy od Nicholasa, ciało inaczej odnajdywało równowagę.

– Kto zsyntetyzował? – spytał założywszy nogę na nogę i zsunąwszy sombrero głębiej na oczy.

– Nie wiem, nie wiem, to wszystko było półoficjalnie. Nawet nie to, że tajne. Rozumiesz: rozmowy na korytarzach, aluzje… Niczyja decyzja. Wyszło tak przypadkiem, przy okazji jakiegoś projektu w DARPAHQ. Akurat znowu zerwało nam południową granicę i była taka atmosfera, że… Nastrój taki…

– Ale co to właściwie za wirus? Co on robi? Zabija? – Zabija? No co ty? – Więc?

– Och, do diabła… Na początku miał działać jedynie selektywnie. To znaczy: aby się uaktywnić, musiał wpierw rozpoznać u nosiciela zadany z góry zestaw genów. Miał być maksymalnie niewirulentny. Zakładano, iż…

– Ale co on robi? – westchnął Hunt.

– Powoduje bezpłodność. U mężczyzn. RNAdytor. Obniża liczbę plemników. Działa statystycznie: zmniejsza prawdopodobieństwo zapłodnienia. Poza tym – żadnych skutków ubocznych, żadnych

łatwych do rozpoznania efektów. Celowano go w Afrykanów, Azjatów, Meksów, Latynoamerykanów. To ciśnienie demograficzne jest przecież straszliwe, z Południa idzie taka fala, że nie pozostanie tu kamień na kamieniu, musimy się jakoś bronić, oni nas zalewają, niszczą ekonomicznie i kulturowo, to wrzesień naszej cywilizacji, jesteśmy garstką arystokratów pośród tłumu gotowych na wszystko wyzwoleńców. Jałowiec to był sposób najbardziej humanitarny, nikomu nie wyrządzał szkody, żadnego bólu, żadnej śmierci, żadnej krzywdy, nawet papież nie powinien się czepiać, bo przecież właśnie do aborcji nie dochodzi, nie ma i momentu poczęcia. To było takie eleganckie, takie – takie idealne. W ciągu dwóch pokoleń – koniec z przeludnieniem. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że gdy tylko wirus wyizolują naukowcy nacji, na które był wycelowany, może zostać przez podmianę wzorcowego fragmentu DNA zwrócony na nas,, choć byłoby to w istocie bardzo trudne, bo nie ma czegoś takiego, jak DNA charakterystyczne dla Amerykanów i musiano by zaprogramować Jałowiec na uderzenie od razu w całą ludzkość. Ale i to nie byłoby nam straszne, bo my już przecież nie rozmnażamy się w naturalny sposób, jeno z inkubów, przez budowę nowego genomu zarodka, więc jesteśmy przed Jałowcem całkowicie bezpieczni… Jezu, ale upał.

– No, ale mówiłeś, że wycofali się i nikt się nie przyznaje i nie ma ani jednego podpisu.

– Bo okazało się, że maksymalna awirulentność nie oznacza jeszcze całkowitej odporności na mutacje, a on przejawia tendencję do potęgowania siły wywieranego efektu. Nie tyle zmniejsza liczbę plemników, co w ogóle blokuje ich produkcję. Nie ma tu mowy o obniżeniu prawdopodobieństwa zapłodnienia: on po prostu uniemożliwia zapłodnienie. Jeśli się wydostanie na wolność jeśli się rozprzestrzeni w populacji nierzeźbionych… Nawet gdyby wówczas nie doszło do wojny – to co poczniemy potem? Przetrwają jedynie społeczeństwa preferujące sztuczne rozmnażanie: my, część Europy, enklawy azjatyckie. To jest upadek, to jest zagłada: wszak dziś jesteśmy mocarstwem właśnie dlatego, że poza naszymi granicami kłębią się miliardy owych zacofańców. W sensie gospodarczym, nie psychologicznym. Podcinamy gałąź, na której siedzimy. Jałowiec uratuje nas przed mieczem demografii, ale zniszczy młotem ekonomii.

– Ale nie taki był projekt.

– Ba! – westchnął fenomurzyn. – O to właśnie chodzi, że, o ile wiem, żadnego projektu nigdy nie było. Jakieś dyskusje, szepty na wieczornych przyjęciach, zaraza idei, Wrzesień, ktoś tu, ktoś tam… Żadna instytucja jako instytucja o tym nie wie, to nie jest niczyja decyzja polityczna, nikt nie brał i nie weźmie odpowiedzialności, nikt się nie przyzna. To tylko my, personel, urzędnicy, tylko my, właśnie

po amatorsku, bo… Wrzesień.

End of file.

Wstał, podszedł do barku, wychylił szklaneczkę Wędrowniczka, wyjrzał na chmurne Necropolis i wychylił drugą. Wrzesień, Grudzień. We łbie miał rozpędzoną galaktykę strachu, ognie przerażenia. Nawet jeśli prawda -nawet jeśli… to co? Zerknął na tykający żółtymi kośćmi zegar. Trzeba jechać do Bunkra. Grudzień, taaa. Krasnow? Kleist? Vassone? Schatzu? Moore? Oiol? Stimmel? Kto wie, a kto nie? Gdyby miał obstawiać, postawiłby, że nikt z nich. Ktoś na Kapitelu, skoro doszło do uszu Tito -ale też nie na pewno. Być może w ogóle nikt. Być może tylko w mojej głowie… Jądro galaktyki lęku. Chigueza?

tylko

Czy dlatego właśnie przyszła na lotnisko? Że Bronstein wiedział? Rany boskie, może jego faktycznie ubili. Kwazary paniki. Trzecią szklaneczkę. Co robić? Nic nie robić, to oczywiste.

Co robić? Podpuścić Kleist. Sprawdzić Chiguezę. Jak się zwał ten sneaker? Skrytojebca?

Opamiętaj się, Hunt. Nic, nic nie robić: to jest jedyna właściwa strategia! Już zapomniałeś tę lekcję, która kosztowała cię Wygnanie?

Wyszedł na balkon. Cuchnęło otwartym grobem. Grudzień – kiedy? Patrzył na to miasto i budził się w nim histeryczny chichot. Widział je teraz już nie jako zbiorowisko budowli, nawet nie jako sumę stłoczonych w nich ludzi – lecz swoistą kulturę ich umysłów, podbuzowaną na stałym ogniu, rozplenioną wszerz i wzwyż…

Nefeleńczycy, nefeleńskie neuromonady, kosmiczny pająk myślni. Nicholas zatrzymał na moment spojrzenie na swej dłoni opartej o poręcz balustrady. Skóra, mięśnie, krew, kości, ścięgna. Poruszam; czuję. Jestem człowiekiem, jestem człowiekiem. Mój Boże, Schatzu, czym ty mnie zaraziłeś…

Zamknął i otworzył oczy. Jeszcze jest to królestwo materii, jeszcze kamień i ciało i wiatr i kolory przedmiotów. Cisnął szklanką o podłogę. Rozbiła się – to było prawdziwe szkło.

Spokojnie, spokojnie. Skrytojebca. Ponieważ Nicholas przekopiował był do wszczepki zawartość pamięci ledpada, teraz przewertował szybko żółte pergaminy zmurszałej księgi i odnalazł adres sneakera. Skrytojebca nigdy i z nikim nie rozmawiał o tego typu interesach przez telefon, ze swymi osobistymi klientami w ogóle nie kontaktował się. za pośrednictwem Sieci i niezmiernie rzadko wychodził z domu. Kilka miesięcy temu Hunt wynajął go, żeby znalazł coś na Fortzhausera, Anzelm mu go polecił. (Co prawda sneaker w końcu nie znalazł nic prócz młodzieńczej bójki barowej). Teraz wynajmie go po raz drugi. Tak. Skrytojebca, potem Kleist, potem – być może – Tito. Jak nie Grzyb – to Grudzień; któryś szantaż zadziała. Va banque.

Postanowił. Nie miał już zatem odwrotu. (Teoretycznie każde postanowienie mógł złamać – lecz wiedział, że tego nie zrobi). Dobrze, dobrze, dobrze. Oddychał szybko. Energia płynęła pulsującymi żyłami wraz z gorącą krwią. Gdyby teraz uderzył zaciśniętą pięścią, roztrzaskałby poręcz balustrady na drobne kawałki. To właśnie czują samobójcy spadając ostatnie dziesięć metrów, pomyślał. Bo też moja decyzja podobnie straceńcza. Nigdy nie przejawiałem inklinacji do taniego ryzykanctwa, nie uzależniłem się od adrenaliny. A jednak. Nawet największy tchórz – ma przynajmniej jeden taki błysk-moment, gdy po prostu rzuca o swoje życie monetą. Ileż w końcu razy można się cofać z ostatniego stopnia? Kiedyś wreszcie przeważa nastrój chwili i sprzedajemy czterdzieści lat przyszłych za kilka najbliższych minut. Jest to gra o tożsamość, w zależności bowiem od wyniku rzutu redefiniujemy siebie samego. Czego chcę, na co liczę? Na władzę? Powrót do raju? Dogmat: każdy człowiek pożąda szczęścia; nie każdy dąży, ale każdy pożąda. Moje szczęście… No nie wiem, nie wiem, nie wiem. Więc chyba rzeczywiście: fizjologia ryzyka, ekstaza hazardzisty. Wynajmę Skrytojebcę i… Czy się cofnę? Będę miał jeszcze wiele okazji, tu trzeba długoterminowej determinacji na drodze do celu – a jakiż ten cel? Spojrzał na własne zaciśnięte dłonie. Niczego w życiu nie osiągnąłem, tak mówią ze łzą w oku na ostatnich spowiedziach potężni mafiosi, tak szepczą umierający multimiliarderzy. Bo też w obliczu absolutu żadne osiągnięcie doczesne tak naprawdę się nie liczy. „Niczego w życiu nie osiągnąłem": i wówczas strzelają na siatkówce poklatki wspomnień szans zaprzepaszczonych, okazji zaniechanych, czynów przed dokonaniem porzuconych, myśli nigdy do końca nie zrodzonych… Tchk! tchk! tchk! Wyświetlenia drzwi wpółotwartych, których progu nie miałem odwagi przekroczyć. Oślepiają przez łzy. Zaglądałem w te korytarze, lecz nie wszedłem. I teraz – ja leżący na łożu śmierci – żałuję. Ja leżący na łożu śmierci wszedłbym-„Człowiek, który potrafi się identyfikować ze sobą samym z przeszłości i przyszłości, osiąga jedyne dostępne śmiertelnikowi: świętość i spokój ducha". Kto to powiedział?

Nie pamiętam. Moje sumienie zawsze było po prostu pamięcią o przyszłym Nicholasie Huncie. Jeśli powstrzymałem się od jakiegoś uczynku, o którym wiedziałem, że jest zły, lecz przyniósłby mi korzyści – to nie dlatego, że tak silną mam wolę, że tak przyzwoity ze mnie człowiek, albo tak wielka we mnie bojaźń Boża, jeno z tej absolutnej pewności, iż w przyszłości, za godzinę, za dzień, za rok, zapłacę za ów czyn nieporównywalnie większą cenę nerwów, strachu, goryczy, wstydu. Tak zatem powstrzymuję się w imię większej wygody życia, które przede mną. I jeśli teraz nie zaniecham dociekań (a wiem, że nie uczynię tego, nie zboczę z drogi), to też w imię przyszłego Nicholasa. Bo mam tę pewność, że nigdy-nigdy-nigdy, aż

do śmierci, nie darowałbym sobie tego zaniechania i w końcu przeobraziłbym się w człowieka, którego jedyną racją bytu jest cyniczna duma z rozmiarów własnej degrengolady. Przypomniał sobie o dziennikarzach i wycofał się do wnętrza mieszkania, szkło zaskrzypiało pod podeszwą. Wczoraj miał od nich kilkadziesiąt telefonów, Lucjusz zgrabnie wszystkich spławił. Dzwonili też z A amp;S, żeby nosa nie wystawiał z apartamentu. Więc nie wystawiał. Przeglądał, na ledtapecie, a potem już przez wszczepkę, doniesienia na temat samobójstwa lobbystycznego prawnika w Watergate. Media nisko zindeksowały informację, nie było jej w domyślnych ustawieniach. Kilkoro starych znajomych Nicholasa zadzwoniło o tym poplotkować, nazwisko Hunta wypłynęło tam u nich w gorzkich oparach skandalu; no, ale oni nie z newsreaderów się dowiedzieli. Wczoraj i dzisiaj dzwonił także Fortzhauser z pretensjami, że Vassone gdzieś wyjechała, nie zostawiła namiarów i wyłączyła swój telefon. Zgodnie z regulaminem pułkownik powinien ogłosić alarm i posłać jej tropem FBI. Hunt kazał mu się na razie powstrzymać. Miał niemal całkowitą pewność, że to nie żaden spisek obcego wywiadu, lecz po prostu kolejne przesilenie tożsamości Mariny: czy przykryła się Tuluzą 10, czy nie, ciało poszczutej monady na dobre weszło do jej umysłu.

Bunkier, Skrytojebca – powtarzał sobie, przebierając się w reprezentacyjne ciuchy.

A mało brakowało, by złamał się jeszcze przed wyjściem z mieszkania. Odruchowo zadzwonił bowiem do psychoanalityka on-line, a menadżer wszczepki miał w defaultach adres jego medykatora i momentalnie zwizualizował z połączenia starego fenosemitę z freudowską brodą.

– Słucham pana – rzekł ów archetypiczny mędrzec zasiadłszy w fotelu w rogu salonu.

– Zamierzam popełnić wielkie głupstwo – westchnął Hunt, prostując sobie przed lustrem halsztuk. Zawsze przywiązywał wielką wagę do ubioru, tym bardziej dzisiaj nie chciał się pozbawiać przewagi pierwszego wrażenia. Czy błękitne tabi pasują do garnituru od Sweeda? Czy powinien wziąć laseczkę ze srebrną główką? Mankiety jakie: koronkowe czy gładkie?

– Skoro wie pan, że to głupstwo, czemu zatem…?

– Pojęcia nie mam. Z frustracji chyba.

– Co pana tak frustruje?

– Wszystko idzie obok mnie. Nawet moje decyzje nie są przecież moje. Chciałbym móc sprzeciwić się żywiołowi, wpłynąć na kierunek choć w najmniejszym stopniu… Ja wiem, że to niemożliwe, że w najlepszym razie sam kark sobie złamię. Że nic zupełnie na tym nie zyskam. No, może jednak. Mimo wszystko ryzyko jest nieporównywalne z ewentualnymi korzyściami. Ale… szlag mnie

trafia, kiedy pomyślę…

– Co?

– Nic – mruknął Nicholas, skończywszy pospieszny makijaż.

– Zawsze pan to w ten sposób odbierał? Czy też jakieś niedawne wydarzenie spowodowało zmianę pańskiego nastawienia?

Hunt milczał przez chwilę, po czym rozłączył się. Brodaty analityk rozpadł się do kupki kości i zmurszałych tkanin. Przybiegło pięć diabełków i wymiotły je za balkon.

Nicholas nie miał nawet pewności, czy był to ekspercki talkbot (najłatwiej sturingować psychoanalityka), czy też nakładka MUI na jakiegoś dyżurnego terapeutę medykatora Jednakże ostatnie pytania tamtego odcisnęły mu się w umyśle silnym wzorcem, i wychodząc do windy dostał sję Hunt pod władzę potwornego podejrzenia: a co, jeśli to wszystko dlatego, że po prostu usiadła na mnie tak perfidnie wyprofilowana monada?

Co, jeśli ja nieświadomie stałem się ofiarą psychomemicznego Mad Drivera…?

Heurystyczne piękno podobnych teorii polega na ich fraktalowej strukturze: każde zaprzeczenie stanowi tu zarazem fundament dla nieskończonego szeregu dalszych podejrzeń.

Ponieważ nigdy nie będę w stanie stwierdzić, czy to prawda, czy nie – powiedział sobie Nicholas wchodząc do windy – muszę udawać, że wierzę w wersję prostszą.

Spadając do garażu w cuchnącej siarką żelaznej klatce, znowu wpatrywał się zachłannie w swoją dłoń, teraz zaciśniętą na gałce laski. Różowa skóra pokryta siateczką drobnych zmarszczek. Żyły. Krew. Białe grzebienie kłykci. Gładkie tarcze paznokci. Ja, ale przedmiot. Czuję, ale dotykam. Ja, ale materia. Ciało. Ciało.

W centrum operacyjnym Bunkra panowała bitewna gorączka. Podczas gdy Hunt szedł między rozmigotanymi firanami taktyczego ledunku ku biurom szarż. Środkowoafrykański Sojusz Ekonomiczny kończył swój żywot, sięgając wszystkimi możliwymi krzywymi zera, niektórymi jeszcze niżej. W powrotnej fali ekonomicznego kollapsu zdewaluowane akcje CAEA uderzyły na giełdy gęstego chaosu i EDC rzucił się do wykupywania Sojuszu. Tak się buforuje przestrzeń międzyfrontową w Wojnach Ekonomicznych. Hongkongijskiej zabierze teraz dobrych kilkanaście godzin ponowne skonsolidowanie i ukorzenienie swego kapitału ofensywnego.

Program sekretaryjny przetrzymał Hunta pod drzwiami gabinetu Kleist kilka długich minut. Odwróciwszy się,

Nicholas stanął z rękoma za plecami i z wysokości galerii obserwował główną salę centrum. Wszelki ruch brał się tam tylko z tych ledekranów. Żołnierze EDC trwali na

swych stanowiskach niczym pogrążone w letargu kukły z mięsa, o poprzecinanych nerwach, kompletnie wyślepieni. Po nich samych, bez frenetycznego ruchu obrazowanych kolorowo danych, nikt by się nie domyślił temperatury bitwy. Czasami któryś z żołnierzy wstawał na moment, zamachał ramionami – potem znowu siadał i kamieniał. Istniał drugi Bunkier, drugie centrum – w zastrzeżonych dla ich wspólnego użytku rewirach OVR. Korelacja danych wyświetlanych na półprzeźroczystych firanach z działaniami wojskowych maklerów była w gruncie rzeczy bardzo powierzchowna. Nicholas nawet nie próbował dociekać, gdzie aktualnie toczą się walki – dobrze, że w ogóle odczytał z tych wykresów klęskę CAEA. Doprawdy żaden był z niego infoekonomista, z owego wykładu pani generał wyniósł jeno ogólne wrażenie: że to wielopoziomowe szachy chaosu.

Niemniej – cóż lepszego miał teraz do roboty? Bóg raczy wiedzieć, jak długo pryncypialna pani generał przetrzyma go w antyszambrach. Poprosił o akces do taktycznego OVR centrum Bunkra, i otrzymał go. Diabeł poprowadził Hunta za rękę. Wizualizacja była oparta na autentycznej architekturze budynku. Żołnierze nadal siedzieli nieruchomo na swoich miejscach: wślepieni piętrowo. Gdy jednak podszedł do najbliższego i dotknął go, kładąc mu dłoń na ramieniu, OVR otworzyła dla niego następne równolegle kanały informacyjne. Błędnik Nicholasa zaszalał. Upadłby, gdyby nie silne ramię Lucyfera.

Wewnętrzne wizualizacje taktyczne EDC chodziły na dopalaczach 5D i Hunt, nie przeszkolony, bez stosownego oesu, bez specjalistycznych emulatorów dimencjonalnych, poczuł się jak zdzielony w czoło kowalskim młotem kolorów. Trzy wymiary nie wystarczały dla zobrazowania choćby podstawowej warstwy zmagań w Wojnach, nawet po komprymacjach i przekształceniach (bo to przecież nie były surowe dane, surowych danych nie oglądał na oczy nikt prócz programistów i uczelnianych specjalistów od infoekonomiki). Tak więc analizy taktyczne szły w czasie rzeczywistym w 5D, organizowane tak i owak, w grafice, digitalnie oraz podprogowo. To już nie był Bunkier, lecz jakiś ażurowy kwiat światła, każdy z dziesięciu kierunków otwierał się na inne ołtarze wiedzy, nawet Necropolis iakby przystopowało. Głowa żołnierza posiadała kształt rozdętego multidodekaedru i nie było takiego fragmentu otoczenia, który mógłby ujść spojrzeniu niezliczonych jego oczu.

Ten akurat żołnierz (było to zapisane w obłokach) zajmował się tak zwanymi „krótkimi spływami": najprymitywniejszą, pierwszą historycznie wersją IEW. Były to nagłe, zmasowane wyprzedaże obligacji skarbowych danego państwa, ewentualnie połączone z wyprzedażami akcji jego wiodących narodowych korporacji, o ile

istnieją takowe, i ich głównych kontrahentów; do tej kategorii należały także wielkie spekulacje walutowe. Z biegiem czasu wyewoluowały one w Wojnach w formy nieskończenie bardziej subtelne, których Hunt już zupełnie nie pojmował. Powyższe oraz szeroka gama manewrów pośrednich – między innymi „blank-skoki" – składała się na podstawowe strategie spływów krótkich. W rejonach pod-obok-górnych mógł Nicholas obserwować ich postępy na przykładzie ofensywy CAEA.

Sukcesywnie aktualizowany rejestr aktywnych blank-skoków obracał się natomiast na wyciągnięcie ręki pod-pod Huntem. Było ich tysiące. Blank-skoki stanowiły procedury programów giełdowych obliczone nie na zdołowanie czyichś wskaźników lub obronę własnych, lecz na wprowadzenie w błąd programów wroga, by te, wziąwszy pod uwagę odczytane z rynku efekty blank-skoków, wyciągnęły fałszywe wnioski i uruchomiły w odpowiedzi procesy samoszkodzące. Cały software do IEW – nawet najbardziej wyrafinowany – był bowiem na jakimś tam podstawowym poziomie bardzo do siebie podobny i ci sami programiiści, którzy pisali bądź hodowali analizatory dla obrońców rodzimej gospodarki, wymyślali jednocześnie sposoby na oszukanie cudzych. Blank-skoki były stosunkowo tanie i bezpieczne. Czasami na dodatek trafiały się wśród nich prawdziwe pushery, które kosztem paru tysięcy akcji potrafiły pchnąć giełdę w objęcia zupełnie nowego atraktora.

Istniały, rzecz jasna, również blank-blank-skoki, random-blank-skoki, quasi-blank-skoki, kontra-blank-skoki, a nawet zero-blank-skoki, czyli procedury puste, za to kasujące na określony czas wszystkie inne sojusznicze blank-skoki, aby wraże analizatory jęły się ich doszukiwać w operacjach zupełnie niewinnych.

U samej góry, w zenicie OVR, wisiały nad Nicholasem konstelacje danych strategicznych obrazujące ogólny standing. Streszczano tam wszystko inne: sztuczne deprecjacje długów państwowych sposobami bardziej subtelnymi (a zatem już wymagającymi czasu na wyindukowanie trendu) i postępy w „neutralizowaniu" największych banków ofiary metodą dumpingu kredytowego, poprzez pozbawienie ich płynności gotówkowej i/lub drenaż waluty; a to są już operacje średnioterminowe. Zablokowanie potencjalnych źródeł kredytowania i przerwanie łańcuchów reasekuracyjnych zabiera trochę czasu.

Tuż obok posuwały się najgroźniejsze, długofalowe strategie ataku w IEW, polegające na przejmowaniu kontroli nad maksymalną liczbą firm możliwie najmocniej powiązanych z rynkiem danego kraju, a to poprzez wykup w nich pakietów kontrolnych za pomocą wieloogniwowych łańcuchów „podwójnie ślepych" pośredników. Dalej szły: rozciąganie deficytów hadlowych ofiary, presje dla nominowania jej długów w walutach zamkniętych, sztuczne wytwarzanie ujemnego

ciśnienia inwestycyjnego w celu odessania potencjału intelektualnego atakowanej gospodarki (na co trzeba już zmian legislacyjnych na terytoriach napastników).

Oddzielnie opisywano Strategię Koreańską, najgroźniejszy i najbardziej totalny wariant. Wymaga on od napastników takich zmian regulacji fiskalnych, na skutek których powstałyby u nich przynajmniej po jednej strefie oferującej każdej z głównych gałęzi gospodarki ofiary lepsze warunki podatkowe, płacowe i tym podobne. Utrzymanie ich przez czas wystarczający na dopełnienie się kollapsu budżetowego i rozpędzenie twardej recesji – pozwala na całkowitą dekompozycję państwa/sojuszu.

Obecnie Koreańska rozgrywana była jedynie przeciwko

Australii, przez Triumwirat Azjatycki – o tym słyszał nawet Hunt. Zresztą wstęgi predykacyjne Bunkra głosiły, iż kampania prawdopodobnie załamie się po wejściu Australii w unię gospodarczą NRPA.

W istocie jednak także wskaźniki Koreańskiej zmieniały się pod spojrzeniem Nicholasa: tu nawet „długofalowa" strategia oznaczać może akcję zaledwie kilkunastodniową – wszak są to Instant Economic Wars: „wstrząsnąć i zagotować".

Oczywiście banki narodowe starały się bronić gospodarek swych państw, nakazując programom defensorskim wykup na pniu wszelkich rzucanych na rynek dużych bloków kluczowych akcji i podobną metodą utrzymywanie kursów waluty i obligacji skarbowych, jednak już w ramach tych najprostszych strategii mogły one zostać pokonane przez przeciwnika o większych rezerwach pieniężnych (szczególnie gdy chodzi o wielkoemisyjne papiery dłużne ze szczytu piramidy). Między innymi stąd tendencja do łączenia się w ekonomiczne sojusze obronne, zwłaszcza jeśli chodzi o mniej bogate państwa.

W Stanach i NAFTA działania podobne znajdowały się w kompetencji właśnie Economic Defense Corps, w tym celu został on stworzony. Jego potencjał militarny oscylował obecnie wokół stu teradolarów, a w każdym razie takie spekulacje słyszał Hunt w mediach. Skuteczne przeciwdziałanie ofensywom długofalowym jest wszakże bardzo trudne i nie od dzisiaj mówiło się, iż EDC już nie wystarcza.

Zagrożeni druzgoczącymi ofensywami zazwyczaj uciekali się bowiem do tworzenia gigantycznych holdingów konsolidujących całe gałęzie przemysłu państwa, czy nawet kontynentu, w jeden ekonomiczny organizm. Jeśli dotyczyło to dziedziny stanowiącej filar gospodarek tych krajów, zarząd podobnego holdingu stawał się analogiem rządu państwowego (czy ponadpaństwowego) i odpowiednio zyskiwał na kompetencjach i znaczeniu. Miało to miejsce na przykład w przypadku Południowoamerykańskiego Kartelu

Drzewnego. Mieszkańcy Amazonii mogli mówić raczej o podporządkowaniu ekonomicznym niż obywatelstwie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Kartele takie stanowiły struktury sztywne, obliczone na wiele lat, natomiast sojusze pierwszego rodzaju były luźne i łatwe do zerwania, i w rzeczy samej zrywało się je, odwracało i tworzyło od nowa niemal bez przerwy Działo się tak przede wszystkim dlatego, iż superkomputery maklerskie wprowadziły je do swych rozważań jako jeszcze jedną zmienną, a w epoce, gdy minister obrony, minister spraw zagranicznych, szefowie wywiadu i kontrwywiadu są obowiązkowo infoekonomistami, rządy przejawiały niebezpieczną skłonność do sugerowania się radami owych komputerów.

Nicholas rozglądał się po wnętrzu tego Bunkra II, bezskutecznie usiłując przezwyciężyć dezorientację. Próbował odszyfrować z obrazowanych dookoła analiz coś, co podparłoby jego intuicyjne podejrzenie nieprzypadkowości awarii owego nadprogramu EDC (tu przecież powinni pisać otwartym tekstem), ale o Kubusiu Puchatku nie było nigdzie ani słowa. Spytał nawet diabła, który z kolei spytał programy Bunkra (pytanie zostanie zarejestrowane), lecz w odpowiedzi otrzymał właściwie tylko maksymę o nieprzewidywalności zachowań wolnego rynku, jeśli nie liczyć kilku giga szczegółowych analiz w attachmencie. Owszem, do specyfiki IEW należało i to, że pole, na którym rozgrywa się tu bitwy, podlega nieustannym, a bardzo szybkim i głębokim zmianom, i kierunku tych zmian nie da się w żaden sposób przewidzieć: jest to proces chaotyczny co się zowie. Między innymi to odstręczało Hunta od infoekonomiki: to nie zawód, nie kariera, raczej rodzaj powołania, wymaga oddania absolutnego. Średni czas użyteczności żołnierzy EDC z pierwszej linii frontu wynosił pięć miesięcy.

Bo to przecież nie tylko Wojny. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, iż dosłownie każdy mógł się do tych zmagań włączyć. Czy sam Hunt nie spekulował na giełdzie? W ten czy inny sposób robili to wszyscy, pośrednio i bezpośrednio, nawet jeśli nie zdawali sobie sprawy. Co prawda pojedynczy prywatny inwestor nie prezentuje żadnej siły, lecz ich dziesiątki milionów – dziesiątki, setki milionów „giełdowych bandytów", z domowego terminala inwestujących i realizujących zyski pomiędzy obiadem a kolacją, bez żadnej głębszej analizy, „na nos" – to jest już wielce znaczący czynnik, którego nie sposób lekceważyć a który nie daje się do końca zanalizować i zasymulować w żadnych, choćby nie wiadomo jak rozległych, skomplikowanych i doświadczonych komputerowych sieciach komórkowych. Często słyszał od znajomych infoekonomistów, jak by to było wspaniale, gdyby nagle szlag trafił wszystek giełdowy plankton i pozostały w oceanach tylko rekiny i wieloryby: nareszcie zobaczylibyśmy nieco jaśniej, co tu jest grane.

Ale samych waleni też było w owych wodach sporo. Żaden kraj nie może przecież „odmówić" uczestnictwa w Wojnach Ekonomicznych, zająć postawy „gospodarczego pacyfisty" lub na siłę neutralnego, grożąc odwetem za pomocą tradycyjnych środków – w ten bowiem sposób w najlepszym razie skaże się na izolację, co jest równoznaczne z cofnięciem się do gospodarki dziewiętnastowiecznej, koniecznością substytucji eksportu, krwawą wojną przemytniczą, kończy się zaś nieodmiennie masową emigracją i odpływem kapitału, błyskawiczną pauperyzacją społeczeństwa, zmianą rządu oraz przejęciem kraju za bezcen przez cierpliwych konkurentów.

Cóż, jeśli wierzyć Kleist, czeka nas to tak czy owak. Dotknął twarzy żołnierza. Wydęła się ku niemu ze wszystkich stron.

Nie przeszkadzam? Chciałbym o coś zapytać.

– Słucham, sir – rzekł żołnierz. Nie wstał jednak. (I dobrze, pomyślał Hunt. Pewnie bym zwymiotował).

– Może mi pan powiedzieć, kiedy dokładnie zaczęliście się orientować w, mhm, aberracjach Puchatka?

– Pierwszy alarm poszedł przedwczoraj o piątej szesnaście po południu, NYT.

Tak oto teoria o premedytowanej akcji Langoliana upadła. Za żadne skarby by nie zdążyli. Ale czy to automatycznie musii oznaczać, że Chigueza mówiła prawdę?

Czuł, że kłamała; tam, na lotnisku, czuł był to przez skórę(przez myślnię) z każdym jej słowem wyraźniej: łgała na potęgę, w kwestii Tuluzy, być może również w innych.

– Dzięki.

Żołnierz nawet nie skinął głową. Zapewne przez cały ten czas pracował w trybie multitaskingu, odpowiadał za niego skrypt osobowościowy menadżera.

– Pani generał zaprasza – odezwał się wtem diabeł.

Nicholas wyciągnął do niego rękę. Lucyfer wyprowadził go spod kolejnych warstw OVR. Powrót do świata 3D też był małym szokiem. Wchodząc z powrotem na galeryjkę, podpierał się laską.

Kleist przyjęła go ze wszystkimi oficjalnymi rytuałami. Co prawda znajdowali się poza NEti, ale pod wewnętrzną siecią Bunkra. Z drugiej strony, czy tamto ambulatorium było spod niej wyjęte? Poprawiając koronki mankientów, kalkulował poziomy desperacji.

Ostentacyjnie ascetyczny wystrój pomieszczenia (dwa fotele, nagi stół, resztę miała na pewno w OVR) oraz szary, polowy mundur generał zniechęcały do wszelkiej ornamentyki słownej.

– Ten wasz program… – zaczął Hunt po kilku minutach. – Ten, co to mu odbiło…

– Nie nasz – warknęła.

– Nieważne. Czy jego fiksacja wyszła na jaw dostatecznie

wcześnie, by mieli czas przygotować produkcję i dystrybucję zagrzybionej Tuluzy? Jak pani sądzi, pani generał?

Zorientował się, że odruchowo wykrzywia wargi w lekkim półuśmiechu i natychmiast wrócił do miny całkowicie neutralnej. Ale Kleist już swoje zobaczyła i teraz popatrywała nań podejrzliwie, w zamyśleniu przesuwając kciukiem po krawędzi blatu.

– Nie chcę w tym brać udziału – powiedziała.

– W czym?

– W tych waszych gierkach. Żegnam, panie Hunt. Nie podniósł się. Szóstym palcem skinął na Lucyfera i pod sufitem rozwinęło się dymne zwierciadło z wyświetlonymi gotykiem notatkami Hunta, poczynionymi przezeń pospiesznie w samochodzie w drodze do Bunkra. Przebiegł je szybko wzrokiem i ponownie skinął na Lucyfera.

– Nie spytam, skąd, ile i od kiedy pani wiedziała o tej szczepce i o Grzybie, bo i tak mi pani nie powie – rzekł, walając Oratorowi stosownie modulować swój głos. -Ale proszę się zastanowić nad następującą rzeczą: jeśli wszyscy decydenci na całym świecie przykryją się teraz Tuluzą 10 – to jakie będzie następne posunięcie mocarstw monadalnych dla odzyskania utraconej przewagi?

– Pan coś insynuuje, panie Hunt? Jeśli pan coś wie, proszę mi to jasno powiedzieć.

Oczywiście rzecz cała polegała na tym, że on nic nie wiedział. Domyślał się na podstawie cudzych domysłów i szukał dla tych domysłów potwierdzeń. Kleist, być może, też się czegoś domyślała – skoro słyszała o Grzybie, miała jakieś swoje źródła. (Właśnie – jakie? Sprawdzić! Subtelnie: tu nie można nasłać sneakera). Ale nie istniał sposób, by zapytać ją o te domysły wprost. Co natomiast mógł robić: zarzucać takie przynęty. I to ostrożnie, ostrożnie – bo wszelka nadmierna dosłowność może go drogo kosztować.

– Zmień temat – szepnął mu diabeł do lewego ucha. Zmienił.

– Jak tam rynek? Opanowaliśmy już sytuację?

Odczekała chwilę, nim odpowiedziała. Zapewne sprawdzała w OVR (czy jej roboczy MUI też był pięciowymiarowy?), chociaż nie zauważył zmiany ogniskowej spojrzenia.

– Przejęliśmy z powrotem kontrolę nad funduszami operacyjnymi. Niepewne programy wykasowaliśmy, zabiliśmy zarażone sieci. Straty są wysokie, ale też w ogóle panuje znaczne zamieszanie. Parę dni potrwa, zanim świat się zbilansuje i wtedy się przekonamy, jak stoimy.

Jutro zobaczymy na giełdach, jak ustalą się metatrendy. Tyle mogę rzec na pewno: niedoczas realizacyjny zwiększył się o kilkanaście godzin.

– Co?

Minimalne opóźnienie reakcji inwestorów nie wprzężonych.

Teraz wróć, podszepnął diabeł.

– Jeśli kiedykolwiek usłyszy pani o kolejnym takim Grzybie, proszę się nie krępować. Jestem do pani dyspozycji. Dojrzał w jej oczach błysk zrozumienia.

– To nie Bronstein mi powiedział – wycedziła. – Tak?

– Tak, tak, tak. Może pan sobie darować – prychneła – Myślałam: to nielogiczne, w końcuż kto świadomie dąży do samozagłady, przecie to szaleństwo. Ale widzę, że dla was to żadna katastrofa, że to nie znaczy nic, bo wy nie identyfikujecie się z żadnym państwem. Nigdy nie składaliście przysięgi, nigdy nie nosiliście munduru, żadna flaga i żadna ziemia nie jest waszą. Od kogo otrzymał pan już oferty? Jak wysoko przebijają? Żegnam, panie Hunt. Zejdź mi pan, kurwa, z oczu.

Potem, zjeżdżając na minus siedem, by wygłosić przemówienie zamykające konferencję, Hunt przewinął kilkakrotnie sam moment jej reakcji i pojął, co oznaczał ów błysk. Generał Kleist uważała, że to Nicholas odpowiedzialny jest za śmierć Bronsteina i, być może, również za to nagłe ujawnienie Tuluzy 10; że zdradzając się Nicholasowi ze swoją wiedzą – wtedy, w ambulatorium – niechcący sprowokowała go do podjęcia tak drastycznych decyzji.

Właściwie więc powinna być mu wdzięczna: w efekcie przecież dostała, czego chciała. Zaczął się śmiać, ale zaraz go zmroziło. Wszak Kleist rozumowała całkowicie logicznie, miała wszelkie dane, by dojść do takich właśnie wniosków. Jej domysły były tak samo prawomocne, jak domysły Hunta.

Przecież sam do końca nie był przekonany, czy to istotnie nie przez niego (a raczej: dzięki niemu) Tuluza 10 z tym całym Grzybem wydobyta została ze skarbca prywatnego monopolu na światło dzienne. Z jednej strony: trudno mu było uwierzyć, iż z łazienki Bronsteina za po-mocą kilku telefonów odwrócił historię świata. Z drugiej: jeszcze gorzej mu szło z wiarą w takie przypadkowe koincydencje, jak: Bronstein na pasku i awaria komputerów EDC.

Więc? Wierzył obu wersjom i nie wierzył żadnej; funkcja się jeszcze nie zredukowała i działać musi w oparciu o absurdalne superpozycje, jak rzekłby major Fuzz. Tak

to iuż jest. Nie domki z kart – a pałace z baniek mydlanych.

Ponieważ na ukłonach, wymienianiu wizytówek, potrząsaniu dłońmi i wygłaszaniu formułek NEti zeszło mu więcej niż przewidywał, a potem jeszcze, gdy limuzyny odwiozły już uczestników konferencji na lotniska, dopadli Hunta McFly, Fortzhauser i Moore do spółki z Schatzu, i zmusili go do natychmiastowego podjęcia kilkunastu decyzji – z uwagi na powyższe spóźnił się na umówione spotkanie ze Skrytojebcą o ponad godzinę.

To był ostatni moment na wycofanie się, ostatnia szansa dla

strachu. Gdy już napuści sneakera na Chiguezę – nie będzie mógł się wyprzeć tak jednoznacznych działań i wymazać lub zafałszować pozostawionych śladów. Najgenialniejszy nawet sneaker nie jest na tyle genialny, by uniknąć wszystkich zabezpieczeń i nie dać się wytropić także post factutn. Sam Hunt za swego Prawdziwego Życia zniszczył kilkoro osób, które nasłały na niego sne-akerów, jedna chyba nawet łyknęła potem kevorkiankę.

I może by się Nicholas wycofał, gdyby nie to spóźnienie, presja pośpiechu nie pozostawiła mu bowiem miejsca na żadne wyższe refleksje.

Skrytojebcą mieszkał w jednej z zamkniętych dzielnic dalekich przedmieść Nowego Jorku, licznych na suburbiach megapolii „enklaw podatkowych". Nicholasa już wewnątrz sprawdziły dwa posterunki prywatnej policji i jedna inteligentna bramka. Sama brama w murze enklawy przypominała średniowieczną fortyfikację, wjeżdżało się w ciemność niepewnym, czy na powrót ujrzy się słońce: w razie wyskanowania jakichkolwiek potencjalnych zagrożeń, ukryty w ziemi „pachołek" rozprułby wóz jak kartonowe pudełko. Za bramą był inny świat. W niektórych enklawach kulturowych obowiązywał nawet inny język.

Tutaj mieszkał ten górny jeden procent, generujący trzy czwarte globalnego dochodu. Jednakże – Hunt założyłby się o to – ani cent z niebotycznych zysków mieszkańców enklaw nie trafi do budżetów USA, Kanady czy UE. Te same gwarancje rządowe i bogactwo istniejącej infrastruktury, które owe państwa czyniły dla najzamożniejszych tak atrakcyjnymi miejscami do osiedlenia się, stanowiły pośrednią przyczynę, dla której ci przenosili swoje firmy (prawnie i/lub fizycznie) w środowiska znacznie korzystniejsze fiskalnie. Nie jest to nic bardziej skomplikowanego ponad zasadę naczyń połączonych czy prawa dyfuzji gazów. Toteż z roku na rok coraz większa część budżetu pochodziła z podatków pośrednich, konsumpcyjnych; podatki bezpośrednie (dochodowe, inwestycyjne, nawet katastralne) opierały się wszelkim prawnym egzekucjom. A i z pośrednimi było coraz gorzej od czasu potanienia nanotkanin solarnych oraz przenośnych megabaterii; kiedy te ostatnie wejdą do masowej produkcji, ropa ostatecznie spadnie na łeb. Giełda wiedziała o tym o dawna, już pogrzebano ostatnie szczątki byłych prominentów OPEC, kompanie naftowe od dwóch lat gryzły infoekonomiczną glebę. Tu wszystko ze wszystkim się miesza, łańcuchy przyczynowo-skutkowe się zapętlają, nie sposób wskazać początku ani końca procesu: wszak to między innymi właśnie z uwagi na drastyczny spadek cen ropy (i wszystkie jego konsekwencje) do enklaw UE i NAFTA imigruje teraz ów „najwyższy procent" społeczeństwa Arabii Saudyjskiej, uciekają spod horyzontu ekonomicznej czarnej dziury

elity finansowe Orientu – po liniach najmniejszego fiskalnego oporu, po gradientach taniego luksusu – do nas. Zakosztować dekadencji Rzymu, póki czas – krzywił się w milczeniu Hunt, który nie mógł zapomnieć słów fenomurzyna z Anzelmowego skanu.

W słynnym pasie enklaw kalifornijskich mieszkało ponad sto tysięcy Chińczyków. Dlaczego nie, skoro stać ich było na to, a nie odbierali pracy Amerykanom? To sposób na korzystanie z najlepszych cech obu krajów, przy pominięciu złych. Któż wobec tego mógł stwierdzić, jakiej naprawdę narodowości czy obywatelstwa byli enklawiści? Nawet oni sami – prócz imigrantów najświeższych lub sygnatariuszy umów izolacjonistycznych – nie mieli pewności.

Nicholas jechał powoli szerokimi alejami (brama nałożyła na kompa wozu ograniczenie prędkości do 15 mph), mijal rowerzystów i przechodniów. Rzeźba ich ciał nic mu o ich pochodzeniu nie mówiła, jednak z pstrokatych ubiorów mógł wnioskować o ojczystych strefach kulturowych. Spostrzegł nawet kilka zakwefionych kobiet. Była to enklawa czysto komercyjna, ufundowana przez jednego z jurydykatorów.

Dom Skrytojebcy niczym się nie wyróżniał w szeregu podobnych, przysadzistych, asymetrycznie rozplanowanych willi, częściowo skrytych za bujną zielenią otaczających je ogrodów. Tu mieszkał i stąd prowadził swą firmę researcherską. Z tego, co Hunt wiedział, Skrytojebca zatrudniał na kontraktach partycypacyjnych ponad sto osób, ale wszystkie one również pracowały w swoich domach i firma jako firma istniała jedynie w umownej rzeczywistości konstruktów ekonomicznych. Nawet nie orientował się, pod czyim prawem została ona zarejestrowana. Po domu plątały się małe dzieci, bardzo brzydki buldog gonił między drzewami dziewczynkę na chybotliwym rowerku, z werandy pokrzykiwała kobieta. Skrytojebca nazywał się Marius Hedge, wulgarna ksywa została mu jeszcze z czasów studenckich, nie miał jej przecież tłoczonej na wizytówkach, niemniej przydawała mu się jako istotny składnik mitu reklamowego (czepny mem). W kręgach, na jakich mu zależało, był dobrze znany. Hunt wiedział od Imeldy, że z wyjątkowych umiejętności Hedge'a korzystał również senator Tito. Pewnego rodzaju usług researcherskich nie reklamuje się na niebie czy burtach sterowców.

Posiadłość była kryta w OVR i Nicholasa do Skrytojebcy zaprowadził dystyngowany kamerdyner o bujnych rudych faworytach i brytyjskim akcencie (z Huntowego Necropolis rniał rogaty cień i demoniczne spojrzenie). Elegancja programu polegała także na tym, że sługa potem nie rozwiał się w powietrzu, a po prostu odszedł ku domowi. Hedge podlewał w ogródku nieznane Nicholasowi rośliny o dziwacznych kształtach.

– Moje projekty – pochwalił się, wskazując je Huntowi żółtą

konewką. – Ta tutaj będzie kwitnąć kolorami zależnymi od kolorystyki sąsiadów. Obsiać sporą łąkę i po kilku generacjach będziemy mieć przepiękne fraktale, wystarczy pobawić się trochę indywidualnymi parametrami kwasowości. Już to opatentowałem.

– Przepraszam pana najmocniej, ale naprawdę nie mogłem, dzwoniłem, że ugrzęzłem…

– Nic nie szkodzi. A tę – widzi pan? Drzewo fajerwerczne, taki mały lasek na czwartego lipca… O co tym razem chodzi?

– Tutaj?

– A czemu nie? Gdzie mózg mój, tam biuro moje. Hedge był rzeźbiony w Latynosa, wyraźnie już jednak od tego domowego trybu życia podtatusiał, wyhodował sobie brzuszek, bródkę i jowialne maniery: hackera wiek średni (nie ma emerytur dla amatorów).

Posapując, zaganiał teraz Nicholasa ku ogrodowej altance. Tu, na stoliku, obok koszyka z jakimiś czarnymi jak węgiel owocami, spał jeszcze ciemniejszy kot. Był już wieczór i nawet bez nakładki Necropolis cienie płożyły się długie i wilgotne. Weszli do altanki i utonęli w pitnym półmroku.

Lucyfer wyszeptał Huntowi prośbę o autoryzację. Hunt skinął przyzwalająco szóstym palcem.

– Dawaj pan – mruknął Skrytojebca, w absurdalnym odruchu wytarłszy sobie dłonie o nogawki ogrodniczych spodni.

Lucyfer podał mu ponad kotem białą kopertę. Sneaker schował ją do kieszeni, po czym na chwilę zapatrzył się w bok.

– Jakiś kontekst polityczny? – spytał.

– Mieli udziały w karierze Bronsteina i popierają prezydenta.

– A prawda, pan tam przecież był. Jurydykator to panu przepuścił?

– Pan żartuje? FBI zjadłoby mnie w butach, gdybym w ogóle napomknął.

– A ja?

– Pana nie ruszą, zbyt wiele głów poleciałoby wówczas razem z moją, przecież pan wie.

Skrytojebca podniósł w zamyśleniu jeden z ultraczarnych owoców i wgryzł się weń. Zapachniało cynamonem, zasyczał purpurowy sok. – Bardzo ostatnio wzrosły ceny starodruków – rzekł wytarłszy brodę. – To prawda – odparł powoli Hunt.

– Tak sobie myślę… zamiast normalnego honorarium wolałbym się rozliczyć w inny sposób.

– Jaki?

– Och, wystarczyłby jeden telefon na domowy serwer. Chciałbym wiedzieć z odpowiednim wyprzedzeniem.

– Mhm?

– Pan zna plotki.

– Nigdy wszystkie.

– Mówi się o stanie wyjątkowym, mobilizacji Gwardii i zamrożeniu operacji giełdowych.

– Zwariował pan? To rozwaliłoby całe prezydenckie i kongresowe lobby, w życiu się na to nie zdecydują. Pan w to wierzy?

Hedge odwrócił wzrok, wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że jestem panikarzem. Jeśli nie, to nie: nie zadzwoni pan. Ale gdyby pan wcześniej usłyszał… Proszę zadzwonić, na przykład z pytaniem o moje kwiatki- Poślę panu nasiona. Okay?

Hunt przyglądał się Skrytojebcy podejrzliwie. Na moment odwiesił nawet wszczepkę, by spojrzeć na czysto. Wchodząc ponownie w półżaślep, zerknął na pergamin specyfikacji hosta.

– Pan nie przesiadł się z Hamaby?

– A-a tak jakoś – mruknął Hedge, uśmiechając się niepewnie – nie mogę się przekonać. Za stary już jestem, żeby się teraz przestawiać.

– Cóż – westchnął Nicholas wstając – wstąpię jutro o tej porze. Zdąży pan?

– Tego się nigdy z góry nie wie.

– No tak. Dziękuję, kamerdyner mnie odprowadzi. – Leon!

– Proszę tędy, sir.

W Centrali jakoś wszyscy wiedzieli o przedwczorajszych waszyngtońskich przygodach Hunta. Niemal całkowicie obcy mu ludzie – Fortzhauserowi ochroniarze na przykład, dyżurni lekarze z podpiętra – słali mu porozumiewawcze uśmiechy. Pod NEti zapewne nie odważyliby się na to, ale tu wszystkim rozsprzęgały się odruchy i maniery. Zamknął się w swoim gabinecie.

Już u Skrytojebcy myślał o senatorze Tito i w końcu doszedł do wniosku, że nie od rzeczy byłoby wydobyć zeń więcej szczegółów o szeptanym po Wzgórzu Grudniu. Może potwierdzić Nicholasowe podejrzenia co do natury zarazy – czy istotnie będzie to krewna Września? czy naprawdę, miast bezpłodności, powodować będzie – t o? Zadzwonił, lecz odbił się od bariery priorytetu, raz, drugi i trzeci. Zadzwonił więc do Imeldy. Co się okazało: Gaspar zeźlił się okropnie na szwagra, że ten, wiedząc o rychłym wprowadzeniu Tuluzy, tak prostacko z nim podczas piątkowej rozmowy pogrywał, naciągając na idiotyczne przysięgi, targując się o rzeczy już bezwartościowe. Cóż mógł Nicholas rzec Imeldzie? Na pewno nie prawdę, czyli że w istocie nic wówczas o Tuluzie nie wiedział. – No przecież nigdy za nim nie przepadałem – wymamrotał zamiast tego, prosto w purpury symfonicznego zachodu słońca nad Kajmanami. Faktycznie, nie przepadał. Teraz będzie musiał okazywać to jeszcze wyraźniej.

Do gabinetu Nicholasa wstąpił jeden z poruczników EDC, który zakończył właśnie swój dyżur w centrum monitoringu Wojen.

– Chciał pan wiedzieć, gdyby coś…

– A co?

– Właściwie tylko powód do kolejnego zdziwienia -skrzywił się porucznik.

– No niech pan mówi, skoro już się pan zdecydował zawracać mi głowę! – warknął nań Nicholas, który czasami zupełnie nie miał cierpliwości dla rytuałów asekuracyjnych, właściwych przepowiadaczom pogody wszystkich epok i technologii.

– Bandyci giełdowi południowej Azji, sir. – Co z nimi?

Analizy Bunkra pokazują wybicie się jednej ze składowych CG, oni tam grają na niewidzialne fronty, w każdym razie po części, ci Chińczycy.

– Na litość boską, ludzkimi słowy!

– Widzi pan, bandyci giełdowi zazwyczaj giną w szumie. No, czasami dokładają się do jakiegoś superwyraźnego trendu, wtedy wychodzą jako składowa. Średni horyzont realizacji ich zysków jest zawsze jednosesyjny. W szczególności nie posługują się żadną wspólną strategią, każdy gra sobie, współpraca jest tu z definicji niemożliwa.

– No? A wam wychodzi co innego?

– Po części – powtórzył ostrożnie oficer EDC. – Nasze programy eksperckie pokazują, że ich posunięcia są ponadchaotyczne, układają się w pewien schemat charakterystyczny dla szybkiego otwarcia w Bengalskiej Strategii Tygodniowej, przy czym grają przeciwko Chinom. To znaczy: statystycznie; bo daleko nie wszyscy. Po prostu znacząca w analizie część ich transakcji nie tłumaczy się w horyzoncie realizacji ich zysków i jeden wektor wybija się tu lekko ponad pozostałe.

– Pięknie, ładnie, dziękuję, że mi pan o tym powiedział – ale co to właściwie znaczy?

Porucznik mało nie parsknął.

– Nic nie znaczy, to są Wojny Ekonomiczne, sir, Dow Jones to Dow Jones, kurs to kurs.

– Pytam o interpretację. O przyczynę.

– Przyczyny to nie nasza sprawa, my nie decydujemy o polityce, sir. Natomiast na interpretację jeszcze za wcześnie: to może być Bengalska Tygodniowa, ale może i co innego. Sir.

Hunt przez długą chwilę gapił się niemo na oficera, w końcu machnął laską i porucznik wyszedł.

Inteligentni przecież ludzie, kręcił głową Nicholas, a tak ograniczeni. Ni myślą, ni językiem nie sięgną poza ten ich świat metagiełdy. Mają nowe aksjomaty, też wyrażone gęstą infoekonomiką. To właśnie odróżnia ją od klasycznej ekonomii: nie odnosi się do rzeczywistej sytuacji gospodarczej (i cóż to właściwie miałaby być, ta „rzeczywista sytuacja ekonomiczna"?), ani do wskaźników wywodzonych bezpośrednio ze świata fizycznego. Infoekonomiści

zajmują się wyłącznie nadbudową: entymi pochodnymi relacji podstawowych. Faktami podlegającymi analizie są w tym prawie hermetycznym świecie notowania, kursy, indeksy, ich zmiany, trendy ich zmian, korelaty i zmiany trendów, metatrendów…

Przy nich Schatzu to rzeczywiście czystej wody geniusz.

Może po prostu porucznik był zmęczony po dyżurze, odpowiadał podług najpierwszych asocjacji, nie zastanowił się…

Schatzu! Ja mu coś podpisałem, tam, w Bunkrze! Zajrzał do tej bezokiennej klitki Ronalda, ale go nie zastał. Lucyfer poprowadził Nicholasa piętro niżej, do sali, która dotychczas stała pusta. Teraz wojskowi technicy wnosili tu baryłkowate stelaże dla bębnów kryształów komputacyjnych – Hunt rozpoznał je na pierwszy rzut oka, bo takie właśnie regały kryły ściany prawie wszystkich pomieszczeń w biurach NSA, gdzie Nicholas jeszcze rok temu nadzorował maping Amerykańskiego Genomu.

Schatzu rozmawiał na korytarzu z dwoma rzeźbionymi cywilami. Na widok Nicholasa dosłownie wepchnął ich do wnętrza sali, sam zaś przyskoczył do Hunta, złapał go pod łokieć i pociągnął z szerokim uśmiechem ku minikafejce, mieszczącej się za pokojem sarkofagów. Było to tak bezczelne złamanie NEti, że Nicholas nie zdążył w porę znaleźć formy stosownego protestu i tym mimowolnym milczeniem jakoś przyzwolił na fizyczny gwałt. Publiczne cielesne obcowanie z drugim człowiekiem deprymowało go do tego stopnia, iż nie potrafił się do końca skupić ani na słowach Ronalda, ani na tym, co podszeptywał mu diabeł/consigliori: że mianowicie może w każdej chwili uaktywnić skan A-V i że jurydykator czuwa dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Ruszyliśmy wreszcie z tym złomem, przez noc się uwiniemy – perorował Schatzu. – Cztery piętnastki powinny na początek starczyć, zaczniemy od czasów współczesnych i tak będziemy się cofać, rok po roku. Najpierw odsiejemy rzeczy mocno umotywowane, żelazne łańcuchy kauzalne, subtrendy, a także wszystkie te procesy, których początek można jednoznacznie wskazać; bo to, czego szukamy, zaczyna się niewyraźnie, w setkach, tysiącach punktów naraz, z mgły, delikatnie, narastająco, z synergicznych mutacji sąsiednich ciągów… Kawki? Co? Napijemy się kawki?…Jennis, to doktor memetyki z Berkeley, ten czarny, ma teorię dotyczącą popularności poszczególnych narkotyków, być może tu uda się zejść poniżej poziomu wrażliwości na Nefele, tutaj możemy odnaleźć korelacje ze słabszymi, odleglejszymi źródłami, narkomani są bardzo podatni, w każdym razie niektórzy, są takie środki, co… Pan nie słodzi?…Tak, sekciarze i ćpuni swoją drogą, ale muszę skaptować kogoś do zestrugania sieci na kulturosferę, muzyka, film, estetyka, ja na przykład nie wierzę, że w tym całym lufu nie ma nic alienowatego, jak

w ogóle można się tym zachwycać. No, ale widzi pan, to właśnie taki śliski grunt, kwantyfikowane subiektywizmy. Stąd konieczność powrotu do tej jedynej obiektywnej podstawy weryfikacji w memetyce, ugryziemy to mianowicie przez odbicia ekonomiczne. Maszyny nam przemielą i wskażą ekstrema, skoki ponadnomartywne. Ba, lecz tu trzeba subtelnych metod analizy, Czen jest niezły, ale mam nadzieję, że urobi pan pułkownika i dopuszczą mi Le Rapha, to on zrobił na Harvardzie drzewa konwencji humoru. Bo inaczej… – Przepraszam.

Jakoś uwolnił się od chorobliwie rozentuzjazmowanego Ronalda i uciekł do siebie. Zupełnie już nie rozumiał Schatzu. Kiedy pojawił się on w Zespole, stanowił wzorcowy przykład młodego ambitnego mózgowca. Kiedy doszły do Hunta wieści o skargach Ronalda, bynajmniej się nie zdziwił: znał takich Schatzu, zdążył ich przez te wszystkie lata poznać setki. A teraz – co? Na mózg mu padła ta cała Nefele? Czy on liczy, że to odkrycie zrobi z niego drugiego Krasnowa? Może sprzedał rzecz komuś za plecami Zespołu. Swoim protektorom z Obrony…? Ale nie: ogłaszał to wszem i wobec na konferencji w Bunkrze. Logiki w tym za grosz.

Właściwie siebie też już nie rozumiał. Czemu mimo wszystko nie wyrwał się od razu z Ronaldowego uścisku? Dlaczego w ogóle się do niego fatygował osobiście – nie mógł zadzwonić? albo i porozmawiać przez wszczepkę? Schatzu miał przecież wszczepkę, może zresztą już ją wymienił na Tuluzę, członkowie Zespołu dostali kapsułki injekcyjne z rozdzielnika FBI/EDC, jako najbardziej narażeni na szturmy monadalne. Więc mógł. Ale nawet nie pomyślał. Poszedł, a durny diabeł jeszcze go prowadził.

Zamknąwszy za sobą drzwi gabinetu, jął walić Lucyfera laską po rogatym łbie.

– Myśl! Myśl, idioto! – syczał (do siebie, skoro nikogo innego tu nie było).

– Aaaarr! – ryczał książę piekieł, zbierając niezasłużone baty (laska miała srebrne okucia).

Potem zniknął. Nicholas z westchnieniem zapadł się w fotel.

Wszystkiego pół minuty dane mu było tego spokoju. Przez sekretaryjny przedarła się bowiem wysokopriorytetowa z Departamentu Stanu. Posapując dymem, czart zapowiedział nagłą konferencję z legalistami Departamentów: Sprawiedliwości, Zdrowia, Obrony, Stanu oraz FBI i dwoma sędziami Sądu Najwyższego – na temat zagrożeń powstałych na skutek upowszechnienia Tuluzy 10. Konferencja szła w standardzie 2D na ledekrany, ale wszczepka przekonwertowała ją Nicholasowi na OVR. Wymagało to trzykrotnego powiększenia gabinetu Hunta, liczba dyskutantów przekraczała dwa tuziny. Całość była archiwizowana jako dokument

wewnątrzinstytucyjny i same formalności NEti zabrały pół godziny. A zanim się telekonferencja skończyła, za oknami panowała już noc, pierzasta ciemność otuliła Nowy Jork.

Oczywiście, do żadnego konsensusu nie doszli i niczego nie ustalili, nie mówiąc już o podjęciu jakichś konkretnych decyzji, bo po temu nie posiadali nawet stosownych prerogatyw. Zgodzili się tylko co do faktu istnienia owych zagrożeń – bo rzeczywiście: samo upowszechnienie Mad Driverów może doprowadzić do wielkich tragedii. A funkcje indukcyjne Tuluzy 10? A wirusy? A zdalny masteing? Piracki editing? De. facto ubezwłasnowolnienie. Włamać się, co prawda, nie sposób, ale zawsze znajdą się jacyś łatwowierni głupcy, którzy dobrowolnie udostępnią kodu dostępu swojej Tuluzy – i jak potem odkręcisz raz powzięte przez człowieka podejrzenie?

Zresztą mód technologicznych zahamować się nie da, fraktal postępu nie zatrzyma się na życzenie prawa. Weszłoby to tak czy owak, niezależnie od Monadalnych, niezależnie od wszystkiego – z Azji, z enklaw korporacyjnych Ameryki Południowej, z autorytarnych sojuszy ekonomicznych Afryki. Spróbujmy przynajmniej utrzymać barierę wieku: 18 lat. Tak każe ustawa. Ale i w tym punkcie nikt nie miał wątpliwości: poza NEti rozejdzie się to bez żadnych ograniczeń.

Kilkanaście telefonów przetrzymał sekretarz Huntowi aż do zakończenia konferencji, teraz i z nimi musiał się Nicholas uporać. Zainstalowano estepowca w LabielS. Z CIA donosili, iż z kolei ich estepowcy doszli śladem monad depresyjnych do samego Hanoi. (Te monady depresyjne były ponoć odpowiedzialne za samobójcze decyzje szefów Dwunastu Spółek, tak w każdym razie sądzili analitycy Agencji). McManamara, umiejętnie sprzężony z kilkoma dołującymi trendami, spadł z firmamentu i próbował teraz indukować trendy rewanżystyczne – Flak naśmiewał się z juwenilistów, którzy nigdy nie uczą się na błędach poprzedników, poniewczasie zorientowawszy się w swym nietakcie; Hunt sucho zakończył z nim rozmowę. Dzwonił też Moore, zaniepokojony, bo doszły go pogłoski o zewnętrznym śledztwie w sprawie owego pierwszego przecieku informacji o Monadalnych, o który to przeciek wszyscy posądzali Zespół. Czy Hunt coś o tym słyszał?

Hunt nie słyszał. Nie miał pojęcia, czyja to mogłaby być robota, kandydatów na mścicieli miał wystarczająco wielu by mylić wrogów.

Dzwonili też z „Curtwaitera". Prosili o pozwolenie wyjścia na wody międzynarodowe. Że niby estepowcy wciąż gubią się w szumie. Zrzucił podjęcie tej decyzji na Fortzhausera. Przy okazji dowiedział się, że Marina Vassone z powrotem pojawiła się na horyzoncie.

Jej telefon już działał. Odpowiedział sekretarz, potem ona sama.

Całość szła w audio.

– Nie skorzystała pani z gratisowej Tuluzy? Dlaczego?

– A-a, nie wiem, jakoś nie jestem przekonana.

– Myślałem, że pani właśnie będzie pierwsza…

– Wątpię, żebym była na ich listach, nie dysponuję żadną realną władzą.

– Tym niemniej nie powinna pani wyłączać telefonu, pułkownik już chciał stawiać na nogi tajniaków.

– Musiałam coś załatwić, nie chciałam, żeby się za mną wlekli przez kraj.

Więc jednak gdzieś wyjeżdżała. Bez telefonu, nie korzystając z cashchipu, nie zostawiając namiarów.

– Powinna być pani nieco bardziej ostrożna, najprawdopodobniej ostro się za nas teraz wezmą, węsząc za tym wyimaginowanym przeciekiem, nie trzeba się samemu podstawiać na kozła ofiarnego.

– Niech pan nie przesadza, rozejdzie się po kościach.

– Gdzie pani jest? Zarezerwowałem na jutro stolik w „De Aunche"…

– Przykro mi. Nie będę miała jutro czasu.

– Zajrzy pani do Centrali? Na statek?

– Przepraszam. Nie najlepiej się czuję. Rozłączyła się.

Wychodząc z gabinetu, zastanawiał się, czy słusznie zinterpretował tę odmowę jako sygnał zniechęcający do wszelkich dalszych pozaoficjalnych kontaktów. Być może teraz z kolei on powinien posłać swatkę, a to z zapytaniem o chęć podtrzymania znajomości. Bo – tu aż uderzył laską o ścianę – naprawdę chciał ją podtrzymać, naprawdę tęsknił za oczyma Mariny, za jej dłońmi, za sposobem, w jaki lekko odchylała w tył głowę, zamyślona, wpółuśmiechnięta… A, precz, siło nieczysta!

Noc głęboka, podwójnie pod Necropolis. Korytarze były jeszcze bardziej puste niż zazwyczaj, tę ciszę można butelkować i sprzedawać jako dźwiękowy destylat samotności. Zszedł do sali komputerów Schatzu (czy ja mu naprawdę podpisałem pozwolenie na to wszystko?), ale nawet ona była zamknięta na głucho.

Odwracając się, spostrzegł nie domknięte drzwi do przedsionka sali sarkofagów. Natychmiast poszedł po powierzchni myśli piorun skojarzeń: sarkofagi – półtrupy -telepaci – Czarny – Czarnego twarz. Szybkim krokiem ruszył ku windom.

Ale i spadając do garaży, wciąż tkwił mocno w sieci tych asocjacji. Czarny, jego głód samotności, jego wszechobrzydzenie, jego paranoje. Powracały do Hunta całe zdania. Z pamiętnika Czarnego? z jego z nim rozmów? – już nawet nie pamiętał źródeł. Co to jest? Wyrzuty sumienia? W samochodzie pomyślał o psychoanalityku – ale wolał nie wywlekać tego na wierzch, nie utrwalać słabości. Przejdzie, minie, spłynie.

Mimo wszystko zasnął, zanim dojechał do domu. Jakoś zapomniał

o Grudniu i o Skrytojebcy. Był bardzo zmęczony, Lucyfer musiał nim trzykrotnie potrząsać.

11. Rozszczepienie

Nad ranem przyszła jakaś kurierska przesyłka, bezpośrednio na domowy adres Nicholasa Hunta. Diabeł poinformował go o tym zaraz po wygłoszeniu cytatu dnia.

– Nie spodziewajcie się za wiele po końcu świata. Na Portierni czeka przesyłka.

– Niech przyniosą – wymamrotał Hunt crawlujący niemrawo ku brzegowi łóżka. Śniła mu się Ziemia, śniło mu się, że spogląda na nią z lotu ptaka próżni. Ale nie był to zwyczajny sen o lataniu, choć wciąż pamiętał jego nieważkość. Śniło mu się, jak wyciąga rękę i dotyka planety, i wówczas glob, unurzany w boleśnie jaskrawych błękitach, bielach i żółciach, wybucha mu w twarz. Taki miał sen.

Zdziwiło go natężenie światła wpadającego zza okien do wnętrza sypialni, tym bardziej, gdy przypomniał sobie o Necropolis. Spojrzał na timer OVR: południe. Czyżby znowu coś namieszał w ustawieniach wszczepki? Czemu Lucyfer go nie obudził? Ile to telefonów już czeka na niego…? Zakląłby, gdyby było do kogo.

Zwlókłszy się w końcu z łóżka, podreptał do przedpokoju i odebrał przesyłkę. Była to kwadratowa paczuszka, biały karton z nadrukami poczty kurierskiej, prawie w całości mieszczący się w dłoni, bardzo lekki. Potrząsnął -coś zagrzechotało. Obejrzał go ze wszystkich stron, ale pole nadawcy pozostawiono nie wypełnione i nigdzie nie dostrzegł żadnej wskazówki co do jego tożsamości. Nie sądził, że poczty w ogóle przyjmują takie przesyłki.

Lucyfer, nieproszony, wygłosił długą tyradę na temat konieczności ścisłego przestrzegania reguł bezpieczeństwa oraz zagrożeń związanych z pełnioną przez Nicholasa funkcją. (Czasami Hunt miał wątpliwości, ile taki menadżer wszczepki naprawdę jest w stanie zrozumieć z życia właściciela, czasami jednak podejrzewał tu rękę twardej AI). Diabeł posunął się nawet do samodzielnego połączenia z jurydykatorem. Nicholas odpędził go kopniakiem, mało się przy tym nie wywracając.

Otworzył pudełko za pomocą noża do owoców. Nic nie wybuchło. Jeśli uwolnił jakieś nacelowane nań wirusy, to w każdym razie nie superzjadliwe, bo wciąż żył.

W środku były dwa firmowe dyski, dwie kapsułki iniekcyjne, mała kostka szarego, plastikopodobnego materiału, pozbawiona pary skórzana rękawiczka (na lewą dłoń) oraz zwój białego sznurka. Przez jeden z dysków biegł wykonany fioletowym flamastrem, odręczny napis: MODLITWA. Kapsułki miały czarny kolor, na czerni odbijały się wyraźnie jasnoczerwone litery: FS.

Hunt podszedł do wpuszczonego w ścianę terminala i wsunął do

napędów oba dyski. Wszczepka zwizualizowała ich zawartość klasycznie: w 2D, w dwóch równoległych kolumnach. Każdy z dysków zajmował pojedynczy, długi plik (w 97% i w 72%). Menadżer nie potrafił rozpoznać ich rodzajów, sugerował użycie kluczy-łamaczy publicznych szyfrów. Z pewnością nie były to samodzielne exeki, nie podchodziły też pod żadne przeglądarki, podgląd bezpośredni pokazywał niezorganizowane śmieci heksadecymalne. Zapis obu tych plików datowano na 17:43:19 wczorajszego wieczoru – no ale to też znaczyło mniej niż nic, bo cóż prostszego od podkręcenia zegara?

Wyjął dyski, rzucił na stół. Z kolei podniósł kapsułki. To akurat wiedział, czym jest, w każdym razie miał silne podejrzenia. Krasnowowy futuroskop. Kto i po co miałby go Huntowi przysyłać?

Cóż, tylko jedna osoba przychodziła Nicholasowi na myśl: Preslawny. Teraz, gdy po raz drugi przyjrzał się napisowi na dysku, wydało mu się, że rozpoznaje rękę Anzelma. Wszczepka miała w pamięci także podręczny analizator grafologiczny – niestety, Hunt nie dysponował materiałem porównawczym. A nawet gdyby dysponował. Na każdy program jest kontrprogram: istniały na Tuluzę 10 takie specjalistyczne edytory ruchu, które pozwalały z wielką precyzją podrobić każde pismo odręczne. Różnice wyszłyby dopiero przy analizie mikrometrycznej, jako że samego kształtu dłoni, długości palców, budowy ciała -tych rzeczy nie da się zmienić żadnym programem. Ale patrząca oczyma człowieka aplikacja grafologiczna na nic się tu nie zda.

Dlaczego, u diabła, Anzelm nie dołączył żadnej notatki? Przede wszystkim: czemu nie zadzwonił?

Podrzucając w dłoni szarą kostkę, kazał diabłu wywołać Preslawny'ego na kodzie najwyższego priorytetu. Brak sygnału. Aparat wyłączony lub zepsuty.

To oczywiście wzbudziło podejrzenia Hunta. Identyczny dreszcz przeszedł po nim, co wówczas, w Watergate, gdy ujrzał bijący spod drzwi apartamentu Bronsteina trójkąt światła. I identycznie skarcił się w pierwszym odruchu: to nie film. Może rzeczywiście Anzelm po prostu wyłączył swój telefon, jak uczyniła to Vassone. (Choć żadne z nich nie powinno było tego robić bez pozostawienia wiadomości na serwerze operatora).

Ubierając się (wsunął zawartość przesyłki do kieszeni marynarki), a potem w windzie i jadąc już do Cygnus Tower – pospiesznie załatwiał zaległe rozmowy. Był to poniedziałek przełomu, poniedziałek Nowej Równowagi w Wojnach, poniedziałek objawienia. Wydzwaniali z Bunkra, od Moore'a, od Stimmela, na ciągłej wysokopriorytetowej wisiał Oiol, od otwarcia wschodnich giełd nie wychodzący z operacyjnego OVR, w którym z wnętrza swego BMW odwiedził go Hunt. Spotkał tam między innymi duble Kleist i Radicka

oraz bezpośrednio wślepionego samego Sekretarza Obrony. Wszyscy już najwyraźniej sko-rzystali z dobrodziejstwa Tuluzy 10. Nicholas pierwszy raz wszedł na OVR czarnych kryształów i uderzył go tłok i chaos panujące na rządowych skrzyżowaniach (Microsoft wygrał przetarg na oprogramowanie dla instytucji federalnych). Musiał czekać po kilka sekund, gdy wchodził na zamknięte kanały prywatne, w wizualizacjach multidialogowych rwał się natomiast transfer danych aktualizujących, wszczepka nie nadążała z wygładzaniem linii A i V. Nicholas przezornie nie wczepiał pozostałych zmysłów, wolał dzisiaj nie ryzykować żadnych sensacji fizjologicznych.

– Zobacz na te przepływy…! – nadrealny Oiol wskazywał mu palcem o diabolicznie długim paznokciu płonące krzywe. Bajerancki software oślepiał filmową jaskrawością wizualizacji.

Hunt słuchał, kiwał głową, stosownie frasował się i zdumiewał. Starał się przetrwać to wszystko z jak najmniejszym uszczerbkiem dla swego zdrowia psychicznego. Odkąd sięgał pamięcią, dane mu było żyć albo właśnie w przededniu kryzysu, albo już w czasach postkryzysowych. Wszelkie przepowiednie, histerie i apele nieodmiennie okazywały się przesadzone – nie widział powodu, dla którego akurat to przesilenie miałoby się do tego stopnia różnić od dziesiątków przesileń, które dotąd przetrzymał. Przy okazji każdego mówiono: „potem już nic nie będzie takie samo". Faktycznie, nie było – bo nigdy żaden dzień nie jest taki, jak dzień go poprzedzający. Ale to, że świat się nieustannie zmienia, nie było dla Nicholasa Hunta żadnym powodem do nagłych lęków. Chętnie się zgodzi, że z taką postawą łatwo może zlekceważyć rzeczywiste niebezpieczeństwa – no, ale skąd niby ma wiedzieć, które to są? Statystyka zachęca do przeciwnego podejścia. Specjaliści kraczą przecie za każdym razem (teraz Kleist, przedtem byli inni, tak samo przekonujący, albo i bardziej), a on, samemu nie będąc specjalistą -jakże mógłby dokonać słusznego osądu? Oni kraczą, świat idzie naprzód, trzeba jakoś zachować zdrowy rozsądek.

W Centrali z miejsca wpadł na czterech agentów FBI, którzy mieli się tu zająć „analizą kontrwywiadowczą". To było właśnie owo „zewnętrzne śledztwo". Moore przydzielił im już pokoje (kończyła się nie wykorzystana przestrzeń na podpiętrze), a Hunt bez słowa podsygnował ich wydziały. Zajrzał potem do nich powtórnie. Obżerali się właśnie chińszczyzną w towarzystwie McFly'a. Chciał wybadać kierunki ich dochodzenia, ale jeden przez drugiego, z pełnymi ustami i przy bardzo szczerej mimice, jęli go zapewniać, że nic jeszcze nie wiedzą, że dopiero muszą się zapoznać z materiałami, że w ogóle długo to potrwa, że będą go na bieżąco informować, et cetera. Mało brakowało, a uwierzyłby im.

Kilkakrotnie w ciągu całego dnia dzwoniono do Hunta z

nowojorskiej filii A amp;S Justice Incorporated. Prawnicy jurydykatora mimo wszystko nie zdołali wyłączyć Nicholasa ze sprawy Bronsteina, prokurator dążył do przesłuchania Hunta, a ludzie A amp;S radzili zgodzić się przynajmniej na kontrolowaną sesję, pojutrze, w Nowym Jorku, w biurach korporacji jurydycznej lub w klasztorze na Hetter, jeśliby zaakceptowano arbitraż. Nicholas za wszelkę cenę chciał zamknąć sprawę. Gdyby, nie daj Boże, coś poszło źle, Langolian mógłby bez wielkiego wysiłku utopić go w tym gównie: ani by się Hunt obejrzał, a we wszystkich sieciach obwieszczono by go – w subtelnych, a niekaralnych insynuacjach – mordercą Bronsteina.

Przypomniał sobie o tajemniczej przesyłce. Najpierw wstąpił do Moore'a i dał mu ten szary sześcian, sznurek i rękawiczkę, niech zbadają, co to właściwie jest. Kto inny na takie dictum pewnie wytrzeszczyłby oczy, ale Moore tylko podrapał się po nosie i mruknął, że prywatne prośby Nicholasa zawsze owocują ciekawymi odkryciami. To przypomniało Huntowi o projekcie Schatzu. Zaszedł tam nawet, ale zaraz uciekł z tego gniazda szaleńców: egzornemetycy kłócili się o pozaziemskie pochodzenie poszczególnych elementów nowoczesnych tańców.

Raz po raz wzywano Nicholasa do centrum monitoringu Wojen. Nie chciało mu się już ruszać z gabinetu, więc tylko podłączył się do maszyn centrum. Strupieszały kapitan EDC tłumaczył Huntowi z wnętrza ciemnego zwierciadła ogrom poszczególnych katastrof. W każdym razi próbował tłumaczyć, bo Nicholas odniósł tylko wrażenie iż oficer Korpusu wylicza mu bezczelnie kolejne obszary swej ignorancji. Tyle z tego zapamiętał, że niepojęty spisek detalicznych graczy rozszerzył się na całą Azje a wielkie przemieszczenia kapitału wskazały – oprócz Kompanii Hongkongi]skiej – inne potencjalne mocarstwa monadalne: Transwaal, Zakaukaską, Izrael. Wszyscy ponadto oczekiwali kontruderzeń programów defensorskich pochłanianych państw/korporacji, każdego o sile co najmniej równej sile niedawnego ataku zboczonego programu EDC. Rychło skumuluje się to na giełdach światowych i wtedy dla ubezpieczenia nie wystarczą największe nawet rezerwy finansowe. Tymczasem niemal wszystkie wskaźniki skorelowane z amerykańską gospodarką szły w dół, może nie alarmująco szybko, ale za to wytrwale. Był to poniedziałek ewidentnej bessy. Hunt wyobrażał sobie, co dzieje się w OVR czarnych kryształów Oiola.

Z tym większą uwagą przystąpił do przekładania protokołów pokonferencyjnych na język biurokratycznych dyrektyw. Zgodnie z przewidywaniami Nicholasa było tego kilkadziesiąt terabajtów, same wnioski zamykające obrady każdej z grup w sumie zajmowały sześć mega nie sformatowanego druku. I – także zgodnie z jego przewidywaniami – proponowały tyle wzajem sprzecznych strategii,

że Hunt mógł być spokojny o uzasadnienia wszelkich swoich decyzji, przeszłych i przyszłych.

Przekopiował całość danych do swej wszczepki i dalej pracował w półżaślepie A-V. Natknąwszy się w jednym z nagrań na przemawiającego Krasnowa, przypomniał sobie o Anzelmie i pogonił Lucyfera. Niestety: telefon Preslawnego wciąż nie dawał sygnału zwrotnego. Zirytowany, zadzwonił bezpośrednio do szefa personelu Hacjendy.

– Jeszcze nie wrócił – odparł tamten.

– Wyjechał? Kiedy i dokąd?

– Do miasta chyba, no bo gdzie indziej mógłby pojechać? Wczoraj wieczorem. Tak. Ciemno już było. Widocznie zabalował.

– Telefon mu nie odpowiada. -Sugeruje pan, żeby posłać kogoś za nim? Sam pan najlepiej wie, jakie tam macie procedury, Proszę tylko pingnąć do mnie, gdy coś się pokaże. – „Coś", hę? Okay proszę bardzo, pół godziny później zadzwonił do Hunta Fortzhauser, z kolejnymi narzekaniami na Vassone: że niby zamęczają go z „Curtwaitera", bo pani doktor znowu nie raczyła się pokazać, telefon sobie wyłączyła i buja gdzieś w obłokach. Ta nagła plaga detelefonizacji poruszyła w Nicholasie złe skojarzenia. Swoją drogą – Vassone rzeczywiście głupio prowokowała podejrzenia.

Następne pół godziny – i diabeł przypomniał mu o spotkaniu ze Skrytojebcą. Już czas, już czas. Hunt zjeżdżał do garaży razem z McFly'em i jednym z agentów specjalnych, tamci dwaj opowiadali sobie makabryczne dowcipy rodem z kostnicy, dla Nicholasa jakoś zupełnie nieśmieszne. Do domu sneakera jechał znacznie dłużej niż wczoraj: strefy podmiejskie wyjątkowo się pokorkowały, programy pilotujące samochodów nie mogły sobie poradzić. Przyczynę jednego z zastojów zobaczył na własne oczy: na wstędze niżej kilkoro pasażerów wysiadło z wozów i zaczęli się szarpać, kopać, okładać pięściami, na oczach Nicholasa Przyłączali się kolejni. Helikoptery drogówki i jurydykatorów krążyły ponad, w Necropolis podobne włochatym ważkom.

Tym razem. Hedge poprosił Hunta do środka i na dół, do piwnicy swej willi, tam mieściła się izolatka sneakera.

Byt to mały pokój urządzony w karykaturze orientalnego stylu: jaskrawe dywany, stosy poduch, żadnych krzeseł, w ogóle brak mebli. Miodowej barwy światło biło z ustawionych w czterech rogach pomieszczenia blaszanych lamp.

Gdjzieś też płonęło kadzidło, w każdym razie Nicholas wyczuł taki zapach. Hedge wskazał mu jedno z gniazd poduszek, sam ułożył się wygodnie na boku przy drzwiach.

Tym razem był w wielkim czerwonym szlafroku – tylko fezu mu na głowie brakowało dla dopełnienia obrazu dobrotliwego paszy

przystępującego właśnie do targów z niewiernyrn.

Od momentu zatrzaśnięcia drzwi izolacja była zupełna. Hunt przekonał się o tym po pięciu bezskutecznych próbach połączenia się wszczepki z lokalnymi gwiazdami Prawdopodobnie klatka Faradaya.

Skrytojebca sięgnął za pazuchę i wyciągnął spod fałdów czerwieni wijącą się szaleńczo kobrę.

– Taki mój mały programik – pogłaskał ją po kapturze. – Opuść tarcze, Nicholas, muszę się upewnić, że nie włączysz mi tu nagle skanu. – Bez uprzedzenia przeszedł na ty: już bardziej out of NEti, jak oni dwaj teraz, nie można być.

Nicholas skinął na Lucyfera.

– Dobra – mruknął na głos.

Sneaker rzucił w niego kobrą. Wąż skręcił się w locie, spadł Huntowi na pierś i dziabnął go przez ubranie. Nicholas z obrzydzeniem strzepnął go z siebie jednym uderzeniem. Gad szybko zniknął gdzieś między poduszkami.

– No? – mruknął zirytowany już lekko Hunt. – Więc? Skrytojebca wskazał kciukiem ścianę po lewej. Ściana była zaledowana: teraz wyświetlił się na niej obraz idącej długim, pustym korytarzem Chiguezy, twarzą ku karnerze.

– Chigueza, Maria Vonda. Urodzona w 1997 w Paryżu, Francja, matka Francuzka, ojciec Meks. Pretrevelyanistka. Prawnik. Od trzydziestego pierwszego pracuje w Sementicc, późniejszym filarze Grupy Langoliana. Od trzydziestego trzeciego zaczyna wchodzić w ich udziały Zakres obowiązków niejasny aż do pięćdziesiątego drugiego, kiedy to krótko pełni funkcję dyrektora inwestycyjnego. Ale zaraz schodzi w ogóle z listy płac. W następnych latach, po szeregu fuzji, wzmacnia swoją pozycję i zwiększa udziały. Jednak o konkretne dane coraz trudniej. W momencie powstania Langolian Group schodzi z całości swoich akcji i od tej pory brak jakichkolwiek oficjalnych powiązań. Opodatkowuje się w Indyjskiej Buforowej, nie sposób ocenić faktycznej wielkości jej dochodów i majątku. Prześledziłem ścieżki co większych pakietów akcji Grupy i na podstawie tych danych oraz mojego zawodowego doświadczenia zaryzykowałbym zakład, że Chigueza kontroluje od dwudziestu do czterdziestu pięciu procent udziałów. Może nawet więcej. To trudno ocenić, ponieważ wirtualni właściciele dobierani byli najwyraźniej za pośrednictwem firm toserskich.

Więc ona posiada pakiet kontrolny? – mruknął w zamyśleniu Hunt chłonący te dane z tym większym skupieniem, iż nie będzie mieć potem szans na powtórkę wykładu ze skanu ani w transkrypcji tekstowej.

Kariera Chiguezy od trevelyanistki do właścicielki korporacji nie zrobiła na nim aż tak wielkiego wrażenia: podobne kariery zdarzały

się nazbyt często, by stanowić jeszcze jakąś sensację. O potędze stanowiła najpierw ziemia, potem kapitał, teraz zaś moc intelektualna – a to oznacza ludzi i zawartość ich umysłów. Jednak prawdziwie wartościowych jednostek nie sposób już skrępować więzami emocjonalnymi (wymuszając wierność ojczyźnie/spółce), ani też utrzymać, za każdym razem przebijając oferowaną im przez konkurencję płacę. Pierwsze zrozumiały to firmy w całości opierające się na potencjale intelektualnym: kancelarie prawnicze, biura doradcze, konsultingowe i im podobne. Struktura ich własności w krótkim czasie zmieniła się radykalnie – przekształciły się w coś w rodzaju spółdzielni, spółek pracowniczych, przy czym udziały w nich przysługiwały jedynie pracownikom powyżej pewnego wysokiego progu wydajności oraz w proporcji do ich potencjału. System ten przenikał błyskawicznie wszędzie tam, gdzie zdolności intelektualne miały kluczowe znaczenie – czyli już prawie do każdego sektora gospodarki. Najsilniej dotyczył jednak wciąż klasy menadżerskiej, ponieważ tu występowało najbardziej bezpośrednie przełożenie „wartości" najętego umysłu na wysokość osiąganych zysków. Do pewnego momentu wielkość udziałów Chiguezy świadczyła zatem o jej znaczeniu dla firrny. Teraz już wszakże mówiła więcej o znaczeniu firmy dla Chiguezy.

Że Maria opodatkowywała się w jednej ze stref poindyjskich – to też nie wzbudziło zainteresowania Nicholasa. Gdy podstawowym produktem jest informacja, a środki jej produkcji ograniczają się praktycznie do ludzi, i to bynajmniej nie wielkich mas robotniczych, lecz małych grup specjalistów – nic wówczas nie wiąże firm z konkretnym krajem i wystarczy, by korzyści ekonomiczne wynikłe z przenosin przewyższyły dyskomfort psychiczny spowodowany emigracją, a już przesuwa się punkt ciężkości światowej gospodarki. A przecież ten dyskomfort był z biegiem czasu coraz mniejszy: trzeba się naprawdę postarać, żeby jeszcze znaleźć na Ziemi takie miejsce, w którym człowiek faktycznie poczułby się emigrantem. Na dodatek konieczność fizycznej przeprowadzki dotyczyła niskiego procentu pracowników, większość i tak wykonywała swą pracę zdalnie, do przeniesienia się spółki na drugi koniec świata starczyło kilka operacji na kryształach sądów rejestracyjnych. Gdyby nie wynikła z Wojen Ekonomicznych konieczność konsolidacji w obronne holdingi i sojusze, zwarte struktury branżowo-terytorialne – za ojczyznę dziewięćdziesięciu procent przedsiębiorstw uznać należałoby VR. Indyjskie powiązania Chiguezy o niej samej nie mówiły nic. Ot, miała dobrych doradców podatkowych.

– Praktycznie tak – odparł Hedge na pytanie Nicholasa. – Wolumen akcji Langoliana w wolnym obrocie nie jest aż tak duży, to dosyć gęsta sieć, przyjęli w Wojnach strategię otorbiania.

To też nic niezwykłego. Udział państw demokratycznych oraz korporacji o luźnej strukturze kapitałowej w światowym PKB spadał z roku na rok na rzecz firm „zamkniętych", „otorbionych". Taka struktura po prostu bardziej się opłacała.

– Jeszcze ciekawostka dotycząca firmy: dziesięć lat temu mieli u jezuitów proces z jednym z podwykonawców Mostu. Nic nie wyszło poza zakon, ale możemy przypuszczać, że szło o prawa do technologii neuroprzyłączy. Treści samego orzeczenia jezuitów nie sposób dociec.

Większość sporów dotyczących umów cywilnych rozstrzygana była podług załączanych uproszczonych kodeksów, ekskluzywnych wobec prawa miejscowego. Jeśli zgadzały się na to obie strony, miast do sądu, szły do tak zwanych „sędziów zaufania". Zazwyczaj byli to duchowni wyznań o długiej tradycji, cieszący się niepodważalnym autorytetem. Firmy wybierały tę drogę, ponieważ było to opłacalne: usuwało potworny, kilkudziesięcioprocentowy nawis wydatków na obsługę prawną, niezmiernie przyspieszało całą procedurę i minimalizowało prawdopodobieństwo afer łapówkarskich. – Teraz proszę uważać.

Obraz na ścianie się zmienił: zamiast korytarza pojawiło się wnętrze hali lotniska. Hunt na zbliżeniu rozpoznał siebie samego oraz owego jurdę waszyngtońskiej filii A amp;S. Nicholas siedział samotnie przy jednym ze stolików, jurda – przy stoliku obok.

– Mogę ci to przewinąć z godzinę w obie strony – rzekł Skrytojebca. – Gadałeś do popielniczki. Bardzo fachowa robota. Sprawdziłem nawet, czy nie ma luki w tłumie, skąd wyszła, ale i to naprostowali. Więcej: to, co ty tam sobie mamroczesz, to są jakieś nieprzyzwoite rymowanki. Dowcipni ludzie.

– Z czego to jest? Sieci ochrony lotniska?

– I ubezpieczenia prawnego.

To ruszyło Nicholasa. Ten Skrytojebca faktycznie jest niezły, skoro tak lekko wchodzi na kryształy notarialne NEti.

Widać, że jednak nie bez przyczyny te wszystkie zabezpieczenia w Centrali.

– Senora Chigueza w ogóle rzadko nawiedza świat żywych – kontynuował Hedge. – Teraz pokażę te kilkanaście ścinków, które udało mi się wygrzebać z ostatniego roku, przy czym większość i tak jest z publicznych save'ów skanów przypadkowych przechodniów, bo z NEti niczego nie uświadczysz.

W sumie było tego nieco ponad siedem minut. Chigneza migała na ścianie Hedge'owej izolatki na tle różnych krajobrazów, we wnętrzach różnych budynków, sama i w towarzystwie, w tłumie, na ulicy, z tyłu, z przodu, z profilu, z góry, w odbiciach, w ujęciach statycznych i rwanych formatunkach dynamicznego POV. Czasami udawało się wychwycić wypowiadane przez nią słowa, ukazywały się

wtedy równolegle w oddzielnym oknie. Zdania bez związku, o Grudniu.nic.

Hedge nadal nie oglądał się na ścianę, on nieodmiennie patrzył na Hunta. Jeśli czekał jakichś gwałtownych reakcji, zawiódł się całkowicie – Nicholas ani nie mrugnął, ni jeden mięsień twarzy mu nie drgnął. Kiedy prezentacja się skończyła, poprosił o powtórzenie. I raz jeszcze. – Jakiś konkretny fragment? – spytał Skrytojebca. Ale Hunt pokręcił przecząco głową.

– Często trafia pan na takie fantomy?

– Częściej niż przypuszczasz – sapnął Hedge. – Prawa własności to dżungla. Jest paru tych potentatów, których widzisz wszędzie w mediach, jest parę takich głęboko ukorzenionych familii – ale potem: dziura, wielka dziura między nimi a najemnym menadżmentem. Ci miliarderzy zrodzeni z Wojen, oni nie identyfikują się z żadną wspólnotą, to są jednoosobowe państwa, wycinają się z rzeczywistości nie ze snobizmu czy przez jakieś próżne paranoje, nie wydaje mi się. Prędzej ze strachu. Zdarzało się, że miast przeciwko firmie, grano bezpośrednio przeciwko jej właścicielowi, i to naprawdę ostro, pamiętasz chyba Lanckfursta albo sprawę Michigan. Teraz oczywiście też mniej więcej wiadomo, kto za czym stoi. Są to wszakże standardowe środki ostrożności.

Potem Nicholas spytał o Bronsteina.

– Nic zupełnie – przyznał szczerze sneaker. – Nie mogłem się zresztą zbytnio zagłębiać, zbyt wiele na czarnych kryształach.

– Mam nadzieję, że nie podejmował pan przesadnego ryzyka.

– Nie – zaśmiał się Skrytojebca – podejmowałem nieprzesadne. Zresztą, a bo to kiedy można wiedzieć? W tym interesie żadnych ostrzeżeń się nie otrzymuje. Po prostu, pewnego dnia niebo spada na głowę.

– Grudzień – otworzył kolejny temat Hunt.

– Tak – westchnął sneaker – tu miałem problem. Przy tak szeroko rozwartych widełkach utonąłem pod lawiną nie powiązanych danych, przecież to jedno z najczęściej używanych słów. Ciężko ułożyć dokładny i skuteczny filtr. Nie zlistuję ci tego, bo i tak byś nie ogarnął. Musiałem się ograniczyć do korelacji z podanymi przez ciebie podmiotami. Odcedziłem banalizmy. Jeśli gadali szyfrem, jakimś ich wewnętrznym kodem – to trudno, tego nie sposób rozpoznać z kilku zdań rzuconych na ulicy czy w restauracji. Zostały dwa pliki.

Na ścianie pojawiła się przykryta grubą kołdrą śniegu drewniana chata, z jej otwartych drzwi buchały w noc kosmate kłęby jasności, odblask od kryjącej ziemię bieli tworzył nieprzyjemne dla oka kontrasty z mroczną głębią lasu i nieba. Obraz trwał w stopklatce. Na pierwszym planie znajdowali się mężczyzna i kobieta, oboje ubrani zaskakująco lekko jak na domyślną temperaturę powietrza. Kobieta

pochylała się ku ziemi, wpółobrócona ku schodzącemu po schodkach chaty mężczyźnie.

– Ten fenomongoł pracuje w Langolian, zastępca szefa działu prawnego. To jest jego żona na czteroletnim przedłużonym. Zdjął ich właściciel chaty. Proszę słuchać, podciągnąłem fonię.

Obraz ruszył. Kobieta, prostując się, cisnęła w mężczyznę śnieżką.

– Albo może ten wasz grudzień, co?! Zasrani…

– Zamknij się!! – wrzasnął fenomongoł, podbiegł do niej, przewrócił w śnieg. Szamotali się chwilę. Wreszcie podźwignął ją na nogi i poprowadził do wnętrza chaty.

– Drugi – zaanonsował Skrytojebca.

Zjazd z autostrady. Słońce nisko nad prerią. Reklama Ferno. Zatrzymuje się mercedes, wysiadają dwaj rzeźbieni. Stop.

– Brunet to doktor Muchin, genetic designer, najpierw w projektach rządowych, pod Vermundterem, potem krótko w SRTY Ltd., Langolian daje jej osiemdziesiąt procent zamówień; teraz freelancer, na zleceniach. Ten drugi to jego mąż na dwuletnim.

Wysiedli, mercedes zamknął drzwi, ruszyli ku kamerze. -Ale po grudniu, po grudniu… – mruczał Muchin. -Nie przejmuj się tak. -Bo ja wiem… -Toteż właśnie.

– Smeeboy nigdy… – Eetam.

– Mówię ci.

– Przecież to nie wy. To przypadek.

– Ale modlitwa… Modlitwa to wszystko wykorzysta, to są miliardy, biliony, Jezu, sam już nie wiem…

– Chodź, chodź. Wyszli poza kadr.

– Jeśli jest coś więcej – oświadczył Hedge – to w każdym razie ja nie zdołałem się dogrzebać.

– Kiedy zarejestrowano ten drugi kawałek?

– Ee… w zeszły wtorek.

Hunt podniósł się na poduszkach, sięgnął do kieszeni i rzucił sneakerowi oba Anzelmowe dyski.

– Sprawdziłby pan z łaski swojej, co właściwie na nich jest.

Skrytojebca tylko lekko uniósł brew. Wygrzebał skądś spod poduszek obłego kształtu pudełko i wcisnął weń dyski. Obserwującemu to z kamienną twarzą Huntowi poniewczasie przyszło do głowy, że Hedge prawie na pewno skopiuje sobie całą ich zawartość.

– Nie znam tego formatu – rzekł powoli sneaker, popatrując gdzieś ponad głowę Nicholasa. – Na oko sądząc, jest to pakiet spakowany, ale jakim kompresatorem, Bóg raczy wiedzieć. Nie ma główki, sam się nie rozwinie. Skąd to masz?

– Bóg raczy wiedzieć – wzruszył ramionami Hunt, wyciągając rękę po dyski.

Skrytojebca oddał mu je.

– Co do naszego rozliczenia… – zaczął Nicholas.

– Moja propozycja wciąż pozostaje w mocy.

– Naprawdę nie sądzę…

– Proszę się nie przejmować – zaśmiał się Hedge wstając. – Może po prostu bawię się w Don Corleonego, przysługa tu, przysługa tam.

Hunt skinął głową.

– W takim razie za to zapłacę od ręki – powiedział, spoglądając z dołu na sięgającego ku gałce drzwi sneakera.

– Za co?

– Gubią mi się bez przerwy ludzie, myślą, że jak wyłączą telefon, to mają wolne.-Nie chciałbym wciągać w to wewnętrznych, ale powinni przecież znać rygor. Mógłby ustawić na nich sita? Dzień, dwa. Anzelm Preslawny, Marina Vassone. Zaraz dam panu ich numery. Hedge wzruszył ramionami. – Nie ma sprawy.

Hunt wstał, odebrał od Lucyfera kopertę i podał ją Skrytojebcy. W kontynuacji tego ruchu uścisnęli sobie ręce. Z cashchipa poszedł dym, wyświetliły się dane operacji, Nicholas potwierdził.

Hedge osobiście odprowadził Hunta do bramy posiadłości, do samochodu. Leon się nawet nie pokazał.

Ledwo Nicholas wyszedł z izolatki, zapłonęły mu czerwonymi neonami nazwiska oczekujących połączenia rozmówców. Sam bez przerwy dobijał się tak do aparatów Anzelma i Mariny, lecz ich nazwisk nie było na liście. W drodze powrotnej do Cygnus Tower tyle się nagadał, że w końcu zaczął chrypieć – Orator to wygładzał, ale Hunta drapało już w gardle.

Popijając firmowy tonik BMW, wyjrzał przez okno wozu i ze zdziwieniem spostrzegł, że nadal nie wydobył się ze strefy podmiejskich obwodnic, chociaż już dawno zaszło słońce. Reklamy płonęły na niebie niczym zapowiedzi apokalipsy komercji. Hunt odchylił głowę na oparcie, fotel rozpoznał nastrój i objął go głębiej. Psychiczne zmęczenie przekładało się w ciele Nicholasa na zmęczenie materii. W miarę jak stygły mięśnie, rósł w nim pesymizm. Jeden z tych telefonów był od jego operatora giełdowego: w ciągu kilku godzin stracił Hunt ładnych parę kilodolców. Czy schodzić? – dopytywał się program domu maklerskiego. Czy schodzić? Nicholas odpowiedział przecząco, ale już jedynie z czystego uporu.

Ponure myśli go ogarnęły Nawet jeśli słusznie domyśla się Grudnia – to co z tego? Komu mógłby to sprzedać?

I to sprzedać w zamian za nowe życie? Obawiał się, że jest to jedna z tych spraw, które szkodzą w pierwszym rzędzie tym, którzy je ujawniają. Tak samo przecież nie zmartwychwstałby, ujawniając jakąś wielką aferę łapówkarską – po pierwszych dwóch-trzech miesiącach zepchnąłoby to go tylko jeszcze głębiej w półmrok świata zombich.

Więc czemu w ogóle się naraża? Trzeba było mi stchórzyć, przeżyłbym to jakoś, nie ma obawy, większe tchórzostwa przełykałem. Teraz natomiast zapadam się coraz głębiej w absurdalne śledztwa, na dodatek po części nielegalne. A jeśli przyjdą do Kleist, generał zrobi ze mnie szarą eminencję urojonego spisku. Spisek, mój Boże…! Zaśmiałby się – ale co to byłby za śmiech.

Może ja lepiej wyjdę z tego Necropolis, po co się dodatkowo dołować…

Zgłosił się kolejny rozmówca. Czerwone litery: HEDGE.

– Tak?

– Vassone, drzwi jej apartamentu, przed minutą, wyszła lub weszła.

– Dziękuję.

Westchnąwszy, wywołał kierowcę i zmienił destynację. Chwilę potrwa, zanim wóz w ogóle przesunie się na pasy zjazdu. Przewidywany czas dotarcia na miejsce: 27 minut.

Ostatecznie potrwało to blisko dwukrotnie dłużej. Hunt w tym czasie zdążył wybrać, wyprofilować i przetestować Baryshnikova, amatorski edytor ruchu. Nie chciał okazać przed Mariną zmęczenia, chciał być bezczelny, arogancki, przepełniony złośliwą energią.

W windzie hotelu przejrzał się jeszcze w lustrze i poprawił makijaż. Wyszła – weszła: fifty-fifty. Idąc ku jej drzwiom, postukiwał głośno laską. Zamknął wizualizację sekretarza telefonicznego, otworzył zapis pełnego skanu A-V.

Wyszła – weszła, wyszła – weszła…

– No co? – warknęła nań, ledwo drzwi się uchyliły. -Czego pan chce?

– Dobry wieczór – ukłonił się gładko. Baryshnikov bezpiecznie zamroził jego twarz. – Pozdrowienia od Marii Chiguezy.

Tylko zmierzyła go wzrokiem. Teraz spojrzał na nią z większą uwagą: oczy miała zaczerwienione, włosy nie zaczesane. I jak była ubrana: w dżinsy i ciemny golf- Nawet schowała podeń swój wisiorek z logo jurydykatora, widocznie nigdzie się nie wybierała. Kłaniając się zauważył co miała na nogach: sportowe, wysokie nad kostki tauppies.

Stała w drzwiach, zagradzając mu drogę do wewnątrz, jeśli Hunt się szybko nie wycofa, podpadnie z NEti pod kilka paragrafów.

No? – powtórzyła, i aż się zastanowił, czy i ona nie korzysta z jakiegoś Oratora, z taką siłą rzuciła mu w twarz tę pojedynczą sylabę; ale nie, przecież nie ma wszczepki, sama mu to powiedziała. – Czego?

– Czyżby zatem to zupełny przypadek zrządził, iż zatrzymałyście się w Bostonie w tym samym hotelu i przy tym samym stoliku spożywałyście posiłek? Umaczała pani sobie rękaw w sosie, o, tu. Chigueza płaciła z zewnętrznego chipa.

– Och, Boże mój, no więc niech pan już wejdzie, proszę.

Ale gdy wszedł, Marina momentalnie zniknęła mu z oczu za drzwiami gabinetu. Pojawiła się na powrót tylko po to, by zaraz przepaść w innej części apartamentu. Całe jej zachowanie świadczyło o jakimś nerwowym roztargnieniu. Roztargniona była na pewno, skoro pozwalała sobie pod NEti na religijne inwokacje.

Baryshnikov poprowadził Nicholasa do sofy i usadził go na niej swobodnie. Tym razem drzwi na balkon były zamknięte, nie dochodziły Hunta odgłosy miasta. Słyszał tylko echa odległej krzątaniny Mariny.

Z ciekawości sprawdził – ale nie, ona wciąż miała wyłączony telefon.

Grudzień, przypomniał sobie – Grudzień i azjatyccy bandyci giełdowi… Jeśli ci w centrum monitoringu… Ale skoro ja się domyśliłem… a raczej – jeśli faktycznie się domyśliłeni, bo może…

Wtem z niewiadomych przyczyn Baryshnikov poderwał go i przeskoczył sofę, kuląc się pod ścianą. Od strony przedpokoju coś zasyczało. Zdezorientowany Hunt usiłował się podnieść chociaż na tyle, by wyjrzeć zza mebla i zobaczyć, co tam właściwie się dzieje, lecz program trzymał go w parterze. Trzygłowy pies wielkości myszy biegał po oparciu sofy, warcząc na Hunta: – Niebezpieczeństwo! Powiadomić jurydykatora! Niebezpieczeństwo! – Nicholas skinął szóstym palcem (to była jedyna część ciała, jab mógł poruszyć) i wyłączył nakładkę MUI, na wszelki wypadek otwierając jednak łącze do A amp;S.

Cerberek zniknął, po czym, jak na sygnał, rozległ się głośny trzask i krzyk Mariny. Teraz już Nicholas wiedział na pewno, że sieć ubezpieczenia prawnego mieszkania była wyłączona. Ze swego kąta widział tylko tył sofy, sufit, kawałek ściany i górną część drzwi do gabinetu. Były otwarte.

Co tu się, do cholery, dzieje? Ostatnie, czego mu trzeba, to banda prawników korporacji jurydycznej przesłuchujących wszystkich naokoło.

Rozległ się męski głos. Marina krótko odpowiedziała na zadane pytanie. Zirytowany wyłączył Baryshnikova i samodzielnie wstał. Zdążył jeszcze zobaczyć go w locie, jak przeskakuje sofę. Potem Hunt został brutalnie rzucony na podłogę, ręce wywichnięto mu z barków i przyciśnięto do pleców, szpilkę jurydykatora wyrwano z gorsu, coś zimnego uderzyło Nicholasa w potylicę i pchnęło jego głowę jeszcze niżej, nos zderzył się z parkietem, zmiażdżona chrząstka przemieściła się wewnątrz. Przerażony Hunt wciągnął powietrze przez zęby. Porzucając wszelką nadzieję, wysłał sygnał alarmu do jurydykatora. Wiedział, że nie zdążą. Nie pozostało mu nic więcej, jak kląć w duchu samego siebie; – A na co ci było, kretynie mosiężny, w ogóle pytać o tego Grzyba…?

12. Monday, bloody Monday

Zanim Cień wygonił ich do windy, Hunt zdążył jeszcze zajrzeć do drugiej sypialni, gdzie spoczywały na zielonym dywanie zwłoki zamachowca. Cień zabił go, łamiąc mu kręgosłup i miażdżąc czaszkę, kalecząc głęboko mózg. Zamachowiec mógłby być genetycznym bratem Cienia: dwa metry z hakiem, długie ręce i nogi, byczy kark, był nawet tak samo ostrzyżony (to znaczny na zero), o tej samej karnacji (fenomulat). Tylko ubrania mieli różne: zamachowiec – drogi garnitur od Mounta; Cień – płócienne spodnie i koszulę w kratę. Teraz ta koszula prezentowała wzór bardziej abstrakcyjny, długie rozmazy krwi wprowadzały elementy ekspresyjne. Kiedy Marina mu zaproponowała, żeby się przebrał, odwarknął tylko: – Nie ma czasu – popatrując przy tym wściekle na Hunta. Nicholas rozłożył bezradnie ramiona: raz wezwanych jurd nie można już odwołać, żadne telefoniczne przeprosiny za pomyłkowy alarm ich nie zadowolą, taka jest procedura prywatnych policji, rozgłaszana wszem i wobec, aby potencjalni napastnicy z góry wiedzieli, że mają przerąbane od pierwszej sekundy.

Ale przecież Cień mógł był zabić tamtego znacznie bardziej higienicznie, Hunt był tego pewien. Po cholerę więc babrał się w jego mózgu? Po coś na pewno. Być może oba wiał się pośmiertnych reakcji automatycznych. Czv wszczepka może animować zmarłego? Ee, chyba nie, organizm musi dysponować energią, wszystko, do czego zdolna jest wszczepka, to indukcje impulsów nakorowych. Jednak z drugiej strony…

Trupodzierżca wyglądał jak mały pistolet z doprawionym do krótkiej lufy szerokim ryjem z czarnego metalu Zanim Cień schował go do kieszeni spodni, podnoszący się z podłogi Nicholas przyjrzał się gadżetowi (w istocie nie mógł wręcz oderwać od niego oczu). Ten ryj się poruszał, jakby bezustannie węsząc we wszystkie strony, czarne wargi drżały niespokojnie. Tylko włączony na powrót Baryshnikoi zapobiegł wzdrygnięciu się Hunta na wspomnienie zimnego dotyku owych ust na swej potylicy.

W spadającej do garaży windzie Nicholas zapytał o Trupodzierżcę – nie Cienia i też nie Marinę: z nieruchomą twarzą wygłosił pytanie w przestrzeń przed sobą.

Odpowiedział Vittorio:

– Trupodzierżca. Kładzie własną, zamkniętą wszczepkę. Inwazyjnie. A teraz zamknij się.

Pod nogami mieli torby z bagażem Vassone. Obie były przygotowane, zanim jeszcze pojawił się Hunt. Dźwigała je Marina, Cień musiał mieć wolne ręce. Żeby zdążyć skręcić mi kark, pomyślał

Hunt.

Dobrze pamiętał słowa Vassone. Ułaskawienie przyszło w chwili, gdy kolano Cienia wyciskało z Huntowych płuc resztki powietrza. W pierwszym zdaniu darowała mu życie, w drugim – przyobiecała śmierć.

Więc najpierw pospieszne: – Nie, zostaw go! – a kiedy już podniósł się na nogi i wyszedł zza sofy: – Ale jakby co – tu wymierzyła w niego palec (drżał lekko, podobnie jak cała jej ręka) – ciebie pierwszego szlag trafi.

– Spokojnie, spokojnie – mruknął Nicholas, masując sobie nadwerężony nos. – Jurdy zaraz tu będą.

Tak na niego spojrzeli, że był pewien, iż Cień ponownie się nań rzuci, niemal już słyszał ten rozkaz Vassone.

Ale ona tylko skinęła na okrwawionego fenomulata.

– Przykryj go.

Mężczyzna ani nie mrugnął. Odwrócił się i zniknął w głębi mieszkania.

Jednak gdy po chwili Nicholas spróbował ponownie skontaktować się z nowojorską filią A amp;S Justice Inc. -okazało się, że wszystkie funkcje modułu łączności jego wszczepki zostały zablokowane.

Tak więc był ich więźniem. Dokąd i przed kim Marina chce uciec? Co to za krzyki słyszał? poszedł, zajrzał: trup. Marina weszła, żeby zabrać torby.

– Kto on jest? – spytał, z trudem kryjąc uczucia.

– Zabić mnie chciał – wyjaśniła lakonicznie Vassone.

– A jego – kto…? Kto to jest ten…?

– Cień. Były. Najęłam go. Odsuń się, musimy się pospieszyć.

W całym jego życiu dane mu było zobaczyć na własne oczy troje zmarłych, z czego dwóch – w ciągn ostatnich czterech dni. Usiłował oderwać wzrok, ale było to bardzo trudne.

Złapał Marinę za ramię, gdy próbowała go wyminąć (torby dodatkowo komplikowały manewr).

– Puszczaj!

– To wszystko przez Grudzień, prawda?

– Jaki znowu grudzień, do cholery? Puszczaj! Vittorio! Przybiegł Cień; w ten sposób Nicholas poznał jego imię. Hunt puścił ramię Mariny, uniósł puste ręce, odsunął się.

– Dalej, dalej! – poganiał ich Cień. – Założę się, że już tu lecą!

Nicholas wrócił się jeszcze po laseczkę. Vittorio niemal Wrzucił go do wnętrza windy.

W garażu wsiedli do czarnego minivana, samochód z miejsca ruszył. Ani Cień, ani Marina nie podali na głos celu, więc nie wiedział, dokąd właściwie jadą. Vittorio siedział na samym tyle, gapił się na

zaledowaną szybę pustym wzrokiem, zapewne pogrążony w ciężkim zaślepię.

Marina też jakby wyślepiona: rzuciwszy torby pod siedzenia, zwinęła się na wpółobróconym fotelu w embrion, kolana pod brodę, głowa opuszczona, zupełnie nie po Marinowemu. Nicholas przeraził się, że to znowu kryzys os bowości. Czy płacze? Wcześniej chyba płakała.

Usiadł obok niej, ostrożnie dotknął barku, obojczyka policzka.

– Co?

– Jasa mi zabili – wyrzuciła z siebie na urywanym oddechu. – Wszystkie moje dzieci…

– Marina, ty przecież…

– …nie żyją. Przytulił ją niepewnie.

– Będziesz miała następne, stać cię. Lucyfer chichotał mu do lewego ucha.

Podczas jazdy miał czas dokładnie obejrzeć całą sekwencję zamachu, w zwolnionym tempie i z opisami analizatora wizualnego. W sumie było tego piętnaście sekund, ale przewijał je tam i z powrotem, aż niemal nauczył się na pamięć każdej klatki (wszczepka skanowała V z częstotliwością 290 ujęć na sekundę, skany policyjne wymagały nawet powyżej 1000 na sekundę).

Baryshnikov zaregował w momencie, w którym zauważył pistolet w ręku wbiegającego do salonu mężczyzny. Wówczas, w czasie rzeczywistym, Nicholas nie dostrzegł nawet samego mężczyzny. Baryshnikov przerzucił Hunta przez sofę i Nicholas nie widział już nic zupełnie. To znaczy: widział górną część otwierających się drzwi do gabinetu. Ale też nie wtedy – wtedy tego nie spostrzegł, zarejestrowało się na wszczepce. Widział w replayu. Domyślał się, że to stamtąd wybiegł Vittorio. Musiał być drań naprawdę szybki: na trasie od salonu do drugiej sypialni dogonił i zabił zamachowca, zanim tamten strzelił do Mariny; i to wystartowawszy z opóźnieniem. Zamachowiec miał ładnych kilka metrów przewagi. Co prawda Cień nadbiegał z tyłu. Hunt przyjrzał się z kolei spluwie zamachowca. Menadżer wygrzebał z pamięci katalog Guns amp;Ammo i zapuścił program. Diabeł opisał Nicholasowi egzemplarz co do ceny i roku produkcji. Klinger.11 „Needler" automatic, pełna współpraca ze wszczepka, pojemność standowego magazynka: 32 + 1. Zgrabna, elegancka broń. Otóż pytanie brzmiało: gdzie się ten gnat podział? Przy włokach go nie widział. Podobnie – u Vittoria (a Trupo-dzierżca wystawał mu wyraźnie z kieszeni spodni). Więc? Czy zostawiliby go w mieszkaniu Vassone? Mocno wątpliwe. A nawet jeśli – to właśnie w dłoni zamachowca. Ale trup dłonie miał puste. Widocznie wzięli: Cień lub Marina Niemniej Cień jej przy sobie nie miał. Pozostawała Marina

i jej bagaż. Tuląc ją tak w płaczu, był w stanie wyczuć pod jej ubraniem wszelkie twarde przedmioty, a nie wyczuwał żadnego. Zatem torby. Vittorio co prawda wydawał się trwać pogrążony w stuprocentowym zaślepię, ale Hunt założyłby się o dowolną sumę, że w rzeczywistości tak nie jest – nawet jeśli nie sam Cień, to z pewnością czuwają jego cwane programiki.

Zastanawiał się, co zrobią jurdy zastawszy na miejscu wezwania jeno obcego denata. Zablokowany telefon Nicholasa też da im do myślenia. Bez wątpienia pójdzie do NYPD zgłoszenie porwania/morderstwa. Zażądają nagrań sieci hotelu i tu kolejna niespodzianka: sieć apartamentu została wyłączona przez wynajmującą go Marinę Vassone. Zatem: znaleźć doktor Vassone. Jej telefon również wyłączony. Do gry wchodzą prawnicy. Dogadują się z juryd-katorem Mariny. Rusza drugie śledztwo, do NYPD trafia drugie zgłoszenie porwania/morderstwa. Założone zostają gęste sita informacyjne: każdy plik w jakikolwiek sposób Powiązany z Nicholasem Huntem lub Mariną Vassone trafia do sneakerów korporacji. Jakiś kwadrans zajmie im zorientowanie się, iż zaginieni utrzymywali ze sobą kontakty seksualne. Na tym etapie programy profilerskie jurydykatorów (i chyba także policji publicznej) wypluwają setkę scenariuszy, zsortowanych podług stopnia ich prawdopodobieństwa. Macierz behawioralna będzie aktuanalizowana w miarę napływania kolejnych informacji oraz w zależności od wyników konsultacji pospiesznie ściąganych ludzkich profilerów (bo tu jednak potrzebny jest żywy człowiek, sam Hunt wiedział to najlepiej: żaden progrm ekspercki nie był w stanie tak wyprofilować Numerów, jak robiła to Vassone). Cofając się po pozostawionych przez Hunta śladach, sneakerzy jurydykatora bardzo szybko trafią do Zespołu. Powiadomiony Fortzhauser postawi na nogi swoich ludzi i zaalarmuje z kolei FBI EDC, DIA i HCI. Istnieje nawet taka możliwość, że Fbi wejdzie z ustawy o bezpieczeństwie narodowym na jurydykatorów. Ale to dopiero po długiej sądowej batalii, minimum tydzień przy najbardziej ekspresowym trybie. Co tymczasem: blokada kont, rewizja mieszkań, uszy na telefonach rodziny i znajomych, zmiana haseł i kodów, okólnik po instytucjach. Oczywiście pójdą też dane Hunta i Vassone na lotniska, do wszystkich agencji turystycznych, na serwery kontrwywiadów (na wypadek gdyby zaginieni chcieli się skontaktować z „legalną" częścią obcego espionażu) – a to podle scenariusza perfidnej ich zdrady. Jednakże większość powyższego to były zaledwie przypuszczenia Nicholasa, nie znał się za bardzo na procedurach bezpieczeństwa i robocie policyjnej, bo i skądże miałby je znać – z filmów? z gier? Pogrzebał trochę w pamięci wszczepki, ale znalazł jeno strzępy informacji, i to raczej niepewnych. Przecież nawet tego, że Marina wyłączyła sieć ubezpieczenia prawnego w swoim

apartamencie – nawet tego się jedynie domyślał. Co prawda miał dla takowego wniosku wcale mocne przesłanki: gdyby nie wyłączyła, po minucie mieliby na głowach ochronę hotelu. Ale już o kamerach i mikrofonach na korytarzu nie wiedział nic pewnego. Dobrze więc postąpił, zmuszając Cienia, by go przemocą wepchnął do windy – zawszeć to jakiś ślad pozostanie, poszlaka, jasny pozór niedobrowolności.

Co dalej? Prędzej czy później ich znajdą, to nie ulega wątpliwości. Pytanie jednak: jak zareaguje wówczas Marina i ten Cień? Marina się praktycznie sypała, mogła postąpić tak, mogła postąpić na odwrót – znowu stała pomiędzy atraktorami. Cień natomiast – o nim Nicholas nie wiedział nic prócz tego, że Marina wołała nań Vittono, i że ów Vittorio zdawał się istotnie dbać o jej bezpieczeństwo i w pewnym zakresie słuchać się jej. W każdym razie przynajmniej na tyle, by nie odpalić wówczas Trupodzierżcy w mózg Hunta. Lecz jak już przyjdzie co do czego – czy nie zrewiduje swej decyzji? Nicholas to tylko dodatkowa komplikacja, zawirowanie w planie. Być może bowiem było tak, że Chigueza (lub ktoś inny z Langoliana) dała znać Marinie i poradziła jej zniknąć. Być może Langolianiści już na nich tam czekają – gdzieś u celu tej podróży. Jak zareagują na obecność Hunta? Drugie pytanie było wszakże inne: jaką wersję puszczą ludzie FBI i jak zareaguje Waszyngton? Tu nawet nie o to idzie, czy będą jakieś dowody i co wykaże śledztwo Biura. Chodzi o to, że jeśli nazwisko Hunta pojawi się w jednym zdaniu wraz ze słowami takimi jak „porwanie", „przeciek", „morderstwo", „Langolian", „korupcja", „podejrzane", „niejasne", „niewyjaśnione" i im podobnymi wystarczająco często, by trwale sprząc te memy – to równie dobrze mógłby sobie od razu łyknąć kevorkiankę: nigdy nie wróci do Prawdziwego Życia.

Na razie pocieszał się tym, że wciąż ma włączony skan A-V. Jeśli jurdy ich dopadną wystarczająco szybko i jeśli przeprowadzą akcję wystarczająco sprawnie (czy wiedzą, że za przeciwnika mają eks-Cienia?), zapis skanu może stanowić dowód całkowicie oczyszczający go z zarzutów. Ba, lecz to są dwa Jeśli", a jest i trzecie Jeśli". Jeśli mianowicie Vittorio pójdzie po rozum do głowy i spuści na Hunta kolejny taki ofensprogram, tym razem dla całkowitego shutdownu i resetu jego wszczepki… Wówczas krewa. A nie da się ukryć, to jest najbardziej prawdopodobny scenariusz.

W ogóle ów Cień mocno komplikował sytuację. Skąd, licha, Marina go wytrzasnęła? „Najęłam go", dobre sobie! Myślałby kto, bezrobotni Cienie wystają tuzinami na ulicach poza NEti. Gdyby nie Vittorio… Gdyby nie był, tym kim był… Hunt zdołałby dopaść klingera (pistolet nie mo że być schowany specjalnie głęboko, torby zostały spakowane już wcześniej, zapewne jest w którejś bocznej

kieszeni, najlepiej byłoby wpierw obmacać je nogą) i zastrzelić oboje.

Posiadał w pamięci Tuluzy Rangera: aplikację do edytorów ruchu systemu Nobis (a Baryshnikov był kompatybilny), która obsługiwała broń ręczną. Zdążyłby więc klingera wyjąć, odbezpieczyć, wycelować, trafić Vittoria, wycelować, trafić Vassone. Prawdopodobnie. No, ale Cień -mój Boże, gdyby trafił z tej pukawki Cienia, nawet prosto w serce, nawet prosto w oko, ten tylko by się wściekł i zatłukłby Nicholasa wyrwanym mu wraz z palcami pistoletem.

Co Hunt wiedział o Cieniach: niewiele, ale wystarczająco dużo, by nie traktować tej wizji jedynie jako histerycznej fantazji. Nanocyborgizować ochotników z oddziałów specjalnych zaczęto już jakąś dekadę temu. (Zresztą współczesne siły zbrojne składały się praktycznie wyłącznie z infoekonomistów, techników sprzętu oraz członków oddziałów specjalnych). Na ile się Hunt orientował, większość badań z ostatnich lat projektu Most dotyczyła właśnie kompleksowych przeobrażeń Homo sapiens za pomocą N-technologii i RNAdycji. Pieniądze szły z Departamentu Obrony via DARPA i, znacznie słabszym strumieniem, z Departamentu Zdrowia. Żołnierze jednostek specjalnych już wcześniej sprawiali wrażenie przedstawicieli wyspecjalizowanego podgatunku, a to chociażby z uwagi na bardzo podwyższoną poprzeczkę profilu ich DNAM – do tego stopnia, że zaczęło się mówić o konkretnym genotypie żołnierskim. Teraz doszły jeszcze do tego postępujące RNAdycje (uodporniające na coraz zjadliwsze wersje broni B i C, optymalizujące fizjologię i podnoszące progi wydolnościowe) oraz nanocyborgizacje na poziomie komórkowym. Oczywiście, jak cały projekt Most, zaczęło się to od wszczepek i przyłączy neuronalnych. Ale wdrożeń tajnych nie hamowały bariery prawne, sztuczne ograniczenia konwencji, i rychło pojawiły się w mediach relacje o chińskich Cieniach. Wyszło wtedy na jaw, że i my nie zasypialiśmy gruszek w popiele. Wkrótce pierwsi Cienie zaczęli opuszczać szeregi armii, gdy kończyły się im kontrakty, i ich nadludzkie zdolności szeroko rozreklamowali ich nowi pracodawcy, głównie korporacje jurydyczne, werbujące Cieni do swych prywatnych policji. To bez wątpienia robiło wrażenie na usługobiorcach jurydykatorów – „żadna państwowa policja nie zapewni ci takiego bezpieczeństwa, jak ochroniarze-Cienie twojej korporacji!" (Państwowych policji nie było stać na zatrudnienie Cieni)- Z jednej strony – Nicholas zdawał sobie sprawę, że dziewięćdziesiąt procent tej komiksowej aury niezwyciężoności to dęta reklama, bez żadnego pokrycia w faktach. Z drugiej zaś – on akurat wiedział, że szczegóły takie jak przymusowe okresowe badania psychiatryczne Cieni albo fakt, że nie noszą oni kombinezonów kulo-chłonnych, są prawdziwe. Widział kiedyś wersję 2D zmontowanych zapisów skanów A-V z jednej z akcji antyterrorystycznego oddziału Cieni – jeszcze w

Prawdziwym Życiu – i faktycznie zrobiło to na nim piorunujące wrażenie. Całość była wariantowo preedytowana i od wejścia aż do potrójnego clear trwała niecałą sekundę. Film puszczali w dziesięciokrotnym zwolnieniu, żeby się można było w ogóle zorientować, co tam się właściwie stało. Hunt miał te obrazy w pamięci i musiałby być daleko bardziej zdesperowany, by sięgać w obecności Cienia po broń. Prawdę rzekłszy, nie wyobrażał sobie aż takiego stopnia desperacji.

Tak więc jechał przez nocny Nowy Jork tym minivanem o ciemno zablankowanych oknach, z roztrzęsioną Mariną Vassone w objęciach, milczącym i nieruchomym Vittoriem na dwa wyciągnięcia ręki, pistoletem zamachowca schowanym gdzieś w bagażu pod fotelami – jechał ku nieznanemu i jedyne, co mu pozostawało, to jałowe, bezsłowne rozmowy z szyderczo uśmiechniętym Lucyferem. Wywołał wizualizację menadżera wszczepki, bo chciał zdobyć jakieś pobieżne interpretacje prawne sytuacji, w jakiej się znalazł. Miał przecież w pamięci chyba całe ustawodawstwo wraz z toną precedensów.

– Co mi grozi? – pytał diabła w OVR.

Lucyfer pochylał się ku niemu konfidencjonalnie, zgarbiony na przeciwległym siedzeniu, jakby tamci – Cień, Marina – rzeczywiście mogli podsłuchać ich dialog.

– Współudział w morderstwie i kilkunastu mniej i bardziej poważnych pogwałceniach NEti. Ale ze wszystkiego powinni pana wyciągnąć prawnicy pańskiego jurydykatora, skończy się na układzie, może i tego nie będzie trzeba.

– Jakie mam szansę na całkowite wyłączenie ze sprawy.

– Na ile mogę to ocenić – żadne.

– Cholera ciężka.

– Niestety, sir.

– Więc co radzisz?

Lucyfer podrapał się pazurem w lewą brew.

– Nie znam całości sytuacji. Dobrze byłoby dać się nieco sponiewierać pod NEti.

– Tyle to ja sam wiem. Pytam się, co zrobić z Vassone i Langolianem.

– Niestety, nie mogę panu pomóc.

– A możesz się przebić przez tę watę na łączności?

– Próbuję bez przerwy, sir.

– Ale co on właściwie zrobił? Toż nawet Hedge prosił mnie o zdjęcie zabezpieczeń! A ten tu wszedł jak w masło. Znał kody? Skąd?

– Nie wiem, sir. To niemożliwe, takie łamacze nawet teoretycznie nie mają prawa istnieć.

– Cóż, wyciągnij mi tego snajperskiego Nobisa i przeprofiluj Baryshnikova. Chcę mieć z Cieniem przynajmniej cień szansy, hę, hę,

hę, jak się nadarzy jakaś okazja do ucieczki.

– Zalecam ostrożność, sir.

– Nie gadaj – parsknął Hunt. – I tak bardziej już mnie nie przestraszysz. Ale coś zrobić muszę: im dłużej to będzie trwało, tym większe prawdopodobieństwo, że wyląduję w tej samej szufladce co Vassone.

– Proponowałbym zabić doktor Vassone, sir. Cień straci wówczas pracodawcę, a cała ucieczka sens. Post factum nie będzie już miał powodu wyrządzić panu krzywdy, sir, pogorszyłby tylko swoją sytuację. Takie zabójstwo prawnicy powinni bez większego trudu podciągnąć pod samoobronę. Bo przecież jasne jest, że przeciwko Cieniowi nie ma pan szans. Oczywiście radziłbym się na razie powstrzymać, dopóki otwarte są jeszcze inne opcje. Ale te w mojej ocenie jest i tak mniej niebezpieczne niż próba wymknięcia się Cieniowi. Z drugiej strony nie należy też za bardzo zwlekać, ponieważ on w każdej chwili może ponownie się włamać i całkowicie wyłączyć pańską wszczepkę, a wtedy pan sobie chyba nie poradzi.

Nicholas pogroził Lucyferowi palcem. Zorientowawszy się, że wykonał ten gest poza OVR, opuścił rękę.

– Czy ty się przypadkiem za bardzo nie przejmujesz tym całym Necropolis? Może powinienem zmienić MUI, na przykład na Cartoon?

– Charakter wizualizacji nie ma wpływu na pracę programów eksperckich, sir – obruszył się diabeł.

– Brakuje ci software'u do obróbki psyche, Lucek. On by mi skręcił kark w odruchu czystej zemsty.

– Odruchy Cieni, sir, to nie jest to, co pan rozumie pod tym słowem.

– Wolę się nie przekonywać na własnej skórze. No nic, próbuj dalej się przebić i jak tylko ci się uda, ślij pigułę alarmową. Ściągnij też newsy, przydałoby się wywiedzieć, czy jeszcze mnie nie pogrzebali. Otwórz sobie plany miasta, może zdołam coś zobaczyć, to dowiem się, dokąd my jedziemy.

– Tak jest, sir.

Diabeł zasalutował do prawego rogu. Hunt skinął nań szóstym palcem i czart zniknął w obłoku siarkowodoru. Smród jeszcze długo unosił się we wnętrzu wozu. Wredna aplikacja.

Nicholas spostrzegł, że tymczasem Marina zasnęła w jego ramionach. Ponieważ Vittorio wciąż nie zdradzał żadnych objawów pozaortowirtualnej świadomości, Hunt pozostawał w tym minivanie jedynym w pełni przytomnym człowiekiem. A jednak czuł na sobie obcy wzrok – Ottona? czyj w takim razie? – i skoro raz pomyślał, nie potrafił już przestać: obejmuję ją, dotykam, ciało styka się z ciałem, nieprzyzwoitość formy uniemożliwia rozluźnienie mięśni, jakże tak, po co ja w ogóle wtargnąłem w jej prywatność, teraz jak nagi, teraz

jak upokorzony, Baryshnikov trzyma twarz, ale to już nie ma znaczenia, bo pozwalając śpiącej Marinie odbić się w moim ciele rewersem swej bezradności, wulgarnie upubliczniam formy ukryte, ktoś patrzy, ktoś widzi – ordynarny ekshibicjonizm ciała i duszy.

Lecz nie wypuszczał jej z ramion. Ułożyła mu się przez sen tak jakoś po dziecięcemu, głowę wtuliła mu pod obojczyk zaciśniętą dłonią sięgnęła gdzieś pod jego ramię,ciepło jej oddechu czuł na piersi przez cienką koszulę, jej ciężar zmuszał go do jeszcze głębszego zapadnięcia się w fotel, więc tym mocniej ją obejmował, wypełniała mu wszystkie zmysły, powolny rytm tego oddechu, w który chcąc nie chcąc się wsłuchiwał, wymuszał spowolnienie rytmu jego własnych myśli, spowolnienie jego tętna, samochód lekko dygotał i drżał, pędząc przez mrok w nieznane, wszystko to zsynchronizowało się w jeden długi, głęboki puls. Sprowadziła na Hunta wielki spokój, wielką ciszę, zasnął.

Wóz wreszcie się zatrzymał, ale to nie obudziło Hunta – ocknęła się natomiast Marina i, pospiesznie uwalniając się z objęć Nicholasa, wyrwała go ze snu. Hunt, jeszcze mocno ociężały w myślach i ruchach, sięgnął leniwie za nią, wczepiając palce w rękaw jej golfa. Oderwała tę dłoń nawet nie obejrzawszy się, jakby strzepywała z siebie wielkiego owada. Nicholas oprzytomniał do reszty i przeklął zdradzieckie odruchy.

Podźwignął się na lasce, sycząc z niespodziewanego bólu w pół ruchu: przypomniały o sobie stawy barkowe, storturowane przez Cienia w apartamencie Vassone. To z kolei podniosło spojrzenie Hunta na samego Vittoria, który właśnie odsuwał ręczną blokadę bocznych drzwi minivana. Nicholas wywołał menadżera i wyjrzał za wychodzącym Cieniem.

– Niestety, sir – rozłożył ramiona Lucyfer.

Samochód zatrzymał się bowiem we wnętrzu prywatnego garażu, źle oświetlonego i aż po niski sufit wypełnionego mniejszymi i większymi fragmentami zabytkowych produktów amerykańskiego przemysłu motoryzacyjnego. Żelastwa zalegały pod ścianami w postaci chwiejnych poiramid, szczerzyły niebezpieczne krawędzie z półek podrdzewiałych stelaży, zwieszały się na kablach i hakach. Cud, że wóz tu w ogóle jakoś wmanewrował, zważywszy, jak niewiele wolnego miejsca pozostało w garażu na bezkolizyjne zaparkowanie.

Marina wyszła za Cieniem, Hunt wystawił głowę. Pomieszczenie było jeszcze mniejsze, niż sądził, przeznaczono je chyba jedynie dla dwóch pojazdów – ciężkie wrota, opuszczone już do samego nagiego betonu podłogi, dzieliło od tylnego zderzaka czarnej furgonetki ledwie kilka cali. Tuż przed jej maską natomiast zaczynały się prowadzące wzwyż wąskie schody.

– To w końcu gdzie my jesteśmy? – spytał Hunt Marinę, mimowolnie ściszając głos.

W odpowiedzi spojrzała na niego z taką zimną wściekłością w jasnobłękitnych oczach, że ledwo powstrzymał się od obronnego: „To nie moja wina". A nawet nie bardzo wiedział, co konkretnie miałoby tu nie być jego winą.

Ona już odwróciła się i ruszyła po schodach na górę. Cień ją przepuścił – po to mianowicie, by móc osobiście zaopiekować się Huntem. Złapał go za ramię i pociągnął za Vassone, prowadząc przed sobą. Nicholas wiedział, że nie ma sensu się wyrywać, choć uścisk był bolesny. Szedł więc posłusznie, tym bardziej, że i tak by podążył za nimi. W innej sytuacji zapewne starałby się stworzyć wrażenie dobrowolnego uczestnictwa (jako więzień pozostawał zniewolony przez formy poddańcze), teraz jednak nie miał pewności, czy nie lepiej wyjdzie na publicznym zaprezentowaniu siebie jako ofiary porwania. Więc może właśnie zacząć się wyrywać…? Jeśli będzie przed kim. Czy tu obowiązuje NEti? Wątpliwe – gdyby kryła te pomieszczenia sieć ubezpieczenia prawnego, Marina nie pokazałaby swej twarzy

Weszli do obszernego holu, zero okien, za to pięcioro drzwi. Z tego tylko jedne otwarte – za nimi sterty kartonów oblepionych francuskimi etykietami. Diabeł szybko je przetłumaczył i wyjaśnił: – Zaembargowane neuroleptyki. – Hunt rozejrzał się po pustym, pozbawionym jakiegokolwiek wystroju holu i błyskawicznie wyciągnął wniosek: klinika podziemia. Panowała tu ponura, mroczna atmosfera – ale w shellu Necropolis wszędzie panowała taka atmosfera.

Vittorio wolną ręką wskazał Marinie jedne z zamkniętych drzwi. Równocześnie jednak otworzyły się inne i do holu zajrzał niski fenomurzyn w szarym monokombinezonie.

– Aha, no tak. – Podrapał się po głowie, obejrzał za siebie, uśmiechnął przepraszająco i zniknął na chwilę.

Pojawiwszy się z powrotem z niewielkim urządzeniem w ręku, podszedł do Mariny, przycisnął je do jej dłoni i zerknął na boczny ledunek. Diabeł stanął za jego plecami i, przytykając do aparatu pazur, wyjaśnił Huntowi:

– Czytnik DNAM.

– Wiem – odwarknął mu w OVR Nicholas. Fenomurzyn z kolei sprawdził Vittoria. Potem spojrzał pytająco na Hunta. Dalej poszło to jak domino: Cień spojrzał na Marinę, a Marina wbiła zimny wzrok w Nicholasa. Nicholas też się nie oparł i obrócił oczy na fenomurzyna, uśmiechając się przy tym i wzruszając ramionami.

Gospodarz w milczeniu drapał się czytnikiem po głowie.

Cień szarpnął Hunta w lewo, otworzył przed nim drzwi i wepchnął go do ciemnego wnętrza. Nicholas usłyszał jeszcze twarde

trzaśniecie i szczęk zaskakującego zamka – odwróciwszy się, nie ujrzał najwęższej nawet linii światła: pomieszczenie było zgoła hermetyczne.

– Mam nadzieję, że przynajmniej jest klimatyzowane. No i co teraz?

– Proszę się rozejrzeć.

– Nic nie widzę.

– Chwileczkę, sir, mapuję. Proszę klasnąć.

Hunt wsunął laskę pod pachę i klasnął (znowu dźgnął go przez stawy barkowe biały ból).

– Dziękuję. Teraz?

Pojawiły się zarysy ścian, niewyraźne kształty sprzętów – biurka? krzeseł? szaf? Zróżnicowały się cienie dookolne: od mroku najgłębszego, tego zalegającego odległe kąty, do najbliższej Nicholasowi miękkiej szarości, w której zdawało mu się, że naprawdę widzi przesuwane przed szeroko otwartymi oczyma dłonie.

Z ciemności wyszedł diabeł.

– Proszę spróbować haseł starych instalacji oświetleniowych – zapronował – i pomacać tutaj, dookoła pokażę panu, może to jest jeszcze starsze.

Nichołas zrobił to wszystko, bez efektu. – Jeszcze jakieś pomysły? – sarknął.

Lucyfer założył ręce na piersi.

Zamordują pana, sir. Nie mają wyjścia. Wiem – mruknął Nicholas i wsparł się ciężko na lasce.

– Zaprowadzę pana do krzesła. Tutaj. O. Ostrożnie.

Tak. Hunt usiadł.

– Dzięki.

Lucyfer wyczarował sobie stołek i też usiadł.

– Nie wyjaśnił mi pan wszystkiego, sir, nie rozumiem na przykład reakcji doktor Vassone na tę wzmiankę o Chiguezie, ani powodu samego zamachu, ale z danych, jakimi dysponuję, mogę prawomocnie wyciągnąć następujące wnioski. Doktor Vassone ma tutaj umówioną operację, najprawdopodobniej za pośrednictwem owego Vittoria. Planuje ucieczkę i zmianę tożsamości, w tym celu musi trwale zmienić fenotyp i genotyp, aby nie zostać rozpoznaną ani z przypadkowych recordów sieci NEti, ani z identyfikatorów DNAM. Najprawdopodobniej leżą gdzieś tutaj w chłodni zwłoki kobiety o podobnym do jej kośćcu – wymienią się cashchipami. A przecież całe to przedsięwzięcie nie posiadałoby najmniejszego sensu, gdyby miał pan zostać potem uwolniony. Muszą pana zabić. Nawet jeśli nie doktor Vassone, która być może żywi do pana jakiś sentyment, to nalegać na to będzie Cień, jego OVR stratedzy z pewnością jasno przedstawili mu wszystkie uwarunkowania. A jeśli i jego zdanie nie prze-waży, to nie wątpi pan chyba, że sami właściciele tej, mhm,

Placówki zatroszczą się o swoje bezpieczeństwo? Sir?

– Ty mi teraz lepiej powiedz, jak ja się mam… Oślepiony, odwrócił głowę: to otworzyły się drzwi i weszła Marina. Zaraz jednak cofnęła się do progu i sięgnęła gdzieś na zewnątrz: w pokoju zapaliło się światło. Teraz już Hunt tylko mrugał, nawet filtry nerwowe OYR nie pomagały. Zamknął na chwilę oczy. Czy ona ma w ręce pistolet- Zapytał diabła. Lucyfer zaprzeczył, Usłyszał trzaśniecie drzwi i dźwięk, który najprawodoodporniej spowodowało przesunięcie krzesła po chropowatej podłodze. Westchnięcie Mariny. Uniósł powieki.

Siedziała naprzeciwko niego, okrakiem na obróconym oparciem do przodu drewnianym krześle, z brodą opartą na splecionych dłoniach. Ten pokój stanowił najwyraźniej magazyn staroci: mebel, który wybrała, rzeźbiony był w fantastyczne postacie, smoki, skrzaty, ludzi-brzozy.

Diabeł stał za plecami Mariny i wrzeszczał:

– Zabij ją! Zabij ją! Zabij!

– Zamknij się! – warknął nań Hunt w OVR. Marina w milczeniu wpatrywała się w Nicholasa, oczyma tak jasnymi, tak nieprzyzwoicie szeroko rozwartymi.

– Powinienem teraz panią zabić – rzekł jej niskim głosem Nicholas.

– Tak – przyznała. – Vittorio mało mnie siłą nie odciągnął.

– Stoi tam za drzwiami?

– Aha.

– Nie wypuściłby mnie żywego.

– Nie.

Hunt posłał diabłu ponure spojrzenie. Lucyfer wzruszył ramionami, po czym zacisnął dłonie w pięści i obrócił je obie wyprostowanymi kciukami w dół.

– Widać wyjątkowo nie w porę złożyłem pani wizytę -uśmiechnął się Nicholas do Mariny. – Chyba już koniec, co? Tutaj nie powinniście mieć wielkiego kłopotu z pozbyciem się ciała.

– To Fortzhauser, prawda? – Co?

– To pułkownik dokopał się do Chiguezy?

– Proszę potwierdzić! – syknął Lucyfer.

– Nie – pokręcił głową Hunt. – To ja.

– Wtajemniczył pan ludzi! – nalegał diabeł. – sir! Wielu ludzi! Wszyscy wiedzą! Sir…!

– I przyszedł pan z tym prosto do mnie… – ciągnęła Marina. – Po co? Prawo dyktuje inne postępowanie. Jakies dowody? U kogo?

– Jakie to teraz ma znaczenie? Z tym trupem i po naszym zniknięciu – w końcu dojdą i tak.

– Widzi pan, ja wolałabym, żeby oni dostali te dowody, Fortzhauser, FBI, kto tam się tym zajmuje, i to jak najszybciej.

Nicholas postukał w zamyśleniu laską o nogę krzesła. Marszowy rytm odwiódł jego wzrok od twarzy Vassone ku opartemu o szafkę obrazowi przedstawiającemii miotany przez sztorm statek.

– Ten kontenerowiec, który wszedł wam na kurs podczas transportu na „Curtwaitera"…

– Owszem. Chcieli mnie zabić już wtedy.

– Zastanawiam się, co konkretnie ich do tego popchnęło. Wrócił do niej spojrzeniem. Ale tym razem ona odwróciła wzrok.

– Kiedy przyszedł po zapisy Numeru Czwartego, miałam… – urwała. – Trochę mnie wtedy rozsprzęgło. Sprzeczne motywacje, rozumie pan. Nie bardzo panowałam nad ekspresją. Musieli się przerazić, że się do końca rozpadnę i przypadkowo bądź z premedytacją wszystko wyjawię. Nazbyt niestabilna osobowość. Wariatowi nie można przecież wierzyć. A wiedzieli, że potem spotykałam się z moim synem, rozmawiałam długo na osobności. Komu jeszcze mogłam opowiedzieć? Teraz dziwię się, że i panu nie przydarzył się jakiś wypadek samochodowy.

– Ale nie ostrzegła mnie pani.

– Jasona też nie ostrzegłam.

Przyglądał się kształtowi wygięcia jej dolnej wargi. Ucieszył się, bo nie drżała, kiedy Marina to mówiła.

A po chwili podniosła wzrok i spojrzała na Hunta tak samo jasnymi oczyma. Ona, nikt inny. Bez wątpienia były to chore reakcje, lecz nic nie mógł poradzić: cieszył się, szczerze radował.

Langolian – stwierdził, przemocą odwracając tok myśli.

– Tak.

Szantaż? Pieniądze?

Nie, skąd, to nigdy nie był przymus, to w ogóle…

– Ale przecież zdradziła im pani. Szpiegowała dla nich. Nałożę się, że to tędy wyciekło na zewnątrz, przez panią i ludzi Chiguezy. Przecież także z Langolian Group pracownicy odchodzą, również udziałowcy. Dzięki temu rośnie dzisiaj Hongkongijska, Transwaal i pozostałe królestwa Wojen.

Vassone kręciła głową.

– Pan w ogóle nie rozumie. Sama kolejność inna. Najpierw była Maria. Gdyby nie ona, nie wyszłabym nigdy poza początkowe hipotezy. Myśli pan, że skąd miałam pieniądze na te wszystkie badania? Granty nie spadają z nieba, zwłaszcza gdy idzie o podobne fantastyczne abstrakcje. Za każdym rozdziałem funduszy kryją się bezpośrednie lub pośrednie motywy komercyjne. Krasnow zazwyczaj to tłumaczy jako…

– Wiem, słyszałem.

– No więc ja nie jestem żadnym wyjątkiem. Każdy posiada jakieś kontakty. Kiedy mnie prześwietlali przed przydzieleniem do

Programu, z pewnością dowiedzieli się wszystkiego o moich promotorach, donatorach, fundacjach, z których pomocy korzystałam. Ale czy to mnie zdyskwalifikowało? Nie. Ponieważ wówczas musieliby dyskwalifikować każdego aktywnego naukowca-praktyka w kraju. Dziewięćdziesiąt pięć procent niehumanistycznych katedr w Ameryce Północnej jest w części bądź w całości uzależnionych finansowo od firm prywatnych, w UE tylko odrobinę mniej. – Wyprostowała się, machinalnie wyrównała rękawy golfa, oba podciągając do pół przedramienia; niezorganizowane poruszenia ciała uwalniały ślepą energię. – Chiguezę z początku zresztą lubiłam. Sympatyczna dzikuska. Już kilka razy szepnęła dobre słowo za moimi projektami. A jak pan sądzi, w jaki sposób trafił do mnie „Chaos Genowy" Krasnowa? Skąd miałam dojście do senatora Tito? Musiałam dokonać maksymalnie szerokiego przesiewu DNAM i do tego potrzebne mi byty banki danych waszego Programu. Dlatego zgłosiłam się do pana. Tito był winien przysługę Vermundterowi, na którego patrona ma haka Chigueza, i otworzył mi wejście do Programu. Że akurat pan nim wtedy kierował – to nie miało nic do rzeczy. Przypadek. Zdaje się, że spadł pan tam przez jakieś…

– To istotnie nie ma nic do rzeczy – przerwał jej Hunt. – Ale czy naprawdę nie zdawała pani sobie sprawy, co oznacza wejście w podobny projekt rządowy? Podpisała pani zobowiązania. Fakty są takie, że świadomie łamała pani prawo.

Nawet jeśli, to nie bardziej niż wszyscy inni. Niech an tu teraz nie odgrywa mi hipokryty. Wiemy oboje, jak działa ta maszyna. Pan zresztą na pewno lepiej: wydał nań siostrę za członka establishmentu, ukorzenił się na lata. Czy przyjmując mnie z rekomendacji szwagra-senatora, też był w zgodzie z prawem? Co, może pan nie wiedział, co oznacza taka rekomendacja? Niby jakim cudem miałabym wyrobić sobie podobne dojścia? Nawet Nobla byłoby mało. Te powiązania są wliczone w system. Gdyby nie one, nie mielibyśmy ani teorii myślni, ani estepu, ani Tuluzy 10, ani Grzyba, ani nawet Projektu Most i wszczepek. Takie po prostu są obyczaje. Nie usprawiedliwiam się: przypominam o oczywistościach. Po tym, co o panu słyszałam, jest pan chyba ostatnim człowiekiem, który miałby prawo karmić mnie tu podobnymi kazaniami. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– A co pani słyszała?

Z jakiegoś powodu zmieszało ją to. Znowu uciekła wzrokiem.

– Teraz znajduję się w sytuacji bez wyjścia…

– Będziecie mnie musieli…

– A co ja niby…

– Tylko że właściwie czego Langolian chciał? – ciągnął Hunt, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na rozdrażnienie Mariny, jakby w gruncie rzeczy pytał sam siebie. – Co by na tym zyskał?

Kilkutygodniowy monopol na Grzyba? Ale czy pani w ogóle wiedziała o Grzybie? Tuluza 10 przecież też nie była jego, nawet nie Vermundtera, jak się okazuje. W Langolianie wiedzieli natomiast o Grudniu. Czekali na niego. Co zatem…

– Jakim Grudniu?

– …stanowiłoby zysk z tej ich inwestycji w pani projekty?

A pan myśli, że po co ja tych biedaków słałam tam na orbitę? – warknęła na Nicholasa, rozeźlona. – Przecież nie dla tego idiotycznego „kontaktu"! Zapisy ich EEG…

Wtem spostrzegła się, co właściwie robi, ujrzała całą absurdalność sytuacji.

Umilkła, momentalnie zamrażając twarz. Nicholas, z nogą założoną na nogę, lewą ręką wyciągniętą w bok dla nonszalanckiego oparcia na lasce, ustami pod wąsem nieznacznie wygiętymi ku grymasowi złośliwego uśmiechu – odpowiadał jej spokojnym, otwartym spojrzeniem Tak, teraz wygrywał gładkością gorsu i ostrością kantów nogawek, zwyciężał trwałością makijażu, symetrycznością zaczesania włosów, elegancją sztywnych mankietów. Teraz krótkim ruchem stopy we wciąż nieskazitelnie białym tabi – sprowadzał ją do form zależnych, niewolniczych.

– Jakieś skrupuły? – rzucił z cieniem rozbawienia w głosie.

– Nie będziesz mnie tu analizował.

– Musisz ze mną rozmawiać – skonstatował z jawną satysfakcją. – Póki tak rozmawiamy, decyzja nie została podjęta. Bo ty po prostu nie wiesz, co ze mną zrobić.

Ledwo przebrzmiały słowa, ni z tego, ni z owego – znaleźli się już po drugiej stronie NEti. Nawet patrzyli teraz na siebie jakoś inaczej, bezpośrednie spojrzenie w twarz niekoniecznie już musiało oznaczać bezczelne wyzwanie.

Marina nerwowo przyczesała dłonią włosy. Rozpoznał ten gest. Zobaczyła to w jego oczach i opuściła rękę.

– Zdradziłbyś mnie, prawda? Prawda?

Zza pleców kobiety diabeł dawał Huntowi rozpaczliwe znaki.

Nicholas pogrzebał szóstym palcem w opcjach i przeskoczył z Necropolis na MUI Śródziemia. Rozjaśniło się, cienie straciły na ostrości i wpłynęły głębiej pod sprzęty, z sufitu spadł Gandalf i spalił Lucyfera jednym dotknięciem laski. Potem odwrócił się do Hunta i rzekł doń gębokim głosem o irlandzkim akcencie:

– Obiecaj jej, co chce. Okaż strach. Przekonaj o przywiązaniu. Daj…

Wobec tego Nicholas całkowicie wyłączył wizualizację menadżera. Pod czarodziejem rozwarła się przepaść, spadł w nią z przeciągłym krzykiem.

Hunt wrócił wzrokiem do Vassone. Teraz, poza Nectropolis, jej

cera nie była już tak chorobliwie blada, nawę spoglądała jakby cieplej, choć to akurat mogło być złudzeniem ponadOVRowym.

Nicholas był już tym wszystkim lekko zirytowany.

– Oszczędź mi tego, Marina. I tak nie uwierzę w żadne cudowne ocalenie. – Zmęczonym ruchem potarł czoło. -Nie wiem, czy zdradziłbym. Pewnie tak. W sprzyjających okolicznościach. Zresztą – skąd jakikolwiek człowiek ma z góry wiedzieć, jak w przyszłości postąpi? Jesteś w końcu swego rodzaju profilerem, powinnaś się na tym znać. Ja ci tu mogę przyrzec, co chcesz. Ale nie przekona to ani ciebie, ani tym bardziej tych szemranych doktor-ków. Wiem, że się starasz i że jest ci trudno. Będę okrutny: tak, to wszystko twoja wina. Ale też przecież nie jest tak, że podobne testy wyboru układa dla nas jakiś boski psychoanalityk w celu wypróbowania domniemanych cnót. Zadecydujesz, jak przeważy chwila, w którą stronę popchną cię okoliczności; tyle. Zresztą oni muszą mnie uciszyć, nawet gdybyś miliony im…

– Vittorio mógłby za ciebie poręczyć – rzuciła. To Hunta zastopowało.

– Poszliby na to? – spytał niechętnie po dłuższej chwili. Wzruszyła ramionami, już się wycofując.

– Nie wiem. Ale Vittorio…

Przewrócili się na podłogę wraz z krzesłami, gdy cały budynek zatrząsł się w posadach. Posypały się na nich antyki. Zgasło światło. Przeraził się, bo natychmiast poderwało go na nogi i rzucił się długim skokiem w ciemność. Znowu przeklęty Baryshnikov. To, że zgasił Nicholas wizualizację menadżera, nie oznacza wszak, że sam menadżer się zdezaktywizował. Rozpoznawszy sytuację krytyczną, zagrożenie życia właściciela, korzystał ze wszystkich dostępnych mu środków, by je ratować. Edytor ruchu stanowił jeden z owych środków – widocznie gdzieś tam w swoim setupie posiadał nie wyłączoną przez Hunta opcję tymczasowego bezpośredniego przejęcia kontroli. Po incydencie w apartamencie Vassone powinienem o tym pamiętać, klął się teraz zadyszany od przymusowej atletyki. Trzeba mi było zdefiniować warunki brzegowe, Albo w ogóle cholerę wyłączyć. Huh. Nogi sobie połamię. Po trzecim kroku nastąpiła krótka szamotanina z niewidzialnyrn dla Hunta mężczyzną – Vittoriem? Obaj zwalili się na beton, gdy potworny huk rozdarł powietrze wewnątrz budynku i jedna ze ścian runęła na nich. To musiała być ściana, cóż innego, ból twardych obtłuczeń popłynął nerwowodami chyba z każdej części ciała Nicholasa, przez sekundę miał wrażenie, że jest żywcem miażdżony w jakieś gigantycznej prasie, zaraz trzasną mu kości, rozpęknie się czaszka (czuł te napięcia), wyrzucając z siebie gorącą papkę mózgu, zdechnie tu w rozwibrowanej ciemności, ot co. Szlag, szlag, szlag.

Ale Baryshnikw wyrwał go i z tego. Raz-raz-raz-raz, wyczołgiwał się Hunt spod gruzu, rytmicznie podciągając się na łokciach, potem chwycił się czegoś, czego nie widział, szarpnął ciałem – nawet nie przypuszczał, że taka siła drzemie w jego mięśniach, nigdy elektrochemicznie nie stymulowanych do wielkich osiągów – i wydostał się spod zawału. Edytor otworzył mu oczy, choć piekły od podniesionego kurzu i pyłu, zaraz zaciągając się łzami. Przez ciemne mgły przebiła się rozmyta jasność: tam jest wyjście na światło.

Biegł – ale dokąd? Tylko owo światło widział, i to niewyraźnie, ani się domyślając jego źródła. Co tu się w ogóle dzieje, skąd te wstrząsy? Stąpnął na coś miękkiego, co głośno jęknęło, gdy zeń zeskakiwał. Ludzie tu leżą. Kto? Marina? Vittorio? Ile już odbiegłem od tamtego magazynu?

Wyłączyć Baryshnikova! Już zginał szósty palec – ale nie starczyło odwagi, by dokończyć ruch. Wiedział, co by się wówczas stało: padłby tu jak mokra szmaciana lalka, pokonany przez ból, pokonany przez ciało, pozbawiony zupełnie orientacji w gryzącym oczy półmroku.

Przeszedł przez jakieś drzwi, lecz jeszcze w progu zawrócił. Dlaczego? Zdążył zobaczyć jedynie rozlewającą się na przeciwległej ścianie figurę blasku, z której wyskakiwała ludzka sylwetka, po czym nastąpił kolejny wstrząs, podmuch rzucił Nicholasa na plecy. Baryshnikov momentalnie poderwał go na nogi. Hunt oddychał już przez szeroko otwarte usta, prawie wypluwając z płuc szorstki powietrze, a wciągając je z bolesnym wysiłkiem, jakby zaiste spirale drutu kolczastego przez tchawicę przeszarpywał.

Głuchy odgłos odległego wichru, jakim rezonowała mu we wnętrzu czaszki rozpędzona krew, zagłuszał właściwie wszystkie inne dźwięki i krzyk Vittoria przedarł się doń dopiero, gdy ten mijał go w biegu z Vassone przerzuconą przez prawe ramię, najwyraźniej nieprzytomną, lewą rękę mając zajętą przez karykaturalnie kanciastą giwerę, z której szyły w ciemność długiego korytarza żółte stożki wystrzałów.

A co Cień krzyczał:

– Gaz! Gaz! Gaz!

Baryshnikov wyedytował rozpaczliwy sprint Nicholasa w ślad za znikającym już za zakrętem Vittoriem. Hunt biegł już tylko siłą woli programu. Nigdzie nie widział okien, wszystkie mijane drzwi były zamknięte, wydawało się, że nagi korytarz prowadzi w głąb nieskończonego labiryntu obejmującego całą dzielnicę. Znowu wstrząs, znowu huk, podmuch w plecy, co to za budynek, gdzie ja jestem, w piwnicach, pod czy ponad powierzchnią ziemi, może ten garaż znajdował się na jakimś niskim podpoziomie, gdzie teraz…

Wypadli na ulicę, Cień z Mariną kilkanaście kroków przed Nicholasem. Vittorio nie strzelał już od kilku zakrętów – a i przedtem

Hunt nie miał jasności, w kogo właściwie on celował, bowiem edytor nie pozwalał się Nicholasowi obejrzeć. Czy ktoś ich gonił? Jeśli nawet, on nie słyszał tej pogoni, co zresztą nie było niczym dziwnym, krew huczała coraz głośniej. W każdym razie do nich nikt nie strzelał – to wiedział, bo wciąż żyli, w tak ciasnym korytarzu nie sposób spudłować, któryś rykoszet z serii doszedłby ich z pewnością.

Wypadli więc na ulicę i przecznicę dalej, po prawej, ujrzeli blokadę policyjną. Wozy stały w poprzek jezdni, nierówny szereg robotów porządkowych ostrzeliwał jakiś budynek szerokimi wiązkami światła, ponad tym wszystkim krążyły małe, zgrabne śmigłowce z wielkimi literami "NYPD" na ślepych burtach. Przy barierze zgromadziło się trzydzieści-czterdzieści osób, więcej znajdowało się za blokadą umundurowanych i nieumundurowanych. To musiało trochę potrwać, zanim się zjechali, rozstawili i rozpoczęli atak, skonstatował Hunt, odsapując bieg. A jednak zostaliśmy w klinice zaskoczeni przez szturm policji Jak to możliwe? Jeśli bowiem…

Naraz rozległ się syk, hurgot, ludzie chóralnie westchnęli, gdy przez grunt przeszło drżenie po tąpnięciu, które zachwiało unurzanym w białym świetle budynkiem.

Ani się Nicholas zorientował, kiedy postąpił pierwszy krok w tamtą stronę, zagapiony na efektowną scenę. Być może menadżer wszczepki podjął słuszną decyzję, być może po prostu trzeba było spróbować – niemniej nie na wiele się to zdało. Chodnik rozbryzgnął się kwieciście kilkanaście cali przed stopą Hunta i Baryshnikov z miejsca zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni, ku Cieniowi chowającemu pistolet pod wypuszczoną na spodnie koszulę. Dlaczego w ziemię, nie w głowę? – zakrzyknął w duchu Nicholas. Na kogo był wściekły, trudno rzec. Omal miał pretensję o ten strzał, że nie śmiertelny. Dopiero co wypluty z korytarzy prawdopodobnej śmierci, uwolniony z celi śmierci pewnej – rozpaczliwie potrzebował jakiegoś Anzelma, na którego mógłby swobodnie wrzeszczeć, póki tętno nie wróci do normy.

Vassone stała już na własnych nogach, podpierając się ramieniem o mur pokryty świecącym w półmroku miejskiej nocy graffiti. Kaszląc, wodziła wzrokiem za Vittoriem. Czy wycelowałby wyżej, gdyby nie patrzyła?

Nawet nie mógł mu Hunt zajrzeć w oczy, bo Cień biegi już wzdłuż szeregu zaparkowanych przy krawężniku wozów, szukając kandydata do łatwej kradzieży, czyli samochodu nie posiadającego logo jurydykatora i możliwie starego.

Nicholas minął wpółotwarte drzwi do sutenery, z których wybiegli. Edytor nie obrócił mu głowy, więc nie miał możliwości zajrzeć. Stąd przecież w każdej chwili może wyskoczyć pościg szturmowców, dlaczego oni oboje jakoś się tym nie przejmują?

Podszedł do Mariny. Graffiti parzyło źrenice, kłębili się tu w morderczo-erotycznych splotach komiksowi bohaterowie o płonących oczach.

– Marina – zaczął Hunt, bezskutecznie usiłując uzewnętrznić nagłe przerażenie – bo to nie były jego słowa, nie jego język, nie jego krtań! – pozwól mi odejść, przysięgam, że nic im… Lewą dłonią dotknął delikatnie rozcięcia na jej policzku.

Ponad nią widział Vittoria, dwadzieścia metrów dalej dyskretnie wyrywającego drzwi z białego nissana.

Vassone krztusiła się, głośno charcząc. Opadła na kolana. Kopała w graffiti. Patrzył na Cienia, który był już wewnątrz samochodu. Skóra szyi Mariny była bardzo gorąca, materiał golfu szorstki.

Tak! Należało się! Życie za życie! Bez zmrużenia oka posłała mnie na stracenie i teraz…

Szarpnął szóstym palcem. Krzyknął i puścił ją. Przewróciła się na plecy, z twarzą czerwoną, zaślinionymi ustami rybio rozwartymi, oczyma bezmyślnie wytrzeszczonymi w reklamowe niebo. Na moment poraziła go jej brzydota.

Równocześnie jednak spadła nań twardą falą nagła cisza z uprzedniego źródła stałego hałasu – i obejrzał się na blokadę. A tam nie było już blokady: ludzie rozbiegli się na obie strony ulicy, zapędzeni na chodniki przez buldożerowate roboty porządkowe, pozostawiając wolną przestrzeń między policyjnymi wozami, zestawionymi w centrum dowodzenia akcją, a Huntem. Tak to odebrał: jakby oni wszyscy zwrócili naraz swoją uwagę właśnie na nieego. Ponad ulicą pędziły na Nicholasa trzy bezzałogowe helikoptery NYPD, wysuwając spod białych brzuchów żądła karabinów.

Pisk opon: obejrzał się w lewo. Jeszcze nissan do końca nie wyhamował, Cień już był na zewnątrz i unosił pistolet, nakierowując lufę na środek twarzy Nicholasa – oto, co pierwsze Hunt zobaczył, pierwszy obraz na źrenicach po zwróceniu spojrzenia.

Bo sam Nicholas stał tam nad drżącą w konwulsjach Mariną i tylko obracał głową, bez Baryshnikova bezradny, z rękoma bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała, z palcami jeszcze wpółzgiętymi. Chciał coś powiedzieć, teraz, gdy odzyskał już usta, ale nie bardzo wiedział, co.

Czas szorował mu po oczach, chropowata sekunda za sekundą, wszystkiego dwa mrugnięcia od śmierci, czas czas, teraz omal namacalny. Był to jego nieskończenie mały ułamek, gdy ręka Cienia błyskawicznym ruchem obracała maszynę mordu na Hunta, on zaś odruchowo obracał głowę, by spojrzeć prosto w laserowe ślepie, Marina charczała, śmigłowce terkotały, pot na plecach Nicholasa krew na przygryzionym języku, oto jest kwant życia, porcja rzeczywistości,

żrące światło realności, które uderzy przez matrycę zmysłów i wytrawi ową figurę w płycie Nicholasowej pamięci tak głęboko, że jeszcze za lat sto stary Hunt będzie w stanie sięgnąć myślą i wymacać ostre bruzdy, wrócą wówczas do niego: zapach tej ulicy, benzynowy smród dzielnicy bezrobotnych, i wyraz twarzy Cienia, aż po najdrobniejsze z jej zmarszczek, i sylwetka dziecka w oknie na piętrze budynku naprzeciwko, i wzory naniebnych reklam, i ten ból, który graniczy z chwilą już z drugiej jej strony.

Jednocześnie weszli w jego ciało: Baryshnikov i kule. Edytor przemógł szok organizmu i pchnął go za osłonę nissana. Natomiast Vittorio się nie krył, skoczył po Marinę. Dostał w bark, dostał w biodro, całą serię w udo, dostał w szczyt czaszki i od tego się zachwiał. Kobieta krzyczała coś chrapliwie przez ściśnięte gardło. Wrzucił ją oraz Nicholasa do wnętrza wozu, który już się cofał, wykręcając ku wylotowi bocznej uliczki. Rozledowane szyby rozpryskiwały się od uderzeń miękkich kuł śmigłowców policyjnych. Hunt z rozpaczą patrzył na swoje ręce, lewą całą we krwi, wyciągające się ku zwiniętej na brudnej podłodze Marinie.

Nissan przyspieszał na siatkowych oponach, lawirując ciemnymi zaułkami bez włączania reflektorów, wyłącznie na radarach i sonarach, pasażerami rzucało pod sam dach. Nadal towarzyszył im terkot wirników śmigłowców, natężenie to rosło, to spadało. Pruta karoseria skrzeczała metalicznie. Zakręcali, zakręcali, zakręcali – okolica migała za wyłupionymi oknami: mury cienia, kaniony półmroku, place nocy.

Hunt ponownie wyłączył edytor ruchu, tym razem w ogóle zamykając aplikację. Akurat na czas, by całkowicie bezbronnym wpaść z powrotem w łapy Cienia. Vittorio podciągnął i przełożył Nicholasa przez oparcie przedniego fotela, twarzą do góry, odginając mu głowę po kres wytrzymałości kręgów. Hunt klął z wysiłkiem, wierzgając w powietrze i nieporadnie tłukąc pięścią bok Cienia, ale w tym momencie instynkt samozachowawczy przegrywał już z udręką ciała i nie było siły w tych ciosach.

Cień pochylił się nad nim, szeroko uśmiechnięty. Błąd: to nie był uśmiech. On odsłaniał zęby, gotował kły. Ugryzł szybko, głęboko, żmijowym ruchem zarzucając głową w przód i w dół, po łuku. Po szyi Nicholasa przeszły jedna po drugiej fale ciepła: od oddechu Vittoria, od własnej wylanej krwi, od uwolnionego w żyły jadu.

Trucizna rozchodziła się błyskawicznie. Najpierw odjęła mu ból i to było dobre. Potem odjęła mu czucie w reszcie ciała i przytłumiła pozostałe zmysły, i to było przerażające, bo dokładnie tak wyobrażał sobie śmierć. Jeszcze jakieś plamy przed oczyma, w uszach terkot dartej kulami blachy, słowa nerwowej rozmowy… Na koniec odjęto mu i to. Nie rozumiem, jęknął. Po co. Jak. Kto. Nie chciałem.

Odjęto Nicholasa Hunta i wtedy nie zostało już nic.

13. Skażony

Coś gryzło go w łydkę. Ostre zęby rwały mięśnie, skrobały o kość, dreszcz szedł przez ciało, wywracał wnętrzności. Hunt poderwał się z chrapliwym wrzaskiem, gotów na ślepo rzucić się precz od Cienia-wampira, byle dalej od rozdzierających nogę kłów.

Musiało mu się śnić. Nikt go nie gryzł. Podwinął nawet nogawkę, ale na skórze nie było najmniejszego śladu. Może to kurcz. Wciąż czuł przecież w mięśniu rwący ból.

Wystraszony, zirytowany rozglądał się po pomieszczeniu. Po prawej miast ściany miał odledowane okna, biła przez nie leniwa jasność chmurnego południa. Przymrużył oczy i dojrzał prostopadłościany pobliskich wieżowców.

To musiało być gdzieś dwudzieste piętro, jeśli nie jeszcze wyżej. Elewacji budynków nie rozpoznawał, to nie był Manhattan, to nie było nowe centrum. Przysunął się do okna i spojrzał w górę. Zlokalizowawszy sterówce, zorientował się z grubsza w swoim położeniu. Staten Island tam, Westchester tam… Dzielnica nowej biedy, nie wyburzone wysokościowce stref niskiej użyteczności, chyba to.

Ale zaraz, od czego maszyna?

I już miał wywołać menadżera wszczepki, gdy przypomniał sobie klinikę, Marinę, swoje dłonie na jej szyi przypomniał sobie cały ten nieprawdopodobny thriller, w jaki go zassało wczoraj wieczorem – i poniechał. Kusiło go, żeby sprawdzić, czy blokada modułu łączności wciąż jest w mocy, chciał też przejrzeć ostatnie zapisy A-V. Ale że nie potrafił zrobić tego poza MUI, powstrzymał go zrodzony ze straszliwego podejrzenia – które również właśnie sobie przypomniał – irracjonalny strach przed konfrontacją.

Wstał z białej termopiany, na której widać ktoś go w nocy ułożył. Prócz prostokątu natryśniętego na podłogę posłania, nic nie kalało jednostajnego błękitu pokoju. Podnosząc się, przeciągnął ręką po cieniutkiej niebieskiej wykładzinie i w powietrzu zawirował mały obłok kurzu. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wyglądało jednak na utrzymane w idealnej czystości. Nie wykorzystywane biura? Podszedł do drzwi. Nie otworzyły się. Pchnął. Zatrzaśnięte. Zagadał do nich. Nic. Zatem znowu cela.

Wrócił do okna. W dole, przekreśloną długim cieniem, miał ulicę, rozpisaną na trzy poziomy, osiem pasm ruchu – ale po żadnym z nich nie sunęły pojazdy, obraz był całkowicie statyczny. Odstąpił i przejrzał się w szybie. Nos paskudnie spuchnięty, cera niezdrowa, na szyi wielki siniak po ukąszeniu nanowampira. Koszula ubrudzona, krew i smugi jeszcze ciemniejsze, spodnie pomięte, mankiety nigdy już nie osiągną

tej geometrycznej symetrii. Odruchowo wygładził jednak ubranie. Laski nie miał. stracił ją w godzinach szaleństwa. A przydałaby mu się teraz, dla zamknięcia na czymś dłoni.

No więc tak. (Poruszył barkami, odetchnął). No więc dwie ewentualności: policja wyłuskała mnie z wraku samochodu – ale to bez sensu, po co mieliby mnie tu chować, znajdowałbym się teraz w szpitalu, w rękach medykatora i jurydykatora – albo też to Marina i Vittorio uwięzili mnie, umknąwszy pościgowi – ale i to niezbyt prawdopodobne: mianowicie jakim sposobem mieliby mu uciec?

Skoro jednak tu jestem… Czemu mnie więżą? Ha, powodów dosyć. (Uśmiechnął się pomuro do siebie samego w szybie). Chociażby dlatego: ponieeważ usiłowałem zamordować Vassone. Nie ja, oczywiście, tylko menadżer za pomocą edytora ruchu. Ale z zewnątrz to zawsze jestem tylko ja. W końcu – czymże są te programy, jeśli nie sługami mymi, dalekosiężnymi protezami mej woli? Mogłem im jasno zakazać. Powiedzieć: nie. Nie wolno. Nie powiedziałem.

Czy rzeczywiście? Pamięć sanna nie odtworzy mi teraz każdego słowa z naszych rozmowy. Może mu zabroniłem… Ale nie, to niemożliwe, nie złamałby wyraźnego zakazu.

Tu jednak zaczynał się ów łańicuch straszliwych podejrzeń. Jęły mu się one kłuć jeszcze w minivanie, późniejsze wydarzenia tylko je wrzmogły. Niewiele bowiem Nicholas wiedział o wszczepkachi i software OVR, ale pośród nielicznych jego pewników pierwszy był ten: że mianowicie nie sposób wejść do cudzej wszczepki bez przyzwolenia jej posiadacza. Stuprocentowe zabezpieczenie stanowiło podstawowe kryteriumi dla każdego z kolejnych modeli. Któż zgodziłby się na implantację, gdyby w konsekwencji groziła mu ona przemiienieniem w zombi? Nawet sam menadżer potwierdzafi, że takie włamania są niemożliwe.

Przyjmijmy więc wersję bardziej prawdopodobną i zgódźmy się, iż Vittorio nie był w stamie zablokować mi modułu łączności.

Jednakowoż menadżer twierdlzi, że został on zablokowany. Wniosek: menadżer kłamiie. Ale menadżer nie może kłammć. To kolejny pewnik, Wniosek: albo moduł został zablokowany w jakiś inny sposób, albo menadżera wcześniej tak wrednie spatchowano.

Do obu ewentualności pasuje tylko jedno miejsce i jeden czas: izolatka Skrytojebcy. Przyjąłem kobrę na ciało.

Zdjąłem zabezpieczenia. Skrytojebca poprosił w tak naturalny sposób, bez nalegania, wydawało się to zupełnie oczywistą koniecznością, rutyną w postępowaniu sneakera z zaszczepionymi klientami…

Och, jakichż scenariuszy nie podsuwa wyobraźnia…! Na przykład:

Hedge węszy za Chiguezą, sneakerzy Langoliana namierzają go i

Hedge otrzymuje propozycję nie do odrzucenia. Toteż nie odrzuca jej, tak więc kiedy powtórnie odwiedza go ów niezdrowo wścibski klient – kobra już czeka, pełna langolianowego jadu…

Wszystko, co mi się przydarzyło od momentu opuszczenia willi Skrytojebcy, podlega zakwestionowaniu.

Kłopot w tym, iż wartość takiej hipotezy jest w gruncie rzeczy zerowa, jako że nijak nie sposób jej sfalsyfikować. Muszę sobie radzić, jak poradziłem sobie z podejrzeniem monadalnego opętania: niezależnie od przesłanek i dowodów, postępować tak, jakby nie było ono prawdą.

To trudne, bardzo trudne, zważywszy, iż w tej chwili jestem przecież niemal pewien, że znajduję się we władzy jakiegoś perfidnego Mad Drivera; że choćbym wykasował z pamięci wszczepki wszystkie MUI i profile, nie dałoby mi to najmniejszej gwarancji realności tego pokoju, tych promieni słonecznych, nawet własnego ciała. Każda czynność pozorna, każdy bodziec przefiltrowany…

Wciąż może to być prawda – Marina, Cień, klinika, szturm – może; ale może całkowite kłamstwo; i cokolwiek pomiędzy. Sprawdzić? Jak? Nawet gdybym kazał otworzyć sobie czaszkę i operacyjnie usunąć nanomaty – owa operacja również mogłaby stanowić złudzenie.

Skoro raz powziąłem silne podejrzenie, do śmierci żyć już będę życiem kota Schrödingera: zarazem prawdziwie i na niby. I tylko tyle trzeba: podejrzenia.

Przycisnął czoło do chłodnej szyby. To uświadomiło mu, jak się spocił. Rękawem otarł skórę. Czuł to wszystko z obrzydliwą wyrazistością: pot, chłód szyby, ciepło słońca, i jeszcze zatęchły zapach tego pokoju, i lekki posmak papryki na języku, ucisk krzesła o plecy, ciężar gruzu…

Gdyby Pascal żył w naszych czasach, o co innego by się zakładał, inne macierze kreślił. Nie wiesz, czy to życie, czy gra, toteż zawsze postępuj podług rachunku minimalizacji kosztów pomyłki, jak gdybyś wszystko robił naprawdę. Oto jest przykazanie na XXI wiek.

Zgiął szósty palec. Gdy otworzył się katalog MUI, kopnął BACK.

– Diable – rzekł – zabraniam ci podejmować jakiekolwiek działania przeciwko doktor Vassone.

– Bezwarunkowo, sir?

– Co masz na myśli?

– Jeśli przyjdzie do wyboru: pana albo jej życie…

– Ostatecznie każdą sytuację możesz sprowadzić do takiego wyboru, prawda? Czy przykładała mi pistolet do głowy? A dusiłeś ją. Zabraniam ci. Nie otworzysz edytora ruchu bez mojego wyraźnego rozkazu. Anuluję cały setup ochrony osobistej.

– Jak pan każe, sir. Wszyscy mają prawo do eutanazji.

Hunt na moment odwrócił się od okna i spojrzał na Lucyfera. Diabeł stał w pozycji „spocznij", z rękoma założonymi za plecami, popatrywał na Nicholasa lekko ku niemu pochylony, rogi lśniły.

– Łączność? – warknął Hunt, obróciwszy się z powrotem ku miastu.

– Niestety, sir.

I po cóż tak szybko pozbywał się telefonu? Oto kolejna nauczka. W dowolnym okresie dla każdej dziedziny utrzymywać należy przynajmniej dwie technologie: aktualną oraz jej poprzedniczkę. To zmniejsza prawdpodobieństwo utknięcia w ślepej uliczce technoewolucji. -Otwórz mi wczorajsze skany. -Nie dysponuję żadnymi plikami OVR z wczoraj.

– Co?

– Był pan nieprzytomny, sir. -Co, u diabła, jaki nieprzytomny… – Sir…?

– Chwila, moment. Datownik. Spojrzał i zazgrzytał zębami.

– Był pan nieprzytomny dwie i pół doby – wyjaśnił diabeł. – Środek, który wprowadził panu do krwioobiegu Cień Vittorio, utrzymywał pana w stanie śpiączki. Mogłem monitorować tylko funkcje organizmu. Jeśli pan chce…

– Otwórz mi skany ze szturmu na klinikę.

– Proszę bardzo.

Znowu ciemność i hałas. Skąd nadbiegł Vittorio z Mariną? I kim był ten mężczyzna, z którym Hunt się zderzył? – Vittoriem właśnie? Skąd gaz i kto strzelał? Nawet najbardziej wyrafinowany analizator graficzny nie wyłowi z obrazu tego, czego na nim po prostu nie ma. Przewinął Nicholas kilkakrotnie zbliżenia sił policyjnych, ludzi zza bariery. Nie rozumiał postępowania policjantów. Skoro spenetrowali sieć kliniki tak dogłębnie, że zablankowali jej system bezpieczeństwa – to jakim cudem przeoczyli to tylne wyjście, którym uciekał Cień? Jeśli faktycznie Vittorio umówił Marinę z tamtejszymi doktorkami, jeśli to on był pośrednikiem, wówczas miał prawo znać rozkład pomieszczeń i nawet jakieś ukryte przejścia. Lecz dlaczego nie znała ich policja? Więcej: Vittorio spodziewał się, był zgoła pewien, że policja ich nie zna.

Mała fałda logiczna.

Bum! Tąpnęło, gdy odpalili ładunki. Hunt obserwował szturmowców NYPD, w zwolnionym tempie wskakujących przez wybite właśnie otwory do wnętrza oślepiająco białego budynku. To z mojego powodu, uznał. Bo trudno przecież przypuszczać, że był to zwykły zbieg okoliczności, iż akurat na tamtą noc zaplanowano operację przeciwko zorganizowanej przestępczości. Jakoś tu za mną i Mariną trafili. Jak?

– Jak?

– Najbardziej prawdopodobna wersja: A amp;S obróciła swojego satelitę i prześledzili drogi wszystkich pojazdów i pojedynczych osób opuszczających hotel w krytycznym przedziale czasowym.

Sam moment dostrzeżenia uciekinierów nie został zarejestrowany, Hunt był wówczas odwrócony tyłem do blokady, a kiedy się obejrzał, śmigłowce już pędziły na niego. Teraz rozpoznał kolejne załamanie logiki: jakim prawem UCAV-y NYPD strzelały do nie uzbrojonych podejrzanych? Co ci policjanci sobie wyobrażali, wydając podobne rozkazy?

Przyjrzał się „tym policjantom" jeszcze dokładniej, klatka po klatce, w wyostrzeniu prawie granicznym, mały zoom od pikselozy. Wówczas go spostrzegł, patrzącego ponad maską furgonetki SWAT prosto na Hunta i Marinę, z ręką wpółuniesioną, mówiącego coś w przestrzeń.

– Czytaj – polecił Nicholas.

Odszyfrowane z ruchu warg McFlya słowa wyświetlały się i bladły na tle obrazu. TAK, CHOLERA, ONI. JESZCZE NIE, ALE WSZYSTKO MOŻLIWE. DAJ. TAK, ZARAZ ICH DOSTANĄ. NIECH TU PRZYLECĄ Z PODKŁADKĄ, TRZEBA ICH BĘDZIE POTEM WYJĄĆ OD KORONERA, ON MA WSZCZEPKĘ, ZNACZY SIĘ HUNT, WIĘC MOŻLI. Zniknął Huntowi z pola widzenia za samochodem – i to było tyle, jeśli chodzi o występ McFy`a.

– Pięknie – mamrotał Hunt. – Cudownie. Wspaniale. Fantastycznie. Kurwa mać na biegunach.

Usiadł na podłodze w rogu pomieszczenia i oparł się o ścianę.

Zdało mu się, że ktoś coś do niego mówi, nawet przechylił odruchowo głowę, ale panowała zupełna cisza, pokój był dobrze izolowany. Słyszał tylko własny oddech.

Zafrasowany Lucyfer pochylał się nad nim. – Trupem jestem, mój diable, trupem – rzekł mu Nicholas.

– Sir…?

– Sam już nie wiem, co gorsze.

– Jeśli wolno mi coś zasugerować…

– Wyłączżesz tę psychoanalizę.

– Nie od rzeczy byłoby sprawdzić domyślne hasła TV, -prawie na pewno jest tu gdzieś ledekran, być może wciąż działający, być może z wyjściem. – Jak sobie życzysz. Daj listę. Diabeł podał mu kartkę, Hunt zaczął mechanicznie

Nie mógł się Nicholas powstrzymać, by nie tworzyć scenariuszy dalszego rozwoju wydarzeń, jeden bardziej ponury od drugiego, kończących się nieodmiennie jego śmiercią, gdy już tamci wydobędą z niego, co im potrzebne. Bo był to przecież jedyny powód, dla którego w ogóle jeszcze żył: czegoś od niego chcieli.

Dotarłszy do dwóch trzecich listy, urwał, bo w pokoju nagle zrobiło się ciemno: ledunek okna uaktywnił się, wyświetlając witrynę lokalnego providera.

– Sir. – Diabeł nadął się dumą.

Hunt niechętnie, ale podźwignął się na nogi, bo z tej żabiej perspektywy widział ledekran w skrócie omal nieczytelnym. Wstając, pomyślał o drzwiach i odwrócił się na pięcie. Zaczęły się bezszelestnie otwierać, ze szczeliny buchało ciepłe światło. Weszła Marina. W progu za nią stanął Vittorio, wielki, ponury, cały czarny w obszernych płóciennych ciuchach barwy mielonego grafitu. W wyprostowanej ręce trzymał wycelowany ponad Vassone w Nicholasa pistolet – nie klinger, lecz ów kanciasty gnat, z którego się ostrzeliwał w klinice. Marina była o tyle niższa, że nie groziło, iż wejdzie na linię strzału, zaraz zresztą odstąpiła w prawo. Z takiej armaty wystarczy podmuch, pomyślał Nicholas – i w tym momencie przypomniał sobie o postrzałach, które otrzymał tamtej fatalnej nocy. Mało brakowało, a zacząłby się na ich oczach macać, po barku, po biodrze. Ogarnęły go równocześnie strach i zimny gniew. Twarda rękojeść pistoletu w dłoni, pewność mięśni ułożonego wzdłuż linii ramienia, omal je czuł. Palce przebiegły nerwowo po koszuli, dopięły ją wysoko pod brodą. Gdzie marynarka? Obejrzał się na posłanie. Żadnej marynarki.

Wtedy wszystko zrozumiał.

Wymienił z Mariną jasne spojrzenia. Ja wiem, że wiesz, że ja wiem. Kontrolowane napięcie. Wydostać tajemnicę.

Rzekł w OVR:

– Jeśli mnie pamięć nie myli, przekopiowałem jakiś wariograf behawioralny. Bądź tak miły i odpal go.

– Służę.

Równocześnie odezwała się Marina. Tak właśnie wydawało mi się, że już nie śpisz… Jak się czujesz?

Spostrzegł, że była ubrana w te same lub takie same spodnie i golf, co w poniedziałek. Kto jak kto, ale Marina Vassone z pewnością nie należy do tych kobiet, które nie zwracają uwagi na swój wygląd.

– Co się stało? – spytał.

– Nie podchodź do mnie.

– Nie podchodzę. Co? Ma mnie przecież na muszce, rozwali mi łeb w mgnieniu oka, czego się boisz? – I, zupełnie spokojnie: – Nie uduszę cię.

– Nie boję się. Nie podchodź.

Diabeł zachichotał. Nos Mariny wydłużył się o pół cala. Hunt skrzywił się.

– Zmień wizualizację – mruknął w OVR.

– Na jaką?

– W każdym razie jakąś, mhm, mniej ekstrawagancką. Twarz

Vassone odzyskała normalny wygląd. Nicholas odwrócił się i odledował wielkie okno. Rozjaśniło się co najmniej, jakby zmienił MUL Od razu też poczuł się pewniej. Oparł się plecami o okno, założył ręce na piersi. Marina popatrywała na niego badawczo. A Vittorio – Vittorio stał niczym posąg, nawet nie mrugał, a jeśli w ogóle oddychał, to jakoś zupełnie niedostrzegalnie, płytko i powoli. Po lewej stronie Mariny sędzia w czarnej todze uniósł na wysokość głowy dwuszalową wagę. Na jednej szalce zwijał się zielonoczarny wąż, sycząc i wysuwając ognisty język, na drugiej spoczywał biały kwiat (takie, niestety, są defaultowe symboliki). Szale pozostawały w równowadze. Wszystko to – przybrana przez Nicholasa poza, wymuszone oddalenie od Mariny, sędzia, obecność Vittoria, broń w jego dłoni – czyniło niemożliwym, a w każdym ra-zie niezmiernie trudnym, sprzeciwienie się formie. Teraz miały pójść za sobą, z taką samą nieuchronnością, z jaką dzień następuje po nocy: szyderczy półuśmiech, aluzyjne nieopowiedzenia, spojrzenia jak lód, gniewne milczenie, zimna wściekłość, ostentacyjna obojętność. Oboje doskonale pamiętali, jak próbował ją zamordować. To wspomnienie będzie odtąd stać za każdym słowem i gestem. Ale nawet gdyby miało od tego zależeć jego życie (a bądźmy szczerzy: zależy, zależy) – nie zdobe-dzie się Nicholas na żadne tłumaczenia: że to nie on, że menadżer, że Baryshnikov, że kalkulacje wszczepki… Nie zniósłby takiego poniżenia wobec nikogo obcego; wobec nikogo.

Jest NEti i są kody jeszcze od niej mocniejsze.

– Dlaczego cię ścigają? – pytała. – Dlaczego wydali nakaz? Z kim masz umowę? Skąd wiedziałeś? Kto ci dał? Na co grasz? Kto należy do spisku?

– Jakiego spisku?

– Wymień wszystkie.

– Nie ma żadnego spisku. Chyba że uważasz za takowy ów plan langolianowych strategów, którzy cię skorumpowali.

– Nikt mnie nie korumpował! – warknęła. – To ty masz wszystko: wiedzę, program.

Ha, pomyślał smętnie, znowum wyszedł na szarą eminencję.

– Jaką wiedzę? – westchnął. – Jaki program?

– Wiedziałeś o wirusie. To on jest tym Grudniem, prawda? Wiedziałeś o Modlitwie, miałeś ją przez cały czas w kieszeni!

– Ty sama najwyraźniej też byłaś nie najgorzej poinformowana.

– O Grudniu nie wiedziałam nic. – (Kwiat cięższy od węża). – Kto ci powiedział?

Hunt wzruszył ramionami.

– Nikt. Domyśliłem się. Nazwa kodowa przeciekła do mnie z waszyngtońskich plotek. Popytałem. Wypłynął tylko Wrzesień. – Opowiedział jej o nim słowami fenomurzyna z Hacjendy. Słuchała

odchylona w tył, oparta łopatkami o ścianę. – Zacząłem więc się zastanawiać: jaki będzie następny etap w Wojnach Monadalnych, skoro już ustali się równowaga między nowymi mocarstwami? Skojarzy łem z tym, co mówił Schatzu o drugim rodzaju Wojen: wpływie masowym, nieselektywnym. Pamiętaj, że na moim biurku leżał estep, śnił mi się po nocach. Cóż prostszego, rozumowałem, jak podpiąć RNAdycyjną część egzekutywną estepu do Września? I co wówczas otrzymamy? Profilowany genotypicznie wirus zwiększonej podatności na presję myślni, ot co. I nawet zacząłem go podejrzewać u Azjatów. Może Transwaal albo Izrael wspierali w ten sposób swoje ataki na Hongkongijską i Chiny? To znaczy przez wystawienie narodów na trendy gospodarczo samobójcze.

– Słusznie podejrzewałeś – parsknęła. – Chiny odpowiedziały Grudniem otwartym. W ciągu kilku tygodni dotrze do ostatnich eremitów. W telewizji lecą bez przerwy ostrzeżenia i zalecenia Centrum Chorób Zakaźnych. Zabić każde napotkane zwierzę. Nie zbliżać się do szpitali, klinik, miast więziennych. W miastach więziennych krwawe bunty. Na dniach będziemy mieli coś analogicznego do brytyjskiej Ustawy o Rozruchach z 1715, z nie lżejszymi sankcjami. Powyżej sześciorga to już tłum. Zakazane są jakiekolwiek publiczne praktyki religijne. W strefach gęstszego zaludnienia prawdziwy horror, tam najwięcej dzikusów, a ich pierwszych ogarnęło. Bo Grudzień na zastrzeżony genframe designerów przyszedł do nas wczoraj, ten otwarty, na wszystkich rzeźbionych.

– Z kim się kontaktowałaś?

– Vittorio wychodził. Musiał.

– Więc najprawdopodobniej jesteś nosicielem.

– Tak. – (Kwiat cięższy). – Ty już też.

– Tak czy owak, ja mam Grzyba. Zaszczepiłaś się? Nie chcę. Zresztą po Grudniu niewielki to już ma sens: stopniowanie gwałtu.

Noo, nie wiem. Ja jakoś nie…

Ale nie dokończył, bo nagle zorientował się, że to nieprawda. Zadrżał, mróz przeszedł mu po kościach, odruchowo potarł ramiona. Grudzień we krwi. No tak. Przecież czułem to. O: jak słońce bije mi zza pleców. A skąd wiem? Bo Vittorio patrzy. Dlaczego niby obejrzałem się wówczas na drzwi? Ten lęk. Czyj? Nie Mariny aby? Który impuls mój?

Mówić, mówić, mówić, byle szybko, to też jest mantra, chroni.

– A Modlitwa? – pytała. – Skąd ją masz?

Więc odpowiadał, prędko, bez zastanowienia, z myśli najpłytszych, najjaskrawszych:

– Przysłał mi ktoś. Anzelm chyba. Nie mogę jej otworzyć. Tobie się udało? Ty wiesz, co to jest, prawda?

– Sama pomagałam ją układać. – Uciekła wzrokiem w szare niebo, lecz sędzia nie zareagował. – Anzelm? Anzelm nie mógł jej mieć. Nie wiem, ile jej kopii istnieje, ale naprawdę niewiele. To był pomysł Chiguezy, wymyśliła ją po lekturze drugiego memorandum Schatzu. Langolian miał już wówczas swojego Grzyba, wnieśli go w wianie dwaj kognitywiści, których podkupiła z Mostu, i szło tylko o ustalenie profilów.

– Ale co to w ogóle za program?

– Taka nakładka na Grzyb. – Wzruszyła ramionami. Podeszwą lewego buta machinalnie klaskała o ścianę. -Moduluje natężenie i rodzaj indukowanej przez niego emisji psychomemicznej. W skali jednego umysłu niewiele to daje – ale rzecz jest przeznaczona dla grup i całych społeczeństw.

Przypomniał sobie Ronalda Schatzu w „Santuccio". „Proszę to sobie wyobrazić, proszę to sobie tylko wyobrazić…!" Ktoś faktycznie sobie wyobraził.

– Sekretna hodowla monad. Pokręciła głową.

– Nie, nie. Cóż by to w końcu dało? Ile musiałoby być tych monad? Modlitwa działa inaczej: nasyca myślnię określonymi strukturami psychomemicznymi, wywierając podprogową presję. Na przykład korelacji określonego dźwięku, kształtu czy smaku z uczuciem satysfakcji bądź niechęci. Sam Grzyb nie określa przecież „treści" inhibicyjnych wydzielin i tu pozostaje pole dla manipulacji. I jeśli zsynchronizuje się owe emisje u wystarczająco dużej liczby zagrzybionych… Rozumiesz… Kamień filozoficzny inżynierii memetycznej, Graal marketingu.

– Bezpośrednie sterowanie wektorami konsumpcji.-Zobaczył to wyraźnie, niczym w komputerowej animacji. – Tak. Kontroler Modlitwy mógłby wylansować lub utopić każdy jeden produkt. Trudno nie kupić wozu akurat tej marki, skoro śni ci się jego logo po nocach. Całemu miastu całemu narodowi się śni. Cholera, ten Schatzu to zaraza…! Że też… -Nie podchodź!

– Dobra, dobra. A na co ty byłaś w tym wszystkim Chiguezie potrzebna?

– Testy. EEG przejmowanych przez monady. Przed estepem to było przecież jedyne źródło danych. Modlitwa jest bardzo elastyczna, ale nie da się pisać programu zupełnie w ciemno. Nicholas. Komu mówiłeś? Kto wiedział? Dlaczego znaleźliśmy się na czarnej liście? Ja – rozumiem; ale ty?

– Pojęcia nie mam. Może McManamara wykorzystał naturalne ciśnienie… Nie wiem.

– Kto należy do spisku?

– Spisku! Daj że spokój.

– Dlaczego do mnie z tym przyszedłeś?

– Bo dowiedziałem się o twoich powiązaniach z Langolianem. I miałem rację, może nie?

– Dlaczego wezwałeś jurdy?

– Rzucił się na mnie. Co mi pozostało? Masz pretensje? W końcu to był zamach na ciebie.

– Zostawiłeś gdzieś jakieś informacje? Plik powierniczy?

– Nie. Nic.

– Co chciałeś potem zrobić?

– Wykorzystać cię. Co innego? Spotykałaś się z niewidzialną Chiguezą.

– Dobrze.

Nadal nie spoglądała na Hunta. Klap-klap butem o ścianę.- Nicholas zaś popatrywał to na nią, to na Vittoria, który najwyraźniej do reszty zapomniał, że jest człowiekiem, Szukał w sobie Hunt impulsu dla mordu i niczego takiego nie wyczuwał. Co jednak nie stanowiło żadnego dowodu, zważywszy na Grzyb: Vittorio i tak może już w tej chwili planować zabójstwo.

Zebrał się więc w sobie, opanował oddech. W tym momencie jednak Marina podniosła na niego wzrok, zapewne tknięta echem Nicholasowego podenerwowania (jej Grzyb wszak nie chronił) – i w ostatniej chwili zmienił swoją kwestię:

– Nie rozumiem, w jaki sposób Modlitwa mogłaby wejść na cudze Grzyby.

– A w jaki sposób Vittorio zablokował ci wszczepkę? -odmruknęła mu Vassone, znowu zamyślona.

– No właśnie, w jaki?

– Według ciebie czyjej produkcji jest Tuluza 10? Waga ani drgnęła w ręku sędziego.

Czy to możliwe? (Bardzo chciał Nicholas uwierzyć). Cóż, posiada pozory prawdopodobieństwa – przynajmniej dla takiego jak ja laika.

Lecz skąd mogę mieć pewność, że ona naprawdę to powiedziała?

Ta spirala podejrzeń nie ma końca…

Wtem Marina najwyraźniej podjęła jakąś decyzję, bo oderwała się od ściany i ruszyła energicznie ku drzwiom. Koniec przesłuchania. Hunt spiął się.

W progu przystanęła, obejrzała się na niego. Stał tam w milczeniu. Dwoma szybkimi ruchami poprawił mankiety, wyprostował się. Czekał.

– Czemu? – zapytała. Twarz, oczy, głos, wszystko absolutnie bez wyrazu, ale Nicholas poczuł to krótkie szarpnięcie słonego gniewu.

– A tam. Menadżer mojej wszczepki ma silnie rozwinięty instynkt opiekuńczy. Nie odłączyłem mu edytora ruchu. Pewnie wszystko z przeoczenia. Chociaż… diabli wiedzą.

Skinęła mu głową.

Klepnęła wyciągniętą rękę Cienia. Ten opuścił ją, schował broń i cofnął się w głąb białego korytarza. Hunt wściekł się. Skoczył ku drzwiom.

– Co, wierzysz mi? – warknął rozeźlony. – Trzeba ci było podłączyć mnie do jakiejś maszynki, ten twój Cień już by coś wykombinował, skąd wiesz, czy nie łgałem ci tu od początku do końca…

– Wiem; nie łgałeś. Cień wykombinował. Kiedy spałeś, zsyntetyzował i podał ci serum. Nie możesz wypowiedzieć żadnego słowa, które nie byłoby prawdą.

– Akurat!

– Zaraz uwierzysz. Aha, jak będziesz chciał pójść do łazienki, zapukaj, Vittorio cię zaprowadzi.

– Dlaczego ty…

Zatrzasnęła drzwi.

Jeszcze przez długą chwilę walczyło w nim o lepsze

z malarycznym gniewem owo charakterystyczne dla pani doktor chłodne rozbawienie. Potem Grzyb przeważył i Hunt został sam na sam ze swoją wściekłością.

To było w czwartek; a opuścili ów biurowiec dopiero w sobotę wieczorem.

W tym czasie przeglądał na oknie serwisy informacyjne, odtwarzał zachowane w pamięci wszczepki pliki OVR, przekomarzał się z diabłem, układał scenariusze klęski i upokorzenia. Próbował też ciągnąć za język Vittoria -bo Mariny już, aż do soboty wieczór, nie zobaczył.

Vittorio, jeśli w ogóle odpowiadał, to krótkimi, urywanymi zdaniami, bez ostentacyjnej niechęci, lecz z jeszcze bardziej obelżywą obojętnością.

– I co teraz ze mną zrobicie?

– Na pewno nie puścimy wolno.

– Mogiła?

– Na razie czekamy.

– Na co?

– Na okazję.

I tak dalej, szybkie pytania i jeszcze szybsze odpowiedzi, wydawało się, iż po prostu nie można go zmęczyć, zirytować, w jakikolwiek sposób wyprowadzić z równowagi.

W Vittoria dłuższej obecności spływał powoli na Nicholasa przemożny spokój, naturalna cisza na wieki spętanego żywiołu.

Lecz Hunt pamiętał swoje: obrót głowy, małe oko lasera, kanciasta lufa, martwa jego twarz, oleiste źrenice; czego nigdy nie zapomni.

Strach? Oczywiście, ten najgorszy, organiczny, irracjonalny, w

odruchach i grymasach; zwłaszcza potem i przedtem.

Opanowywał je z wielkim wysiłkiem. Dobrze wiedział, że jest tchórzem – lecz dzień, w którym pozwoliłby sobie na publiczne okazanie strachu, byłby ostatnim dniem Nicholasa Hunta.

Tym bezczelniej nagabywał Cienia, także wtedy, gdy ten przynosił mu jedzenie.

Ta okazja, na którą czekali – zamierzali się na jakiś czas ukryć w jednej z zamkniętych enklaw pod Nowym Jorkiem. Nie była to enklawa konstytucyjna, całkowicie odizolowana: do sekty kulturowej nie można wstąpić „na jakiś czas", no i nie biorą tam ludzi z ulicy. Do takich enklaw zresztą też nie. Vittorio posiadał jednak kontakty wśród enklawistów i udało mu się wkupić całą trójkę na pół roku za jakąś astronomiczną sumę. Oczywiście pod fałszywymi nazwiskami – pieniądze były między innymi za gwarancję całkowitej blokady informacyjnej, którą dają swym stałym członkom wszystkie enklawy zamknięte, jako konsekwentnie odmawiające uznania zwierzchności prawa miejscowego.

Skąd pieniądze? Wszystkie konta im przecież pozamrażano, poza tym enklawiści i tak nie przyjęliby przelewu, który śledziłoby tyle oczu. Z kont Vittoria? Po przedstawieniu przed kliniką z pewnością namierzono i jego. Na takie właśnie ewentualności ludzie gromadzą starodruki. Książki to obecnie jedyny papier wartościowy i Marina targała w tych swoich dwóch torbach całą bibliotekę pierwszych wydań, na wagę droższe od złota. Przepadły wraz z minivanem w klinice. Pozostał jej tylko Milton i Newton ukryte gdzieś na mieście podczas wcześniejszych przygotowań Vassone do ucieczki, zanim jeszcze dotarła do niej informacja o śmierci syna. Vittorio musiał pójść po nie. Wrócił z książkami i z Grudniem.

A właśnie, klinika. Jak uciekli? Cień nie powiedział tego jasno, lecz jego powiązania z podziemiem musiały wykraczać daleko poza przelotne kontakty w roli klienta. Wiedział o tunelu i znał sposób na wysadzenie ściany nośnej budynku (strzałem?). To był ten huk, który Nicholas usłyszał biegnąc: przygotowana przez gangsterów pułapka, ostateczne zabezpieczenie w ucieczce. A potem? Jak wyniknęli się helikopterom? W odpowiedzi na to pytanie Vittorio tylko postukał się palcem w czoło. Ponieważ jego twarz, jak zwykle, nic nie wyrażała, Hunt wpierw pomyślał, że Cień z niego drwi. Ale potem, sam z diabłem w celi z widokiem na miasto, doszedł do wniosku iż Vittorio w ten sposób wskazywał na wszczepkę. Tak śmigłowce były bezzałogowe i z całą pewnością przystosowane do kontroli via OVR, a on, Cień, dzięki Vassone znał sposób na nieinwazyjne włamy.

I tylko zagadywany o swoją umowę z Mariną, o zasady kontraktu – Vittorio milczał.

Ponieważ budynek (prawdopodobnie cała dzielnica) został

zlicytowany lub właśnie czekał na licytację, w każdym razie nikt nim aktywnie nie zarządzał i nikt w nim nie wynajmował aktualnie przestrzeni użytkowej – wszystkie systemy funkcjonowały na najniższym poziomie energetycznym. Dla Nicholasa oznaczało to między innymi zimne, ciemne i duszne noce – ale bardziej doskwierało mu ograniczenie serwisu informacyjnego miejscowej sieci. Lokalny provider zamknął dla tego węzła wszystkie linie płatne, pozostawiając jedynie dwie publiczne oraz kilkanaście największych gratisowych, wręcz przeładowanych obligatoryjnymi reklamami, z niezwykle ubogimi opcjami customingu i całkowicie zablokowanym wyjściem interakcyjnym. Gdyby nie ta blokada, Hunt mógłby, wycierpiawszy wpierw półgodzinną sieczkę reklamową, otworzyć darmowe połączenie z dowolnym numerem w Nowym Jorku lub – również za friko – przesłać do 2GB na konta otwarte.

Inna rzecz, że i tak nie bardzo miałby do kogo się zwrócić, nie po tym, jak we wszystkich tych serwisach ogłaszano go z nazwiska, twarzy i DNAM zbiegłym agentem obcego wywiadu, odpowiedzialnym – wespół z drugim zdrajcą, Mariną S. Vassone – za Kryzys (w ciągu tych. kilku dni dorobił się on wielkiej litery) oraz Zarazę (która była Zarazą już w newsach inicjujących). Mord medialny, bez wątpienia – ale jakże prostacki! Tu przecie zawsze była w cenie subtelność. Ogłosić ofiarę wszem i wobec malwersantem, gwałcicielem psychicznym, donosicielem FBI – każdy potrafi. Ale zabić człowieka samymi komplernentami… o, to jest prawdziwa sztuka asasynów memetycznych! to jest styl i forma! Tymczasem co: przez łeb maczugą. Niemniej efekt ten sam: zimny trup; nic już nie pomoże.

W pierwszym odruchu co prawda pomyślał Nicholas tak: Imelda, Anzelm, matka, ojciec.

Drugi odruch był tym zrodzonym z rozsądku. Imelda? A co ona może? Zresztą i tak na pewno znajduje się na liście FBI i jurydykatorów. Anzelm? Cholera, najpewniej to właśnie on przesłał mi tę Modlitwę, ochrona go zgarnęła i stąd ta nagonka i McFly do nadzoru egzekucji. Matka? Też pod obserwacją. Jedyne, co mógłbym jej przekazać, to gorące Jestem niewinny" – ale przecież ona i bez tego w moją winę nie wierzy i nie uwierzy Ojciec? Skąd, u licha, przyszedł mi do głowy ojciec? Nie żyje od lat.

Co się tyczy Kryzysu i Zarazy, wiedział o nich nawet więcej, niż chciał, w serwisach poświęcano im osobne działy. Kryzys odbijał się już na gospodarkach wszystkich państw i sojuszy. Mocarstwa monadalne in spe zyskały sobie u komentatorów przydomek „krokodyli krachu" -a nawet one (Hongkongijska, Transwaal, Izrael, Librę Inc.) w ogólnym rozrachunku traciły, tylko że wyraźnie mniej od reszty. Co jeszcze je odróżniało: ich strategie były zaskakująco ofensywne. Infoekonomiczni analitycy nie rozumieli tego i bredzili coś

niejasno o „nowych grach obronnych". Hunt, który znał sekret myślni, wiedział lepiej: oto jest Jałta post-IEW. Na jego oczach.

Dzięki błyskawicznym lotniczym połączeniom Zaraza objęła całą Ziemię w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Były obrazki ze wszystkich kontynentów, nawet z Antarktydy. Naukowcy o najdziwniejszych nazwiskach i nieprawdopodobnych akcentach wypowiadali się o wirusie, z pomieszaniem autorytatywności i niepewności, jakby żywcem wziętym z zeszłowiecznych wystąpień wirusologów na temat HIV. Udało im się wyselekcjonować bardzo rozbudowany człon RNAdycyjny Grudnia. Ale co tu właściwie podlega edycji – tego nie wiedzieli. No jasne, szydził Hunt, skąd mieliby wiedzieć, przecież nic jeszcze nie przeciekło o estepie.

Kazał Lucyferowi wykorzystać bogate dane załączone do plików pokonferencyjnych do przeprowadzenia prostej ekstrapolacji trendu. Diabeł zaczął rozwodzić się bezsensownie nad jakimś kaestepem, rozwijać przed oczyma Hunta całe mapy DNA… Musiał mu powtarzać rozkaz zamilknięcia.

Znalazł w przeterminowanych newsach jedną wiadomość która go naprawdę zmroziła. Chciał sprawdzić, jak szeroko poszło śledzwo w jego sprawie, i po kolei przeliterował nazwiska wszystkich osób, które mogły zostać ewentualnie w nią zamieszane. Tym sposobem trafił na dwuminutową relację z katastrofy samolotowej. Obraz zdjęto ze śmigłowca, miejsce upadku maszyny znajdowało się bowiem w enklawie, która nie wpuszczała do środka zaprzysiężonych dziennikarzy i zabraniała upubliczniania zapisów wewnętrznych skanów. W wieczorne niebo bił pochyły słup smoliście czarnego dymu. Krater, rozgwiezdny strup metalu, żużlu i gruzu, obejmował właściwie tylko jedną posesję. Podano liczbę zabitych – siedmioro – i liczbę rannych – dwoje. Posiadłość wynajmował pan Marius Hedge.

Nicholas przewinął tę relację kilkakrotnie. Jako prawdopodobną przyczynę katastrofy podawano dysfunkcję komputerów pokładowych. Samolot, stareńki DC-10, trafił prosto w dom. Nic nie zostało z ogrodu i drzew fajerwercznych Skrytojebcy. Huntowi zdawało się, że wciąż czuje zapach jego kadzidła. Noce w nie ogrzewanym pokoju na dwudziestym piętrze nieczynnego biurowca były bardzo zimne, dreszcz szarpał ciałem. Wyłączył ledekran, zakutał się w oderwaną od podłogi białą pianę.

Odtwarzał skany z konferencji.

– Myślnia jako komputer – mówił dwudziestodwuletni profesor kognitywistyki z MIT-u (katedra rządowa, poniżej 10% udziałów Microsoftu), Yince Li. – Wychodzimy z algorytmów genowych na bazie COX-u. Jeśli potwierdzą. się hipotezy Ronalda Schatzu o wyjęciu myślni spod ograniczeń fizyki materii, otrzymujemy tu maszynę

logiczną bijącą na łeb kompy kwantowe, o potencjalnie nieskończenie wielkiej pamięci. Na wszelki wypadek przypominam, że nie znamy poziomu ziarnistości myślni. Próby jej skwantowania podjęte przez doktor Vassone, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie dały ostatecznych wyników: znamy tylko odbicia aksonowe. Nie istnieją żadne równania odwzorowywujące, ani dla energii, ani dla polo żenią. Okazać może się wszystko.

– Tymczasem – kontynuował Li – powinniśmy z grubsza określić warunki konieczne dla wykorzystania komputatora psychomemicznego. Operacje musiałyby być dokonywane na jakimś odizolowanym fragmencie myślni nie interferującym ani z jej promieniowaniem reliktowym, ani z przypadkowymi odbiciami neurosystemów. Znów narzuca się kosmos. I może nawet nie Księżyc, lecz placówki jeszcze odleglejsze. To bez wątpienia podniesie koszta.

– Wszelako problemem największym – westchnął kognitywista – będzie, mhm, interfejs. Potrzebna jest mechaniczna precyzja i opanowanie, pewność co do każdego jednego psychomemu – a tu co? Telepaci, wariaci, opętańcy. Takie metody nie wchodzą w grę, to jest prowizorka, żenujące chałupnictwo. Musimy mieć możliwość precyzyjnego programowania, reprogramowania i odczytywania myślni. Żaden ludzki mózg nam tego nie zagwarantuje – nie dlatego, że jest ludzki, ale dlatego, że jest mózgiem. Nazbyt złożony. Struktura holistyczna, nieredukowalna. W ten sposób po prostu nie da się uzykiwać monochromatycznych odbić.

– Więc?

– Więc trzeba się wziąć do roboty, moi państwo. Czy ktoś z obecnych przypomina sobie tak zwaną „Fontannę Młodości"? Był to projekt GenSymu, ruszyli go nieco w zambijskich labach, zanim do reszty przerżnęli w IEW. Ich cele były co prawda inne, wyszli od sztucznej hodowli analogu tkanki mózgowej płodów – lecz możemy wykorzystać wyniki ich badań. Nie orientuję się, kto aktualnie posiada prawa, pożarł ich zdaje się jakiś szwajcarski prawnuk IG Farben. Można odkupić. W szczególności przyda nam się ich patent na syntezę matryc neuronalnych. Tak jak ja to widzę, one właśnie byłyby idealnymi dyskretnymi generatorami psychomemów dla naszego psychokompa. Impuls dendrytowy, wzbudzany na elektroniczny sygnał, zmieniałby stan kwantowy komórki myślni. Makromatryce odpowiadałyby za bardziej skomplikowane komendy. Można by po ich odpowiedniej rekonfiguracji wypalać od razu całe mapy bitowe.

– A odczyt?

Tak. Tu dochodzimy do kluczowej kwestii. Potrzebne nam będą matryce estepiczne: neuromaszyny telepatyczne. Jeśli powyższe się potwierdzi, a profesor Krasnow udostępni wyniki swoich badań, ich skonstruowanie nie powinno sprawić większych trudności.

Otrzymalibyśmy wówczas dwustronne modulatory myślni. Do uruchomienia komputera psychomemicznego brakowałoby nam tylko stosownego oprogramowania. A najlepszych specjalistów od software'u gwarantuję już ja.

Dzikus z tylnych rzędów:

– A skąd możemy wiedzieć, czy już ktoś-gdzieś nie skonstruował i nie zapuścił takiego psychomemicznego komputera? W istocie wydaje mi się to bardzo prawdopodobne, trudno przypuszczać, że jesteśmy pierwszymi, którzy się zorientowali w sytuacji i postanowili wykorzystać w ten sposób myślnię.

– Owszem, to prawdopodobne, panie…?

– Jarne, NASA. Więc tak się zastanawiam, dlaczego nie, dajmy na to, przed milionem lat? Coś mi się widzi, że w tym rozpaczliwym polowaniu na neuromonady większe mamy szansę natrafić na wciąż wykonujące się algorytmy obcych komputerów psychomemicznych. I, po prawdzie. Jak rozróżnić? To przecież w ogóle może być maszyna.

– Co?

– No, myślnia.

14. Tłum na ulicach

To jest pan Julius Qurant, a to jego żona, pani Colleen Qurant. Uratują ci życie, Nicholas, więc nie utrudniaj.

Przez te trzy dni Hunt wykoncypował sobie, dlaczego właściwie Vassone zdecydowała się zapłacić także za niego i zabrać go ze sobą do enklawy. To proste: ponieważ była to decyzja najmniej radykalna. Zawsze przecież Marina będzie mogła rozkazać Cieniowi go zabić i Cień go zabije. Do wskrzeszeń natomiast trzeba zupełnie innych specjalistów. Sam by tak postąpił na jej miejscu – decyzje nieodwracalne, oto, czego naprawdę zawsze się obawiał

Przez te trzy dni zrozumiał Nicholas także to: nie ma już dla niego powrotu, i to nie tylko do Prawdziwego Życia (zapomnij!), ale nawet do tej sekretnej egzystencji w sferze cienia, jaką dotąd prowadził, w NSA i potem w Zespole. Tak więc dwóch śmierci dane mu było doświadczyć. Pierwszej, mniejszej, gdy wygnano go z ogrodów władzy, drugiej, ostatecznej, bo publicznej, gdy dokonano na nim mordu medialnego.

W istocie zrozumiał to w tej samej chwili, w której zobaczył się na ledekranie podpisanego poszukiwanym zbrodniarzem. Ale żeby zaakceptować ów stan także podrozumowo, żeby uwierzyć, potrzebował dnia, nocy i dnia. Wówczas poczuł dziwną ulgę. Wszystko przepadło, nie ma więc się już czym denerwować. Rechotał do Lucyfera: – Co się będę przejmował… Szlag trafił Nicholasa Hunta. Odtąd mów mi Nick. – No problemo, Nick.

Kiedy jednak stawał w jasny dzień przed odledowanym oknem, z wielkim miastem u stóp, co prawda nie na aż takich wysokościach, co w skyhouse'ie senatora czy w swoim mieszkaniu na Manhattanie, ale przecież zawsze była to perspektywa Ubermenscha; więc kiedy tak stał i patrzył, budziło się w nim irytujące drżenie, jakiś dygot wewnętrznych organów duszy, zupełnie jakby ktoś wsadzi mu tam do środka rękę i teraz rwał, kręcił, szarpał, potrząsał, niepowstrzymywalny w swym szale wściekłoś rozżalenia i żądzy zemsty. Nieświadomie zaciskał Hunt pięści, pochylał głowę, gryzł wąsa. Wżerało się w Nicholasa wspomnienie tamtej chwili sprzed paru dni, z niedzielnego popołudnia, kiedy to z pełną świadomością wszystkich konsekwencji – bo przecież spodziewał się był najgorszego – Hunt postanowił rzucić się w przepaść. No więc rzucił się, proszę! Zdobył się na odwagę i ma!

Odwracał się od okna, cały spocony, i wypuszczał powietrze, rozluźniał mięśnie, śmiał się do diabła. – W następnym życiu będę jeszcze głupszy…!

Kiedy Marina ich sobie przedstawiała, stali – enklawiści i Hunt –

pod przeciwnymi ścianami pustej sali konferencyjnej, lecz Colleen Qurant od razu podniosła wzrok na Nicholasa i mruknęła:

– To dla niego żaden argnment, zdaje się, że już położył na sobie krzyżyk. Próbował się skądś rzucać? – spytała Vittoria.

Cień pokręcił głową.

W Huncie zaczęło się rodzić współczucie. Zmierzył gniewnym wzrokiem Vassone i enklawistów. Który to? Który?

– Darujcie sobie – warknął – żaden ze mnie samobójca, za dużo z tym zachodu bez kevorkianek.

Marina zerknęła na Vittoria.

– Działa jeszcze?

Cień wykonał wahadłowy ruch otwartą dłonią: może.

– W rzeczy samej – Nicholas zwrócił się w OVR do diabła – działa jeszcze to serum?

– Jeśli ty nie jesteś pewien, to co ja ci tu mogę powiedzieć? – obruszył się książę ciemności. – Skłam.

– Nie możemy po prostu wsiąść do samochodu i pojechać – mówił tymczasem Julius Qurant – bo wszystkie wozy cywilne są automatycznie blokowane na skrzyżowaniach, komp zaparkowałby nas po paru metrach. A jeśli nie, to tym gorzej, z miejsca mielibyśmy na karku policyjne UCAV-y. Maszerować sobie zwartą grupą przez miasto też nie bardzo można. Zarządzenie kwarantanny bardzo to wszystko utrudnia. Widzę teraz dwie możliwości: albo odczekamy, aż jabłuszko pęknie, co potrwa jeszcze jakieś trzy-cztery dni, albo pójdziemy nocą, rozdzieleni.

O trzech-czterech dniach mówili medialni eksperci. Głównyrn problemem było zaopatrzenie. Transport przejęło wojsko, ale że zamknięto wszystkie supermarkety, restaurację, McDonald'sy – trzeba było dostarczać żywność pod próg. Ludzie winni bowiem pozostawać w domach, w miarę mozliwości w oddzielnych pomieszczeniach, i jak najdalej od siebie. Oczywiście to też nie było idealne rozwiązanie – co ze slumsami, co ze starą, ciasną zabudów co z gęsto zaludnionymi dzielnicami etnicznymi? – ale chodziło o nie dopuszczenie do sformowania się ulicznych. tłumów. Hunt widział relacje z Brooklynu, te masakry krwawe. Tam niewielu zdecydowało się na wszczepkę. Miliony nie zagrzybionych, głowa przy głowie… Początkowo sądził, że z czasem ludzie się przyzwyczają, że to się jakoś uspokoi – teraz widział, że kwarantanna stanowi dla megapolii pokroju Nowego Jorku ostatnią brzytwę ratunku.

– Chodźmy teraz – rzekł. – Kiedy to wszystko wybuchnie, będziemy mieli jeszcze mniej szans. Wyobraźcie sobie, co tu się będzie działo.

Colleen i Marina równocześnie i w ten sam sposób wzruszyły ramionami. Julius skrzywił się i klasnął trzykrotnie. Colleen obejrzała

się na męża. Ten spoliczkowai ją mocno z obu stron. Hunta zapiekła twarz, potarł ją odruchowo.

– Jeśli pójdziemy teraz – podjął Vittorio – musimy sią liczyć z tym, że zostaniemy rozpoznani. Noc, nie noc, nie da się przejść przez miasto tak, żeby nie wpaść w obiektyw paru tysiącom kamer. Poza tym tak czy owak w jedną dobę nie zdążymy. Metro zamknięte, taksówki tylko automatic i dla pojedynczych pasażerów, autobusy nie kursują, policja lub gwardia liże rączki co przecznicę.

– Oni przeszli.

– Szli w odwrotną stronę.

– Nie jesteśmy tacy sławni jak wy – wysapała Colleen. Biegała teraz jak szalona tam i z powrotem wzdłuż krótszej ściany sali.

– Muszę pomyśleć – mruknęła Marina i wyszła. Z poduszczenia diabła, Hunt zapytał Juliusa:

– Nie wiem, czy w ogóle jest sens uciekać do tej waszej enklawy… Jak się już zacznie – dlaczego was akurat miałoby ominąć? Obronicie się?

– Tak – odparł krótko Qurant i Nicholas poczuł na jezyku twardą pewność tego słowa.

Vassone wróciła po jakichś dwóch minutach.

– Dobra, idziemy.

Na to z miejsca Vittorio:

Zmienić ubrania. Luźne, dla deformacji sylwetek, najlepiej długie płaszcze. Twarze – coś, żeby zacięły się ich filtry- Ja to nie problem, ale ty i ten tutaj… Włosy, pigment. Rysy.

Poszedł w końcu po te płaszcze. Diabeł i Hunt bardzo się zdziwili, że zostawił tak Vassone bez opieki. Nicholas oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru atakować Mariny, ani też już nawet nie myślał informować kogokolwiek o swym położeniu – ale przecież Vassone nie mogła tego zakładać. Dlaczego zatem odesłała Cienia? (Vittorio z własnej inicjatywy na pewno by nie odszedł, musiała wydać mu taki rozkaz). Widać myślnia padła jej na umysł. Czernu nie chciała się zaszczepić? Grzyb Tuluzy 10 dałby jej przynajmniej jakąś minimalną ochronę. Z pewnością nie uodparnia ich na wpływ myślni – Hunt widział to po sobie – ale też nie dopuszcza do takich przepięć, jak u Colleen Qurant.

Kiedy spytał, dlaczego również Qurantowie nie wstrzyknęli sobie Tuluzy, Julius odparł krótko: – Konstytucja enklawy zabrania.

Przed zmierzchem byli już gotowi. Dostarczone przez Vittoria płaszcze były za duże zarówno na Nicholasa, jak i Marinę, poły sięgały ziemi, dłonie kryły się w całości w rękawach. Maskowały sylwetki, to na pewno. Vittorio przyniósł również pełny zestaw kosmetyczny. (Przecież tego nie kupił, najpewniej po prostu zaszabrował. Hunt nie dociekał). Wydepilował skórę czaszki Nicholasa i całą jego twarz,

wyjąwszy brwi. Potem przyszła kolej na spray, iniekcje modelatorów mięśniowych, błony naoczne… Kiedy się przejrzał w lustrze, nie zobaczył Nicholasa Hunta, Nicholas Hunt poszedł do piekła.

Z Vassone było mniej zachodu, tu niewiele dało się zrobić poza ufarbowaniem włosów na czarno, lekkim wygięciem linii warg i poszerzeniem nozdrzy. Była zbyt ideał nie wyrzeźbiona, wszelkie większe deformacje rzucałyby się w oczy jako sztuczne.

Marina zwróciła Huntowi jego marynarkę, wraz z zawartoscią, którą przełożył do licznych kieszeni płaszcza.

Płytki z Modlitwą przypomniały mu po raz kolejny o Anzelmie. Powiedziała, że nie on, że nie mógł… Kto w taki razie?

Qurantowie obserwowali te przygotowania w milczeniu. Inna rzecz, że siedzieli tak blisko siebie, że najpew-niej nie potrzebowali niczego mówić.

Potem zresztą milczeli wszyscy, wyglądając przez wielkie okna sali konferencyjnej i czekając zmierzchu. Quran-towie i Marina siedzieli na składanych krzesłach (Marina wyciągnęła skądś i rozwinęła ledpad i teraz, zapatrzona w jego usztywniony ekran, machała w powietrzu dłonią w białej rękawiczce), Vittorio zamarzł zaś przy drzwiach. Tylko Hunt kręcił się po sali, bez przerwy gładząc nagą skórę czaszki pociągłym ruchem lewej dłoni z odgiętymi dwoma palcami. Przestał, gdy dojrzał swe odbicie w szybie i rozpoznał w tym geście zjadliwy mem wizualny z ostatniej kampanii Fruito.

W OVR kłócił się z diabłem:

– W ostateczności mogą nawet wejść siłą. Teoretycznie enklawy wciąż podlegają jurysdykcji sądów Stanów Zjednoczonych. Tak naprawdę powinienem uciekać w przeciwnym kierunku: na wschód, za Atlantyk.

– Na razie nie masz co nawet próbować. Najpierw musisz sobie wyrobić nowego cashchipa i podciąć DNAM. Vassone dobrze to wszystko dla siebie zaplanowała, nie pojechała do tej kliniki na ślepo. Na dłuższą metę to jedyna szansa.

– Wystarczy, że ktoś z enklawistów zadzwoni do FBI.

– Nigdzie nie uciekniesz z tym cashchipem, Nick – powtarzał diabeł.

To prawda: cashchipy, prócz funkcji bezdebetowych kart płatniczych, pełniły rolę powszechnych identyfikatorów w rozumieniu Clintonowskiej ustawy z roku 1996, pierwotnie wymierzonej przeciwko nielegalnym irnigrantom, która wszakże położyła pierwsze fundamenty prawne dla ogólnonarodowego systemu kart ID. System powstał w latach zerowych. Potem, gdy po przejściu na bezgotówkowy obrót pieniądza implantacje cashchipów stały się masowym obyczajem, zunifikowano nośnik. System inkorporował więc między innymi standardy Alien Identification Program, Machinę

Readable Document National Program, Licence Identification System, National Registration Identity Card i UnoCard, stając się podstawą wszelkich infooperatorów, ostatnimi laty nawet korporacje medyczne zaczęły przesiadać się ze swymi medalarmami na cashchipy. Standaryzacji nikt nie zaplanował; jak zwykle – kierunek wskazały wektory rynku.

Odruchowo potarł wierzch prawej dłoni, nacisnął kciukiem. Był tam – między kośćmi – mała, twarda kapsułka. Może ją wyrwać. Ale po co? To nie wystarczy. Żeby uciec, potrzebuje nowej.

„Ucieczka" – już tak myślał, tak mówił.

– Ucieczka z Nowego Jorku!

– Wszystko już było – przytaknął diabeł, postmodernista ultymatywny (biblioteki świata w cache'u).

Jednakowoż nawet po dokonaniu na nim mordu medialnego Nicholas miał więcej powodów do oddania się w ręce jurydykatora niż do ucieczki. Cóż najgorszego mogli mu zrobić? Skazać go nie skażą, nie bez dowodów, a tych nie mają, bo w rzeczy samej nikogo nie zdradził, nawet do procesu chyba by nie doszło, jurydykator załatwiłby rzecz polubownie przez jezuitów. Co prawda byłby Hunt bezrobotnym, bezwartościowym, na zawsze skażonym wyrzutkiem – ale w o ile lepszej sytuacji znajdował się jako uciekinier?

Lecz ktoś-gdzieś-kiedyś wydał rozkaz natychmiastowej jego eliminacji (post factum zapewne już się nie dociecze, kto) – i teraz to była ucieczka przed śmiercią. Co chara-kterystyczne: Hunt nawet nie bardzo się zastanawiał, kto i dlaczego zarządził tę egzekucję. Nie miało to znaczenia.

Powody większości decyzji tak czy owak pozostawały w ramach instytucjonalnego neurosystemu nieznane lub przynajmniej niejasne; i gdzie w nim rodził się impuls -to też nie podlegało interpolacji. Hunt nie raz był świadkiem, jak poczynają się brzemienne w skutki decyzje na sposób opisany przez hacjendowego fenomurzyna – i nawet będąc świadkiem, nie był w stanie stwierdzić, kto tak naprawdę wyrzekł pierwsze słowo, a kto dał ostateczne błgosławieństwo.

W ślad za Vittoriem opuścili salę konferencyjnąi zaczęli schodzić dwadzieścia pięter w dół nie oświetloną, cienistą klatką schodową (windy oczywiście nie działał) Qurantowie i Marina parę razy się potknęli, zanim nie zwiększyli odstępów między sobą do kilkunastu stopni. Hunt też to czuł: bodźce wprowadzające ciało w błąd, fałszywe ruchy. Musiał się skupiać na kolejnych krokach. Tysiące, dziesiątki tysięcy osób tędy schodziły i wchodziły Te same algorytmy, tak samo wykonywane… Myślnia napierała. Baryshnikov by temu zaradził, ale Nicholas miał na razie dosyć edytorów ruchu.

Na pierwszym mijanym półpiętrze znowu poczuł, jak coś wgryza mu się w mięsień łydki. Przyspieszył, prawie doganiając Colleen, byle

czym prędzej opuścić tę strefę.

Na parterze ustalili taktykę. To znaczy Vittorio ustalił.

– Ja idę pierwszy. Nie zbliżać się bez mojego znaku. Odstępy minimum pięciometrowe, przy mniejszych zaczynają się w programach rozpoznających defaulty „grupy". Zwłaszcza ty i on – odnosiło się to do Mariny i Nicholasa – nie powinniście zostać zapisani razem. Posterunkami i automatami zajmuję się ja i tylko ja. Lepiej rozmawiać niż iść w milczeniu, ale żadnych imion, nazw własnych. Pierwsza para: ty i ty. Druga para: ty i ty. Pod żadnym pozorem nie biec. Pytania?

Pytań nie było, chociaż Nicholas w istocie miał parę, ale odebrało mu mowę na widok tego, co działo się z twarzą Cienia. Zanim Vittorio skończył mówić, jego fizjonomia, kolor jego skóry – uległy całkowitej zmianie. Był t raz pucułowatym fenomurzynem o krótkiej fryzurze afro.

– To ty? – spytał Hunt Lucyfera. – W moim królestwie wszystkie shelle respektują TP – obruszył się diabeł. Najwidoczniej Cień naprawdę się zmieniał. – Jak on robi? – Nano na poziomie komórkowym, cóż innego? Dosyć brutalne. Naturalnie takie odtworzenie tkanek… -Dobra, dobra.

– Wychodzimy.

Wyszedł Vittorio, wyszedł Hunt z Colleen, wyszła Marina z Juliusem.

Oboje Qurantowie dźwigali sportowe torby. Collen cisnęła swoją Nicholasowi.

– Masz, będzie wyglądało naturalniej.

– Że co?

Torba była dość ciężka. Zarzucił ją sobie na ramię.

Maszerowali w cieniu równoległej estakady, jezdnia i chodniki były puste, jak daleko sięgał wzrok; dzielnice duchów przeludnionego NY zazwyczaj wywierały upiorne wrażenie. Pomimo silnych systemów bezpieczeństwa, w okresach gorszej pogody te budynki zaludniali bezdomni i dopiero ogólnomiejskie akcje korporacji jurydycznych doprowadzały je z powrotem do porządku. Właściciele tych niedochodowych nieruchomości rzadko jednak pozwalali sobie na podobne wydatki. Prędzej czy później natkniemy się tu na jakąś bandę dzikusów, obliczał Hunt, rozglądając się z lękiem po cieniach ulicznego kanionu, i dopiero przekonamy się, co Grudzień potrafi.

Wtem zaklął i odsunął się od Colleen.

Zerknęła nań podejrzliwie.

– Jesteś satanistą?

– Hę? A, nie, taki mam MUL

– Osobliwy.

– Tak jakoś trafiłem i… przyzwyczaiłem się. Zauważył, że po tym

całym chemicznym modelunku mięśni twarzy sepleni nieco. Odchrząknął, poruszył szczęka, uszczypnął się w policzek.

– To niedobrze – pani Qurant kręciła głową. – W ten sposób podwyższasz swój próg estetycznej tolerancji dla zła.

Spojrzał zdumiony.

Żartujesz. – Ale czuł, że nie żartuje. Nie rozumiesz? – nacisnęła. – To podlega tym samym prawom inżynierii memetycznej co reklamy, polityka, marketing czy mody artystyczne. Akceptując estetykę zła, czynisz pierwszy krok do akceptacji zła jako takiego. Obrazy. Słowa. Melodie. Kształty. Jak to się stało, że wybrałeś taką właśnie wizualizację? Skojarzenia nie biorą się z powietrza. To znaczy… Chciałam powiedzieć… -Teraz już się biorą, więc w końcu co za różnica? Zresztą mówię ci: to był przypadek.

– Taki przypadek, jaki kieruje ręką konsumenta w wyborze między produktem A i produktem B?

– Co jest? – zirytował się. – To moja wszczepka, mój shell, co cię to obchodzi?

Westchnęła. W pół ruchu powstrzymał swą rękę unoszącą się do gestu rezygnacji.

– Przedtem robiłam w memetyce, to mój konik.

– Przedtem? To jakaś fundamentalistyczna sekta, ta enklawa?

– Nie, nie, skąd.

– Naprawdę? Mhm, co my tu mamy w waszym statucie… – Lucyfer wydmuchiwał szybkimi seriami dymne litery. – Out of NEti, dożywotnie kontrakty małżeńskie, kary cielesne, liczne ingerencje w prywatność, zakaz przyłączy nerwowych, narkoprohibicja, długo by tak. Prawdę mówiąc to z kolei jest mój konik: sekty religijne i kulturowe.

– Nie jesteśmy żadną sektą.

– To trudno rozróżnić. Widzisz (nie żebym chciał cię obrazić), wiele jest takich ludzi, którzy rozpaczliwie potrzebują kodeksu zewnętrznego, jakiegokolwiek, im ostrzejszego, tym lepiej – ponieważ po prostu są za słabi, by samodzielnie sobie radzić. Świat, który daje im tyle wolności i zmusza do tylu wyborów, jest dla nich jak skomplikowany labirynt pokus, gubią się, idą od światła do światła, nie potrafią trzymać się dłużej żadnego kierunku. W głębi serca są przerażeni. Kupią mapę od każdego. Marzą o świecie jako o prostym korytarzu między dwoma wysokimi ścianami. Żadnych rozdroży. Ponieważ żyjemy w czasach absolutnej wolności wyboru, takich dzieci zagubionych w gęstym lesie jest mnóstwo. Ktokolwiek weźmie i poprowadzi je za rączkę i będzie często dawał klapsa, uczyni je szczęśliwymi.

– Dobre. Trochę z Wielkiego Inkwizytora, trochę z Sartre'a, ale dobre.

– Naprawdę nie chciałem cię obrazić.

– Nie obraziłeś. – (Ale czuł co innego). – Słyszę podobne rzeczy bez przerwy. Ten memotrend utrwalił się już przed laty: ucieczka od wolności i tak dalej. Widać połknąłeś to.

Kiedy przechodzili przez skrzyżowania, rozglądali się zachłannie w obie strony wzdłuż wąwozów. Widzieli światła widzieli reklamy, widzieli nawet cienie ruchu, na tym poziomie i wyżej, na pajęczynach estakad – ale nie widzieli ludzi. Szli właściwie w ciszy, bo zupełnie brakowało tego naturalnego dla miasta tła dźwiękowego. Noc, nie noc, powinni je słyszeć: przemielony w mechanicznych płucach szum i gwar. A przynajmniej jego echo. Tymczasem wciąż nie opuścili terenu starego centrum finansowego i słyszeli tylko własne kroki i wiatr.

Przygnębiony Hunt obejrzał się na Colleen, która wyraźnie zwolniła. Mrugała załzawionymi oczyma, oddychając głęboko. A, szlag by to wszystko, pomyślał Nicholas. Akurat uciekniemy gdziekolwiek tak na piechotę! Bez sensu. Prędzej czy później nas rozpoznają. Lepiej usiąść i poczekać na nieuniknione.

– Na drugą stronę! – wrzeszczał diabeł. – Przejdźcie przez ulicę!

Nicholas wzruszył ramionami, poprawił torbę, podszedł do Colleen i, ująwszy ją pod łokieć, przeprowadził na przeciwległy trotuar. Tu mu się wyrwała, przetarła oczy.

Wzdrygnął się.

– Co to było? – spytał, rozglądając się na wszystkie strony.

– Bóg jeden wie. Zdaje się, że jakaś ćpunka zamarzła tam którejś zimy.

Widział, że Marina i Julius również już przechodzili przez jezdnię. Vittorio obejrzał się i na chwilę zwolnił, ale szedł dalej.

– No, jak?

Dobrze już, dobrze, nie zatrzymujmy się. Lecz odtąd co chwila popatrywał na nią kątem oka, obserwując ją uważnie z dystansu trzech-czterech metrów, pod Grudniem zgoła obowiązkowego.

– Bywa gorzej – odpowiedziała na nie zadane pytanie.

– Niektórymi ulicami w ogóle nie da się przejść. Nie wiem, co się na nich działo. Strefy szaleństwa. Gwardia sukcesywnie je zagradza, ale przecież nie przesiedlą ludzi. To miasto; na przedmieściach bez wątpienia lepiej.

Jeśli jest wybór, bezpieczniej iść estakadami, deptakami powietrznymi.

– To mnie zastanawia… – zaczął powoli Nicholas, oglądając się na Quranta, który dyskutował o czymś zawzięcie z czarnowłosą Mariną.

– Co?

– Dlaczego w ogóle przyszliście po nas? Co to, Vittorio nie zna adresu?

– Kto?

– O, przepraszam. Ale powiedz: dlaczego?

Najwyraźniej zmieszała się. Zastanawiała się, co odrzec. W kilkanaście następnych kroków zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki.

– No! – obruszyła się, przechodząc dalej w lewo, ku betonowej ścianie opuszczonego biurowca.

Ale Nicholas już załapał.

To wasza prywatna umowa, co? Za plecami pozostałych. Chcecie nas przemycić, prawda?

– Oj, daj pan spokój, panie Hunt. Czyja się pytam, jakie zbrodnie pan naprawdę popełnił?

Cóż, jedną na pewno: zbrodnię odwagi.

Potem zaczęli spotykać ludzi. W miarę jak coraz głębiej wchodzili w prawdziwy Nowy Jork, budynkom wracało życie. To prawda, ulice były stosunkowo puste, widzieli więcej helikopterów i UCAV-ów niż samochodów – ale już chociażby po samych światłach w wysokich oknach mogli rozpoznać stopień zagęszczenia. Pierwszy posterunek Gwardii, jaki napotkali, składał się z dwóch kobiet w mundurach reprezentacyjnych. Stały przy zaparkowanym w poprzek jezdni KVAV-ie i patrzyły w niebo. Z niewidocznych gigantofonów grzmiał głos nawołujący do pozostania w mieszkaniach i nie tworzenia zbiegowisk. Zapewne tekst z komputera, moduły słowne jakoś nie pasowały do sytuacji. Przy chodnikach za skrzyżowaniami stały w równych szeregach puste samochody. Wrzeszczały na siebie ostrzegawczo, gdy przechadzali się po ich dachach przeróżni nawiedzeńcy, wymachując Bibliami, Koranami, T-shirtami z religijnymi nadrukami oraz hololatarkami załadowanymi ikonami Apokalipsy. Ci to już pewnie mieli głowy głęboko w myślni. Szaleńców widział coraz więcej - prorocy byli jeszcze jakoś ludzcy, ale ci śliniący się obłąkańcy o pustych spojrzeniach, co czołgają się po betonie, cwałują na czworakach, gryzą metal, kaleczą sobie samym j nawzajem ciała… to już bardziej zwierzęta, w każdym razie na poziomie myślni: kreatury pozaludzkie, zwierznice. Czyje w nich psychomemy – Nefeleńczyków czy na przykład mrówek? Przepuszczone przez mózg i sensorykę człowieka, skaszanione strukturami głębokimi, tak czy owak dają na wyjściu procedury bezcelowe. Zwierznice zjadają własne palce. Skaczą w powietrze i spadają na twarz, nie używając rąk. Albo właśnie używają rąk: wymachują nimi na wszystkie strony, jakby usiłując je oderwać przy pomocy siły odśrodkowej. Rozdzierają zębami ubrania, walą głowami o karoserie, defekują w biegu.

Wozy wrzeszczały, błyskały światłami, zapewne słały też ponaglające meldunki do swych jurydykatorów, ale jakoś nikt się tym nie interesował, śmigłowce korporacji nie pokazywały się. (Czy to nie

właśnie wsparcia z powietrza wypatrywały tamte gwardzistki?) Hunt wyobrażał sobie, ile jurydykatorzy mają w te dni do roboty, ile wezwań, ile spraw. Inna rzecz, że sądy najpewniej w ogóle nie pracują – wątpił, czy dwadzieścia osób zebranych w jednym pomieszczeniu jest obecnie w stanie przeprowadzić do końca jakikolwiek proces logiczny, nawet jeśli wszyscy są pod Grzybem. A przecież większość tych wezwań należała bez wątpienia do kategorii przestępstw nie zagrożonych oskarżeniem publicznym i normalnie to ubezpieczyciel Prawny byłby w obowiązku wyłapać tych dewastatorów, szabrowników i chuliganów, rozbestwionych gangsterów ulicznych i agresywnych nawiedzeńców, postawić ich przed sądem, opłacić prokuratura lub wystawić swojego, no i przeprowadzić całe oskarżenie. Logo jurydykatorów przestanie spełniać swoją rolę, jeśli takie rzeczy będą uchodzić na sucho. W końcu po cóż innego płacą ludzie swym ubezpieczycielom tak wysokie i wciąż rosnące składki? Bo składki rosną i będą rosnąć, w miarę jak Kongresowiowi przyjdzie rezygnować z obligatoryjności oskarżeń w sprawach coraz poważniejszych przestępstw. Personel i zasoby jurydykatorów nie były jednak obliczane na podobne klęski ogólnoświatowe. Policji zresztą też nie. Prócz tych dwóch gwardzistek, Nicholas nie zauwa-żył żadnych przedstawicieli sił porządkowych. Na pewno nie ma co liczyć na policję konną, ponoć uśpiono im wszystkie konie. Z mobilizacją Gwardii zapewne również były kłopoty – takie zgrupowania same z siebie stanowiły zagrożenie. Wojsko, nie wojsko, Grzyb, nie Grzyb, dla Tłumu to żadna różnica.

Wiedział, bo przekonał się na własnych myślach. Zbliżali się właśnie do przecznicy. Zza zakrętu wybiegali nierzeźbieni bezdomni w ciężkich łachmanach. Vittorio zatrzymał się i uniósł rękę. Więc pozostała czwórka stanęła również. Hunt, obracając się, pochwycił własne odbicie w witrynie księgarni. Światło padało z zewnątrz i sylwetka Nicholasa wypływała z pogrążonego w ciemności lokalu niczym trup spod czarnego lodu. Ciemny płaszcz czynił go mgielnym upiorem, tylko albinosko blada twarz odbijała się wyraźnie. Kosmetyki Vittoria zrobiły swoje: z urodzenia i projektu rzeźbiarzy fenokreol, przeobraził się Hunt w łysego wampira o domieszce mongolskiej krwi. Uśmiechnął się. Raaa! I te ząbki, mój Boże. Bez wąsów linia ust wydawała się sygnalizować raczej lenistwo i melancholię, aniżeli jowialne cwaniactwo. Hu-hu-hu! Co to jest? Czemu ja tu nie umieram ze strachu? Wszędzie pełno kamer, ta ulica znajduje się chyba nawet pod NEti, filtry policyjne w każdej chwili mogą mnie wyłapać, przyleci McFly z fedziami, rozstrzelają mnie na takie, o, strzępy – a ja tu konwersuję sobie z enklawistką, szczerzę się do szyby. W końcu chroni mnie ten Grzyb, czy nie? Na pewno o wiele mniej mnie ciśnie niż tamtych bez Tuluzy – ale czy o to właśnie chodziło? Potwór w

szybie był coraz większy. Czy można spojrzeć sobie w oczy? Nie, co najwyżej w oko. Gdy mówią, że patrzą w oczy, w istocie wbijają wzrok gdzieś ponad nasadę nosa. Hunt spoglądał w lewe oko wampira. Nie mrugało. Osobliwie zachowywała się źrenica: to ogromniejąca, to zwijająca się jak soczewka do punktu jeszcze wyższej ciemności. Chłód na czole – ani się zorientował, gdy przytknął twarz do szyby. Teraz oko patrzyło na niego. Łup, łup, łup, słyszał każde najmniejsze drgnięcie gałki ocznej. Ciemność wszywała mu się pod

Gdyby tak teraz… Wsunął rękę w mrok, wymacał czaszkę upiora. Niżej. Kciukiem. Pfuch! Jedno oko, potem drugie. Teraz ciemność się obróciła. Oblała go formą, śliską, twardą, przymusiła do ruchu. Płaszcz transmitował jej fale. Po pierwsze, po drugie i po trzecie: śmiertelne przerażenie. potem: uciekać! Rzucił się w przód, rzucił się w tył, tamci napierali na niego, pchali, ciągnęli, musiał biec dokąd, byle dalej, zaszlachtowali mu rodzinę, okradli zabrali jedzenie, nogi połamali jak ucieknie skoro Boże jak boli czy to krew coś płynie wyrywają włosy gdzie palce zimno zimno wyjmijcie mnie z ale czemu kto nie nie opona po dłoni stare kości nie wytrzymają muszę urodzić to dziecko gonią mnie gonią nie mogę oddychać coś utknęło w gardle woda lód och nie podepczcie mnie ja też ja też chcę się wydostać zabierzcie mnie z tego wraku ogień ogień uciekać połamane nogi jak może chociaż dwa dni nic nie jadłem pan pani nie bij ratunku puść proszę tatusiu ja już będę grzeczny puść mnie to boli auu ja już nie będę, puść, proooszę, przecież mogę iść o własnych siłach, no co, puścisz mnie wreszcie, do cholery, głuchy jesteś czy co, puszczaj mnie, Vittorio, ty sukinsynu, czy ja jestem z żelaza, puśćżesz, kurwa, bo naprawdę bark mi wyrwiesz ze stawu!

– Zostańcie tu. Nie schodźcie. A jeszcze lepiej: schowajcie się tam za reklamę, zejdziecie z wizji.

– Gdzieżeś podział moją torbę?

– Co?

Nie masz torby. Zgubiłeś ją. Mogę się z nią pożegnać, rozdeptali wszystko na miazgę.

– Kto? -Chodź, chodź.

Niżej, ulicą, przewalał się Tłum. Nicholas wciąż był mocno skołowany i kiedy wyjrzał przez balustradę, widok otworzył nie do końca jeszcze zasklepione kanały skojarzeniowe. Zadrżał, skulił się. Uciekać! Muskały go delikatnie, niczym płomienie wysokiego ognia, jęzory psychomemiczne gęstej wydzieliny Tłumu. Gonią! Ranią! Boli! Tam bezpieczniej! Uciekać!

Znowu go szarpnęła. Nie opierał się; nie był w stanie do końca zdecydować się na żaden ruch, impulsy znowu przychodziły z zewnątrz. Szedł prawie bezwolnie. Z estakady piątej kondygnacji, na którą zaciągnął go Cień, pani Qurant poprowadziła Hunta do

publicznych wind. Wjechali do dwóch trzecich wysokości kanionu i wyszli na taras nieczynnej kafejki. Tu zamontowano rzutniki wielkiej reklamy którejś z korporacji narkotykowych. Usiedli pod ścianą.

Taras był niewielki, jakieś cztery na siedem jardów w kącie, pod zawiniętą siatką asekuracyjną, leżały składane krzesła, pod ich stos podwiało małą hałdę śmieci. Wejść tu można było tylko prostą kładką od wind/schodów, holoreklama zamykała przestrzeń z dwóch stron, blask bił w oczy. Tuż za tarasem, gdzie trzy-cztery jardy wyżej biegła ukośnie kolejna estakada, pęczniał olbrzymi pająkowaty cień od jej wsporników i zaczepów mononici, na których była zawieszona.

Tłum płynął dnem kanionu, gniewny wylew wulkaniczny, widać było tylko głowy i ramiona, bestia nie miała końca, ciągnęła się i ciągnęła, krzyki buchały pod ciemne niebo. Krzyczeli biegnący, krzyczały samochody, krzyczały automaty porządkowe, i nawet wyglądający z okien swych mieszkań nowojorczycy Do tego dochodził warkot UCAV-ów, śmigłowców sieci informacyjnych i załogowych helikopterów wojska, policji oraz FBI. Kręciło się tu także parę maszyn jurydykatorów, zapewne niektórzy pochłonięci przez potop mimo wszystko zdążyli wcześniej wysłać sygnał alarmowy. Ktoś próbował z tych helikopterów przemówić do biegnących, lecz słowa wystrzeliwane przez głośniki ginęły w hałasie niemal całkowicie.

Hunt na te wysiłki mówcy uśmiechnął się szyderczo pod nosem. Wot, psychologia tłumu…! Ćwiczenia połów z Le Bona.

Niemniej widok mroził krew z żyłach.

– Matko Boska… Drgnęła.

– Co?

– Co: co?

– Po jakiemu to było?

– Co? Nie wiem. To, co powiedziałeś.

– Co ja powiedziałem?

– No właśnie się pytam.

– O czym ty mówisz?

Patrzyli z góry na tę inwazję mrówek. Co jakiś czas przebijały się ostre krzyki konających, tych zadeptywanych. Istny maraton, Hunt obliczał liczbę porwanych przez Tłum na kilkanaście tysięcy. Przewalało się to ulicznym kanionem jak rozgotowane błoto, w lekkim przymrużeniu oczu łatwo było uwierzyć, iż w istocie to dziki żywioł tam pędzi – albo jeszcze lepiej: kożuch jakiś organiczny faluje nad jezdnią i chodnikami.

Noc, ale z oświetleniem ulicznym, wszystkimi reklamami, ze sterowcami, z porażającymi reflektorami maszyn sił porządkowych… jaśniej tam było niż w południe na Liano Estacado.

Hunt otrząsnął się i przyjrzał się sobie. Na płaszczu znalazł liczne ślady butów, jednak samo ciało najwyraźniej nie zostało uszkodzone.

Odbierał wszelako liczne sygnały cielesnego cierpienia, lecz nie miał pojęcia, które pochodzą od jego własnego organizmu.

Spojrzał na Colleen. Nie wyglądała na poturbowaną. W ogóle jak ona z tego wyszła? Co się z nią działo podczas ataku Tłumu? Przecież nie ma Grzyba. Czy również ją uratował Vittorio? Na pewno w pierwszej kolejności zajął się Mariną. Gdzie Marina i Qurant? – Nie wiesz, gdzie jest twój mąż? – Zdążyli uciec. Widziałam.

– Dokąd? – Chyba wbiegli tam na nadwieszkę. – Uniosła dłoń do warg, coś powiedziała, odruchowo przechyliła głowę. -Tak, wciąż tam są.

Ma telefon. No tak, dlaczego miałaby nie mieć?

W każdym razie – warte zapamiętania. Przyjrzał się teraz enklawistce dokładniej. Siedzieli na kadłubach krańcowych w szeregu rzutników, dzieliło ich ponad trzy metry, co stanowiło odległość w miarę bezpieczną, a zarazem pozwalającą na porozumiewanie się bez zbytniego podnoszenia głosu. Qurantowie oboje byli rzeźbieni, ale Colleen subtelniej, jej designer musiał bvć miłośnikiem Modiglianiego, było coś takiego w jej cerze i linii podbródka, w wykroju szyi. Wiek? Nie starzała się jeszcze, tyle można było powiedzieć z samego wyglądu.

Kontemplował jej twarz jak dzieło sztuki – którym przecież była – podczas gdy ona sama wyglądała na zewnątrz tarasu. Ogień gigantycznego hologramu i tak wypaliłby z ewentualnych zmarszczek enklawistki ostatnie nitki cienia. Twarz Colleen Qurant była gładka, spokojna, może tylko w złamaniu linii brwi objawiała się pewna irytacja.

– Dobrze się trzymasz.

– Modliłam się. To pomaga. – Jej skojarzenia nie były kompatybilne z jego skojarzeniami.

Ale popłynął z prądem.

– Tak, wiem, mantry i procedury kołowe, na pewno radzili w telewizji. Nie? Było też w tym obwieszczeniu CDC…

– O co ci chodzi? Powiedziałam: to nie jest żadna sekta.

– Hę? Czyja mówiłem, że…

– Nie musisz mówić – przerwała mu. – Ona mi wytłumaczyła, na czym to polega. Ja nie mam w głowie tego nano. Więc zawsze będziesz bardziej odkryty, przyzwyczajaj się. Nie musisz mówić, i tak słyszę.

Zmilczał. Obejrzał się na diabła.

– A ty gdzie byłeś, draniu? – warknął w OVR.

– Czego? – zirytował się menadżer. – Sam żeś mnie odciął od edytorów ruchu. Zabraniasz pomóc, to nie miej potem pretensji. Robiłem, co mogłem, Grzyb grzał na maksa.

– Ejże, trochę grzeczniej!

– Jak pan woli, sir.

– Apage – zazgrzytał Nicholas. Aplikacja się zwinęła.

Tłum powoli zaczynał się przerzedzać. UCAV-y strzelały pojemnikami z jakimś gazem. Z bocznej ulicy ktoś wjechał w ciżbę półciężarówką, trysnęła krew spod metalu, Colleen złapała się z sykiem za kolano.

– Jak tam jest? – zapytał. – Mhm?

U was, w tej enklawie. Wzruszyła ramionami, nie przerywając masażu nogi. – Normalnie. Jak ma być?

No nie jest to przecież normalna enklawa. A przyjdzie mi jakiś czas tam pomieszkać. Mam nadzieję. Bo najpewniej w ogóle tam nie dotrzemy.

– Co ty myślisz, że gdzie ja się urodziłam i wychowałam? U Amiszów? Ja przecież też tak żyłam.

– Jak?

– Jak wy.

– My? – zaśmiał się Nicholas. Niezmiernie go rozbawił ten zaimek w ustach enklawistki.

– Wy, wy, wy – przytakiwała poważnie Colleen. – Byłam nawet pewna, iż jestem szczęśliwa. Korzystałam ze wszystkiego, z czego mogłam korzystać. Cokolwiek nie szkodzi drugiemu człowiekowi… i tak dalej. Narkotyki? Czemu nie? Skoro nie szkodzą nawet mnie samej. Ileś tam godzin tygodniowo przy komputerze, by zapewnić sobie względny luksus socjalny. A poza tym – co? Olbrzymie ilości wolnego czasu. Trzeba jakoś zapełnić. Niczym się nie wyróżniałam z mego pokolenia. Zażywałam przyjemności. Nie mówię tego z ironią. To były przyjemności. Byle coś się działo. Rozumiesz mnie?

Nie jestem pewien… To znaczy – tak, rozumiem.

– Rozumiesz? Robiłam to, co chciałam, a chciałam tego, co daje przyjemność, a przyjemność dawało zawsze tylko coś nowego. To także dlatego tak błyskawicznie zpueniają się mody narkotykowe. Ta reklama, pod którą siedzinvy… Nie reklamują wyrobu, lecz firmę, bo życie narkotyku trwa tydzień, góra dwa. Tyle też trwały wszystkie moje miłości, przyjaźnie, fascynacje. Po trzech nocach nudził mnie każdy. Nie chciałam pamiętać ich imion.

– Słuchaj, nie musisz mi się tu spowiadać, ja wcale nie…

– Nie bój się. -Naprawdę, dajmy już lepiej spokój, przepraszam cię.

– Nie bój się. Ja się nie boję. Możesz mnie wysłuchać?

Zaśmiał się nerwowo.

– Nawracasz mnie?

– Nie. Opowiadam, jak trafiłam do Czterolistnej.

– Gdzie?

– Nasza enklawa. Czterolistna. To od kształtu na mapie. Byłam

taka jak wy: każdego, kto próbowałby mnie zaciągnąć do enklawy kulturowej, zastrzeliłabym na miejscu. Nie rozumiałam ich i nie chciałam mieć z nimi nic wspólnego. Mówiłam to, co ty: oto słabeusze uciekają dobrowolnie w ramiona tyranów. Ale byłam zmęczona, tak potwornie zmęczona… Zasypiałam zmęczona i budziłam się zmęczona. Widziałam to też w oczach moich znajomych. Kiedyś tak ocknęłam się w czyimś salonie na dywanie między dwoma fenobliźniakami. Podawali sobie nade mną kevorkiankę. Zobaczyli, że nie śpię i któryś zaproponował mi pastylkę. Przyjęłam. Odruchowo. Brali ją jak kolejny narkotyk, jeszcze ziewali. Nie wiem, czy mieli jakiś konkretny motyw, wątpię. Ja też myślałam w ten sposób: czemu nie? Czemu nie? No bo czemu? Faktycznie, nie było powodów dla odmowy. Żadnego bólu. Spokojnie. Dywan był miękki. Naprawdę musiałabym się ciężko zastanawiać. Oni połknęli swoje.

– A ty? – szepnął Hunt.

– No przecież nie byłoby mnie tutaj! – roześmiała się, aż sam poczuł, że też musi się zaśmiać, już po raz kolejny.

– Co cię powstrzymało?

– Jeden z nich pośmiertnie oddał kał. Poszłam do łazienki, żeby się umyć. Tymczasem przyjechali ludzie ich medykatora i zgubiłam gdzieś swoją tabletkę.

– Przypadek.

– Możliwe. Tak to wyglądało. W każdym razie poleciałam potem na weekend w lasy Kanady.

– I?

– I bum! Zobaczyłam świat. Nie wiem, niedobór jakichś hormonów czy co, nieważne. Przeżyłam epifanię, na kształt epifanii. Nie potrafię o tym składnie opowiadać, bo nie rozumiem tego i nie wiem, z których modu skojarzeń brać stosowne słowa. Najprostsze rzeczy: cały ranek strawiłam na przyglądaniu się korze najbliższego drzewa. Siedziałam i patrzyłam i czułam, że mogę tak siedzieć w nieskończoność, tam było tyle do zobaczenia, do wchłonięcia. No rozbiło mnie to zupełnie. Nie byłam w stanie wyjść z tego lasu. Zadzwoniłam do analityka. Kazał wezwać medykatora. Nie chciałam. Potężna rzeka rwała przez moje zmysły. Wbijało mnie w ziemię.

– Pierwsze bliższe spotkanie z naturą, co?

– Nie. To mogło być cokolwiek. Plecak tak samo mnie zafascynował. Moje ciało. Czy zdajesz sobie sprawę, jakim nieprawdopodobnym fraktalem jest twoja własna dłoń? Przyjrzyj się kiedyś. Faktura skóry cię opęta. Paznokcie -popatrz na paznokcie. Coś niebywałego. Ta gładkość i twardość. Dotknij opuszkiem. Co? Albo kłykcie. Gdy zaciśniesz pięść i napnie się skóra.

– Wciąż to przeżywasz,

– Pamiętam to – zaakcentowała. – Czy ty sam nie masz jednego

takiego wycinka czasu, wspomnienia, pakietu doznań z konkretnej chwili, nie masz? Że cię nawiedza wciąż w tym samym, niezacieralnym kształcie, czasami bardziej realne od teraźniejszości?

Miał, a jakże. Wciąż słyszał rzężenie Mariny.

– Ktoś, kto był ekspertem w podobnych sprawach -rzekł szybko – powiedział mi kiedyś, że te wspomnienia nie mogą pozostać nie zmienione. Że za każdym kolejnym ich odtworzeniem coś dodajemy, coś odejmujemy, zmieniamy; że wspominamy zawsze w kontekście i to się osadza, wspomnienie nie jest kompletne, potrzebuje dopełnień, ale właśnie pamięć nie odróżnia, co dopełnienie, co oryginał, w efekcie pamięta się już wspomnienia wspomnień

wspomnień wspomnień…

– Ale t o wspomnienie właśnie jest zupełne, skończone – zaprotestowała gorąco. – W każdym razie moje takie jest.

– A możesz porównać?

– Tak pamiętam i tak było! – wydęła wargi. Wzruszył ramionami.

– Potem wróciłam do siebie – podjęła – do pracy, do miasta, i rozchorowałam się. I to był koniec. Fizycznie nie mogłam już tego znieść. Czułam, jak gówno wlewa się we mnie wszystkimi zmysłami. Poraziła mnie ohyda każdego jednego aspektu kolejnego dnia mojego życia. Śmiej się, śmiej. Ja wiem, jak to brzmi, ale to są najpierwsze słowa Popadłam w taki rozstrój nerwowy, że dwa miesiące regulacji chemicznych mi nie pomogły.

– Enklawa ci pomogła.

– Nie. Julius mi pomógł. W enklawie jestem bezpieczna przed większą częścią tego szajsu.

Nicholas kręcił głową z niedowierzaniem nie do końca udawanym. To pozwalało mu wymykać się spojrzeniu Colleen, która z ordynarną bezczelnością patrzyła mu prosto w oczy – mimo że on ponad wszelką wątpliwość był świadomy tego jej spojrzenia; ale enklawistka lekceważyła wszelkie konwencje NEti.

W ciasny kanion uliczny, między równoległe ściany budynków spadało coraz więcej helikopterów, także CAV-ów i UCAV-ów, nawet kilkanaście sztuk szarańczy: ultraczarne powłoki WarFlies kaleczyły oczy dwuwymiarowymi, kanciastymi plamami światłożerczych bioceramik. Nad ulicą oraz nad chaotyczną plątaniną estakad, ukośnych chodników, platform handlowych i parków powietrznych, ponad napiętą siatką niewidocznych gołym okiem mono-żył utrzymujących to wszystko w powietrzu – odbywał się ów skomplikowany balet mechanicznych owadów: małych (jak szarańcze UCAV-y rozmiarów biurka) i wielkich (jak municypalne CAV-y porządkowe, niemal zbyt grube, by wcisnąć się w kanion). Oko nie nadążało, korekcyjne programy pilotujące ciskały maszynami na wszystkie strony, szybko, coraz szybciej, cud, że się nie zderzały ze

sobą. W końcu istotnie dwa cywilne koptery wpadły na siebie i, zarzucone po spirali wypadkowym momentem pędu, zwaliły się na ziemię gdzieś za rogiem, tnąc po drodze kilkanaście fullerenowych naciągów. Hunt ostentacyjnie odprowadzał je wzrokiem.

– Wciąż mnie to zdumiewa… – mruknął, kontynuując starą myśl. – Jak pięknie człowiek umie racjonalizować swoje słabości…

Spodziewał się gniewu, pretensji – ona uśmiechnęła się.

– Prawda? Rozejrzyj się tylko.

Masz na myśli to? – wskazał na reklamę narkokorporacji. – Nic nie poradzisz. To jest czwarty największy biznes Ameryki, po infoelektronice, rozrywce i bezpieczeństwie, nawet przed edukacją i opieką medyczną. Te gigadolce musiały gdzieś wyjść, i lepiej, że wyszły na powierzchnię u nas niż gdzie indziej. Całe to nowe centrum finansowe Nowego Jorku nie powstałoby, gdyby nie inwestycje koncernów narkotykowych. O, tam, tam, i te dwa, i ten paskudny, to wszystko są budynki wzniesione przez nich. Robiłem im obsługę, jeszcze jak pracowałem w Waszyngtonie, i wiem, jak to wygląda. Od kiedy chemia zeszła do takich poziomów rzeźby molekularnej, że nie ma bariery realizacji między modelem cząsteczki a cząsteczką – wszelkie zakazy prawne straciły sens. Nie możesz zakazać czegoś, co jest dla organizmu zupełnie nieszkodliwe, a na dodatek – czego nie sposób zdefiniować. Fidiasz na przykład – co to komu szkodzi, że człowiek zamienia się na te parę godzin w żywą rzeźbę i spowalnia sobie percepcję? A oni wypuszczają jeszcze dziwniejsze rzeczy. Dwukrotki. Mumule. Kuczkudany. Rzygajnice. Wściekłotki. Czy jaki tam jest przebój dnia. To są proste prawa ekonomii, matematyki nie zmienisz. Gdyby nie opodatkowanie narko, budżet załamałby się już jakieś trzy lata temu. W Europie VAT na narkotyki wynosi trzydzieści trzy procent. Ludziom wydaje się…

– Masz wyrzuty sumienia! – zakrzyknęła, jakby nagle odgadła hasło z krzyżówki. Zamilkł w połowie zdania.

– Szlag by cię trafił, pani Qurant – wymamrotał po chwili. – Nie mam żadnych wyrzutów. To ty ujmujesz wszystko w kategoriach moralnych.

– Nieprawda. Jeśli chcesz, mogę to ująć w kategoriach ekonomicznych. O, proszę. Egzegeza Kryzysu, copyright by Colleen Qurant. Musiało się tak skończyć.

– He he he. Tuś mi, Nostradamusie.

– Wiem, post factum każdy mądry, ale ja to mówiłam już wcześniej, Julius świadkiem. Od momentu, w którym kapitalizm stracił konkurencję i pozostał sam na placu boju, to znaczy od lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku – przestał też czuć ciśnienie ewolucyjne. Za daleko zapędziliśmy się na ślepo w jednym kierunku i możemy już nie mieć szansy się cofnąć. Zbyt dobrze nam szło, na zbyt

wiele sobie pozwalaliśmy, zbyt komfortowo się czuliśmy zbytnio polegaliśmy na teraźniejszości. Brak konkurencji dla kapitalizmu na dłuższą metę musiał do czegoś takiego doprowadzić: do wyrodzenia się w formy dekadenckie, bezmyślnie rozbuchane, w absurdalne prostoliniowe ekspansje. Większe kły, większa masa, potężniejsze mięśnie, Wojny Ekonomiczne. Tak, bo tym właśnie są Wojny: ślepym zaułkiem kapitalizmu.

– Bo ja wiem… – wzruszył ramionami. – Widzisz, rzecz cała polega na tym, że tam wtedy nie było żadnego wyboru, i wciąż nie ma. Każdy kolejny krok był konieczny, nieunikniony, jedyny właściwy. Jeśli go nie robiłeś na czas, przegrywałeś z tymi, którzy byli szybsi. I tak prosto do Wojen. Bardziej niż na chów wsobny i luźne mutacje, wygląda mi to na ciasną konwergencję. Chociaż infoekonomiści bronią się przed tym terminem.

Wykonała luźny ruch dłonią.

– Tak czy owak, teraz spadają na nas niczym grom z jasnego nieba: Zaraza, Kryzys, obłęd programów – i widzimy, jak podnoszą się z pobojowiska: Kompania Hong-kongijska, Izrael, Transwaal Industries, Molipol, kto to w ogóle jest, o Molipolu na przykład w życiu nie słyszałam. Jakie ich struktury, jakie hierarchie, jakie priorytety, jakie metody? Jakie będą te nowe zasady gry? Co będziemy musieli od nich zapożyczyć, żeby przetrwać? Pojęcia jeszcze nie mamy, co się z tego wyłoni, jeśli inna for ma kapitalizmu, to w każdym razie tak już egzotyczną, że równie dobrze można będzie ją nazwać zupełnie no-wym słowem. Bo przecież sama gra nigdy się nie skończy. Będą próbować wszystkiego, i co da najlepsze rezultaty, przejmą pozostali. Zapóźnionych wykupią. I tak pójdzie specjacja w jeszcze mniejszych szczegółach: co wydajniejsze, co maksymalizuje zyski, co ciągnie wskaźniki wzwyż…

Przejąć geny zwycięskiej ekonomii, a ekonomią jest wszystko Dokładnie ten sam proces, który doprowadził do Woien. Ale w zupełnie nowym środowisku. Wciągnęła go w swój wywód. Kiedy tak perswadowała z serdecznym przekonaniem, była zupełnie inna: omal radosna, bardzo dziewczęca w gestach i spojrzeniach. Z trudem hamował uśmiech i odruchy jeszcze bardziej niebezpieczne. Tak, właśnie w ten sposób można zarazić człowieka entuzjazmem. A nawet jeśli nie entuzjazmem – jakieś uczucie zawsze zostanie wyindukowane, gejzer bije zbyt blisko, myślnia przewodzi.

– Bogiem a prawdą – rzekł jednak, by zachować formę – ja takie krakania słyszałem już przy okazji wszystkich co większych ofensyw w IEW. Ty też chyba nie wymyśliłaś tych swoich analogii, to jakiś trwały memotrend, płynie tak gdzieś od początku wieku, ja…

Głowa Colleen wybuchła mu prosto w twarz. Dostał po oczach krwią i masą mózgową. Coś twardego wpadło mu do wpółotwartych

ust.

Zakrztusił się. Nic nie widział. Poderwał się na nogi, ale potknął się o rzutnik i przewrócił. Ból stłuczonej goleni. Szok umysłowy i fizjologiczny, niezborne, drżące ruchy. Nie panował nad instynktami; to już bardziej był opanowany wtedy, przed kliniką, gdy dostał serię. Chyba kzyczał. Coś trzaskało dookoła, jakby ktoś łamał wiązki suchych patyków. W prawej dłoni, eksplodując wzdłuż nerwów, narodziło się białe słońce. Łzy podchodziły Huntowi do zalanych krwią oczu.

Łuppp! – zatrząsł się cały taras.

– Diable!

– Sir…?

Diable! – łkał. Nie czuł i nie słyszał prawie niczego, prócz krzyku prawej dłoni. – Wyciągnij mnie!

– Przywraca mi pan pełną kontrolę nad edytorami? -tak. Ratuj mnie, do cholery! -Bezwarunkowo, sir?

– Tak!!

Poderwała go na nogi, wtłoczył powietrze do płuc, otworzył szerokoko oczy. Doznań menadżer przecież nie tamował i czuł Hunt na powiekach, na gałkach ocznych – ciepłą wilgoć tej czerwieni, która zamazywała świat.

Światło i ciemność, światło i ciemność – tylko takie zmiany były dostrzegalne. Najwyraźniej przebiegł przez holo tej reklamy. Następnie zbiegł po jakichś schodach; zbiegał długo. Skądś zeskoczył. Podmuch obrócił go i Nicholas zahaczył barkiem o coś miękkiego. W załzawionym świecie jeden diabeł posiadał kontury ostre i wyraźne Machał na Hunta ponaglająco, jakby w istocie w Nicholasa mocy było jeszcze bardziej przyspieszyć pracę nóg.

Serce rozpędzało krew do prędkości ponaddźwiękowych, płuca rozrywały się na strzępy, pluł śliną z każdym oddechem. Biegł teraz po płaskiej powierzchni, w plecy dął mu wiatr. Widział wielki ruch za plamami wodnistych kolorów, coraz ciemniejszych. Znowu w dół. Schody. I sprint po płaskim. Strzelają? Boże, powtarza się cały ten koszmar z kliniki! Prawa ręka wciąż płonęła. Diabeł/Baryshnikov zmuszał go do utrzymywania tego morderczego tempa. Gorąca krew pulsowała pod czaszką. Zaraz stracę przytomność.

Zgiął szósty palec. Potknął się i przewrócił. Lucyfer załamywał ręce. – Sir! Musi pan uciekać! Sir…!

Hunt dźwignął się na czworaki, otarł twarz. Spojrzał: dłoń w czerwieni. Ale to jego krew, teraz widział, skąd ten ogień: brakowało trzech palców. Odstrzelili. Chryste Panie. Widać kości. Te małe kikuty… Mogę nimi poruszać. Ale krew – ona nadal płynie. Zatamować!

Wstał, zatoczył się do ściany. Diabeł wskazywał energicznie drogę

ucieczki. Nicholas rozglądnął się. Jakiś ciemny zaułek pod bulwarem powietrznym. Hałdy śmieci.

Powlókł się z powrotem, do skrzyżowania, i wyjrzał na ulicę. Za plecami diabeł wywrzaskiwał prośby i zaklęcia-Rozproszona ariergarda Tłumu omijała płonący wrak. wielkiego helikoptera. Na wysokości trzeciego piętra wisiała druga, podobna maszyna: wojskowy desantowiec. Jeszcze wyżej krążyło kilkanaście mniejszych śrnigłowców, pozostałość roju śledzącego przejście Tłumu. Więc tym razem przysłali załogowe. No tak – po tym, co Cień zrobił z policyjnymi UCAV-ami, postawili na ludzi. Ale nie przewidzieli Grudnia. Pechowi piloci musieli się dostać w konwekcyjny prąd psychomemiczny. Zapewne to ten roztrzaskany do mnie strzelał, spadając już wtedy – inaczej zdążyłby mnie przecież zdjąć, nie pudłowałby tak potwornie: dłoń, Colleen, beton. (Zaskakujący analityczny spokój zimnych myśli). Ciekawym, co się dzieje w środku tego ocalałego CAV-a. Czemu tak wiszą nieruchomo. Czekają?

– Wyczyść mi skan z ostatnich minut – rzekł w OVR. – I zablokuj tę rękę, do kurwy nędzy!

Ból zmniejszył się, potem zniknął. Lucyfer pokazał, jak założyć opaskę uciskową z paska płaszcza. Hunt zawiązał ją, pomagając sobie zębami.

Ze sztucznie wyostrzonego zapisu AV dokonanego podczas szaleńczego sprintu Nicholasa niewiele dało się wywnioskować o przebiegu całej akcji. Tylko ostatnie kadry, rwane ujęcia z szalonego POV, gdy przebiegał na drugą stronę ulicy (teraz widział, że znajdował się po jej drugiej stronie: reklama narkokompanii płonęła wysoko na ścianie przeciwległego budynku) – tylko z nich się czegoś dowiedział.

W zwolnionym tempie: ostrzeliwany ciężko w plecy i nogi Vittorio wraz ze zmasakrowanymi zwłokami Mariny Vassone znika za kioskiem z gazetami.

To deptak na drugiej kondygnacji, ocenił Hunt. Musieli zbiec z tej nadwieszki, gdy nadciągnęły wojskowe helikoptery. To dlatego ten drugi nie odleciał: czeka, aż Tłum zniknie i będzie mógł bezpiecznie wysadzić żołnierzy. Vittorio nie może wychylić głowy zza tego kiosku, działka maszyny go szachują. Niewątpliwie wezwali też posiłki.

Dobra wiadomość – rzekł diabeł. – Pan nie znajduje się na szczycie listy ich priorytetów, inaczej zostawiliby doktor Vassone i polecieli za panem. Ona jest wyżej, Hunt obejrzał się na diabła w milczeniu. Lewą ręką bezwiednie sięgnął ku okaleczonej dłoni. Dreszcz przeszedł mu po ciele. Oblizał wargi. Gdzie moja laska. – Otwórz Rangera – warknął na diabła, momentalnie furiacko wściekły. – Cofanj prawo kontroli. Baryshnikov tylko na wspomaganiu fizjologicznym i motoryce. I żadnych samowolek. Widzisz tę armatę?

Obok trupa ze spalona nogą?

– Widzę.

– Po nią.

– Sir…

Ale Hunt już biegł. Do płonącego śmigłowca miał ponad trzydzieści metrów. Żołnierz, któremu spopieliło nogę (lecz nie dlatego nie żył: dotykał podbródkiem lewej łopatki), wypadł dziesięć stóp dalej. Wciąż ściskał swój karabin.

W momencie, gdy Nicholas położył na nim dłonie – poprawka: lewą dłoń – wszedł w jego ciało Noblisowy Ranger. Zjedna ręką służącą jedynie do niezgrabnego podpierania broni było to znacznie bardziej skomplikowane, ale i tak Hunt sprawił się w dwie sekundy, jakby miesiącami ćwiczył każdy najdrobniejszy ruch. Podnieść, aktywować, odbezpieczyć, złożyć się, wycelować. Całe szczęście, że karabin nie był sprzężony ze wszczepką zmarłego użytkownika i nie miał blokady.

Cała inicjatywa Nicholasa ograniczyła się do wyboru celu oraz momentu oddania strzału. A Hunt zaczął strzelać, ledwo przyjął pozycję. Jeszcze nie uspokoił oddechu: zadaniem edytora było między innymi niwelować efekty podobnych niedogodności.

Ranger podmalował na cielsku helikoptera najwrażliwsze strefy. Szwokk! szwokk! szwokkkk! – szczekał przy policzku Nicholasa karabin. Ostrzeliwana maszyna drgnęła, wahnęła się w bok, opuściła nos i zaczęła się obracać ku Nicholasowi, jeszcze szybciej obracały się jej działka. Karabin trząsł się i dygotał niczym żywe zwierzę, usiłujące wyrwać się z uścisku dręczyciela.

Szwokkkkkkkkk!

– Sir! Musi pan uciekać! Natychmiast!

Walił dalej. Ranger kierował bronią, sam Hunt patrzył, zaś zupełnie gdzie indziej: w górę, na kiosk na deptaku po lewej. Nareszcie (po bardzo długiej sekundzie, dwóch) wyłoniła się zza niego ciemna sylwetka Vittoria, z bezwładnym ciałem kobiety w czarnym płaszczu, o twarzy zamienionej w brudną miazgę, białej piszczeli wyzierającej z nogawki spodni. Cień tylko mignął Huntowi – gdyby specjalnie nie wypatrywał, w ogóle by go nie spostrzegł. Mimo że z obciążeniem, biegł Vittorio jeszcze szybciej niż jurdy A amp;S w korytarzu Watergate. Kiosk – deptak – szyb windy – schody estakady – i nie było go, rozpłynął się w kolorowej nocy. Szwokkkpch! Pusty magazynek. Odrzucił ciężki karabin.

– Tędy!

Lecz śmigłowiec jakby stracił zainteresowanie Huntem: skoczył nagle w górę, przewalił się przez burtę i spadł między nitki estakad, w ślad za Vittoriem.

W percepcji Hunta tak właśnie to wyglądało: strzelanina i obrót

helikoptera trwające dziesięciokroć dłużej aniżeli potem jego odlot.

– Tutaj!

Nicholas posłuchał diabła i uskoczył za wrak, bo jedno z działek wznoszącej się i oddalającej maszyny złapało go ostatecznie w celownik i zaraz wypruło serię, od której zatrząsł się płonący śmigłowiec i rozdzieliła na dwoje jezdnia. Może nie znajdował się na czele ich listy, ale to nie znaczy, że zmarnują nadarzającą się okazję.

– Przecież ona nie żyje! – przekonywał Hunta spowity w ogień Lucyfer. – Musi pan uciekać! Oni zaraz…

– Akurat – mruknął Nicholas, ostrożnie wyglądając zza wraku. – Gdyby byli pewni, że nie żyje, zajęliby się mną, a nie polowali na Bogu ducha winnego Cienia. Coś ci logika szwankuje, mój diable.

– Ależ widział pan na własne oczy!

– I co z tego?

CAV zniknął za zakrętem i Hunt wybiegł zza płomieni.

Po kilkunastu krokach opadł na kolana, polizał brudny beton, oddał mocz. Wspomaganie Baryshnikova wystarczyło, by go podnieść i wyciągnąć spod monady (czy cokolwiek to było), jednak Lucyfer wpadł w prawdziwą histerię.

– Grzyb sobie nie poradzi! Co pan robi! Sirl – Ślepia mu gorzały czerwono, z nozdrzy buchała gorąca, siarczana para. – Musi pan zawrócić! Ukryć się! Oni wszystko nagrywają! Sirl Jesteśmy pod siecią!

Nicholas wbiegł do windy. Poczuł jak ktoś mu podcina wiązadła kolanowe. Wjechawszy na poziom deptaku dostał się w dziecięcą depresję, mało nie zaszlochał na głos. Powlókł się do kiosku z kciukiem w ustach.

Przeszedł tędy Tłum, to było widać na pierwszy rzut oka. Tuzin trupów, w tym trzy pod samym kioskiem Ślady zębów na ladzie. Fekalia pod ścianą. Krew. Smród wielkiej ludzkiej masy, w powietrzu i w myślni.

Trzy pod kioskiem to były dwie kobiety i dziecko. Podszedł do tej opartej w półsiedzącej pozycji o bankomat. Czarne włosy, taka blada – ale MUI Necropolis zapewne dodał tu swoje trzy grosze. Golf rozdarty wzdłuż ukośnego ściegu kul, od mostka po pachwinę. Czarne smugi na twarzy. Starł je lewą dłonią. Skóra bardzo gorąca, bardzo miękka.

Marina otworzyła oczy.

– Gdzie…?

– Odciąga ich. Muszę cię stąd zabrać. Jak nogi? Zdaje się, że znowu straciła przytomność, bo źrenice uciekły jej pod powieki, stuknęła głową o futerał bankomatowego czytnika cashchipów; nie odpowiedziała.

– Diabeł, diagnoza! – krzyknął Hunt w OVR. Menadżer z miejsca odpalił medyczne programy eksperckie, Lucyfer ostentacyjnie pochylił

się nad Vassone.

– Około stu ośmiu Fahrenheita. Duża utrata krwi. Prawdopodobnie rozległe obrażenia wewnętrzne, w niewiadomym stopniu naprawione nanomatycznie. To musiała być kuracja inwazyjna, Cień prawdopodobnie postawił wszystko na jedną kartę, ona ma teraz w sobie potężną dawkę gęstego nano. Jedno z dwojga: wyzdrowieje zupełnie albo umrze, i to szybko. Puls.

Hunt ujął jej nadgarstek w lewą dłoń. Diabeł/medanalizer mierzył.

– Dwieście osiemdziesiąt. Zgroza, sir. Źrenice. Hunt odchylił powieki.

– Lekki wstrząs mózgu. Proszę powąchać oddech. Hunt powąchał.

– Tu dobrze.

– Rokowania?

– Bardzo mi przykro, sir – nadął się diabeł/medanalizer- ale całość posiadanego przeze mnie materiału porównywawczego dotyczącego kuracji nanomatycznych stanowi zapis reakcji pana własnego organizmu na stymulanty regeneracyjne, jakie Vittorio podał panu dla szybszego zagojenia tamtych czterech ran postrzałowych. Z których wszakże żadna nie była śmiertelną. Tu sytuacja jest zupełnie inna: pani Vassone zapewne znajdowała się w stanie śmierci klinicznej, kiedy Cień transfuzował jej swoje nano komórkowe. Powiedziałbym, że należy się spodziewać czegoś w rodzaju wstrząsu hemolitycznego.

– Mogę ją przenieść?

– A ma pan wyjście?

– Ty lepiej nie bądź taki cwany.

– Przepraszam, sir. Przede wszystkim powinien pan wyjść spod sieci.

Gdzie Julius? – przemknęło Huntowi. Uciekł? Czy też leży tu gdzieś, zabity, nierozpoznawalny w formie bezdusznej?

Zarzuciwszy sobie na bark lekką torbę Vassone, samą Marinę objął pod ramionami i pod kolanami, podźwignął. Jezu, nie uniosę.

– Baryshnikov, motoryka – sapnął. Edytor wybalansował mu ciało.

Byle teraz nie wleźć w jakieś organiczne zawirowanie myślni…

– Tędy – wskazywał Lucyfer.

Marina, martwy ciężar, w dotyku gorąca niczym nasłoneczniony otoczak, leciała Nicholasowi przez ręce, zwłaszcza że prawa dłoń nie na wiele mu się przydawała. Bezwładnie odchylona głowa kobiety kołysała się na boki.

– Blokuj! – syknął przez zagryzione zęby, bo mięśnie mu coraz głośniej protestowały: Nicholas był człowiekiem fizycznie słabym, a w każdym razie o kondycji nie przekraczającej średniej, zawsze bardziej

go obchodziły wygląd i wrażenie niż faktyczna siła. Nie dojdę, powtarzał teraz w myślach, nie dojdę, nie dojdę, nie dojdę. I krok za krokiem, w rytm czarnej mantry. A przecież nawet nie wiedział, dokąd właściwie miałby dojść. Diabeł prowadził w dół, na ulicę, i do wnętrza budynku, i na podwórze, i do sutereny, do piwnic, i na jeszcze inną ulicę… Towarzyszyła im wytrwale Bergrnanowska Śmierć, długimi, białymi palcami ścierała pot z twarzy Mariny, drzewce kosy postukiwało o brudne betony. Mijali odgryzające sobie palce zwierznice, zamieszkane i nie zamieszkane dżungle myślni. Diabeł ponaglał. Hunt w ogóle już nie czuł swojego ciała. Od wielkiego wysiłku biła mu z ran po palcach jasna krew. Potykał się mimo Baryshnikova. Ale musiał iść dalej. (Nie dojdę, nie dojdę nie dojdę). – Bierz – szepnął, gdy poczuł, że zaraz straci przytomność. Diabeł wziął.

15. Underground

– Gdzie?

– W metrze, sir.

Usłyszał własne pytanie (jaki dziwny głos) i natychmiast przeskoczyła iskra skojarzenia z pierwszym -jedynym – pytaniem Mariny, samą Mariną.

– Ona?

– Żyje. W każdym razie oddycha.

– Ja nic nie widzę.

– Tu jest ciemno, sir.

Hunt usiadł. Zakręciło mu się w głowie. Ile krwi straciłem? Sięgnął ku okaleczonej dłoni. Kawał miecha, prawie nic nie czuł, menadżer dał twardą blokadę. Odnotował jednak wilgoć na palcach lewej dłoni. Sprawdził opaskę uciskową, dociągnął. Jedno z dwojga: albo się wy-krwawię, albo zgangrenuję martwicową tkankę. Do szpitala! Zadzwonić po medykatora! Oczywiście nie mógł.

– Podciągnij trochę kontrast.

Mały sześcian w betonie. Z jednej strony otwarty na wielką ciemność, z góry – na wąski szyb półcienia.Stara wnęka studzienki technicznej? Najprawdopodobniej W takim razie tam, w tej ciemności, powinien znajdować się tunel metra. Nieczynnego, rzecz jasna (publiczny środek transportu: setka osób stłoczonych w wagonie - najprostszy przepis na Tłum).

Marina leżała obok, jak ją zostawiło wymykające się z uścisku wszczepki osłabione ciało Nicholasa. Widział tylko zarys sylwetki. Poszukał zdrową ręką odkrytego fragmentu jej skóry. Wciąż gorączka. Tak wysoka temperatura utrzymująca się przez tak długi czas – mózg może tego nie wytrzymać. Ale któż przewidzi, co zrobi nano?

Czas – która godzina?

– Zegar.

Jedenasta szesnaście. Tam na górze już dzień.

Wstał i zemdliło go. Fizjologia jednak ma własne prawa. Opierając się o ścianę, podreptał do wyjścia do tunelu i opróżnił pęcherz w ciemność metra. Gdzieś w głębi, po lewej, majaczyło jedno słabe światło. Poza tym wyglądało, jakby w międzyczasie nastąpiła awaria sieci elektrycznej Nowego Jorku. Cóż, bardzo możliwe: nie ma takiego systemu, którego nie byłby w stanie rozłożyć czynnik ludzki.

Wrócił do Mariny. Wymacał torbę, otworzył.

– Dotyk – mruknął Hunt.

Przesuwał lewą dłonią po skłębionym bagażu.

– Kosmetyczka – mówił diabeł – ledpad, nie wiem, książka, pistolet, nie wiem, część ubrania, nie wiem, nie wiem…

Nicholas wyjął i rozwinął ledpad do maksimum. Usztywnił ekran i wybrał najjaskrawszy wygaszacz. W studzience wybuchnęły cienie, na tych dwóch metrach kwadratowych przed Huntem zrobiło się prawie jasno.

Ustawił ledpad pod ścianą i wysypał na beton zawartość torby. Od razu rzucił mu się w oczy Trupodzierżca Vittoria i klinger zabitego zamachowca. Klingera wsunął do lewej kieszeni płaszcza. Zaraz jednak wyjął go z powrotem, by skontrolować magazynek: pełny.

W skórzanym futerale na elektroniczną biżuterię jurydykatorową Hunt znalazł telefon. Był zdezaktywowany, choć działał (Nicholas szybko sprawdził), lecz pozostawał dla Hunta całkowicie bezużyteczny: jedno połączenie i byłby namierzony.

W poręcznym czarnym kolektorku ozdobionym srebrnymi inicjałami „MSV", znajdowało się kilka zdjęć Jasona Vassone (w większości jako cztero-pięciolatka), imponująca – nawet Nicholasowi – kolekcja wizytówek, dwa samoprzylepne paski kalkulacyjne, guma dyktafoniczna oraz notes sensoryczny Seiko. Próbował wejść do niego, lecz notes najwyraźniej rozpoznawał linie papilarne właściciela. Przytknąć palec Mariny, przemknęło Huntowi. Zerknął na nią, całą czarno-białą w lampionowym świetle ledekranu, trupio monochromatyczną, i czemuś zaniechał. Włożył resztę bagażu z powrotem do torby i z wysiłkiem podsunął ją pod głowę Mariny. Nieprzytomny człowiek zawsze jest dziwnie ciężki. Hunt przyłożył ucho do piersi Mariny. Młum-młum-młum-młum-młum-młum-młumłum. Wali jak szalone. Żyje, w każdym razie oddycha, jak powiedział diabeł. Chociaż gdy Nicholas się wyprostował, nie był w stanie dostrzec tego oddechu. A przyglądał się przez dłuższą chwilę. Po tragicznym wypadku swego przyrodniego brata (miał wtedy siedem lat) zaczął nawiedzać Nicholasa strach przed śmiercią najbliższych (chociaż jeszcze nie jego samego). Dane mu było ujrzeć swego brata martwego – i zaakceptował mocą swej dziecięcej wyobraźni istnienie tworów takich jak „martwi ludzie". Strach nawiedzał go zwłaszcza nocami, bo sen najbardziej podobny do śmierci: bezruch, bezdźwięk. Może faktycznie nie żyją, umarli tak po cichu, dyskretnie? Przemykał się nocami do sypialni Imeldy i matki, stawał przy ich łóżkach, patrzył, nasłuchiwał. Dostrzeżony rytm oddechu w końcu uspokajał go. Aż któryś partner matki obudził się, ujrzał go w półmroku tak stojącego w napiętym milczeniu – i przeżył mały zawał. Nicholas wylądował w zamkniętej szkole pod Atlantą.

– Jak sądzisz, Lucek, udało się panu Qurantowi uniknąć?

– Tak. Najprawdopodobniej. Nie mieli powodu go zabijać. O ile wiem.

– Ani jego żony.

– Nie widziałem nigdzie trupa pana Quranta, sir. – To dobrze.

Znasz położenie Czterolistnej?

– Tak.

Hunt położył sobie ledpad na kolanach, po czym zwinął częściowo ekran.

– Cholera by to – zaklął przez zęby, gdy odczytał, iż ledpad nie rozpoznaje wszczepki. Moduł łączności nadal zablokowany. Trzeba będzie mechanicznie, nieporadnymi palcami, i w 2D. Sprawdził dolną kieszeń pada. Na szczęście była tam rękawiczka 3D-move. Na nieszczęście na dłoń prawą.

Ledpad automatycznie znalazł najbliższą gwiazdę. Nicholas zakładał, iż Marina nie byłaby tak głupia, żeby korzystać z kompa w jakiś sposób z nią powiązanego. Najpewniej stanowiłon jeszcze jeden łup Cienia-szabrownika. Na szczęście miał opłacony z góry abonament. Hunt przescrollował nie zabezpieczoną hasłem książkę adresową. CNN. Oczywiście był subskrybentem, ale nie zamierzał się im identyfikować. Wszedł w zasoby publiczne. Zaskoczyła wyszukiwarka dialogowa. Łatwiej byłoby przez wejście audio, ale to wrzuciłoby na ich serwer wzór głosu Hunta (jeśli konfiguracja, do której nie umiał się dobrać, nie ścinała transmisji do płaskiej treści), więc mozolnie stukał wskazującym palcem lewej dłoni. Dialogant cierpliwie zawężał pole wyboru. Skończyło się na siedmiu plikach A-V. I tak mało, zważywszy, ile tam wtedy było maszyn sieci, na pewno obrócili też obiektywy na swych satelitach. Więc kompilacje, bez wątpienia. Żeby wydostać dane nie obrobione, trzeba by sneakera; a prawdziwe raw data w dzisiejszych czasach to już marzenie ściętej głowy.

Przykręcił dźwięk. Tłum przewalał się ulicznymi kanionami z ledwie słyszalnym pomrukiem tysiąca gardeł. Fast Forward. Są: dwa wojskowe CAV-y. Zatrzymał i po-większył oznakowanie. Co się okazuje: nie Gwardia, lecz żandarmeria Sił Powietrznych. Nie znaczyło to jednak nic-biurokrata korzysta z tego, co stawia najmniejszy opór w hierarchii.

Szukał Quranta. Raz mignął on przy początku strzelaniny, biegł wtedy ramię w ramię z Mariną. Potem nadwieszka zeszła z kadru i nie było jej w żadnym z plików. Był natomiast Vittorio. Kamera złapała go przecznicę dalej, Wciąż ze zmasakrowanym ciałem anonimowej kobilety w ramionach. Dźwigał je, zawinięte w czarny płaszcz Mariny, przebiegając niskim sprintem przez jezdnie, nawet zwierznice usuwały mu się z drogi. Śmigłowiec wypadł zza estakady, z miejsca otworzył ogień. Vittorig podrzuciło w powietrze, cisnęło o łukowatą podporę górnego pasma. Wciąż nie upuścił zwłok. Obracał się tak, by zasłonić je przed pociskami: to one, zwłoki-nie zwłoki, stanowiły właściwy cel.

Hunt gapił się w ledekran, sine poblaski odbarwiały jego nieruchomą twarz. CAV zszedł na cztery metry i grzał teraz prawie

poziomo, nieliczne rykoszety rozdrapywały chodniki i elewacje budynków, odcinały pojedyncze macki Tłumu. Bez finezji, sama siła ognia (logika pola walki). Vittorio przeczołga! się razem ze zwłokami za podporę, wcześniej oderwało mu lewą nogę. Śmigłowiec chybnął się w bok i grzał dalej. Rozszarpywało Cienia na strzępy. Vittorio sięgnął gdzieś do pasa, zagarnął jakiś przedmiot (miał jeszcze parę palców). Łumch! Ogarnęła ich na jedną-dwie klatki kula białego ognia, Vittoria i kobietę. CAV odskoczył, zaprzestał ostrzału. Kamery skupiły się na spalonych do kości resztkach obu ciał, spoczywały one w samym środku wyżeganego w trotuarze ciemnożółtego koła. Śmigłowiec wisiai nad nim, póki do reszty nie zniknął Tłum; wówczas jednak pojawił się wóz Gwardii i CAV odleciał. End of file.

Komentarz określał widowiskowy incydent jako „brutalne, lecz skuteczne udaremnienie ataku terrorystycznego". Hunt mimowolnie obejrzał się na Marinę. Gorączkowała w bezruchu, napompowana obcym jej immunologii bionano. Próbował odtworzyć tok rozumowania Vittoria, ale co i raz rozpraszało go świeże wspomnienie żywej masakry Cienia. Ile to wszystko trwało? Jakieś sześć sekund od momentu pojawienia się w perspektywie ulicy śmigłowca żandarmerii do ognistej autodestrukcji. Czy Vittorio miał choć milisekundę zawahania? Nie. Może się preedytował. Jeśli nawet – to co myślał, układając takie makro? na co liczył? Na mnie. – Diable.

– Sir?

– Propozycje.

– Otworzyć jednodobową nie limitowaną gratisówkę i przesłać wiadomość na telefon pana Quranta. Jeśli aktualne, idziemy do enklawy. Jeśli nie, oddajemy się w ręce jurydykatora.

– Prokuratura się postawi, przejmą mnie. Jak tylko się znajdę w areszcie, jestem trup.

– Dysponuje pan silną kartą przetargową. Doktor Vassone. Może pan negocjować przez jezuitów.

– Vassone jest martwa.

– Już nie. Sądzi pan, że oni nie sprawdzili skanów? Dużo dokładniej.

– Ty zakładasz, że w ogóle jest z kim negocjować. Ja wątpię. Informacja krąży po systemie, ale nie posiada właściciela.

– Można negocjować wykonanie. Żandarmeria Sił Powietrznych komuś podlega.

Hunt kręcił głową.

– Nie znasz się, diable. To nie działa w ten sposób.

– W takim razie przez media. Podpisać kontrakt z którąś z sieci na wyłączność.

– I co powiem?

– Prawdę.

No, tego się po tobie nie spodziewałem.

– Prawdę, sir.

– Zważ, że, jak dotąd, nie popełniłem żadnego przestępstwa z publicznego kodeksu. A po takim wystąpieniu mam zagwarantowane piętnaście lat w federalnym jedynie za złamanie tych regnł poufności, które sam podpisałem; a jeśli podciągną to pod zdradę – dożywocie.

Dożywocie w federalnym mieście więziennym i tak lepsze od śmierci, sir. Panem powinien jak najszybciej zająć się lekarz.

– Taa, już by się mną zajęli ich lekarze. – Nie rozumiem pana. To paranoja. Z całym szacunkiem, sir. Trzeba patrzeć realistycznie. Nikt nie jest władny wydać służbom państwowym polecenia zamordowania na miejscu bezbronnego człowieka. Niezależnie od wysuwanych oskarżeń. -Są sposoby.

– O?

– Są.

Wiedział, bo w Prawdziwym Życiu dwukrotnie był prawie naocznym świadkiem wzbudzania takich śmiertelnych memotrendów, i poniekąd sam w tych procesach uczestniczył. Za pierwszym razem inicjatorem był zaprzysięgły wróg protektora ofiary. Uratowała się ona tylko dlatego, że w porę umknęła gdzieś do Afryki. Drugi przypadek był bardziej przerażający: nie istniał żaden inicjator. O ile Hunt się orientował, rzecz cała zaczęła się od żartów przy piwie. Po jakichś dwóch miesiącach nieszczęśnik został zastrzelony przez spanikowanego strażnika kongresowego parkingu. Przeciwko strażnikowi nie wniesiono nawet oskarżenia, denat był łudząco podobny do aż dwóch bliżej nie zidentyfikowanych terrorystów ze szczytu listy FBI.

Enklawa to w gruncie rzeczy bardzo dobre rozwiązanie.

Wszedł na strony Vermus Adv. i rozpoczął półgodzinną sesję profilerską, oglądając składanki materiałów reklamowych i odpowiadając na czas na wyrafinowane pytania. Krew kapała z prawej dłoni na senspad. Wyjął z kieszeni padu rękawiczkę białego elastyku, po czym naciągnął ją na kikut w charakterze prowizorycznego bandaża. Wyglądał teraz jak komiksowy kaleka-szwarccharakter. Zimny blask ledekranu oślepiał go. Gdy posławszy Qurantowi aluzyjne zapytanie (znalazł Juliusa w spisie stanowym), przeciągnął się i obejrzał na Marinę, ujrzał tylko chmurę czarnych ciem.

Marina, Marina… do zmroku jakieś dziesięć godzin, jeśli przez ten czas nie dojdziesz do siebie, będę musiał cię zostawić, nie uniósłbym cię daleko.

Sorry, Vittorio, żaden ze mnie Cień.

Gdy źrenice mu się zakomodowały (nie prosił diabła o pomoc), zobaczył, że w międzyczasie obróciła się na bok. Teraz czuł zapach jej cierpienia, być może nieco przytłumiony przez Necropolis, które

stanowiło dziedzinę śmierci, gdzie nie cierpi i nie raduje się nikt. Hunt odłożył ledpad (ponownie rozwinąwszy jego ekran), pochylił się nad Mariną. W odruchowej reakcji mięśni na wysoką temperaturę kuliła się do formy modlitewno-embrionalnej. Obrócił do światła jej głowę. Na czole i szyi miała ceglaste wybroczyny. Kiedy przesunął lewą dłoń nad jej wargami, szybki, krótki oddech Vassone prawie go sparzył, naprawdę zabolało. Normalny człowiek już by nie żył – ale ona, nieprawy pomiot Cienia, cierpiała. Czuł także woń ciepłego moczu. Nacisnąwszy na jej powieki sprawdził fazę snu: REM koszmarów. Zginała palce we wpółzaciśnięte pięści, niczym niemowlę.

Skonsultowawszy się z diabłem (był przeciw), wyszedł w zimną ciemność tunelu metra, z ledpadem owiniętym wokół prawego przedramienia, jego cienkim ekranem wygiętym w wachlarzowatą kryzę – substytut latarki. Było to tego rodzaju światło, które najwięcej daje cieni. Szedł przy ścianie, z dala od szyn, Lucyfer prowadził.

Na zamkniętym peronie nie było nikogo, jeśli nie liczyć trupa zwierznicy – wiedział, że to zwierznica, bo miała odgryzione wszystkie palce u rąk i nóg, była naga – oraz gorącej monady. Monada zamąciła go, ledwo minął trzeci filar. A czemu by nie? – pomyślał. No czemu? Przecież okropnie to wygląda. Słabe, rozdrobnione peryferie ciała, obscenicznie zeń wysuwane. Zgubią mnie, zdradzą, rozpadnę się. Przydepnął lewą dłoń, ale wyrostki nie chciały odejść. Co za ohyda! Uderzył o słup. Z chmury bólu wyszedł wściekły czart. – Wyrwę ci serce! – Przerażony, rzucił się Nicholas w tył – i wyszedł spod monady.

– Toalety są tam, sir – wskazał diabeł.

Wracając, rozmyślał o tej ewidentnej słabości Grzyba. Najwyraźniej blokował on jedynie psychomemy wolne, skupionym konstruktom myślni nie będąc w stanie się Przeciwstawić. Bezpośrednia presja – to za wiele dla niego. Podprogowe mantry Grzyba nie tworzą wszak „wokół" umysłu żadnej nieprzenikalnej bariery, jak to sobie najprościej wyobrazić na modłę komputerowych wizualizacji. Po Prostu do pewnego stopnia utrudniają osmozę.

Poprosił menadżera o schemat neuroprzyłączy Tuluzy 10- Z defaultu odpaliła aplikacja pełniąca funkcję Pomocy oraz materiału promocyjnego firmy – wewnętrzny bedeker, skonfigurowany jeszcze w Moście. Diabeł gładko wszedł w rolę.

– Oto mózg, proszę, widzi pan, neurony, aksony, dendryty, substancja biała, substancja szara, synapsy, tu przekrój przez drzewo dendrytowe, tu widać narośle nanomatyczne, można, sir, rozpoznać zrosty jedno- i dwu-kierunkowe.

– A te zielone strefy?

– To swapy neuroRAM-u, sir.

– Że co?

– Pamięć wirtualna wszczepki. Tuluza 10 rutynowo wykorzystuje nieaktywne rejony mózgu nosiciela, to dzięki temu ma tak rewelacyjne osiągi.

– Pracuje na moim mózgu??

– Tak jest, sir. Nie wiedział pan?

– Ty siedzisz w moim mózgu?

– Tak jest, sir. To przecież wszczepka.

– Wiem, że wszczepka. Ale że procesuje na moim mózgu…?

Powtórzyłby tę frazę o „moim mózgu" jeszcze nie raz, ale dotarł do szybu. Marina leżała w tej samej pozycji. Odstawił foliowe wiadro (woda deformowała mono), przyklęknął przy nieprzytomnej. Był słaby, te kilkaset metrów tam i z powrotem przyprawiło go o lekkie zawroty głowy i suchość w ustach. Ja też mam gorączkę, skonstatował, przełykając z wysiłkiem ślinę przez zrogowaciałe gardło.

Rozebrał i umył Marinę. Wyjętymi z pojemników w toaletach chusteczkami starł ciemne wybroczyny. Była to krew, ale z czymś jeszcze – maź lepka, gęsta, cuchnąca, śluzowata. Sączyła się zwłaszcza z węzłów chłonnych; które okazały się bardzo twarde i prawie przepalały skórę. Skóra kobiety też nie zachowywała się jak skóra: czerniała w kontakcie z wodą i dopiero po kilkudziesięciu sekundach wracała do zwykłej bladości.

Zimny beton i lodowata woda wyrwały Marinę z komy. Ocknęła się, gdy przetaczał ją na swój płaszcz, by obmyć teraz plecy. Otworzyła oczy, poruszyła ustami.

– Ciii. – Pocałował ją w policzek. – Wszystko będzie dobrze.

Na ten przemielony przez stulecia do fonetycznej miazgimem słowny tylko uśmiechnęła się krzywo.

– Boli cię? – zapytał.

Pokręciła głową.

Nachylił się.

– Co?

– Głowę bym dała, że ty jeden wyjdziesz cało – wychrypiała.

Ucieszył się, że przynajmniej zachowała poczucie humoru. Obawiał się psychicznych skutków śpiączki, trwałą dezintegracji osobowości.

– Nie ma sprawiedliwości na tym świecie – przyznał.

– Sukinsyn.

Potem ubrał ją w czyste rzeczy, zawinął w swój płaszcz, podłożył pod głowę torbę.

Siedem godzin do zmierzchu. Diabeł poradził mu, aby wyłączył ledpad, po co niepotrzebnie wyczerpywać baterie. Opakowała ich styropianowa ciemność. Jedynie w samym zenicie betonu majaczyła sierpowata plama szarości.

Wspiął się tam po starych, żelaznych szczeblach. Nie domknięta

klapa włazu. Wyjrzał, uniósłszy ją powoli. Park jakiś chyba. Nie rozpoznawał okolicy, zwłaszcza z tej żabiej perspektywy. Nie wiadomo, czy sięga tu sieć, więc lepiej nie ryzykować. Wycofał się.

– Powinien pan domknąć właz – poradził diabeł. – Ja wtedy nie miałem jak – i tak cud, że nie spadliście oboje.

– Ona spadła?

– Takie rzeczy już jej nie zabiją, sir. Jeśli teraz umrze, to od konfliktu genetycznego.

Przypuszczał, że diabeł po prostu zrzucił ją na dół. Szukał jeszcze przez chwilę jakiejś zasuwy, zamka, klamry magnetycznej, ale niczego takiego tu nie było. Marina wołała go szeptem. Zszedł.

– Co się dzieje? – dopytywała się. – Nic, nic.

– Gdzie my…

– W piwnicach New Empire State Building. – Jakim cudem…?

– Przepraszam. W metrze. – W metrze.

– Tak. – Wskazał ruchem ręki, ale zorientował się, że przecież go nie zobaczy w ciemności. (Chociaż… może?). -Nieczynne.

Westchnąwszy ułożył się obok, wpółoparty o ścianę: mógł teraz szeptać jej prosto do ucha. Kiedy zaś ona mówiła, czuł ogień niezdrowego oddechu na skórze szyi.

– Vittorio?

– W proch się obrócił.

– Delikatnyś.

– Poszedł do Bozi. Kim ty właściwie byłaś dla niego?

– Bo co?

– Bo nakarmiłaś mnie wersją o ulicznym najemniku, a ja coś nie wierzę w aż takie oddanie Bushido.

– Ryzyko wliczone miał w koszta.

– Mhm. Odstawił tam auto da fe, byle osłonić twoją ucieczkę. Na którą w dodatku mógł mieć tylko słabą nadzieję.

– Vittorio…

– Tak. Żachnęła się.

– I co, przeżyję? – Teraz była zgryźliwa.

– Tego nawet diabeł nie wie.

– Co?

– To znaczy: programy medyczne z mojej wszczepki. Na razie przeżyłaś wielokrotny śmiertelny postrzał. Nie zostały ci nawet blizny. Zaraził cię sobą.

– To dlatego. Myślałam…

– Nie, to przez jego bionano. Wszczepka mi mówi, że dał ci pełną kopię, nie jakieś sprofilowane katalizatory, jak mnie wtedy. Rozpoznajesz już OVR?

– Co? Nie.

– Po tym poznasz, że się skrystalizowała. Wojskowa wersja. Swoją

drogą to podpada pod ustawę o proliferacji broni N. Kim ty byłaś dla niego?

Przez chwilę tylko gorący oddech.

– Myślisz, że skąd dowiedziałam się o śmierci Jasona? – Był jego ojcem.

– Tak. Krótki kontrakt. Potem zupełnie się urwało. Ale został w rejestrach. I kiedy… Pojawia się nagle jako eks-Cień. Miałam wyłączony telefon. Przyszedł osobiście pod ostatni adres. Jas zabity. Rozleciałam się lekko, przyznaję. Wszystko wyciągnął, on to potrafi. Uciekać, cóż innego. A tu wpadasz ty i bredzisz o Chiguezie i Grudniu.

Farsa. – Bronisz Chiguezy? Szpiegowałaś dla niej.

– Niech ci będzie.

– Szpiegowałaś, szpiegowałaś. Gorzej: sabotowałaś. Wpuściłaś nas w ten kanał z Kontaktem i orbitalnymi telepatami, byle tylko wyskalować dla niej Modlitwę. Łgałaś mi w żywe oczy. Zdajesz sobie sprawę, że najprawdopodobniej to właśnie przez ciebie dajemy teraz ciała w Wojnach? Generał Kleist ukrzyżowałaby cię żywcem.

– Zamknij się, Hunt.

Ale Nicholas był już tym mocno zirytowany.

– Zakochałaś się w tej Chiguezie, czy co? Szarpnęła się pod płaszczem.

– Nie denerwuj mnie – warknęła. – Zamordowała mi dziecko.

– Ona?

– A kto? Langolian się wystraszył, że się rozsypię.

– Ta, mówiłaś.

– Nie wierzysz mi?

– Dostrzegam pewną, mhm, ambiwalencję uczuć.

– Uwierz przynajmniej w instynkt samozachowawczy: sama stanowię pierwszoplanowy cel.

Roześmiał się cicho, nawet bez wysiłku, z jakąś gorzką szczerością.

– Tak to sobie wyobrażasz? I co, Langolian wydaje rozkazy policji, FBI, McFly'owi? US Air Force? – prychnął. – Następna amatorka spiskowych teorii.

Co chcesz, ty sam uważasz mnie za szpiega. Ale to jeszcze nie powód, by strzelać bez pardonu po zatłoczonych ulicach. Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie.

– Ktoś rozkaz wydał. Masz wątpliwości? Widziałeś w newsach obok mojej własną fotkę. Najwyraźniej Maria była władna. Znowu się zaśmiał.

– Władna…!

– Skoroś taki mądry, sam mi powiedz, kto. Zamrugał w mrok, przygładził niewidzialnymi palcami nieistniejący wąs.

– Pytasz, kto – mruknął poważniejąc. – Pytasz, w czyjej to władzy.

Krąży już nowy mit: że władza jest nasza

– Nasza? To znaczy czyja?

– „Ich" – bo już nie należę do tej kasty, muszę pamiętać, żeby mówić w trzeciej osobie, zostałem wygnany utraciłem tę władzę, a raczej jej iluzję, obustronny pozór w który, przyznaję, bardzo długo wierzyłem. „Ich" – mówię o najemnych operatorach, klasie specjalistów niezbędnych zarówno obieralnym reprezentantom, jak i finansowym samodzierżcom. Owi nieśmiertelni eksperci swobodnie przepływają z jednej hierarchii do drugiej, do nich odwoływać się muszą wszyscy: prezydenci państw i prezydenci korporacji. Oni sami bowiem nie mogą i nie potrafią zajmować się szczegółami, nie znają się na nich. A w dzisiejszych czasach wszystko zależy właśnie od owych szczegółów, subtelnych detali długofalowych procesów, niepojmowalnych dla przeciętnego wyborcy czy udziałowca. I nawet jak jeden czy drugi ekspert zostanie utrącony i zmielą go na pył młyny władzy, to zaraz zastąpi go inny, bez różnicy dla ogółu, na dłuższą metę są oni bowiem doskonale wymienialni; ale ich jako klasy, ich jako elementu machiny – nie sposób wyrugować.

– Więc mówisz, że to ty, wy… że to oni posiadają władzę?

– Tak by rzekli co dociekliwsi obserwatorzy, a i większość samych specjalistów.

– Ale nie ty, prawda? Zatem co? – demiurdzy jeszcze głębiej ukryci?

– Nie. Zrozum: władza naszych czasów – nawet prezydenta USA, nawet jego sponsorów, nawet południowych autokratów -nie jest władzą w rozumieniu zeszłowiecznym, co najwyżej bladym jej wspomnieniem. Trzy czwarte, jeśli nie więcej, dawnych osobowych kompetencji tych organów wyciekło im przez palce i zyskało status „reguł systemowych".

– I cóż to takiego, te reguły?

– Szydzisz. Niesłusznie. Naprawdę staram ci się wytłumaczyć. To coś, czego nie trzeba – i nie można – egzekwować, bo stanowi immanentną, strukturalną cechę systemu. Pewne systemy powyżej określonego stopnia złożoności przejawiają tendencję do popadania w stany homeostatyczne – niewątpliwie dotyczy to również ogółu powiązań politycznych, prawnych, finansowych i społeczno-kulturowych. System się uniezależnia i coraz silniej ciąży ku status quo. Nie ma cenzury, nikt nie wydał zakazu -a spróbuj się sprzeciwić, wystąp przeciwko: nikt nie usłyszy, nikt nie zwróci uwagi, nikt nie zapamięta. I wcale nie świadomie. Bez refleksji, bez zastanowienia, automatycznie. Elementy niekompatybilne odbijają się jak od ściany. Jeśli chcesz zobaczyć to według myślni: psychomemy trendów nierównoległych nie wchodzą do puli, nie mieszają się, nie łączą. Nie wiem nawet, jak to nazwać, nie istnieje słowo. Na pewno nie jest to

już demokracja, nie oligarchia, nawet nie kryptokracja, no bo nie ma żadnego sekretnego gremium z ukrycia wydającego rozkazy stosownym wykonawcom. Wykonuje się samo. Pedekracja…? Pantokracja…? Metaksokracja…?

– Zaraz, co ty właściwie chcesz powiedzieć? Że rządzą nami jakieś historyczne prawa, równie mocne i bezosobowe jak prawa fizyki? I już nie na poziomie analiz historiozoficznych, w ocenie wieków i epok, ale w każdej jednej sekundowej decyzji gospodarczej, politycznej, kulturowej…?

– A nie jest tak? Nie jest? Uważasz może, że cywilizacja rozwija się w sposób przypadkowy? Że nie istnieją zależności pomiędzy poszczególnymi etapami jej rozwoju?

Że kapitalizm z równym prawdopodobieństwem może się pojawić po feudaliźmie, co niewolnictwo po demokracji?

Że kultura industrialna wybucha w dowolnym czasie i miejscu? Wiesz przecież, że nie. Istnieją zależności, ciągi przyczynowo-skutkowe, prawa rozwoju, sprzężenia zwrotne.Tak samo jak prawa embriogenezy czy kosmologii, równie twarde. Żaden człowiek ich nie ustanawiał i żaden człowiek ich nie zmieni; co najwyżej mogą się buntować, jak komórki przeciw organizmowi, którego są częściami – i wiesz, czym to się wówczas kończy. Wszystko jest kwestią skali czasowej. Dopóki szło to powoli, samoregulacje następowały w cyklach wieloletnich, nawet wielowiekowych – nie było tak widoczne, zachowywaliśmy pozór swobody decyzji. Świat jednak się skurczył, system się zamknął, gęstość wewnętrznych połączeń przekroczyła wartość krytyczną, zniknął margines manewru. Postąpisz inaczej i przegrywasz; musisz postąpić tak, jak nakazuje zwycięski trend.

– Muszę? Muszę?

– Oczywiście, zawsze masz możliwość z pełną premedytacją wybrać rozwiązanie błędne, działać na własną szkodę; taka wolność ci pozostała. Ale kto tak postępuje? Ścieżki są oczywiste. I nawet już nie racjonalizujesz w ten sposób – to odruchy, intuicja. W codziennym życiu identycznie. Sama wiesz. Nie ma przymusu, nikt nie rozkazał – a spróbuj wyłamać się z kanonów, myśleć na przełaj, nierównolegle: jakoś tak… nie wypada. No i kogo wskażesz palcem, kogo obarczysz winą? Brak kandydatów na szwarccharaktery. Są tylko ofiary. To zresztą nic nowego, już w dwudziestym wieku zdawano sobie sprawę z tej pułapki, powstawały nawet na tym tle rewolucyjne ideologie, niejaki Ted „Unabomber" Kaczynski rozrywał ludzi na kawałki w imię wolności od owych „reguł systemowych". Niewiele to dało, system go połknął, Kaczynski sam stał się regułą. Można tak prześledzić wstecz genealogię idei, jak przeczuwano metaksokrację – na przykład Rothschild w swojej bionomice.

– Nie rozumiem. Więc w końcu – kto wydał rozkaz?

– Tłumaczę ci: to nie ma najmniejszego znaczenia-Trend zawsze znajdzie sposób na realizację, prędzej czy później. Po najmniejszej linii oporu. Bezpośredni rozkazodawca najprawdopodobniej w ogóle nie orientuje się w sytuacji i nic by ci nie powiedziało jego nazwisko. Gdybyś go jednak jakoś dopadła i przyłożywszy lufę do skroni zapytała, kto z kolei jemu wydał rozkaz, zupełnie szczerze odparłby ci, że nikt. Nie prześledzisz tego, zapomnij o „łańcuchu dowodzenia" i podobnych kategoriach.

– To ty ich usprawiedliwiasz! Ja Marii nie-na-wi-dzę.

Prawda – nienawiść w nim zabuzowała, podnosząc andrenalinę, napinając mięśnie. Wysiłkiem woli powstrzymał odruchy wściekłości.

– Cicho – syknął – nie krzycz.

– Ambiwalencja uczuć, cholera by cię.

– Broniłaś jej, może nie?

Widać musiała odwrócić głowę, nie czuł już ognia jej oddechu.

– Zupełnie tego nie chwytasz, prawda? – parsknęła. -Twoja reakcja, gdy ktoś wyrządził ci krzywdę, jest taka: ustawić się w pozycji ofiary i wyegzekwować swoją sprawiedliwość. Czy ty kiedykolwiek w całym swoim życiu kogokolwiek nienawidziłeś? Ja nie jestem ofiarą, wiedziałam, w co wchodzę; jeśli Chigneza mnie wykorzystywała, to nie w większym stopniu niż ja ją. Nie ma mowy o żadnym wymierzaniu sprawiedliwości. Ofiarą jest natomiast Jason i ja Marii Chignezy nienawidzę. Nie obrażaj mnie tu, czyniąc z niej jakiegoś demonicznego manipulatora; miałam wolną wolę. Z satysfakcją wybiłabym do nogi całą jej rodzinę.

Kręcił głową.

– Ty i Krasnow pozujecie na swoich nieprzejednanych wrogów, ale w istocie mogłabyś być jego duchową córką. Oboje macie to samo nietzscheańskie zboczenie. Bez spersonalizowanego obiektu nienawiści czułabyś się zagubiona. A świat nie jest taki, reagujesz nieadekwatnie.

Westchnęła.

– Być może. Sama już nie wiem. Czy ja byłam taka i Przedtem?

– Tak naprawdę nie znałem cię przedtem. Co – zaśmiała się – teraz mnie znasz?

Mhm, to dziwne, jeszcze niedawno dałbym wiele, żeby móc zajrzeć do twoich myśli, a dzisiaj… Nie chcę nic wiedzieć, sycę się niepewnością.

Sięgnęła i wymacała gorącą dłonią jego twarz; w pierwszej chwili odruchowo uchylił się, ale potem trwał w bezruchu.

– Teraz pławisz się we mnie – szepnęła. – W takiej bliskości nawet kłamać nie bardzo jest jak. New Empire State Building! Skłamiesz, ale nie okłamiesz.

– Tak. To krępujące.

– Oddalenie jest konieczne.

– Tak.

– Dać szansę fałszywym wyobrażeniom.

– Królowa Śniegu, doskonałość ciała i umysłu, piękna jak skalpel.

– Upadły anioł władzy, młody cynik o uśmiechu starego łotra.

– Młody?

– Boże, jak młody.

– Żartujesz teraz.

– Już się nie uśmiechasz. Czuję, że to przez ciebie taki ponury nastrój.

– A w jakim nastroju mam być?

– Masz mi za złe.

– Oczywiście. Zajrzawszy w twoje motywy – sądzisz, że co bym znalazł?

– Czerń.

– Czerń.

– A w twoich może nie? Tak naprawdę świnia z ciebie.

– Wiem.

– Rzeczywiście, wiesz. I tak świnia.

– Nie ma już porządnych mężczyzn.

– Ta. Już nie. Szlag. Teraz do końca życia… czyli chyba niedługo… będzie mnie to…

– Dobrze, już dobrze.

– Nic mi nie jest!

– Szsz, możesz się wypłakać.

– Odwal się.

– No. Marina.

– Chryste, zawsze byłam pewna, że mną pogardza. Nigdy bym… i jeszcze…

– Szsz.

Nieświadomie poruszał głową. Takie przebłyski: delikatny dotyk męskich warg na karku; morze; przeczucie nieuchronnej śmierci; słowa o stracie; ogień w gardle.

Żadne z nich nie należało do tego pokroju osób, co to odkrywają własne uczucia, wyrzucając z siebie struimienie emfatycznych ich opisów. Wszystko, co mówili, nawet jeśli myśleli o tym jako o prawdzie, w istocie stanowiło już skrzywioną, odbitą wersję. Czytać sensy należało ze słów nie wypowiedzianych, ominiętych.

Kiedy zasnęła (a może z powrotem zapadła w gorączkowy letarg?), uwolnił ostrożnie prawe ramię i odsunął się pod przeciwległą ścianę, jak najdalej od jej koszmarów. Sprawdził na ledpadzie, czy przyszła odpowiedź od Quranta; ale nie.

W tym krótkim rozblasku ledunku ujrzał Marinę, skuloną w załamaniu betonowego pudełka, zakutaną w jego płaszcz. Czarne włosy, blada cera, chorobliwe rumieńce, wyglądała, jakby popękały jej

naczynia krwionośne twarzy (marmur kwarcem żyłkowany).

W takim stroboskopowym rozjaśnieniu, po długiej ciemności, zobaczył to znacznie wyraźniej: zmieniała się rzeźba jej ciała. Puszczone na żywioł obce bionano ryło w jej DNA dzikie ścieżki.

Uniósł do nosa kikut dłoni, wciągnął powietrze. Oczywiście jeszcze nie wyczuwał tego charakterystycznego zapachu zgnilizny, słodkiej zapowiedzi gangreny Wyskoczył nawet na moment spod MUI, żeby ominąć filtry. Tak czy owak, powinien znaleźć się w szpitalu, i to szybko. Ona również.

Dlaczego ta studzienka? Dokąd właściwie diabeł był ich wiódł?

– Byle dalej od sieci A-V, sir. Wiedziałem, że daleko Pan nie zajdzie. Sprawę pogorszyła ta monada. Został tylko właz studzienki metra i wykorzystałem okazję.

– Na górze stoi monada?

– Była tam wtedy, sir. Gdyby nie pański stan…

– Pięknie.

– Tak naprawdę może to działać na naszą korzyść. W ogóle, gdyby tylko pozwolił mi pan wytłumaczyć -Przecież istnieje bardzo prosty sposób…

– Już ty lepiej nic więcej nie mów. Daj mi tu archiwum skanów.

Mówił Schatzu: – Doktor Marina Vassone bez wątpienia wykonała wspaniałą robotę i winniśmy jej wszyscy podziw i wdzięczność, bez jej intuicji i uporu w ogóle by nas tu nie było. Pojedyncze oklaski i jeden gwizd. – Mając to w pamięci, musimy wszelako poważnie zastanowić się nad naukowymi podstawami jej tez oraz przyjętą metodologią badań. Wiele jest kwestii domagających się tu powtórnego, głębszego przemyślenia. Zadaję sobie na przykład takie pytanie: na ile monady stanowią faktyczne konstrukty psychomemiczne, a na ile jeno byty intencjonalne? Oczywiste ograniczenia pozwalają nam jedynie na obserwacje pośrednie i wszystkie wysnuwane na ich podstawie wnioski winny być traktowane z wielką ostrożnością. Przeważa metaforyka, rozumowanie rozległymi analogiami. Rozpaczliwie brakuje danych podstawowych. Rozpoczęła to sama doktor Vassone, narzucając nam wzorzec „eteru myśli" oraz ewolucyjnych maszyn psychomemicznych. Wpadliśmy w ten memotrend i jakoś nie możemy się otrząsnąć.

Pochylił się ku audytorium, uśmiechnął niepewnie. – Ale czy istotnie nie są możliwe interpretacje konkurencyjne? Można przecież wyjść od innej własności myślni: oczywistej entropiczności – i zaproponować inną analogię: model gazu, cieczy. Swobodna propagacja psychomemów wskazuje na dążenie do wyrównania „ciśnień", poziomów organizacji. Tendencje te są lokalnie przezwyciężane na skutek nieustannej emisji nowych psychomemów przez nas, ludzi, nasze mózgi, i im podobne neurogeneratory. Stąd

myślnia różnicuje się lokalnie pod względem „gęstości" oraz formy modulacji. W zależności od preferowanego podejścia możemy bowiem definiować psychomem jako cząstkę, falę, częstotliwość drgań superstruny (słyszałem tu w kuluarach i takie opisy), stan energetyczny, komórkę organizmu, rodzaj metaneuronu, et cetera – zamachał ręką. – Ale to nie zmienia samego obrazu myślni: układu silnie entropicznego, powstrzymywanego od swoistej cieplnej śmierci jedynie przez interakcje z systemami nerwowymi organizmów żywych. W tym modelu (który odchodzi od interakcjonizmu Ecclesa raczej ku popperowskim emergencjom odmózgowym) istnienie monad doktor Vassone jako samoorganizujących się ewoluujących homeostatów myślni – jest zbędne. Co mówi nam tu Ockham: nie rośliny, nie zwierzęta, nie inteligencje – lecz zawirowania, zagęszczenia, krystalizacje. Treściowo koherentne? Tak: na naszym poziomie – bo to treści naszych umysłów. Przemieszczające się? Tak: jak przemieszczają się w atmosferze burze, wiry po powierzchni zbiorników wodnych. Fakty są zadowalająco tłumaczone w oparciu o znacznie skromniejsze hipotezy, postulat życia na poziomie myślni jest niekonieczny.

– Twierdzi pan, że Vassone się myli?

– Nie mam danych także po temu. Tu można wywieść wiele mitologii, ale metodologia naukowa nakazuje trzymać się teorii najuboższych. Bo skoro już szukamy tam życia, skoro szukamy tam Boga (państwo znają tę anegdotę), to i w ramach mojej interpretacji otrzymujemy teorie wszystkoistyczne. Wszak znamy dobrze hipotezę Gai. Huragany, sztormy, trąby powietrzne – formy organizacji atmosfery i oceanu – nie są w niej właśnie samodzielnymi bytami, lecz submanifestacjami globalnego organizmu, opiekuńczego homeostatu. To biosfera – a co dopiero myślnia, gdzie szybkość wewnętrznych oddziaływań jest prawie-nieskończona! Czyż wobec tego nie powinniśmy szukać świadomości u niej samej – u Myślni? Homeostat największy z możliwych. Cóż bliższego wyobrażeniu Boga? Jest wszędzie i nigdzie; był, jest i będzie; zna nasze myśli; jest nami; jest miłością, bo jest każdym uczuciem; tworzy z formy, od Słowa; początek i kres wszelkich idei; Myślnia. Ładne, prawda?

– A monady Jego organami?

– Pokazuję tylko możliwą rozpiętość interpretacji – zirytował się Schatzu. – Chciałbym się jak najściślej trzymać twardych danych i jeśli spekulować, to nie ku maksymalnej efektowności, lecz największym zagrożeniom, byśrny byli gotowi na najczarniejsze scenariusze. Przypominam, iż to nie jest czysto akademicka dyskusja. Będzie ona miała pewne praktyczne konsekwencje i wskazany jest racjonalny pesymizm. I na tym chciałbym się skupić: na prawdopodobnym zagrożeniu.

– Niech się pan nie rusza – syknął diabeł i to jakoś tak stanowczo,

że po pierwszym drgnięciu Hunt istotnie zamarł w bezruchu.

– Co?

– Chwilę.

Łumm, łumm, łumm, trzy uderzenia serca.

– Tak. Idą – oświadczył Lucyfer.

– Co…? Kto?

– Wzmocnię.

Wskazał przy tym zakrzywionym pazurem w górę szybu. Nicholas odruchowo uniósł głowę. W uszach zaczęło mu huczeć od niskich, arytmicznych hałasów, najbardziej przypominało to odgłos piasku nieregularnym strumieniem wysypywanego na plastik. Dopiero po kilku sekundach rozpoznał resampling ludzkich kroków.

– Ilu? – szepnął na krótkim wydechu.

– Czworo plus.

– Szlag.

– Prześledzili w końcu zapisy sieci NEti, sir. Nakaz lub genialni sneakerzy. Tak czy owak – zawodowcy. Nie spodziewają się, że tu jeszcze siedzimy, podchodziliby wówczas inaczej.

Szmur-szszus dookoła włazu.

Hunt rzucił się w zbawczą ciemność tunelu. Lucyfer biegł w przedzie, niósł światło, wskazywał drogę. Hunt sadził wielkie susy.

Cztery, pięć, sześć, coraz wolniej… zatrzymał się i zawrócił na pięcie.

Stanął zadyszany nad nieprzytomną Mariną.

– Co robić? – krzyknął w OVR, zrozpaczony, wściekły. Trzęsącą się ręką machinalnie sięgnął do górnej wargi, teraz nagiej. Nic nie poczuł, martwe drewno: to była ta prawa.

– Niech pan ucieka! Niech pan spuści Baryshnikova! I tak jej pan nie uniesie! Jest pan osłabiony. Niech pan ucieka!

– Głupi, głupi, głupi…

– Nie ma pan szans, sir. Zabiją pana – jeśli takie mają rozkazy.

– Zabiją.

– Tak.

– Zabiją.

– Zabiją, sir.

Szłumsz, szłumszch, szłuuu, szus, szu-szu. Szli. Zazgrzytał właz.

Hunt rzucił się do Mariny. Przewrócił ją na bok, wyszarpnął spod bezwładnego ciała płaszcz. Światła! Włączył zawinięty wokół prawego przedramienia ledpad. Lewą ręką grzebał po kieszeniach skrytych w fałdach czarnego materiału. Z furią wygarnął zawartość. Wreszcie je spostrzegł. Nieporadnymi palcami złapał jedną, przytknął do szyi, przycisnął. Tfch! I lód w żyłach. Aa-aa…! Zapadał się. Kollaps jaźni.

Przypomniał sobie, jak tu wskoczą. Przypomniał sobie jasno i wyraźnie (w końcu zaledwie minuta różnicy). Najpierw dwóch, potem

trzech. Zastrzelą. Pamięć krótkiego bólu (menadżer szybko uśmierzy), żywa, kompletna – lecz przecież pamięć doznania nie jest doznaniem. Więc już przybliżenia, odbicia, asocjacje; nie cierpiał. Jakby omdlewał. Spadnie w jezioro gorącej ciemności.

Tak więc pamiętał śmierć – jedną z jej stron, tę od bólu, od życia. Różnie: tak i owak. Wspomnienia się nakładały. W biodro, w głowę, znowu w głowę, ale głównie: w pierś i w pierś. Celnie strzelali. Cienie? Na pewno nieźle podpakowani nano (ten skok!). Marina, ponieważ leżała nieruchomo, stanowiła cel drugorzędny, zagrożenie niebezpośrednie – i na nią zwracali swe maszyny w drugiej kolejności, zazwyczaj Hunt nie widział jej śmierci.

Która i tak – gdy widział – była bardzo nieefektowna: podiurawili bezwładne ciało, spokojnie eksplodowali głowę.

Ale wtedy przeważnie był już głęboko w mroku, Nicholas wytężał pamięć ku coraz bledszym reminiscencjorn. Te już nadchodziły bez ładu i składu, rozbite na pojedyncze wiązki doznań, sekwencje powyrywane z łańcuchów przyczynowoskutkowych i ciągów konsekwencji. Czasami ból, czasami nie; przebłyski wspomnień odległych. Z premedytacją próbował sobie przypomnieć konkretne zdarzenia, wychodząc od założonych skojarzeń i blokując opozycyjne; odruchowo stosował techniki w trenowane na Kursach Asertywności Nieświadomej.

Słyszał, jak tamci, na górze, wciąż robią coś z włazem Odsunął się pod samą ścianę. Pocił się. Pozbawiona czucia ręką wykonywał jakieś nieskoordynowane ruchy. Natłok równoległych wspomnień odcinał go od rzeczywistości. Oczywiście mógł całkowicie odwrócić się od tej futur-pamięci – ale właśnie nie chciał. Diabeł wrzeszczał na niego, żeby uciekał, że zabiją. Hunt go odpędzał dłonią w białej rękawiczce, cienie tańczyły po ścianach. Wyłączył ledpad. Ale i to półświadomie, machinalnie, bo – szósty palec, szybko, menu, edytor. Otworzył konstrukt najprostszego odwzorowania, toporny sześcian w 3D. W środku pokraczna kukiełka, klęczy. Zoom, dotyk w operatorze. Ale nie potrafił sobie poradzić lewą ręką, ruchy były nieprecyzyjne, nazbyt gwałtowne. Znowu zmienił setup (szybko, szybciej). Pełna transmisja rozkazów ciała. Zresetował i zaczął od nowa. Pierwsze sekwencje najprostsze, tu jeszcze w miarę wąski algorytm. Potem ustawił widmowe kukły, pięciokrotnie przebiegł między nimi… ale robiło się jasno, otwierali właz, musiał kończyć. Zlepił całość operatorami warunkowymi, wybrał skrypty behawioru, opisał hierarchię celów – i już było za późno, pierwsza dwójka skoczyła.

Odpalił to makro, nawet nie wychodząc z trybu edycji- Baryshnikov automatycznie skorzystał z Rangera. Praworęczność Hunta czyniła różnicę o tyle, iż lewe ramię miał Nicholas gorzej umięśnione i unerwione, lecz przy tak małej odległości od celu Ranger

łatwo to kompensował.

Teraz program musiał wybrać moment: ów ułamek sekundy, gdy oni jeszcze niczego nie widzą zza krzywizny ścian studzienki i strzelający z dołu posiada przewagę pierwszego ruchu.

Tszk! Tszk!

Uderzyli o beton martwi (oczy, jedyny słaby punkt w ich zbrojach – nawet klinger przebije noktogogle).

Następnie: dwa małe granaty szokowe. Nie zdążył ich zobaczyć; nie musiał, pamiętał, gdzie spadną. Odkopał je w powietrzu, kierując do tunelu metra. Błysnęło, lecz Nicholas miał już zaciśnięte powieki. Fale poszły głównie tunelem, ale to wszystko zamknięta przestrzeń, więc i tak mocno nim zatrzęsło.

Niemniej makro wciąż się wykonywało. Zamienił klingera na ergokarabinek i postąpił trzy krótkie kroki wstecz. W padającym z góry świetle Hunt widział żółte logo na kamizelce ograbionego trupa: SWAT. Może jakiś mały konflikt kompetencji, pomyślał, sam wciąż bezczynny w uścisku Baryshnikova. Trzeba mieć nadzieję, że pożrą się między sobą. (Stare ścieżki skojarzeniowe nie tak łatwo zarastają).

Trzej następni już spadali. Nie strzelał – strzelali oni. Zdecydowanie nieortodoksyjna taktyka jak na SWAT. Jedna z serii przeszła przez uda Mariny. Zaczęła krzyczeć, nagle rozbudzona, zaraz z powrotem straciła przytomność.

Od rykoszetów trzeszczało powietrze. Hunt musiał tu stać. Nie przypominał sobie, by udało mu się jakoś uniknąć zranienia: w tym miejscu była mgła, krzywa szła ostro w górę. Przeczekał prawdopodobne śmierci, ustawiony nieruchomo przez edytor w optymalnej pozie – jakieś zero koma trzy sekundy. Ostatecznie zredukowało się na draśnięciu w lewą łydkę i przestrzelonym barku. Na szczęście prawym.

Wszczepka kalkulowała i podejmowała decyzje, algorytm musiał zostać dopełniony. Body.exe. Tak: siedem kroków na bezdechu (pamiętał, jak czasami wypuszczali w tym momencie bezwonny i bezbarwny gaz bojowy). I jeszcze tak: cios w kark – obrót – przewrót – seria – przyklęk – seria – done.

Cios musiał być mocny i chociaż ergokarabinek nieco zamortyzował, Huntowi zdrętwiała ręka. Nie czuł teraz żadnej.

Gdy tylko makro się zatrzymało, potknął się o zwłoki, Trudno się nie potknąć, skoro pokrywają prawie całą podłogę – cztery trupy i dwoje nieprzytomnych.

Odruchowo wciągnął powietrze. Nic. Dobrze, kolejna fartoowna redukcja.

– Bark! – syknął, bo rwało go okrutnie od świeżej rany.

Z góry, z ulicy, ktoś krzyczał. Z posiekanego wiadra foliowego wypływała resztka wody.

Marina, znowu przytomna, próbowała wstać.

– Oni zaraz…

– Nie dasz rady, leż.

Rzeczywiście – osunęła się z powrotem na beton, zaplatana w płaszcz Nicholasa.

Hunt odrzucił ergokarabinek i uklęknął nad ogłuszonym agentem. Zerwawszy mu hełm, oparł jego głowę o swoje kolano. W lewą dłoń, do której czucie właśnie powracało pod postacią kłującego bólu, ujął Trupodzierżcę. Przycisnął jego pysk do potylicy jęczącego mężczyzny i nacisnął spust. Rozległ się ostry trzask, agentem zatelepało, na odsłoniętym karku zalśniły mu kropelki jasnej krwi. Następnie Hunt przyłożył wargi Trupodzierżcy do swego prawego nadgarstka. Czk! Oczywiście nic nie poczuł.

Podniósł torbę, schował do niej rozrzuconą po spryskanym krwią i wodą betonie zawartość kieszeni płaszcza, także klingera i Trupodzierżcę, po czym ruszył biegiem do tunelu i tunelem dalej, ku peronowi. Baryshnikov wspomagał go motorycznie. Torba ocierała zraniony bark – co jakiś czas iskra bólu strzelała po sąsiednich, nie zablokowanych nerwowodach. Goniły go krzyki Mariny. Podciągnął słuch. Klęła go z jakąś dziwną satysfakcją w schrypniętym głosie.

Baryshnikov rozpoznał naderwanie któregoś mięśnia. Hunt wyłączył medyczny komunikat. Czekał na ustanowienie łącza. Edytor Trupodzierżcy zwał się Master of Puppets i na razie pozostawał zwinięty do firmowego logo producenta wojskowego software'u: kościstej dłoni z podwiązanymi do palców sznurkami. Hunt nie zamierzał się już bawić w żadne ręczne edycje i po prostu wrzucił MoP do zarządu wszczepki, rezerwując oddzielnego dialoganta.

Gdy tylko na sznurkach pojawiła się kukiełka (oznaczona, nomen omen, jako AGENT1), Nicholas wymamrotał w OVR polecenia. SWAT-owiec, z Mariną w ramionach, dogonił go już kilkadziesiąt metrów za stacją. Kiedy mijał Hunta, ślizgająca się po powierzchni świadomości Marina zakrzyknęła do Nicholasa coś o „armiach zbawiciela". Trzeba brać poprawkę na Grudzień, pomyślał

On z kolei dogonił ich przy czwartej studzience. AGENTl zostawił tu Marinę na dole i sam wspiął się, by otworzyć właz. Hunt sięgnął prawą dłonią ikony MoP-a. W Ovr miał wszystkie palce i mógł nimi poruszać: nerwy pozostały. Zamierzał zresztą przepiąć do nich z fantomowego szóstego palca systemowe makrodefmicje i skróty, tamten palec odziedziczył z defaultu. Dotknął ikony – w tle ruszyła klasyka Metalliki -i spojrzał oczyma agenta. Właz był zamknięty, tak jak Nicholas pamiętał.

A więc tędy to pójdzie, pomyślał, taka ścieżka prawdziwa – i w tym momencie pamięć przestała mu działać w drugą stronę. Pozostały wspomnienia wspomnień.

Najwyraźniej Nicholas Hunt nie charakteryzował się specjalnie wysokim jugrinem.

– Diable – rzekł, spoglądając w górę, ku wylotowi studzienki; z ledunku wachlarzowato wymodelowanego nad białą rękawiczką bił tam sierpowaty snop anemicznego światła. – Daj mi mapę okolicy, 3D, ze strefami NEti oraz sieci policyjnych i korporacyjnych. Nałóż, co zapamiętałeś z komunikatów CDC o miejskich residuach szaleństwa. Oglądałem mapy, masz skany. Jeśli znajdziesz coś o zaporach, zamieszkach, Tłumie i tym podobnym, nałóż także. I rusz to w czasie.

– Tak, panie – rzekł diabeł, ukłonił się i wykonał.

16. Necropolis

Takie trendy posiadają własną logikę, pewien rytm nieubłaganego następstwa zdarzeń, który Huntowi przywodzi czemuś na myśl barokowe melodie taneczne. Może to istotnie konsekwencje podświadomych przyzwoleń estetycznych, jak chciała Colleen? Necropolis. Bo kiedy ujrzał oczyma AGENTA1 tę zwierznicę, półnagiego fenoaraba trącego grzbietem o ścianę kościoła, nie zastanawiał się nawet sekundy.

Tak więc SWAT-owiec miał odtąd wolne ręce. Nicholas przekazał mu Trupodzierżcę – trend się rozwijał.

Następnie przejęty został olbrzymi fenoazjata, siedem stóp regularnie podstymulowywanych mięśni – a to z myślą o Marinie. Teraz mogli biec wszyscy. Prawdę mówiąc najbardziej opóźniał ich Hunt.

Zmierzchało. Rzutniki reklam przeprogramowano, by wyświetlały ostrzeżenia o Zarazie i Tłumach i brudne niebo pełne było wezwań do pozostania w domach, tudzież cytatów z Dekretu o Zakazie Zgromadzeń oraz sugestywnych animacji przeznaczonych dla analfabetów i imigrantów. Obłęd sięgnął sfer niebieskich.

By uniknąć wszechobecnych kamer, musieli się posuwać dzielnicami out of NEti. Policja co prawda montowała swoje sieci, lecz mieszkający tu od wieków dzikusi niszczyli je szybko i dokładnie. Szczegółową trasę wyznaczał diabeł, dostosowując ją do danych sukcesywnie odczytywanych przez Hunta z ledkryzy prawej ręki. CDC wydawała nieregularnie komunikaty dla wszystkich większych miast w USA, w których to komunikatach podawano lokalizacje co mocniejszych monad. Oczywiście Centrum Chorób Zakaźnych nie posługiwało się tą nazwą -mieli własne neologizmy, bardzo naukowe, dziennikarze zaś własne, utoczone przez redakcyjnych mnemotechników, bardzo łatwo zapadające w pamięć. Na podstawie owych raportów menadżer Nicholasowej Tuluzy mapował okolicę i kreślił bezpieczne drogi. Byli nieco do przodu względem CDC, bo Hunt udostępnił mu wszystkie pliki z konferencji i diabeł opierając się na spekulatywnych charakterystykach animalnych ekstrapolował położenie części monad. Ale to nie zawsze się sprawdzało. Monada letargiczna, która siedziała na Pelham Manor, po dwóch dniach nagle zniknęła. Mordmonada z Brooklynu krążyła po szerokiej ósemce od Remsen Village do East Flatbush, lecz czasami zatrzymywała się w miejscu na kilka godzin (setki zabitych). Liczne niegroźne monady nastrojowe typu zdecydowanie roślinnego zwiększały i zmniejszały siłę nacisku na ogarnięte umysły w niezgranych wzajem ze sobą cyklach. Te nastrojówki pokrywały prawie całą megapolię i Hunt,

wierząc w swój Grzyb oraz Lucyfera, zdecydował się nie zawracać sobie nimi głowy. Szli suburbslumsami, omijając tylko największe i najniebezpieczniejsze monady: suicydalne, homicydalne, depresyjne, katatoniczne, deprywacyjne, religijne, osobowościowe Czterolistna leżała kilkadziesiąt mil za właściwymi przedmieściami Nowego Jorku, w głównym paśmie enklaw, i Hunt liczył, że gdy opuszczą już strefy biedy i wejdą w dzielnice „drugich trzech czwartych", zdoła bez kłopotu skombinować jakiś środek transportu (tam ludzie tak czy owak muszą poruszać się samochodami); ostatecznie – miał Trupodzierżcę.

Miał Trupodzierżcę i czynił z niego użytek. Z początku widział rzecz tak: przemkną się jak najmniejszą grupką, jak najszybciej, jak najskryciej. AGENT1 szedł na czujce (dawna pozycja Vittoria); AGENT2 (ten fenoarab o obdartym ze skóry grzbiecie) stanowił ariergardę; AGENT3 niósł Marinę. Nicholas z powrotem ubrał się w płaszcz, bo nie widział siebie w nim w nagraniach z ataku CAV-ów Żandarmerii, Vassone została natomiast uwieczniona dokładnie tak: w czerni, niesiona na rękach, nieprzytomna/zabita. Poprosił ją, by spróbowała coś pokombinować ze swoim bionano i zmienić fizjonomię, jak zrobił to Vittorio – ale albo nie usłyszała przez mgłę gorączki, albo nie chciała, albo nie potrafiła. AGENT3 niósł ją na swych potężnych rękach niczym w kołysce, jej głowa kolebała się w powietrzu prawie na wysokości głowy Hunta, zazwyczaj zupełnie bezwładnie, krótkie czarne włosy mierzwił wiatr. Po dłuższej z nią rozmowie w metrze sądził Nicholas, że Jej stan się poprawia, lecz teraz miał wątpliwości: była słaba, tak bardzo słaba, i coraz rzadziej przytomna. Twarz jej płonęła złą czerwienią. Co jakiś czas wchodził na dotyk w AGENTA3, by sprawdzić jej temperaturę. Marina parzyła go. Diabeł/medanalizer obliczał, że już dawno powinien się jej zagotować mózg. Szedł właśnie obok fenoazjaty w przyściennym cieniu pod gmachami nieczynnej drukarni, gdy z bocznej ulicy wyskoczył na nich wóz policyjny. Szperacz z miejsca ich zapał. Hunt odruchowo uniósł rękę, by osłonić oczy, i odruchowo prawą. W jaskrawym świetle zapłonęły krwawe plarny na białej rękawiczce z trzema powiewającymi luźno palcami. Na półkolistej ledkryzie migotały zniekształcone obrazy.

Wóz zatrzymał się, gliniarze wysiedli. Obaj mieli w rękach karabiny, obaj mierzyli w Hunta i AGENTA3. Szli po oddalających się od siebie łukach, pięć, osiem metrów by zminimalizować wzajemną interferencję. Widział, jak mamroczą coś do mikrofonów w kaskach.

– Ściągnij tu Jedynkę! – syknął Nicholas w OVR. I schowaj Dwójkę.

– Już – szepnął diabeł.

– Proszę położyć kobietę na ziemi! – przemówił przez głośniki

wozu któryś z policjantów. – Proszę się odsunąć od siebie i uklęknąć! Powoli! Ręce na widoku!

Nicholas zdawał sobie sprawę, że taki radiowóz to istny megaskaner, i że trójwymiarowy skan A-V z całego zdarzenia idzie w czasie rzeczywistym do najbliższego posterunku, z kopiami do kilku innych miejsc; i że cokolwiek by już nie zrobił, informacja i tak rozejdzie się po układzie.

– No tośmy się – warknął w OVR.

Diabeł, mądrze, nic nie powiedział (teraz to pokorny był i cichy).

Wóz powtarzał w kółko swoje wezwanie. Policjanci zachodzili Hunta, AGENTA3 i Marinę symetrycznie z dwóch stron, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. A co za plecami? Mur. Na co to się zanosi? Na egzekucję, ot.

Nicholas rozglądnął się za innymi przechodniami, którzy mogliby ewentualnie się włączyć. Co prawda kilkoro popatrywało z dala, pojedynczy dzikusi, ale widać było, iż raczej się cieszą, że gliny przyczepiły się do kogo innego, i gdyby co, to prędzej uciekną, niż będą się mieszać. Z dachu drukarni (płonęły tam dwa brudnodymne ogniska) pokrzykiwali nastoletni gangsterzy, ale tak rytmicznie, i stojąc tak blisko siebie, że najprawdopodobniej też byli nie do użytku. Z niektórych okien starych, ceglanych domów wyglądali lekko zaciekawieni mieszkańcy (ściszy telewizory i compaki, żeby dosłyszeć szczegóły spodziewa-nej rozróby), lecz oni z kolei byli za daleko.

Nie dostrzegł AGENTA1, ale nie wiedział: martwić się tym, czy cieszyć. Policjanci byli oczywiście w pełnych rynsztunkach, pancerze absorptywne, monobłony. Nie ma co

liczyć na rozwiązania pośrednie, półśrodki. Teraz czekał, żeby diabeł zaczął mu szeptać: – Zabić ich, zabić ich – ale diabeł właśnie milczał.

Przygryzał Hunt wargę, zaciskał pięści – tę cielesną i tę wirtualną. Był przerażony – ale nie potrafił rozróżnić: sam z siebie, czy od któregoś z dwóch gliniarzy, niewątpliwie przecież zdenerwowanych.

Prawie słyszał ten szum, z jakim policyjne komputery mielą dane i porównują otrzymany obraz z rejestrem poszukiwanych.

A tu nie ma co dumać: strzelą z jakiegoś paralizatora i będzie po mnie.

Sięgnął w OVR ku AGENTOWI l.

– Gdy tylko będzie mógł obu.

I chyba już mógł, bo niemal natychmiast obaj policjanci padli na asfalt, obaj z przestrzelonymi karkami.

Gangsterzy zamilkli na chwilę, po czym zaczęli głośno gwizdać. Od domów mieszkalnych popłynęły rwane okrzyki.

Radiowóz włączył wszystkie światła, zawrócił i pognał ku domniemanej kryjówce strzelca.

A więc tak zostaje się mordercą, pomyślał Hunt, przeskakując ponad zwłokami. A może już wcześniej nim byłem? Czy tamto w metrze – to była samoobrona? Chyba tak. Więc czemu nie to tutaj? Czy znaczenie ma fakt, że oni wszyscy – byli niewinni? Powinien.

Ale, na litość boską, jakże się bronić przeciwko trendowi, nie wyrządzając przy tym krzywdy niewinnym…?

Tu są tylko ofiary.

No więc jestem tym mordercą czy nie?

Zależy, pod jakim trendem będę sądzony.

Zaśmiałby się, gdyby nie brak tchu, gdy tak biegł labiryntem bocznych uliczek w ślad za diabłem i AGENTEM3. Znowu paniczna ucieczka. Ostatnie dni obróciły się w jego pamięci w patchwork naprzemiennych: nagłych wyścigów o życie oraz długich godzin strachu i oczekiwania. Ale któraś ucieczka w końcu się nie powiedzie, nie pomoże efes, przypadkowa monada, spopielony Vittorio czy głupota przeciwnika – raz jeden. I szlus. Toż to rosyjska ruletka. Tak dłużej nie może być.

Toteż Hunt zmienił taktykę.

Wydał rozkazy. Odtąd pod zimne wargi Trupodzierżcy trafiała każda napotkana zwierznica, bez względu na wiek, płeć, stan zdrowia i stopień zanurzenia w myślni Zanim siny z zimna Księżyc wychynął zza wysokościowców na niebo, za hiszpańskojęzyczne ostrzeżenie o Tłumie, MoP dźwigał na swoich sznurkach dwadzieścia siedem kukiełek.

Wszczepka nie miała w pamięci gotowych programów do zarządzania jednostkami taktycznymi (czy w ogóle istniały takowe?) i musiała improwizować.

– Przede wszystkim – rzekł Hunt Lucyferowi – nie chcę już więcej żadnego zaskoczenia. Pokryj jak najściślej jak największą strefę. Zbieraj broń. Niszcz kamery. Mapuj myślnię. Sprawdzaj samochody.

– Tak, panie.

Trupodzierżca wciąż pozostawał w rękach AGENTA1, lecz SWAT-owiec nie szedł już w awangardzie, lecz w samym środku Strefy, u boku Hunta. Nicholas wyjął go spod zarządu menadżera i pozostawił do swej osobistej dyspozycji. Ponieważ pozostali AGENCI otaczali ich wielokrotnym i wciąż powiększającym się kordonem, Jedynce w praktyce pozostawała tylko jedna funkcja: egzekutora Władcy Marionetek.

Hunt zapytał edytor o pojemność magazynka Trupodzierżcy i liczbę ładunków. Odpowiedź zmroziła Nicholasa.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa – odparł mianowicie Master of Puppets.

Tymczasem zapadła noc, ochłodziło się, zmalała intensywność zapachów (slumsy cuchną, to jest właściwie jedyna wspólna im

wszystkim cecha charakterystyczna). I Hunt, zaskoczony, skonstatował, że naprawdę lubi noc. Było coś w tym wyciszeniu dźwięków i obrazów, co przemawiało obecnie do estetycznego rdzenia jego natury. Że mniej widać i mniej słychać, większa niepewność doświadczeń i – większa samotność.

Tylko co bliższych AGENTÓW widział wyraźniej, tych z wewnętrznego kręgu. Bo już nawet nie przechodniowiów, nie miejscowych dzikusów – diabeł zajmował się nimi rękoma zwiadowców i straży zewnętrznej. Tego Nicholas nie był w stanie zobaczyć, nie grzebiąc w sensoriach przejętych zwierznic, na co nie miał wielkiej ochoty. Szli, on, AGENT1 i olbrzym z Mariną na rękach, w bąblu bezludnej przestrzeni, dodatkowo kryci kobiercami miejskich cienipółcieni, bo diabeł wybierał zawsze przejścia najciemniejsze, uliczki najwęższe, zapomniane przez Boga i ludzi pasaże, kaniony bezokiennych murów, podnóża betonowych stoków, gdzie tylko śmiecie i smród uryny.

Mimo to noc cieszyła Hunta. Że nie musiał mówić, że nie musiał słuchać słów cudzych, że niczyj wzrok go nie wiązał, niczyja myśl nie deformowała. Od przejętych zwierznic bowiem nic nie odbierał, a w każdym razie nic, co wychodziłoby od razu na powierzchnię, wyjąwszy sporadyczne kwanty doznań fizjologicznych. Ci ludzie, jak rozumiał, zostali raz i na zawsze, całkowicie złamani przez myślnię i teraz tylko wchłaniali wszystko niczym psychomemiczne gąbki, automatycznie – i bez sensu -wykonując, co tylko obsunęło się im w neurostruktury egzekutywne. MoP blokował im te rozkazy i narzucał własne. Niemniej nic nie wskazywało, iż zwierznice w ogóle zdają sobie sprawę z faktu, że ich ciała zostały wzięte w niewolę.

Tylko AGENT1, bo on przecież zwierznica nie był, mocniej zaburzał myślnię. Hunt przelotnie dojrzał się w jego wyobrażeniu, w następstwie czego przesunął go kilka metrów w przód. Co innego – patrzeć czyimiś oczyma; co innego – widzieć jego wersję świata.

Od Mariny szły tylko rzeczy złe. Spalała się na stosie i podrzynała gardło Vittoria, i tym podobne. Świadomie omijał ją wzrokiem, by nie otwierać kanałów skojarzeniowych. Więc kiedy wreszcie przyjrzał się jej dokładniej w kolejnej strefie księżycowo-reklamowego blasku z sykiem wciągnął przez zęby powietrze.

Nano ją rozkładało. Ciało utraciło pamięć formy. Najwyraźniej części funkcji RNAdycyjnych nie dało się zablokować i błyskawiczny rak przetwarzał teraz organizm Vassone w bezcelową wypadkową form preprogramowanych. Pierwsza zapomniała się twarz (a może po prostu tu każda zmiana była o tyle bardziej widoczna) i oblicze Mariny stanowiła obecnie ohydna maska spotworzonych kości i mięśni, elefantyczna karykatura ludzkiej fizjonomii. Podobnie wypoczwarzał się cały kościec. Asymetryczne odrosty wymuszały

trwałe wygięcie kończyn w jakieś absurdalne kształty: ręka za plecy, druga w bok, niczym ułamane skrzydło, nogi natomiast artretycznie podkurczone, kręgosłup w skoliotyczny łuk. Nie mógł na to patrzeć. Zanim pomyślał, wyciągnął Mood Editora i wyciął potwór-Marinę. Fenoazjata szedł odtąd z pustymi rękoma, opuszczonymi wzdłuż boków.

Cóż z tego, obraz pozostał, głęboko odbity w pamięci. Szpital! Trzeba ją zdiagnozować, oczyścić organizm, może jeszcze się uda…

Nie spytał diabła o prognozy, bo ten na pewno dałby najgorsze. Spytał go natomiast o najbliższe centrum medyczne.

– Klinika dla bezrobotnych dzikusów, panie, placówka Fundacji Cięło. Oczywiście niski standard, nie należy do żadnego medykatora, oni tutaj nie mają przecież ubezpieczeń.

– Co to za Fundacja Cięło?

– Stara filantropia narkokompanii.

– A, tak. – Rzeczywiście, narkoprzemysł od początku był największym donatorem przedsięwzięć charytatywnych w Ameryce, szczególnie dużo wykładał na medycynę non-profit. Stanowiło to jeden z filarów nieustającej ofensywy memetycznej, inżynierowie najęci przez potentatów rynku stymulatorów chemicznych wytrwale pracowali nad odwróceniem trendów skojarzeniowych.

Klinika imienia Matki Teresy mieściła się w budynku byłej szkoły, obok ostało się jeszcze boisko do koszykówki-Co prawda ostatnie szkoły publiczne zamknięto dopiero kilka lat temu, lecz te w miejskich strefach „pierwszych trzech czwartych" padły na samym początku, ledwo weszła w życie Ustawa o Edukacji Niebezpośredniej – i prócz tego boiska niewiele przypominało o poprzednim przeznaczeniu budynku.

Teoretycznie dzieci dzikusów powinny otrzymywać równoważne wykształcenie dzięki bezpłatnym kanałom oświatowym, lecz wszyscy wiedzieli, że rodzice nie egzekwują tego obowiązku. Cóż, innego wyjścia nie było: budżet, ku zaskoczeniu większości kongresmenów, okazał się jednak posiadać granicę wytrzymałości na rozciąganie; a dzieci nie głosują. Zresztą – jakie dzieci głosowałyby za szkołą?

We wszystkich oknach kliniki paliły się światła – Hunt to widział, bo miał z każdej jej strony przynajmniej po jednym AGENCIE. Nad głównym wejściem płonęło holo animacji przestrzegającej przed ulicznymi zgromadzeniami. Na drzwiach nasprayowano: POSTRZAŁY OD BOISKA. Strzałka wskazywała w kierunku uchylonych wrót sali gimnastycznej. W szczelinie ktoś stał i palił papierosa.

Tam w środku musi być sporo ludzi, dumał Hunt. Chorzy, zwierznice. (Co oni robią ze zwierznicami?) Nie ma sensu samemu wchodzić, każdy szpital z pewnością posiada kilka starych, mocno zakorzenionych roślinnych monad cierpienia i smutku.

Diabeł podał mu mapę, Nicholas sprawdził rozstawienie AGENTÓW. W dwóch ciągach koncentrycznych okręgów otoczyli oni klinikę oraz kryjówkę Hunta: wrak autobusu zaparkowany na prawym boku po drugiej stronie boiska. Kręgi zachodziły na siebie właśnie na tym boisku, ale ono było ciche, ciemne, puste, Władca Marionetek za radą Lucyfera przezornie trzymał swą armię w cieniu, Zbytek ostrożności, bo niby po czym miałby jakiś szwendający się nocą po tej zapuszczonej okolicy tubylec rozpoznać stan umysłów owych mężczyzn i kobiet? jakim cudem spostrzec zależności? Istniały one tylko w OVR oraz na poziomie myślni. Zresztą wszyscy zaczajeni w mroku AGENCI naliczyli w Strefie w sumie wszystkiego czworo dzikusów, w tym jedną prawdopodobną zwierznice, która najpewniej zaraz pójdzie pod chętny pysk Trupodzierżcy; z czego w kręgu wewnętrznym tylko tego palacza.

Hunt oddał Lucyferowi mapę (zdaje się, że była wykreślona na wyprawionej ludzkiej skórze). Usiadł w kącie autobusu, tuż pod stanowiskiem kierowcy, złapał ikonę MoP-a, wcisnął ją sobie do ust (była duża, lecz krucha, miała smak papieru), po czym połknął. Metallica zagrzmiała z wnętrza kości (End of passion play, crumbling away, Tm your source of self-destruction!).

Wciągnął głęboko powietrze. Wchodzili. Ja – ja – ja -ja -ja – i ja. Zobaczył go podrzemujący w kącie poczekalni nierzeźbieniec, oryginalny Latynos, i podniósł wrzask Hunt wycelował w niego śrutówkę i przyłożył palec do ust. Cii. Latynos (sanitariusz chyba, albo sprzątacz) zamilkł. Hunt sprawdzał recepcję i sąsiednie pomieszczenia. Podczas gdy -Hunt podszedł do mężczyzny palącego nikotynowca w półuchylonych drzwiach do sali gimnastycznej, obecnie centrum urazowego dla niecelnie ostrzelanych gangsterów, boisko w takich razach służyło zapewne za parking.

Mężczyzna, chyba rzeźbiony, fenoeuropejczyk, gdy spostrzegł broń, odrzucił i przydeptał gasnącego peta. Był w szarym kitlu z logo Fundacji Cięło na piersi. Nie ogłaszał natomiast przynależności do żadnej korporacji jurydycznej.

– Słucham.

– Chciałbym mówić z kierownikiem kliniki. Lekarz wskazał na ścianę obok, na fluorescencyjne graffiti.

– Seledynowy Książę.

– Tak?

– Nie widzisz? Jesteśmy lennikami Seledynowego. -Cóż, są jurydykatorzy i jurydykatorzy.

– Bardzo się cieszę. Chciałbym mówić z kierownikiem. Lekarz ponownie spojrzał na pistolet w prawicy Hunta.

– Nie dostaliśmy zapowiedzi.

– Co?

– To nie zrobi dobrego wrażenia. Mogłabyś trochę przemyśleć swoją decyzję. Inaczej wyjdzie z tego osobista wendeta, Książę cię wyświerczy.

Hunt cofnął się na moment wraz z oddechem, do płuc, przepony. Zerknął na zewnętrzny skan AGENTA17. Była to pokryta tatuażami nastoletnia dzikuska o napompowanych piersiach i podhodowanych mięśniach nóg. Mulatka srebrne włosy, ciuchy moro, nieco sponiewierana, krwiak na skroni.

Wrócił wraz z oddechem.

– To pan jest kierownikiem – rzekł. – Nie przyszedłem pana zabić. Potrzebuję pomocy. Jak dobre ma pan wyposażenie?

– To nie wygląda tak groźnie. Może pęknięcie czaszki i wstrząs mózgu. Mogłabyś…

– Dysponujecie N-spinakiem 200 lub 300? – Co? Tak. Co ty…

Na to wybiegli z narożnego cienia AGENT3 i AGENT l. Lekarz głośno wciągnął powietrze, niezdolny do oderwania oczu od torsu fenoazjaty.

– Co jej się…

– Pan prowadzi, doktorze. Szybko.

Ostatecznym argumentem okazał się chyba ergokarabinek w rękach AGENTA1 i wszechobecne na jego czarnym odzieniu nadruki „SWAT". Doktor najwyraźniej usiłował wyciągnąć jakieś spójne logicznie wnioski, lecz w ramach posiadanych przez niego informacji rzecz była niewykonalna. Poddał się więc nieznanemu (najrozsądniejsza reakcja w tej okolicy) i skinął na całą czwórkę obcych. Hunt postąpił za nim, jednocześnie – Niszczył Hunt sieć kliniki i odłączał jej serwery. Widział (on – on – i on) w sumie czworo pracowników filii Cięło, wszyscy (minus kierownik) nierzeźbieni. Zdarł z nich telefony. Jeden próbował nawet protestować, przeszkodzić Huntowi, lecz na to wszedł AGENT uzbrojony (diabelska synchronizacja!) i odpędził pielęgniarza. Klinika została spacyfikowana.

Pacjenci bowiem – co do jednego pogrążeni byli w głębokim śnie, podłączeni przez żylne wenflony do autodozymetrów. Zresztą wszystkich pacjentów naliczył zaledwie pięcioro, z czego tylko jeden nie znalazł się w klinice na skutek postrzału. Ten bowiem – ta – przybyła tu, by urodzić. Zajrzał do wnętrza salki, gdzie czekała porodu, monitorowana przez maszyny tak stare, że wymagające oddzielnych ekranów ciekłokrystalicznych. Ona też spała, Wydęty nagi brzuch, o skórze niebezpiecznie napiętej. Zwierzęca obscenicznoś sceny skruszyła w Huncie solne kryształy estetyki, skrzywił się, cofnął. Co dopiero, gdy zacznie rodzić… Jeszcze tylko tu, w strefach dziedziczne go bezrobocia, inkub bywa luksusem, a prenatalna stery lizacja kwestią tabu. Zezwierzęcone tak dzikuski często przemykają do

dzielnic NEti, widuje sieje tam żebrzące z demonstracyjnie obnażonymi brzuchami i wyciągniętymi prosząco dłońmi z naciągniętymi rękawicami transferowymi.

– Przyszło takie zalecenie z CDC – tłumaczył lekarz w odpowiedzi na pytanie Hunta – żeby ich wszystkich jak najdłużej trzymać w letargach bezsennych, że to pomaga. A kogo tylko się da – odsyłać precz; zwłaszcza tych odmóżdżonych. Szpitale przecież, centra pierwszej pomocy – to są miejsca, gdzie stłoczenia wielu ludzi na małej przestrzeni uniknąć się nie da. Musieliby je zamknąć. Więc… Ale od was jakoś nie czuję. Co? Dlaczego? Tylko on. I trochę ona… To była kobieta, prawda?

– Tak.

Spinakier nanomatyczny 300-angstremowy GE stał we wnęce za półprzeźroczystą monokurtyną w izbie przyjęć. Jako uniwersalny diagnoster, stanowił chyba najczęściej używane urządzenie w całej klinice Matki Teresy. Wyglądał jak zeszłowieczna lodówka z doczepionym z boku jednym wężowym ramieniem.

Hunt wyłączył Mood Editora i zobaczył, jak AGENT3 kładzie marinopodobne monstrum na wózku przed spinakierem. Doktor tylko zerknął na zagradzających mu drogę uzbrojonych obszarpańców o nieruchomych twarzach i zabrał się do roboty. Złapał za matowosrebrne ramię spinakiera, przyłożył jego iniekcyjną końcówkę do jęczącego monotonnie horrororganizmu na wózku, po czym zamamrotał coś w łacinie.

Na zaledowanej ścianie zaczęły się wyświetlać pierwsze wyniki diagnozy. Lekarz odłożył wężowysięgnik maszyny, poklepał się po kieszeniach, wyjął papierosa, zapalił- Nikotynowiec.

– No i? – spytał Hunt.

Doktor wzdrygnął się, spojrzał w górę (Hunt bowiem w międzyczasie przedryfował do AGENTA3).

– Pana znajoma? – zagadnął. – Proszę chwilę poczekac. Nie robimy tego inwazyjnie. Zarazem z progu korytarza, ze starym Remingtonem opartym o ramię, rozglądał się Nicholas po izbie przyjęć. Zastraszony sanitariusz siedział w kącie na odwróconym kuble i tylko mrugał. Tu i ówdzie oślepiająco białą podłogę znaczyły smugi krwi. Pod najdalszym stanowiskiem leżał wielki kłąb brudnej odzieży. Jeden z anestezjonometrów miał na czarnej obudowie z monoplastiku świeże blizny po kulach. Drzwi pokrywało graffiti Seledynowego Księcia.

– Zwiesza się – stwierdził lekarz, łypiąc przez dym na szeroki ledunek. – Sprzeczne rezultaty.

– Co to znaczy?

– Wie pan, teoretycznie mogłoby to wskazywać na obecność w organizmie…

– Tak, ona jest zarażona wojskowym bionano, rekonfiguruje się już blisko dobę. Proszę mi powiedzieć, jak to zatrzymać. Odwrócić.

(Smak płatków rdzy rozgryzanych między dziecięcymi ząbkami. Liże sufit autobusu. Buciki za małe.)

Fenoeuropejski doktor zaśmiał się charkotliwie. Wskazał papierosem ergokarabinek SWAT-owca.

– A jak nie zełgam zadowalająco, to mnie rozstrzela? Hunt odpalił wariograf behawioralny. Do wnęki wszedł sędzia, uniósł wagę.

– Powiedzmy, że wierzę w pańską przysięgę Hipokratesa. Jak się pan nazywa?

Roacher. – Wąż lżejszy od kwiatu. Niech pan jej pomoże, doktorze Roacher. Lekarz zerknął na ekran, na nieMarinę, znowu na ledy.

Mam dobre kevorkianki – rzekł.

Hnunt rozwalił mu głowę, uderzając nią o kant spinakiera.

Sanitariusz rozwrzeszczał się na całe gardło. Szybko zamilkł, zajrzawszy w transcendentalną głębię lufy remingtona (diabeł nie śpi).

Hunt podniósł Roachera, podtrzymał za ramię, lekarz chwiał się na nogach. Dłonią, w której uprzednio trzymał papierosa, macał się teraz po rozbitej skroni, skąd płynęła jasna krew.

– Wiedziałem, że tak to się skończy – mamrotał -Skurwysyny. No proszę. Czemu nie.

– Przepraszam.

– Kim wy, do cholery, jesteście?

Hunt wruszył potężnymi ramionami, podczas gdy – Proszę wziąć podręczny diagnoster i pójść ze mną -mówił Hunt, odwiesiwszy ergokarabinek na lepszelki.

– Tu mnie zastrzel – warknął Roacher. – Nigdzie nie idę.

Spolaryzował ledunek, przejrzał się w ścianie. Z kieszeni kitla wyjął pojemnik i nasprayował sobie na ranę gruby opatrunek. Rękawem starł krew. Przez cały czas czynił do siebie dzikie grymasy gniewu i rozpaczy.

AGENT3 z powrotem wziął Marinę na ręce. Roacher odprowadził ich spojrzeniem aż do zagraffitowanych drzwi.

– I tak umrze, na głodzie energetycznym zeżre ją samą – rzekł, gdy miał już pewność, że olbrzymi fenoazjata go nie usłyszy. Sędzia ani się zawahał, widać Roacher przynajmniej w to wierzył.

– Niech pan zabierze diagnoster i idzie, doktorze. To niedaleko. Przepraszam, nie chciałem pana uderzyć. Nic się panu nie stanie.

Do doktora Roachera zaczęło docierać. Nicholas rozpoznał moment zmiany, dostrzegł, jak rozszerzają się źrenice lekarza.

Odtąd nie był w stanie otwarcie na nich patrzeć – tylko ukośne łypnięcia, zezy nagłe i spode łba. Ręce mu się trzęsły, gdy wyjmował z szafki zestaw diagnostyczny w skórzanym futerale. Kiedy mijali po drodze innych AGENTÓW, instynktownie obracał się do nich bokiem,

jakby kuląc się od złego wzroku. Raz widocznie zahaczył o jakąś monadę, bo złapał się za biodro i, kulejąc, klął w języku, który diabeł zidentyfikował jako jeden z chińskich dialektów – dopóki Hunt nie wyciągnął go na zewnątrz kliniki.

Tu, w dziedzinie nocy, doktor jeszcze bardziej stracił pewności siebie. Im dalej od świateł kliniki odchodzili tym mniej było aroganckiego lekarza w Roacherze, więcej – zwykłego, zagnbionego w dzikich dzielnicach rzeźbieńca, na dodatek bez jurydykatorowego przywoływacza pod ręką Szedł coraz szybciej, jakby uciekając przed Huntem, chociaż i on (to znaczy AGENT1), i srebrnowłosa Mulatka prawie następowali mu na pięty, utrzymując wciąż ten sam dystans. Poczwórny odgłos energicznych kroków odbijał się od czarnej tafli pustego boiska.

Weszli do wraku autobusu. Hunt słyszał płytki, nieregularny oddech wepchniętego w mrok doktora. Pochylony, dreptał Roacher naprzód (oni za nim), wysuniętą nogą badając śmieciowisko przed sobą, tak krok za krokiem, niepewnie, nieporadnie. Aż coś się poruszyło w najgłębszej czerni, odwinęły się mokre płachty ciemności i wychynęło z nich upiornie blade oblicze łysego mężczyzny z opuszczonymi powiekami, wpółotwartymi ustami. Mignęła plama bieli, gdy sięgnął ku doktorowi obleczoną w obcisłą rękawiczkę ręką, z której kapała krew.

Biedny doktor wrzasnął wniebogłosy i rzucił się do ucieczki. Zaraz jednak potknął się, przewrócił, na dodatek wpadł na AGENTA17. Wrzasnął ponownie. Echo zadzwoniło we wnętrzu złomobusu.

Hunt wypuścił powietrze i wypluł MoP-a, Metallica ucichła (Blinded by me, you carit see a thing; just cali my name, 'cause TU hear you scream, Master…).

– Moja ręka, doktorze.

Tamten próbował się podnieść na rozdygotane nogi, niezbyt mu to szło.

Aż sam się zaczął Nicholas bać (wielki strach przed potworem nocy): Grzyb nie wydalał w bezpośredniej bliskości tak silnego źródła.

– Niech się pan uspokoi, do diabła!

Diabeł stał w cieniu, sam obrysowany jasnością, i kiwał ponuro głową.

– Stracisz tę rękę, panie.

Pięć minut później roztrzęsiony doktor Roacher odczytał z diagnostera równie drżącym głosem: -Powinienem ją jak najszybciej amputować, sir.

– Niemożliwe, gangrena nie mogła się rozwinąć tak szybko!

– W takim razie ktoś jej pomógł. To były postrzały. Ja się na tym znam, tym się głównie zajmuję. Dziwniej faszerowane pociski już

widziałem. Naprawdę… powinenem ją jak najszybciej amputować. Sir.

Hunt spojrzał w bok.

– Tak – potwierdził zapytany sędzia.

Roacher utrzymywał, iż niepodobna takiej operacji przeprowadzić tutaj, Hunt musi przejść do Matki Teresy – lecz bardzo krótko oponował, gdy Nicholas rzekł mu „nie" i kazał przynieść do wraku autobusu wszystko, co potrzebne. Powstała kwestia wymaganej antyseptyki. Przyniesiono Automatycznego Chirurga. Było to zaskakująco lekkie pudło wielkości mikrofalówki. Odwinąwszy ledpad, Hunt włożył tam prawą rękę. Gdy ją wyjął, była krótsza o trzydzieści centymetrów, pudło zaś znacznie cięższe. Tak więc jestem teraz jednorękim bandytą, pomyślał Nicholas, spoglądając na kikut z jakimś dziwnym spokojem, nagle odurzony rześkością nocnego powietrza. Jednoręki – było coś o tym w którejś z mitologii.

Oczywiście nie zgodził się na żadne znieczulenia czy narkozy podczas zabiegu. Roacher przyjął ten sprzeciw w milczeniu. W czasie programowania Chirurga i potem, gdy operacja była już w toku, Hunt starał się wygładzić myślnię, uspokoić lekarza – wciągając go w rozmowę.

– Co pan tu właściwie robi, doktorze?

– Leczę.

– Idealista?

– Niestety.

– I trevelyanista?

– Nie.

– A, odkupić winy przodków? Na pewno ubezpieczony

– Nie miałbym tu już czego szukać, gdybym choć raz wezwał jurdy

– Więc jesteście lennikami Seledynowego. Pan i kto jeszcze?

– Odjechali, gdy to wybuchło, zanim jeszcze zablokowano ulice.

– Zaraza.

– Tak mówią.

– A pan co tym sądzi?

– Sam nie wiem. Przychodzą sprzeczne zalecenia. Pod mikroskopem wygląda to na sztucznie zoptymalizowany RNAdytor, zresztą sama szybkość rozprzestrzeniania się Zarazy, wielość źródeł pośrednich, wskazuje na działanie umyślne. Z drugiej strony – i to nie ma wielkiego sensu, bo, o ile wiemy, cholerstwo rozeszło się po całym świecie… Pana to nie boli, prawda? Poczułbym. Tak myślałem. Tuluza? Widziałem specyfikację.

– A co, pan nie, doktorze? Pomaga.

– Naprawdę? Pamiętałbym, gdyby coś wspominali… Jeśli wolno mi spytać… ta przeedytowana kobieta – to od tego?

– Tuluzy? Nie.
– Aha.
– Umrze.
– Nie wiem.
– Kłamie pan.
– Umrze, tak. Czegoś podobnego nie można przeżyć. Doktor Roacher zbadał jeszcze i opatrzył przestrzelony dwukrotnie bark Nicholasa, po czym AGENT1 odprowadził lekarza z powrotem do kliniki.

Można stłumić efekty szoku pooperacyjnego, lecz żadne neurotricki wszczepki nie oszukają organizmu, Hunt musiał teraz wypocząć. Przespał w ciemnym, przyjemnie chłodnym wnętrzu wypalonego autobusu resztę nocy, dzień i część wieczoru. Diabeł czuwał nad spokojem jego snu. Po przebudzeniu Nicholas ujrzał przed sobą precyzyjnie skomponowany ołtarz zebranej w międzyczasie przez posłusznych AGENTÓW żywności: hermetycznie zaszytych owoców, puszek i butli z napojami, puszek i spieków z gotowymi potrawami, firmowo zapakowanych sandwiczów.

Pogryzając jabłko o cytrynowym smaku, wyszedł przed wrak. Nie widział swojej armii, lecz gdy poprosił Lucyfera, ten wskazał mu jej rozstawienie. Jak się okazało, rozrosła się do stu dwunastu AGENTÓW, z czego ponad połowa posiadała broń palną. Strefa sięgała na trzy przecznice w każdą stronę. AGENCI zbierali żywność nie tylko dla niego, sami również musieli się posilić, menadżer troszczył się o nich.

Marina jeszcze żyła. Nie dotknął MoP-a, nie chciał wiedzieć, jak ona teraz wygląda. AGENT3 czuwał nad nią w magazynie zdemolowanego sklepu po drugiej stronie ulicy, wpinając jej w żyły dozymiarki odżywcze, wykradzione z ulicznych automatów. Te tak zwane „krwiodajki" (chociaż krwi w nich nie było w ogóle) stały się bardzo popularne wśród narkomanów. Większość chemicznych stymulatorów z nowych generacji umożliwiała seanse nawet kilkudniowe i amatorzy dostarczanych przez nie wrażeń w ten sposób zabezpieczali się przed odwodnieniem i osłabieniem organizmu. Ostatnio zresztą identycznie postępowali długodystansowcy OVR. Jak twierdził diabeł, Marina zużyła dotychczas cztery pełne krwiodajki.

Co prawda Hunt istotnie wydał był Lucyferowi rozkaz utrzymywania jej przy życiu za wszelką cenę, przecież jakoś świadomie-nieświadomie spodziewał się, iż problem sam się do tej pory rozwiąże; ale ona wciąż żyła i teraz szukał sposobu uziemienia swego gniewu.

Posłał do Mariny AGENTA1, niech Trupodzierżca zbocznikuje ją nieinwazyjnie, ot, elegancki pocałunek w dłoń (jeśli jeszcze ma dłonie).

Oczekując na ustanowienie łącza, Nicholas wrócił po ledpad, zawinął go z powrotem wokół kikuta i sprawdził konto.

Julius Qurant odpowiedział o 2.44 po południu: TAK. BRAMA PARKOWA.

Hunt zastanawiał się, czy on wie o Colleen. W każdym razie musi się domyślać. Nie, nie – on ma pewność: spytał. Gdyby zachował choć cień nadziei, dopytywałby się teraz o żonę bez umiaru. Zatem wie również o śmierci Vittoria. Dlaczego zatem miałby dotrzymać umowy? Nicholas by nie dotrzymał. Więc może to wcale nie Qurant odpisał…?

OK. IDZIEMY. PODAM CZAS.

Następnie skonfigurował sobie Hunt makra do wszystkich używanych programów oraz opcji MUI i podczepił je pod gestykulację prawej dłoni. Kończyna została odjęta, lecz ścieżki nerwowe wszak pozostały. Dla zmniejszenia dezorientacji przywrócił w OVR jej wszechzmysłowy konstrukt. I znowu miał obie ręce: jedną dla świata materii, jedną dla świata relacji.

Strzelił palcami – ręka prawa – i do wraku weszła Marina, cofnięta w czasie o pół roku, znowu białowłosa, dorzeźbiona z obłędną symetrią do ostatniego rysu twarzy, sevrski wzorzec piękna, w tym garniturze z czarnego polijedwabiu, tkaniny o grubości i fakturze wiosennego cienia.

– To rzeczywiście dobry sposób – stwierdziła podniósłszy z ołtarza i otworzywszy sobie puszkę Floatu (pijany tylko na stojąco!).

– Co mianowicie?

– OVR. Chroni przed Grudniem. – Wypiła i otarła usta wierzchem dłoni; ona potrafiła wykonywać podobne gesty w stylu iście monarszym. – Gdybym była Schatzu, powiedziałabym, że to drugi etap. Czy też trzeci. Stały bezpieczny dystans i kontakty zapośredniczone. W prostej ekstrapolacji tak zresztą typowałabym kierunek rozwoju cywilizacji. Pamiętasz te horrory: wszyscyśmy w OVR, a nad nim kolejna OVR, i jeszcze jedna… Klasyka. Sen snu snu, Berkeley chichocze z nieba. Ale teraz wygląda to na konieczność.

Hunt podrapał się w łysą głowę, odruchowo niewłaściwą ręką.

– Skoro myślnia jest stałą wszechświatową… Tak samo na Nefeleńczyków, jak i na nas…

– Mhm?

– Nie wiem, nieważne, uciekło mi – zamachał szeroko dla zbagatelizowania.

Pogryzając kanapkę z mięsem niezidentyfikowanego

rodzaju (coraz trudniej poznać po smaku pochodzenie konkretnych genów zwierzęcia), wyszedł na boisko i obejrzał się ku centrum miasta. Z tej odległości nie widać już poszczególnych budynków, ich świateł – tylko kształt masywu i kolory ławicy sterowców.

Hunt złożył prawy kciuk i palec wskazujący w zgrabne kółko, na co ruszył dopalacz wzroku. Zoom. Dymy nad Brooklynem, Manhattanem, Staten Island. Roje CAV-ów i UCAV-ów. Strzepnął dłonią.

Na ledpadzie wszedł na CNN live. Zamieszki na wielką skalę. Załamanie dyscypliny w Gwardii Narodowej Gubernator w rozterce. Na piechotę i na rowerach – ludzie uciekają do podmiejskich dzielnic mieszkalnych, już chyba masowo.

Może to i lepiej, pomyślał. Zawsze to łatwiej z prądem.

Zanim ruszyli w dalszą drogę, Marina zdążyła zadać mu Pytanie.

– Cóż – odparł, pamiętając, że ona pamięta o jego dłoniach na swej szyi – szansę masz niewielkie. Może jeśli zdążymy do Czterolistnej… tam na pewno mają filię medykatora. Postaram się dotrzeć jeszcze tej nocy.

– Byłabym wdzięczna. Skłonił się w milczeniu.

To jednak wchodzi w krew. Znaczy się: NEti. Tylko w formie wolność! Nawet diabeł znał takt i ostentacyjnie gapił się na Księżyc i reklamy.

AGENCI przez cały dzień nie wypuścili nikogo z Matki Teresy i teraz, gdy odchodzili, widział Hunt doktora Roachera stojącego bezczynnie w otwartych szeroko drzwiach, holografie edukacyjne migotały nad nim chaotycznie, pełne zwabionych do światła ciem. Zresztą nie jeden Roacher się przyglądał, tu żyły tysiące ludzi.

Nicholas miał kilkaset oczu i dostrzegał proporcjonalnie więcej. Przede wszystkim jednak: rzeczy, które normalnie odbierałby jako pojedyncze fenomeny, teraz widział w ramach ogromnej panoramy. Świat postrzegany był światem wielkich liczb, i zdało mu się, że oto pojmuje, co miał na myśli Schatzu, a w każdym razie – pojmuje mechanizmy jego rozumowań. Żywioł, tak, wciąż ten sam nieopanowany żywioł, którego idea prześladowała Hunta od dzieciństwa – lecz jeśli się dobrze przyjrzeć, można rozpoznać nurty, strumienie, słabsze i silniejsze prądy A rozpoznawszy – określić kierunek i przewidzieć przyszłość.

Pozbywali się palców, to ewidentnie. Odgryzali je, odcinali, odrąbywali, wypalali. Widział to nawet u osób nie-zezwierzniconych – jak zginają palce do wewnątrz, przyciskają kciuki, zapominają się nimi posłużyć i w najzwyklejszych sytuacjach macają miast tego niechwytnymi kułakami.

Chcąc spojrzeć w bok, nie obracali głowy, lecz zwracali się w tę stronę całym ciałem. Zupełnie jakby ktoś zakuł ich w ortopedyczne kołnierze.

Kiedy pili, robili to pojedynczymi łykami, każdorazowo odejmując wargi i dokładnie, z wysiłkiem przełykając ciecz. Potem otwierali szeroko usta dla głębszego oddechu.

Mieli trudności ze schodzeniem po schodach, tym większe, im stopnie ułożone bardziej stromo. Potykali się, sztywno stawiali wyprostowane nogi. Coś z kolanami. Chyba.

I to właśnie wcale nie zezwierznicowani: ot, przypadkowi dzikusi, biedni nierzeźbieńcy. Tu wszak – musiał to sobie w kółko powtarzać – nadal toczyło się życie. Ani w wewnętrznej strefie luksusu NYC, ani w zewnętrznym kręgu „drugich trzech czwartych" nie zobaczyłby tego wszystkiego tak wyraźnie, jak tu, gdzie, out of NEti, rozgrywało się otwarcie, na ulicach, na oczach miasta. Żałował, że nie może podsłuchać ich rozmów. Sądząc jedynie po sobie, zagrzybionym, nie był w stanie określić zboczeń językowych. Lecz oni – grupa o silnych więzach społecznych – na pewno jeszcze samowzmacniali wszelkie prądy semantyczne. W ogóle: interakcje potęgują rezonans. Widać to po tych dzikusach.

A co dopiero niewątpliwe, stuprocentowe zwierznice…! Diabeł specjalnie miał na nie oko, bo podług rozkazu Nicholasa wszystkie napotkane miały iść pod Trupodzierżcę. Pozyskiwani AGENCI bardzo rzadko prezentowali choćby przyzwoity stan fizyczny. Sporo było takich, co ledwo się już na nogach trzymali i gdyby nie wstrzelone przez Trupodzierżcę nano, gdyby nie presja sieci nakorowych – nie zrobiliby ani kroku więcej. Zaiste, niektórzy wyglądali jak żywe trupy, statyści z amatorskiego non-di-gital horroru. Zanurzenie w myślni zdecydowanie nie wyszło im na zdrowie. Hunt, mając w pamięci Ronaldowe analogie, próbował wywnioskować z efektów przekłarnanych procedur treść inicjujących psychomemów. Oczywiście mowa mogła być co najwyżej o wypadkowej, jakichś ogólnych tendencjach. Wskazówkach co do wektorów formy… Nefele.

– To chyba coś więcej niż szczęście – zwróciła uwagę Marina.

– Mhm?

– Wyrżnęliśmy antyterrorystów. Przed kamerami wozu policyjnego padli dwaj funkcjonariusze na służbie. Zajmujemy na kilkanaście godzin klinikę, wyłączając ją zupełnie z sieci, co jest równoznaczne z alarmem. Dysponują wszystkimi naszymi danymi. Jesteśmy agentami obcego wywiadu. Z orbity mają nas jak na dłoni: nie trzeba sieci municypalnych, policja mogła obrócić swoje satelity. I co? Czy widzę tu szturmowe CAV-y?

– Skąd wiesz o tamtych policjantach?

– Diabeł mi powiedział.

To był skutek uboczny podporządkowania Trupodzierżcy Tuluzie i zintegrowania MUL Im większa zbieżność OVR interlokutorów, tym mniejsze ryzyko przekłamań; a jakoś trzeba było wypełnić sensorium Vassone. Co prawda, teoretycznie powinna już dysponować własną wszczepką – ale i to nic by nie dało, bo wszczepka Hunta wciąż pozostawała zablokowana, a fizycznie Marina znajdowała się poza

zasięgiem wzroku Nicholasa. Szła tu obok ulicą, reagując stosownie na niego i otoczenie, tylko dlatego, że diabeł słał jej w formacie CIOT sczyty sensualne Hunta oraz najbliższych AGENTÓW.

Nicholas wskazał za siebie, ku centrum.

– Mają dosyć na głowie.

– To też – przyznała. – Ale i tak już dawno powinni byli nas zdjąć.

Zerknął na nią podejrzliwie. Bawiła się wisiorkiem jurydykatorowym.

– Co ty właściwie sugerujesz?

– Że widocznie sprzyja nam myślnia. – Litości, Marina…!

– W przenośni mówię! – obruszyła się. – Za dużo naczytałeś się Schatzu. – A prozą? Wzruszyła ramionami.

– Trend się im obsunął. Fuszerka. Albo naturalny opór, złe sprzężenie. Albo też ktoś go świadomie zneutralizował. Chociaż w cuda nie wierzę.

– O? Więc już porzuciłaś swoje spiskowe teorie?

– Nagłą utratę determinacji spiskowców jeszcze trudniej wytłumaczyć.

Hunt rozwinął ledpad, wszedł na publiczny newscross. „Nicholas Hunt" AND/OR „Marina Vassone", dataflow. Na wykresie funkcji natężenia do czasu, obejmującym ostatni tydzień, wyglądało to omal jak klasyczna populacyjna krzywa dzwonowa. Apogeum trend osiągnął w dwa dni po ich ucieczce z meliny mafijnych chirurgów. Atak UCAV-ów, pościg SWAT-owców – byli już wtedy na krzywej opadającej. Oczywiście, tak mocne trendy nigdy nie rozmywają się do końca w ciągu zaledwie paru dni, wciąż daleko było do osi zerowej. Niemniej, nie da się ukryć, wygasał.

– Hm, nie można mieć pecha przez cały czas – skwitował Nicholas.

– Wierzymy w przypadek? Od kiedy?

– W coś trzeba.

– Popatrz – postukała paznokciem w usztywniony ledekran – jak podobne są do siebie, stok lewy i prawy. A Przecież wzbudzenie nie było przypadkowe, przyznasz chyba.

– Grudzień potem wszystko przyspieszył. Inaczej opadałoby znaczniej bardziej łagodnie.

– Zapewne. Ale czy ci, którzy to nakręcili, nie wiedzą o tym? Nie patrzą na wykresy?

Coś było na rzeczy. Lecz nawet jeśli faktycznie ktoś tam wyindukował kontrtrend – Hunt nie miał możliwości tego sprawdzić ani, tym bardziej, skontaktować się z niespodziewanymi sprzymierzeńcami. Może to Tito, namówiony przez Imeldę? Niee, Gaspar by się nie wychylił.

Zaszło Słońce i Hunt poczuł się pewniej. Rozkazał Lucyferowi

sprawdzać wszystkie napotykane środki transportu, zwłaszcza pojazdy starsze, nieskomputeryzowane -tu, w dzielnicach jakby żywcem wyjętych z XX wieku największe były szansę na ich znalezienie. Podrzucając w prawej dłoni papierowego MoP-a, z Metalliką w tle przemykał Nicholas, sam niewidzialny, najgłębszymi cieniami slumsów, dwie przecznice w jeden krok, w jeden wydech. Strefa rozciągała się pierwotnie na kilkaset metrów, lecz w im gęściej zamieszkaną okolicę wchodzili, tym ciaśniejszym kordonem musiał się Hunt otaczać. Skoro priorytetem był czas, diabeł nie mógł już tak swobodnie wybierać trasy. AGENCI niszczyli kamery, odpędzali dzikusów – lecz to nie wystarczało. Z balkonów, z okien, z dachów, z głębi przecznic – gapili się na przemarsz tej armii brzydcy nierzeźbieńcy. A w im większe grupy się zbierali, tym większe było prawdopodobieństwo, że weźmie nad nimi górę jedna myśl, że ciąg sprzężeń zwrotnych ich umysłów z myślnią wygeneruje monadę, a w każdym razie jakieś krótkotrwałe zawirowanie, które następnie porwie ich i, przeobrażonych wtem w Tłum, popchnie do jakichś szaleńczych czynów, alogicznych, bezcelowych, samobójczych. Lepiej już indukować strach. Stroszył więc Nicholas pióra, obnażał kły, prezentował broń -to znaczy jego marionetki prezentowały. AGENCI zewnętrznego kręgu, ci o najbardziej imponujących posturach, najpaskudniejszych fizjonomiach, ostentacyjnie odbezpieczali pistolety, unosili karabiny do ramion, obrzucali gapiów ponurymi spojrzeniami. Plotka pójdzie jak błyskawica, teraz, pod Grudniem, szybsza zapewne od telefonicznego połączenia. Już w dzień przecież wielu próbowało dostać się do kliniki Cięło i diabeł musiał ich odpędzać. Gdy odeszli, pierwsze, co zrobił doktor Roacher (Hunt mógłby się założyć), to posłanie człowieka do Seledynowego Księcia. A Książę nie będzie siedzieć bezczynnie, zbyt wiele osób zobaczyłoby tu jego upokorzenie: dzikusi miast i dzikusi puszcz podlegają tym samym prawom psychologii plemiennej. Może to właśnie są jego ludzie, ci tani pod trafiką, ci na podjeździe, i tamci na tarasie. Dużo ich, za dużo. Zaczyna się robić gorąco, myślnią gęstnieje, Grzyb już nie wystarcza. Na skompilowanej mapie diabła nie ma w tym miejscu żadnej monady, lecz Hunt wyraźnie czuje, jak z każdym krokiem rośnie w nim wściekłość, gniew nie ukierunkowany, pragnienie zemsty. Musi się wycofać, znaleźć inną drogę.

– Co jest? – zmarszczyła brwi Marina.

– Nie tędy – sapnął rozeźlony Nicholas. – Nie czujesz? Widział ponad głowami najbliższych AGENTÓW puste oblicze olbrzymiego fenoazjaty.

– Nie – odparła.

– Bo mnie właśnie… Cholera.

Przyspieszył kroku. Pod jego małymi stopkami równo

przystrzyżony trawnik był niczym miękki perski dywan. Mama wołała z ganku, ale już prawie złapał Paskudę, obszczekiwała go teraz spod drzewa, capnie ją za obrożę i…

– Nic z tego nie rozumiem! – Potrząsnął głową.

– Z czego?

– No jedno z dwojga: albo tu, albo tam!

– O czym ty mówisz?

– Pełna OVR jest wewnętrznie nie weryfikowalna, prawda? – Uniósł palec.

– Prawda.

– Otóż nieprawda! Żadne ortowirtualizacje nie chronią cię przecież przed infekcjami psychomemicznymi! Trzeba by jakiegoś Supergrzyba, a i on zapewne nie dałby rady. Mogą ci zafałszować całe sensorium, wszystkie zmysły – a i tak osmotycznie, przez myślnię, odbierać będziesz echa świata rzeczywistego. Nie wejdziesz natomiast w żadne interferencje z umysłami postaci VR, bo one nie posiadają żadnych umysłów. Jeśli więc teraz odcienie myślni zgadzają się z postrzeganym otoczeniem – to znaczy, że jest to otoczenie rzeczywiste.

– A ty miałeś w tym względzie jakieś wątpliwości?

– Wciąż mam! – I opowiedział jej o Skrytojebcy, o wężu, który wgryzł się w jego pierś i we wszczepkę, o subtelnym zapachu kadzidła, który ktoś tu wciąż czuł, ktoś bardzo blisko, i o nieubłaganej logice nieprawdopodobieństw.

Marina przystanęła. Weszli teraz w pasaż zdemolowanego centrum handlowego, ciasno, a nisko zabudowanego podług zeszłowiecznej architektury. Wyłupione witryny sklepów ziały skondensowaną ciemnością, która wylewała się na zewnątrz wilgotnymi kałużami cienia; brodzili w nim. Po płytach trotuaru walały się resztki rozszabrowanych towarów. Marina omijała je z taneczną gracją, po części dodaną zapewne przez MUL Czarny polijedwab zlewał ją z nocą. Twarz, dekolt, dłonie, stopy – poza tym jeden cień. Spoglądała na Hunta przechyliwszy głowę na ramię (to Melton-Kinsler), oczyma jasnymi, spokojnymi nie mrugając (to Vassone).

– Zapętliłeś się – skonstatowała. – Zgubiłeś drogę w OVR. Ty jesteś niepoczytalny, Nicholas.

Zupełnie jakby była z tego zadowolona.

– Wiem – warknął. – Sam pomagałem tym ze Sprawiedliwości ustalić wykładnię.

– Więc sądziłeś, że to wszystko to OVR tego sneakera… – Wyciągnęła rękę, dotknęła go zimną dłonią. – Od samego początku…

Odtrącił ją.

– Nie! Cokolwiek robiłem, robiłem naprawdę! Żachnęła się.

– Teraz ja nie rozumiem. Przecież sam… Pociągnął w powietrzu cztery linie proste, wskazujący palec prawej ręki zostawiał za sobą płonące rysy, przestrzeń trzeszczała lekko, naddzierana. Poziome rubryki podpisał: „OVR-świat" i „RL-świat"; pionowe: „OVR-ja" i „RL-ja".

– Nazwijmy to Zakładem Hunta – rzekł. – Przelecimy po kolei całą macierz. Jeśli znajduję się w OVR i zachowuję się tak, jakbym był w OVR – wszystko jest w porządku. Podobnie w przypadku prawdziwego życia. Ale teraz przypadki niezgodne. Jestem w OVR, a zachowuję się, jakby to była rzeczywistość. Tracę coś? Narażam się? Nie, też okay. Lecz jeśli to nie OVR, a ja gram sobie w Nintendo… Kim wówczas jestem? Pieprzonym Raskolnikowem, pozbawionym sumienia socjopata, zbrodniczym megalomanem. Rachunek minimalizacji kosztów pomyłki: gdy masz wątpliwości, zawsze zakładaj, że to rzeczywistość; a nawet gdy nie masz wątpliwości.

– I ty tak zakładałeś.

– Właśnie. Rzecz w tym, że te dwie wzajem się wykluczające alternatywy – nie mogą być prawdziwe obie naraz! Jeśli znajduję się w domu Hedge'a – jak zaraziłem się Grudniem? dlaczego przez cały czas czułem, co czułem? I wciąż czuję. Jeśli zaś stoję tu z tobą w środku stada tych zombich – to czemu wciąż ktoś obok wdycha dym jego kadzideł? dlaczego nie mogę się z nikim połączyć przez wszczepkę?

– Mówiłam ci: Tuluza 10 to jest po części patent Langoliana i…

– Nie wierzę w to! – zaprotestował energicznie. – Nigdy nie przeszłaby przez kontrolę z takim błędem!

Marina wzruszyła ramionami.

– To nie jest kryminał Agathy Christie – prychnęła -to nie jest film, zamknięta w powieści symetryczna alegoria. To życie, to dzieje się naprawdę. Umiera się bez znajomości ostatecznych wyjaśnień, umiera się w jeszcze większej niewiedzy, bo przez lata pytań tylko przybyło. Nie ma jednego uniwersalnego wzorca. Każdy tłumaczy po swojemu. Czyżbyś nie wiedział? Każdy postrzega inne zależności, konstruuje sobie inny model.

– Ale jaki, kurwa, model ja sobie mogę skontruować, skoro dostaję wzajem sprzeczne dane?! Życie to nie fizyka kwantowa!

– Fakt, jeszcze bardziej skomplikowane i jeszcze mniej tu do rozumienia. – Potrząsnęła głową. Patrzyła teraz na niego zmrużonymi oczyma, bez cienia sympatii. – Już myślałam… Ale nie, ty znowu robisz z siebie ofiarę. Oszczędź mi tego, Nicholas, dobra? W najbardziej optymistycznym wariancie przeżyję jako jakaś pokraka-dziwadło; Wybacz, że nie będę tu nad tobą płakać rzewnymi łzami.

– Żelazna z ciebie suka, co? – wycedził.

– Trochę wyczucia, Nicholas, odrobinę stylu.

– Panie – rzekł diabeł – przybyło poselstwo. – Słucham?

– Czekają pod Shellem. Chcesz zobaczyć? -Byle płasko. Lucyfer wysunął pazury, wbił je głęboko w obłok światła przed sobą i rozdarł przestrzeń na dwa. Hunt zairzał w rozszerzającą się szczelinę. Diabeł musiał jakoś inaczej zrozumieć polecenie Nicholasa, bo obraz mimo wszystko nie był podany w 2D.

Nieczynna stara stacja benzynowa, przecznicę czy dwie stąd (AGENCI nie podeszli za blisko, lecz jako że było to otwarte skrzyżowanie, skan szedł z szerokiego kąta i holo wyglądało na realne do namacalności). Siedzieli tam w sześciu, wszyscy nierzeźbieni, wszyscy z tatuażami Seledynowego Księcia. Pokazywali sobie coś na wprost Nicholasa, zapewne co gorzej ukrytych AGENTÓW.

– Najprawdopodobniej nie mają przy sobie broni palnej – stwierdził diabeł.

– Czekają.

– Tak, panie.

– Nie da się ich ominąć?

– Można, oczywiście. Powstaje kwestia opóźnienia, a jeśli oni okażą się wystarczająco zdeterminowani…

– No tak.

Marina, wspiąwszy się na palce, zajrzała w szczelinę ponad ramieniem Hunta.

– Musisz wynegocjować przejście.

– Sama najlepiej wiesz, że nie mamy czasu.

– Prowadzisz obce wojska przez jego terytorium. Fakt.

Tak oto przyszło Nicholasowi Huntowi wystąpić w roli udzielnego władcy. Farsa, pomyślał, idąc przez napompo-wany światłocieniem pasaż.

Potem spojrzał na odbicie w szybie jednej z ocalałych witryn. Spoza tłumu pustookich zombich nie było Hunta widać prawie wcale. Plama czerni, twarz papierowo blada, ale ten papier też mocno pomięty. Uśmiechnął się do siebie i, doprawdy, był to uśmiech wampira. Diabeł z lewej (w ogniu), Marina z prawej (w cieniu), upiorna świta dookoła. Nawet jakby stawiali stopy w tym samym rytmie. Wyżej, wciąż w owym odbiciu (jeden obraz), kłębiła się sztormowa ciemność Miasta: smolisty dym od niewidocznych pożarów, wbijający się, czarna pięść za pięścią, w pola naniebnych reklam. Była więc tam jaskrawa purpura rozfiltrowanych świateł, i był piekielny smog w wielokrotnych frontach burzowych. Wojskowa szarańcza roiła się na niebie czarnymi wirami. Skrzydlate demony wypadały z tej otchłani i ścigały się w szalonych slalomach między sterowcami. Jeden ze skyhouse'ów płonął. Płonąc, rozlatywał się i spadał, pochodnia po pochodni, na centrum finansowe Miasta. Mniejsze demony pomykały bezpośrednio nad pasażem. Łuskoskóre

czarty śmigały pod nogami zombich. Hunt zgiął palce uciętej ręki i armia zakręciła, okrążając stację Shella i posłów Księcia; co Hunt wiedział, chociaż nie patrzył.

Król Necropolis.

W MUI i w RL.

Są etykiety i etykiety; nie znali tu NEti, ale mieli własne rytuały. Tyle dobrego mógł o nich powiedzieć, że były krótsze. Negocjacje zajęły wszystkiego niecały kwadrans. W ich efekcie zastraszeni posłowie Seledynowego przystali na tranzyt armii Hunta przez terytorium Księcia, nie żądając nawet opłaty w narkotykach (które stanowiły gotówkę tego świata). Nicholas jednak nie był zadowolony, tym bardziej po takim obrocie negocjacji; im bliżej był Czterolistnej, tym beznadziejniej mu to wszystko wyglądało.

Oczywiście własnego ciała nie narażał, wystawiając je do prowadzenia rokowań: negocjował przez AGENTA124, jedną z najlepiej zachowanych zwierznic, fenomurzyna w naturalnym garniturze, w bordowych tabi – miał jeszcze nawet kolczyk jurydykatora. Stację Shella otaczało pięćdziesięciu kolejnych AGENTÓW. Diabeł narzucił im ostry skrypt behawioru dominacji psychicznej, prawie wszyscy byli uzbrojeni, żaden się nie uśmiechał, wielu wyglądało na ofiary ciężkich pobić… Szóstka książęcych zdążyła przez ten kwadrans wyhodować własną monadę strachu, prawie bili pokłony przed fenomurzynem. Utrzy-mywany przez Metallikę na krawędzi adrenalinowej euforii, spoglądał na nich Nicholas z góry, spod wpółopuszczonych powiek, i cedził słowa przez zęby.

– Tak. Zgadzam się.

Od niego nie chcieli niczego – sami wmuszali dary. Potem spytali, dokąd zmierza.

– Do enklaw.

To zrozumieli. Doktor Roacher z pewnością zidentyfikował w końcu Hunta i poinformował Księcia, kto właściwie nawiedził jego dzielnicę. Mógł nawet rozpoznać Marinę. Ich podobizny w telewizyjnym liście gończym zostały ostatnio uaktualnione. Posłowie nie zająknęli się jednak o tym ani słowem, zaś diabeł/psycholog dawał prawie stuprocentową gwarancję, że nikt od Księcia nie doniesie na Hunta: są etykiety i etykiety.

– Do enklaw. Znaczy, przez Grobowce.

Lucyfer rozwinął mapę 2D, z naniesionymi przeszkodami materialnymi i niematerialnymi oraz trasą marszu. – Przez Grobowce – przyznał Hunt – lub mostem.

– Na moście blokada; nie bez walki. Lucyfer natychmiast poprawił mapę.

– Więc przez Grobowce.

– Ale tam… – zaczął pryszczaty gangster w czerwonej bandamie.

– Tak?

– Jose chciał powiedzieć, że na Grobowcach straszy. -Szef delegacji splunął przez ramię i przeżegnał się (ale jak: ze zgiętymi do wewnątrz palcami). – Mamy krew z Kogutami, a jak kto próbował przejść, zaraz mu szajba odbijała, ciął się i świerczył z pierwszej maszyny Nikt nie wraca. Albo wraca małpa.

– No. Będzie już trzeci dzień.

– Nawet gliny nie wchodzą.

– A ci, co tam mieszkają? – zapytał Hunt.

– Znaczy, na Grobowcach? Wszyscy małpy. Albo i jeszcze gorzej.

Hunt uniósł brew.

– We łbie się nie mieści – wymamrotał Jose.

– Poumpree, kutas złamany, chciał przejechać na tym swoim harleyu.

– I co?

– I pojebało go doszczętnie. Ciągle gdzieś tam jeździ.

– Harleyowiecwidmo.

– Pieprzona… -…małpa.

Żaden z nich nie miał przecież Tuluzy. Przebywając tak długo tak blisko siebie, mówili już prawie jednym głosem.

– Potężna monada roślinna, panie – rzekł diabeł. -Nie sądzę, bym zdołał cię ustrzec, nie podczas tak długiego przejścia.

– Alternatywna droga?

– Proszę spojrzeć.

– Uch. Daleko. Ile tracimy?

– Od trzech do pięciu godzin. Musimy się cofnąć, więc tym bardziej nie ma mowy o wykorzystaniu samochodów.

– Nie zdążymy przed świtem.

– Nie, panie.

– Jakieś pomysły?

– Wspominałem już, panie, o możliwości skonstruowania i zsyntetyzowania takiego…

– Chryste, znowu zaczynasz z tymi głupotami!

– Przeczekać, aż wygaśnie trend – zaproponował diabeł z kolei.

– Ile? Czas, wbrew pozorom, jest przeciwko nam. Kolejny przypadkowy patrol policyjny, jacyś zabłąkani gwardziści, przeoczona kamera, wkurwione jurdy, ciekawski UCAV sieci telewizyjnej… Wystarczy.

– Powinieneś się, panie, ułożyć z Księciem. Władze nie zaryzykują regularnego szturmu, nie teraz, gdy tylko dzięki Zarazie, kryzysowi ekonomicznemu i ogólnemu chaosowi Wrzesień nie wywołał wojny domowej.

– To wyciekło?

– Tak, panie. Jest w serwisach, na razie jako niepotwierdzona plotka. Widziałeś, ale widocznie nie zwróciłeś uwagi.

– No dobrze, ale to nie jest rozwiązanie. Tylko enklawa daje mi jakie takie gwarancje bezpieczeństwa. Tu nie byłbym pewien jutra. Jesteś w stanie przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja? Poza tym – przypominam ci, bo lubisz o tym zapominać – priorytetem pozostaje utrzymanie przy życiu doktor Vassone.

– Sądziłem, że ciebie, panie.

– Znowu zaczynasz te gierki? – rozeźlił się Hunt. Nie wiedział, na ile to tylko jego wrażenie, lecz zauważył w zachowaniu menadżera wszczepki pewną prawidłowość: te jego próby drobnego nieposłuszeństwa następowały każdorazowo po tym, jak Nicholas okazywał wobec diabła jakąś słabość, gdy odkrywał się. Oczywiście, powinien zdawać sobie sprawę: tu już nie ma mowy o sztywnych algorytmach, te programy uczą się, samodoskonalą, ewoluują.

– Proszę o wybaczenie.

– Jest za co. Gdyby wierzyć od początku twoim ocenom, Vassone już dawno powinna być martwa.

– Panie, ja wcale nie mam pewności, czy nie jest tak w istocie.

– Co takiego?

– Przypuszczam, że w sensie klinicznym, ona może być już martwa. Jej mózg…

– Przecież przed chwilą z nią rozmawiałem!

– Co do tego też nie mam pewności. Połączenie jest możliwe dzięki sieci Trupodzierżcy, ale Vassone posiada także drugie nano, tę wojskową wersję dla Cieni. Jest wysoce nieprawdopodobne, by do tej pory nie ustanowiła ona własnej struktury logicznej. Z drugiej strony – nieustannie monitoruję przez AGENTA3 jej stan fizyczny i mogę stwierdzić, iż wszystkie te mordercze dla ludzkiego organizmu parametry się utrzymują, i że od prawie doby doktor Vassone nie wykonała ani jednego celowego ruchu spoza autonomicznego układu nerwowego. Czy mam…

– Nie!

– Przepraszam, panie. Chciałem tylko pokazać, jak bardzo jej stan…

– Nie chcę niczego widzieć, ile razy mam powtarzać?

– Oczywiście.

– Powiedz wreszcie jasno, o co ci chodzi.

– Po prostu mam wątpliwości. Moim obowiązkiem jest cię ostrzec, panie. Wydaje mi się, że większy udział w reakcjach transmitowanych od niej przez Trupodzierżcę posiadają obecnie moduły komputacyjne wojskowego bionano.

– Wydaje ci się?

– Mogę przedstawić szacunki prawdopodobieństw. – Dzięki

wielkie – sarknął Nicholas. – Jak zwykle, bardzo rozjaśniłeś sytuację. – Staram się, panie.

Hunt uczynił prawą dłonią znak krzyża i Lucyfer zwinął się w obłoku siarki.

Posłowie Księcia popatrywali na Nicholasa z widocznym zdenerwowaniem, dwóch ostentacyjnie bawiło się nożami. Hunt zorientował się, że w międzyczasie, w jakimś zapożyczonym odruchu, sięgnął do jurydykatorowego kolczyka – co wywołało wśród dzikusów zrozumiały niepokój. Osoby ubezpieczone znajdowały się zawsze w pozycji uprzywilejowanej względem nieubezpieczonych, i to nie tylko dlatego, że ci ostatni nie byli w stanie w ramach finansowo niewydolnego wymiaru sprawiedliwości wyegzekwować kary/rekompensaty za większość krzywd im wyrządzonych. Także w przypadku poważnych przestępstw wciąż ściganych z urzędu (gdyby na przykład Hunt zabił na miejscu któregoś z tubylców) dobre ubezpieczenie prawne dawało znaczne szansę uniknięcia kary bądź wywinięcia się jedynie symboliczną. Nie zawsze, rzecz jasna. Pod niesprzyjającym trendem mógłby zaliczyć nawet dożywocie. Niemniej pozostawało to popularnym i spójnym memetycznie tematem filmów, seriali i gier, i ci tu dzikusi mieli prawo się bać, gdy bogato odziany rzeźbieniec w otoczeniu swej zbrojnej świty przyglądał się im tak, w głębokim zamyśleniu gładząc sygnalizator swej korporacji jurydycznej.

Wypluł MoP-a, Metallica ucichła. Marina stała przy wyjściu z pasażu, oparta o kolorowy narkoautomat, i patrzyła w niebo. Odruchowo także uniósł głowę. Księżyc chował się za logo Czerwonego Krzyża. Wiatr kierował dym ku Atlantykowi i przez rozrzedzone holoplasty wi-dać było gwiazdy. Z niejakim zaskoczeniem skonstatował, że potrafi z łatwością rozpoznać i nazwać poszczególne konstelacje, więcej: poszczególne gwiazdy. Oczy same obracały się ku spodziewanym punktom położenia planet: tu Jowisz, tu Mars. Jakiś kurs astronomii… Nie, nigdy nie uczęszczał. Co zatem? Może przebicia ze swapów Tuluzy? Ale to nie działa w ten sposób. – Więc jacy są ci bogowie? Uśmiechnęła się.

– Jest czwarty: Piękno.

Pamięta. Nie miał diabeł racji: to nie maszyna odpowiada. Skądżeby znała zawartość mózgu Mariny?

Cóż, zapewne są sposoby…

Stop! Prawda czy oszustwo?

To bardzo proste. Przecież ostatecznie tylko jedno mogę uczciwie założyć: rzeczywistość.

(Gorące tchnienie nargiła wypełnia płuca. Ucisk fezu na skroniach).

Sięgnął nawet do ustnika fajki, ręką prawą, tą od magii; i niemal

poczuł jego kształt pod palcami. Miał długie paznokcie, przesuwał nimi po drewnie…

– Szlag by to trafił!

Teraz był wystarczająco wściekły, by rozkazać swej armii przebić się przez tę blokadę mostu bez względu na koszty. Co, u licha, setka zwierznic mniej, setka zwierznic więcej…!

AGENT1 odszedł, by przyjąć dary Księcia. To był jedyny warunek Seledynowego: przejęcie przez Hunta wszystkich miejscowych zwierznic i wyprowadzenie ich poza granice jego dominium. Wiedzieli, że potrafi to zrobić: przez ten dzień, gdy Hunt odsypiał amputację, diabeł posiadł kilkadziesiąt ciał. Więc wiedzieli, widział to w ich oczach. Czy dlatego się bali, czy dlatego kłamali? Prawdopodobnie. Komu się zatem kłaniali? Trupodzierżcy.

A niech idą, niech giną!

Wiatr przyniósł hurgot łopat śmigłowca. Hunt odskoczył w głębszy cień. Bez wspomagania Baryshnikova potknął się i przewrócił, boleśnie tłukąc biodro. Zacisnął zęby, klnąc w myślach z bezsilnego gniewu. Podbiegło kilku AGENTÓW, by mu pomóc, ale odpędził ich. Zablokował ból, wstał sam. Pomimo wszystkich tych, jakże logicznych wywodów, efektownych macierzy, kalkulacji prawdopodobieństw – wciąż gryzł go od środka wąż wątpliwości, powoli, z nieskończoną cierpliwością. No bo po co się tak ciskać, czy nie rozsądniej spokojnie doczekać wyjścia z OVR?

Gniotły go przez materiał płaszcza ostre krawędzie, Sięgnął lewą ręką. Płytki z Modlitwą. Przełożył je tu z torby, którą oddał był któremuś z AGENTÓW, płytki oraz kapsułkę iniekcyjną. Przyjrzał się jej na otwartej dłoni.

Druga, ostatnia porcja efesu.

Tak. Tak!

Uniósł i przycisnął kapsułkę do szyi.

Tym razem był przygotowany. Mimo to przypomnienie sobie wszystkiego z koniecznymi detalami, w logicznym ciągu, zajęło mu dobrych kilka minut. Stał, przygarbiony, i kręcił głową. Marina zaczęła coś mówić – wyłączył ją brutalnie w pół słowa.

Zawołał na diabła, po czym rozwinął ledpad. Pamiętał, jak używa dwóch różnych przeszukiwarek: Knighta i ProRes. Zaczął od ProRes. Ravenskull 2.0 – zawsze to pisał, za każdym razem, gdy się udawało. Napisał i teraz. Zapuścił browser. Plik został znaleziony na udostępnionej zewnętrznym użytkownikom części pewnej Hamaby, za wiedeńską gwiazdą. Jakiś austriacki hacker (Nocny Jeździec – katalog był zatytułowany: Nachtritter's Resources) nosił to w głowie. Hunt ściągnął Rauenskulla i sprawdził katalog zapotrzebowania hackera. Niestety, nie miał niczego, czego tamten pożądał – były to bez wątpienia co do jednego najgorętsze obecnie kawałki.

Pojawił się AGENT z zamówionym przez Nicholasa czytnikiem.

– Wziąłem od miejscowych – poinformował diabeł.

Hunt wcisnął w napęd po kolei obie płytki i przekopiował Modlitwę na ledpad. Następnie odpalił Ravenskulla. A Ravenskull – Rauenskull zaczął spokojnie dekompresować Modlitwę.

Przelotnie się zastanowił, czy Hedge faktycznie mógł o nim nie wiedzieć, czy też z premedytacją skłamał, by zachować Modlitwę dla siebie. Mhm, wszak pytałem go o opinię ładnych parę dni temu, co w przypadku tego pokroju software'u czyni już znaczną różnicę. (Jeśli istotnie było to parę dni, a nie zaledwie parę godzin czy… Apage!)

Istniały teraz dwa sposoby przekopiowania rozpakowanej Modlitwy do Huntowej Tuluzy, której moduł łączności pozostawał zablokowany. Pierwszy, bardziej oczywisty: przescrollować cały asemblerowy listing programu na ledekranie przed oczyma Nicholasa. Ale to zajęłoby zbyt wiele czasu. Drugi: posłużyć się którymś z AGENTÓW i przerzucić plik z jego wszczepki via Trupodzierżca. Wśród AGENTÓW nie było wielu ze wszczepkami, a już żadnego z Tuluzą (gdyby mieli Tuluzę, mieliby i Grzyba, nie skończyliby jako zwierznice – Hunt bardzo chciał w to wierzyć), jednak już w samym pasażu znalazł dwóch z Hamabą.

I zrobił tak, jak pamiętał. Po czym uruchomił Modlitwę.

Diabeł ukłonił się i wyjął zza pazuchy ebonitowy buzdygan.

– Oto jest berło strachu i miłości. Co rozkażesz, panie?

– Grobowce.

Mówił Jugrin:

– Ma skutki uboczne, rzecz jasna. Nie wszystkie do końca rozpoznaliśmy. Polimemoryzm, dyschronia…

– Uzależnia? – spytał ktoś z sali.

– Nie. Ale gromadzi się w organizmie i nawet długo po upływie nominalnego czasu działania daje o sobie znać. Opisywane to bywa jako krótkie przebłyski, czy nawet podświadome intuicje, rozpoznawane dopiero post factum.

– A ten… polimemoryzm?

– Futurpamięć au rebours. Tego nie rozumiemy. Pamiętana przez efesera przeszłość przestaje mu się układać w jeden ciąg przyczynowo-skutkowy.

Jugrin naszkicował na ledunku taki schemat: snopek linii zbiegających się w środku w jednym punkcie, a rozchodzących się na obu końcach trzydziestostopniowymi wachlarzami. Zaznaczył strzałkę czasu, zaś punkt zbiegu podpisał: TERAZ.

– Zazwyczaj – dodał – drogą porównywania faktów pamiętanych z doświadczanymi efeser potrafi ustalić prawdziwą linię zdarzeń; ale nie zawsze, pomniejszył i przesunął rysunek pod sufit.

– Istnieją pewne konsekwencje stosowania futuroskopu, których

na razie dopiero się domyślamy. Wiadomo, że wraz ze zwiększaniem efektywnego zasięgu efesu, to znaczy iloczynu mocy nominalnej oraz jugrinu użytkownika…

Chichoty na sali.

– Tak, tak, dziękuję. Jak mówię, wraz z jego zwiększaniem zwiększa się, mhm, rozdzielczość futurpamięci. Potocznym językiem: można wówczas wybierać między przyszłościami o coraz mniejszym prawdopodobieństwie ziszczenia. Przy czym zdarzenia krytyczne, czyli zmiany decydujące o wyborze ścieżki, wcale nie muszą być w widocznie logiczny sposób powiązane z pożądanymi efektami. Nasi najlepsi efeserzy przez kontrolę swojego oddechu potrafią zmieniać tor lotu ptaków.

Szmer niedowierzania.

– Bo czym właściwie jest futuroskop? – uśmiechnął się Jugrin. – To quasiorganiczny środek chemiczny wpływający na pracę mózgu w sposób, którego właściwie nie rozumiemy. Syntetyzujemy go w laboratoriach Hacjendy metodą nano, sztucznie budując od podstaw – ale przecież nie jest powiedziane, że nie może on powstawać na innej drodze, no a nie posiada w swym składzie żadnych rzadkich pierwiastków, ekscentrycznych związków, niczego, czego i tak nie znaleźlibyśmy w naszych ciałach. Co nie znaczy, że wiemy, jak doprowadzić do wykształcenia się produkującego go gruczołu. Czy istnieje stosowna kombinacja genów. Ale: jest to możliwe. Rzekłbym: prawdopodobne.

Jugrin zmierzył audytorium długim spojrzeniem.

– A skoro jest to w ogóle prawdopodobne – zaakcentował – to istnieje taki efektywny zasięg futuroskopu, powyżej którego efeser jest w stanie ziścić przyszłość, w której posiada ów gruczoł. Co pozwala mu dokonywać dalszych ciągłych zmian. Nie potrzebuje żadnego RNAdytora: po prostu wybiera i realizuje. Więcej: ziszcza nawet takie rzeczy, których i najgenialniejszy RNAdytor nie byłby w stanie sprawić. Rozwija w swym układzie dokrew-nym organ produkujący w naturalny sposób długozakresowy analog futuroskopu. Jak serotoninę, somatotropinę czy kalcytoninę. Może zresztą po prostu przystosowuje do jego produkcji jakiś już istniejący gruczoł, przysadkę trzustkę, cholera wie. Rozumiecie państwo? Mowa tu o swoistym progn autokatalizacyjnym futuroskopu. Wystarczy jednorazowe wstrzyknięcie efesu o odpowiednio dużej mocy: zostaje przekroczony próg i potem rusza to lawiną, nie do powstrzymania. Maszyna samosprzężna: im większy zasięg i rozdzielczość, tym mocniejszy efes sobie zapewniają, tym większy zasięg, et cetera, ad infm-tum. Nie potrafimy sobie nawet wyobrazić, co dostaniemy na wyjściu. Jest to furtka do Tajemnicy Ostatecznej.

– Ulatuje pan w metafizykę, doktorze. Na ziemię, prosimy,

między Tomaszów.

– No tak – zmieszał się Jugrin. – Niemniej musicie państwo przyznać, iż otwiera nam to pole do ciekawych spekulacji. Otóż niewykluczone, iż jako akcydentalne mutacje pojawiały się w przeszłości w ramach gatunku Homo sapiens osobniki posiadające zaczątkową formę takiego gruczołu i jeśli na dodatek charakteryzowały się one względnie wysokim jugrinem… Nostradamusi, naturalni efeserzy czasów diabła i kropidła… Bardzo mroczne ich wizje… Nieśmiertelność jako jedna z możliwości. Dwa kroki po tej ścieżce – i co widzą? Metalowe ptaki, Babilon podniesiony do entej potęgi, smoki żelazne, wizje na niebie, piekło lub niebo, oba.

– Litości, doktorze…

Ktoś inny wyratował Jugrina, zmieniając temat, starszy nierzeźbieniec z identyfikatorem cywilnego konsultanta:

– Jak właściwie wpadliście na ten futuroskop? Przecież tam, w Hacjendzie, nie nim mieliście się zajmować.

– To w ogóle ciekawa historia. Facet, który zaczął eksperymenty z tymi związkami, twierdzi, że zainspirował go pewien sen.

Śmiechy.

– Rzeczywiście – zawtórował im Jugrin. – Zresztą mętnie się tłumaczy i nie chce, bądź nie potrafi powiedzieć, co właściwie mu się śniło. Z drugiej strony, wiem z własnego doświadczenia, że takie dzikie skojarzenia rzeczywiście prowadzą czasami do odkryć…

Tak zwane Grobowce, gdzie u schyłku lat zerowych wybudowano kilka tysięcy bloków w „standardzie socjalnym" z przeznaczeniem dla niewykwalifikowanych imigrantów, współcześnie stanowiły matecznik nowojorskich subkultur nierzeźbieńczych i charakteryzowały się wskaźnikiem porodów pozainkubowych lokującym się w górnej dziesiątce dla całego kraju. „Standard socjalny" oznaczał tu poziom „luksusu" możliwy do utrzymania przez tych, których cały dochód pochodził z państwowej pomocy socjalnej. Ludzie tam mieszkający nie pracowali, nie będą pracować i spłodzą dzieci, które (z rzadkimi wyjątkami) również nie podejmą nigdy legalnej pracy. Rzeźbienie oraz wykształcenie konieczne dla zdobycia jakiegokolwiek zawodu pozostawały dla nich całkowicie niedostępne. Te nieliczne prace fizyczne, które nie wymagały podobnych kwalifikacji, stanowiły monopol równoległej gospodarki więziennej, ona dysponowała milionami robotników, którym musiała dać zajęcie. Czasami – na przykład w usługach – zatrudnienie więźniów nie wchodziło w grę, niszę tę z nadmiarem wypełniali jednak niewykwalifikowani rzeźbieni (potomkowie członków byłej klasy średniej), którzy przynajmniej estetycznie wyglądali.

Obecnie na Grobowcach siedziała monada i mieszkały tam

zwierznice.

Widział (twisting your rnind and smashing your dreams…) dokąd sięgają jej wpływy: kilkadziesiąt metrów dalej rozsiadła się tubylcza dzieciarnia i młodzież – śmiejąc się, pijąc i podjadając śmieciożarcie, obserwowali zwierznice niczym egzotyczną faunę w ZOO. Zresztą zwierznice tak właśnie się zachowywały. Widział Hunt (a widział wiele) ludzi pełzających na brzuchu środkiem jezdni, ludzi zamarłych w najdziwniejszych pozach, w absolutnym bezruchu, niczym sfidiaszowanych, widział samobójców, ich zwłoki (próbowali latać). Słyszał (a słyszał dokładnie: wszedł już na Grobowce połową Strefy) ich

bełkotliwe przemowy, czasami składające się jeszcze z jakichś modułów słownych, czasami zaś zupełnie bezsensowne sylabizacje, nie wiadomo, do kogo skierowane. Wielu było poważnie rannych: samookaleczenia, ale nie tylko. Niektóre zwierznice spod monady Grobowców reagowały bardzo agresywnie, dwie AGENCI musieli zabić. Ale jeśli tylko się dało, łapali je i przekazywali AGENTOWI1.

AGENCI nie wchodzili jednak do środka budynków. Armia niczym wielka, powolna fala przypływu obmywała kolorowe bryły bloków, wzniesionych w męczącej oko postmodernistycznej manierze. Sama zresztą ta architektura sprawiała wrażenie wypaczonej przez jakąś aberrację myślni nad umysłem projektanta.

Modlitwa nie została zaprojektowana do celów, do jakich chciał jej teraz użyć Hunt. To miał być jedynie sposób na bezpośrednie indukowanie gustów i sterowanie istniejącymi, kij w rzece statystyki. Co przedtem osiągano za pomocą drogich kampanii reklamowych, wielkich ofensyw memetycznych angażujących usługi organizatorów wszystkich rodzajów życia kulturalnego – teraz było do uzyskania przez proste wpisanie w program żądanego profilu. Powoli, statystycznie, na miliony – do tego zaprojektowano Modlitwę.

Diabeł do spółki z Mariną tłumaczyli to Nicholasowi, diabeł w tym wypadku bardziej jako dialogant uruchamianego programu aniżeli menadżer wszczepki.

– Ona działa w następujący sposób – wykładał-Wchodzi na gwiazdę i monitoruje równoległe transmisje rozpoznając Tuluzy. Potem podczepia się pod CIOT-owe pliki pingnjących wszczepek z okolicy, zafałszowując sumy kontrolne. Klasyczny Koń Trojański. Wówczas jest już w domu. Na pierwsze bezpośrednie żądanie od użytkownika Modlitwy o najwyższym statusie operatora, otwiera dlań Grzyba złamanej Tuluzy. Od tego momentu Modlitwa jest w stanie dowolnie modulować indukowane przez Grzyba emisje mózgu. A jak sądzisz, panie, ilu tych dzikusów w ogóle posiada wszczepki?

– Paru na pewno, zwłaszcza po wypuszczeniu tej półdarniowej Tuluzy. Ale ja wolę polegać na Trupodzierżcy, jego sieć może pełnić

analogiczną funkcję, to jest to samo nano, tylko inaczej się nazywa i inaczej się konfiguruje.

– Tego nie możesz wiedzieć – oponowała Marina.

– Wiem – zapewnił Hunt. – I zacznę od nich. Ilu aktualnie mamy AGENTÓW?

– Tysiąc czterystu sześciu, panie.

– Zgadza się. Wystarczy.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

Prawdziwym problemem było jednak co innego: jak sprawdzić, czy akcja się powiodła i Grobowce są już bezpieczne, a Hunt może przez nie przejść bez obawy zniszczenia struktury jego umysłu przez nadciśnienie myślni. Z obserwacji zachowania samych zwierznic niczego nie wywnioskuje, one bowiem zawsze już przenosić będą w sferę odruchów ciała każde zafalowanie myślni, niezależnie od bezpośredniej presji monady.

Zażądał wizualizacji procesu i diabeł/Modlitwa dał mu ją, wykorzystując MUL Wizualizacja opierała się na symbolice wprowadzonej jeszcze przez programistów Zespołu. Z głów pacyfikujących Grobowce AGENTÓW buchnęły kłęby jednolicie czarnego dymu, istne gejzery smoły. Szybko rozwinęły się w szerokie trąby wirowe, na sto, dwieście metrów ku nocnemu niebu. Teraz zobaczył nad Pstrokatym blokowiskiem odwzorowanie schematu rozmieszczenia Armii w dzielnicy, zobaczył też, ile to naprawdę jest „tysiąc czterysta sześć". Zaiste, Armia. Jak okieni sięgnąć: czarny las. W ciągn paru chwil zmroczniało do tego stopnia, że budowle utraciły ostatnie kolory i można było mówić najwyżej o różnicach w intensywności cienia. Miasto przykrył gładki aksamit. Jego powierzchnia wydawała się marszczyć, falować, wędrowały po niej lokalne wklęśnięcia i wypukłości, z tych ostatnich ściekały w dół oleiste strumienie, na poziomie ulic dzieląc się na węższe palce, każdy dotykający czubka głowy AGENTA. AGENCI się przemieszczali i wędrowały pod dywanami mroku owe delikatnie drżące węże cieczy-gazu.

Człowiek bowiem rychło ulegał takiemu właśnie złudzeniu: że transmisja postępuje z góry na dół, nie na odwrót jak było w rzeczywistości.

Tylko że oczywiście to też nie była rzeczywistość, jeno kolejny z modeli. Ile prawdy w obrazie – tego można się domyślać, nigdy być pewnym. Żeby zweryfikować prognozę, trzeba po prostu kogoś tam posłać – kogoś jeszcze nie zezwierznicowanego.

Marina:

– Wytarguj ochotników od Księcia.

– To zabierze czas.

– Wiem, cholera.
– A on prawdopodobnie i tak ich nie da. Diabeł:
– Nie trzeba żadnych targów, masz ich tu, panie, pod ręką.
– Kogo?
– Ich. Dzikusów. Siedzą i gapią się. Setka i więcej.
– Złamię umowę. Będę miał wroga za plecami.
– Masz wrogów wszędzie, panie.
– Seledynowy Książę…
– I cóż on pocznie?
– Zemści się.
– Będzie próbował, tak.
Hunt (bo tego już nie futurpamiętał):
– Kurwa mać. Rób, co musisz.
Było tak ciemno, że nie widział twarzy Mariny.
Tym bardziej nie chciał patrzeć na poczynania Lucyfera.

Uciekł wzrokiem w ciemne kaniony międzyblokowe, między nierówne płaszczyzny wielkich maszyn do życia i śmierci. To prawda, architektura materii determinuje konfigurację myślni. Niezależnie od powierzchownego ich stylu, podobne blokowiska sprzyjają generowaniu przez neurosystemy mieszkańców z góry określonych psychomemów: apatii, poczucia małości, zagubienia, zależności. Tak: również feng shui stanowi zaledwie jeden z licznych aspektów psychomemetyki. Nie bez przyczyny taką wagę przykłada się do organizacji przestrzeni miejsc pracy. Ale tutaj – czemu podporządkować ergonomię? w imię czego tę przestrzeń organizować? Nie ma żadnego celu w egzystencji tych ludzi. Przeżyć z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc; budzi się i już zna dzień, jakby go cały przeżył w nocnym śnie. Hunt dobrze pamiętał smak tej porannej beznadziei. Zwłaszcza zimą, pod brudnym niebem, gdy krajobraz prawie bezludny… Dziecko zasypia z głową na porysowanym parapecie, chociaż wcale nie śpiące – lecz monotonia niezmiennego widoku, harmonia tych brył, stanowi wizualny ekwiwalent cichej kołysanki i umysł nie jest w stanie się oprzeć. Gdyby nie był jedynakiem, rodzeństwo zapewne odrywałoby go od kontemplacji depresyjnych widoków – a tak: rozwijały się powinowactwa struktur pesymizmu, czerń wytyczała ścieżki… Śnieg i błoto, stare wykopy, wiatr hula po opuszczonym placu budowy, potrząsa obwisłym bezradnie ramieniem samotnego dźwigu; pamiętał, że nawet słońce przynosiło rozpacz, nie były radosne jego refleksy na stali i szkle. Wrócił Lucyfer, jak zwykle świetlisty, w ogniu, i rzekł:

– Droga wolna.

Hunt wszedł na Grobowce.

Strzelił palcami prawej dłoni i, rozsuwając delikatnie kciuk i palec wskazujący, zwiększył jasność. Ruchome cienie zmieniły się w

osobistą gwardię AGENTÓW, wszyscy z odbezpieczoną bronią, najnowocześniejsze egzemplarze, wygrzebane skądś z melin i paserskich magazynów out of NEti – jeśli o to chodzi, na dzikusów zawsze można liczyć, skonstatował cynicznie.

Dojrzał swoje zniekształcone odbicie w zwierciadlanej elewacji jednego z bloków.

– Co to jest?! – wrzasnął na Lucyfera. Złapał go za gardło i zaczął dusić. – Co to jest, do cholery?!

– Krtsztrrr – zaskrzeczał diabeł. – Ty też masz Grzyba, panie…

Z nagiej czaszki Nicholasa wyrastał bowiem w tym odbiciu wielki lej czerni.

– Zamknij to!

– Tak, panie.

Macka oderwała się i uciekła wzwyż, ku skłębionemu aksamitowi.

– Chryste Panie! – pieklił się Nicholas. – Nawet menadżerowi własnej wszczepki nie można ufać!

– Uspokój się – naciskała Marina.

– Uspokój się! – parsknął. – Ty też, kurwa, jesteś dobra! Kto mnie wpuścił w to gówno? Dlaczego w ogóle muszą uciekać? Kto obruszył tę lawinę?! Może ja?! Ty, kurwa, ty, twoi pieprzeni bogowie! – I na Lucyfera: – No co się gapisz?! Ha? Czego jeszcze zapomniałeś mi powiedzieć?

– Panie…

– O, to cholerstwo na przykład. Co takiego tu wizualizujesz? Czym wypierasz monadę? Bo chyba to nie pragnienie pepsi-coli tak się tam kotłuje!

Marina przyspieszyła kroku. Z założonymi na piersi rękoma kręciła głową, zdegustowana.

– Naprawdę nie domyślasz się, Nicholas? – parsknęła, nie oglądając się. – A cóż on mógł mieć w defaultachl

Hunt otworzył i zamknął usta. Widać było, z jakim wysiłkiem powstrzymuje wybuch. Skóra na skroniach napinała mu się niebezpiecznie, gdy poruszał żuchwą. Mord miał w oczach, Lucyfer uciekał spod jego spojrzenia.

Nic już jednak Nicholas nie powiedział.

Gdy wyszli z mroku, zostawiając za sobą Grobowce i skażoną gniewem myślnię, i Huntowi wróciła wobec tego jako taka równowaga psychiczna, Marina przystąpiła do ataku.

– Przemyślałam to – oświadczyła. (Niby co?, zmarszczył brwi Nicholas). – Ten numer z odpędzeniem monady… Modlitwa nie została zaprojektowana do podobnych celów i nie powinna być zdolna do indukowania aż tak silnych emisji. Nie ta, nad którą ja pracowałam. To, czym ty się tu bawisz – to jest jakaś późniejsza

wersja, oficjalna beta. Kto ci ją przysłał?

– Anzelm, mówiłem.

– A ja mówiłam, że to niemożliwe.

– Rzeczywiście, wiele rzeczy mówiłaś.

– Na zimno: kto miał lub mógł mieć dostęp zarówno do Modlitwy, efesu, jak i tego kompresatora?

Hunt rozwinął ledpad i napisał do Nachtrittera, zapytując o datę pojawienia się Ravenskulla. W Austrii musiało już świtać – hacker jednak nie spał, zapewne na narko-stymach i krwiodajkach, i odpisał od razu.

DO MNIE DOSZŁO PRZEDWCZORAJ, ALE WIEM, ŻE JUŻ SCRACKOWANE CHODZIŁO GDZIEŚ W SOBOTĘ.

WIĘC TO NIE BYŁ SHAREWARE?

TERAZ JUŻ TAK:-)

KTO TO NAPISAŁ?

AFAIK MATEMATYCY Z KTÓREJŚ Z KATEDR LIG, MICROSOFTU LUB ANM, TAM CIĄGLE SIĘ ŚCIGAJĄ W OSIĄGACH ALGORYTMÓW KOMPRESUJĄCYCH, ŻEBY WYŻYŁOWAĆ CIOTP.

CZY RS STANIE SIĘ POPULARNY?

IMHO NIE. JEST BARDZO DOBRY, ALE TYLKO DO NIEKTÓRYCH RODZAJÓW PLIKÓW, A LUDZIE WOLĄ PROGRAMY-KOMBAJNY.

WIĘC MÓGŁBY KTOŚ UŻYĆ AKURAT RS Z INTENCJĄ UTRUDNIENIA ODCZYTU?

NIE WIEM, CZŁOWIEKU, O CO CI CHODZI, ALE GDYBY CHCIAŁ SZYFROWAĆ, ZAŁATWIŁBY TO GŁUPI PGP.

Hunt nadal nie rozumiał. Nie chodziło o ukrycie Modlitwy, bo tajemniczy X nabazgrał nazwę na wierzchu płytek. Nie chodziło o uniemożliwienie jej otwarcia, bo musiał wiedzieć, że scrackowany Ravensku.ll w końcu zacznie krążyć po sieci. Może faktycznie szło jedynie o maksymalnie efektywną kompresję…? Nie chciał marnować trzeciej płytki… Lecz czemu w takim razie nie zarchiwizował jej w formie samorozpakowywującej się.

– W Hacjendzie… – zawahał się.

– Naprawdę uważasz, że Langolian pozwoliłby Krasnowowi położyć łapy na Modlitwie? – nacisnęła Marina. -I jakim cudem miałoby w ogóle do tego dojść? I dlaczego wówczas mieliby mnie uciszać? I Jasa? Powinni raczej spuścić atomówkę na Hacjendę. Bez sensu. Krasnow żyje z budżetu, to ciułacz, w życiu by nie zaryzykował tym wszystkim – swoją pozycją, Hacjendą, dotacjami – żeby rozegrać własną gierkę, ukrywając przed nami taką bombę jak Modlitwa. To właśnie byłaby na konferencji pierwsza jego rewelacja!

– Masz jakiegoś innego kandydata?

– Liczba osób dopuszczonych do Modlitwy była bardzo mała. Nawet większość tych, z którymi bezpośrednio współpracowałam,

konsultując kalibrację aparatury na Labach – nawet oni niezbyt się orientowali. Wiem, że wiedziała Chigueza i ścisłe kierownictwo spółki, ale już nie rada nadzorcza i inni udziałowcy.

– Musieli wiedzieć też czołowi lobbyści, to było mimo wszystko zgrane z decyzjami politycznymi…

– Niekoniecznie. Nie sądzę. Zbyt wiele czynników: umowa z innymi potentatami N-przemysłu na wypuszczenie Tuluzy, awaria defensywnego programu EDC, Grudzień…

– Grudzień mogli byli sami wypuścić. I cholera wie, czy rzeczywiście nie wypuścili, zaczęło się przecież w Azji. – Hunt zamyślił się. – Ale masz rację. W takich sytuacjach czeka się okazji i gra na trend… Człowieka w prezydenckim kolobby musieli jednak mieć, chociażby po to, żeby Biały Dom stłamsił w zarodku ewentualne śledztwa i kontrtrendy; żeby nie zaskoczył ich nagle przeciek. Radickowi nie mogli powiedzieć, za wysoko stoi, wobec zbyt wielu osób musi być lojalny… Musieli mieć kogoś, kto znałby prawdziwy cel i krył twoje kłamstwa, nieefektywną strategię Zespołu…

– Bo ja wiem, sam sobie z tym nieźle radziłeś – zauważyła sarkastycznie.

Zamachał ręką, żeby zamilkła, nie zamulała mu myśli. Nawet przystanął i zamknął oczy. Byle nie wprowadzić do puli mylących memów… Bo już był pewien, że posiada tę wiedzę. Na końcu języka, na dwa skojarzenia, jeden skok dedukcyjny…

– Bronstein. Żachnęła się.

– On?

Wyszczerzył się jak na wampira przystało.

– Bronstein, Bronstein.

– No słucham, Sherlocku.

– Modlitwa był człowiekiem Langoliana – zaczął wyliczać Hunt. – Efes nadzorował z DARPA Hacjendę. Ravenskull studiował swego czasu informatykę.

– Ładnie. Tylko mi powiedz: dlaczego? I dlaczego tobie?

Nicholas skrzywił się, trochę ku uśmiechowi, trochę ku irytacji.

– Może nie tylko mnie.

– Co więcej: dlaczego nie załączył żadnych informacji? Instrukcji postępowania. Czego od ciebie chciał, co miałeś z tym zrobić? Czemu miało służyć wykorzystanie tego egzotycznego pakera?

– Tę wątpliwość możesz podnieść w stosunku do każdego podejrzanego.

– Jeśli wolno mi zaproponować rozwiązanie… – włączył się nieśmiało diabeł. – Przy przyjętym założeniu istnieje kilka możliwości. Przesłał ci to tylko po to, by cię wrobić, panie. Albo: nie załączył wyjaśnień, bo zamierzał osobiście ci wszystko wyjaśnić. Albo: sądził, że i tak wie, co uczynisz. Że już znasz sprawę i nie musi niczego

tłumaczyć. A może po prostu nie miał czasu. Nie znam okoliczności, panie. Rauenskullem mógł chcieć zagwarantować sobie okres, mhm, karencji.

Marina przesunęła spojrzenie od Hunta do diabła i z powrotem.

– Więc w końcu jak to było? Sam się powiesił? Pomogli mu?

– Cholera wie – mruknął Nicholas, popatrując na Lucyfera spode łba. – Ale teraz zaczyna wyglądać, że ta jego śmierć faktycznie była jakoś ze mną powiązana.

– Przypomnij sobie, panie, sekwencję zdarzeń.

No cóż, sekwencja zdarzeń przedstawiała się z grubsza tak: Hunt domyśla się Grzyba, leci do Waszyngtonu, znajduje przez PEA Bronsteina, jedzie do Watergate, gdzie Bronstein dynda sobie na żyrandolu, dwa dni później zaś otrzymuje Nicholas przesyłkę z Modlitwą, dwoma kapsułkami FS, tym sznurkiem, kostką (ciekawe, jaki wynik daty jej badania), aha, i rękawiczką; pliki są datowane na Popołudnie dnia poprzedniego. Wiele się z tego raczej nie wydedukuje.

Tak to pamięta – a jak było naprawdę? Świadomie starał się omijać w myśli wszelkie „więc", „toteż", „wskutek czego" – ale sam wybór i kolejność wyliczenia faktów narzucały schemat rozumowania. Czy coś pominął? Jakieś szczegóły, które…

Zadzwoniłem do niego z samolotu. Zadzwoniłem i powiedziałem: „Wiem wszystko. Mają to już przygotowane. Nie odpuszczę tego".

Dokładnie tak.

A Bronstein…

– Co? – Marina przyglądała się Huntowi uważnie.

– Nic.

Przez moment był pewien, że przeciekło po myślni. Ale przecież jej tu nie ma, nawet patrzy nie własnymi oczyma, lecz dzięki złożeniu spojrzeń pobliskich AGENTÓW.

– Dobrze widzę, czegoś się domyśliłeś, zrzedła ci mina. Wzruszył ramionami. Szybkim krokiem minął Vassone. Ona jednak zawsze mogła iść jeszcze szybciej.

– Bronstein – warknął. – Na pewno. Zadowolona? – Skąd wiesz?

– Wiem.

– Znowu zaczynasz? Widzenie miałeś? Skończył ci się już futuroskop.

– Dobra, poddaję się – rozłożył ręce. – To wszystko moja wina.

– Co jest, wlazłeś w jakąś monadę infantylizmu?

Hunt skoczył do Lucyfera, wyrwał mu ebonitowe berło.

Marina w milczeniu obserwowała, jak Nicholas wykonuje, jeden za drugim, kilkanaście zamaszystych, równo odmierzonych gestów, wskazując buławą ku niebu, na AGENTÓW, na siebie, prawą dłonią zaś, z palcami splecionymi w skomplikowane mudry, zakreślając

krótkie krzywe, których elektryczny powidok jeszcze przez parę sekund wisi w powietrzu.

Rzucał czary, to znaczy: odpalał makra.

– Żadnych monad – rzekł, skończywszy i wsunąwszy berło do prawej kieszeni. – Idziemy prosto na Czterolistną. Pluń na mapę i komunikaty CDC. Sprawdzaj po drodze wszystkie samochody. I nie przyłączaj już więcej zwierznic.

Zwizualizowało się to nieco osobliwie: szarą mgłą, ciężką, cuchnącą, lepką, co podniósłszy się z ulic, spomiędzy domów, wylawszy się z ich okien, otoczyła wysokimi wirami Nicholasa i wszystkich AGENTÓW w zasięgu wzroku. Co prawda w zasięgu wzroku, jeśli odjąć OVR, byli tylko AGENCI. Olbrzymi fenoazjata znajdował się gdzieś w zewnętrznych kręgach Strefy, kryły go zabudowania -oraz mgła.

Szli bardzo szybko, ona zawijała im się wokół nóg, wokół głów, galaktyki brudnej pary. Diabeł, rozpoznawszy nastrój chwili, wycofał się w noc: skrypt menadżera ewoluował (kto powiedział, że maszyny nie mogą symulować podatności na myślnię?).

Marina milczała, nawet nie oglądała się na Hunta. Spokojnie szła obok, zawsze idealnie dotrzymując mu kroku. Cierpliwie czekała, aż sytuacja obsunie się w atraktor innej formy.

– Wiele trupów zostawiliśmy za sobą.

– Ymhmy – przytaknęła.

– Wyrzuty sumienia?

– Jeśli przeżyję.

– Wyrzuty sumienia! – zaśmiał się. Zaraz jednak spoważniał. (Colleen… gdyby lepiej przycelowali…)

– Bardzoś wylewny się zrobił ostatnio.

– Tak, tak, rozklejają się sukinsyny. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– W gruncie rzeczy jesteś chyba dobrym człowiekiem - Powiedziała, patrząc mu w oczy.

Uciekł spojrzeniem. Kwas zalewał usta. Kleist miała rację, to nieprzyzwoite.

Znowu sytuacja jak z tym pająkiem. Zaprzeczy – wyjdzie na pospolitego cynika. Nie zaprzeczy – na zarozumiałego hipokrytę. Złapała go równie sprawnie, jak kot wróbla.

– Zdaje się, że on też tak mnie osądził – westchnął więcc głośno. – No i popatrz, do czego to doprowadziło…

– Mhm?

– Wiesz, dlaczego zostałem zesłany do DARPA?

– Różne plotki obijały mi się o uszy…

– Tak. Nie wątpię. – Odetchnął głęboko. – Wtedy czułem, że naprawdę żyję.

– Coś ty tam właściwie zmalował?

– Zamówiłem współczucie dla wnuków.

– Co?

– Widzisz, ja byłem drugim menadżerem prezydenckiego lobby, skrzydło inwestycyjne.

– Podatek pokoleniowy. Emeryci.

– Tak, emeryci; ludzie starzy, po sześćdziesiątce, i polegający na budżetowych gwarancjach, pośrednich i bezpośrednich, oraz beneficjenci rządowych programów pomocy. Masz w ogóle pojęcie, ilu ich naprawdę żyje dzisiaj w Stanach? Jeszcze więcej, niż wynika ze statystyk. Jako elektorat liczą się poczwórnie, ponieważ osiemnastolatkowie i młodsi nie wchodzą w grę w ogóle, a osoby pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem życia są warstwą najbardziej apolityczną i nieaktywną. Na dodatek te stare cholery głosują blokowo, bardzo zwarci, bardzo zorganizowani, a jakże, wprost wymarzona grupa wyborców. Potrafią samodzielnie zdecydować o zwycięstwie lub porażce każdego kandydata. I przeważają, od lat – wyjąwszy niektóre stanowiska na niższym szczeblu, w „młodych" miastach. Politycy zagrażający ich interesom po prostu nie są wybierani. Zgadnij, kiedy ostatni raz do Białego Domu dostał się kandydat przez nich nie popierany? I nie chodzi tu o tych, których oni nie sponsorują, bo każdy sponsor stawia równolegle na obu kandydatów; lecz o tych, którzy nie promują ich w legislacji ponad inne elektoraty. No, kiedy?

– Dawno.

– W zerowych.

– Serio?

– Każdy się dziwi. Ale możesz sama sprawdzić. Żadna partia nie utrzymywała się nieprzerwanie przy władzy tak długo, jak oni. Efekt? Budżet państwa skazany jest na coraz bardziej monstrualny deficyt, a samo państwo na plajtę. Suma świadczeń należnych emerytom z roku na rok coraz wyraźniej przekracza sumę wpływów budżetowych: każdy pracujący utrzymuje przynajmniej jednego niepracującego. A co z wojskiem? Co z obsługą długn? Co z bezpieczeństwem i oświatą?

W miarę jak wyliczał, górę brał w nim gniew, mówił coraz szybciej i głośniej, i coraz mniej uwagi zwracał na Marinę.

– Medykatorzy, korporacje jurydyczne i trevelyanizm stanowią rozwiązania na krótką metę. W Europie wcześniej wpadli w ten kanał, bo tam bufor emerytalnych funduszy inwestycyjnych i sektora prywatnej przedsiębiorczości jest mniejszy, lecz w końcu i my doigraliśmy się. Z ekonomicznego punktu widzenia rozwiązanie jest oczywiste: należy radykalnie obciąć świadczenia i zmniejszyć lub zlikwidować prawne gwarancje dostatniej starości, bo państwa zwyczajnie na nie nie stać, nie sposób w nieskończoność wydawać

więcej, niż się ma, matematyki nie obalisz. No, ale w systemie demokratycznym nie można tego zrobić: emeryci, skupieni wokół tej jednej kwestii jak żadna inna część elektoratu i przeważający liczbowo, nigdy za czymś podobnym nie zagłosują. Podatek pokoleniowy rośnie z kadencji na kadencję. Firmy masowo uciekają z Europy i Stanów do konkurencyjnych stref fiskalnych. PKB spada. Bezrobocie rośnie. Przegrywamy w Wojnach. I nic na to nie można poradzić: demokracja zabrania!

– Ty spróbowałeś.

– Tak.

– Przeciwko własnemu lobby.

– Bo najgorsze jest to, że wszyscy doskonale wiedzą, co należy zrobić! Wiedzą doskonale od lat, wiek już chyba będzie, jak opisano strategie mające zapewnić dobrobyt przyszłym pokoleniom Amerykanów. Ale co z tego, przyszłe pokolenia nie głosują dzisiaj!

– Jezu, ciebie to naprawdę dręczy. – A żebyś wiedziała!

– Następny krytyk demokracji. Niezbyt oryginalne, muiszę powiedzieć.

– Banał? – uśmiechnął się krzywo. – A cóż to jest banał. jeśli nie mądrość najstarsza? Przyznaję, łatwo ganić ze środka trendu krytyki. Ustabilizowane demokracje…

te tak stabilne, że prawie martwe… tu już nie ma czego wybierać. Partie, w metaksokracji pozbawione możliwości manewru w sprawach podstawowych, skupiać się muszą na szczegółach coraz drobniejszych i drobniejszych, jednocześnie zabiegając o głosy swą atrakcyjnością pozapolityczną, to znaczy…

– Kampanie memetyczne, znam przecież. Niby do czego miała służyć Modlitwa?

– Więc wiesz. Bo owe drobne szczegóły – to są zazwyczaj, bezpośrednio lub pośrednio, specjalistyczne problemy ekonomiczne, tyleż nadające się do rozstrzygania w powszechnych głosowaniach, co metody neurochirurgicznych operacji. Próg stosowalności demokracji zostaje przekroczony. Dalsze stosowanie jej reguł nie przynosi ludowi korzyści. Wręcz przeciwnie, strąca go w otchłanie gospodarczego kryzysu. Znaczy – machnął ręką – właśnie strąciło.

– Popierasz Autokratów? – zdumiała się Marina. – Tego się po tobie nie spodziewałam. Co by o demokracji nie mówić…

– „System zły, ale nie ma lepszego", tak, tak – wszedł jej w słowo Hunt. – Nie rób ze mnie faszysty, ja nie jestem przeciwko demokracji. Przeciwnie: pomimo wszystko wciąż uważam, iż jest to system najbardziej, mhm, zdrowy…

– To czemu zacząłeś bredzić o jakimś progu? Zirytowany, sięgnął ku wąsowi: chaos w myślach rozszerzył się na procedury motoryczne.

– To trudno wyjaśnić. On jest bliżej niedookreślalny, rozmyty

definicyjnie. Najpopularniejsza jest właśnie analogia medyczna. Idzie to tak. Gdy jesteś śmiertelnie chora i operacja ratująca ci życie nieuchronnie zarazem upośledzi cię umysłowo, to niewątpliwie ty sama jesteś jedynym uprawnionym do wyboru pomiędzy śmiercią a debilizmem. Gdyś jednak już się na operację takową zdecydowała, nie do ciebie należy władza wyboru najskuteczniejszej jej metody, gwarantującej zachowanie jak najwyższych sił intelektualnych – lecz do lekarzy. Bo ty, choć to twój mózg i twoje życie, nie znasz się na tym, i gdy przyjdzie do konsylium i konieczności wskazania najlepszego specjalisty, kierować się będziesz takimi rzeczami, jak: wygląd zewnętrzny konkurentów, ich charyzma, posłyszane plotki, niemotywowalne przeczucia… Odrobina inżynierii memetycznej i jesteś załatwiona. Równie dobrze mogłabyś rzucać monetą.

– Sam to wymyśliłeś? – parsknęła. – Wielkie mi odkrycie! Jakby kiedykolwiek ludzie rozumieli, na co głosują! Kampanie memetyczne z zasady nie opierają się na programach, lecz właśnie na atrakcyjności „cech drugorzędnych". Sądzisz, że którykolwiek dzikus z tej dzielnicy zrozumiałby treść dowolnej debaty politycznej? że pojąłby, o czym my tu w ogóle rozmawiamy? Ani sięgnie myślą. To są banały – powtórzyła – banały, mój drogi.

– Tak – przyznał bez oporu Hunt. – Lecz obecnie doprowadziliśmy tę strategię walki politycznej do doskonałości, i jeszcze dalej. Inżynierowie memetyczni mówią to sponsorom kandydatów w oczy: istnieją w tej wojnie dwie strategie, a ta druga polega na wprowadzeniu na rynek całkowicie nowego produktu i wyindukowaniu mody nań, a to poprzez konsekwentną promocję, wielką ofensywę memetyczną; tak się sprzedaje społeczeństwu nowe idee. Z tym jednakże wiąże się wyższy współczynnik ryzyka, podobną drogą można było pójść w kampanii o fotel burmistrza Zadupia Górnego, ale nie – kongresmena czy prezydenta. Filmy o wysokich budżetach rzadko grzeszą jakąkolwiek oryginalnością. Showbusiness hołduje tradycji Przyjemności płynącej z powtórzeń.

– Więc ty zamówiłeś współczucie dla wnuków.

– Właśnie. Wielka, długofalowa kampania za dziesięć giga.

– Głupio.

– Ta, wiem, że głupio. Teraz. Za mały skurwysynek na takie numery.

– Ale – autentyczny patriotyczny odruch, Nicholas! To Jest coś. Będziesz miał co wspominać na starość.

– Taa. Ciągnie się za człowiekiem jak smród za gównem. Dzwonię do Bronsteina i odgrywam wielkiego chojraka. Więc co Bronstein dedukuje? Że analogiczna sytuacja: znowu mi odbiło i oto zamierzam nadstawiać karku za ojczyznę, a to mianowicie wyciągając na wierzch Grzyb i Modlitwę.

– To wciąż nie tłumaczy, dlaczego ci ją przesłał.

– Och, tak sobie myślę… nierzeźbiony… trevelyanista… powieszony w przeddzień upadku państwa… nazbyt radykalny nawet dla generał Kleist… Może z niego był patriota patologiczny?

Sześciokrotnie przelatywały nad Strefą helikoptery. W miarę jak wychodzili z dzielnic „pierwszych trzech czwartych" i wkraczali w rejony znacznie luźniejszej zabudowy, w pas niegdysiejszych samodzielnych miasteczek podnowojorskich – stawało się coraz oczywistszym, że nie uda im się w ten sposób przejść aż do enklaw. W blokowiskach plemion nierzeźbieńczych, w dżunglach odwiecznych slumsów – mogli sobie poczynać tak bezczelnie, wchodzić w nie jako Armia, pacyfikować okolicę, oczyszczać z tubylców całe kwartały, obsadzać wszystkie miejsca potencjalnego zagrożenia. Tam ludzie byli poniekąd do tego przyzwyczajeni: czy policja, czy jurdy, czy gangi, czy wreszcie Król Necropolis i jego legiony – jednakie to żywioły. Chociaż Marina słusznie zauważyła, że dla komputerów sieci miejskiego dozoru płonęli na mapie metropolii niczym supernowa na niebie, ognista kometa ciągnąca za sobą długi ogon zniszczonych kamer.

Za Grobowcami było jednakże jeszcze gorzej. Ku zdumieniu Nicholasa pojawiły się patrole korporacji jurydycznych, najwyraźniej wezwane przez mieszkańców. Podjechały do granicy Strefy, AGENCI pokazali broń, jurdy się cofnęły. Potem utrzymywały już bezpieczny dystans. Czekały na posiłki? Były to co najmniej trzy różne korporacje (licząc wyłącznie wozy z logo): obecnie żadna nie mogla sobie pozwolić na posłanie w jedno miejsce większej liczby ludzi, zwłaszcza gdy nie wchodziło w grę żadne poważne przestępstwo, a Hunt bardzo się wystrzegał, by nie niszczyć własności oznaczonej logo prawnych ubezpieczycieli, nie wchodzić na takie posesje. Sam wykorzystywał tych spośród AGENTÓW, którzy byli ubezpieczeni, rozstawiając ich na obrzeżach Strefy, w awangardzie Armii. Rozdzielał także pośród innych logo zebrane ze zwłok zwierznic. Tych zwłok, zwłaszcza na Grobowcach, było sporo; tam i gdzie indziej, gdzie przeszedł Tłum, jak fala z głębin morskich wynosząc i pozostawiając po swym odejściu martwe ciała, w tym ciała rzeźbionych z najodleglejszych nawet dzielnic. Z drugiej strony niewiele występków ścigały korporacje jurydyczne z większą zaciekłością, aniżeli kradzież i nieuprawnione posługiwanie się ich zastrzeżonymi znakami firmowymi. Hunt bał się jednak obecnie jedynie bezpośrednich zgłoszeń i za wszelką cenę próbował uniknąć otwartej konfrontacji.

Stawało się to coraz trudniejsze. Była noc, mgła (nie, mgły nie było), lecz w co drugim oknie paliło się światło, ludzie skakali po kanałach, oglądając największy show telewizyjny wszech czasów:

transmisję na żywo z upadku państwa i zagłady miast. Te światła to były głównie poblaski bijące od całościennych ledtapet. Przez Mgłę przedzierały się do Hunta i mimo Grzyba infekowały jego umysł niektóre z niezliczonych psychomemów wzrokowych emitowanych przez tych widzów: płaskie obrazy paniki, przemocy, zniszczenia, szaleństwa, wizualizujące statystykę animacje, poważne twarze komentatorów, zapłakane – rodzin i przyjaciół osób zmarłych tudzież zezwierznicowanych. Tych ostatnich media ochrzciły mianem „zagubionych". Bezpieczne słowo, neutralnie sprzężone, ale z pewnością mniej chwytliwe od „małp".

To nie były Grobowce, umysły mieszkańców tej dzielnicy nie zostały przeorane przez memy strachu i posłuszeństwa. Wystarczyło jedno pchnięcie, by rozpędził się zgubny dla Nicholasa trend. W pół godziny utracił wszelką nadzieję (bo i niewiele jej miał). Jeszcze przed chwilą pisał do Quranta: 8.00 A.M., ALE POSTARAM SIĘ WCZEŚNIEJ. Teraz mógł zapomnieć o Czterolistnej.

Zaczęło się oczywiście od zdarzenia omal bez znaczenia. Diabeł/Armia, zgodnie z narzuconym przez Hunta skryptem, zabezpieczał wszystkie punkty w linii prostej od Nicholasa – w każdym razie te, do których miał dostęp i do których mieli dostęp potencjalni zamachowcy (czyli każdy prócz AGENTÓW). Oznaczało to obstawianie wszystkich drzwi i okien, obok których musiał Hunt przejść. Oczywiście diabeł starał się w miarę możliwości wybierać trasę minimalizującą liczbę takich punktów, jednak nie istniała przecież droga z Nowego Jorku do enklaw całkowicie bezpieczna przed wzrokiem tubylców. I zdarzyło się, że pewnego emerytowanego policjanta oderwał od telewizji i pognał do łazienki pełny pęcherz. Wracając, eksglina wyjrzał przez okno i ujrzał Armię. Pokonawszy nagły stupor, uniósł dłoń do ust i zadzwonił do sąsiada. Sąsiad widział to samo. Wyszedł przed dom, na trawnik. AGENT486 natychmiast przegonił go do środka. Emeryt zadzwonił z kolei do znajomych w służbie. Jeden z nich zechciał przyjrzeć się sytuacji bezpośrednio i przekonał się, że żadna z kamer z inkryminowanego obszaru nie działa. Pogadał z programem zarządzającym siłami NYPD i za Grobowce przesunięto dwa radiowozy, w tym jeden z załogą. Radiowozy natknęły się na jurdy. Wymieniono informacje.

Diabeł próbował ich ominąć, ale policjanci (w tym wypadku: publiczni i prywatni, pracujący razem) zorientowali się i zajechali Armii drogę. Skryty we Mgle Hunt widział to wszystko tysięcznymi oczyma. Najdalej wysuniętych AGENTÓW dzieliło od policyjnych pojazdów kilkadziesiąt kroków.

– Nie mogą cię zobaczyć, panie. Cokolwiek by się działo – nie mogą cię zobaczyć.

– Taa.

Gdyby go zidentyfikowali… Nawet nie chciał myśleć.

– Na razie to jest dla nich jakaś spontaniczna banda. Spora, to prawda, może Tłum. Ale nie niszczy, nie zabija, nie mają powodu się wtrącać, zwłaszcza zważywszy na to, co się dzieje w innych częściach miasta. Lecz kiedy cię, panie, rozpoznają…

– Wiem – mruknął Hunt, zirytowany łopatologicznymi wywodami menadżera.

Siedział na krawężniku przed lokalnym magazynem sieci Home Delivery, zawinięty ciasno w płaszcz.

Marina usiadła obok, wyciągnęła długie nogi obleczone w półprzejrzysty cień. Nicholas poczuł zapach jej perfum i przez chwilę podejrzewał nawet infekcję po myślni. Jak to się jednak potrafi człowiek zapomnieć w OVR…

– Wiesz – zaśmiał się ponuro, z miejsca się asekurując – ja naprawdę wierzyłem, że się nam uda…

– Panie – pochylił się nad nimi diabeł – nie ma powodu do rozpaczy. Bez trudu mogę się przebić.

Hunt uniósł wzrok.

– O czym ty mówisz, do cholery?

– Dysponujesz, panie, Armią – tłumaczył cierpliwie czart. – Mówię o Wojnie.

– Co?

– Inaczej zabiją cię.

– Zamknij się.

– Zabiją cię, panie.

– Wszedłeś w tryb „Ludobójstwo", czy co? Weź się lepiej zdiagnozuj.

Lucyfer długimi pazurami rozdarł swoją czarną pierś na dwoje, ukazując ogromne, mięsiste serce, skórzasty, brązowy muskuł, bardzo powoli kurczący się i rozkurczający. Łuummmm-łuuummmmmm…

– Nic mi nie jest – rzekł diabeł, zajrzawszy do swego wnętrza.

Nicholas wykonał prawą dłonią gest pomniejszego egzorcyzmu i Lucyfer cofnął się w Mgłę, skrupulatnie zasklepiając swą klatkę piersiową.

Marina obracała na palcach srebrne obrączki.

– Nie sądzę, żeby to miał być koniec – szepnęła.

– Mhm?

– Ravenskull… Chyba wiem dlaczego.

– No?

– Przesłał ci Modlitwę, efes… Zatem posiadał je już od Pewnego czasu. Dlaczego zakładamy, że sam z nich nie skorzystał?

– Bronstein? Mógł. Ale nic na to nie wskazuje.

– Doprawdy? Zastanów się. On nie był rzeźbiony. Skąd wiesz, jak wysokiego miał jugrina?

– Nie skończyłby wówczas na żyrandolu.

– Doprawdy? – powtórzyła. – Zastanów się.

– Chcesz powiedzieć… – zmarszczył brwi – że to jest wybrana przez niego przyszłość?

– Aha. Zobacz, jak przydały ci się te dwa efesy, zobacz jakie szczęście dotąd mieliśmy. Idziemy ścieżką niskiego prawdopodobieństwa, Nicholas, nie da się zaprzeczyć-bardzo niskiego.

– Niemożliwe. – Pokręcił głową. – Kto wybiera własną śmierć?

– Sam wskazywałeś na siłę jego motywacji.

– No tak. Ale co to by musiał być za cel? Co takiego musiałby ujrzeć Bronstein w futurpamięci, żeby jako warunek wstępny realizacji wybranej przyszłości poświęcić własne życie?

– No?

Hunt zapatrzył się ślepo w Mgłę.

– Ratunek dla kraju. Co najmniej.

– Też tak sądzę. – Ujęła Nicholasa za dłoń (lewą), uścisnęła. – Wcale nie sugerował się twoją wpadką z emerytami, nie liczył na przypadkowe odruchy. On wiedział.

Hunt znowu się zaśmiał, jeszcze bardziej ponuro.

– Wolne żarty! Modlitwa? Jak mówisz, sam dysponował nią na długo przede mną. I co zrobił? Nic. Inaczej dotąd z pewnością odbiłoby się w myślni.

– Może właśnie ten kontrtrend…

– Akurat! Po tygodniu!

– Więc coś innego… Spełni się jakoś.

– Co?

– Nie wiem.

– Ta, bohater narodowy, już to widzę…

Od czoła Armii doszły ich dwa strzały. Oboje odruchowo obrócili głowy.

– Zaczyna się – stwierdził. – Zaraz tu wróci diabeł, kusić.

– Nicholas…

– Proszę bardzo, mogę poczekać na cud. Naciskając zimną dłonią (poczuł chłód obrączek na potylicy), obróciła jego głowę ku sobie, odrywając mu spojrzenie od Mgły, w której majaczyły nieruchome sylwetki AGENTÓW gwardii.

Żadnych już słów. Mgła jakby dodatkowo zgęstniała, tłumiąc i przesłaniając wszystko wokół. Pocałuję ją, pomyślał Nicholas, z kosmiczną nieuchronnością przyciągany przez Marinę, antycypując już smak jej ust i wyraz twarzy, z jakim przymykać będzie nieznośnie błękitne oczy.

Zanim ukończył ruch, inne skojarzenia przeważyły. Zimny chodnik. Zapach zgnilizny. Szambo biologiczne. Zebrało mu się na wymioty. Skóra zaczęła swędzieć. Wybuchła w nim nagła potrzeba

ruchu. Nie wiedział, co się dzieje. To znaczy piętro wyżej już wiedział: coś przedarło się przez Grzyb, oto, co się dzieje – lecz ani nie był w stanie dzięki temu zapanować nad zalewem wrażeń, ani zorganizować ich w celowy schemat. Zdaje się, że w międzyczasie spięło mu mięśnie i zmienił położenie ciała, bo teraz wszystko, co widział, to była Mgła. Mgłę widział, Mgłę słyszał, Mgłę czuł. Zaryczeć! Wierzgnąć! Ugryźć! Biec, biec, biec! Ale nie miał już nóg, nie miał już rąk, nie miał już twarzy. A przecież pamiętał, jak biega po zielonych równinach; pamiętał krew na języku i ciężkie bukiety zapachowe. Mógł! Gdyby tylko! Pamiętał przecież, wciąż pamiętał. Byle się ruszyć!

Lecz Mgła – Mgła to wypaliła. Coraz gęstsza, cięższa, bardziej żrąca, bogata smakami. Straszliwy ogień kwasu skauteryzował mu wszystkie zakończenia nerwów. Zatracił Hunt poczucie teraźniejszości i skalę czasu. Naraz bowiem było już „po" i wszystko inne należało do zamkniętego zbioru pamięci, nawet nie próbował sięgać, bojąc się straszliwych znalezisk. Płynął przez żywiczną zupę. Współbracia wdzięczyli się doń w godowych transfiguracjach egzociała. Zbliżał się moment przejścia, koniunkcja pożądań, ciśnienie grawitacyjne poruszało błędnikowe organy płciowe ich endociał. Wszechocean tego świata był równie wzburzony, zjednoczone gwiazdy, z rzadka dostrzegane z życionośnych głębin planety, przyciągały ku sobie wszelką materię, organiczną i nieorganiczną. Hunt, istota operująca na świadomości Hunta opadała i podnosiła się wraz z masami ciężkiej atmosfery, gęstego koloidu, na wpół żywego, na pewno bardziej aniżeli odrzucane weń moduły egzocielesne. Widział (cóż, miał przynajmniej wrażenie, że to sprawka wzroku), jak je odrzucają. Oni: jemu podobni. Mógł obserwować szaleństwo ich godów. Mijały liczne omroczą i rozjaśnię. Wkrótce zrozumiał formę istnienia. Życie na tej planecie dwóch słońc broni się przed zmiennością środowiska (środowiska o warunkach narzucanych przez astrograficzny bilard) cebularnym dualizmem wpisanym w mechanizm filogenezy każdej najpodlejszej drobiny z replikacyjnym farszem. Więc jestem ja, który jestem i który będę i w którym drzemie pamięć nieskończonej linii potomków; i jestem ja, który jestem i nic ponad to. Ten pierwszy,ja" stanowi nie więcej, jak kosmate jądro, serce wiru, co posiada moc splatania pochwyconych włókien egzocielesnych – moich, cudzych, one nie wiedzą – w kształty zdatne do przetrwania w nowym otoczeniu; natomiast ten drugi,ja" – to wielka burza owych włókien, egzociało płynące na falach wzbudzanych przez niewidocznych bogów masy. I kiedy nadchodzi sezon żądz, kiedy mały, wodnisty organ endociała zaczyna się trząść w fizjologicznym strachu samotnego istnienia -wir się rozpędza, następuje konsumpcja i odrzucenie zadzierzgniętych mikrowłókien, bezrozumne polowanie na nowe, wzajemne pożeranie się, rozdymanie do rozmiarów gigantycznych

dryfbulw, potem znowu rekonfignracje – aż zostanie osiągnięta zgodność, rezonans kształtów, i nastąpi podział endorganizmów. Cała przyroda burzy się i przekształca. I nie sprawia różnicy, że idzie o nas, bo kimże my jesteśmy, właścicielami planety? Na pewno nie. Więcej tu generatorów psychomemów aniżeli jedna rasa, dużo więcej, a rekonfigurowany Hunt płynie przez kleistą szarość i widzi (bo asymiluje), że tutaj nie ma i nigdy nie było żadnej cywilizacji, że nie kryje twardej powłoki wielkiego globu żadne cmentarzysko sztucznych form materii nieożywionej. Jest tylko włóknista zupa, są tylko szybujące w niej globularne maszynki do egzekucji permutowanego kodu: jądra endonomiczne. One oplatają dookoła siebie wciąż nowe i nowe ciała, niektóre rozmiarów kciuka (co to kciuk?), niektóre stadionu (co to stadion?). Bóg tego świata, gdybyśmy Go w ogóle przeczuli, uabstrakcyjniłby się nam zapewne w postaci ostatecznego i przedpierwszego ziarna, dookoła którego omotany jest cały Wszechświat. Nierozrysowana dialektyka, gdybyśmy ją jednak rozrysowali symetrycznym diagramem, objawiłaby nam prawa gradacyjnych dopełnień: co jest jądrem czego; co wokół czego się plecie; gdzie zachowana cała wejściowa informacja.

…Co to Bóg? Co dialektyka? Co diagram i informacja? Gubią się myśli Hunta, gubi się sam Hunt: odpadają odeń włókna, marnieje Nicholas i marnieje, słabną jego więzi z ciałem, blokują się kanały zmysłów. Aż, sprowadzony do punktu, do swej nieredukowalnej huntowatości – jądra endonomicznego – spada zimnym kamykiem na wyciągniętą dłoń Mariny Vassone.

– Nicholas? Nicholas!

Przerażona, próbowała podnieść go z ziemi, ale oczywiście nie była w stanie. Zawołała diabła. Diabeł zmaterializował się w towarzystwie trzech AGENTÓW, razem postawili Hunta na nogi. Chwiał się i trząsł. Bełkotał bez sensu. Puściły mu zwieracze, cuchnął jak zwierznica. Prawa dłoń również wykonywała nieskoordynowane ruchy, egzekwując chaotyczne strzały neuralne i tym sposobem odpalając w przypadkowych sekwencjach co prostsze makra: Mgła to jaśniała, to ciemniała, Lucyfer migotał od bytu do niebytu i z powrotem, cały MUI kopał po zmysłach od zera do pełnej jaskrawości. Wyroił się z nocy ohydny pomiot piekieł, przewalając się teraz przez Mgłę tabunami horroru. Ktoś dął w róg. Błyskawice biły do rytmu.

Zaś spoza MUI szły kanonady podbite tysiącem ech, Pogłosy gigantofonowych wezwań do rozejścia się (wciąż te same moduły słowne). Najwyraźniej diabeł tak czy owak postawił na swoim – jeśli to nie była Wojna, to w każdym razie aktywne rozpoznanie ogniem. Ktoś ściągnął helikopter – jurdy lub policja publiczna, może któraś z sieci informacyjnych – przez Mgłę przebijały bowiem miokre pokasływania wirnika.

Hunt zamierzał z powrotem usiąść, ale coś mu się pomieszało i zamiast tego padł na brzuch. AGENCI zaraz go podnieśli. Otrzepał płaszcz – i ten pierwszy prawidłowy odruch przerzucił go w spiralę starego aktraktora. Splunął, odetchnął. Wciąż czuł, że coś lodowato zimnego pożera go od lewego biodra i lekko krzywił się, obracając się na prawej stopie niczym kaleka.

– Co to było? – spytała Marina, cicho i bez nacisku, za to tnąc go na pół spojrzeniem psychologaklinicysty.

– Ko…

– Co?

Splunął ponownie.

– Kontakt – sapnął. – Tak mi się wydaje.

– Jak…?

– Nie wiem.

– To chyba przez Modlitwę – wymamrotała Marina do siebie, momentalnie ulatując w świat abstrakcyjnych teorii, co poznał po oczach i pochyleniu sylwetki. – Tak, ona na pewno wyraźnie odbija się w myślni, no a zcentrowałeś ją na sobie. Taki gigantyczny psychomemiczny drogowskaz, strzała wskazująca prosto na twój nagi umysł.

– Więc masz, co chciałaś – warknął, siadając ostrożnie. – Gratuluję przenikliwości.

Kanonada nie ustawała.

– Panie… – zaczął diabeł. Hunt odpędził go gestem.

(Pod stopami: dywan (dotyk przez miękkie tabi). Przed oczyma: nagi Hunt rozciągnięty bezwładnie na kolorowych poduszkach, krwiodajka w zgięciu łokcia (spojrzenie przez ciemne okulary). Skojarzenie: medykator).

Miał ochotę bić nagą pięścią w ten krawężnik. Do cholery, rzeczywistość nie może być sprzeczna sama ze sobą! Ja przecież nie mogę znajdować się w dwóch miejscach naraz!

Marina przypatrywała mu się badawczo z góry.

– Kim jesteś?

– Jan… Nicholas Hunt. A ty?

– Dobrze. Może to jest to przesłanie: „Nie bójcie się, nic wam nie zrobimy"…?

Żachnął się.

– Mówisz tak, jakbyś naprawdę wierzyła w ten swój model.

– Sam powiedziałeś: Kontakt.

– A po czym to niby mam poznać? Jak odróżnić przypadek od działań zamierzonych, gdy wszystko jest myślą? Może po prostu dostałem w głowę kamieniem. To już ty tam, w Bostonie, przeżyłaś większy Kontakt…

– W każdym razie musiała to być potężna monada, skoro

przedarła się pomimo Modlitwy…

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem… Nic tu się nie trzyma kupy. Nie wiem nawet, jakich słów użyć. Nie płodzę tak łatwo wielkich teorii.

Przysiadłszy na piętach, zaśmiała się szyderczo, po Vassonowemu.

– Mój Boże, Nicholas… – Kręciła z politowaniem głową. – Tak naprawdę istnieją przecież tylko sukcesywnie falsyfikowane przybliżenia, nieustająca wojna paradygmatów. Teorie o wielkiej mocy wyjaśniania są nazbyt proste, by były prawdziwe, te zaś skomplikowane, opisujące rzeczywistość dokładnie, posiadają moc wyjaśniania minimalną, dotyczą bowiem jedynie wąskiego jej wycinka. Lawirujemy pomiędzy. Nigdy nie dostaniesz odwzorowania doskonałego. To wszystko są tylko analogie. Pamiętaj o tym. Model doskonały to byłaby równie skomplikowana, idealna kopia oryginału. Nic byś nie zrozumiał. Rozumiemy, bo upraszczamy. Myślnia? Monady? Kontakt? Nie popełnij błędu amatorskich popularyzatorów nauki i nie uwierz przypadkiem w słowa.

Nie znosił tego jej tonu. Ale zarazem cieszył się zeń, bo tu już nie mogło być żadnych wątpliwości, kto mówi: Marina Vassone.

– Więc nie Kontakt – sapnął. – Co w takim razie? We łbie namieszało mi potężnie, to na pewno. – Nadal miał ochotę opaść na cztery łapy i zaryczeć głośno, tak z głębi płuc, jednym dźwiękiem odpędzając wszystkich swych Wrogów.

Jak go uczono, pokierował własnymi myślami, skupiając się siłą woli na bezdesygnatowych abstraktach.

– To chyba był konstrukt zmysłowy z Nefele – rzucił. – Ale także… Wiesz – zmienił nagle ton i uniósł głowę -jestem dziwnie pewien, że od początku zbyt wiele w niej widzieliście.

– Mhm?

– W myślni. Jest w tym cel, ale nie ma świadomości: woda zawsze spłynie w najniższy punkt, chociaż przecież w żaden sposób tego nie planuje. Żywioł, oczywiście, siła natury. Schatzu chyba coś wspominał… huragany, wiry na powierzchni wody. Zaburzenia ośrodka, naturalne formy ainteligentne. A nie żadne monady, abstrakt-potęgi psychomemiczne. Wobraź to sobie jako ocean…

– Zauważ: sam budujesz modele.

– Tak, wiem. Potrzebuję słów. – Przesunął w powietrzu dłonią. – Idzie po oceanie fala. Co to jest? Forma miejscowych zaburzeń: cząstki w górę, cząstki w dół. Model, więc oczywiście znacznie bardziej skomplikowane, ale…

– Oczywiście. El Nino. – Kpisz!

– Daj sobie spokój, Nicholas, to nie twoja działka, wymyślasz od nowa tabliczkę mnożenia…

Do Hunta jednak coraz silniej to przemawiało. Żywioł, tak. Teleologia bezświadomościowa. Niech spojrzy na siebie samego: z

jaką intencją pojechał wówczas do Mariny? czy planował cokolwiek z tego, co się potem wydarzyło? czy taki miał cel? jakikolwiek…? Czy przez cały ten czas podjął choć raz decyzję, która czyniłaby go odpowiedzialnym za doprowadzenie do podobnej sytuacji? Czy w ogóle istniał jakikolwiek wybór?

I wejrzałem w twarz Absolutnego Zła – byt to bezrozumny żywioł.

Tak, jak rzekł psychoanalitykowi: wszystko szło obok. Gorzej: mimo i wbrew niemu. Może gdyby od początku… To znaczy – od kiedy właściwie? Od narodzin…?

Tymczasem diabeł nie ustępował.

– Panie…! – wołał z Mgły, sam niewidoczny, basowa banshee.

– No czego?

Tamten natychmiast wyszedł, rozdarł przestrzeń na ukos, nad Nicholasem. Buchnęło w Mgłę cieniami.

Hunt uniósł głowę. Przelotówka od Grobowców, z lewej strony mocne światła od jakiejś reklamy, z prawej wjazd na estakadę. Zaśmieconą ulicą szalonymi zakosami sunie facet na motorze, nierzeźbiony obszarpaniec; bardzo wolno, lecz czasami znienacka dodając na moment gazu. Bezwładnie przewieszony przez kierownicę, wydaje się zupełnie nie kierować maszyną, raczej jakby to motocykl nim i samym sobą powodował.

Najpierw Hunt pomyślał, że gość nie żyje – ale nie: ciało reaguje prawidłowo, utrzymuje równowagę, podpiera maszynę na zakrętach.

Podręczny czar powiększenia. Harley Davidson.

– Niech zgadnę. Poumpree AKA kutas złamany.

– Zero elektroniki, panie. Zabytek, przejedzie przez wszystkie światła.

– Dawaj go tu.

Sytuacja na froncie przedstawiała się coraz gorzej. Im zacieklej diabeł/Armia bronił Strefy, tym większe siły ściągały policje, tym trudniej przychodziło zatrzymać mieszkańców w domach. Zapewne Cienie byli już w drodze, bez wątpienia ściągano też Gwardię Narodową. AGENCI nie cofali się, nie oddawali pozycji. Ale przecież nie byli uzbrojeni stosownie do regularnych miejskich potyczek (większość nie była uzbrojona wcale). Spytał diabła i okazało się, że padło ich już czterdziestu sześciu.

Wszystko to jednak na razie rozgrywało się dwa-trzy kwartały stąd. Hunt siedział i nasłuchiwał, niczym odgłosów zbliżającej się burzy. Widział we Mgle plamy różnych świateł. Nikt tu już nie spał. Gdyby nie AGENCI, miałby Tłum na ulicach.

Szok i odrętwienie powoli mijały. Gdzie ja byłem, na Nefele? Powinienem się umyć, przebrać, myślał. Marina rozmawiała o czymś z diabłem na prywatnym kanale.

Wyprzedzony głębokim pomrukiem silnika pojawił się harley,

kierowany przez nie uzbrojonego AGENTA.

Nicholas nigdy dotąd nawet nie siedział na motorze. Nie miało to znaczenia: i tak ktoś musiał zabrać Marinę.

Z Mgły wyszli AGENT1 i AGENT3. Przesunąwszy odciętą dłonią przed oczyma, Hunt zamknął Mood Editor. Podniósł się bez słowa. Marina stała obok, przyglądając się sobie z opuszczoną lekko głową, dolną wargą przygryzioną do krwi. Prawdziwa Vassone w ogóle nie miała głowy.

Odebrał ją od fenoazjaty i usiadł za SWAT-owcem, który zajął miejsce sponiewieranego nieco AGENTA, tego, co przyprowadził tu motor. Hunt wziął ją na ręce – i syknął przez zęby: parzyła. W braku jednej dłoni musiał przyciskać do siebie to ciało omal jak niemowlę: nie mógł posadzić przed sobą, nie mógł położyć na kolanach. Bał się, że mu się wyślizgnie: nie miała kończyn, nie było za co schwycić. Ubranie na niej rozeszło się, popruło, zestrzępiło, naga skóra paliła w dotyku, miejscami czerwona, miejscami żółta. Elastyczne opaski podtrzymywały liczne krwiodajki wyszabrowane z rozbijanych po drodze automatów. Nie mógł dopatrzyć się oczu, w ogóle – twarzy. Skądś ciekła cuchnąca ropa, prawie czarna. Kiedy tak jechali przez Mgłę, z początku wolno, lawirując ulicami, czuł wewnętrzne poruszenia organizmu: to oddychało. Przyłożył nawet ucho. Coś tam biło.

Obok gnał na piekielnym rumaku Lucyfer. Koń-szkielet rzygał z białej czaszki niebieskim ogniem. Był tak wielki, że mógłby spokojnie przeskoczyć harleya wraz z jadącymi na nim. Za diabłem siedziała Marina, obejmując czarta w pasie.

– Czterolistna! – krzyknął nań Hunt. – Jak najszybciej!

– Tak, panie.

Gdzieś po lewej wyleciały w powietrze budynki – huk i ogień, fontanny gruzu. Wojna rozgorzała na dobre.

W górze warkotały śmigłowce. Nie widział ich przez Mgłę – ale tak naprawdę obraz przecież docierał do mózgu- CAV FBI! – diabeł przekrzykiwał łoskot kopyt straszliwego wierzchowca.

– Śledzą nas?

– Nie, panie. Ale jeden z pasażerów odpowiada fenotypowi zidentyfikowanemu przez ciebie jako porucznik McFly, panie.

Więc jednak nas wytropili! Kto? EDC, FBI, Moore, Zespół. Czy śledzą? Głupie pytanie. Nie traciliby na to czasu: od razu wypraliby serię, prosto z powietrza. Nie ma znaczenia, czy trend zwyżkuje, czy spada – to nie działa w skali jednostek nieprzypadkowych, rozkaz jest rozkaz.

Wypadli z Mgły w czystą noc. Hunt przypomniał sobie, że mamusia kazała mu zrobić zakupy. Zaklął. Ciągła niepewność co do natury myślni, to poczucie nieustającego zagrożenia… Nie miał

pojęcia, czy był to Kontakt, czy nie. A jeśli tak, to w jakiej intencji. I nawet jeśli nie – to co zostało dodane, zmienione w jego umyśle. Z Mariną było inaczej: nie potrafiła wskazać momentu infekcji, za to struktury przyłączone sama łatwo rozpoznawała. No a trudno powiedzieć, żeby już wcześniej nie dostrzegał Hunt u siebie irytujących rys, uskoków, luk, niezgodności. Nie był w stanie rozgraniczyć wpływów.

Czy zresztą w ogóle da się je rozgraniczyć? Wszystko to myślnia. Ale czym jest sama myślnia – tego nie wiedział.

Schatzu kontynuował:

– Zebrane przeze mnie dane wskazują, iż podatność ludzkich umysłów na transmitowane przez myślnię obce struktury psychomemiczne rośnie w czasie. Nie jest to tylko casus Nefele – sądzę, że dość szybko udowodnię to jako ogólną prawidłowość. Mentalne systemy immunologiczne psychozoików funkcjonują dobrze tylko do pewnego progu gęstości psychomemów, krytycznej presji myślni. Potem zaczynają się przecieki. Widzimy, jak rozszerzają się plagi sekt, a to tylko najwyraźniejszy objaw. Nie trzeba wcale estepu: kilkaset, kilka tysięcy lat – i, przypuszczam, wszyscy będziemy już na tyle wrażliwi, by mówić o nas jako o co najmniej empatach. Wpływ myślni będzie coraz bardziej widoczny.

Podniósł głos.

– Ale co to właściwie znaczy: „wpływ myślni"? – rzucił retorycznie. – Infekcje psychiczne. Czym mianowicie jesteśmy infekowani? Źródła mogą być dwojakiego rodzaju:

endokulturowe i egzokulturowe. Infekcje endokulturowe są trudno rozpoznawalne, ponieważ pokrywają się z poza-myślniowymi wpływami środowiskowymi. Dopiero w makroskali można rozróżnić. Tym zajmuje się memetyka analityczna; trzeba tu specyficznych narzędzi, sprawę dodatkowo zamętniają nasi wspaniali inżynierowie memetyczni, bo sztucznie indukowane przez nich trendy od lat płyną przez myślnię. Przecież cała ta memetyka stosowana opiera się de facto na psychomemetyce, tyle że przed Vassone nie znaliśmy jeszcze pojęć; lecz jedno zawiera drugie.

– Inaczej z infekcjami egzokulturowymi – podjął po chwili Schatzu, kończąc dygresję. – Te od razu rzucają się w oczy. To są rzeczy spoza naszej noosfery. Nie sposób pomylić. Internalizacja jest trudna i długotrwała. Lecz oczywiście już po przyswojeniu krystalizuje się z tego trend wewnątrzkulturowy: możliwie najwierniejsze odbicie oryginalnej infekcji, wariacja na temat. Tak zatem asymilujemy te obce elementy i z czasem każdy trend z egzokulturowego staje się endokulturowym – tylko że wtedy jest to już inna kultura, inna cywilizacja. Dzieje się to nieustannie. My promieniujemy sobą, Nefeleńczycy – sobą, i tak dalej. Idzie to przez myślnię z natężeniem

malejącym wraz z odległością. Chociaż w dużej skali czasowej odległość nie ma aż takiego znaczenia. Spójrzcie państwo.

Ściemnienie. Na ściennym ledunku powolna animacja 2D.

– Psychosfera A emituje w dookolną myślnię swą psychomemikę i, jak widzimy, infekuje psychosferę B. Psychosfera B, która de facto jest już psychosferą B(A), infekuje z kolei psychosferę C. C(B(A)) zaś – D. I tak dalej, i vice versa, każda każdą.

Poszczególnym psychosferom przyporządkowano różne kolory i na ścianie pulsował teraz wielobarwny fraktal. Po nagłym zwiększeniu skali myślnia zyskała niemal jednorodny odcień jasnego brązu.

– Konsekwentny zapis funkcji byłby nazbyt skomplikowany, to są wzajemne zależności idące w nieskończoność, odsyłam państwa właśnie do praw dyfuzji gazów, obserwacji zachowania cieczy. W każdym razie – dostrzegacie państwo wzór. Entropia myślni znajduje swoje odzwierciedlenie w zmianach kształtu cywilizacji. To, co otrzymujemy z Nefele – stanowi proporcjonalną wypadkową wszystkich kulturosfer, które istnieją i kiedykolwiek istniały we wszechświecie. Także naszej, rzecz jasna. Czas istnienia danej kultury w jej oryginalnej formie jest funkcją naturalnej podatności na myślnię umysłów jej nosicieli oraz sumy odległości dzielącej ją od innych psychosfer. Potem następuje wyrównanie potencjałów, myślnia się znów lokalnie ujednorodnia; zagęszczenie pozostaje, lecz produkowane są te same psychomemy co w psychosferach sąsiednich.

– Bzdury. Myślnia myślnia, ale materia rządzi się własnymi prawami. Nie przeskoczy pan obiektywnych warunków, dziedzictwa ewolucyjnego, fizyki ekosfery. A fizjologia rzutuje, i to jeszcze jak!

– Doprawdy? Niech pan nie nie docenia świata idei. My przecież znajdujemy się zaledwie na początku tej drogi, nasze umysły pozostają jeszcze prawie całkowicie odizolowane. Ciągła powszechna anamneza… Biologia na przykład – już jest w pewnym stopniu funkcją myśli. Zmienią się mody fenotypiczne, zmieni tryb życia, upodobania… Czy jest pan w stanie przewidzieć, jakie ciała będą modne za dwa, trzy pokolenia? Estetyka pada pierwsza. Że przytoczę fragment „Chaosu Genowego" profesora Krasnowa: „Nic zatem, dosłownie nic nie przechodzi z matki i ojca na „ich" dziecko, nawet kody mitochondrialne. Ewolucja gatunku została ucięta niczym lancetem, dalej już tylko ewolucja mód". A mody, wszyscy wiemy, skąd się biorą.

Schatzu wyraźnie się rozgrzał, nie dawał słuchaczom zebrać myśli.

– Co pójdzie w drugiej kolejności: ekonomia. Gdy zmienią się preferencje konsumentów, skręci i ona. Nawet nie zauważymy zmiany kierunku długofalowych trendów, takich rzeczy nigdy się nie zauważa współcześnie. A już zwłaszcza w Wojnach Ekonomicznych. Przecież

nikt nie planuje, wszyscy walczą. – Akcentując poszczególne słowa, jeszcze mocniej pochylał się nad mównicą. – W konsekwencji w nieuchronny sposób zmieni się prawo. Tak jak zwykle: trochę tu, trochę tam; ale skuteczniejsze rozwiązania kopiują się same. A cóż nam wyznacza normy prócz prawa właśnie? Nie obyczaj przecież, nie wiara, nie przyzwoitość; nie ma czegoś takiego. Zmienią się zatem i normy, standardy zwyczajności, kryteria moralności. Odetchnął, wyprostował się.

– Proszę przeprowadzić w wyobraźni kilkanaście takich iteracji – rzekł, już ciszej. – Bądźmy uczciwi. Jakim sposobem myślnia mogłaby nie zwyciężyć?

– Co pan właściwie przez to rozumie? – poderwał się wysoki rzeźbieniec z pierwszych rzędów. – „Zwyciężyć"! Zakłada pan inteligencję, plan…?

– No nie, to oczywiście była przenośnia. Jak mówiłem, trzymam się hipotez najuboższych – i wyciągam logiczne wnioski. Skoro się buduje model, należy być konsekwentnym i po puszczeniu go w ruch przyjrzeć mu się w każdym momencie procesu: wczoraj, dzisiaj, jutro, w nieskończoności. Mamy myślnię, Nefele, mamy pewne przesłanki co do charakteru wpływów… Przeprowadzamy prosty eksperyment myślowy i co widzimy?

– No co?

– Że tak naprawdę w całym wszechświecie, na wszystkich planetach, we wszystkich niszach życiowych – istnieje tylko jedna cywilizacja, jedna kultura. Jeden gatunek. W najdosłowniejszym znaczeniu!

Szum na sali.

– Powtarzam: jeden gatunek! Myślnia uśrednia ostatecznie. W końcu bowiem każda cywilizacja, prędzej czy później, osiąga ten próg technologii, który umożliwia jej autorzeźbienie. A jeśli nawet nie, to idea, wiedza o autoewolucji – one są w myślni. Na dłuższą metę nikt się nie uchroni. I zaczyna się profilowanie. Podług czego? Podług płynących przez nią trendów.

– Co pan przez to rozumie? Że zamiast Homo sapiens za iks pokoleń będziemy tu mieli… kogo? Psychosoic universi?

– Dokładnie.

– I co to za bestie? Robaki krzemowe? Gorące plazmowce? Humanoidy białkowe?

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Zresztą mówię: gatunków wypadkowa. Ostatecznie przekonamy się sami. To znaczy już nie my. Potomkowie. Czy pana prawnuk nadal będzie oddychał tlenem. Bo może tlen będzie już niemodny.

Schatzu uspokoił się, wyrównał oddech. W polemicznej gorączce zapominał nawet o NEti.

– Zresztą – wzruszył ramionami – można pospekulować. Z pewnością w kształcie będą miały przewagę cechy preferowane przez ekosfery wszechświata młodego. Puścić równanie Drake'a w czasie i posadzić nad tym astrofizyków i biologów… Cięższe pierwiastki ruszyły stosunkowo niedawno, więc niższy procentowo udział form od nich zależnych… I tak dalej.

– Zatem co pan właściwie proponuje? – żachnął się rzeźbiony z identyfikatorem EDC. – Bo jak na razie brzmi to wszystko okropnie fatalistycznie. Skoro i tak nie możemy nic poradzić, bo takie są naturalne prawa…

– Musimy się bronić, póki jeszcze jesteśmy w stanie! -zaoponował Schatzu. – Opracować jakiś długofalowy program ochrony naszej psychosfery. Zagwarantować zachowanie odrębności człowieka jako gatunku i cywilizacji. Przede wszystkim nie można pozwolić na swobodne rozprzestrzenianie się genów telepatii. Odsyłam państwa do „Chaosu Genowego" profesora Krasnowa i polemicznych prac doktor Vassone. Przecież, do licha, wszyscy wiemy, że kiedyś Słońce jako czerwony olbrzym spopieli Ziemię, że już nie wspomnę o nieuchronnej śmierci wszechświata – ale to nie jest powód, żeby się z miejsca poddawać!

– Jakieś konkretne propozycje?

– Nie wiem, czy państwo słyszeli o futuroskopie Krasnowa, który był prezentowany w innej grupie przez doktora Jugrina. Gdybyśmy uzyskali środek o odpowiednio dużej mocy lub znaleźli genom kodujący wysoką podatność… żeby udało się przekroczyć próg autokatalizacyjny efesu…

– To co?

– To bylibyśmy w stanie tak pokierować zdarzeniami by uniknąć tej przyszłości! Choćby była nie wiadomo jak wysoce prawdopodobna!

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumuję – zmarszczył brwi rzeźbieniec z EDC – ale ja także byłem na tym wykładzie doktora Jugrina i w świetle pańskiej interpretacji myślni wcale nie wygląda to tak różowo. Skoro w Hacjendzie wpadli na ten efes zupełnie przypadkiem… mój Boże, ze snu!… a potem tak szybko, łatwo i bezbłędnie go rozwinęli, to musi się jego idea odbijać w myślni silnymi i licznymi strukturami psychomemicznymi. Rzekłbym, że stanowi nawet jedną z cech konstytutywnych Psychosoic unwersi. Zatem proponowana przez pana strategia tylko wzmocniłaby zgubny dla naszej tożsamości trend.

– Ależ w ten sposób rozumując, z góry stawiamy się na przegranej pozycji – zaperzył się Schatzu – bo czegokolwiek nie wymyślimy, ex definitione pochodzić to będzie z myślni! Toż to jakiś pieprzony metafizyczny Paragraf 22!

– Cieszę się, że pan również to zauważył – skwitował wojskowy

sarkastycznie.

17. KSTP

Ocknął się, gdy mijali zjazd do jednej z enklaw Bezpiecznej Starości. Świtało. Para zwierznic gnała na czworakach poboczem – tylko mu mignęła.

Sto czterdzieści na godzinę. Obejrzał się za siebie. Nowy Jork spowijały chmury tłustego dymu, obłoki szarańczy – Hunt widział co innego: ciężką kołdrę myślni. Promienie wschodzącego słońca z trudem się przebijały. W oczach Nicholasa już nawet nie wyglądało to na ludzkie miasto. Psychosoic unwersi; tak.

Także bez Grudnia byłoby to nieuniknione. Nowe idee, nowe wynalazki, skojarzenia coraz oczywistsze… Czemuż się dziwią takiemu przyspieszeniu postępu od XIX wieku-Zaczęliśmy tracić odporność, spadała sprawność immunologii umysłów, schematy myślowe przebijały się coraz łatwiej. Na tym przecież polega rezonans formy: cokolwiek raz wymyślone/zrobione, znacznie łatwiej wymyśleć/zrobić po raz drugi, chociaż niby od nowa. Więc przeciekają coraz mocniej: teorie, idee, mody, kulty; nauka i religia; uśrednionia psychomemiczna pulpa wszechświata.

Żadnych decyzji, żadnych planów, żadnych wyborów -bo czy ktokolwiek dokonuje tu jakichkolwiek wyborów? Jeśli pojawią się takie technologie i moda obróci się ku nim, automatycznie poprze je ekonomia i zaroi się na granicach tego fraktala od zawsze wygłodniałych Krasnowów. Politycy nie sprzeciwią się, nie pójdą przecież wbrew społecznym trendom. Zgodnie z regułami metaksokracji, gospodarki i prawa kolejnych państw czym prędzej się zaadaptują, by nie pozostawać w tyle – nie ma wszak nikogo, kto „panowałby" nad Wojnami Ekonomicznymi, kto kontrolowałby bieg zdarzeń, choćby w najmniejszym stopniu. To Wojny panują nad nami. To nieuchronne, ów spływ po liniach najmniejszego oporu, tak konwergują gatunki i tak konwergują cywilizacje. Któż nakaże rzekom płynąć pod górę?

Oto jest metaksokracja wszechświata.

Natomiast osłabieni, zarażeni Grudniem, zezwierznicowani do ostatka…

AGENT1 zakręcił, zahamował, myśl uciekła. Hunt odruchowo przycisnął do piersi gorący, cuchnący krwią, potem i uryną blok mięsa, z wnętrza którego przebijały grzbiety kontynentów spotworzonego kośćca. Diabeł/AGENT1 wyhamował po kawał er sku, tuż nad stromym stokiem skarpy, po której z prawej strony droga opadała do zamkniętego, prywatnego parku, i dalej, za park, gdzie błyszczało w świeżym słońcu wysokie ogrodzenie Czterolistnej. Sam zakręt częściowo skryty był w cieniu, nisko nad wewnętrzne pobocze

schodziły bowiem podrzeźbione drzewa przedziwnych gatunków.

– Tu miał czekać – zsiadłszy ze swej groza-szkapy, wskazał Lucyfer tablicę informacyjną przy zakręcie.

Rzeczyście, tak się umówili by e-mail tuż po opuszczeniu przez Nicholasa Grobowców.

Hunt rozwinął z prawego przedramienia ledpad. JESTEM, CZEKAM, napisał Qurantowi. Julius najwyraźniej zajęty był jednak czym innym, nie odpowiedział.

By uwolnić lewą dłoń, Hunt musiał przekazać ciało Mariny AGENTOWI l. Teraz wstał z harleya, rozprostował nogi. Podszedł do barierki zabezpieczającej zakręt od zewnątrz, długi cień spełzał mu od stóp po zarośniętym superkudzu stoku, ku enklawie. Z tej odległości widział niewiele więcej jak białe elewacje willi i geometryczny gąszcz soczystej zieleni, poprzecinany nitkami dróżek, alei i ulic.

Jednak diabeł, który zarządzał resztą mózgu Nicholasa, rozpoznał oznaki niebezpieczeństwa.

– Spójrz, panie. Zoom, zoom, zoom.

Porzucona na środku chodnika zabawka.

Kanapa do połowy wysunięta z domu przez okno na piętrze.

Mężczyzna przemykający pod ścianami, cieniem, przygarbiony, kulejący.

Niekompletnie ubrana dziewczynka płacząca na ławce.

Cherokee zaparkowany krzywo na trawniku.

Krew na szybie. Lub jakaś inna ciecz o podobnej barwie i konsystencji.

Hunt bez słowa usiadł na barierce.

– Zapaliłbym – rzucił po chwili w przestrzeń. Marina, która przysiadła obok, wyczarowała z czarnego rękawa cienki nikotynowiec, diabeł podał ogień.

Nicholas zaciągnął się głęboko.

– Dzięki.

Przyglądał się formom przyjmowanym przez dym. MUI znowu poszedł w ornamentykę śmierci: czaszki, upiory.

– Widać Bronstein nie zadbał do końca – uśmiechnął się do Mariny (uśmiech jako maska dla gniewu). – Chyba jednak nie jest nam pisane.

– Póki życia – mruknęła Vassone, obrzucając obojętnym spojrzeniem swoje pokrak-ciało – poty rozczarowań.

– Panie, ja nie sądzę, żeby im tam faktycznie zniszczyło umysły, jeśli tego właśnie się obawiasz.

– Ty nie sądzisz?

– To nie jest sytuacja Grobowców. Proszę się przypatrzyć. Gdyby to były małpy…

– Więc co?

– Jakaś silna monada ekstrawertyzmu, może agresji; ale także strachu. Ulice są puste…

– Jest wcześnie.

– Tak. Ale, panie… Tsztuk! Tsztuk! Tsztuk!

Marina krzyknęła rozpaczliwie, instynktownie rzucając się ku swemu ciału – SWAT-owiec spadł z harleya, upuszczając je na jezdnię.

Tyle Hunt zdążył zobaczyć, zanim diabeł/Baryshnikov nie przewinął go przez barierkę i stoczył w dół zbocza; kule zaraz zastukały o balustradę.

– Stop! – Hunt zacisnął prawicę w pięść.

Diabeł/Baryshnikov zatrzymał go sześć stóp poniżej poziomu drogi, w szczególnie wysokim gąszczu podrasowanego genetycznie kudzu. Hunt odruchowo próbował się złapać tych roślin, podciągnąć – rwały się i zostawały mu w dłoni.

– Obraz – sapnął, obracając się na plecy i wyszukując stopami oparcie.

Ale już nie miał Armii i nie było mowy o obrazie stereograficznym – diabeł dysponował zaledwie jednym skanera, od AGENTA1. Ten zaś leżał pod przewróconym harleyem, wykrwawiając się od licznych postrzałów, o czym Lucyfer nie omieszkał poinformować Hunta, gdy otworzył dla niego obraz czystego, błękitnego nieba, w które wpatrywał się niezdolny do poruszenia głową SWAT-owiec.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – warknął Hunt w OVR, wciąż na dopingu adrenalinowym, przerażony, nasłuchujący kroków mordercy nad głową. Panowała jednak cisza. Do Hunta wszakże przyssało się, szybko sprowadzone po ścieżkach przetartych skojarzeń, wspomnienie równie nagłych i niespodziewanych strzałów na tarasie nad rozpędzonym Tłumem, niemutowalne wspomnienie rozpadającej się niczym przegniły arbuz głowy Colleen…

– Chyba go dostał, panie.

– To widzę. Ni ręką, ni nogą.

– AGENT strzelającego. Zdążył posłać serię, taki miał skrypt.

– Nie słyszałem.

– Ma wbudowany tłumik. Rzeczywiście.

Weźże się w garść, Nicholas! – Marina?

Wylądowała zgrabnie obok niego w lekkim przysiadzie, bezszelestny cień.

– Dwa postrzały, ale niegroźne, o ile potrafię ocenić.

– Potwierdzam – rzekł Lucyfer.

– Co teraz? – spytał ich Hunt. – I kto to w ogóle jest, na litość boską? Tamten coś zobaczył? Skoro go trafił… Lucek!

Diabeł posłusznie odtworzył skan V AGENTA1 i cofnął się do odpowiedniego momentu. Otrzymali obraz mężczyzny z pistoletem w

ręce, zbiegającego pomiędzy drzewami na łeb, na szyję. Powiększenie, wyostrzenie. Twarz: Julius Qurant.

– No tak.

I co za twarz: żywa karykatura wściekłości, żalu, desperacji. Chyba płakał. Strzelając, wykrzykiwał coś. Potem potknął się i przewrócił.

Idiota! Idiota, idiota, idiota, powtarzał sobie Hunt. Sam podszedłem wariatowi pod lufę. Wskazał mi miejsce, czas – a ja grzecznie ustawiłem się na strzelnicy.

Odczekali jeszcze dziesięć minut, ale gdy na górze wciąż panowała cisza (konający AGENTl także niczego nie słyszał), Nicholas zaczął się wspinać. Z jedną dłonią i zdradzieckim kudzu jako jedyną pomocą we wspinaczce – pokonanie tych dwóch metrów zabrało mu kolejnych pięć minut. Gdyby nie Baryshnikov, nie wydostałby się w ogóle.

Przeszedłszy w końcu przez balustradę, rozejrzał się za Qurantem. Leżał on dokładnie tam, gdzie trafił go AGENTl: kilkanaście kroków w górę zbocza, zahaczony kolanem o pień młodej świerkososny.

Hunt zdjął z AGENTA1 motocykl, ciało Mariny przeniósł ostrożnie na trawę, w cień wielkiej tablicy inforrnacyjnej, po czym wspiął się do Quranta.

Julius dostał przez pierś, niezbyt precyzyjnie, ale skutecznie. Współczesna amunicja praktycznie gwarantowała śmierć w przypadku każdego postrzału w tułów lub głowę: subpociski, pociski odkształcające, wrednie grzybkujące, miękkie, płynne, trójstopniowe, zatrute, nadziane ultrazj adliwymi RNAdytorami… W większości były one co prawda nielegalne, lecz i tak SWAT-owiec nieźle sobie poradził ze swym rządowym ergokarabinkiem.

Qurant oddychał bardzo ciężko, świszcząc ohydnie, wraz z powietrzem i urywanymi słowy oddając ustami jasną krew. W piersi mlaskało mu głośno przy każdym wdechu.

– …że… ją… wie… dzia… wyście… kur… ży… gdyby… ale… nie… wy… ty… łaby… kur…

Sensu w tym za grosz, ale czegóż się spodziewać po człowieku w szoku przedśmiertnym?

– Moim zdaniem – rzekł diabeł/behawiorysta – on tego nie zaplanował. Wykorzystał sytuację, gdy odbiło mu z myślni zemstę, panie. Gdyby chciał od początku, to już dawno…

– Ja jej przecież nie zabiłem! – rzucił z goryczą Nicholas. – Słyszysz? – Pochylił się nad Juliusem. – To nie moja wina!

– To nie ma żadnego znaczenia, Nicholas. – Marina położyła mu dłoń na ramieniu, drugą ręką podała tamtego nikotynowca. – Nas mógł nienawidzieć. To się liczy. Czy ty sądzisz, że ja naprawdę wierzę, że to Chigueza zamordowała Jasa? To znaczy – w tym sensie, że

zrobiła to osobiście lub osobiście wydała taki rozkaz? Aż taka naiwna to ja nie jestem. No chodź.

Schodził powoli z powrotem na jezdnię. W takim świecie – myślał, patrząc pod nogi – w takim świecie zawsze nienawidzi się, obwinia i pociąga do odpowiedzialności osoby zastępcze, ponieważ gdyby istotnie chcieć być sprawiedliwym, dojrzelibyśmy wyłącznie ofiary i wszystkich musielibyśmy uniewinnić. Alternatywą jest sądzenie podług intencji, słabości i zaniechań – i wtedy wszyscy jesteśmy winni. Czy zatem rzeczywiście nie jestem winien śmierci jego żony? Zapomnijmy na moment o żywiołach. C z y nie jestem winien? Colleen, Colleen o łabędziej szyi…

W międzyczasie przyplątał się skądś łaciaty pies. Chłeptał teraz krew z kałuży przy głowie AGENTAl, różowy ozór pracował jak wiatraczek. Hunt złapał psa za obrożę, pochylił się nad SWAT-owcem i – zorientował się, że zabrakło mu ręki; na dodatek ścisnęły go nad obojczykiem bóle popostrzałowe, mało nie stracił przytomności, AGENT1 bardzo cierpiał. Nicholas puścił psa (zwierzę odbiegło kilka metrów), kilkakrotnie odetchnął głębiej, po czym wyjął zza pasa AGENTAl Trupodzierżcę i powoli podszedł do kundla. Pies zaczął obwąchiwać krocze Nicholasa. Hunt strzelił mu w łeb.

– Lepszy rydz niż nic – mruknął, gdy AGENT1409, skomląc, zwijał się na asfalcie.

– Co?

– Mhm?

– Co powiedziałeś?

– Że lepszy taki AGENT niż żaden.

– Nie, nie – kręciła głową Marina. – To nie było po angielsku. Czytałam twoje dossier, znasz jeszcze tylko francuski, a i to kiepsko. To nie było również po francusku. Zapytaj diabła.

– A dajżesz mi teraz spokój!

Enklawa rozciągała się przed nim wielką makietą pudełkowatych domków i plastikowych drzewek, bajkowo rozsłoneczniona przez promienie wielkiego słońca, teraz jeszcze częściowo ukrytego w szerokich woalach różu rozpościerającego się na ćwierć nieboskłonu. Od owych kolorów człowiek oddychał jakoś głębiej, zatrzymywał się, by posmakować powietrze na języku. Czterolistna z tej odległości prezentowała się zaiste jako enklawa spokoju i bezpieczeństwa. A co to była za odległość – wystarczyło przymknąć jedno oko i miał ją na wyciągnięcie ręki. Skażony owoc.

– Niech się rozejrzy – skinął na AGENTA1409.

Diabeł rzucił psa w bieg w dół skarpy. Zwierzę oczywiście nie dostanie się do środka enklawy, automatyczni strażnicy działają nawet w braku ludzkich nadzorców -lecz może znaleźć materialne oznaki wpływu monady, pomóc oznaczyć zasięg.

– Gdybym miał Armię… – zastanawiał się dalej Nicholas, rozmasowując w piersi bóle popostrzałowe SWAT-owca. – A właśnie, co z nią?

– Zbyt wielka odległość, panie.

Gdyby miał Armię, zapuściłby na tysiącu umysłów Modlitwę i odpędził monadę. Mógłby zapuścić Modlitwę także bez Armii, używając programu zgodnie z jego przeznaczeniem, to znaczy do modulacji emisji Grzyba z cudzych Tuluz – no ale żaden z mieszkańców Czterolistnej nie miał wszczepki, konstytucja zabraniała.

U progu ziemi obiecanej – odprawiony. Widzi, lecz nie może wejść.

A przecież tu chodzi tylko o przywrócenie ich umysłom spokoju, osłonięcie od nawałnicy. Zdał sobie nagle sprawę, że rzecz cała jest znacznie prostsza, niż wynikałoby to ze wszystkich tych modeli. Bo czy był w ogóle taki moment – sięgał aż do najgłębszych pokładów jego pamięci, to znaczy: dzisiejszej jej wersji – taki moment, w którym mógłby rzec: „Oto jestem prawdziwy ja"? Nigdy. Pamiętał matkę pamiętającą go jeszcze we wnętrzu inkuba – czyli sam siebie tak pamiętał – czyli był nią. I potem, gdy dorastał – tak samo. I z ojcem (och, czemuż naprawdę nie umarł…?) – tak samo. I z dziećmi w szkole – tak samo. Pamiętał takie lekcje, podczas których w reakcji na pytanie nauczyciela milczał lub dawał złe odpowiedzi, pomimo że doskonale znał dobre. Lecz nie znało ich żadne z pozostałych dzieci, nie mógł zatem, nie był w stanie ich wypowiedzieć! Ale, do licha, wciąż był sobą! To nie czyniło go zwierznicą! Tak, napisał prawdę: również na pamięci nie można polegać, ona także podlega ewolucji zgodnie z osobistym Programem. Podobnie nie można polegać na produktach zmysłów, matrycach skojarzeniowych, powierzchownych myślach. To wszystko przychodzi z myślni, napiera; ciało monad. Ale też nie stanowi o tożsamości. To tylko dane, na których operuje Program. A świadomość -świadomość jest procesem, nie stanem.

Postawił harleya, usiadł bokiem. Nikotynowiec wciąż był tak samo długi, mógł go palić przez wieczność. AGENT1 chyba wreszcie skonał, bo zmienił się znacznik przy ikonie MoP-a. Co do Quranta – nie zamierzał sprawdzać. Marina wdała się w jakieś prywatne pogawędki z diabłem.

W gruncie rzeczy, powtarzał sobie, przyglądając się spod wpółopuszczonych powiek enklawie (od czasu do czasu mignął w bajkowym miasteczku plastikowy ludzik: jasna główka, długi cień), w gruncie rzeczy idzie więc jedynie o umożliwienie Programom swobodnego działania. Nie ma znaczenia, co przeciekło z myślni, nie ma znaczenia pamięć dodana, wszystkie te wparte psychomemy.

Schatzu się myli – priorytetem nie jest bynajmniej „zachowanie odrębności człowieka jako gatunku i cywilizacji". Nawet jako

Psychosoic universi będziemy się bowiem różnić Programami i w tym sensie pozostaniemy ludźmi; lecz nie – jako zwierznice, nie – w tak silnym uścisku monad.

– Marina!

Musiał wołać ją jeszcze dwukrotnie. Podeszła doń wreszcie wraz z diabłem.

– Czy w ROM-ie tego nano Vittoria masz może software do designu i produkcji wirusów RNAdycyjnych? Vittorio jakoś przecież sprokurował dla mnie to serum prawdy, bionano regeneracyjne…

– A o co ci chodzi?

– Masz?

– Mam, chyba mam.

Tym samym przyznawała, iż już od jakiegoś czasu działa jej wszczepka skonfigurowana z tego nano; ale to pominął milczeniem.

– Przekopiuję ci po Trupodzierżcy dokumentację konferencji. Są tam załączone pliki z wzorcowymi DNAM, także estepu. Nałóż je na DNAM moje, swoje, czyje tam jeszcze znajdziesz – byle stare. Fragment DNA zastępowany przez estep, a wyjdzie ci to z matchingu, wytnij i wdrukuj na jego miejsce w Grudniu. Zsyntetyzuj mi to jak najszybciej. Oczywiście droga przenoszenia kropelkowa i żadnych wstępnych warunków wyzwolenia. Zresztą, co ci będę mówił, lepiej się na tym znasz ode mnie.

– Nareszcie, panie.

– Słucham?

– Wielokrotnie próbowałem ci, panie, wytłumaczyć, że najprostszym wyjściem jest odwrócenie Grudnia i wypuszczenie kontraestepu, ale nigdy, panie, nie raczyłeś mnie wysłuchać i…

– Że co? Nic takiego nie mówiłeś! Próbujesz mi powiedzieć, że sam to wymyśliłeś?

– Tak, panie. To prosta rewersacja.

– Łżesz, diable. Co jak co, ale to pamiętałbym na pewno.

– Oczywiście. Błagam o wybaczenie, panie.

Hunt odprowadził diabła nieufnym spojrzeniem. Co się z tym menadżerem dzieje?

Zaciągnął się nikotynowcem. Rzecz jasna ten, mhm, kontraestep nie załatwi wszystkiego, bo Grudzień nadal będzie krążył. Ale kaestep bez wątpienia zwiększy sumaryczną odporność na myślnię, uchroni przed powszechnym zezwierznicowaniem, utrudni formowanie się Tłumu i pozwoli na przynajmniej okresowe pacyfikacje terenów zajętych przez monady roślinne. Z czasem zapewne ktoś skonstruuje ulepszoną wersję kontraestepu, na przykład całkowicie uodparniającą ludzi na estep, czyli także na Grudzień.

Doprawdy, aż dziwne, że nikt wcześniej na to nie wpadł, przecież to tak proste – banalne odwrócenie idei Grudnia. Fakt, czemu sam

wcześniej nie wpadłem…?

AGENT1409 dotarł do granicy enklawy i diabeł zaproponował otwarcie skanu. Nicholas kazał mu zawrócić psa, jako że może się on okazać bardzo przydatny jako roznsiciel nowego wirusa.

Coś tu jest nie tak, myślał, idąc ku tablicy informacyjnej. Kontraestep był przecież tak oczywisty…

– Masz już? – spytał Marinę, która stała nad swoim ciałem z rękoma za plecami, zapewne słabo obecna w OVR.

– Taa.

– No co?

– Postawiłabym, że o to właśnie chodziło Bronsteinowi – stwierdziła unosząc wzrok.

Wzruszył ramionami.

– Możesz na mnie chuchnąć?

– Nie jestem zbyt silna – uśmiechnęła się sucho. – Niżej. Poszedł w parodię (która jest formą form) i przyklęknął na trawie obok jej ciała. Patrzyła – oczywiście teraz już tylko jego oczyma, a raczej dzięki jego oczom, bo kąt widzenia symulowało jej jednak inny – patrzyła, jak składał tułów w karykaturze pozy pobożnego muzułmanina i dotykał wargami brunatnej plamy wybroczyn na czymś, co mogło być jej plecami, brzuchem lub udem – ale tak naprawdę nie należało już chyba w ogóle do ludzkiej anatomii.

– Nicholas?

– Mmh?

– Nie sądzę, żebym jeszcze długo wytrzymała. Jeśli możesz…

– Boże drogi, Marina…

Edytory ruchu na pewno mocno wygładzały jej wizerunek, więc nie był w stanie odczytać z wyglądu, mimiki, gestykulacji (jak zwykle bardzo oszczędnej), co tak naprawdę przebija się spod powierzchni tą po raz pierwszy otwarcie wyrażoną prośbą. Lecz jakoś nie był ciekawy, nie miał ochoty tam wejrzeć (nawet odruchowo odsunął się od ciała). Strach, to bez wątpienia, strach o życie, i nieustannie obracające sięying/yang rozpaczy/nadziei. Co jeszcze – nie chciał wiedzieć. Tylko w oddaleniu prawda. Przypomniał sobie ów fatalny romans telefoniczny, twarz dziewczyny, gdy patrzyła mu w oczy, powoli pojmując; i jej ostatni telefon.

Teraz wiem, czym jest, pomyślał. Teraz wiem. I zaraz tu – podjął straceńczą decyzję – złamię wszelkie etykiety, skruszę formy, skoczę z mostu, zamknę oczy i obnażę się, wypruję z siebie na jej oczach flaki. Vassone, Melton-Kinsler czy wszczepka wojskowych nanomatów – bez znaczenia. Tak. Gdy spyta, odpowiem jasno i szczerze. Nie będzie już żadnego MUI między nami. Poproszę o wybaczenie. Niech zrozumie. Wiem, że zrozumie. I znowu będzie, jak niegdyś z Imeldą, światło i ciemność, dusza na opuszkach palców…

Podniósł na nią wzrok. Wpatrywała się weń z jakimś desperackim napięciem. Co mogło do niej przeciec po mysini?

– Nawet wtedy – szepnęła – wiedziałam, że to nie ty. Wstał, wyprostował się. Czy coś takiego mogła powiedzieć Marina Vassone?

– Cóż – skrzywił się, ostentacyjnie cyniczny – ja tego nie wiedziałem.

– Nicholas – zaczęła i poznał po twarzy, że zamierza mu się z czegoś zwierzyć -ja…

– Nie, nie! – zamachał rękoma. – Po co mi to mówisz? No po co? Co cię, cholera, nagle napadło, żeby tu… – zabrakło mu słów, dokończył dłonią.

Wtłaczając gniew z powrotem do środka, odwrócił się od niej, otrzepał i wygładził płaszcz, otarł usta. Nic nie pozostało ze stanowczych postanowień sprzed dziesięciu sekund.

Bo cóż innego chroni nas przed czernią, jeśli nie forma? Istnieją granice, których nie należy przekraczać. Co ona najlepszego chciała tu zrobić? Rozumiem, boi się śmierci, ale – na litość boską! trochę taktu…!

– Panie – wtrącił się diabeł – gorąco doradzam usunięcie stąd ciał i zjechanie z drogi. Najwyraźniej nie jest ona zbytnio uczęszczana, ale gdyby jakiś…

– Takiś mądry? – sarknął błyskawicznie rozwścieczony Nicholas. – Wymysł mi ty lepiej, jak zarazić tamtych w enklawie!

– Nie wiem, czy to ma jeszcze jakikolwiek sens, skoro nie żyją zarówno Colleen, jak i Julius Qurant, panie.

Hunta to zmroziło. Bo istotnie, jakim prawem miałby się teraz domagać wpuszczenia do Czterolistnej? Miał ochotę rzucić się Lucyferowi do gardła i dusić, dusić, dusić…

Wtedy go oświeciło:

Prawem wybawiciela od Zarazy, oto jakim.

Zaśmiał się na głos. Nie zdrajca, lecz zbawiciel! Można ruszyć i taki trend, czemu nie? A co dopiero z poparciem Modlitwy!

Odrzuciwszy papierosa, podszedł do harleya. Jeszcze będę pieprzonym bohaterem narodowym!

Powiem tak: przynoszę wam tu przyszłość, w której nie…

Zamarł w pół kroku nad ciałem AGENTA1. Zrozumiał wszystko. Przypomniał sobie. Wykład Jugrina, ściśniętą w środku wiązkę linii czasu. Siebie samego.

Nie ma sprzeczności. Jest tak, jak jest: zarazem stoję tu nad Czterolistną i śpię na kolorowych poduszkach w izolatce Hedge'a; Skrytojebca żyje i nie żyje; mam dłoń i nie mam dłoni; Marina jest zdrowa i Marina umiera…

Bo jakoś tak się składa, że rozważając prawdopodobne przyszłości zawsze patrzymy od naszego „teraz" w przód, zakładając siebie jako

punkt odniesienia – nigdy zaś nie podejrzewając odwrotnego porządku. A ja teraz wiem: żyję w złożeniu niepewnych wariantów, żyję w cudzej futurpamięci!

Żyję w cudzej – Bronsteinowej – futurpamięci, a redukcja jeszcze nie nastąpiła. Dokładnie tak, jak mówił major Fuzz. Zdecyduje się dopiero post factum.

Dookreśli mnie więc trend, który zdominował pamiętającego. Ziszczę się w wariancie optymalnym: ten lub ten; więc może cała ta moja odyseja nie okaże się wcale prawdą i zniknie wypłaszczona do nieprawdopodobieństwa?

Przeżyję? nie przeżyję? I jeśli nawet – to jako kto? A Marina? Z dwóch równoważnych historii zawsze przyjemniej zapamiętać tę kończącą się przynajmniej jakimś pozorem happy endu. Lecz z drugiej strony: forma domaga się tragedii. Czerń, czerń pokrywa wszystko.

Nie skończy się dobrze, nie.

Wcześniej spełniło się proroctwo Lucyfera i zza zakrętu dobiegł szum pędzącego samochodu. Spoza drzew wypadł zabytkowy sedan i natychmiast zaczął z piskiem opon hamować, wykręcając się bokiem w kontrolowanym poślizgu. Za szybą na siedzeniu obok kierowcy Nicholas ujrzał wyraźnie twarz porucznika McFly'a.

Diabeł/Baryshnikov rzucił Huntem ku barierce i skarpie, lecz Nicholas zastopował go jednym gestem prawej dłoni. Podniósł ergokarabinek i (Ranger on) wpakował resztę magazynka w sedana, zabijając na miejscu kierowcę, raniąc McFly'a i doszczętnie niszcząc przód wozu.

McFly wypadł z auta i przetoczył się na pobocze; kończąc ruch, płynnie stanął na nogi. Rozpędzony AGENT1409 skoczył mu do gardła. McFly zdążył tylko krzyknąć: – Hunt! Nie!

Hunt puścił bezużyteczny karabinek. Baryshnikov ponownie złapał go w swe szpony. Przekładał już nogę przez balustradę, gdy znowu zastopował go i zawrócił. Podbiegł do tablicy, uniósł gorące ciało. Teraz trudniej. Krzyknął na diabła. Na skarpę i w dół. Za plecami słyszał warczenie AGENTA1409 i krzyki porucznika McFly'a.

Po kłującej wyściółce kudzu zjechał na sam dół, jakieś dwadzieścia metrów. Od bramy w enklawie dzieliło go dalszych sto metrów w poziomie. Od razu zaczął ku niej iść (nie był w stanie biec z Mariną na rękach), chociaż doskonale wiedział, że brama się przed nim nie otworzy; ale kiedy szedł, mniej się bał. Zdawało mu się nawet, że przez hałas własnego oddechu słyszy charakterystyczny hurgot-łopot wirników śmigłowców.

To coś, co niósł – wiedział, że to nie jest Marina: ona szła obok. Jednak tulił, obejmował, przyciskał do piersi, pochylał głowę. Jakby już przeczuwając strugi gorących pocisków i pragnąc wszystkie wchłonąć samemu. Krzywił twarz, może do furii, może do płaczu. Ta

rzecz była ciężka, ale ciężar nie miał znaczenia. Nic go nie obchodziło, kto widzi. Wiedział, że celują. Proszę. Już blady półuśmiech. Gdyby sądził, że jest nadzieja na odwrócenie losu… Jakież szczęście miał Vittorio!

Pies przestał szczekać, ktoś za to zbiegał ciężko po stoku. Hunt nie oglądał się. Równomiernie stawiał stopę za stopą, wytrwale mantrując w myślach.

Nie mogą mnie jeszcze zabić, powtarzał sobie. Nie mogą; jeszcze nie; to się nie może stać. Nie uwolniłem przecież kontraestepu i nie dałem – jeszcze – przyszłości wolnej od zagrożenia totalnego zezwierznicowania, żeby ludzkość mogła spokojnie realizować trend ku Psychosoic uniuersi. Bo gdyby wszechświat zamieszkiwały zwierznice, kto odkryłby efes, żeby już nie wspomnieć o kole, rachunku różniczkowym, elektryczności i komputerach? To nie mogą być zwierznice! Posłużyłem do zapobieżenia tu tej ewentualności, do wymyślenia kontraestepu.

Dlaczego nie strzelają? Nie był w stanie przyspieszyć. Potykał się na kretowiskach. Diabeł towarzyszył mu z prawej, Marina z lewej.

Trawa tak wyraźnie pachnie tylko o świcie…

Osiemdziesiąt, siedemdziesiąt metrów do bramy. – Wysłać prośbę o azyl, panie?

Nawet nie odpowiedział.

Z tych CAV-ów EDC, które wylądowały pomiędzy nim a enklawą, wysypywali się uzbrojeni żołnierze, z najbliższego wyskoczył dowódca. Hunt mocniej zacisnął dłoń na rozpalonym kikucie wypadłego z formy ciała Vassone i wbrew woli zwolnił kroku, stanął.

Zdawał sobie sprawę, jak ohydnie teraz wygląda, blady, bezwłosy, o skórze głowy poranionej przez kudzu, w brudnym, poszarpanym płaszczu, o paskudnie obliźnionym pałąku przedramienia.

Jednak generał Kleist uśmiechała się do niego radośnie, Anzelm po Anzelmowemu szczerzył zęby. Mógł się teraz do nich Hunt uśmiechnąć w odpowiedzi, bo nie wierzył w racjonalność pamięci.

Kleist wyciągnęła rękę po płytki z Modlitwą.

18. Na oceanie

Oparty o reling palił nikotynowca, prawdziwego. Strzepywany popiół, jeszcze żarzący się czerwono, spadał świecącymi w ciemności grudkami w niewidoczne fale. Bo nie widział oceanu – tylko wielką płaszczyznę czerni, od horyzontu po horyzont. Czuł słony zapach, wilgotny wiatr na twarzy. Gdy unosił głowę, uderzało go w oczy gwiaździste niebo, niespodziewanie czyste od wszelkich reklam, obwieszczeń, logo. Odruchowo wykreślał wówczas wzrokiem linie gwiazdozbiorów, znajdował tory planet stosowne dla tej pory roku. Oko w oko z Jowiszem, cedził z ust gorzki dym; dłoń już nie drżała.

Pokład „Curtwaitera" zadźwięczał metalicznie za jego plecami, kopyta diabła ślizgały się po stalowych płytach.

– Jak?

– Jeszcze liczą, panie.

Marina, która siedziała swobodnie na relingu po lewej, gdyby nie światła pozycyjne statku, zupełnie niewidoczna w swym czarnym polijedwabiu, sięgnęła teraz prawej dłoni Nicholasa, zacisnęła palce na jego palcach.

– Wygrałeś. Wiesz przecież.

Czy wygrał? Sam nie był pewien, czyje to zwycięstwo -Jego? Bronsteina? myślni? Kaestepu już tak czy owak nie odwróci, przyszłość została przesądzona: Psychosoic universi. Reszta to kwestia czasu – tysiąc lub dziesięć tysięcy lat; co za różnica? Na koniec i tak przeważy forma najpopularniejsza, potęga mody. Nie unikną.

– Anzelm idzie.

Preslawny podszedł, trącił Nicholasa w ramię; Hunt obejrzał się.

– Wpuść mnie – mruknął Anzelm.

Nicholas skinął na diabła. Lucyfer prychnął, rozdarł pazurem kciuka włochaty nadgarstek i spryskał Preslawny'ego swoją krwią.

– Uch! – Anzelm aż cofnął się o krok. – Nic dziwnego, żeś w takim dołku. Pani doktor, miło znowu panią widzieć. – I z powrotem do Nicholasa: – A zabierzżesz to bydlę!

– Won, Lucek.

– Przesiądź ty się lepiej do mojego.

– W czym siedzisz?

– Barok Dwanaście.

– Nie znam.

– Znacznie mniej depresyjny, zapewniam cię. No dobra. Rozmawiałeś z Oiolem?

– Taa.

– Coście uradzili?

– Oświadczenie Departamentu i pełne honory. Jurydykator

właśnie się targuje co do punktów odtajnionych. Nigdy więcej nie postawię nogi w rządowym budynku. Oskarżenie o spowodowanie zagrożenia życia jako gwarancja. Dożywocie w federalnym, jeśli się wychylę.

– O co chodzi? O tych gliniarzy? Jurydykator cię nie wybronił? Samoobrona.

– Nie, to przełknęli. Chodzi o kaestep. Leciałem z wami w jednym helikopterze. Oddychałem. Dwanaście osób. Potem żołnierze rozeszli się do swoich… Do zmierzchu cała baza. Premedytowane rozprzestrzenienie nieatestowanego rekonfiguranta genetycznego. Po dekrecie o Zarazie za to jest czapa.

– Jezu, Nicholas, przecież kaestepem uratowałeś im wszystkim tyłki!

Hunt pokręcił głową, strzepnął popiół, uśmiechnął się krzywo do Mariny.

– Anzelm, Anzelm… ty nadal nie chwytasz. To przecież nie ma nic do rzeczy. Zresztą, prawdę mówiąc, raczej nim pogorszyłem swoją sytuację, niż poprawiłem. Mieli specjalistów, sztaby całe, budżety, pięć dni czasu – i nie wpadli na tak oczywistą rzecz! Są wściekli.

– Sam nie wpadłem; nie rozumiem. Bo teraz widzę, że oczywistość.

– Taa – zaśmiał się Nicholas – teraz nagle wszyscy genetycy na świecie zobaczą, że to oczywistość! Ale wprowadzić mem do puli, przełamać trendy… Musiał się aż powiesić, tak mało było to prawdopodobne.

– Właśnie, przecież jemu zrobili sekcję, znaczy się, Bronsteinowi; można wyciągnąć tkanki od koronera i obliczyć jugrina. FBI i tak go ponownie wzięła pod lupę, w związku ze śledztwem w sprawie Modlitwy; ekshumują go, jeśli trzeba.

– Myślisz, że to się da obliczyć, tak na sucho?

– Czemu nie? Czy on się wykupił do reszty? Bo mówiłeś, że trevelyanista, co nie? Kto ma prawa do jego DNA? Trzeba by opatentować.

– Pogadaj z Krasnowem. Był tu przed chwilą.

– Mhm?

– W OVR.

– Był? Po co?

Marina parsknęła złośliwie, założywszy ręce na piersi. Anzelm spojrzał pytająco.

– Pamiętasz efes, prawda? – zagadnęła. Skinął głową.

– No więc Krasnow idzie z trendem – westchnęła. -Skoro odkrył regułę, będzie ją teraz eksploatował aż do kompletnego wyjałowienia. Ma ten schemat RNAdycyjny Września… Najpierw wpakowano weń genom zmniejszający długość życia plemników; potem – w ogóle

blokujący ich produkcję. Potem – rdzeń estepu, charakterystyczny genom telepatów, obniżający odporność na myślnię, i to był Grudzień. Krasnow zaś pracuje obecnie nad Kwietniem: włoży tam kod efesu.

Anzelma zatkało. Widać było, jak próbuje sobie wyobrazić pełnoskalową realizację tej idei, próbuje, próbuje -i przegrywa.

Oparł się o reling obok Nicholasa, gdy pokład zaczął mu się za bardzo kołysać pod nogami.

– Zbyt długo nie było mnie w Hacjendzie – sapnął wreszcie.

– Kiedy ty właściwie się ulotniłeś?

– Jak tylko Iris dała mi znać.

– To od ciebie wiedziała o Grzybie.

– Tak jakoś… – Anzelm wzruszył ramionami. – Rozumiesz, sytuacja łóżkowa, rozmawia się o wszystkim, plotki, nie plotki; a przecież nie było tajne.

– „Tak jakoś" – powtórzyła zgryźliwie Vassone, spoglądając przed siebie, w noc. – Wszyscy tu tylko „tak jakoś". Nikt nigdy nic z własnej woli, z zamierzenia, celowo; wszystko płynie. Co by dzisiaj odrzekł zapytany Kain? „A, tak jakoś; nóż mi się obsunął, chmury były gęste, pachniało piołunem". Tylko Krasnow-pokraka… i Nicholas, gdy przestaje się nad sobą użalać. A reszta… A, pieprzę to!

I zeskoczyła do morza. Anzelm uniósł brwi.

– Co jej się…?

– Jakbyś nie wiedział. Ciągle czeka. Trzeci raz wypłukali jej krew. Nic jeszcze nie wiadomo.

– Cholera. Przykra sprawa. – Szybko zmienił temat. -Oglądałeś orędzie?

– Taa.

– Już nową plotkę słyszałem: że prezydenta tak naprawdę też zmałpiło, ale Radick go edytuje na żywo, więc nikt nie pozna różnicy. Hę, hę.

– Setny odprysk mitu o Białym Domu na sznurkach sponsorów z megabiznesu.

– A co, nie jest tak?

– Et tu, Anzelm? – westchnął Nicholas. – Następny wyznawca teorii spiskowych!

– Kto jak kto, ale my przecież chyba dobrze wiemy, że spiski faktycznie istnieją.

– Spiski? Spiski? – zaśmiał się złośliwie Hunt. – Co ty tu nazywasz spiskiem? Wymień spiskowców; opowiedz plan; i w ilu procentach się powiódł? No? Zrozum, człowieku: teorie spiskowe, żeby mogły zadziałać w rzeczywistości, musiałyby zmienić fundamentalne prawa wszechświata. Albo one, albo entropia; a w naszym wszechświecie entropia rośnie. Żadne przestępstwo nie jest tak trudne do zrekonstruowania, jak to, w którym nic nie poszło zgodnie z planem;

żaden zbrodniarz trudniejszy do schwytania od przypadkowego; nic bardziej fantastycznego od dedukcji Sherlocka Holmesa. Szansa realizacji zamierzeń maleje wykładniczo wraz z liczbą koniecznych dla sukcesu czynności. Ja chętnie wierzę, że ten czy ów planuje sobie jakiś gigaspisek; ale kiedy przychodzi do działania, wtrąca się entropia i dostajemy dziki chaos. -Nicholas machnął ręką na ciemny żywioł za burtą frachtowca. – Potem ty patrzysz, rozpaczliwie pragnąc odnaleźć wzorce, i ledwo jeden element doda ci się do drugiego, krzyczysz: „U-Bootl", „Rekin!", „Kraken!". A to tylko fala zakręciła wodorostami.

Zazgrzytały przekładnie, zapiszczała maszyneria – odruchowo unieśli głowy. Zamontowane na pokładzie ponad nimi bliźniacze wyrzutnie rakiet woda-powietrze zaczęły obracać się za niewidocznym celem. Od początku Zarazy „Curtwaiter" objęty był ścisłą kwarantanną, teraz jeszcze uściśloną: nie dopuszczano w jego pobliże nikogo, kto nie został dogłębnie przeorany kaestepem i oczyszczony z Grudnia. Z tego, co wiedzieli, analogiczna procedura obowiązywała również na Air Force One, od czasu ewakuacji prezydenta z Waszyngtonu też nie zbliżającym się do żadnych skupisk ludzkich. „Curtwaiter" znajdował się aktualnie dwieście mil morskich od brzegu, kursował po długiej ósemce z dala od szlaków handlowych.

Nie dostrzegli świateł samolotu; w końcu wyrzutnie zamarły.

– Jeszcze ci nie podziękowałem – rzekł Nicholas, wyrzucając peta i prostując się nagle; zmieszany Preslawny również się wyprostował. – I pani generał. Mało brakowało, a trend by mnie wykończył.

Anzelm uśmiechnął się, wzruszył ramionami, podrapał Po głowie, spojrzał w noc.

– Nie ma za co. Sama miała wyrzuty sumienia, bo na początku łatwo uwierzyła i też wydała rozkaz. No a potem, kiedy doszliśmy za tym trupem z hotelu do Langołiana i wyszła na jaw Modlitwa…

– Nie odpuści Marinie, prawda?

– Nie. Dożywocie co najmniej. Może krzesło. Sprawa jest w gestii EDC. Tu nawet chodzi nie tyle o sam program, co o tę furtkę do Tuluz, sekretne kody dostępu Langoliana; oraz zdradę tajemnic państwowych. Nie próbuj nawet jej przekonywać, teraz cię szanuje: postawiłeś się, doszedłeś do prawdy, zdemaskowałeś, zostałeś porwany, zniesławiony; jesteś ofiarą.

Nicholasem zatrzęsło. Ofiara!

– Rozmawiałem z ludźmi jej jurydykatora – rzekł Hunt Preslawny'emu po dłuższej chwili. – Znaczy się: Mariny. Ja przecież byłem w tym zespole, który ustalał wykładnie w kwestii przestępstw związanych ze wszczepkami; więc wiem coś niecoś. Sąd Najwyższy jeszcze się nie wypowiedział, nie było precedensów. Te oskarżenia da się przeskoczyć.

– Jeśli nawet. Zostaje zdrada. Przykro mi.

– Zdrada… My wszyscy zdradzamy, Anzelm, zdrada jest wliczona w koszta, tylko że akurat tak się przytrafiło, że konsekwencje zdrady Mariny wybuchnęły takim szajsem; ale przecież ostatecznych konsekwencji nikt z nas nigdy nie może przewidzieć.

– Tylko nie mów tego przypadkiem Iris.

– Iris to chyba jednak wie.

Milczeli. Szum wody przeorywanej przez podrdzewiały kadłub frachtowca. Trzeszczenie metalu. Skowyt demona. Jednostajny pomruk silników.

– Jesteś moim jedynym przyjacielem, Anzelm.

– Piękne jest to niebo.

W jego kabinie nie było kamer i Marina nie lubiła tu przychodzić, musiała wówczas polegać wyłącznie na oczach Nicholasa, tym wyraźniej była świadoma dotykającej jej szyi zimnej kosy śmierci. Leżał w samotności, przez otwarty nad koją bulaj wlewał się do środka zapach morza, podkreślony obowiązkowym zapachem świeżego grobu z MUL Zanim jeszcze zaszło słońce, Nicholas przyjrzał się statkowi. Z nadbudówek „Curtwaitera" wyrastały żelazne rogi, u dziobu wahał się zamknięty w klatce szkielet, rdza koloru starej krwi pokrywała stalowe płaszczyzny, podczas gdy w szkle przeglądał się zimny ogień; na głównym dźwigu przeładunkowym siedział skrzydlaty demon i wył na wiatr. Nie Latający Holender, ale zdecydowanie okręt z piekła rodem. W nocy, oprócz zwyczajnego trzeszczenia przewalającej się po falach wielotonowej konstrukcji, słyszał Nicholas jęki potępionych.

Wcześniej zajrzał do przedziału medycznego. Ponieważ nie można było dopuścić do rozprzestrzenienia się informacji, a każde zbliżenie się którejkolwiek z osób wtajemniczonych do populacji objętej Grudniem gwarantowało taki przeciek po myślni – odizolowanie było konieczne. Jeśli nie „Curtwaiter", to Hacjenda Czterech Suchych Źródeł – ale i tam nie mieli specjalistycznego wyposażenia ani stosownych ekspertów. Sprowadzono więc ich tutaj. Ciało spoczywało w komorze tlenowej, w zbiorniku z plastycznym nano, już rozlane amebowato na dwa metry sześcienne; wchłaniało dostarczane pożywienie bez straty materii, lecz procesy metaboliczne nie zwalniały, temperatura utrzymywała się na granicy czterdziestu stopni Celsjusza. Przez cały czas, gdy Hunt patrzył, organizm nie poruszył się ani razu. Z lewej przebijała skórę kwadratowa kompozycja kostna, mleczno-żółty grzebień wyrostków dotykał przezroczystej przegrody. Nicholas przycisnął palce z drugiej strony. Po chwili wyczuł drżenie – ale nie wiedział: od ciała? od mechanizmów medycznych? od maszyn statku? W przyćmionym świetle skóra nanotworu posiadała barwę sepii. Skrył się do swojej kabiny.

Leżał na wznak, z nogami wyprostowanymi, i tylko prawa dłoń

się poruszała. Od momentu, gdy odblokowano mu Tuluzę, odpowiedział na ponad sto telefonów. Był zaskoczony, że w ogóle zezwolono mu na nie cenzurowaną komunikację ze światem zewnętrznym; zapewne kolejny przyjazny gest ze strony generał Kleist, wyciągnięcie ręki na zgodę. Lecz bynajmniej nie przestały go obowiązywać dotychczasowe ograniczenia prawne i przysięgi tajności; nie był aresztowany, ale był obywatelem USA.

Odblokowanie Huntowej Tuluzy było możliwe, bo kiedy tylko informatycy EDC zanalizowali Modlitwę, skonstruowano Tuluzę 12 – ona rozkładała starą wszczepkę i krystalizowała nową, już (jak zapewniano Nicholasa) bezpieczną; kopiowanie software'u z jednej do drugiej dokonywało się automatycznie. Hunt przyjął to obojętnie – i tak nie miał możliwości niepodważalnego stwierdzenia, co oni mu tam wstrzykują; gdzie kończy się OVR, a zaczyna RL. Wszystko umowne. Tylko Zakład Hunta pozostawał w mocy. Więc zachowywał się, jakby gdyby nikt nigdy nie włamał się do jego wszczepki – godzina, dwie, trzy, i w końcu zapominał, wpadał w stare koleiny odruchów, i wszystko na powrót było prawdziwe.

Kciuk, wskazujący, serdeczny palec w górę, palec w dół, pięść – czary płynęły wartkim strumieniem. Noc na Kajmanach była duszna, wilgotna, najlżejszy wiaterek nie poruszał liści palm. Od mrożonej herbaty, którą nalewała mu na patio Imelda, szklanki pociły się zimnymi kroplami; zlizywał je z opuszków. Ponad palmami widzieli światła helikopterów, zapewne bezzałogowych, krążących nad kurortem, gdzie czwartą dobę gorzały zamieszki. Niebo – normalnie czyste, z uwagi na turystów – kreśliły apele o rozproszenie się i pozostanie w domach. Pili herbatę, nic nie mówili. Imelda bawiła się pierścionkiem. Wcześniej Nicholas wyczarował sobie włosy, wąsy, swoją starą twarz, eleganckie ubranie – on więc był taki sam, Imelda natomiast była inna: cienie pod oczami, niepewność uśmiechu, włosy nieporządnie zebrane w koński ogon. Uszanował to; skoro ona się nie edytuje, sam też jej nie edytował. Siedzieli nie po przeciwnych stronach stolika, lecz obok siebie, i Imelda w końcu obsunęła się na krześle, przechyliła, by oprzeć głowę o ramię Nicholasa -zaraz mięśnie zaczęły ją boleć w niewygodnej pozycji, MUI symulowało nieistniejące oparcie, Nicholasa przecież tu z nią nie było; była sama… Rozpłakała się. Z wnętrza willi od nowa wybuchły nieartykułowane wrzaski Gaspara. Podniosła się, otarła łzy, poszła zmienić mu pieluchy. Senator Tito zbyt długo pozostał w Nowym Jorku. Nicholas uniósł szklankę, ulał herbaty do wnętrza dłoni. Patrzył, jak ciecz spływa między nierównościami skóry, tu Rzeka Długiego Życia, tam Strumień Szczęścia, bezmyślnie, ale zawsze ku najniższym punktom. W mieście strzelano z broni maszynowej. Przewrócił się na koi na bok. -Ciągle liczą – powiedział diabeł.

Wszedł do „Santuccio". Restauracja była pusta; zgodnie z zarządzeniem, zamknięto ją zaraz po wybuchu Zarazy. Niemniej sieć ubezpieczenia pozostawała czynna i sneakerzy Zespołu wślizgnęli się do niej po czterdziestu godzinach zmagań (to znaczy poszukiwań tylnych furtek do krypto, które chroniło krypto, które chroniło krypto… i tak aż do maszyn notarialnych, a poczynając od najsłabszego ogniwa tajemnicy). Puste pomieszczenia Zespołu w Cygnus Tower nie wchodziły w grę, bo tam w ogóle nie było sieci – a „Santuccio" znali wszyscy członkowie Zespołu, zresztą wystarczyło przejść po kładce na drugą stronę ulicy. Światła pozostawały zgaszone, ukoronowane krzesłami stoły majaczyły dookoła w półmroku, podświadomie omijał chwiejne konstrukcje szerokimi łukami. Lecz zaraz z premedytacją przeszedł przez szkło i żelazne kraty na taras restauracji.

Schatzu już czekał. Przyglądał się ekipie straży pożarnej prującej powłoki ster owca, który spadł był na parki i estakady przecznicę dalej.

Nicholas postukał głośniej laseczką, Ronald się obejrzał.

– Pan Hunt! Ukłonili się sobie.

– Chyba powinienem panu pogratulować.

– Raczej ja panu! – uśmiechnął się szeroko Schatzu.

– W takim razie lepiej darujmy sobie. Podpisałeś już kontrakt?

– Tak.

– Co zamierzasz?

– Bez tych baz na Marę Imbrium się chyba nie obejdzie, nie po Grudniu. Estepowców, rzecz jasna, będę miał dosyć, ale ja wolę pójść w metody bardziej ścisłe.

– To znaczy?

– Neuromatryce estepiczne. Wykupimy patent od spadkobierców IG Parben. To znaczy – mam nadzieję, że będzie nas stać. Jeszcze się nie zbilansowało.

– Nie, jeszcze liczą. Neuromatryce estepiczne, powiadasz… to od tego komputera psychomemicznego. Wierzysz w to?

– Myślnia jako komputer? Nie. Ale same matryce wyglądają na użyteczne: to jedyne ścisłe narzędzie. Bo przecież nie ludzie. Ludzie… sam widzisz. – Zamiast kończyć, machnął ręką na Nowy Jork.

Nicholasowi przypomniał się identyczny gest z ich pierwszej rozmowy w „Santuccio" i poszła mu ponad powierzchnią świadomości salwa skojarzeń. Wykonał szybko mudrę MindMastera i zapisał umykający ciąg myślowy. -Łańcuch siedemnasty – rzekł Diabeł.

– Ale do czego je chcesz wykorzystać? – dopytywał się dalej Hunt.

– To będzie parę równoległych programów. Już rozmawiam z Pentagonem i Kleist w sprawie rozbudowy arsenału, potrzebujemy co najmniej dziesięć tysięcy tematycznych monad animalnych, kilkaset

specjalistycznych. No i oczywiście mapunek myślni z naszego ramienia Mlecznej Drogi – co poza Nefele; bo coś na pewno, ona po prostu najbliższa.

– Egzomemetyka.

– Tak. Poza tym zobaczymy, co pokażą rynki po tym naszym kontrataku. Kupa roboty.

– Dodam ci jeszcze coś. Jak rozumiem, tempo obsuwania się Homo sapiens ku Psychosoic uniuersi jest wprost proporcjonalne do statystycznej podatności na myślnię. Grudzień nas osłabia, kaestep chroni. Pomyśl więc nad takim wirusem, który wklejałby nie geny telepaty, ani przeciętnego nietelepaty – jak robi mój kaestep – ale geny człowieka wyjątkowo na myślnię odpornego. Ewenement amediumiczny. Nie wiem, czy tacy istnieją; wydaje mi się to prawdopodobnym, populacja powinna rozkładać się Gaussem. Przeprowadź badania. Losuj z ochotników, profiluj, szukaj korelacji z DNA. Jest taki dom w Montanie… szczegóły znajdziesz w archiwach Zespołu. Idealny do szybkich testów eliminujących. Znajdź antyempatę i kup prawa do jego DNA. Puści się potem ten wirus - nazwijmy go Lipcem – bez ograniczeń rasowych, na całą ludzkość, bo tylko wtedy ma to jakiś sens. Lipiec powinien nam kupić czas do chwili, aż cały świat przerzuci się na inkuby – wtedy wprowadzi się rzecz przez ONZ jako element obowiązkowego genframe'u. Oczywiście ślizgu ku Psychosoic unwersi to nie zatrzyma, bo pierwszorzędne znaczenie mają w nim mutacje naszej psychosfery, genom to tylko korelant – ale opóźnimy proces, może się przez ten czas znajdzie jakiś drugi Bronstein i pchnie nas jeszcze mocniej przeciwko trendom myślni. Co powiesz, Ronald?

Schatzu patrzył na Hunta i nic nie mówił.

– Ach, olśnienie! – Nicholas klepnął przyjaźnie Schatzu w bark. – Poniewczasie zrozumiałeś, że twój szef nie był jednak takim kretynem. Co?

– Cóż, teraz nie jest na pewno. Wszyscy się zmieniamy – odparł enigmatycznie Schatzu i odwrócił wzrok. -Dzięki za pomysł, sprawdzę na pewno. Chcesz poświadczenia w aktach?

– Teraz to już bez znaczenia; przypisz sobie. Zatrzymasz Anzelma?

– Jeśli będzie chciał zostać. Wiesz, że Fortzhauser nie żyje?

– Co się stało?

– Jechał do domu tej nocy, kiedy zaczął wypływać Grudzień, i wpadł na jeden z pierwszych Tłumów. Znaleźli go potem w rzece, miał odgryzione wszystkie palce i genitalia.

– Uch.

– Na razie mam McFly'a, chociaż będę musiał wkrótce puścić go na dłuższy urlop zdrowotny. Aha, FBI zwróciło te rzeczy, które dałeś

Moore'owi do zbadania, są do odebrania.

– Dzięki. Powodzenia.

– Będę jeszcze gorszym szefem od ciebie – wyszczerzył się Ronald.

– Zdajesz sobie sprawę, że już się podłożyłeś: cofnięto mi upoważnienia do tego poziomu tajności, właśnie zdradziłeś mi parę tajemnic państwowych.

– Ta, już widzę, jak sprzedajesz je Chińczykom – zaśmiał się Schatzu, zmienił w nietoperza i wzbił wysoko w nocne niebo, między skrzydlate potwory; Hunt odprowadzał go wzrokiem. Zespół nie pracował już w Cygnus Tower, Nowy Jork jeszcze bardzo długo nie będzie wolny od Grudnia – jeśli w ogóle uda się go uwolnić odeń kiedykolwiek.

Strażacy odpalili ładunki i odcięty podpoziom skyhouse'u zwalił się z potwornym hurgotem czterdzieści kondygnacji w dół, chmura pyłu zablokowała perspektywę ulicy. Rozwrzeszczały się okoliczne alarmy.

Imelda wróciła na patio. Oparła się plecami o ścianę.

– W końcu musi zacząć padać – mruknęła. – Co za duchota.

– Zajrzałaś do matki? – Obrócił krzesło, usiadł na nim okrakiem.

– Nie chce Tuluzy. Dzwoniłam wczoraj.

– Martwiła się o ciebie.

– Akurat.

– No. Już. Spokojnie. Kiedy kończy ci się kontrakt?

– Jakbyś nie wiedział. Za siedem miesięcy. Mieliśmy przedłużyć.

– Wiesz, że on już nigdy nie odbuduje zniszczonej struktury umysłu.

– Co ty nie powiesz? No popatrz! Dobrze, że mi tak często przypominasz, jeszcze bym zapomniała.

– Będą specjalistyczne kliniki. Masz dobrą intercyzę.

– Ty próbujesz mnie pocieszyć czy obrazić?

– Dobra, już mnie nie ma.

OVR-owy Bunkier II przetrwał mimo zamknięcia Bunkra w Bronxie. Infoekonomiści EDC łączyli się z rozrzuconych po połowie kraju pustelni, czarne kryształy procesujące Bunkier II wciąż wszakże znajdowały się w Bunkrze I.

Tym razem Kleist nie kazała Huntowi czekać i niewiele zdążył wyczytać z taktycznych wizualizacji o stanie kontrofensywy.

– Panie Hunt. Nicholas. – Generał przywitała go w drzwiach, uścisnęła mocno dłoń. Wyglądała na bardzo zmęczoną, jej zmęczenie przebijało się nawet przez podwójne MUI, niemniej uśmiechała się szeroko, mówiła głośno, prowadziła Hunta zdecydowanymi ruchami.

Gabinet Kleist w Bunkrze II wychodził wielkimi oknami na rafę koralową, szybowały za tymi oknami kolorowe upławy, migotały ławice maleńkich rybek. Ciemnoniebieska toń barwiła każdą myśl,

każde skojarzenie – poruszali się tu spokojniej, mówili wolniej, oddychali głębiej.

– Już cię przepraszałam, ale zrobię to jeszcze raz… Zamachał ręką.

– Daj spokój, naprawdę.

– No dobra. Ale mam u ciebie dług. Hunt uniósł brwi.

– Jak duży?

Opuściła wzrok na blat biurka, splotła palce.

– Nie mogę, Nicholas. Prawo jest prawo. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, ponosimy odpowiedzialność za nasze czyny. Nie mogę. Nie proś.

– Wiesz, że najprawdopodobniej i tak nie dożyje.

– Postępowanie nie zacznie się jeszcze przez parę miesięcy.

– A przez te parę miesięcy…

– Zdajesz sobie sprawę, jakie ona szkody wyrządziła? Zdajesz sobie sprawę?! – Odchyliła się na oparcie, odetchnęła. – Koniec, zostawmy to.

– Chigueza – rzucił Nicholas.

– Rozpłynęła się w Indyjskiej Buforowej. Większość wierchuszki Langoliana tak zniknęła. Zgodnie z prawem nic im nie możemy zrobić. Są już obywatelami innych państw, dziewięćdziesiąt procent pasywów Grupy znajduje się poza zasięgiem jurysdykcji Stanów, a aktywa otorbili. Z czasem zapewne wystąpimy o ekstradycję z paragrafów za spisek, morderstwo i usiłowanie morderstwa…

– Te zamachy na Marinę, Jasona i Hedge'a?

– Tak. Z tym, że co do Hedge'a, to chyba nie będziemy mieli nawet podstawy do oskarżenia; zresztą w pozostałych przypadkach prawnicy też nie są zbyt pewni swego.

Chyba że nagle jakiś świadek koronny. Ale i wtedy – sukinsyny nie są takie głupie, nie pojawią się w państwach, z którymi mamy umowy.

– A poza prawem? CIA?

– Gdyby tamci posiadali jakieś informacje, gdyby mogło to przynieść jakąś korzyść… ale tak? Z zemsty? Zemsta nie jest kategorią polityczną, Nicholas. Zresztą to nie moja działka. Ale nie zakładałabym się.

Hunt tylko przełożył laskę z ręki do ręki. Diabeł natomiast zaryczał, zionął ogniem, wzniósł szpony.

– Druga sprawa – rzekł Nicholas. – Trupodzierżca. Skąd, u Boga Ojca, Vittorio Tuzman miał to ustrojstwo? Przecież to jest kieszonkowa bomba atomowa!

– Taaak – Kleist powoli wypuściła z płuc powietrze. - Przyjrzeliśmy się panu Tuzmanowi. Jako Cień posiada bogate akta. Oficjalnie pracował w ochronie jednej z narkokompanii. Nie ma

obecnie warunków do przeprowadzenia porządnego śledztwa, ale wydaje się, że były pani doktor Vassone pośredniczył między czarnym rynkiem a grupą skorumpowanych oficerów, sprzedawali na lewo wojskowe nano. Policja znalazła dowody obciążające w tej klinice, w której Vassone chciała się przerzeźbić. Przejęło to JAG, ale nie zdążyli się daleko posunąć. Trupodzierżca… On go tak nazywał, co? Trupodzierżca to jeszcze prototyp, z tego, co wiem, stworzyli go w Moście w ramach któregoś z projektów dla medycyny wojskowej; może z setka egzemplarzy, nie więcej. Nie jest to nic tak przełomowego, jak się może wydawać, w gruncie rzeczy różni się jedynie szybkością krystalizacji wszczepki, stąd też metoda inwazyjna, prosto do mózgu, żeby maksymalnie przyspieszyć. Nie był przeznaczony do celów, do których ty go wykorzystywałeś; czytałam raporty Mostu. To jeden z odprysków memorandum Schatzu, reakcja na przewidywane Wojny Monadalne. Chodziło o sposób na inwadowanie terenów objętych wrogimi monadami. Założono, że będzie się do tego używać jedynie „materiału ludzkiego nieprzyjaciela", ponieważ każdy człowiek, nawet gdy preedy-towany, pod wrogą monadą i tak skończy z przemielonym umysłem. Stąd przystosowanie do warunków polowych i niedobrowolność intruzji. Nie posunęli się z tym dalej, bo pojawiły się kłopoty natury prawnej, znowu za dużo popodpisywanych konwencji; tymczasem pan Tuzman położył łapę na paru egzemplarzach. Dla zorganizowanej przestępczości rzecz posiada bez wątpienia wielką wartość, łatwo sobie wyobrazić sposoby zyskownego wykorzystania. Gorsza sprawa, bo nie wiadomo, ile on tego już sprzedał. Znowu trzeba będzie uchwalać nowe ustawy. Ale to nie moja broszka.

– Proces jest chyba odwracalny, prawda? Bo skoro jest to w zasadzie to samo nano, a wiem, że Tuluza 12 potrafi wypłukać Tuluzę 10…

– Tak, można usunąć raz ustanowione neurostruktury Trupodzierżcy. Z tym, że… Mhm, lepiej zobacz to na własne oczy.

Wstała zza biurka. W ścianie za nią otworzyły się drzwi, buchnęła wełnista jasność, diabeł przesłonił łapą ślepia. Generał skinęła na Hunta. Gdy podszedł, ujęła go za rękę. Była niższa, była szczupła, drobna – inna forma zachowania się narzucała: Nicholas skłonił się, ścisnął jej ramię, i to on poprowadził Iris, pierwszy przestępując próg jaskini światła.

Reflektory stadionu biły im prosto w oczy. Hunt, w swoim gotyckim MUI, jeszcze jakoś to znosił, ale Kleist musiała odpalić stosowne makro – wiedział, że to zrobiła, a jednak nie dostrzegł ruchu. Szósty palec? Zapytał ją.

– Szósty palec to najskromniejszy default – odparła, rozglądając się po zielonej płycie boiska. – Mózg człowieka jest otwarty na wiele

więcej połączeń, aniżeli rzeczywiście aktywnie wykorzystuje. Oczywiście nie wytrenujesz tego, nie wyhodujesz nowych drzew neuralnych siłą woli – lecz wszczepka może je sprotezować. Palec? Ręka! Całe ciało! Tam są, chodźmy. – Pociągnęła go ku końcowi boiska, ku słupom bramki.

– Więc co ty wykształciłaś? Uśmiechnęła się tajemniczo. Oddał uśmiech.

– Ogon? Skrzydła? Siostrę-bliźniaczkę? Królową matkę?

– Popatrz, to oni.

Siedzieli i leżeli na trawie na przestrzeni, na oko sądząc, stu metrów kwadratowych; leżeli ci w środku. Po chwili spostrzegł następne regularności: ułożyli się w trzech koncentrycznych kręgach; ci z zewnętrznego siedzieli plecami do wewnątrz; ci z centrum wyglądali najgorzej. Diabeł policzył: czterdziestu siedmiu. Hunt przyglądał się w milczeniu, palcując szybko kolejne zaklęcia wzroku. Rozpoznał muskularnego fenoazjatę i, widząc jego puste ręce, odruchowo wykonał mudrę resetu Mood-Editora – ale tu nie było w obrazie żadnego fałszu, Marina kona pokład niżej. Marina, Marina. Od razu spadł dwa piętra ku piekłu. Diabeł parsknął gorącą siarką. Nicholas, który zawsze musiał to jakoś z siebie wyrzucić, trzasnął go laską przez grzbiet.

Kleist obejrzała się na Hunta. – Co…?

– Nie, nic. Dlaczego ich tutaj trzymacie? Dlaczego razem, tak blisko siebie? Niezbyt to rozsądne. I gdzie reszta?

– Nie ma reszty. Tylu ocalało. To znaczy, nie licząc tych poważnie rannych. A dlaczego tutaj? – Kleist weszła między siedzących, poprowadziła Hunta okrężnymi ścieżkami przez zgrupowanie milczących, nieruchomych mężczyzn i kobiet. Spacer duchów. Gdyby trochę poluźnił MUI, zapewne mógłby nawet przesunąć dłoń przez ich ciała. – Dlaczego razem? Zobacz.

Zatrzymali się w środku. Kleist obróciła się ku ciemnemu otworowi tunelu. Przez chwilę nic się nie działo; czekał cierpliwie. Cienie od reflektorów, wyostrzone i pogłębione prawem Necropolis, kładły się długimi alejami poziomego mroku, w upiornym kontraście do jaskrawo soczystej trawy. Gigantyczne trybuny były puste, lecz przemyślny MUI zaludnił je tysiącami ludzi-cieni. Gdy Nicholas uniósł głowę, miast gwiazd, miast reklam – ujrzał gładką owalną blank-ciemność, szczelnie zamykającą od góry misę stadionu: kamery lokalnej sieci tam nie sięgały, nie obejmowały nieba. W Mieście Śmierci, zanucił w duchu, zakazane są myśli o nieskończoności; w Mieście Śmierci pełzamy z oczyma przy ziemi, nadzieją sięgającą nie dalej niż następny lękliwy krok. Zakazana jest gramatyka czasu przyszłego i tryby warunkowe. Źle się widzi zegary, kalendarze. Kultywujemy sztukę bezrefleksyjnego optymizmu. Gotyckie litery nad

wrotami: JEST LEPIEJ.

Usiadł, wyjrzał przez bulaj. Fosforyzujące grzebienie fal, teraz sporo wyższych, znaczyły zmarszczki na ciele żywiołu. Wychylił się, by wciągnąć do płuc morskie powietrze. Będzie żyła, będzie żyła, będzie żyła; nie daj się pognębić przez wrodzone czarnowidztwo, Nicholas, zawierz Bronsteinowi. Będzie żyła.

Żołnierze wybiegli z tunelu. Trzech; potem jeszcze dwóch. Biegli tak blisko siebie – zapewne zostali już zkaestepowani. Lekki rynsztunek bojowy; ale broń odwieszona.

Ledwo się pokazali, z boiska podniosło się Zwierzę. Dopiero w ruchu okazało swą prawdziwą naturę – w ruchu bowiem było jednością, jednym umysłem, rozpisanym na czterdzieści siedem organicznych terminali: tylko w działaniu intencja. Zaskoczony Hunt rozglądał się dokoła, niewiele zresztą widząc, bo teraz jego byli AGENCI co do jednego stali. Nicholas wykreślił więc figurę powietrza i wzbił się na sześć-siedem metrów. Stąd postrzegał już Zwierzę jako Zwierzę: nadorganizm, w miarę przemieszczania się piątki żołnierzy obracający za nimi swą uwagę. Żadnych opóźnień, żadnych spięć na łączach, synchronizacja podinstynktowna.

– Widzisz teraz? – spytała Kleist, dołączywszy do niego na wysokościach. – To są wszystko małpy, rzecz jasna; takich brałeś. Zero wyższych funkcji umysłowych. Gdy straciłeś z nimi łączność, skończył się nadzór programu. Pozostały tylko ich trupodzierżcze wszczepki i szum na neuronach. Stąd wyewoluowało coś takiego. Nie rozdzielamy ich, ponieważ teraz, w grupie, wykazują przynajmniej jakąś świadomość, intynkt samozachowawczy, inteligencję; jako grupa właśnie. Podczas gdy w pojedynkę są po prostu małpami.

– Nie rozumiem. Skoro już wykształcił się w ich wszczepkach jakiś program menadżerski…

– Ależ w tym właśnie rzecz, że nic takiego nie nastąpiło! Przekopiowaliśmy przecież zawartość wszczepek tych ciężko rannych, których musieliśmy umieścić w szpitalach, i tam nie było niczego takiego. Równowaga istnieje tylko w sieci, homeostaza tylko w systemie – no bo nie w samotnym jego elemencie.

– Daliście im kaestep?

– Tak. Ale to nie ma znaczenia: świadomość tego bytu konstytuuje się na poziomie Trupodzierżcy, nie myślni.

– Przepłukaliście ich Tuluzą 12?

– Po co? Żeby na powrót zmałpieli?

– No to co z nimi zrobicie?

– Nie razie nie wiadomo. Trzymamy ich tutaj, bo to duża, zamknięta przestrzeń i ma ścisłe pokrycie A-V. Trzeba będzie skontaktować się z ich jurydykatorami… Właściwie to nie nasz problem.

– Co, może mój?

– Nie ty ich zezwierznicowałeś.

Więc kto? Jak zwykle: nikt. Grudzień. A kto wypuścił Grudzień?

Ale znowu: który Grudzień? Ten pierwszy, wąsko sprofilowany na Azjatów? Czy ten ostatni, otwarty na genom wszystkich Homo sapiens? Nie docieczesz. Jest tylko trend; są tylko ofiary.

Poderwał się z koi, przebiegł od ściany do ściany i z powrotem. Diabeł obserwował ze zrozumieniem.

– Jak? – warknął Hunt.

– Liczą, panie.

Jeszcze się kontroofensywa USA nie zbilansowała, jeszcze (to znaczy – kiedy właściwie?) Bronstein przebierał w swej futurpamięci. Dobrze przynajmniej, że zamarzła pierwsza część scenariusza – bo już siebie nie widzę na poduszkach Faradayowskiego gabinetu Skrytojebcy, nie odbieram psychomemów tamtego otoczenia: nargili w ustach hackera, trawy ogrodu pod stopkami dzieci, wiatru we włosach jego żony… Lecz zarazem oznaczałoby to urealnienie wszystkich innych zdarzeń sprzężonych z tą ścieżką, choć pozornie niezależnych. Nie zredukowałbym się więc do stanu przedupiornego, nie odzyskał ręki, nie zostałyby zapomniane pociski rozrywające ciało Mariny i bionano w jej komórkach, nie cofnąłby się plan Chiguezy… Amen.

Kopnął krzesło.

– Co z tobą znowu? – fuknęła Imelda.

Postawił je (zamiast poczekać, aż MUI wyzeruje scenografię), usiadł, odetchnął; ale uspokojenie nie nadchodziło.

– Który to bóg? – mruknął. – Piąty chyba.

– Mhm?

Zemsta. Ślepy gniew. Przemożne pragnienie wyrównania rachunków niesprawiedliwości.

– Spotkałem kiedyś u was w skyhouse'ie takiego wysokiego fenometysa, półtora roku temu, co to było, jakiś koktajl, pamiętasz może; ktoś mi szepnął, że to jednych z prawdziwych właścicieli Intela/ Motoroli.

– Van Dernomme. Tak. Raz chyba nawet był na spotkaniu komitetu wyborczego Gaspara.

– Sponsorował go? Wzruszyła ramionami.

– Znajdź mi z łaski swojej jego numer – poprosił. -Dał wam chyba wysoki priorytet.

Wyślepiła się ekskluzywnie, przez chwilę stała w bezruchu. Potem sięgnęła lewą ręką, złapała spadającą gwiazdę i rzuciła nią w Nicholasa. Przyjął na ciało.

Diabeł automatycznie otworzył połączenie. Odezwał się program sekretaryjny van Dernomme'a. Gaworzyli z Lucyferem przez chwilę,

bez rezultatu – najwyraźniej van Dernomme miał aktualnie co innego na głowie. Może monadę, pomyślał sarkastycznie Hunt. Zadał diabłu parametry dialogu i ustawił pętlę ponawiającą – w końcu van Dernomme odbierze.

Tymczasem wgrał siedemnasty save MindMastera. Zamknął oczy. Matryce estepiczne – Schatzu – Schatzu-prorok w „Santuccio" obejmujący gestem nocny Nowy Jork -komputer psychomemiczny – odbicia… Miał już na końcu języka, na wyciągnięcie myśli, na jedno skojarzenie. Sen wynalazcy efesu! Tak! Tak!

Przycisnął skroń do zimnego żelaza. Van Dernomme się przyda, skądś trzeba przecież wziąć kredyt – ale teraz pojawia się nowa możliwość: projekt samodzielny, długoterminowy.

Mały dyskomfort psychofizjologiczny, gdy menadżer nie nadążał z maskowaniem drgań błędnika: to „Curtwaiterem" zaczęło mocniej kołysać. Nicholas powtórzył runy Ariela, złożył skrzydła i wzbił się na kilometr, dziesięć, sto, tysiąc, trzydzieści pięć tysięcy wzwyż. Z geostacjonarnej przyjrzał się kształtom chmur, układom frontów atmosferycznych, wskazywanym przez diabła projekcjom prądów. – Idzie na nas sztorm, panie. – Hunt przytaknął machinalnie. Widok budził w nim płytkie skojarzenia. Wysoka grzęda, tak. Lepiej się wkłuję i zasnę. Wiedźma, Alabaster…

Ponownie wstał z koi, rozprostował nogi. Diabeł polerował ścianę. – Już, panie – rzekł obróciwszy się. – Są pierwsze aproksymacje. – No to pokaż, pokaż.

Oczywiście to, co pokazał, to były wizualizacje entych analiz owych obliczeń, na dodatek uproszczone – Lucyfer do tej pory dobrze poznał pułap infoekonomicznej wiedzy Nicholasa. Toteż każdy wykres dokładnie Huntowi opowiadał, poczynając od pojęć pierwotnych. Przedziały nadal się zawężały. W czasie, gdy diabeł mówił, przewidywania się aktualizowały; wytłoczone ze ściany krzywe drgały lekko, coraz wolniej, coraz słabiej, konające żmije. Bo przecież to nie faktyczne notowania giełdowe Nicholas tu oglądał, nie końcowe bilansy – lecz rozciągnięte wzdłuż osi czasu ekstrapolacje trendów, których pierwsze kroki EDC-owi kuzyni Kubusia Puchatka zdołali nareszcie rozpoznać w gotującym się wciąż chaosie IEW i ułożyć w logiczne ciągi; a te pierwsze kroki to mogły być jakieś centowe transakcje na prowincjonalnych węzłach brokerskich. Różnowartościowe złożenia trendów projektowały możliwe przyszłe stany rynku. Ekstremum funkcji prawdopodobieństwa przesuwało się przez tę n-wymiarową macierz w miarę, jak nadchodzące z całego świata kolejne dane obcinały „fałszywe" owoce algorytmów genowych. Tak więc coraz to inny zbiór stanów jutrzejszej gospodarki okazywał się najbardziej prawdopodobnym; lecz różnice między następnymi aktualizacjami predykcji malały i obraz zamarzał.

Wypreparowane z owego zbioru przedziały wskaźników ekonomicznych USA diabeł rzeźbił w chropowatym metalu grodzi „Curtwaitera".

– Bronstein, ty sukinsynu – szepnął z podziwem Hunt.

Bronstein znowu nie odpowiedział; a może już po prostu tego momentu nie dopamiętał.

Hunt był pełen podziwu dla dzikusa-samobójcy, bo wszystko wskazywało, że kontrofensywa istotnie się powiodła; Ameryka wypełzła – to znaczy: wypełznie – z za-paści nagłych Wojen Monadalnych po ścieżce szczęśliwych zbiegów okoliczności. Modlitwa, w sekrecie rozpuszczona przez agentów Korpusu na całą Ziemię, na wszystkich posiadaczy legalnych i pirackich klonów Tuluzy 10, przemyślnie sprofilowana przez sztab Kleist ku największej szkodzie nowych mocarstw IEW i największym zyskom Stanów – przyniosła/ przyniesie im zwycięstwo. Na dodatek startująca równolegle z ognisk w Ameryce epidemia kaestepu dawała USA kilkudziesięciogodzinne fory przed resztą świata, wciąż ciężko przymuloną przez myślnię. Krzywa przewidywanego czasu użyteczności Modlitwy załamywała się po tygodniu: po tym czasie rzecz wyjdzie już na jaw i pałeczkę przejmie Tuluza 12. Ale też do tego momentu wszyscy prywatni inwestorzy i bandyci giełdowi świata – ci, którzy nie zezwierznicowali – kierując się przeczuciami, lękami nocnymi, szybkimi skojarzeniami, nieświadomie budując swoimi transakcjami pozornie neutralne trendy – zmiażdżą Transwaal, Hongkongijską i Izrael.

Hunt kazał diabłu wywołać krzywe predykcyjne notowań spółek, w które sam najmocniej był zainwestował, a z których ze ślepego uporu w porę nie zeszedł. Prawie wszystkie odbiły/odbiją się stromo, ustalając nowe rekordy. W epoce sprzed Wojen Ekonomicznych giełda bardzo łatwo przeskakiwała z atraktora bessy w aktraktor hossy, były to klasyczne samonapędzające się trendy „okazyjnych zakupów papierów niedoszacowanych" z pierwszego poziomu gry; zanim się zatrzymały, papiery zwykle były już znacznie przeszacowane i zaczynał się cug na realizację zysków. Programy eksperckie służyły także do wczesnego wychwytywania takich lokalnych minimów i maksimów kursów. Hunt był wdzięczny generał Kleist, że pozwoliła mu napić się ze studni informacyjnej EDC – podobne analizy to jest cynk od bogów, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Jeśli tylko teraz zmobilizuje wystarczająco duży kapitał… Wyprostował się, gdy przeszedł po nim gorący dreszcz. Miliarder. Tak.

Może to właśnie była odpowiedź od Bronsteina?

– Wygrał.

Nicholas obejrzał się. Marina siedziała na plastikowym krześle przy drzwiach, zgarbiona, łokcie na kolanach. Gdy nie patrzył, chodziła tu w suchej symulacji; gdy patrzył, opuszczała głowę,

wówczas to on nie istniał.

– Wygraliśmy.

– Tak – przytaknął.

Zerknął jeszcze na płaskorzeźbę Lucyfera, lecz bezruch i nienaturalnie cichy głos Mariny niepokoiły go coraz silniej – podszedł, przykucnął przed nią, ujął jej twarz w dłonie, uniósł, zajrzał w oczy. Szkliste od łez.

– Co? – szepnął.

Rytmicznie zaciskała i otwierała pięści.

– Czuję, jak…

– Mhm?

– Wyciekam.

Pocałował ją, lekko, najlżej, sam dotyk ust, muśnięcie oddechu na ciepłej skórze. Zamrugała, by spojrzeć mu jasno w oczy. Ujął między wargi jej wargę, przesunął językiem, wessał między zęby, ugryzł lekko. Oddychała coraz szybciej. Wymienił z nią w ślinie jej krew, słodko mdlący eliksir życia.

Ściskała go za ramiona.

– Nicholas…

– Ciii. Żyjesz. Odwrócą to. Wiem, że schodzi coraz więcej. Jest lepiej. Jest lepiej.

Wbijała mu paznokcie w bicepsy.

Znowu przyciągnął jej głowę. Zsunęła się z krzesła w jego objęcia, przewrócił się na plecy. Spadła mu całym ciężarem na pierś, czarny polijedwab na mlecznej bawełnie. Gorący oddech parzył mu policzek, chwytała białymi zębami szorstki wąs, z czołem przyciśniętym mocno do jego czoła, ledwo dwa cale między ich czarnymi źrenicami, teraz on mrugał, gdy wpadały mu do oczu jej łzy. Przyciskała go do zimnej podłogi. Lewą dłoń zanurzył w jej białych włosach, prawa wpłynęła pod polijedwab, ścisnął sutek, przesunął paznokciami po żebrach, wślizgnął palce między uda, ścieżką wilgoci.

– Nicholas…

– Ciii.

– Nicholas!

Krzyk rozdarł ją na dwoje. Przez sekundę utrzymała jeszcze formę, jeszcze obejmował kobietę; potem obróciła się w kanciastą czerń, projekcja skoczyła po wszystkich skalach, buchnął na Hunta żar, spadły nań miękkie ciosy, chropowata tekstura przejechała po skórze, przeszyła uszy kakofonia dźwięków z całego słyszalnego spektrum, wbiła mu się w zatoki fala ostrych zapachów i smaków - przewrócił się na brzuch, zwymiotował.

Diabeł podniósł go z kolan.

– Bronstein!! – wrzeszczał roztrzęsiony Hunt. Zataczając się, wypadł z kajuty. Zdezorientowanemu

Lucyfer wskazywał drogę. Schody, korytarz, schody, grodź, śluza, checkpoint, przepuśćcie mnie – wpadł do przedziału medycznego. Spuszczali właśnie ze zdehermetyzowanej komory ostatnie płyny. Sine mięso zaczynało schnąć.

Diabeł ścierał mu z brody wymiociny.

Ponieważ ojciec Perez, jako jezuita, nie posiadał wszczepki, spotkanie musiało się odbyć w sali konferencyjnej klasztoru, która jedyna tutaj posiadała pełne pokrycie sieci A-V; a ojciec Perez założył na tę okazję okulary VR. Byli obecni tylko oni trzej: jezuita, Hunt, van De-rnomme. Należało do zasad ekskluzji prawnej, na którą się zgodzili, wykluczenie z negocjacji jurydykatorów oraz adwokatów korporacyjnych. Umowa, jaką pod okiem ojca Pereza podpisali – piórami OVR, na papierze OVR – liczyła zaledwie półtorej strony i nie zawierała żadnego skomplikowanego terminu prawnego. Jezuita, jako poświadczyciel, podpisał się również, po czym przekopiował obiekt na pozbawione połączeń z siecią kryształy klasztoru. Sprawdzili zgodność pliku z ich kopiami i ustalili potrójny klucz krypto. Wówczas ojciec Perez zdjął okulary, zostawiając ich samych.

– A więc? – zagaił fenometys, zasiadłszy w wyczarowanym pod ścianą fotelu.

– Jest to informacja o pewnym patencie, który wkrótce stanie się prawie bezcenny. Aktualny jego właściciel nic o tym nie wie. Pierwsze zgłoszą się agencje rządowe USA lub wykonawcy ich kontraktów. Ostatecznie jednak można się spodziewać kilkudziesięciu chętnych.

– Jakie przebicie?

– Nie wiem. Duże. Bardzo duże. Mowa tu o niezbędnym komponencie w technologii czegoś w rodzaju nowych Wojen Gwiezdnych.

Hunt nalał sobie szkockiej. Van Dernomme gładził w zamyśleniu sklepienie czaszki (był łysy).

– Jest pan pewien, że oni nie machną po prostu ręką na patenty i nie zasłonią się bezpieczeństwem narodowym? Państwa uprawiają szpiegostwo przemysłowe na potęgę.

– Pewien? Prawie – odparł Hunt. – Za duża skala, to wkrótce będzie wielka gałąź przemysłu.

Van Dernomme milczał, zafrasowany. Nicholas wychylił szklankę i postanowił zamknąć wreszcie transakcję, nie czekać na lepszy nastrój miliardera.

– Zweine GmbH, spadkobierca GenSymu – rzekł. -Spółka pod prawem szwajcarskim. Publiczna. Struktury otwarte, poniżej pół giga. W ofercie jedna trzecia akcji; a spadli przez Kryzys razem z innymi. Reszta słabo ukorzeniona; tak mnie przynajmniej zapewniono. Ten patent to technologia sztucznej hodowli analogów neurostruktur

mózgowych płodu człowieka. Pokłosie GenSymowej Fontanny Młodości; na razie zalega w Zweine razem z resztą masy upadłościowej GenSymu pod pasywami. Lecz w każdej chwili mogą się zorientować, to już pływa w noosferze. Jeśli więc wystąpi pan po prostu z konkretną ofertą, nawet przez jakąś ślepą spółkę, ich programy eksperckie na sto procent każą im przeczekać i sprawdzić trend.

– Ale – van Dernomme kręcił głową – pół giga…! I to w takiej chwili! Musiałbym szybko zejść z jakichś papierów, stracę fortunę.

– Zarobi pan większą. Nie ma pan wyboru, musi pan kupić całe Zweine.

Van Dernomme krzywił się dalej. Ale Nicholas wiedział już, że to – świadoma? nieświadoma? – poza. Miliarder po prostu w ten sposób prowadził interesy; w trybie flegma-tycznym. A może tak się edytował.

Hunt podszedł do krzyża, obrysował prawym kciukiem stopy Chrystusa, spojrzał na zakrwawioną twarz. Diabeł prychnął, zdegustowany.

– To prawo do niewyłączności, które pan na mnie wymusił… – odezwał się zza ich pleców van Dernomme. – No powiedzmy, że sprzedam panu ten patent za dolara i dam te sto mega miesięcznego kredytu. Co pan zdziała przez miesiąc? Tego nie pojmuję. Chce pan wejść jako podwykonawca do przetargów Pentagonu? To bez sensu. Zgodził się pan na klauzulę nieodsprzedawalności, więc nawet rynku mi nie zepsuje. Będzie pan rozwijał własne Gwiezdne Wojny? Za sto mega? W miesiąc? Panie Hunt!

– Nie rozumiem, co to właściwie pana obchodzi. Umowa jest umową. Dałem panu informację, na której zarobi pan giga i giga. Pan mi da prawo do korzystania z patentu i kredyt. Tyle.

Nicholas odwrócił się od krzyża. Fenometys wciąż kręcił głową, światło lamp odbijało się na bezwłosej skórze idealnymi refleksami. Transmisja z jego strony szła przez dwa serwery anonimizujące, mógł przebywać w dowolnym miejscu na Ziemi. Sygnał dla bezpieczeństwa wędrował okrężną drogą: Nicholas raz i drugi wychwycił wyraźne opóźnienie w słowach i gestach oligarchy.

– Panie Hunt! – powtórzył van Dernomme. – Przecież pan dobrze wie, że ja wiem, kim pan jest. Jeszcze nie zeszedł pan z newsów jako wróg publiczny numer jeden tego sezonu. Zdrajca; nie zdrajca; teraz przychodzi pan i sprzedaje poufne informacje. Powiada pan, że już nie pracuje dla rządu; że to pana wiano. Okay, rozumiem, to się mieści w obyczaju, wszyscy zdajemy sobie sprawę, że te zobowiązania o nie wykorzystywaniu wiedzy i o pracy w innej branży to czysta komedia, żaden rząd nie zrobi ze swych pracowników współwłaścicieli. Ale w jaki sposób ja mogę sprawdzić, że pan faktycznie nie pracuje już dla

EDC? Co? Nawet jeśli pan sam w to szczerze wierzy. Jak? To niemożliwe. Muszę być ostrożny, inaczej wmani-puluję się jako strona w konflikt międzynarodowy. To, co pan tu ze mną robi… to jest klasyczna metoda werbunku „podwójnie ślepego" wykonawcy.

Nicholas przez ten czas tylko uśmiechał się pod wąsem, uderzając się laseczką o udo.

– Ale pan przecież i tak kupi Zweine – szepnął wreszcie. – Prawda?

Van Dernomme powoli oddał uśmiech.

– Kupuję od pięciu minut.

Hunt skinął na diabła. Lucyfer skoczył, zdarł krucyfiks, uderzył rogami w ścianę. Posypał się gruz. Kaszląc od podniesionego pyłu, Nicholas przeszedł przez wyłom. Światła w przedziale pierwszej klasy były przygaszone, większość podróżnych spała, jednostajne buczenie silników samolotu posiada działanie omal hipnotyczne. Diabeł wskazał ułamkiem krzyża rząd, Nicholas podszedł, klepnął Anzelma laseczką w ramię. Preslawny przekrzywił głowę, zerknął na swą dłoń i poruszył wargami. Buch! Złoto skapywało z pokrytych roślinnymi ornamentami ścian, migotały płomienie świec osadzonych na ciężkich lichtarzach, kołyszący się pod sufitem w srebrnej klatce słowik wyśpiewywał wysokie trele. Rozetowe okno wychodzące na monolityczną noc odbijało bok rzeźbionego w ptaki i fantastyczne stwory powietrza fotela, sąsiadującego z tym, w którym siedział Preslawny. Wszystkie fotele dokoła Anzelma pozostawały puste – teraz samoloty zabierały na pokład zaledwie jedną piątą liczby pasażerów, dla której zostały zaprojektowane. Stewardesy roznosiły dodatkowe inhalatory z kaestepem; stewardesy (i stewardzi – w przedziałach żeńskich) stanowiły sto procent załogi odrzutowca: po Zarazie nawet symboliczny nadzór pilotów-ludzi nad komputerami sterującymi uznano za zbyt ryzykowny, kokpity były komisyjnie plombowane na lotniskach.

Preslawny leciał do Nowego Meksyku, do Hacjendy Czterech Suchych Źródeł Krasnowa, gdzie wezwał go Ronald Schatzu. Airbus szedł ekonomiczną na dwudziestu tysiącach stóp, goniły go zimne fronty odoceaniczne.

Anzelm, cały w koronkach, żabotach, perłach i atłasach, z ufryzowanymi włosami, palcami w pierścieniach, powitał Nicholasa mocnym uściskiem dłoni. Zbyt dobrze się znali, od zbyt dawna; żadnych więc pustych kondolencji, żadnych teraz rytuałów współczucia między nimi. Hunt zaczął z miejsca o interesach.

– Chcę, żebyś im wymówił. Przejdziesz do mnie. Wiceprezydent. Otwieram firmę. Pięć procent udziałów plus opcja, zarobki cztery razy wyższe. Co powiesz?

– Moment, przeskoczę na fuli OVR. – Preslawny odpalił makro;

odtąd, chociaż nadal poruszał ustami, był to już ruch nakładany przez MUI, Hunt wiedział, że w RL Anzelm nie wydaje głosu, nikt nic nie słyszy. Strumień danych, sformatowany i skompilowany podług protokołu CIOT, a następnie sprowadzony przez dwupoziomowe krypto interlokutorów do czystego szumu, krążył w zamkniętym obiegu między Tuluzą Hunta, gwiazdą „Curtwaitera", gwiazdą Airbusa i Tuluzą Preslawny'ego. -Okay. Co to ma być za firma?

– Musisz wejść w ciemno.

– Uuu.

– Niestety.

– Jak bardzo śliskie?

– Rejestruję się w Wolnej Kaukaskiej.

– Aa, więc wchodzisz do monadalnego interesu.

– Powiedzmy.

– Nie kręć, nie kręć; gdyby szło tylko o podatki, uciekłbyś do Kartelu. Spodziewasz się pozwów. Komercjalizujesz Program, kto by pomyślał… Jaka będzie struktura własności?

– Pełne otorbienie. Wszystko w naszych rękach, zero na parkietach. Inwestujemy z dywidend. Żadnych umów na wyłączność. Poza tym po roku-dwóch podstawi się ludzi i usuniemy się w cień. Więc wchodzisz, czy nie?

– Jaki kapitał?

– Dwieście-trzysta mega.

– Masz trzysta milionów?! Skąd…?

– Będę miał. Na razie mam stówę miesięcznego kredytu i cynk na Szybką Londyńską w IEW.

– A na czym sobie ten kredyt zabezpieczyli, hę?

– Na moich prawach TP, DNAM i ciele; chociaż to symbolicznie, bo tak naprawdę jest to zapłata za informację.

– Nawet nie spytam, jaką. – Preslawny kręcił głową. -Ale że na stare lata zrobi się z ciebie trevelyanista… Zastrzeliłeś mnie.

– Wchodzisz, czy nie?

Anzelm obracał pierścień wokół kciuka.

– Zdajesz sobie sprawę, że to uniemożliwi mi dalsze spotykanie się z Iris.

Tylko w RL. W OVR, pod ciężkim krypto, możecie żyć razem dwadzieścia cztery godziny na dobę, stać cię będzie na wykupienie sztywnego łącza, opóźnienia poniżej ćwierci sekundy; i nie ma sposobu, żeby ktokolwiek się dowiedział.

– Ale to jednak tylko OVR.

– A niby jaka różnica?

– Mogę z nią teraz porozmawiać?

– Nie. Wchodzisz? Anzelm, do cholery…!

– Wchodzę. Gadaj.

Hunt dał znak Lucyferowi. Menadżer posłał do sądu w Groźnym wniosek o rejestrację Iluminatia Ltd., z Anzelmem Preslawnym jako szefem rady nadzorczej i wiceprezydentem wykonawczym.

– No więc tak. – Nicholas odchylił się, rozparł wygodnie w obijanym pluszowym szkarłatem fotelu; laseczka między kolanami, dłonie na rączce. – Pamiętasz wystąpienie Vince'a Li na konferencji w Bunkrze? Komputer psychomemiczny…?

– Aa, to. Co, inwestujemy w memoinformatykę?

– Nie. Słuchaj, za parędziesiąt godzin będziemy mieli patent na neuromatryce. Podkupisz szybko najlepszych ludzi z Mostu; zaestepią je łatwo, ale trzeba będzie rozwiązać problem łączy bioware-hardware oraz sporządzić stosowne oprogramowanie, a do tego fachowcy niezbędni.

Oprogramowanie jednostronne: to znaczy, nie będziemy niczego wypalać w myślni, tylko i wyłącznie odczytywać. Ruszymy ostro hodowlę tych matryc, pierwsze obwody wystrzeliwujemy od razu z Bajkonuru, dowiadywałem się o ceny. Druga kosmiczna i ponad ekliptykę. Tam wiele nie trzeba: pancerny pojemnik, około litra objętości, grubo izolowany, i silny nadajnik. Zastanawiam się jeszcze nad rodzajem zasilania, bo izotopy radioaktywne odpadają, a w takiej odległości od Słońca… Tak czy owak… Transmisje każdego najsłabszego błysku na matrycach idą nieprzerwanie do nas, pod ciężkim krypto. My to porządkujemy i analizujemy; tu właśnie trzeba specjalistycznego software'u.

– Na razie wygląda mi to na kolejną próbę Kontaktu. Skąd zysk?

Hunt uśmiechnął się złośliwie.

– A przypomnij sobie, w jaki sposób wynaleziono futuroskop?

Anzelm otworzył usta – i już ich nie zamknął. Wpatrywał się w Hunta z niemą zgrozą. Nicholas pokiwał głową.

– Tak, tak, mój drogi. Będziemy drenować myślnię z wiedzy. Cokolwiek kiedykolwiek ktokolwiek wymyślił; w tym i poprzednich wszechświatach; im użyteczniejsze, tym częściej wykorzystywane, dokładniej przemyśliwane, więc wyraźniejsze w myślni. Akwedukt informacji. Prosto ze źródła. Przepisy na cuda i niemożliwości. Cywilizacje miliardletnie. Skoro Psychosoic uniuersi tak czy owak - przynajmniej zaróbmy na tym. Ultymatywne know-how. Tylko z naszych rąk, dostawa co tydzień, Nobel co miesiąc.

– Kurwa.

– Tak, tak.

Anzelm się otrząsnął. Wyczarował piwo, wypił szybko. Wciąż mrugał.

Gdy po minucie obrócił się do Nicholasa, już się szeroko uśmiechał.

– Niechże uścisnę dłoń potwora.

Hunt podał mu prawicę, symulując arystokratyczną wyniosłość.

Anzelm śmiał się pełnym głosem.

– Strzel sobie, na wszelki wypadek – poradził mu Nicholas. – Po co ma się roznieść.

Preslawny wciągnął z inhalatora do płuc trzy długie serie kaestepu.

– Potrzebujemy najlepszych na świecie prawników patentowych – powiedział odłożywszy urządzenie.

Taak. To jest kluczowa kwestia i tu zadecyduje potencjał intelektualny, będziemy więc musieli wziąć ich do spółki; nie pakiet kontrolny, ale jakieś partnerstwo jest nie do uniknięcia. Podałem już headhunterom profil, prześwietlają kancelarie na całym świecie, bo potrzebujemy specjalistów od każdego regionu.

– Wystartowałeś z rozmachem, to muszę ci przyznać. Mhm… ale jak się nad tym dłużej zastanowić… to nie będzie takie proste. Ryzykowne przedsięwzięcie, najdelikatniej mówiąc.

– Wiem. Ten software do obsługi neuromatryc estepicznych, sposoby konwersji pakietów egzomemetycznych -to będzie najtrudniejsze. Dlatego tak ważne jest, że będziemy pierwsi, weźmiemy najlepszych ekspertów i jako pierwsi…

– Nie-nie-nie, co innego miałem na myśli. Jakby ci to powiedzieć… Pamiętasz, jak zgasili na konferencji Ronalda? „Metafizyczny Paragraf 22". Pamiętasz?

– Owszem. O co ci chodzi?

– Nicholas… właściwie jak łatwo wpadłeś na ten pomysł drenażu myślni?

Pięć, dziesięć, piętnaście oddechów, i nadal milczeli; spojrzenia zatrzymane w stopklatce – puste, wyprane z myśli i emocji. Programy menadżerskie przy pomocy edytorów mimicznych wymazywały prewencyjnie wszelką ekspresję z ich twarzy, oczu. Oni dwaj mogli się uważać za przyjaciół, ale diabły ich wszczepek wiedziały lepiej.

– Nawet jeśli masz rację – rzekł powoli Hunt – nawet jeśli… czy i tak nie możemy na tym zarobić?

Preslawny zawahał się. Wzruszył ramionami.

– Lepiej zostań na tym „Curtwaiterze" na dłużej. Albo kup jakiś automatyczny jacht i popłyń na środek Pacyfiku. Nie zwrócą uwagi, po Zarazie mnóstwo ludzi tak robi. Po co masz dodatkowo wzmacniać trend.

– Tobie też radzę.

– Tak. Nie postawię stopy w Hacjendzie, to na pewno.

– Ale na razie jeszcze nie uciekaj.

Hunt przełożył laskę z ręki do ręki, uniósł wzrok ponad oparcie fotela przed nim, odetchnął głęboko. Słyszał wzbierające w piersi diabła charkotliwe pomruki, bicie kopytem w pokrytą czerwonym

dywanem podłogę, coraz szybsze.

– Chciałbym cię prosić o przysługę. Ty znasz sneakerów, tych bardziej szemranych, masz dojścia do ślepych wykonawców, masz doświadczenie, sześć lat robiłeś w operacyjnym w Agencji. Wiem, że to będzie bardzo drogie, zważywszy na cele, ale jeśli ten interes z myślnią wypali, zdobycie odpowiedniej sumy nie sprawi mi kłopotu.

– Nicholas… – zaczął Anzelm na niskiej nucie. Hunt uniósł dłoń.

– Proszę. Preslawny zmilczał.

– Chigueza i reszta decydentów z Langoliana – rzekł Hunt. – Wyśledzić. Zabić. Wcześniej niech cierpią. Oni, ich rodziny, przyjaciele. Długo. Żeby wiedzieli. I zabić. Anzelm. Tylko to.

Preslawny wyglądał przez kryształową rozetę na gwiezdną noc, w kolorowym oknie odbijała się jego twarz -martwa, nieruchoma; naprawdę lub w projekcji, nie docieczesz.

– Przecież niczego to nie zmieni, wiesz – rzekł cicho. -Ani jej życia nie przywróci, ani nic. Poza tym niebezpieczne. Po co? Poczekaj, przejdzie ci. Dlaczego od razu tak…

– Bo ich nienawidzę.

– Ale – rodziny…

– Niech cierpią.

– Jezu, Nicholas, opamiętaj się, chcesz, żebym zlecił mord niewinnych…

– Jak i oni zlecili. To jest zemsta, Anzelm. Może nie zrozumiesz, na pewno nie zrozumiesz, ale… – Hunt nagłym ruchem złapał Preslawny'ego za przedramię, obrócił ku sobie, nachylił się ku niemu. Zaglądał mu teraz prosto w oczy z intensywnością wygłodniałego drapieżcy, oblicze wykrzywiał mu grymas bolesnej żądzy, zęby miał odsłonięte; naprawdę lub w projekcji. Przekazywał Anzelmowi słowa wraz z palącym gardło oddechem. – To jest moja zemsta. Przecież widzisz. Nie ma prawa. Nie ma obyczaju. Nie ma moralności. Nie ma religii. Jest tylko chaos samożywny; są tylko pojedynczy ludzie i to, co między nimi. Proszę cię. Zrobisz to?

– Będzie mi się śniło do końca życia…

– Zrobisz, czy nie?

W glinie, w smole, w melasie. A kiedy miał podnieść się z koi – pół minuty zanim uniósł nogę, dźwignął tors, poruszył ciałem. I krok krótki, niepewny, stopa szorowała ciężko po nagiej, metalowej podłodze. Chwytał się wówczas ścian, sprzętów, w zapomnieniu obiema rękami; a i tak ciskało nim bezwładnie naokoło, tracił oparcie. Woli i cierpliwości starczało, by dowlec się do łazienki; potem musiał długo stać, wparty plecami w zimną grodź, z zaciśniętymi ustami i karkiem sztywnym, nim pociągnął z powrotem do koi. W OVR był zdecydowany, energiczny, żonglował milionami, budował imperia,

wypowiadał wojny, anioły dobra i zła wpijały mu się w ramiona długimi szponami, w OVR był Królem Necropolis, miał obie dłonie, prawą jeszcze potężniejszą od lewej, biały halsztuk lśnił na czarnej koszuli, harcap ściągał mocne włosy, obroty kutej srebrem laski rozpędzały dookolne cienie, w OVR był Nicholasem Huntem; w Real Life miał przetrącony kręgosłup.

Z powodu sztormu musiał zatrzasnąć bulaj, stal otaczała go ze wszystkich stron, nie pozostała ni szczelina, najmniejszy otwór, nic – konserwa samotności. Faza krzyku trwała u niego zaledwie kilka minut – teraz cisza. I to nawet nie w dźwiękach; nie taka. Wszak trzeszczał i huczał kadłub frachtowca, ciskany w dół i w górę przez demony morza; wszak grzmiały w jego pustym wnętrzu setne echa uderzeń fal o rezonującą stal; wszak Hunt oddychał i szumiała mu w uszach krew. Ale – cisza. Ale -mrok. I spowolnienie, wielki ciężar na ciele i duszy. Każde drgnięcie mięśni i myśli gaszone do zera. Jak się poruszać, jak żyć…? W glinie, w smole, w melasie. Miała włosy jak światło witraża i oczy jak niebo arktyczne. To pochylenie głowy, półuśmiech wąski – tak odpalała makro nieśmiertelności, mały bug w oesie Pana Boga… Przyłóż czoło do zimnej stali, odejdzie gorączka. Błumm, błummmrr, spadamy w kolejną dolinę morza. Leży na tej koi jak trup, ciało kolebie się bezwładnie do rytmu fal. I tylko prawa dłoń: kciuk, wskazujący, serdeczny palec w górę, palec w dół, pięść.

Ojciec znajdował się w Szpitalu Miejskim w Chicago, pod ciężkim kaestepem i narkozą spychającą go w sen bez marzeń; ale to nie była robota Zespołu, o wypadku kłamali. Ojciec stał się po prostu kolejną ofiarą Tłumu. Miał złamane obie nogi. Zidentyfikowali go po DNAM, nie odzyskał jeszcze przytomności.

Szpital, jako placówka publiczna, był gęsto kryty w A-V. Hunt stanął w nogach łóżka, oparł dłonie o poręcz, nachylił się; patrzył. Ile to lat, od kiedy go widział po raz ostatni? Na żywo – z trzydzieści, od ostatecznego rozstania z matką, ojciec wyjechał wtedy z Polski, wrócił do USA. Ale potem jeszcze czasami przez videotelefon… Tylko że wówczas już bez możliwości zrozumienia, prawdy -już tylko słowa i twarz, przekłamania świadome i nieświadome. Teraz przecież też: bo i OVR, i narkoza… Więc nie dotknie jego duszy. Ale miał nadzieję, że sam obraz, że całość związanych z widokiem ojca skojarzeń wizualnych – że to wystarczy, by odpalić stare makra uczuciowe, otworzyć tamte wrzody pamięci, niech popłynie czarna ropa. Bo dziś tego właśnie mu było trzeba: czerni, czerni najgorętszej, cuchnącej, lepkiej, tej, którą zasadzili mu w głowie jeszcze w dzieciństwie, w niemowlęctwie, jeszcze w inkubie, matka i on, ojciec, nie ojciec, prawdziwy Król-Imperator Necropolis, gdy ją gwałcił, naprawdę i w urojeniu, gdy nienawidził, życzył cierpień, gdy łkał wściekle, gdy śnił. Boże, jego sny, teraz sobie przypominam -krzyczałem niemo, gryząc

piąstki…

Czerni, czerni, czerni! Już oddychał głębiej, oparty o poręcz łóżka, wciągając do płuc niewidzialne miazmaty. Powrót do świata żelaznych niezmienników, powrót do czasu dzieciństwa. Już dobrze. Tak. Już spokój. Wszystko wróci na swoje miejsce. Umrą, cierpiąc. Jakiż byłem głupi, jaki naiwny! Co za klincz idiotyczny, cóż za emocjonalne za-pętlenie z tą Mariną; a nawet nie była dobra w łóżku. Wyprostował się, poprawił mankiety. Puls już równy, powolny. Ucałował nieprzytomnego ojca; suche wargi, sucha skóra. Czerń, czerń zalała wszystko.

Imelda spała w fotelu, w kącie po stronie sypialni przeciwnej do łóżka z majaczącym Gasparem Tito. Anzelm drzemał w kabinie automatycznego CeeJeta, wyczarterowanego przez Iluminatia Ltd. na bezpośredni lot do Massachusetts. Na grób Bronsteina nocny wiatr nawiewał wilgotne liście.

– Panie.

Zasiadł przy biurku, ujął oprawny w ludzką skórę tom. Nie przezwyciężysz starych przyzwyczajeń. Ścisnął między palcami podane przez diabła pióro, już umaczane we krwi. Zaczął pisać; popłynęły spod jego ręki czerwone ściegi małych, krągłych, precyzyjnie modelowanych liter. Dla kogo właściwie pisze się pamiętniki? Ani nie uniósł głowy, gdy zawyły demony, śmiertelnie spokojny w oku cyklonu.

Teraz będę kłamał. Nazywam się Nicholas Hunt. Na zewnątrz szalały dzikie żywioły.